

Jarosław Rybski

GROMIŁ

BRACIWO WROCŁAWSKIE

**Graham
Masterton:**
FANTASTYCZNA!



vis-à-vis
etiuda

Jarosław Rybski

GROMIŁ

Copyright © for this edition by Vis-à-vis Etiuda sp. z o.o., Cracow 2019

Projekt okładki, ilustracje: Adam Fyda

Redakcja: Adam Wielopolski

Redakcja techniczna i łamanie: Anna Atanaziewicz

Wydawnictwo Vis-à-vis Etiuda spółka z o.o.
30-549 Kraków, ul. Traugutta 16b/9
tel. 12 423 52 74, kom. 600 442519
e-mail: visavis_etiuda@interia.pl, biuro@etiuda.net
www.etiuda.net

ISBN: 978-83-7998-381-0

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Dedykacja](#)

[WSTĘP](#)

[ROZDZIAŁ PIERWSZY ...stalowe, cienkie ostrze...](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI ...na nos...](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI ...nowe, uległe pokolenie...](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY ...harmonia pieniędzy...](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY ...Elvis...](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY ...dyskretny urok dekadencji...](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY ...ratunku, milicja...](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY święte, męskie prawo...](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY ...Duch Gór...](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY ...zwyczajne przejawy życia codziennego...](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY ...smutny wymoczek...](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY ...dopóki piłka w grze...](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY ...zróbmy coś...](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY ...zdrowe konopie...](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY ...gorze!...](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY ...przedwojenna klinkierówka...](#)

[ROZDZIAŁ SIEDMNASTY ...w tym sęk...](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY ...prawatywa i piąchopiryna...](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY ...karty na stół...](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ...ostry szpagat...](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY ...niewielka górską miejscowość...](#)

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI ...prawdziwa
nieźwiedzia gawra...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI ...bestia z piekła
rodem...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY ...nic
szczególnego...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY ...walić prosto z mostu...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY ...cisza przed burzą...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY ...tajemnica trzeciego
klucza...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY ...Polska gola, Polska
gola!...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY ...a pamiętasz, jak
wtedy...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ...strzelaj, Józek, strzelaj!...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY ...nasz sprawdzony
towarzysz...

ZAKOŃCZENIE

PODZIĘKOWANIA

*Pamięci wszystkich ukochanych bliskich,
których nieobecność tak mocno doskwiera.*



WSTĘP

Jesienią 1946 roku Karkonosze wyglądały groźnie i majestatycznie. Góry zasnuwane granatowymi chmurami zdawały się przywierać do jeszcze niezaśnieżonych szczytów. Wiadomo było jednak, że to nie potrwa długo. Porywiste wiatry wyginały sosny i świerki na wszystkie strony, jakby Natura chciała sprawdzić, które z nich są najsilniejsze i będą w stanie przetrwać srogą zimę. Już na początku listopada spodziewano się pierwszego śniegu, a wraz z nim spadku temperatury.

Być może mieszkańcy gór na każdej szerokości geograficznej mogli podziwiać piękne widoki, ale nie mieli łatwego życia – wciąż musieli zmagać się z kapryśną przyrodą. Ich przepełniona znojem egzystencja przypominała los mitycznego Syzyfa – wciąż wędrowali pod górę, często po śniegu i lodzie na szlakach i ścieżkach, tam, gdzie inni już dawno daliby za wygraną. W Karkonoszach górale żyli od wieków, zahartowani i nieustępliwi. Tutaj dzieci zawsze miały do szkoły pod górkę, uprawiając się do wysiłku od najmłodszych lat.

Ze zgrzytem opon na zwirowej nawierzchni wojskowy gazik zaparkował przed drewnianym domkiem w Krummhübel. W oknach tej urokliwej karkonoskiej wsi wciąż gdzieś wisiły białe prześcieradła, ponieważ mieszkańcy również musieli ustąpić przed taranem historii, dla którego drobne niedogodności w postaci pofałdowanego terenu znaczyły tyle, co nic.

Jeszcze niedawno wisiły tu inne flagi i teraz mieszkańcy wioski ze strachem spozierali na żołnierzy przez szpary w zaciągniętych kotarach. O ich obyczajach we Wrocławiu mówiono niestworzone rzeczy. Ludzie gadali o gwałtach, rabunkach, podpaleniach. Armia Czerwona zajmowała tereny, w których do niedawna panował germański ład i porządek. Co jakiś czas zapłakana matka otrzymywała lakoniczne zawiadomienie pocztą, że jej Franz czy Alfred poległ gdzieś na obcej ziemi, walcząc o nowe jutro dla Wodza i jego Narodu, ale tak należało. Był to obowiązek wobec Rzeszy i Führera. Teraz, kiedy wszystko legło w gruzach, mieszkańcy siedzieli jak

myszy pod miotłą, starając się nie zwracać na siebie uwagi przybyszy. Byleby tylko nikt ich nie zauważył, a piękna mowa Hegla i Goethego nie podrażniła czyichś uszu. Był to czas, kiedy Niemcy musieli z pokorą znosić kolejne ciosy okrutnego losu.

– No wysiadaj, Janku! – krzyknął kapitan Zbigniew Kartoszka, klepiąc po gwardyjsku młodego sierżanta za kierownicą. – Zaraz dostaniemy coś na rozgrzewkę.

Jan Warkot, młodzieniec w polskim mundurze sierżanta, aż zakrztusił się pod uderzeniem dowódcy. Mimo że było chłodno, wytarł pot z czoła. Droga, którą dotarli tutaj, mogła przyprawić o palpitację serca. Wąskie drogi, choć asfaltowe, wymagały od kierowcy nie byle jakiego kunsztu – wystarczyła jedna pomyłka i cała wyprawa mogła się zakończyć dla żołnierzy tragicznie. Błaha awaria i łazik runąłby w głęboką przepaść między iglaste drzewa, wprost na wystające wszędzie ostre skały.

Kapitan Kartoszka był – jak to mówią – starym frontowcem. Z niejednego polowego pieca jadł chleb i grochówkę. Dlatego powierzono mu dowództwo nad tą kupą kamieni, okolicą, w której wciąż jeszcze istniały duże zapasy broni i amunicji pochowanej przez fanatycznych zwolenników austriackiego malarza. W nocy słychać było strzały i niejednen z podkomendnych Kartoszki, doczekawszy końca wojny, nie dożył chwili, w której mógłby się trochę nacieszyć zwycięstwem i wolnością. Choć ta i tak była mocno iluzoryczna.

Wziąwszy w posiadanie miejscowy posterunek żandarmerii, żołnierze wyruszyli z pierwszym zadaniem powierzonym przez dowództwo. Rozkaz był jasny: zlokalizować, przepytać i dojść do sedna zleczonej sprawy.

Dom był piętrowy, podpiwniczony z zadaszoną werandą i dużymi głazami wmurowanymi w fundamenty. Zielona farba zaczęła powoli odłazić pod wpływem ataków surowej aury. Była to wiejska gospoda położona na granicy lasu wiodącego wprost w góry. Tam, w pewnym momencie linia drzew urywała się, ustępując miejsca skrzącym się szarościami stromym skałom i kosodrzewinie. Karczma stała na szlaku turystycznym, dając wytchnienie tym, co schodzili z gór, i siły tym, którzy dopiero mieli zamiar zdobywać szczyty.

W progu gospody powitał ich starszy mężczyzna w kolejarskiej czapce na głowie i w grubym, wełnianym swetrze, który najlepsze lata miał już za sobą. Na jego twarzy malował się strach, bo czasy były niepewne, a wizyta żołnierzy nie wróżyła nic dobrego. Było ich trzech – oficer, podoficer i jakiś łamaga z pepeszą, który ciągle poprawiał sobie pas. Minęli go bez słowa, co również świadczyło o tym, że nie była to zwykła wizyta wojska w szynku. Goście weszli do środka, zostawiając tego z pepeszą na dworze przy gaziku. Jeszcze jeden niedobry znak.

Kapitan Kartoszka rozsiadł się przy stole, plecami do ściany, niczym wytrawny kowboj z powieści Karola Maya. Młody sierżant usiadł obok i wodził czujnym wzrokiem po sali z szynkwasem. Od razu dostrzegł puste, jaśniejsze miejsce na ścianie po portrecie, który się gdzieś zawieruszył. Gospodarz z obawą wszedł do środka i spojrzął na kapitana.

– No to jak będzie, panie Müller? – Kartoszka zagaił szynkarza, obserwując, jak jego drobna, milcząca żona zaczęła przygotowywać poczęstunek.

Kapitan mówił po niemiecku z bardzo wyraźnym obcym akcentem, który tylko potęgował napięcie. Nie miał, jak to zwykle Iwan, dwóch zegarków na nadgarstku, czyli nie był pospolitym szabrownikiem. Na oklapłych rogatywkach żołnierzy widniało rozłożyste ptaszysko przypominające insygnia pierwszych cesarzy Imperium Niemieckiego.

– Pan mnie zna? – zapytał nieśmiało szynkarz.

– Są tacy, co znają. No to jak, namyśliliście się?

– Ale ja nie wiem, o co panom chodzi...

– Wiesz, wiesz, nie udawaj. Był tu u ciebie mój sojusznik, kapitan Nieckow.

– A był jakiś oficer i wypytywał, ale ja nic nie wiem.

– Widzisz, Janku, jak to pamięć wraca? – zwrócił się Kartoszka do młokosa.

– Ja nie mówię, że nie pamiętam, tylko że nie wiem, o co chodzi – zaprotestował szynkarz.

– Nie było rozkazu wiedzieć!

– Roz... rozkazu?

– No mówię przecież, do ostatniej chwili byliście dróżnikiem w Kowarach. Dopiero teraz przeszliście na emeryturę. A Pietia zadał kilka pytań i dał wybór. Albo mówicie co i jak, albo raus, fora ze dwora, znaczy się. Kapitan pytał o pociąg, coście go odprawili przed wkroczeniem naszych.

– Jakby coś pamiętam, ale nie wszystko, stary już jestem... Tyle tych pociągów było...

– Müller, są tacy, co mają doskonałe metody przywracania pamięci. Wiesz, o czym mówię.

Mężczyzna zbladł. Odruchowo zacisnął pięści, chowając w dłoniach palce z jeszcze całymi paznokciami. Przy ich metodach zwykle lanie w pysk było jak wczasy z rodziną w kurorcie nad morzem.

– No i na co ci to? Kogo ty bronisz? – naciskał Kartoszka. – Dwóch synów zginęło ci na froncie. To twoi ci to zrobili, a ty jeszcze ich bronisz?

– Ja tam nie wiem, do polityki się nie mieszam... – Dróżnik zacinał się przy każdym słowie. – A że Jürgen... Nie wiem, nie mam wiadomości...

– Jak tam sobie chcesz.

Kapitan sięgnął do karafki i nalał sobie solidną porcję wódki do niewysokiej szklaneczki. Powąchał najpierw podejrzliwie. Wypił. Otarł usta wierzchem ręki, aż można było zobaczyć nagniotki spracowanej dłoni.

– My tu teraz będziemy wszystko przejmować – powiedział Kartoszka – więc masz tydzień na spakowanie. To i tak o sześć dni więcej, niż dali wam wasi zeszłej zimy. Przeniesie się was do tymczasowego miejsca zakwaterowania!

– Ależ panie oficerze, jak tak można? My tu z dziada pradziada...

– Nowe idzie, nie słyszeliście, Müller?

– No ale co będzie z nami?

– O tym zadecydują już sojusznicy.

Mężczyzna zadrżał odruchowo, bo podejrzewał, jaka to może być decyzja. Kilka gram ołowiu było dużo tańsze niż wyżywienie i lokum dla przesiedleńców.

– Jakże to tak wypędzać ludzi?

– Wypędzać? Słyszysz, Janek, co on mówi? Wy to zaczęliście! A teraz musicie wypić naważone piwo.

– Mam świeżo wazone jasne z pianką, może pan oficer zechciałby... – zagaił szynkarz ni w pięć, ni w dziewięć, najwyraźniej gubiąc się w idiomatycznych meandrach kapitana.

– Co wy mi tu? O pociąg pancerny pytam. Skąd, dokąd, ilu ludzi, jaki skład, dokładnie!

– Nie pamiętam...

Jego żona nerwowo wycierała dłonie w fartuch i patrzyła ze zgrozą na tych, którzy zabili jej dwóch synów, a trzeciego skazali na poniewierkę. Teraz szykowali się do ostatecznego rozwiązania kwestii rodziny Müllerów. Jej życie, posłusznej i dobrej niemieckiej żony, zaczęło walić się w gruzy już podczas kampanii greckiej, kiedy dowiedziała się, że pierworodny Otto oddał życie za Wodza.

Przepłakała wtedy ze dwa tygodnie, rozpamiętując ludzką podłość. Podłość i niegodziwość tych, którzy nie mają na tyle przyzwoitości, żeby poddać się temu, co nieuchronne. Po co walczyć, kiedy można żyć w spokoju i harmonii pod przywództwem genialnego męża stanu i zbawiciela? Po co szafować ludzkim życiem, kiedy można było witać kwiatami wyzwolicieli, którzy obronią kraj przed bolszewicką zarazą? Ale nie, woleli strzelać do nich jak do kaczek. Nic dziwnego, że ta cała ich grecka cywilizacja upadła. Z takim nastawieniem?

Ukradkiem otarła łzę i spojrzała już otwarcie wrogo na rozpartego na ławie kapitana nieprzyjacielskiej armii. W ich szynku! Świat doprawdy zszedł na psy, żeby teraz musiała jeszcze im usługiwać! Była też zła na Hansa, który płaszczył się przed wrogiem zamiast coś zrobić. Ale zdawała sobie sprawę, że musi tak postępować, bo wciąż obowiązywały go rozkazy tych, którzy byli tu kilka miesięcy temu i odjechali w nieznaną. Najpewniej na własną zgubę.

– No decydujcie, Müller! Szkoda czasu.

Milczący do tej pory młodzik powiedział coś w tym ich słowiańskim narzeczu do kapitana i obaj roześmiali się głośno. On też wypił szklaneczkę wódki, choć jeszcze miał mleko pod nosem.

– Przypominam sobie coś jakby przez mgłę...

– Przez mgłę? Wielki pancerny potwór na torach z lokomotywą wielką jak stodoła i nie pamiętasz dokładnie?

– No tak, był taki pociąg.

Żona syknęła coś ostrzegawczo do męża i ten aż drgnął.

– A idź, matka, do kuchni i daj coś na zakąskę i nie sycz mi tutaj, bo nie strzymam – rzucił kapitan po polsku.

Szynkarka i tak zrozumiała – wybiegła do kuchni.

– Przyjechał na stację w Kowarach późno w nocy, jakoś koło drugiej – powiedział Hans. – Było w nim pełno wojska Pomyślałem, że na front jadą.

– Na jaki front? – zapytał Kartoszka. – Nasi zbombardowali całe kilometry torów, daleko nie mogli ujechać.

– Ja tam nie wiem. Stali na stacji i tylko pamiętam, że ta lokomotywa tak głośno sapała, olbrzymia była i opancerzona. Większa niż zwykłe.

– Kto dowodził konwojem?

– W pociągu było samo SS, a dowodził taki jeden wysoki, major chyba.

– Chyba czy na pewno?

– Ja tam nie pamiętam, jak Boga kocham. Byłem tylko prostym kolejarem. Za dróżnika robiłem, ale jak zabrakło ludzi, to i pociągi odprawiałem ze stacji jako zawiadowca, bo pogotowie było całą dobę. Wcześniej to tak, dużo wojska przejeżdżało w dwie strony, ale później to już nie...

– Czyli jednak pamięć wam wraca. Dobrze, lubię ludzi rozsądnych.

– Trzeba tylko trochę w niej poszperać. Stary już jestem.

– Stary, nie stary, ale na defiladę to byś jeszcze poszedł, co? Ten szyk, ten krok, te marsze. Tu jest z wami największy problem. Lubicie maszerować, psie syny. Kiedy dokładnie to było?

– No tego to już sobie nie przypomnę. Na wiosnę jakoś...

– A w jakim kierunku odjechał?

– Na południe, ale gdzie dalej, to ja nie wiem...

– Czyli w stronę Krummhübel?

– Jakby w tę właśnie stronę...

Żona wróciła i cisnęła na stół talerz wędzonki aż szklanki zatańczyły na blacie.

– Matka, mówiłem coś, tak? – krzyknął Hans. Kobieta bez słowa zniknęła na zapleczu.

Kapitan spojrział w głąb szklanki i się zamyślił. Trop się urywał. Nic więcej nie wycisną ze starego, choćby nie wiem, jak się starali.

Nagle za oknami zaterkotała seria z peemu. Skoczyli na równe nogi. Warkot wyszarpnął pistolet z kabury. Kapitan zaraz po nim. Wypadli na dwór. Ich oczom ukazał się makabryczny widok. Ich żołnierz pozostawiony na straży gazika czołgał się w stronę werandy, zostawiając za sobą smugę krwi. Na powycieranym mundurze widać było powiększające się czerwone plamy. Po chwili znieruchomiał. Jakieś dwadzieścia metrów dalej postać w wojskowej kurtce w leśnym maskowaniu mierzyła do nich z pistoletu maszynowego i najwyraźniej szykowała się do powtórzenia serii.

Trach, trach, trach – rozległo się echo po górach. To strzelał kapitan.

Sierżantowi Warkotowi po pierwszym strzale zacięła się tetetka.

– Niech to szlag! Janek, pruj w niego z pepeszy! – Kartoszka wskazał na leżącą nieopodal broń zabitego nieszczęśnika.

Sierżant zrozumiał w lot. Rzucił się do broni.

– *Nein, Jürgen, nein!* – wykrzyknęła szynkarka.

Zaterkotał zamek i iglica zatańczyła na spłonkach. Seria skosiła kilka gałęzi przydrożnych krzaków, ale nie dosięgnęła napastnika. Ten zobaczył że traci przewagę. Zaczął wycofywać się tyłem w stronę zbawczego, ciemnego lasu. Chmury zdawały się mu sprzyjać – zapadła wręcz ciemność, choć był środek dnia. Żołnierz wilkołaczej partyzantki zniknął między drzewami. Mogli dać sobie spokój, nie znajdują go w tej głuszy.

Kapitan wpadł jak burza z powrotem do szynku. Złapał dróżnika za sweter i mocno ścisnął. Mężczyzna wybałuszył oczy, bo był pewien, że już po nim.

– Gadaj, co wiesz, dziadu, bo inaczej z tobą pogadamy. I powiedz starej, że jak będzie miała taki zadowolony wyraz szwabskiego ryja, to pošlemy ją do pracy przy więźniach. – Rzucił złe spojrzenie karczmarce, która momentalnie odwróciła wzrok.

– Panowie, chwileczkę, proszę...

Dróżnik wyzwolił się z uścisku kapitana i bez słowa podszedł do drewnianego posążka Liczyrzepy, ducha tych gór i opiekuna okolicznych mieszkańców. Figurka miała kilkadziesiąt centymetrów wysokości i stała sobie jak gdyby nigdy nic na ladzie, najwyraźniej dodając otuchy stałym klientom. Wyglądała na starą, mogła i mieć ponad sto lat. Różniła się od innych, tandetnych bibelotów utrzymanych w stylu klein, aber mein. Dróżnik wziął ją do ręki i zdjął wieczko schowka w podstawie. W jego dłoni pojawił się duży mosiężny klucz.

– Tylko to dostałem na przechowanie – wykrztusił. – Więcej nic nie wiem.

Kapitan wziął klucz od dróżnika i obejrzał go dokładnie.

– Widzę, że pamięć ci wraca.

– Nic więcej nie wiem, przysięgam. Ktoś miał po niego przyjść.

– Kto? Hasło!

– Przybysz miał zapytać o zdrowie ciotki Matyldy.

– Odzew? Gadaj.

– Miałem odpowiedzieć, że ostatnio cierpi na ischias.

– Dalej!

– Wtedy przybysz miał powiedzieć: „Niech sobie przyłoży okład z gorczycy”, wtedy miałem mu dać klucz i o nic więcej nie pytać.

Po przesłuchaniu kapitan zrelacjonował rozmowę po polsku, bo Warkot słabo mówił po niemiecku.

– Widzisz, Janku – zagaił Kartoszka – hitlerowskie ścierwo, jak go przycisnąć, do wszystkiego się przyzna. Szkoda tylko naszego chłopaka.

– I co teraz, panie kapitanie? Niewiele nam to dało, a tylko chłopaka zastrzelili.

– Wojna trwa nadal, Janku, i będzie trwała jeszcze długo, wspomnisz moje słowa. Wieziemy klucz i dziada do sztabu. Może dla przykładu trzeba by też zgarnąć tę jego Helgę? Przydałoby się jej trochę uświadamiającej pracy...

– Nie ma sensu. Ona i tak będzie nas nienawidzić do końca życia. A fizycznie pracuje cały czas.

– Może i masz rację. Ubieraj się – rzucił po niemiecku do dróżnika.

– Za co, panie oficerze? Przecież wszystko powiedziałem!

– Nie gadać, ubierać się! Ale już!

Na te słowa szynkarka znikła w kuchni i po chwili wyłoniła się zza drzwi, trzymając lugera w dłoniach. Trzymała go niewprawnie, mierząc w prześladowców. Na jej twarzy triumfowała złość i zapiekłość. Teraz, kiedy mąż zdradził, mogła odpłacić tym słowiańskim przybłędom pięknym za nadobne. Za dwóch zabitych synów, za zamordowane nadzieje, za utratę wszystkiego, co było jej drogie w życiu. Wycelowała pistolet prosto w kapitana, który zbladł i przełknął ślinę. Nie spodziewał się takiego aktu desperacji po tej podstarzałej Brunhildzie.

Padł głośny strzał. Kapitan zgiął się wpół i spadła mu czapka. Warkot błyskawicznie podniósł trzymaną w dłoniach pepeszę i puścił serię. Niemka padła na drewnianą podłogę jak ścięty chojak. Luger wypadł jej z dłoni.

Dróżnik przypadł do żony i zaczął lamentować po swoim. Wojna zabrała kolejną ofiarę w jego rodzinie.

Kapitan leżał na ziemi i dogorywał. Wyciągnął rękę w stronę Warkota.

– Pamiętaj, Janku, opowiedz, jak było. Słowo w słowo. Pamiętaj... Wcisnął mu klucz w dłoń.

Znieruchomiał. Warkot odsłużył swoje na wojnie, wiele widział, ale nigdy nie był świadkiem tak bezsensownej tragedii. Dużo łatwiej strzelało się do regularnego wojska niż do cywilów. Tylko zaklęty w drewnie posążek Liczyrzepy, Ducha Gór, równie przyjazny ludziom, co wrogom, zdawał się uśmiechać złośliwie, jakby sam to wszystko zawczasu ukartował.

Wojskowy gazik wiozący rozpaczającego więźnia i dwa trupy odjechał w dolinę. Karczmarką zajęli się sąsiedzi. Chmury nad górami poczerniały jeszcze bardziej i po chwili zaczął padać śnieg, jakby kostucha w Karkonoszach nie nasyciła się jeszcze swoją władzą nad rodzajem ludzkim.





ROZDZIAŁ PIERWSZY

...stalowe, cienkie ostrze...

Nieznajomy nie spieszył się. Miał w końcu cały dzień na wykonanie zadania. Pośpiech w tej delikatnej materii nie był wskazany. To on właśnie gubi ludzkość. Człowiek z reguły najpierw coś robi, a potem zaczyna myśleć. I później ponosi konsekwencje nieprzemyślanych działań. Jakże wszystko jest prostsze, kiedy się sprawę dokładnie przemyśli, zaplanuje, dopracuje, zupełnie jak w jego ukochanych szachach.

Niewprawy gracz widzi tylko figury poustawiane na czarno-białych polach. Nie dostrzega zagrożeń, potencjalnych pułapek zastawianych na niego przez wytrawnego przeciwnika. Mówiono, że mistrzowie przewidują do kilkunastu posunięć w jednej partii. Oczywiście, kiedy pionki są już porozstawiane, tworząc zasłonę dymną, tak że przeciwnik nie zauważa, gdy istotne figury poruszają się niepostrzeżenie za nimi. O jedno, dwa pola, najwięcej. Żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Nieznajomy uśmiechnął się do swoich myśli. Zadanie było trudne, ale przecież nie było niemożliwe do wykonania. W końcu to tylko ludzie. Z ludźmi można sobie poradzić. Gorzej z techniką. Ale na całe szczęście technika na wysokim poziomie była jeszcze w powijakach. Wystrzelono, co prawda, sputniki i mówiono, że wkrótce człowiek polecą w kosmos, ale w codziennym życiu technologia wciąż nie wykraczała poza poziom komplikacji silnika czterosuwowego. W gospodarstwach domowych szczytem marzeń była lodówka igloo, elektryczne żelazko, radio czy telewizor. Drogie, zawodne przedmioty zbytku.

Ludność obrastała w piórka i dało się to zauważyć. Szarobure stroje epoki kultu jednostki zaczęły ustępować przed kolorowymi szmatkami zza oceanu, nie wiedząc jakim sposobem zwożonymi tu na rozmaite targi i place. Latem pojawiały się hawajskie koszule w palmy, a zimą puchowe kurtki. Siermiężność i szaroburość, choć wciąż obecna na ulicach dolnośląskiej stolicy, bladła, kuliła się i milkła w obliczu zawadiackiej, barwnej fanfaronady ciuchów z cywilizacji, w której panował ucisk mas

i nierówność społeczna. W której bito pałkami strajkujących robotników, jednakowoż było ich stać na samochód, żeby dojeżdżać nim do pracy ze skromnych domków na przedmieściach wielkich miast. Coś za coś. Albo wolność, albo dyktat kapitału.

Wiadomo, że wolność była okupiona krwią mas pracujących. Korea, Chiny, Bliski Wschód to tylko kilka ognisk zapalnych, w których internacjonalizm wygrywał z kapitalizmem. Bo kierunek jest słuszny i należy podążać tą drogą za wszelką cenę, choćby były ofiary, choćby szło się pod wiatr i pod górę, jak mawiał towarzysz Wiesław. Przecież wypuszczono niesłusznie skazanych, zerwano z kultem jednostki. Władza nie mogła jednak dopuścić do tego, żeby społeczeństwo zachłysnęło się wolnością. Nie jest dana na zawsze, a wróg czuwa. To zadaniem władzy było tonowanie co niektórych gorących głów gotowych wydać społeczeństwo na żer zachodnich ośrodków imperialistów i podżegaczy wojennych.

Czułość przede wszystkim. Czułość i planowanie. Jak w szachach. Goniec bije wieżę, szach i mat.

Nieznajomy ocknął się z rozmyślań. Jego gość był punktualny jak zawsze.

– Dzień dobry panu. Nie spóźniłem się?

– Nie, siadaj. Co nowego?

– Zrobiłem tak, jak mi pan kazał. Oni jeszcze nie wiedzą, o co chodzi, ale wszyscy są gotowi.

– Nie wprowadzałeś w szczegóły?

– Jeszcze nie. Nie było rozkazu.

Nieznajomy pokiwał głową i zamieszał głośno herbatę w szklance. Z powidłami. Nauczył się tak pić na wschodzie.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, wzrokiem odszukując kelnerkę.

– Tak, poproszę. Może też herbatki.

Nieznajomy przywołał kelnerkę ledwo dostrzegalnym gestem. Zjawiła się natychmiast, wiadomo – stały klient.

– Pani Krysiu, jeszcze jedną herbatę dla kolegi.

– Już lecę, panie inżynierze.

Nieznajomy wbił spojrzenie jasnoniebieskich oczu w siedzącego przed nim mężczyznę lat około czterdziestu, osobnika korpulentnego i dość schludnego. Nie lubił flejtuchów, dlatego skrzywił się, widząc lekką żalobę za paznokciami gościa. Ten dostrzegł to i schował dłonie pod obrus. Znał przyzwyczajenia i fobie starego, więc zrobił wszystko, żeby odwrócić jego uwagę od tej niezręczności.

Dochodziło południe. W tej nowej wrocławskiej kawiarni przy stolikach siedzieli już stali bywalcy. Nieznajomy dostrzegł znanego adwokata, ze dwóch dziennikarzy, którzy przysiedli na poczęstunek oraz jednego takiego, który przyszedł tu celem zniwelowania skutków szampańskiego wieczora. Oczy podkrążone, krawat przekrzywiony, koszula wczorajsza. Nieznajomy ze wstrętem odwrócił wzrok. Prędzej umarłby, niż by miał wyjść w takim stanie z domu. Jak cię widzą, tak cię piszą. A on wołał, żeby i widzieli,

i pisali o nim jak najmniej.

Jego gość, Bartłomiej Socha, nie był jakimś specjalnym orłem. Ot, chodząca przeciętność. Posiadał jednak niezwykle bystry umysł oraz pewien rodzaj ludowego sprytu, który pomógł mu przejść w miarę bez szwanku okres kultu jednostki w firmie. Nieznajomy wyłuskał go z całego biurokratycznego sztabu, armii gryzipiórków i sadystów, robiąc z niego wywiadowcę pełną gębą. Ale właśnie owa powierzchowna przeciętność była jego największym atutem. Był człowiekiem nierzucającym się w oczy, zdolnym rozplątać się w tłumie, w którym potencjalny świadek nawet obdarzony przez Naturę najbardziej wyostrzonym zmysłem obserwacji nie był w stanie go dostrzec i zapamiętać. Ot, pewnie urzędnik, jakich tysiące, pomyślałby kto.

Do tego sumiennie wykonywał polecenia przełożonego. Co do joty. Było to niezwykle ważne w tej sprawie powierzonej mu przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, bo też sprawa była niezwykle zarówno pod względem wagi państwowej, jak i potencjalnego oddźwięku. Dlatego sam minister powierzył ją właśnie jemu.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Gdybyż tylko towarzysze w Warszawie wiedzieli, jak to wszystko zaplanował, nie byłiby zadowoleni. Nieznajomy w skrytości ducha preferował ucisk i nierówność społeczną w dobrobycie niż wolność i internacjonalizm w Polsce Ludowej. Z początku toczył boje sam ze sobą w zaciszu komfortowego nowocześnie urządzonego mieszkania na Sępólnie. Mieszkał sam, od czasu do czasu tylko zapraszając do siebie kobiety, byle nie na długo, żeby się nie przyzwyczajały.

Kiedy uporał się z aspektem moralnym całego przedsięwzięcia, kiedy rzeczowo wyjaśnił sobie, dlaczego musi postąpić tak, jak zaplanował, wszystko poszło jak z płatka. Miał ludzi i środki do realizacji planu, a usłużna władza ludowa dostarczyła mu w swej naiwności stosownych pełnomocnictw. Teraz wystarczyło tylko puścić w ruch precyzyjną maszynę aparatu władzy. Siedzący przed nim Socha był jej niczego nieświadomym trybikiem, który na dodatek miał ponieść za to pełną odpowiedzialność.

„Pij sobie, pij – pomyślał w duchu. – Tyle twego”.

Zmrużył oczy, odczekał chwilę, aż herbata przestygnie i zaczął mówić ściszym głosem, wydając podwładnemu polecenia.

– No niech ja skonam, Janku kochany! – wykrzyknął jak zwykle emocjonalny Zdzisław Kapusta.

– Aleś pan nawywijał, panie majster. – Warkot wcale nie był zły, udawał tylko, bo Kapusta był jego przyjacielem i powiernikiem od dawna. – Nie mogliście poczekać z rozruchem tego cudeńka?

– Sam wiesz, dyro naciskał i naciskał, to zakasaliśmy rękawy i wzięliśmy się do roboty.

– Tak i przyśrubowaliście podajniki tak, że teraz żaden diabeł tego nie odkręci.

– Ale tak mi ten inżynierek kazał, żebym tu miał skonać! Elegancik z Kostomłotów.

– Trzeba się było zapytać, skonsultować... – Nowy główny technolog wrocławskiej

drukarni, Jan Warkot, wciąż jeszcze za bardzo się wszystkim przejmował.

– Ja już się wystarczająco konsultuję z moją. „A co ci ugotować Zdzisiu”, mówi. „Ogórkową czy pomidorową?”, pyta mnie. „A może szczawiu byś narwał na zupę? Szczaw na nasypie, mirabelki z parku na kompot!”. A co ja się na chłopca szkolilem? Zbieractwo to było w jakichś tam starożytnych kulturach, jak mi Marlenka czytała. I tak źle, i tak niedobrze. Bez baby źle, a z babą jeszcze gorzej. Żył sobie człowiek spokojnie, gołnął coś przy sobocie, na partyjkę wyskoczył z kolegami. Amorów mi się zachciało! No to mam teraz za swoje: kult jednostki z rewolucjonistki zrobił mi kurę domową. „Tylko nie zapomnij śmieci wyrzucić”, mówi.

Marlena Kuchta-Kapusta, obecnie już żona pana Zdzisława, majstra drukarskiego, była nauczycielką w szkole podstawowej i najwyraźniej miała za dużo wolnego czasu.

Warkot parsknął śmiechem. Kochał Zdzisława niczym starszego brata, poza tym łączyła ich wspólna, niezwykle tajemnicza sprawa sprzed kilku lat, która i tak do końca nie została rozwikłana. Tworzyli razem ze Zdzisławem Kapustą i ze śledczym Stefanem Gromiłem, obecnie kapitanem Milicji Obywatelskiej, oraz pewnym jegomościem – o którym na razie cicho sza! – tajną grupę do walki ze złem: Bractwo Wrocławskie. Była to organizacja nieformalna, nie rozpowiadali o niej, bo wiadomo – kto mniej wie, krócej będzie przesłuchiwany.

– Janku, nie ma sprawy. Odkręcę to cholerstwo, daj mi tylko kilka godzin. Nie ma takiej śruby, której ta rączka by nie odkręciła. – Majster zaprezentował muskularne, żylaste ramię.

– A co poza tym u Marlenki? – zapytał pojednawczo Warkot.

– Doktorat robi, phi! Sprawdza po nocach kajety tych urwisów i stara się im wtłoczyć do głów, że BÓL pisze się przez U zamknięte. Nie zawsze dociera.

– To trudne i odpowiedzialne zadanie.

– Żebyś wiedział. Oni tylko ciągiem po podwórkach ganiają i strzelają do siebie z drewnianych karabinów zza węgła. Nauka im nie w głowie.

– Strach pomyśleć, co byłoby gdyby dać im prawdziwą broń do ręki.

– Wypluj to słowo, Janku. Ja tam bym im grabi do ręki nie dał!

– No dobrze, panie Zdzisławie. Więc naprawi pan ten złom?

– Oczywiście, że naprawię. Nie ma sprawy.

Rozmawiali ze sobą tak, jakby nie widzieli się kilka miesięcy, choć w rzeczywistości ledwo dwa dni temu byli gośćmi u Stefana Gromiła w jego mieszkaniu na Szewskiej. Stawili się w komplecie: Zdzisław Kapusta z żoną Marleną, profesor Ochocki, sam, bo żonę coś głowa bolała, Jan Warkot z żoną Barbarą, która awansowała w medycznej hierarchii, kończąc z dyżurami na pogotowiu i przechodząc do klinik pod skrzydła znanego profesora od chirurgii miękkiej. Idylla. Żartowali i przegadywali się do późna, wzbudzając oburzenie sąsiadów.

Sąsiedzi. Niech się cieszą, że nikt na waltorni na balkonie nie grał po nocy.

Mama Stefana jak zwykle przysłała kilka butelek zacnych nalewek – na zdrowie

syna! Oraz przepyszne konfitury malinowe. Dobrze mieć zaplecze. A synuś taki mizerny, tak ciężko pracuje, tak się angażuje.

Stefan Gromił był niezwykle porządnym człowiekiem z kośćcem moralnym niespotykanym w tych trudnych czasach. Całkowicie poświęcał się pracy i często był gościem we własnym domu. Był też przyjacielem Warkota jeszcze z początku lat wielkiego terroru, kiedy we Wrocławiu panował się wszechwładny pułkownik UB Podatny. Razem wpadli na trop niezwyklej zagadki, której rozwiązanie mogło się skończyć dla wszystkich tragicznie. Była to ich wspólna tajemnica, której szczegółów nie zdradzali nawet żonom. W domu powieszzonego nie mówiło się o stryczku.

Raz na jakiś czas Gromił i Warkot spoglądali po sobie znacząco, spodziewając się pojawienia ostatniego z członków Bractwa Wrocławskiego. Na próżno.

– Może chory? – zapytał półgłosem Janek.

– Kto taki? – zainteresowała się Marlena.

– Leon? Coś ty. Jak chory? Na zapalenie chyba... – odezwał się Stefan.

– No nie wiem, może ma jakieś swoje sprawy – zamyślił się Janek.

– Na zapalenie, a to dobre – roześmiał się Zdzisiek.

– Stęskniłeś się za starym łotrem, przyznaj się – powiedział Stefan.

– Tak, przyznaję, brak mi jego cynizmu i jego ciętego języka – uśmiechnął się Zdzisiek.

– Leon nie jest cynikiem – uśmiechnął się Janek. – To tylko taka poza.

– Wiem przecież. To, że tak powiem, dusza człowiek.

– Ha, ha! – roześmiali się Janek i Stefan.

– Z czego się tak cieszycie, możecie się podzielić? – zapytała Marlena, wsuwając do ust kawałek cudem zdobytej polędwicy. Cud polegał na tym, że odnalazła się w uspołecznionych sklepach, chyba jako środek na poprawę nastrojów społecznych. Powinna być na receptę.

– A nic tak – powiedział Janek. – Rozmawiamy o Leonie.

– No właśnie, co z nim? Nie widziałam go ostatnio.

– Marlenko, serce ty moje, lepiej się o niego nie dopytuj – zaczął ostrożnie Zdzisiek.

– Dlaczego, przecież to bardzo sympatyczny starszy pan, no i wasz kolega. – Marlena wiedziała tylko tyle, ile powinna.

Profesor Ochocki uśmiechnął się półgębkiem, bo znał prawdę.

– Nie wiem, pewnie da znać, jak się pojawi we Wrocławiu – Stefan zakończył rozmowę na śliski temat.

– Basiu, opowiedz im o swoim dniu pracy, to im przejdzie ochota do żartów – wtrącił się Janek.

– Nic ciekawego. Dwie przetoki, wyrostek, takie tam. – Niewysoka blondynka, doktor Barbara, jak na nią mówili w pracy, była równie skryta, co jej bardzo daleki kuzyn, nieobecny Leon Słupecki.

– Żadnych pijawek, utaczania krwi i ziołolecznictwa? – dopytywał Janek.

- Medycyna idzie naprzód. Z pijawkami skończyliśmy już dawno.
- Żebyś wiedziała, dziewczyno, żebyś wiedziała – rzucił Stefan do własnych myśli.
- Nie mówcie o pracy, proszę was – poprosiła Marlena.

Tylko secesyjny maszkaron za oknem na fasadzie budynku na wprost wykrzywił się zgryźliwie. Najwyraźniej wiedział coś więcej i liczył na kontynuację przerwanych wątków w innych okolicznościach. Wrocław powoli zasypiał, choć światło u Gromiła paliło się jeszcze długo w nocy.

W odległej dzielnicy, daleko poza centrum, gdzie wciąż jeszcze leżały zwały gruzu pośród rozległych terenów zielonych, rozległ się rozdzierający krzyk. Mocne ramiona w żelaznym uścisku zakleszczyły szyję ofiary, unieruchamiając ją całkowicie. Stalowe, wąskie ostrze wbiło się z całym impetem w zagłębienie nad obojczykiem. Śmierć przyszła niemal natychmiast. Ciało mężczyzny w ciemnym prochowcu zwiotczało i osunęło się bezwładnie na resztki chodnika.

Napastnik przeszukał kieszenie ofiary. Nie znalazł tego, czego szukał. Po namyśle zabrał portfel i zegarek.

„Będzie na jakiegoś zbója” – pomyślał.

Morderca poruszał się jak cień. Miał wprawę. Poza tym w tych okolicach krzyki wciąż były na porządku dziennym, czy też raczej nocnym. Okolica nieprzyjazna i – co tu dużo mówić – odludna. W którymś z okien zapaliło się jednak światło, więc napastnik czmychnął, bezszelestnie znikając w pobliskich zaroślach. Na popękane płyty chodnika zaczęła się wylewać krew, tworząc wielką kałużę.

Wyraz przerażenia na obliczu ofiary sprawił, że Waclaw Podpuszczka, piekarz, który odnalazł ciało, odruchowo krzyknął. Widywał trupy, ale nigdy tak powykrzywiane. Na widok zdeformowanej w przedśmiertnym spazmie twarzy włosy stanęły mu dęba. Świtało już, kiedy przyjechała milicja. Kapral z patrolu nie miał waleriany, więc musiał uspokoić świadka metodami tradycyjnymi.

– Dajcie już spokój, bądźcie mężczyzną – powiedział.

I jak zwykle nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

Księżę Małe wstawało do pracy i zaczęły kursować pierwsze tramwaje. Ciekawscy przechodnie przystawali, bo była to w końcu jakaś sensacja. Swojskie: „Obywatele, proszę się rozejść!”, nie raz, nie dwa, studziło ludzką ciekawość.

Wśród gapiów przystanął wysoki mężczyzna o siwych, krótko ściętych włosach. Oczy zimne jak lód rejestrowały całą scenę. Milicja, gapie, trup na ziemi, tramwaj zbliżający się ze zgrzytem kół na pobliski przystanek. Dłoń w rękawiczce trzymana w kieszeni mocno zacisnęła się na rękojeści długiego noża o wąskim ostrzu. Trzeba zacząć polowanie na szeroką skalę, bo tamci ich uprzedzą.

Okrutny uśmiech skrzywił wąskie usta mordercy. Mogą sobie szukać. Tylko on wiedział, gdzie to jest. Potrzebował tylko jednego. Ale i tak wymagało to nieco zachodu. Postawił kołnierz ciemnego prochowca, chroniąc się przed październikowym chłodem i odszedł jak gdyby nigdy nic. Tramwaj wtoczył się na przystanek. Było

jeszcze wcześniej, więc zabrał tylko grupkę ludzi. Morderca wsiadł wraz z nimi do wozu i starannie zamknął przesuwane drzwi.





ROZDZIAŁ DRUGI

...na nos...

Jesień przyszła wyjątkowo wcześnie tego roku. W mieście, podobnie jak w całym kraju, wciąż kwitła wolność na fali zeszłorocznej październikowej odwilży. Więźniowie, jak to mówili, niesłusznie oskarżeni, wracali do domów po amnestii. Tysiące ludzi, którzy niejednokrotnie przesiedzieli kilka lat w celi śmierci byli oczyszczani z zarzutów, choć o tych straconych jakoś się głośno nie mówiło. Widocznie zasłużyli.

Pomimo wysiłku sprzątających ulice i posesje wszędzie było pełno liści. Wrocław, choć bardzo zniszczony, wciąż był miastem zielonym jak mało które w Polsce. Słowiki na tramwajowych przystankach, które jeszcze na wiosnę śpiewały na całego, teraz jakoś stuliły karnie dziobki, czekając, aż minie ten nieprzyjazny dla nich okres. Rozpanoszyły się za to krukowate, którym jesienna aura najwyraźniej sprzyjała – czuły się w swoim żywiole, wpisując się w jesienną szarówkę i ogólny nastrój dekadencji. Siwe wrony przyleciały skądś, gdzie było chłodniej i objęły w posiadanie parki i dachy. One też szykowały się do zimy.

Inkasenci z gazowni i elektrowni krążyli po mieście niczym stado drapieżnych ptaków, bo nadchodził sezon grzewczy i trzeba było sprawdzić liczniki. Na uczelniach Wrocławia zaczął się kolejny rok i świeżo upieczeni abiturienti wciąż cieszyli się z tego, że dostali się na studia, choć w rzeczywistości nic nie wiedzieli o prawdziwej nauce. Przekonają się przy pierwszej sesji, że to nie wyłącznie zabawa i życie studenckie, ale ciężka praca, która jedynie najzdolniejszych nagradza dobrymi ocenami i przywilejami. Większość wciąż jeszcze radowała się swobodą w akademikach i wrocławskich klubach.

Żyli skromnie, ale z fantazją, bo oto pojawiły się nowe prądy i w życiu codziennym odchodzono od sztywnej, stalinowskiej musztry. Organizowano wieczorki i potańcówki. Jazz wybuchł ze zdwojoną siłą nieskrępowany już pod baczным okiem internacjonalów. Zaczęły działać pierwsze teatry studenckie zwiastujące nadejście

nowego pokolenia, które wojnę i okupację pamiętały jak przez mgłę. Owszem, wciąż było jej pełno, bo na wrocławskich budynkach i placach pełno było śladów po kulach, ale przestawano rozpamiętywać wojenną zawieruchę.

W piwnicach walał się sprzęt w postaci masek przeciwgazowych, części umundurowania i odznaczeń niezwyciężonej Tysiącletniej Rzeszy. Dzieci miały używanie, choć nikt w tych zabawach nie chciał być hitlerowcem. Ale ktoś musiał. W końcu nie można było strzelać do siebie. Tak było przynajmniej w założeniu. Przy pomocy rozmaitych wyliczanek typowano niechętnych kandydatów na Niemców i ci, chcąc nie chcąc, musieli za nich robić. Bo przecież wiadomo było, kto wygrał, a kto przegrał. Starsza dziatwa przechodziła do o wiele bardziej emocjonującej zabawy w doktora, co świadczyło tylko o postępującej normalizacji stosunków międzyludzkich.

Z Rynku zaczęły znikać drewniane rusztowania, bo większość budynków została odtworzona zgodnie z przedwojennymi planami. Działała też stacja paliw CPN będąca po architektonicznych poprawkach karykaturą dawnego, przedwojennego, eleganckiego budynku. Finezyjne modernistyczne zdobienia, piękne w swej prostocie, pokryto warstwą siermiężnego tynku. Samochodów było coraz więcej, więc miała dużo klientów. Na placu Kościuszki pyszniła się Kościuszkowska Dzielnica Mieszkaniowa – wytwór nowej architektury z małymi mieszkankami i potężnymi klatkami schodowymi, w których zgodnie z planem miały kursować windy. Wind z nieznanых przyczyn nie założono, działały natomiast zsypy na śmieci, karmiąc hordę gryzoni i innego miejskiego tałatajstwa. Na parterach bloków zagościły restauracje i sklepy. Modna pani domu mogła kupić stylowy flakon albo laleczkę w stroju łowickim. Otworzyły też swoje podwoje delikatesy w domu handlowym PDT. Po mieście kursowały tramwaje, autobusy i taksówki, można się więc było przemieszczać bez przeszkód.

Jan, zgodnie z obietnicą dyrektora, dostał dwupokojowe mieszkanie pod numerem 1 właśnie na placu Kościuszki. Wprowadził się tam ze świeżo poślubioną żoną Basią i nawet założyli mu telefon. Był w końcu teraz głównym technologiem ważnej drukarni i musiał mieć kontakt z zakładem. Wydarzenia sprzed sześciu lat pozostawiły w nim nieusuwalny ślad, jakąś drzazgę, której nie dało się wyciągnąć. Często pogrążał się w myślach, dumając nad światem i naturą ludzką, choć rozpromieniał się zawsze, gdy żona pytała, czemu jest taki markotny.

Rok temu wszystkich opanował październikowy entuzjazm przygaszony nieco węgierskim kubłem zimnej wody, kiedy to organizowano dostawy środków medycznych i krwi dla walczących z Ruskimi Węgrów. Na uczelniach działały wtedy specjalne komórki odpowiedzialne za zbieranie darów. Dla Węgrów rewolucja, czy też jak chciała propaganda, kontrrewolucja skończyła się tragicznie. Pozostawiła po sobie tysiące ofiar i ranę, która długo jeszcze będzie się jątrzyć. Nie wyleczyli też swojej „gorączki dzwonka do drzwi”, czyli obawy przed domowym najściem organów bezpieczeństwa.

– Zbierasz się do pracy? – zagadnęła go Basia, odrywając się od książki.

- Tak, muszę już iść. – Warkot miał do pracy ledwo kilka kroków na Oławską.
- Nie zapomnij drugiego śniadania.
- Nie zapomnę.
- Stało się coś?
- Nie, tylko odwiedził mnie duch z przeszłości.
- Z wojny?

Warkot nie odpowiedział, bo przypomniał sobie powojenne czasy, kiedy gonił szabrowników i Werwolf na Dolnym Śląsku.

„Wtedy wszystko było proste – pomyślał, ale zaraz się poprawił: – Nie, wcale nie”.

Przypomniała mu się jatka w Bierutowicach. Z jaką nienawiścią patrzyła wtedy na nich ta Niemka. Ile trzeba było determinacji, żeby wycelować pistolet w umundurowanego żołnierza. Tłumaczył się wtedy gęsto, a dróżnika wzięli inni w obroty. Mosiężny klucz zniknął gdzieś w przepastnym zbiorze dowodów rzeczowych. Tak mu się przynajmniej wydawało. Ciekawe, o co chodziło z tym transportem? O złoto? Archiwum III Rzeszy? Bursztynową Komnatę? V3?

W pałacyku nieopodal tego miejsca bawiła cała elita hitlerowców z Adolfem włącznie. Właścicielem był Göring, który miał rozliczne posiadłości i wille w całej Europie. Tam w Karpaczu mieszkał w dużym domu myśliwskim, który jakimś cudem przetrwał wojnę, choć ponoć teraz ogrodzili go drutem kolczastym, żeby nikt obcy się nie pałętał. Piękna lokalizacja, widok na całą okolicę, świeże powietrze. Zbytek i przedwojenny luksus.

„Ech, niektórzy to mają życie” – westchnął i choć bardzo lubił swoje mieszkanie, to tęsknił podświadomie za pokojem na poddaszu w poniemieckiej willi na Krzykach, który kiedyś zajmował na studiach. Ciekawe, co z panem Dziurmanem? Musiał koniecznie odwiedzić dawną gospodynię, panią Genowefę Dziurman, i pogadać o starych czasach. Tam jest tak pięknie. Park, drzewa i staw. Zamyślił się.

„Studenckie lata już nie wrócą, ale mam moje szczęście” – pomyślał, spoglądając z miłością na żonę.

Dopił herbatę, wstał, poprawił krawat, wziął teczkę i pocałował Basię na do widzenia.

– No to idę.

Wyszedł z domu cicho, zamykając za sobą drzwi.

Gromił zaspą haniebnie. Zwykle mu się to nie zdarzało, ale dni stawały się coraz krótsze i organizm wypoczywał po intensywnym, letnim nasłonecznieniu. Kiedy zjawiał się w komendzie, już na niego czekali. Pułkownik Jacek Horeszko, jego bezpośredni przełożony, szef pionu śledczego na Dolny Śląsk. Do tego jeszcze jakiś wysoki, krótko ścięty mężczyzna po cywilnemu, i trzeci, z twarzy niepodobny do nikogo.

W gabinecie szefa stały szafki z segregatorami i szufladami na akta. Szafa pancerna była uchylona, więc najwyraźniej pułkownik pracował od rana. Oczy wszystkich

zwróciły się na zdyszanego Gromiła.

– Dzień dobry, Stefan. Miło, że się wypałeś – rzucił Horeszko. – Niestety nie wszystkim to się udało.

– Cóż, ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś... – zaczął Gromił, ale przerwał, bo rzadko okazywał zażyłość z pułkownikiem przy obcych.

– To jest major Zenon Kalamatas z Urzędu Bezpieczeństwa oraz starszy sierżant Bartłomiej Socha. Major Kalamatas ma pełnomocnictwa od samego ministra.

– Tak, domyślam się – rzucił cierpko Gromił, bo już to kiedyś przerabiał.

– Poprosiliśmy pana pułkownika o pomoc w pewnej sprawie – zaczął Kalamatas. – Od jakiegoś czasu mamy na Dolnym Śląsku problem z działaniami obcego wywiadu. Przyjeżdżają, infiltrują, robią zdjęcia, zapisują...

„Drań pierze i haftują jak Koło Gospodyń Wiejskich” – chciał dokończyć Gromił, ale ugryzł się w język.

– Ale to przecież leży w gestii kontrwywiadu.

– Coś ty, Stefan, taki w gorącej wodzie kąpany – wtrącił się Horeszko. – Poczekaj, aż pan major dokończy.

– Otóż owi agenci popełniają pospolite przestępstwa – kontynuował Kalamatas – żeby ukryć właściwe cele i intencje. My nie mamy możliwości śledzenia ich poczynąń w tym względzie. Wiele dobrego słyszeliśmy o was, towarzyszu ...

– Hmm – Gromił chrząknął znacząco.

– A tak, nie jesteście w partii, zapomniałem. Ale wzorowy z was, sprawdzony funkcjonariusz, to wiemy na pewno. Czytałem akta, pochwały. Wiemy, że i tak to, co najważniejsze, nie jest wpisywane do akt. Popytaliśmy więc...

– Aż się boję usłyszeć, czego się pan major dowiedział – powiedział Gromił.

– Proszę się nie niepokoić – uśmiechnął się Kalamatas.

Stefan jeszcze raz pomyślał, że nigdy, przenigdy nie chciałby trafić pod lampę na przesłuchaniu u tego człowieka. Jego uśmiech przypominał szczerzącego się do ofiary rekina. Nawet pułkownik Podatny był przy tym okazie zwykłym safandulą.

– Chodzi nam o to – mówił dalej major – żebyście byli naszym człowiekiem w kryminalnej. Sami wiecie, że u milicjanta wielką rolę odgrywa też instynkt, nos czy jak to tam zwać. Jeśli natraficie na sprawę, w której pozornie wszystko jest jasne, ale coś wam podpowiada, że jest tam drugie dno, dawajcie od razu znać. Meldunek trafi bezpośrednio do mnie z pominięciem drogi służbowej. – Tu zerknął pojednawczo na Horeszkę. – A my już będziemy wiedzieć, co z tym fantem zrobić.

– Chodzi o coś konkretnie, obywatelu majorze? – zapytał Gromił.

– Mam krótką listę osób. Jeśli jakieś pospolite przestępstwo będzie związane z którąś z nich, chcemy, żebyście meldowali. To nie musi być ofiara, może być na przykład świadkiem przestępstwa albo jego krewnym.

Major podał Gromiłowi listę, a on uważnie ją przeczytał.

– Wszyscy mają dość dziwne nazwiska – zauważył.

– No właśnie. To są osoby, które urzędowo zmieniły nazwiska. Nie wszystkie, ale większość. Tu macie drugą listę z ich prawdziwymi nazwiskami. – Major podał kolejną kartkę.

– Ożeż, to wygląda jak spis batalionu Volkssturmu.

– Trafił pan w samo sedno, kapitanie, w samo sedno.

– I to oni szpiegują? Nie obserwujecie ich?

– W tym sęk. Ponad połowa tych osób zniknęła.

– W Polsce Ludowej? Niemożliwe.

– Jesteście uszczypliwi, kapitanie. Zdajemy sobie sprawę, że było wiele wypaczeń, ale przecież działamy i usuwamy skutki minionego okresu. Chodzi o to, że wywiadowcy, którzy za nimi łazili, meldują, że nagle jakby zapadli się pod ziemię. Teraz oczywiście pilnujemy pozostałych jak jastrzębie, ale kto wie, co będzie dalej. Daliśmy ekipę najbardziej doświadczonych chłopaków, ale są sposoby... Jak ktoś się postara, to zniknie najlepszemu wywiadowcy. Nie będę wam zaprzętał głowy szczegółami.

Gromił porównał jeszcze raz obie listy.

– Wszyscy mężczyźni – dodał major. – Lat od trzydziestu do pięćdziesięciu. W czterdziestym piątym byli w wieku poborowym.

– Znaczący Niemcy zostawili ich tutaj? – zapytał Gromił. – Jako krety?

– Widzę, że opinie o was nie były ani trochę przesadzone. Ze spokojem powierzam wam tę sprawę. – Kalamatas znów uśmiechnął się szeroko.

– Panie pułkowniku – Gromił zwrócił się do przełożonego – a sprawa tych zabójstw w ruinach? Mam to zostawić?

– Sprawę przejmuje porucznik Jaszczuk.

– No dobrze. W takim razie proszę o przydzielenie mi do pomocy sierżanta Kuźniaka.

– Oczywiście. Wiem, że doskonale się sprawdza. – Przełożony Gromiła zerknął na niego z ukosa.

– Jeszcze jedno: jakie mam prerogatywy?

– Macie nasze pełne błóg... nasze pełne poparcie – powiedział Kalamatas. – Gdyby ktoś stawał okoniem i robił trudności, to proszę do mnie walić jak w dym. Załatwimy sprawę. Aha, jeszcze jedno. Deleguję od nas sierżanta Sochę do pomocy.

„No tak, nie mogło być zbyt pięknie” – pomyślał Gromił.

– Nie ufacie nam? – najeżył się pułkownik Horeszko.

– Towarzyszu pułkowniku – major Kalamatas uśmiechnął się promiennie – przecież robimy tak naprawdę w jednej firmie. A co dwie, o pardon, trzy głowy, to nie jedna. Sierżant jest wprowadzony w sprawę i może być bardzo pomocny. To również świetny wywiadowca, ręczę za to. No to czas na mnie.

Major Zenon Kalamatas podał rękę pułkownikowi i kapitanowi, który zauważył, jak mrugnął znacząco do sierżanta Sochy.

– No to co? – Pułkownik Horeszko zatarł dłonie po wyjściu majora. – Bierzcie się panowie do pracy.

Gromił przyjrzał się uważniej przydzielonemu sierżantowi i pomyślał: „W co ty się znów Stefek ładujesz?”.

Fosa ciągnęła się szerokim łukiem od placu 1 Maja i szpitala, zakolem przy Dworcu Świebodzkim, pospiesznie omijała budynek UB, który bardziej przypominał siedzibę jakiegoś wampira, po czym opływała dawny Bastion Sakwowy, zwany później Wzgórzem Partyzantów, i kończyła się niewielką zatoczką przy gmachu Muzeum Narodowego z jednej strony i Wzgórzem Polskim, czyli dawnym Bastionie Ceglarskim, z drugiej. Swoim dobrotliwym, niemal matczynym uściskiem przytulała do siebie całe Stare Miasto.

Fosa była świadkiem wielkich zmian jeszcze w pruskim Breslau. Stanowiła ostatni dowód na to, że miasto niegdyś okalały mury obronne. Zjawiły się tu jednak wojska napoleońskie i wysadziły ten ostatni średniowieczny przeżytek, zostawiając jedynie fosę okalającą teren Starego Miasta zakolem w kształcie litery U łączącym się z Odrą. Zostały też ślady po dawnych bramach Wrocławia, od których pochodziły nazwy wrocławskich ulic – Oławska od wschodu, Mikołaja od zachodu, Świdnicka od południa i Odrzańska od północnego zachodu. Inne bramy miejskie, takie jak Piaskowa i Ruska, również rozebrano w 1807 roku na mocy edyktu nakazującego rozbiórkę fortyfikacji miejskich. Najwyraźniej Francuzi chcieli na przyszłość zaoszczędzić na amunicji artyleryjskiej i postanowili pozbyć się problemu raz na zawsze.

Po fortyfikacjach pozostał fragment grubego muru i ruiny, uszkodzonej podczas obrony Festung Breslau trzynastowiecznej baszty znajdującej się za Halą Targową. Postanowiono odbudować ten piękny obiekt i w tym roku rozpoczęto prace. Po zburzeniu bramy Świdnickiej w XIX wieku pozostał po niej ślad w postaci niskiego budynku Odwachu – dawnej siedziby posterunku straży miejskiej, której architekt nadał kształt neorenesansowej budowli w stylu florenckim. Bulwar zieleni biegnący wzdłuż fosy był od połowy XIX wieku terenem spacerów wrocławian, enklawą w centrum miasta dającą cień w upalne lata. Zagnieździły się tu ptaki, głównie kaczki, a powierzchnię wody pokryła roślinność. Wiekowe barierki, gdzieniegdzie mocno powyginane, były świadkami wielu oświadczeń i rozstań, bo otoczenie pięknych drzew sprzyjało szczerości młodych ludzi.

Za fosą oczyszczono plac z gruzów, ale wciąż nie wiadomo, co z nim zrobić. W 1938 roku odbył się tu wiec podczas Święta Sportu z udziałem największego malarza wśród kaprali. Za nim, w szczątkach dawnego budynku rozbudowanego Pałacu Królewskiego, znajdował się Klub Grecki. Do połowy lat 50. plac Wolności (a jakże!) nosił nazwę Bolesława Bieruta jak większość reprezentacyjnych obiektów na Dolnym Śląsku z uniwersytetem włącznie.

Morderca oderwał wzrok od postaci idącej drewnianą kładką w stronę Dworca

Świebodzkiego. Podobnie jak z zabitym nad ranem piekarzem nie zamierzał się spieszyć. Jak gdyby nigdy nic siedział na ławce obok Urzędu Stanu Cywilnego. Obserwowany zachowywał się niezwykle nerwowo. Co chwila oglądał się za siebie, jakby chciał zmylić pogonię, ale i tak przypominał zaszczute zwierzę. Morderca z ociąganiem, jakby ocknął się z krótkiej drzemki, wstał i powoli ruszył jego śladem. Zapowiadał się dobry dzień.





ROZDZIAŁ TRZECI

...nowe, uległe pokolenie...

Kapitan Gromił w milczeniu przeglądał odnalezione przez Sochę akta. Były tego ze dwie sterty, jedna większa od drugiej. Z fotografii patrzyły na niego posępne oblicza, zacięte miny. Na niektórych zdjęciach zobaczy tylko denatów na stołach sekcyjnych. Liczne zeznania zanotowane koślawym, niewprawnym pismem utrwalaczy władzy ludowej byłyby prawdziwym wyzwaniem dla wszystkich polonistów – trzeba było nie lada skupienia, żeby wyłowić z nich sens. W tych czasach znajomość gramatyki i ortografii były wyznacznikiem osoby wykształconej i każdy śledczy starał się, jak mógł, żeby sprostać tym niełatwym regułom. Jednak walka z analfabetyzmem była długa i mozolna. Gromił brnął przez zdania, starając się wyciągnąć z nich to, co najważniejsze.

Wszystkie akta osobowe i akta spraw kryminalnych miały jedną wspólną cechę. Osoby, których dotyczyły, oprócz kilku wyjątków, należały do ludności autochtonicznej mieszanego pochodzenia. Za czasów wojny Volksdeutsche zmieniali nazwiska, żeby brzmiały bardziej na germańskie, z kolei kiedy hitlerowcy przegrali, wielu Niemców przemianowało nazwiska na bardziej polskie. Wojna była w tym bardzo pomocna, bo wiele dokumentów zaginęło lub po prostu zostały zniszczone. Można było bez przeszkód cieszyć się anonimowością, choć niekoniecznie brało się to ze złych intencji. Ludzie chcieli spokojnie żyć nieobarczeni brzemieniem wcale nie tak odległej przeszłości. Chcieli cieszyć się szacunkiem sąsiadów i jak najszybciej zapomnieć o tym, co było kiedyś.

Nie wszyscy jednak. Trudno było uwierzyć w to, że w armii niemieckiej byli sami kierowcy, kucharze i zaopatrzeniowcy. Że nie uwiodła ich psychopatyczna charyzma Wodza. Postulaty były jak najbardziej słuszne – praca dla Niemców, koniec z obcymi wyzyskiwaczami i odwrót od hańbiącego traktatu wersalskiego.

Propaganda wbrew powszechnemu przekonaniu wciąż święciła triumfy. Odkryto nie

tak dawno, że ludność zachowuje się zgoła inaczej niż pojedynczy człowiek, dlatego należało zwrócić się do mas, żeby przekonać jednostki. Komuniści po wojnie posłużyli się tym samym propagandowym schematem zamkniętym w formie trzech pytań, na które obowiązkowa odpowiedź brzmiała „trzy razy tak”.

1. Czy jesteś za zniesieniem Senatu?

2. Czy chcesz utrwalenia w przyszłej Konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?

3. Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

Pytania były podchwytliwe, a wyborcy często ich nie rozumieli. Ponadto i tak zaangażowano specjalną grupę, która wbrew protestom zewsząd sfałszowała protokoły komisji wyborczych, bo wiadomo głosowanie głosowaniem, a sprawiedliwość dziejowa musi być po naszej stronie.

Zniesienie Senatu oznaczało utratę jakiegokolwiek kontroli nad wybranym w wyborach powszechnym Sejmem, gdzie posłowie głosowali tak, jak nakazywała obowiązująca linia partii. Poza tym Senat kojarzył się z sanacją, a wiadomo, z kim oni się kumali.

Większość była za reformą rolną, bo któż nie chce się wzbogacić czyjś kosztem? Kluczowe słowa w drugim pytaniu skupiały się we frazie: „ustawowe uprawnienia inicjatywy prywatnej”, ponieważ przepisy wykonawcze były tak restrykcyjne, że praktycznie uniemożliwiały prywatną inicjatywę. A jeśli już istniała, to domiary finansowe położyły niejedno dobrze prosperujące przedsięwzięcie.

Pytanie trzecie – no cóż, powstało, żeby zatrzeć w świadomości utratę Kresów Wschodnich. Co tam Podole, co tam Lwów, Stanisławów i Tarnopol, co tam Wilno... Nowe społeczeństwo miało uzyskać dostęp do Bałtyku i Śląska. Polska uzyskała Ziemie Zachodnie i Północne, zwane Odzyskanymi. I choć repatrianci zadomowili się w Szczecinie, Wrocławiu i Gdańsku, wciąż z uporem maniaka wspominali swoje dawne ziemie. Naprawdę trudno było tym ludziom dogodzić!

Ulica odpowiedziała na te trzy pytania w ten sposób: „Nawet osioł wie, że trzeba mówić NIE”. Ale ulica nie miała prawa głosu, bo nie po to wybrano naczelne władze partyjne i państwowe, żeby nieświadomieni Polacy tkwiący w sanacyjnym zaścianku jeszcze coś pyskowali.

Gromił zastanawiał się nad tym wszystkim, gdy nagle podskoczył jak rasowy koń dźgnięty ostrogą.

Janek!

Zobaczył znajome nazwisko i podpis pod protokołem przesłuchania świadka wydarzenia, które miało miejsce po wojnie w górskiej wiosce. Dotyczyło walk z Werwolfem i dramatycznego przebiegu spotkania, który doprowadził do śmierci kapitana LWP oraz żołnierza. Zginęła też podejrzana.

Gromił zagłębił się w lekturze, odruchowo gryząc obsadkę pióra. Zatrzymany Hans Müller po intensywnym śledztwie przyznał się do udziału w spisku przeciwko władzom wojskowym. Upierał się, że ktoś miał do niego przyjechać. Ktoś, kogo nie znał, bo przecież ustalono konspiracyjne hasło. Nie udało się też nic więcej z niego wyciągnąć na temat pociągu pancernego, który odprawiał jako dróżnik. Pociąg przepadł jak kamień w wodę.

Sierżant Jan Warkot był jedynym świadkiem całego zajścia. Po wszystkim został skierowany do garnizonu wrocławskiego, gdzie obserwowano go jeszcze przez jakiś czas. Nic się jednak nie wydarzyło, Warkot został po jakimś czasie zdemobilizowany i z rekomendacją szefa garnizonu zaczął studia we Wrocławiu. Nakazano mu tylko, żeby o wszystkim, włącznie z hasłem, zapomniał. I pewnie tak się stało, bo choć przyjaźnili się od dawna i wiele wspólnie przeszli, Jankowi ani razu nie zebrało się na wspominki z tamtych czasów.

Gromił zamknął wolno kartonową teczkę i sięgnął do kieszeni po papierosa.

Budynek był olbrzymi i do tego stary. Zbudowany w bawarskim stylu z drewna posiadał rozległy parter, na którym znajdowała się jadalnia, dwie sale konferencyjne, dwa marmurowe kominki. Na piętrze znajdowały się pokoje gościnne. Wokół piętra biegł szeroki, drewniany taras, z którego można było podziwiać piękno Karkonoszy. W pogodny dzień roztaczał się stąd widok na Śnieżkę i Kopę.

Z lewej strony budynku szumiał górski potok, a potężna drewniana i przeszklona weranda zachęcała do kontemplacji natury przy aromatycznej herbacie. Bury kocur, choć nie był smakoszem aromatycznego wywaru, położył się niemal na płask na drewnianym parapecie, kontestując jesienną rzeczywistość. Był tak zawzięty w swoim lenistwie, że nawet pięćdziesiąt parzeń earl greya nie byłoby go w stanie oderwać od tej czynności. Parzenie, jako stary kocur zostawiał innym. Machał tylko zwisającym ogonem najwyraźniej czymś poirytowany. Turyści tak często go dokarmiali, że gdyby ten zobaczył mysz, pewnie zaproponowałby jej partyjkę w warcaby.

Morderca zjadł śniadanie i czekał teraz na swojego gościa. Ten zjawił się po chwili, dla niepoznaki z drelichowym plecakiem, w kangurce i w turystycznych, podkutych butach. Rozpoznał go od razu. Ruszył przez stołówkę i zatrzymał się przy narożnym stoliku.

- Wolne? – zapytał.
- Niech pan siada – odparł morderca.
- Zimno się robi.
- To normalne o tej porze roku.
- A jak tam się ma ciotka Matyllda?
- Przypadek beznadziejny. Ischias.
- Podobno najlepszy jest na to kompres z gorczycy. – Nieznajomy potarł policzki, żeby się rozgrzać.

- Też tak słyszałem.
- Mamy problem. Iwan znów zaczął węszyć.
- Też mi nowina. Nic nie wywęszą. Są tylko dwie osoby, które znają prawdę. I niech tak zostanie. Wszystko przygotowane?
- Było ciężko, ale zrobiliśmy co trzeba.
- A plotki? Rozpowiadacie, jak kazałem?
- Wedle rozkazu. – Przybysz wyprostował się jak struna na siedząco przy wysokim kubku kakao.
- Dobrze już, dobrze. Bez musztry. Ciężarówka?
- Czekają w Sosnowce.
- Ile masz?
- Pięć.
- Trochę mało, Donnerwetter... cholera.
- Zrobimy na dwa kursy.
- No dobrze. A ludzie sprawdzeni?
- Sami nasi albo ich dzieci. Mają już potąd tych ich porządków. – Przybysz przejechał palcem po szyi. – Kilku musiałem zwinąć z terenu, bo za nimi łazili.
- Ja też spotkałem dwóch, ale gadatliwi byli. Do tego robili notatki, bo najwyraźniej znudziło im się ludowe państwo i zwykła posadka. Niepotrzebnie kombinowali. Sami i tak niczego nie znajdują.
- Słyszałem, że w Wałbrzychu wielu już szuka. Plotka okazała się skuteczna.
- Znajdą co najwyżej trochę wojskowego złomu i kilka świecidełek – roześmiał się. – Nic poza tym.

Kot na parapecie przestał machać ogonem, jakby nagle zainteresowała go rozmowa dwóch nieznanym. Nie karmili go, nie głaskali i tym samym zyskali sympatię niezależnego zwierzęcia. Zaczął mruścić.

- Najważniejszy jest teraz klucz – powiedział morderca. – Dowiedziałeś się, gdzie go trzymają?
- Nie było jak. Najpewniej we Wrocławiu, bo pojechał tam ze wszystkimi aktami.
- Mamy tam kogoś?
- Jest taki jeden, ale to płuca. Nie będzie miał wglądu.
- W takim razie niech tylko ustali, kto się tym zajmuje.
- Rozkaz... znaczy się dobrze.

Za oknem strumień szumiał tak, jakby za chwilę miał się rozpocząć kolejny potop. Niebo pociemniało, wyglądało na to, że lada dzień spadnie śnieg. Wtedy olbrzymie schronisko u podnóża gór zostanie najprawdopodobniej odcięte od świata i tylko duża ciężarówka albo gazik będą w stanie tu dojechać. Turyści zaczęli wychodzić z jadalni, żeby ruszyć w Karkonosze – obwiązani, nie wiedząc czemu, linami, mieli ze sobą czekany i sprzęt wysokogórski, choć było wiadomo, że to nie Tatry. Inni z chlebakami i plecakami postanowili potraktować turystykę rekreacyjnie. Mieli plan, żeby iść

wolnym krokiem i napawać się czystym powietrzem i naturą.

Sezon narciarski jeszcze się nie zaczął, pozostała więc tylko wspinaczka po szlakach, odkuwanie kamieni w poszukiwaniu kryształu górskiego, tropienie sarenek i wykonywanie zdjęć wiekowymi aparatami z mieszkim bądź srebrnymi cackami produkcji radzieckiej, na które niewielu było stać. Ręczne światłomierze dokonywały cudów, starając się za pomocą ezoterycznej mechaniki dopasować czas naświetlania do przesłony i czułości kliszy. Fotografia wciąż nie była tak popularna i powszechna. Widok człowieka z aparatem wciąż wywoływał emocje – wiadomo, artysta. Albo dziennikarz. Ale przecież poza przyrodą nic tu ciekawego nie było, nie krył się tu żaden potencjalnie sensacyjny materiał. Fakt, ładnie było, ale po kilku dniach pobytu mieszcuchy przywykły już i do strumienia, i do lasu oraz majestatycznych gór.

Gość poszedł sobie wraz z grupką turystów – skrótom do Karpacza przez pola.

Morderca najspokojniej w świecie dopił herbatę, pogłaskał nadstawiającego bezwstydnie grzbiet kota i też wyszedł przez dużą werandę na stromą drogę. Ruszył w górę, zlekceważył skręt w lewo biegnący do Karpacza przez Wilczą Porębę i zagłębił się dalej w las.

Kapusta mieszkał wraz z żoną w tej samej poniemieckiej willi na Krzykach, do której wprowadził się jeszcze w czasach studenckich Jana Warkota. Zajmowali teraz dwa pokoje od tyłu domu z osobną łazienką. Jak na tamte czasy były to warunki komfortowe. Dostali przydział, ponieważ obydwójce byli fachowcami z poparciem zakładów pracy. Marlena pracowała w szkole podstawowej na Piotra Skargi, a majster Kapusta był osobą prawdziwie niezastąpioną w drukarni. Jesienny poranek zapowiadał niezwykle spokojny dzień i nastrojał optymistycznie do życia.

– A wiesz, Marlenko... – zagadnął Kapusta wstającą dopiero żonę.

– Co, Zdzisiu?

– Może premię dostanę, bo naprawiłem to imperialistyczne badziewie. Nawet nie masz pojęcia, jaki to złom. Każda śrubka ma inny wymiar, do każdej inna podkładka, a i prowadnice do farb nieprzywykłe do naszych szczytowych osiągnięć przemysłu chemicznego. Zatykały się co i rusz. Dopiero twój mąż dokonał epokowego odkrycia racjonalizatorskiego i Janek wnioskował u dyra o nagrodę.

– No to wspaniale, Zdzisiu. – Marlena była wciąż nieobecna i tkwiła w objęciach Morfeusza.

– Może sobie w góry pojedziemy, co? – zagadnął Kapusta, chcąc zyskać fory.

– W góry? Przecież tam jest zimno.

– I o to chodzi. Ja przed wojną nawet parę razy zjechałem na deskach. I ani razu się nie wywaliłem. To bardzo przyjemne, ale później trzeba włączyć pod górę.

– Nawet o tym nie myśl. – Marlena wybudziła się w jednej chwili. – Połamiesz mi się i co? Kto cię będzie pielęgnował?

– Moja najukochańsza żoneczka! – Kapusta wciąż był pełen entuzjazmu.

– Wolałabym pojechać latem nad morze, do Ustki albo Świnoujścia.
– A kto by tam chciał leżeć na piasku z tymi morświnami? Woda zimna, ryba trzeciej świeżości, hałas, dzieci biegają i się drą...

– W góry nie pojedę.

– Nie, to nie. To sobie pojedę z wycieczką z zakładu pracy. Sam. Albo z Krysią z kadr.

– Z jaką znowu Krysią? Zdzisiek, ty coś kombinujesz?

Marlena wiedziała doskonale, że jej mąż nawet nie spojrzy na inną, tylko tak gada po próżnicy, ale i tak nie podobały się jej te żarty.

– Ja kombinuję? Ja sobie tylko planuję odpoczynek na łonie tej, no, natury.

– Dość tych dowcipasów. Wcale mnie to nie śmieszy. Jak chcesz, to proszę bardzo, jedź sobie, ale pamiętaj, żeby zabrać swoje wszystkie rzeczy.

– Marlenko, nie dąsaj się. Przecież ta premia to skóra dzielona na niedźwiedziu, a niedźwiedź jeszcze w lesie. Nie wiadomo, czy przyznają.

– Przyznają, w socjalistycznym przedsiębiorstwie należy nagradzać racjonalizatorów.

– To wszyscy musieliby co miesiąc dostawać premię, bo bez, jak to mówisz, „racjonalizatorów” robota stanęłaby na amen. Nic nie pasuje, części przychodzą już uszkodzone i jak niby w takich warunkach mamy drukować?

– Ty mnie tu nie agituj, Zdzisiek, tylko zbieraj się do roboty.

– *Do roboty, dalej, chłopcy i dziewczęta...* – zaintonował Kapusta.

Marlena nie wytykała już mężowi, że dorastał w sanacji, ale teraz kurczowo uczepiła się nowego entuzjazmu, jaki wybuchł po wiecach z towarzyszem Wiesławem, który zakończył okres kultu jednostki. Czyli etapu w dziejach socjalistycznej ojczyzny, w którym portrety jednych zastąpiły portrety drugich. Taka zamiana ról. Nagle okazało się, że pierwsze jednostki są złe, a drugie dobre. W zasadzie była to mało istotna zmiana. Co prawda minister Stanisław Radkiewicz poszedł w odstawkę i smutni przestali tak często łomotać do drzwi zwykłych ludzi nad ranem, ale porządek musiał zostać zachowany. Robili więc to rzadziej i bez takiego hałasu jak w minionym okresie.

Gospodarz, pan Dziurman, wrócił na mocy amnestii na domowe pielesze, ale co i rusz przed krzycką willą parkował samochód, bynajmniej nie po to, żeby jego pasażerowie mogli zaczerpnąć świeżego parkowego powietrza.

Na początku października pismo „Po Prostu”, które powstało na fali uniesienia upojenia wolnością, zamknięto. Tak po prostu. W Warszawie były nawet jakieś protesty, ale rozpędzili pałami. Był to jeden z pierwszych sygnałów, że wolność wolnością, ale nie wszyscy dorośli do czerpania pełnymi garściami ze zdobyczy demokracji. Porządek musiał być. Ale wszystko bez rozgłosu, w białych rękawiczkach. Władza też się uczyła, eksperymentując na żywej tkance społeczeństwa. Wprowadzano pewne ulgi, robiąc ukłon w stronę Polaków, ale też pojawiały się nowe restrykcje. Towarzysz Wiesław Gomułka zapowiedział wybudowanie tysiąca szkół na tysiącletnie państwa polskiego. Był to śmiały plan i właściwie nie było się do czego przyczepić –

w końcu szkoły są potrzebne, prawda? Gest symboliczny, ale też działanie praktyczne. W szkołach tych miały się uczyć dzieci już urodzone w Polsce Ludowej, musiały mieć zatem socjalistyczny charakter i kształtować nowe, uległe pokolenie. Stało się wręcz przeciwnie, ale to już zupełnie inna historia.

W piątek rano kapitan Gromił postanowił przewietrzyć się trochę i zaszedł na Nowy Targ. Tutaj, na licznych straganach, sprzedawcy rozkładali towary. Można tam było znaleźć deficytowe, nowoczesne przedmioty powszechnego pożądania z zagranicy, takie jak elegancki zegarek na biurko czy nowy rower, a także mnóstwo staroci, w których grzebali już tylko ci najwytrwalsi oraz sprytni handlarze liczący na szybki zysk. Srebrne kandelabry wyszabrowane z małych kościółków, ażurowe żardiniery rzeźbione w misterne sploty, secesyjne żyrandole, atlasowe poduchy, w których czaił się entomologiczny wróg klasowy oraz barwne kilimy zdeptane gwardyjskimi buciorami leżały wszędzie wokół. Leżała tu też przykryta szkłem biżuteria pozwalająca nowemu nabywcy poczuć się prawdziwym hrabią. Nikt obecnie nie przywiązywał wagi do tego, czy nowy nabywca jest herbu Awdaniec, Grzymała, Poraj albo Jelita, czy też należy do zupełnie absurdalnych emblematów austriackich hrabiów, których było swego czasu więcej niż włościan, bo nikt nie rozpoznawał filigranowych zawijasów zakłętych ręką grawera w kamieniu. Liczyło się tylko to, czy przedmiot ów jest wielki i strojny – im większy, tym lepiej.

– A co mi tu, obywatel, ciemnotę wciska – rozległ się damski, poirytowany głos.

– Tłumaczę, to tombak, szanowna pani! Znam się troszkę na tym. – Potencjalny nabywca oglądał jakąś obrączkę przez lupę.

– Znalazł się jubiler od siedmiu boleści – sprzedawczyni głośno deprecjonowała wiedzę kupującego, bo najwyraźniej psuł jej interes.

– Prosię, szanownej paniusi, jak ja jeście w Warsiawie szkiełka i błyskotki robiłem, to paniusia, za psieproszeniem, słomę od nawozu wygarniała, żeby mieć się gdzie przespać. Więc niech mnie paniusia tu nie importuje! Dobrze?!

– Znalazł się, panisko, psiajucha! A idźże z takim klientem! Poszedł stąd. Importuje, dobre sobie!

– Bynajmniej idę. Ziegnam ozięble.

Gromił uśmiechnął się, bo tego rodzaju miejski folklor bawił go niepomiernie. Targowiska odzwierciedlały oblicze miasta wraz z jego wszystkimi ułomnościami. Zbierali się tu ludzie różnej proveniencji i pochodzenia. Od razu można było wyłowić zubożałych obywateli, którzy sprzedawali, co mieli cenniejszego w domu, żeby jakoś związać koniec z końcem. Stawali się przeważnie ofiarami zawodowych handlarzy, którzy dla podkreślenia swoich możliwości wyciągali zwitki banknotów, machając nimi przed oczami onieśmielonych sprzedawców-amatorów.

– Za coś takiego mam tyle płacić? Panie, przecież to chłam.

– Ale powtarzam panu, że to komplet. Srebro. O, tu jest inicjał.

– Komu teraz potrzeba tyle łyżeczek, widelczyków i chochelek? Grochówka smakuje

tak samo z drewnianej łyżki.

- Sprzedam wyłącznie w komplecie.
- A kto to, panie szanowny, kupi? Ludzie biedne tera.
- Najwyraźniej nie wszyscy.
- Dwa tyszące dam. Niech stracę.
- Komplet kosztuje pięć. To cztery kilo srebra.
- A to idź se pan do jubilera, panie szanowny.

Gromił spojrział na misterne sztucce i coś go chwyciło za gardło. Od czasów znajomości z Jankiem i resztą członków Bractwa Wrocławskiego nabrał wielkiego szacunku dla zabytkowych przedmiotów i wizja srebrnej zastawy w stylu wiedeńskiej secesji na stole jakiegoś prostaka chlapiącego grochówkę przeraziła go nie na żarty.

- Ile za ten komplet? – zapytał.
- Pięć tysięcy złotych. Dodam jeszcze kabaret. I futerał.
- Jaki kabaret? – zainteresował się handlarz.
- To jest kabaret. – Sprzedawca wskazał na cztery buteleczki na przyprawę w srebrnym koszyku.

– E tam, idź se pan z takim kabaretem w czorty. Jakbyś pan miał jakie biureczko...
– Jestem zainteresowany – powiedział cicho Gromił. – Tylko muszę wrócić do domu po pieniądze. Tu niedaleko, na Szewską.

– Zara, zara – rzucił naciągacz – ja tu byłem pierwszy i handlowałem sobie spokojnie z szanownym panem, aleś się pan napatoczył.

- Daje pan więcej? – odparł Gromił.
- No tego... dogadamy się jakoś.
- Daje pan czy nie?

Gromił spojrział na upierścienione palce handlarza przypominające serdelki w handlu społecznym. Przeniósł wzrok na jego twarz i spojrział mu głęboko w oczy. Było to spojrzenie zarezerwowane dla najbardziej zapiekłych bandziorów, zakapiorów spod ciemnej gwiazdy, którzy miękli pod jego niezwykłą mocą jak wosk. Handlarz aż się zachwiał. Zatoczył się, wbił wzrok w buty, mruknął coś i wmieszał się w tłum.

- Przepraszam pana, że zepsułem panu interes, ale on by pana oszukał.
- Zdaję sobie z tego sprawę, ale cóż robić? Nie stać mnie na trzymanie drogich przedmiotów w domu.

– Pozwoli pan ze mną. Pieniądze mam w domu.

Sprzedawca zwinął majdan i ruszył za Gromiłem przez plac i uliczkę wypełnioną gruzem po obu stronach. Doszli na róg Szewskiej i Gromił zaprosił go do siebie. W domu zaparzył herbaty, usadził gościa i poszedł do drugiego pokoju po pieniądze.

Kiedy wrócił, sprzedawca patrzył na niego badawczo, bo zauważył dyplom strzelecki wiszący w oprawie na ścianie.

- Pan z milicji?
- Tak, ale to nie ma tu żadnego znaczenia – powiedział Gromił, wręczając mu plik

banknotów.

- Nie wiedziałem, że macie u siebie takich koneserów.
- Może jestem wyjątkiem – odparł Stefan, wpatrując się w oczy gościa.
- Chyba mnie pan nie aresztuje? – Głos sprzedawcy zmienił się nieco i teraz wyraźnie było w nim słycać obce tony.
- Skądże znowu, szanowny panie. Takie transakcje są legalne.
- Zwykle tylko to potraficie.
- Nie, proszę pana, ja pracuję w kryminalnej. Morderców łapię. A że lubię ładne przedmioty...
- Nie będę panu robił wstrętów. W końcu sam zdecydowałem się na sprzedaż.
- I bardzo dobrze.
- Znajdzie pan dwanaście osób do tego stołu? Trochę tu ciasno.
- Mam nadzieję, że kiedyś znajdę tylu znajomych i krewnych.
- W takim razie dobrze. Proszę, pański zakup. – Sprzedawca przesunął drewnianą szkatułę ze sztućcami w stronę Gromiła.
- Dziękuję.
- Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Karol Johan Raufenberg.
- Stefan Gromił. Kapitan.
- Bardzo mi przyjemnie. Szczególnie zważywszy na okoliczności.
- To prawda, dość nietypowe.
- Widzi pan, kiedyś opływałem w dostatek. Teraz po wojnie, ech...
- Wszyscy ponosimy konsekwencje naszych czynów.
- Nie, nie wszyscy. Przed wojną kontestowałem poczynania nowej władzy.
- Teraz wszyscy tak mówią.
- Ja to nie wszyscy – odparł Raufenberg. – Żonę mi zastrzelili w czterdziestym piątym.
- Rosjanie?
- Nasi. Zginął też nasz koniuszy. Nie rabowali, po prostu moja Ingrid widziała coś, czego nie powinna była zobaczyć. Ale to już zamierzchłe dzieje.
- Dlaczego nie wyjechał pan do Niemiec?
- Najpierw nie chciałem zostawić majątku niedaleko Kowar. Mieszkaliśmy tam od pokoleń. A potem już nie mogłem. Wszystko mi zabrali. Osiedliłem się tutaj, w Breslau... to znaczy we Wrocławiu. Żyję skromnie z siostrą w małym mieszkanku za Odrą. Ona pracuje dorywczo, a ja, widzi pan, przed wojną byłem inżynierem, ale teraz nikt mi pracy w zawodzie nie da.
- Dlaczego? Pytał pan? Poszukujemy fachowców.
- Mógłbym, gdybym zmienił nazwisko. Gdybym je spolszczył, to tak. To jest jedna z niewielu rzeczy, która mi została i nie dam sobie odebrać.

Jakby na potwierdzenie swych słów błysnął starym sygnetem na palcu, odgarniając włosy z czoła. Był brunetem średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Na lewej dłoni

widać było długą, zaleconą szramę. Sprawiał przyjemne wrażenie i rzeczywiście w niczym nie przypominał zbirów spod znaku hakenkreuzu, choć nieraz można się było pomylić. Pomimo ciężkiego losu miał pogodną, przystojną twarz o regularnych rysach.

– Może popytam, coś pomogę. Inżynierem jakiej specjalności?

– Mechanika precyzyjna. Mam nawet doktorat.

Mężczyźni zamilkli na chwilę zatopieni w swych myślach. Gromił odezwał się pierwszy.

– Panie Karolu, proszę nie upadać na duchu. Może coś da się zrobić.

– Byłbym niezwykle zobowiązany. Ale proszę się mną nie przejmować. Dam sobie radę.

– Mimo wszystko proszę dać mi spróbować. Prosiłbym pana o zostawienie adresu.

– Oczywiście. W takim razie jesteśmy umówieni.

Raufenberg i Gromił pożegnali się, wymieniając mocny uścisk dłoni.

Po wyjściu gościa Stefan otworzył drewniane pudełko i długie minuty wodził palcami po misternych secesyjnych splotach, aż nawet maskaron z naprzeciwka zaczął wyciągać szyję, żeby zobaczyć to чудо.

Gromił włożył skarb do szuflady komody. Zamknął starannie drzwi za sobą i poszedł do pracy. Dochodziła dziesiąta rano. Szef nie będzie zachwycony, ale cóż, sam dał mu wolną rękę i Gromił nie musiał podpisywać codziennie listy obecności.

Przez cały Rynek gonił go jesienny wiatr, kręcąc piruety żółtymi liśćmi, jakby wzorem surowego żandarma starał się go zagonić do pracy.





ROZDZIAŁ CZWARTY

...harmonia pieniędzy...

Marlena Kuchta-Kapusta weszła do klasy pełnej uczniów w wieku lat dwunastu. Chłopcy i dziewczynki hałasowali trochę przed lekcją, ale na widok „pani” usiedli pospiesznie w ławkach, kładąc dłonie na blacie, jak przystało na grzeczne dzieci.

– Dzień dobry, dzieci!

– Dzień dobry, pani! – odpowiedziły chórem.

– Na dzisiejszej lekcji przeczytamy zadania domowe. Mieliście całą niedzielę, żeby napisać krótkie wypracowanie o waszych rodzicach. Najlepsze prace zostaną nagrodzone piątkami. Proszę, kto chce zacząć jako pierwszy?

Obowiązkowo Zosia już wyciągała rączkę w górę.

– Proszę, Zosiu.

Dziewczynka z kucykami wstała, poprawiła fartuszek i wzięła zeszyt do rąk.

– *Moi rodzice* – zaczęła czytać, co chwilę zacinając się dla nabrania oddechu. – „Moi rodzice są bardzo zapracowani. Tata jest inżynierem w fabryce wagonów, a mama pracuje na poczcie. Tata ma straszny bałagan na biurku, bo leżą na nim ważne plany i wy... wykresy. Tata też pracuje w domu i mama denerwuje się, że nie może mieć trochę czasu dla nas. Nawet w niedzielę coś rysuje i oblicza. Mój tata jest bardzo dobry z matematyki, dlatego mówi, że trzeba liczyć na siebie.

Mama też liczy – kontynuowała Zosia – ale pieniądze, co przychodzą i wychodzą z kasy. Od tego liczenia często boli ją głowa i przychodzi z pracy zmęczona. Mówi też często, że to niesprawiedliwe, że miliony przechodzą przez jej ręce, a ona zarabia tylko dwa tysiące. Mama mówi, że jakby mogła, toby rzuciła tę pracę, ale tato powtarza jej, że bez studiów niczego lepszego nie znajdzie. I mama płacze. Raz nawet chciała zapisać się na studia dla pracujących, ale kierowniczką w pracy jej nie pozwoliła. Mówiła, że mama będzie roz... rozkojarzona i nie będzie miała czasu na liczenie.

Bardzo kocham swoich rodziców i kiedy skończę szkołę, będę im pomagać. Tacie

w rysowaniu, a mamie w liczeniu milionów”.

Dziewczynka odłożyła kajet i spojrzała wyczekująco na panią nauczycielkę. Marlena zachowała taktowne milczenie.

– Może ktoś jeszcze. Jasiu?

Chłopak w ostatniej ławce był wcześniej zajęty rozmową z kolegą z ławki, ale usłyszawszy swoje imię, podskoczył do góry jak oparzony. Drewniana proca wypadła mu z kieszeni i niczym dowód rzeczowy leżała teraz na wypastowanej szkolnej podłodze. Chłopiec tygrysim rzutem skoczył do procy i schował ją, jakby nic się nie stało.

– Bo ja, proszę pani, mam mało.

– A dlaczego masz mało?

– Bo tata powiedział, żebym nie pisał tych bzdur, że nie mogę być kapusiem.

– Jak to: „kapusiem”?

– Bo tata mówił, że w szkole chcą nas w jakiegoś Pawlika zamienić.

– Dobrze już, nie dowodź. Czytaj, co masz.

– *Moi rodzice.* „Moi rodzice są bardzo kochani, bo mnie kochają i małego Józia też. Józio to mój braciszek. Tata pracuje w fabryce jako spawacz, ale mówi, że jak się uda, to przejdzie do prywaciarza, bo tam będzie miał pięć razy tyle i bez zmian. Prywaciarz to pan Krzysiek, co ma zakład samochodowy i reperuje stare wozy. I ma harmonię pieniędzy. Tata mówi, że za rok, dwa wyprowadzimy się z tej zatęchłej nory, w której mieszkamy. Znaczy z domu.

Mama też pracuje – czytał dalej Jaś – ale w domu. Sprząta, piecze, gotuje i opiekuje się nami. Czasem pomaga sąsiadce, kiedy jej mąż, pan Zenek, wraca wieczorem z restauracji. Pan Zenek jest kelnerem i też ma harmonię pieniędzy, ale nie wydaje, bo odkłada do jakiejś skarpety. Pewnie do tej, co jego żona, pani Janka, mu ceruje. Jak wraca z pracy, to jest bardzo słaby i moja mama pomaga pani Jance zaprowadzić go do pokoju.

Bardzo chciałbym mieć kiedyś taką skarpetę jak pan Zenek”.

– Dziękuję, Jasiu. Siadaj. Kto teraz? Może Jagoda?

– Ale ja, proszę pani, jeszcze nie dokończyłam...

– Nieważne, przeczytaj to, co masz.

– *Moi rodzice.* „Moi rodzice bardzo się kochają, ale tata wciąż kłóci się z mamą. Tata pracuje w wojsku i wciąż jeździ na manewry. Mama mówi, że nie na manewry, tylko do tej rudej zdziury z Sępólna. Ale to nieprawda. Tato bardzo kocha mamę. Mój tata jest żołnierzem i broni granic naszej ojczyzny. A mama pracuje jako księgowa w sztabie. Mama wykonuje bardzo ważną pracę i całymi dniami tylko księguje i księguje”... I mam tylko tyle, bo nie mogłam w niedzielę odrobić lekcji, bo pojechaliśmy do cioci Hanki.

– Mój tata mówi, że księgowa to nie żaden zawód, tylko groźna choroba zakaźna – wtrącił się Jaś.

– Nieprawda! – krzyknęła Jagoda. – Księgowa to zawód, i to bardzo potrzebny!

– A wcale że nie!

– A wcale że tak!

– Dzieci, spokój proszę. – Marlena usiłowała nie wybuchnąć śmiechem, ale była na z góry straconej pozycji. – Siadajcie wszyscy! Maciek, co ty tam wyrabiasz?

Maciek najspokojniej wypijał atrament z kałamarza ku uciechu chichoczących kolegów i koleżanek. Najwyraźniej chciał pokazać wszystkim, o co chodzi w powiedzeniu: „Wpuścić chama do urzędu, to atrament wypije”. Spokojnie zaczął zakąsać kredę.

W klasie zapanowało rozprężenie. Marysia z Kasią chwaliły się swoimi pamiętnikami, pokazując sobie wzajem co ciekawsze wpisy i kolorowe obrazki.

Na górze róże, na dole fiołki, a my się kochamy jak dwa aniołki.

A wersja druga:

Na górze róże, na dole fiołki, a my się kłócimy jak dwa osiołki.

I trzecia:

Depczemy fiołki, depczemy róże, może nie warto kłócić się dłużej?

Stefek i Zbyszek skupili się na akwarium, z którego starali się wyłowić welonkę. Ryba walczyła zaciekle, wciągając ich w swą grę. Najwyraźniej miała ochotę wyprowadzić ich na pełne morze, gdzie znajdowało się jej królestwo. Z kolei przerażony chomik wytrzeszczał ślepką w karuzeli i przestał nią kręcić w obawie, że zwróci na siebie uwagę małych potworów.

Mietek i Kazek strzelali do siebie z papierowych kulek przy pomocy gumki. Mietek przymierzył dobrze i Kazek chwycił się za oko z głośnym krzykiem. Twarz skrzywiła się do płaczu, ale po chwili się rozpromieniła. Nie wolno było pękać! W końcu są już prawie mężczyznami.

Dzieci zaczęły głośno dyskutować nad tym, czyj tata i czyja mama są ważniejsi, który z zawodów jest lepszy i ogólnie zaczęły dywagować nad sensem współczesnego życia oraz motywami postępowania dorosłych.

– A ja będę inżynierem jak mój tata, zbuduję raketę i polecę w kosmos – wieszczę! Sławek.

– A mój tata mówi, że to pic na wodę z tym psem, co poleciał, bo u Ruskich psów już w ogóle nie ma. Że wszystkie już zjedli – oznajmił Staszek z miną eksperta.

– Tak i zboża nie ma, bo jak by było, to po co by nam zabierali?

– Nieprawda, bo mój tata mówi, jak wraca z zebrania, że tam są ten, no... łany po horyzont.

- A co to te łany?
- To ja wiem, bo moja babcia zawsze mówi: „Łany boskie!”. Znaczą, że ładne.
- A horyzont?
- No to znaczą, że bardzo dużo. O potąd. – Wiesiu wskazał ręką na wysokości czubka głowy.

Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa zupełnie niepotrzebnie próbowali inwigilować dorosłych ludzi, bo wystarczyło przejść się do paru szkół i już wiedzieliby, jakie panują nastroje w społeczeństwie. Na całe szczęście nie posunęli się do takiej podłości.

Marlena jakimś cudem zapanowała nad rozbrykaną klasą bez konieczności nadwyrażania strun głosowych. Zamknięto pamiętniki, schowano gumki, a chomik odetchnął z ulgą.

Major Zenon Kalamatas przyjmował meldunki od wywiadowców. Kontrwywiad miał największe prerogatywy wśród stróżów prawa i porządku. Wszyscy się ich bali, bo podejrzenie mogło paść na każdego i trudno było się od tego wybronić. Każdego mogli zacząć „robić” i wtedy szlus. Tacy zawsze znajdują dowody, nie w ten, to w inny sposób.

W gabinecie Kalamatasa, oprócz obowiązkowego zestawu portretów, włącznie z portretem Feliksa Dzierżyńskiego, wisiał tani landszaft przedstawiający świątynię Wang w Bierutowicach. Białe czapy śniegu pokrywały spadzisty dach skonstruowany na podobieństwo dzioba wikińskiej łodzi. Groźne smocze łby szczyrzyły paszczęki, odstraszać złe moce i napominając grzeszników. Na Kalamatasie jednak to ostatnie nie robiło większego wrażenia, bo był niewierzący z urodzenia, przekonania oraz szarży.

Fascynowała go natomiast sama budowla przeniesiona w Karkonosze w XIX wieku z zapomnianej norweskiej osady. Dzięki zaangażowaniu Fryderyka IV i Fryderyki von Reden przeniesiono budowlę deska po desce w dolnośląskie góry, ratując ten bezcenny zabytek od niechybnej zguby. Norweski mistrz ciesielski stworzył budowlę bez użycia jednego gwoźdźca, a wszystkie elementy zachodziły na siebie, doskonale dopasowane. Kościółek stał u wrót karkonoskich szlaków. Stąd wiodła droga do schronisk „Samotni” i „Strzechy Akademickiej”, i dalej przez Małą Kopę na Śnieżkę.

Wikiński zabytek urzekał barbarzyńskim pięknem, bogatymi zdobieniami i rzeźbami. Wrót strzegły dwa wyszczerzone w uśmiechu koty, co świadczyło, że Norwegowie, wbrew powszechnemu mniemaniu, mieli poczucie humoru wykraczające poza żarty z waleniem kolegów toporem po łbie. Wang już dawno wrósł w karkonoski krajobraz i trudno było sobie wyobrazić to miejsce bez norweskiej świątyni.

Kalamatas oderwał wzrok od obrazka i spojrzał na siedzącego przed nim wywiadowcę.

– I jak meldowałem wcześniej, obywatelu majorze, obserwowany wciąż zachowuje się zupełnie normalnie i nie odbiega w zachowaniu od codziennej rutyny. Chodzi do

pracy w przedsiębiorstwie transportowym. Odbiera zlecenia. Wraca do domu. Z nikim nowym się nie kontaktuje, nikogo nie odwiedza, nikogo nie przyjmuje w domu.

– Nie zwodzi was?

– Nie. Myślę, że w ogóle nie wie, że go obserwujemy.

– Jeśli jest tym, kim myślę, wie o tym doskonale. Ale dość o tym. Poczekamy jeszcze dwa dni i zwijamy wszystkich. Całą piątkę. Nie ma co się cackać.

– Ta-jest, obywatelu majorze! – Wywiadowca wstał i strzelił służbiście obcasami.

Kalamatas zamknął teczkę leżącą na stole i schował ją do szuflady. Z drugiej wyciągnął służbową broń i sprawdził magazynek. Włożył pistolet do kabury i już miał zamknąć szufladę, kiedy jego wzrok spoczął na starym kluczu leżącym obok wyciora. Jaki zamek otwierał? Dlaczego był tak pilnie strzeżony? Była to zagadka wiążąca się z prowadzoną sprawą i jednocześnie przeszkoda w uzyskaniu tego, na czym Kalamatasowi najbardziej zależało.

Warkot był zaskoczony telefonem od Gromiła. Od ich spotkania minęło ledwo kilka dni, a do tego był środek tygodnia. Stefan był niezwykle poważny i oficjalny.

– No ale co, Stefan, nie możesz mi powiedzieć przez telefon?

– Nie, nie mogę, Janku. I najlepiej gdybyśmy się spotkali u mnie. W pracy.

– Co się stało? To nie może poczekać?

– Nie, to jest jedna z tych spraw, które nie mogą czekać.

– To kiedy mam przyjść?

– Za godzinę ci pasuje?

– Pasuje. Będę.

– Czekam.

Warkot zjawił się punktualnie. Gromił czekał na niego, pochylając się nad jakąś teczką. Podniósł wzrok i wstał na widok przyjaciela.

– Słuchaj, strasznie cię przepraszam, że ja tak oficjalnie i w ogóle, ale zaraz zobaczysz dlaczego.

– Wprost nie mogę się doczekać.

– Janku, nie dąsaj się. Popatrz.

Gromił przerzucił kilka kartek w teczce na blacie. Ich oczom ukazało się zeznanie z przesłuchania świadka sierżanta Jana Warkota.

– A to takie buty... Skądżeś to wytrzasnął? Stare dzieje.

– Dostałem zadanie i przypadkowo natrafiłem na twoje nazwisko. Co pamiętasz o tamtej sprawie?

– Skoro czytałeś akta, to wiesz, że zginął mój kapitan, towarzysz, no i podejrzana. Szynkarza podejrzanego o konszachty z Werwolfem odstawiłem do sztabu i już więcej o nim nie słyszałem.

– Czyli to ten z Werwolfu zaczął strzelać?

– Tak, ostrzelał szeregowca przy gaziku.

- Nie było innych świadków?
- Nie, siedzieli pochowani w domach.
- A potem?

Potem zrobiło się zbiegowisko, bo ten Niemiec lamentował...

- Chcieli was ukamienować?
- Zrobiliby to, gdyby mogli. Ale nie widzieli zajścia, tylko przez firanki jak ten w panterce strzelał. Zaraz potem odjechaliśmy. – W raporcie jest, że ten klucz, który nie wiemy, gdzie jest, ani co otwiera, był ukryty w figurce. Ale o figurce ani słowa. Pamiętasz, co to było?

– Tak, drewniana figurka Liczyrzepy, czy Rzepióra, jak to mówią. Wysoka na pół metra może. Stała na szynkwasiu na widoku. Nie sposób było jej przeoczyć.

– I co się z nią stało? Nikt jej nie zabrał?

– Została tam, gdzie była. Wiesz, jakie wtedy były czasy. Kto by się tam wtedy zajmował precyzyjnym śledztwem.

– A ta figurka... Była wydrążona w środku i zamknięta na zasuwkę?

Warkot pokiwał głową.

– Janku, to bardzo ważne. Przypomnij sobie, co tam jeszcze widziałeś.

– Jakieś landszafty. Serwetki z napisami Grüss Gott i tym podobne. Taka jarmarczna tandeta. Sprawdzałeś, kto teraz mieszka w tamtej chatce?

– Nie, ale zamierzam to zrobić.

– Szykuje się wypad za miasto. – Warkot zatarł dłonie.

– Widzę, że obudziłem śpiącego Sherlocka. Mogę cię zabrać, nie widzę przeszkód. Jutro rano podjadę po ciebie. Załatw to jakoś w pracy. Chyba że chcesz papier do dyrekcji.

– Nie mogę się doczekać. Nowa przygoda!

– Ta przygoda może się źle skończyć, pamiętaj.

– Co mi tam. Po ostatniej nie straszny mi żaden Werwolf.

– Bierzemy ze sobą sierżanta Kuźniaka, no i jest jeszcze jeden, ale przy nim gęba na kłódkę.

– Ubek?

– A co myślałeś? To wszystko oni nadali, że niby jakaś sprawa kontrwywiadu. Ja dostałem swój wycinek. Oficjalnie będziesz naocznym świadkiem.

– Jan Warkot, naoczny świadek. – Instynktownie dotknął srebrnego sygnetu z krwawnikiem.

Gromił zauważył to i powiedział.

– Mam nadzieję, że nie będzie potrzebny.

Kapitan wrócił do swoich spraw, a główny technolog poczłapał do drukarni. Było za wcześnie, żeby wracać do domu.

Wieczorem w domu kapitan Gromił ułożył dwie listy, które otrzymał od majora

i ponownie zaczął śledzić dane osobowe zamieszanych w tę sprawę. Porównywał imiona i nazwiska, z obu kreśląc własne adnotacje przy każdym z nich.

Horst Schretke – Henryk Karczek
Willem Janisch – Wacław Janiszewski
Jürgen Müller – Jerzy Młynarz
Gregor Holz – Grzegorz Drewniak
Walter Bautz – Walter Bałczyński
Christian Raufenberg – Krystian Raufenberg
Heinrich Baumwagen – Henryk Fornal
Anton Kunst – Antoni Sztuka

Coś nie dawało Gromiłowi spokoju, kiedy analizował nazwiska. Ależ tak! Raufenberg to jego gość ze sztukami. Gromił nie wierzył w takie przypadki. Tyle że ten z listy to Krystian, a nie Karol Johan.

Było jednak coś jeszcze. Ponownie przebiegł wzrokiem po liście.

„Ależ ze mnie osioł – sklął się w myślach. – To pewnie jesienna melancholia. Jürgen Müller, czyli Jerzy Młynarz, nosił przed wojną takie samo nazwisko jak karkonoski dróżnik! Ale to popularne nazwisko”.

Wciąż coś stukało mu pod czaszką, machało czerwonymi flagami, żeby zwrócić jego uwagę.

Podniósł słuchawkę.

– Tu Gromił, dajcie mi Jaszczuka.

Porucznik Jaszczuk pracował do późna. Charakteryzowała go niezwykła zawodowa sumienność w połączeniu z obsesyjną wręcz wiarą w komunizm i zalety tego systemu. Na dłuższą metę było to dość uciążliwe, ale w sumie nie wadziło nikomu.

– Zgłaszam się, towarzyszu kapitanie – odezwał się słuźbiście milicjant.

– Dajcie spokój, Jaszczuk, z tym towarzyszem. – Gromił skrzywił się z niesmakiem.

– Milicja powinna być apolityczna, zrozumiano?

– Ta-jest, towarzy... znaczy się, obywatelu kapitanie!

– Jaszczuk, macie tam tego trupa z Niskich Łąk na tapecie.

– Z Księża Małego.

– Zgadza się. Ustaliliście jego tożsamość, jak mi mówił pułkownik.

– Śledztwo idzie do przodu. Chyba nie chcecie mi go odebrać? – zaperzył się młody porucznik.

– Ani mi to w głowie. Możecie mi podać to nazwisko?

– Proszę bardzo. Walter Bałczyński, zamieszkały... nieważne, zatrudniony... nieważne. Kawaler lat 43.

– No to powiem wam, Jaszczuk, szczęścia w robocie to wy nie macie. Najprawdopodobniej łączy się to z moją sprawą.

– Towarzy... obywatelu kapitanie, czy ja mógłbym w końcu jedną sprawę doprowadzić do końca?

– Nic nie poradzę, Jaszczuk. Siła wyższa. Znacząca instancja wyższa. Zostawcie mi na biurku akta tej sprawy.

– Ta-jest – odparł zrezygnowany porucznik i odłożył słuchawkę.

– No to coś tu nam się zaczyna wyłaniać.

– Przebóg, rozpoznał mnie – odezwał się znajomy głos.

Gromił podskoczył jak dźgnięty ostrogą. Odwrócił się, sięgając odruchowo po pistolet.

– Żeby po tak długiej znajomości strzelać do gościa? Panie Stefanie!

W kącie pokoju Gromił dostrzegł dawno niewidzianego gościa, Leona Słupeckiego, ostatniego członka Bractwa Wrocławskiego.

Leon Słupecki za życia był osobą niezwykłą. Pod każdym względem. Średniowieczny okrutnik łupił zarówno wrogów, jak i sąsiadów, powiększając swój majątek. Wyrzynał ich, brał na męki, więził w przepastnym lochu zamku, aż diabeł zabrał duszę, robaki ciało, a rodzina majątek. Odtąd błąkał się jako dusza pokutująca po świecie – raz jako słup ognia, raz jako bezgłowy mnich z Tyńca. Możliwości zresztą było bez liku. Ponieważ sumiennie pokutował za grzechy, ulżono nieco jego cierpieniom i teraz mógł pojawiać się w ludzkiej postaci. To on „przebudził” Jana Warkota dość pospolitymi, jak twierdził, sztuczkami i powierzył mu tajemnicę jego rodu, którego przedstawiciele byli członkami Bractwa, stowarzyszenia, które walczy ze złem. Jako upiór potrafił przenikać przez ściany, pojawiać się niespodziewanie oraz zniknąć, gdy była taka potrzeba. Kapusta, który znał go doskonale, wciąż drżał ze strachu za każdym razem, kiedy się Słupecki pojawiał. Wciąż nie mógł pogodzić się z obecnością średniowiecznego grasanta w swoim towarzystwie. Na dokładkę Basia, żona Warkota, była jego bardzo odległą krewną. Cechowały go cięty język i specyficzne poczucie humoru, co więcej, wprost nie znosił nowej władzy wraz z jej zadufanym przeświadczeniem, że jest – nie dość że najlepsza, to jeszcze ostateczna.

– Co się stało, panie Leonie? Nie było pana tak długo.

– Zaraz „długo”, dla mnie to ledwo mrugnięcie okiem. Miałem swoje sprawy, dość na tym.

– Czemuż więc mam zawdzięczać ten zaszczyt? Czemu mnie pan nawiedził?

– Jakbym NAWIEDZIŁ, to posiłowałby pan w jednej chwili. Ja pana odwiedziłem. Poza tym wszystko się zgadza, no z tym zaszczytem.

– Ja tu tkwię po uszy w takiej jednej sprawie...

– Wiem, znam, widziałem.

– Czy słowa „tajemnica służbowa” nic już dla pana nie znaczą?

– Może kiedyś, ale teraz zupełnie nie.

– Nie wiem. czy złagodzenie pokuty nie było w pańskim przypadku zbyt pochopną decyzją...

– A co mi tam – rzucił Słupecki beztrosko – kawaler wciąż sam? Zupki na stołówce i leniwe w barze?

Cios był celny. Kapitan Gromił nie założył rodziny, gdyż po prostu nie miał na nią czasu. Nie, żeby nie miał okazji... Często doskwierała mu więc samotność.

– Mam nadzieję, że w odpowiednim momencie...

– Nic się martw, pytam z troski, nie złośliwości. Ja jestem porządny upiór, a nie jakiś tam szalawiła. Ale nie w tej sprawie przychodzę.

– Znów pan się będzie do śledztwa wtrącać?

Słupecki całkowicie zignorował Gromiła i wskazał tylko na listę.

– Masz na niej poszukiwanego mordercę i jego ofiary. Masz też całą wierchuszkę z karkonoskiego oddziału Werwolfu.

– Który to morderca? Zamordował tego z Księża Małego, czy tak?

– Tego jeszcze nie ustaliłem, bo nawet ja wszystkiego nie wiem.

– To ci dopiero, chwila prawdy z pokutnikiem. Ale – dodał poważnym głosem – myśli pan, że chodzi o ten pociąg ze złotem...? – Gromił zaczął łączyć informacje z przeczytanych raportów.

– Nie jestem pewien czy złoto to najcenniejsza rzecz, którą przewoził – rzucił Słupecki tajemniczo.

– A co to mogło być? Platyna, drogie kamienie, dzieła sztuki?

– Słyszało się to i owo. Sam pociąg dzisiaj poszedłby do huty, ale jeśli jest schowany, to pewnie jest w nim ukryte coś cennego. Jeśli chcą zabrać ładunek, to dlaczego się mordują? Konkurencja?

– Cóż, Stefanku, powinienesz wiedzieć najlepiej, że honoru między złodziejami nie uświadczysz.

– Czyli jednak niektórzy szukali na własną rękę?

– Właśnie. A ich głównodowodzący, ten morderca, pragnie odrodzenia III Rzeszy. Na to potrzebuje pieniędzy, nie na drogie wozy i wieczory w Monte Carlo.

– Czyli prawdziwy rewizjonista?

– Stefan, czyś ty się szaleju najadł? Z jednej skrajności w drugą. Jak ci władza mówiła, że za każdym węglem czai się rewizjonista, to wierzyłeś. Teraz, kiedy dają ci na tacy prawdziwego, nie wierzysz. Myślisz, że oni pogodzili się ze zmianą granic? Myślisz, że nie zostawili tutaj czujek? Teraz wszyscy mają atomówkę. Albo komuś puszczą nerwy i naciśnie guzik, albo będą się tak straszyć nawzajem. Obecnie prawdziwa wojna to wojna wywiadów o informację. I fundusze.

– W takim razie...

– Tak, jesteś małym pionkiem w wielkiej grze, a pionki zwykle się poświęca. Ale ja do tego nie dopuszczę.

Gromił nie słyszał jeszcze tak długiej i poważnej tyrady z ust Słupeckiego, który podchodził do wszystkiego z przymrużeniem oka. Znaczy się, sprawa była poważna.

Rozmawiali jeszcze długo tego wieczoru i Gromił położył się spać po drugiej.

Najbardziej go niepokoiło, że znów wciąga Janka w swoje sprawy, ale w końcu byli Bractwem Wrocławskim walczącym ze złem, czyż nie?



ROZDZIAŁ PIĄTY

...Elvis...

Milicyjny gazik sunął ulicami Karpacza, szurając i sycząc oponami na wilgotnej nawierzchni. Spadł pierwszy śnieg i w brudnoszarej masie samochody zaczęły żłobić pierwsze koleiny. Warkot był zadowolony, że Gromił wybrał ten środek transportu. Choć wiało ze wszystkich szczelin, silnik pracował miarowo i nie straszne im było utknięcie gdzieś w zaspie w wysłużonej warszawie. Wszędzie tu było stromo i jechali od strony Wrocławia cały czas pod górę.

Obok sierżanta Kuźniaka za kierownicą siedział kapitan Gromił. Na tylnym siedzeniu ulokował się sierżant Socha, protegowany majora Kalamatasa. Obok niego zajmował miejsce zachwycony Warkot. Choć wyjechali w poważnej sprawie, był wniebowzięty, bo już dawno nie wyjeżdżał nigdzie z miasta. Sierżant Kuźniak był skupiony i wyciszony, a Socha okazywał wyraźne niezadowolenie z warunków transportu oraz towarzystwa jakiegoś cywila, który podobno był ważnym świadkiem w tej sprawie. Jeszcze w domu zatemperował zestaw ołówków kopiowych, żeby kolorami wszystko zanotować, a następnie sporządzić raport dla majora Kalamatasa.

– Daleko jeszcze? – zapytał.

– Może ze trzy kilometry... – odparł sierżant Kuźniak, nie odrywając wzroku od drogi.

Mijali piękne drewniane sanatoria, które choć lata największej świetności miały za sobą, wciąż cieszyły oko architekturą spotykaną tylko w górach. Te wszystkie wykusze, tralki, rzeźbione okapy wyglądały niczym z jakiejś bajki. Większość ośrodków przejęły zakłady pracy, żeby zapewnić wypoczynek pracownikom. Zimowy sezon zaczynał się dopiero za miesiąc, ale i tak było tu już sporo turystów, którzy pieli się z mozołem pod górkę, zapierając się podszwami podkutych traperów o śliską nawierzchnię. W dłoniach mieli kije, na plecach brezentowe plecaki w kolorze brudnozielonym, a na głowach robione na drutach czapki z kolorowymi pomponami na wzór alpejski. Co

i rusz któryś z nich przewracał się na oblodzonym chodniku i zsuwali się po zboczu. Bardziej przezorni już w mieście zakładali górskie raki, dzięki którym maszerowali w górę bez przeszkód. Nie było jeszcze widać narciarzy, bo śnieg był świeży i tymczasowy. Turyści szli w stronę szlaków – na Śnieżkę, do Śnieżnych Kotłów albo po prostu w las, żeby nasycić oczy zielenią i wciągnąć w nozdrza zapach wilgotnego igliwia.

– Już niedaleko – uprzedził pytanie sierżant Kuźniak, kiedy mijali przystanek autobusowy w „Białym Jarze”.

– Przecież nic nie mówię – zaperzył się Socha.

– Tylko informuję.

Między sierżantami dwóch wydziałów tego samego resortu iskrzyło od pierwszej chwili, kiedy się spotkali. Kuźniak – doświadczony, można rzec wytrawny milicjant dość lekceważąco odnosił się do „ubeka”, jak go nazywał w myślach, bo uważał, że tacy tylko ludzie potrafią czołgać.

Socha miał o sobie bardzo wysokie mniemanie, bo w końcu zajmował się sprawami wagi państwowej, a nie drobnymi przestępstwami w stylu kradzieży papy czy nośnej kury z przydomowej zagrody. Okazywał wyniosłość nawet Gromiłowi, bo nie podlegał mu bezpośrednio, tylko majorowi.

– Ale pięknie – rzucił ni z gruszki, ni z pietruszki Warkot, spoglądając na dolinę po prawej stronie drogi. Były tam pola niknące w lesie, teraz pokryte gdzieniegdzie warstwą topniejącego śniegu.

Kiedy wydawało się, że wyżej wjechać już nie można, gazik stanął, zatrzymując się przy drewnianym, podmurowanym domu utrzymanym w tyrolsko-bawarskim stylu. Farba wciąż odłaziła od desek, ale Warkotowi to nie przeszkadzało. Przed oczyma stanął mu obraz sprzed ponad dziesięciu lat, kiedy jako młody sierżant asekurował swojego kapitana. Nic mu z tego nie wyszło, bo wróg działał bardzo sprawnie i miał doskonale rozeznanie terenu. Odruchowo spojrzął w stronę ściany lasu, w której zniknął napastnik w panterce z białym podbiciem. Może wciąż tam siedzi?

Kierownik lokalu gastronomicznego „Pohulanka” bardzo zdziwił się i przestraszył niezapowiedzianą wizytą milicji. Czyżby ktoś doniósł? Że mięso ma na lewo? Że wódka nie zawsze z akcyzą? Czasy były wymagające, szczególnie dla kierowników.

– Witam, szanownych panów. – Kierownik odruchowo zatarł dłonie. – Zapraszam do środka. Czym chata bogata, tym...



– Obywatelu, mniej staropolszczyzny, a więcej powagi. Jesteśmy tu urzędowo – przerwał mu Socha.

– Dzień dobry panu – zaczął Gromił, mierząc Sochę groźnym spojrzeniem. Był w końcu najstarszy stopniem bez względu na poboczne okoliczności.

Kiedy usiedli w niemal opustoszałej sali Warkot spostrzegł, że niewiele się tu zmieniło. Zniknęły co prawda serwetki z niemieckimi napisami, ale widoczki z gór były te same, szynkwas podziurawiony kulami ten sam, podobnie jak stoły i ławy. W kącie siedzieli dwóch, najwyraźniej stałych bywalców i raczyło się piwem. Zatopieni w dyskusji nie zwracali uwagi na innych.

– Od jak dawna jest pan tu kierownikiem? – zapytał Gromił.

– Od samego początku, panie pułkowniku – odparł coraz to bardziej drżący restaurator.

– Kapitanie – poprawił go Gromił.

– A tak, panie kapitanie.

– Obywatelu kapitanie – skorygował go Socha.

Warkot skrzywił się, bo już raz to przerabiał. Kuźniak uśmiechnął się złośliwie i poprawił raportówkę.

– Więc obywatelu kapitanie. Wcześniej tu był szynk, a ja wprost z Podhala przyjechałem tutaj, bo u nas była bieda. A mówili, że tu domy stoją, tylko brać, wybierać. A że w Suchej miałem szynk przed wojną, to i zdecydowałem się na ten domek. W sezonie jest ruch, ale poza... cóż, czasy inne, ludzie jeszcze biedne.

Warkot spostrzegł duży słój z kiszonymi ogórkami na szynkwasiu i poczuł, że jest głodny. Postanowił jednak wyczekać do końca wizji lokalnej.

– Wie, obywatel, że tu było gniazdo Werwolfu?

– Co mam nie wiedzieć? Władze ostrzegały, więc pilnowaliśmy na zmianę z sąsiadem. Mówili, że podpalają i strzelają do osadników.

– I co, widzieliście jakichś z bronią?

Kierownik lokalu zawahał się przez chwilę, co nie uszło uwagi Gromiła.

– Nie, to tylko takie strachy na lachy były. W wioskach w dole inaczej. Tutaj raczej cisza, spokój.

– Raczej? – naciskał Socha.

– Neeee, tam raz czy dwa pogonili się po lesie z naszymi wojakami. Ktoś strzelał czy co.

– A o poprzednim właścicielu słyszeliście? – naciskał Socha.

Znów wahanie.

– Coś tam słyszałem, że niby strzelanina była...

– Czy zostały jakieś rzeczy po byłym właścicielu?

– Była cała skrzynia ubrań, to te nowe zostawiłem, a stare wyrzuciłem. Kilka drobiazgów jest jeszcze na strychu...

– Niech pan przyniesie!

Sierżant Kuźniak wiedział, że Gromił zaraz straci cierpliwość, ale nie chciał obsobaczać ubeka przy przesłuchiwanym. Kierownik wszedł za szynkwasiem, zniknął w drzwiach prowadzących na zaplecze i po chwili było słychać, jak buszuje na piętrze.

– Sierżancie Socha – zaczął spokojnym głosem Gromił – powiem wam tak, żebyście dobrze zrozumieli i zapamiętali: trzymajcie mordę na kłódkę, kiedy oficer przesłuchuje świadka. Dobrze?

Sochę zatkało, bo nieczęsto ktoś zwracał się do niego w ten sposób. Gromił uprzedził go i dodał:

– Jeśli będziecie chcieli się poskarżyć majorowi, to proszę bardzo, ale tutaj to ja prowadzę śledztwo. Zrozumiano?

– Ależ, obywatelu kapitanie...

– Pytałem: zrozumiano?

– Tak jest!

Kuźniak nie krył zadowolenia. „Jego” kapitan zawsze potrafił spokojnie dopiąć swego. Warkot rozglądał się zdziwiony, bo obce mu były spory i swary wewnątrz zbrojnego ramienia władzy. Czasem słyszał tylko co nieco od Stefana. A tu był świadkiem konfliktu kompetencji.

Kierownik wrócił, niosąc mocno podniszczony skórzany plecak. Gromił odpiął sprzączki i wysypał całą zawartość na stół.

Stare pióro z pękniętą obsadką. Wyschnięty zbiorniczek na atrament. Zeszyt w czarnej oprawie. Zepsuta zapalniczka na benzynę. Żółtawy, gumowy, obły pojemnik na benzynę z ciecżą w środku. Stare okulary bez jednego szkła. Duży scyzoryk w rogowej oprawie z nożem, piłką i korkociągiem z blokadą na ostrze w skórzanej pochwie. Zielona latarka na płaską baterię z soczewką na szybce i sygnalizacyjnymi filtrami w dwóch kolorach. Ćwierć woskowej świecy. Maść na liszaje z uśmiechniętą blondynką z warkoczami na wieczku. Dwie sprężyny niewiadomego przeznaczenia – może od zamka broni? Kilka gazet ze zdjęciami niezwyciężonej armii niemieckiej na polu bitwy. Jakaś odznaka z żelaznym krzyżem. Legitymacja niemieckiego dróżnika z licznymi okrągłymi pieczętkami w środku. Stara gapa od munduru z powyginanymi skrzydłami. I ostatni przedmiot wyglądający jak jakiś miernik z okrągłą tarczą. Być może do pomiaru ciśnienia w oponach samochodu.

Gromiła zainteresował przede wszystkim zeszyt. Zaczął go kartkować i jego oczom ukazały się notatki zapisane wprawną ręką, wklejone zdjęcia i wycinki z gazet. Ostatni wpis urywał się w połowie. Zdanie było niedokończone: *Alles verloren aber es ist noch nicht alles zu spät...* co znaczyło: Wszystko stracone, ale nie jest jeszcze za późno...

Z jednego ze zdjęć spoglądał na niego przystojny, szczupły Hauptsturmführer z żelaznym krzyżem pod szyją. Pociągła twarz, władcze spojrzenie, błysk w oku. Pewnie krewny. Pod zdjęciem widniał podpis: „Jürgen”. Gromił będzie miał jeszcze czas na dokładne prześledzenie tego pamiętnika.

Pobieżne oględziny przedmiotów nie wykazały niczego niezwykłego, choć sam plecak był obecnie niespotykany – wykonany ze skóry z emblematem strzelców górskich. Nie była to jednak aż taka ciekawostka, żeby się nad tym dłużej zastanawiać.

Dwóch klientów w rogu sali zaczęło rozmawiać coraz głośniej.

– Mówię ci, Lutek, wielka landara...

– Tobie się już zupełnie od tyj roboty dekiel poluzował, Sylwester! Nie ma siły. Nie przejechałby.

– Przeca na własne gały widziałem!

– Eeee tam, opileś się hary i zwidy miałeś jakie.

– No żebym się tak z tego miejsca nie ruszył!

– Jak bydziesz tak fanzolić po próznicy, to ci się mózg zlasuja!

– Czekaj, chacharze, dom ci jo bobu. Przez pysk prasnę, to nauczysz się szacunku dla starszych!

– Ożeż ty pieronie!

Rozwój wydarzeń zmierzał do dyskusji opartej o dużo mniej finezyjne argumenty. Gromił wskazał głową sierżantowi Kuźniakowi siedzących mężczyzn. Ten od razu ruszył do akcji.

– Spokój, obywatele. Co się tu wyrabia? O co ten rwetes?

– Panie władzo, bo padom koledze, zech widział, jak tako wielka lora wjechała do sztolni – powiedział Sylwester. – A ten że ni, że niemożliwe.

– Dokumenty poproszę!

– Ależ panie sierżancie, to nic, my się ino tak po kamracku przekomarzamy – odezwał się Lutek.

Kuźniak po mistrzowsku potrafił ostudzić nawet najbardziej rozgrzane głowy. Mężczyźni podali mu dokumenty.

– O co chodzi, obywatele? O co ten hałas?

– No bo, panie władzo, jo padom, co widziałech wielgachny wóz, jak wjeżdżał do sztolni, a Lutek...

– Jo padom, co to niepodobna i że Sylwester blank gupi.

– Someś gupi, mośloku jeden!

– Spokój, cisza! – zgromił ich Kuźniak. – O co chodzi z tym samochodem?

– No bo tam jest wąsko – odparł Sylwester. – Żadna lora tam nie wjedzie. A wszystko zarośnięte. To i po co tam się pchać?

– A gdzie ta sztolnia?

– U nas w Kowarach. No i po co gizd jeden po nocy by się tam pchoł?

– E tam, pchoł – powiedział Lutek. – Zwidy mosz. Ożartyś i godasz, co ci ślina na język przyniesie.

– Jaka to była ciężarówka? – Kuźniak chciał dojść do sedna sprawy.

– Wielgachno, taka z paką. – Sylwester rozpostarł ręce. – I miała te, no, mazy farbą robione.

– Mazy, mazy toś ty mioł... na hajzlu, jak papiru zabrakło – zakpił Lutek.

– Spokój! Opisze obywatel wszystko, jak było.

Kuźniak wyjął notes i ołówek. Swoją pracę traktował niezwykle poważnie, a ciężarówki po nocy nie jeździły, do tego po lesie.

W tym czasie Gromił zdążył wypytać jeszcze kierownika o kilka rzeczy.

– A rzeźba tu była? Taka figurka drewniana, pamiętacie?

– Jaka figurka, obywatelu kapitanie? Ja tam żadnej figurki nie pamiętam – odparł zdecydowanie za szybko kierownik.

– Mówcie! Rzeźba była, przecież wiemy! – rzucił groźnie Socha, wyraźnie chciał przejąć przesłuchanie.

– Kiedy... kiedy pan pułkownik zakazał mówić! – wykrztusił w końcu kierownik.

- Jaki pułkownik? Nazwisko!?
 - A przyjechał tu onegdaj dużym, czarnym wozem. Zabrał, co chciał: zastawę, szkło, no i tego cudaka z brodą.
 - Jak to zabrał? Dokąd?
 - Mówią, że urządzają na nowo domek myśliwski.
 - Gadajżeż, człowieku, bo nie wytrzymam!
 - Tam na górze, co to kiedyś Göring go miał i sam Adolf w odwiedziny przyjeżdżał.
 - Ja wiem, gdzie to jest – powiedział Gromił. – I zabrał, mówicie?
 - Zabrał, nawet kwitu nie zostawił – żalił się kierownik. – A jak co zginie, to na kogo będzie, no, na kogo?
 - Dobrze już, dobrze. Dziękujemy wam – rzucił pojednawczo Socha.
 - Czy w związku z tym mógłbym mieć prośbę? – wtrącił się milczący dotąd Warkot.
 - Tak? – zapytał kierownik.
 - Poproszę jajecznicę na boczku i szklanę mleka.
- Socha i Gromił spojrzeli po sobie. Decyzja była jednomyślna. Zapomnieli o bożym świecie – im też kiszki zaczęły grać marsza.
- No to cztery razy – złamał się Gromił.
 - Już lecę, już pędzę. – Kierownik w biegu zacierał dłonie. Chyba był to symptom jakiejś choroby zawodowej wszystkich szynkarzy.
 - No i co tam masz? – zapytał Gromił Kuźniaka, który chichocząc pod nosem, zbliżał się do ich stolika.
 - Ale heca. Sprawa może być poważna, ale tak śmiesznie gadają, że nie mogę. A zna pan kapitan taki dowcip? Jeden facet mówi do drugiego: „Wybaczy pan, jestem z Sosnowca, czy to kopalnia «Kleofas»?”. „Wybaczym wam”, pado górnik i poszedł dalej. – Kuźniak parsknął śmiechem.
 - Nie rozumiem, co w tym śmiesznego – Socha zrobił groźną minę.
 - No jak to... – Kuźniak zaniemówił. – Przecież... jak kopalnia może się tak śmiesznie nazywać?
- Gromił uśmiechnął się, podobnie Warkot, ale nie odezwali się słowem.
- Albo ten. Karlik pyta sztygara: „Panie sztajger, widzieliście już moja piękna żona?”. Na co ten odpowiada: „A co, macie dwie?”.
 - He, he, a to dobre – zarechotał Socha i Kuźniak zawtórował mu gromkim śmiechem.
 - To dobrze, jak podwładny jest zadowolony – rzucił Gromił do Warkota. – Żle, kiedy podwładny jest markotny, bo ma dużo pracy i brak rozrywek. Jak się cieszy, to i przełożony się cieszy. Kuźniak, do cholery! Coś się dowiedział przy tym stoliku?!
- Kuźniak w jednej chwili spoważniał. Jemu najwyraźniej też udzielił się nastrój wyjazdu za miasto.
- Melduję, że w nocy w okolicach starej sztolni w Kowarach zauważono w lesie ciężarówkę z kamuflażem na bokach. Wjechała do tunelu, w którym teoretycznie nie

powinna była się zmieścić. Dalszych ruchów pojazdu nie zanotowano – wyrecytował służbiście.

Nagle otworzyły się drzwi lokalu i do środka wszedł kolejny turysta, otupując buty i otrzepując się z wody. Jaskrawo czerwona czapka była zakończona równie jaskrawym żółtym pomponem. Gość odstawił sękatą laskę w kąt i jak gdyby nigdy nic zajął miejsce pod oknem.

– Piwo jasne z pianką, proszę! – odezwał się głośno i Gromił z Warkotem jak jeden mąż poderwali głowy do góry.

Był to ni mniej, ni więcej Leon Słupecki we własnej ziemskiej postaci. Zdawał się ich nie zauważać, więc oni też udawali, że go nie znają. Mógł go rozpoznać Kuźniak, ale on też trzymał gębę na kłódkę. Słupecki rozejrzał się zadowolony z siebie i zdjął czapkę. Wkrótce przynieśli jajecznicę, do której cała delegacja zabrała się z zapałem. Na chwilę zapomnieli o całym świecie, delektując się smakowitą potrawą, którą zapijali mlekiem i zagryzali pajdą wyśmienitego, wiejskiego chleba. Musieli nabrać sił przed kolejnym etapem wyprawy, który nie będzie ani łatwy, ani przyjemny.

Zdzisław Kapusta wrócił do domu na ulicy Krzyckiej wcześniej niż zwykle. Naprawił maszynę i był tak zmęczony, że ledwo powłóczył nogami. Marlena poprawiała prace domowe uczniów, kreśląc je na czerwono i robiąc uwagi na marginesach.

– Popatrz tylko, Zdzisiu, jak oni piszą! – irytowała się.

– Marlenka, daj spokój, to dzieci.

– Ładne mi dzieci. Szósta klasa! I byk na byku. Ale ja z nim zrobię porządek. Ja ich nauczę.

– Moja ty aktywistko – rozczulił się Kapusta. – Co na obiad? – dodał rzeczowo.

– Kluski śląskie ze skwarkami, zaraz ci odgrzeję.

– A kotlecik?

– Poniedziałek to dzień bezmięsny – zaczęła Marlena tonem nauczycielki z poprawczaka.

– Jasne, w poniedziałek partyjny dzień bezmięsny, w piątek kościelny. Dobrze, że Bozia zostawiła nam jeszcze pięć innych dni, ale nigdy nie wiadomo, kto się na te dni zaczał. Na przykład działkowcy. Mogliby wprowadzić środę jako dzień bezmięsny. A związki zawodowe? Proponuję czwartek. A przecież jest przysłowie, pani doktor powinna najlepiej wiedzieć: „Powiedział mi Bartek, że dziś tłusty czwartek!”.

– Wyrwane z kontekstu, poza tym jeszcze nie doktor. A do tego tłusty czwartek jest raz w roku.

– Dwudziesty drugi lipca też jest raz w roku, a wtedy jakoś nikt o pączkach nie mówi. Nie wspominając o kotleciku. I Pierwszego Maja.

– Pierwszego Maja to rocznica słusznych robotniczych protestów w Ameryce.

– Tak, protestowali, że im się benzyna do fordów kończy. A właśnie. Mam ja, Marlenko, niespodziankę dla ciebie.

- Znów przyniosłeś mi książkę? Niedługo nie będzie ich gdzie trzymać.
- Nie, ty mój przodownik pracy socjalistycznej. To nie książka.
- Czyżby jakaś apaszka? – zapytała z nadzieją w głosie Marlenu.
- A co to ja mam po bazarach biegać?
- No to powiedz już, powiedz.

Kapusta sięgnął do skórzanej torby, odpiął klamry i wyciągnął kwadratowy kształt zawinięty w szary papier.

– Broniek gdzieś wynalazł. A że nie ma gramofonu... – Kapusta spojrział z dumą na nowiutki gramofon stojący na radioodbiorniku. – Mam już dość tych wszystkich ptaszków, co lasek przeleciały, tych Karolinek, Kalinek i Katusz, a i Koterbska mi się przejadła. To nowa płyta. Amerykańska.

Zdjął szary papier. Ich oczom ukazała się kolorowa okładka z jakimś brunetem na zdjęciu. Miał zaczesane włosy do tyłu i patrzył na nich spojrzeniem niebieskich oczu.

– Pewnie jakiś militarysta – zawyrokowała Marlenu. – Ale włącz, zobaczymy, co tam wróg knuje.

Kapusta podszedł do gramofonu, włączył go, po czym po chwili zielone oko radioodbiornika służącego za wzmacniacz zatliło się przymglonym światłem. Nałożył płytę na talerz. Począł, aż urządzenie nabierze obrotów, po czym delikatnie opuścił igłę na ebonit.

Z głośnika popłynęła muzyka. Szybka, rytmiczna. Obydwoje małżonkowie zamarli, Kapusta ze zgrozy, a Marlenu z zachwyty. To nie były ckliwe i łzawe piosenki. To była muzyka taneczna z dobrą sekcją, no i śpiewał ten brunet. Elvis. Wywrotowy rock and roll, tak jak uczyli jeszcze niedawno na kursach. Wokalista miał doskonały głos, głęboki, a jednocześnie aksamitny. Potrafił śpiewać. *Step on my blue suede shoes...*

Słuchali jak urzeczeni. Kolejny utwór na tej stronie płyty. Jeszcze szybszy, jeszcze bardziej dynamiczny. Marlenie zakręciło się w głowie i miała ochotę porwać swego Zdziska w dekadenski, imperialistyczny tan, ale powstrzymywała ją tylko niewielka powierzchnia pokoju stołowego. Wokalista śpiewał jak w transie. *Tutti frutti, all rooty...*

– A to przewrotne amerykany – wykrztusił Kapusta, kiedy igła obracała się na jałowym biegu na końcu płyty.

Marlenu podeszła do urządzenia i przewróciła płytę na drugą stronę. Dwa kolejne utwory, równie chwytliwe o nieco innym tempie i instrumentacji. Nogi same rwały się do tańca i trudno było przy tym usiedzieć. Do dobrze znanego jazzu dodano coś jeszcze, wyrazisty, motoryczny rytm, który uderzał do głowy jak młode wino i już na zawsze zostawał pod czaszką.

– Jak można tak grać i śpiewać? – Kapusta nie mógł uwierzyć. – To jest jakieś takie... dzikie.

– Zalewasz, Zdzisiu. – W Marlenie obudziły się nieznane dotąd instynkty. Miała ochotę rzucić zeszyty szóstoklasistów i ruszyć w miasto, tak jak kiedyś na studiach, całą paczką bawić się do białego rana. – Nastawię jeszcze raz, dobrze?

– Ale kluski...? – zaczął płaczliwie majster. – Ze skwarkami – dodał z łakomstwem w oczach.

– Kluski nie zając.

– Głodny jestem. – Sytuacja w domu Kapustów zaczęła stawać na ostrzu noża.

– *Don't step on my blue suede shoes ...* – zaśpiewał Elvis raz jeszcze, jakby został nasłany przez CIA i chciał wygubić całą klasę robotniczą w krajach demokracji ludowej. Głodem ją wziąć.

– Marlenka... – zakwilił Kapusta na skraju wyczerpania nerwowego, bo wiedział, że ten przystojny brunet zabiera mu bezczelnie żonę.

– Dobrze już dobrze – rzuciła pojednawczo Marlena i zeszła do kuchni, żeby przygotować obiad.

Majster Kapusta z ulgą podniósł igłę z czarnej płyty i ciężko usiadł na krześle. Stało się. Wiedział, że kiedyś to nastąpi, choć wmawiał sobie, że różnica wieku między nimi niewiele znaczy. Teraz okazało się, że przyjdzie taki pierwszy lepszy Elvis i czar pryśnie. Kluski będą zimne z wierzchu, a pod spodem przypalone, a on znów sam zostanie na tym świecie jak palec. Może nieco dramatyzował, ale tak właśnie wtedy się czuł. Nie pomogło nawet to, że kluski były ciepłe, pulchne, a skwarki odpowiednio chrupiące, wcale nieprzypalone. A do tego dostał kefir. Zimny z lodówki, tak jak lubił. Elvis, psiajucha. „Dam ja temu Bronkowi” – pomyślał mściwie.

Marlena po obiedzie rzuciła mu się z zaskoczenia na szyję. Wyczuwała go i wyściskała.

– Mój Kapuśniaczek może mi codziennie takie prezenty robić – mruknęła zalotnie. – A może teraz, Zdzisiu, ma ochotę na odrobinę pieśczoł ze swoją żoneczką?

Kapusta siedział sztywno na krześle, jakby kij połknął. Przed chwilą był gotów napisać list protestacyjny do ambasady USA. Nastąpił jednak nieprzewidziany zwrot wydarzeń. Elvis okazał się w sumie byczym chłopakiem. Nie ma co. Ale Kapusta pomyślał, że nawet największa maszyna licząca nie jest w stanie obliczyć wzoru na zrozumienie kobiety. Sam diabeł by ich nie pojął. Sam diabeł.

Morderca widział, jak gazik z napisem MO odjeżdża spod „Pohulanki”. Sam siedział za kierownicą wysłużonego citroena, zaciskając dłonie w rękawiczkach na kierownicy. Wsiadł z wozu i zamknął za sobą drzwi. Poszedł w stronę gospody, brnąc przez roztapiającą się breję.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Zdjął kapelusz i strzepnął wodę z płaszcza. Rozejrzał się po sali. Dwóch mężczyzn pod przeciwległą ścianą bratało się na potęgę, przyrzekając sobie dozgonną przyjaźń wspieraną kieliszkami rumu. Jakiś turysta w mocno średnim wieku wcinał kaszanke i zapijał ją piwem. Kierownik ośrodka właśnie wyłonił się z zaplecza, usłyszawszy dzwonek w drzwiach wejściowych. Morderca widział go po raz pierwszy na oczy, ale ten nie wiedzieć czemu zbladł jak ściana na jego widok.

Morderca podszedł do szynkwasu.

– Ja nic, nic im nie powiedziałem... – wykrztusił.

– Na jaki temat? – morderca był szczerze zaskoczony.

– Ja pana poznaję. Wisiało tu pana zdjęcie, o tu. – Wskazał na puste miejsce za barem.

– Aha, czyli nie muszę się przedstawiać. W takim razie mogę prosić o jego zwrot?

– Za... zaraz przyniosę.

Kierownik poszedł znów na górę i wrócił z czarno-białym zdjęciem w drewnianej ramie. Z fotografii patrzył władczo morderca, tyle że dużo młodszy. Miał na sobie czarny mundur, pod szyją wisiał żelazny krzyż. Wtedy był blondynem, choć tego nie było widać całkiem na zdjęciu, teraz miał stalowosiwe włosy, ale też przycięte krótko, po wojskowemu. Na dodatek na policzku widać było zagojoną ranę od noża czy bagnetu. Biegła obok ust i kończyła się pod prawym okiem. Nadawała mu prawdziwie okrutny wygląd.

Morderca patrzył na kierownika jasnoniebieskimi oczyma, które zdawały się rzucać tak dojmujące, intensywne spojrzenie, że kierownik był w stanie przysiąc, że mogły wypalić dziurę w najtwardszym metalu.

– Dziękuję. Widzi pan, to pamiątka rodzinna. Na tym zdjęciu jest mój brat.

– Tak, oczywiście, brat. – Obydwaj wiedzieli, że to nieprawda.

– Ale granice się zmieniły, teraz tu rządzą inni, a ja, rozumie pan. Nostalgia. Musiałem przyjechać, odwiedzić.

– Pana rodzice prowadzili ten szynk?

– Dawno temu. W innym czasie.

– Może chce pan coś jeszcze sobie zabrać na pamiątkę?

– Ma pan może taką starą rzeźbę? Stała tu na szynkwasio. To był Liczyrzepa, Duch Gór. Mój ojciec ją bardzo lubił.

– Rzeźbę? Przed chwilą milicja właśnie o nią pytała.

– Milicja? Ci, co tu byli przed chwilą?

Kierownik zorientował się, że nieznajomy obserwował jego lokal – zrobiło mu się zimno. Powiedział mu wszystko, włącznie z tym, dokąd odesłał milicjantów i gdzie znajduje się poszukiwany przedmiot.

– W takim razie... do zobaczenia – powiedział morderca takim głosem, że kierownik nie miał złudzeń, w jakich okolicznościach odbędzie się następne spotkanie, jeśli coś pójdzie nie po myśli gościa.

– Mogę prosić jeszcze raz kwaterkę? – rozległ się donośny głos turysty spod okna.

– W tej minucie służę panu – odkrzyknął kierownik, nie odrywając wzroku od nieznajomego.

– W górach lepiej smakuje – mlasnął z zadowoleniem turysta.

Morderca obrócił się na pięcie, nałożył kapelusz i wyszedł bez słowa. Kierownik odprowadzał go wzrokiem i patrzył, jak wsiada do przedwojennej gabloty.

– No i co z tym piwem? – zaniepokoił się turysta.

– Już podaję – mruknął zrezygnowany kierownik lokalu i wziął do ręki czysty kufel.

Turysta przeciągnął się, zapalił papierosa i patrzył na kierownika, jakby chciał ocenić jego szanse przy potencjalnym spotkaniu z nieznanym. Mówiąc szczerze, były bardzo niewielkie.





ROZDZIAŁ SZÓSTY

...dyskretny urok dekadencji...

Milicyjny gazik stanął przed szlabanem zagradzającym wjazd do zameczku myśliwskiego. Dwóch żołnierzy bacznie przyglądało się przybyłym. Trzeci wisiał na telefonie i konferował z dowódcą. Wokół nich padały duże płatki śniegu, co dawało wrażenie dość niezwykle i – co tu dużo mówić – niezwykłe. Jakby tu, na wysokiej Księżej Górze, której szczyt otaczało ogrodzenie zwieńczone zwojami drutu kolczastego, znajdowała się enklawa spokoju. Oaza, w której mieszkańcy nie musieli obawiać się niczego i nikogo. Majestatyczne świerki dawały schronienie i całkowite poczucie odosobnienia. Być może właśnie taki był zamiar budowniczych tego miejsca.

Żołnierz oderwał ucho od słuchawki i krzyknął do kolegi:

– Adolek, otwieraj.

Szlaban podniesiono i sierżant Kuźniak poprowadził samochód po zwirowym podjeździe zaproszonym lekko śniegiem wprost pod parking przed domkiem. Określenie „domek” było dużym eufemizmem, ponieważ ich oczom ukazała się luksusowa posiadłość w górach, z okien której rozciągał się widok na dolinę z jednej strony oraz panorama gór z drugiej. Gdyby nie było tu drzew, można byłoby bronić tego obiektu z garstką wojska, bo nikt nie mógłby podejść tu niezauważony.

Na ich powitanie wyszedł wojskowy w randze kapitana. Miał około czterdziestu lat i wyglądał na osobę, która niejedno w życiu już widziała.

Gromił wysiadł pierwszy, za nim Kuźniak i reszta. Kapitan zsalutował i podał rękę każdemu z osobna.

– Kapitan Czerniak – przedstawił się.

Kiedy sierżant Socha podał swoje nazwisko, żołnierz uśmiechnął się serdecznie.

– Spodziewałem się towarzyszy, dostałem telefon od majora Kalamatasa.

Poprowadził ich przez ciężkie, dębowe drzwi szerokim korytarzem do holu i dalej do sali kominkowej. Wszędzie wisiły poroża i inne trofea myśliwskie. Nawet żyrandole

i lichtarze były zrobione z rogów. Wokół owalnej ławy stały pokryte skórą krzesła, a przy kominku dwa głębokie fotele w kolorze dojrzałego burgunda. Unosił się tu dawno zapomniany w Polsce dyskretny urok dekadencji, czasów dawno minionych i przebrzmiałych. Nie był to może barokowy przepych, ale wszystkie meble i zgromadzone przedmioty były dziełem mistrza swego fachu.

Kapitan zaprosił ich, żeby usiedli przy stole.

– Słucham, co obywateli do nas sprowadza?

– Prowadzę śledztwo w pewnej sprawie i tropy wiodą właśnie tutaj – odezwał się Gromił. – W toku śledztwa dowiedziałem się, że znajduje się u was pewien przedmiot, dziewiętnastowieczna rzeźba Ducha Gór, Liczyrzepy, czy jak kto woli Rzepióra.

– I przedstawiciele władzy ludowej przyjechali taki kawał, żeby popatrzeć sobie na kawałek drewna?

– Pozwoli pan, kapitanie. Pan ma swoje obowiązki, a ja swoje. Czy znajduje się u was ta rzeźba?

Czerniak zawahał się, ale spojrzawszy na Sochę, znów się serdecznie uśmiechnął.

– Tak, zdaje się, że mamy coś takiego. Stoi w jadalni. Możemy zaraz tam pójść i obejrzeć.

– No mówiłem ci, Liwa, po co tyle tych maneli? Kto to będzie składał? – Z piętra dobiegł ich donośny, dobrze znany głos.

– Ależ to... to... pierwszy sekretarz, towarzysz... – wyszeptał z nabożną czią sierżant Socha.

– Radziłbym, towarzyszu sierżancie, podobnie jak wszystkim obecnym, zapomnieć o tym, co tu usłyszycie i zobaczycie.

Jakby na złość, głos odezwał się ponownie.

– I tyle gaci? Kto to będzie nosił? No zbieraj się już, jedziemy z wizytą!

Gromił zachował kamienną twarz, jedynie Warkot uśmiechnął się pod nosem. Czerniak próbował jakoś ratować powagę sytuacji.

– Przywódcy partyjni i państwowi to ludzie na eksponowanych stanowiskach. W ciągłym ruchu. Wciąż pracują i muszą gdzieś wypocząć. A tu cisza, spokój...

– I co się tak pacykujesz? Wyglądasz jak jakaś amerykańska flądra!

– Możemy już przejść do jadalni? – zapytał Gromił.

– Oczywiście. – Kapitan przyjął to z wielką ulgą. – Tędy proszę.

Gonił ich jeszcze głos zrzędlivego starca:

– Trzeba mieć mentalność ladacznicy spod latarni, żeby tak się stroić...

Zamknięto drzwi i Gromił od razu spostrzegł rzeźbę Liczyrzepy. Stworzył ją prawdziwy artysta. Mistrzowsko wykonane szaty opadały w fałdach, na dłoniach postaci widać było delikatne żyłki, a regularne rysy twarzy wyglądały jak prawdziwe. Oblicze spowijała gęsta, długa broda. Liczyrzepa trzymał w jednej dłoni kostur zakończony jakimś misternym splotem. Druga, lekko opuszczona trzymała klucz. Duch Gór miał groźny wyraz twarzy, żeby nikt nie zapomniał, kto naprawdę rządzi w górach.

Gromił przeczytał, że postać ta pojawiła się wraz z przybyciem braci walońskich, którzy rozwinęli na tym terenie manufaktury metalurgiczne oraz ziołolecznictwo. Wierzyli, że Liczyrzepa skupia w sobie wszystkie siły nieprzyjaznej górskiej Natury i czasem uwalnia je na zgryzotę mieszkańców tych terenów. Był to niezwykle kapryśny, pogański bożek, którego bano się, ale też składano mu hołdy. Bóg był gdzieś tam w niebiosach, ale tu na ziemi, tak blisko chmur, niepodzielną władzę sprawował właśnie Duch Gór.

Wtórne pogaństwo było bardzo charakterystyczne dla rejonów, gdzie pogoda zmieniała się z minuty na minutę, aura była sroga, szczególnie zimą, a ziemia wymagała szczególnych zabiegów, żeby mogła wydać skąpe owoce. Karkonosze były krainą bogatą w surowce naturalne i kamienie szlachetne. Flora miała unikalny charakter i rosło tu wiele roślin, których próżno by szukać gdzie indziej. W pobliskich Kowarach działały kopalnie uranu, złota Wieku Atomu. Wydobywano go, nie troszcząc się w ogóle o górników. Najpierw prace wykonywali jeńcy wojenni, a po jakimś czasie więźniowie z kolonii karnej. Sprowadzono też górników ze Śląska, którzy byli mistrzami, jeśli chodzi o wydzieranie ziemi jej skarbów.

Gromił wziął do ręki rzeźbę. Była zaskakująco ciężka.

– Co to może być za drewno? – zapytał pozostałych.

– Może dąb? – odpowiedział Warkot.

– Nie, jest jeszcze cięższe.

Obydwaj szukali nazw w pamięci.

– Może, no... palisander – zgadywał dalej Warkot.

– To możliwe – odparł Gromił. – Bo jest bardzo ciężki i kolor się zgadza.

Kapitan przyglądał się bacznie trzymanemu w dłoniach przedmiotowi. Rzeźba miała lekki brunatny odcień z domieszką czerwieni. Dopiero po chwili dostrzegł przesuwaną płytkę skrytki w podstawie. Zajrzał do środka. Nie kryła już żadnych tajemnic. Wyjął z kieszeni lupę niczym wytrawny detektyw i podszedł do lampy stołowej. Centymetr po centymetrze śledził mistrzowskie ślady po dłucie, szukając jakiejś wskazówki. Nagle drgnął. W splotach brody, po lewej stronie, odkrył niewielki, wycięty płytkim dłutkiem napis: „Steinseiffen”.

– Ma pan przedwojenną mapę okolicy? – zapytał Gromił.

– Tutaj wisi. – Czerniak wskazał na dużą płachtę za szybą.

Stefan zaczął systematycznie poszukiwać nazwy na mapie. Był przekonany, że to nazwa miejscowości albo wsi.

– Jest! – wykrzyknął.

– Co jest? – zapytał Warkot.

Gromił wskazał triumfalnie na niewielki napis miejscowości nieopodal. To też można było przeoczyć: STEINSEIFFEN.

– Jak to się teraz nazywa? – zapytał Stefan.

– To Ścięgny – odparł Czerniak. – Mała wioska. Kiedyś było tam dużo kowali.

– Dziękujemy panu, panie kapitanie. Nie będziemy zabierać więcej czasu. Prosiłbym tylko umożliwić mojemu sierżantowi zrobienie kilku zdjęć tego przedmiotu. – Dał sygnał Kuźniakowi, który już ruszył do samochodu po sprzęt.

– Oczywiście, oczywiście. Może w tym czasie napiją się panowie herbaty, kawy, a może czegoś mocniejszego?

– Bardzo dziękujemy, ale spieszymy się – zaczął sierżant Socha, na co Gromił spiorunował go spojrzeniem.

– Niegrzecznie jest odmawiać, jak ktoś ładnie prosi – powiedział Stefan.

Kapitan Czerniak zniknął gdzieś i po chwili weszła kelnerka, niosąc tacę z aromatyczną kawą i koniakówkami. Usiedli, wypili, a w tym czasie biedny Kuźniak obfotografował dokładnie całe znalezisko, od czasu do czasu tylko sięgając po filiżankę.

Po kilkunastu minutach cała czwórka wsiadła do samochodu odprowadzana przez kapitana Czerniaka. Podniesiono szlaban i łazik zaczął zjeżdżać z Księżej Góry ku dolinie.

Morderca widział, jak odjeżdżają. Skryty w gęstym lesie bacznie wszystko obserwował. Czyżby wpadli na trop? Niemożliwe. Informacje były pilnie strzeżone, a po jego dwóch wyczynach reszcie odeszła ochota na samodzielne działania. Myśleli, że ponad dziesięć lat po wojnie wszyscy zapomnieli? Naiwni. To tylko świadczyło, z jakimi amatorami musiał pracować pod koniec wojny. Pozostali, oddani Rzeszy i Führerowi, siedzieli gdzieś teraz w ruskim łagrze albo użyźniali ziemię na polach bitew zeszłej wojny. Miał do dyspozycji tyle, co nic. Kilku narwańców, którzy postarzelali się i skapcianieli do reszty.

Największym zagrożeniem był ten smarkacz. Pamiętał go z tamtych lat. Wtedy ledwo zaczął mu się wąs sypać. Nie było okazji, żeby go wykończyć. Może teraz się uda? Morderca był pewien, że ten młody wiedział, że słyszał, że zaczął kojarzyć. No bo po co inaczej braliby go na oficjalną wizję lokalną? Po co włączaliby do śledztwa? Władza ludowa zazdrośnie strzegła swych przywilejów.

Były dwa możliwe wyjaśnienia. Albo to kapuś, który donosicielstwo ma we krwi. Albo – co mało prawdopodobne – smarkacz nic nie wie i znalazł się tu, ponieważ był świadkiem tamtych wydarzeń.

Morderca spojrzawszy nienawistnym wzrokiem na zaskakujące okolice Zameczek. Nie ma szans, żeby się przedostać do środka. W nocy ponoć strażnicy włączali prąd w ogrodzeniu... Trzeba ruszyć za tamtymi. Zacisnął dłoń na rękojeści noża umieszczonego w specjalnym schowku w kieszeni płaszcza. Nawet przy pobieżnej rewizji nie znaleźliby go, ale w każdej chwili był gotów wysunąć się ze skórzanej pochwy.

Mężczyzna zaklął szpetnie i zaczął schodzić między drzewami w stronę pozostawionego niżej samochodu.

W tym czasie we Wrocławiu na krótką chwilę zapanowała niejaka nerwowość. Major Kalamatas postanowił, jak to mówił, urwać łeb Hydrze i zgarnąć wszystkich namierzonych. W zaciszu domowym snuł wizję nowego życia. Nie zamierzał bynajmniej po wyjeździe lecieć z wywieszonym ozorem do mediów i zwierzać się, jaki to straszny ustrój panuje w Polsce. Nie interesowało go wzbudzanie fermentu, bo to przyciągnęłoby tylko uwagę tych, co nie wybaczą. Postanowił osiąść gdzieś w jakimś kraju o przyjaznym klimacie, gdzie mógłby cieszyć się spokojnym życiem rentiera. Do tego potrzebny był mu schowek wraz z zawartością. No i jeszcze odrobina szczęścia.

– Towarzyszu majorze, melduję się na rozkaz. – Jeden z wywiadowców trzasnął słuźbiście obcasami.

– Zwijamy towarzystwo. Daj znać chłopakom.

– Ta-jest! – wywiadowca wybiegł z gabinetu.

„Już ja ich przycisnę, aż zaczną śpiewać jak kanarki” – pomyślał mściwie Kalamatas.

Jesień była we Wrocławiu szczególną porą roku. Znikały liście z drzew i pogoda robiła się nieprzyjemna. Oczywiście byli też zwolennicy pluchy, bo przynosiła ulgę po uciążliwych wrocławskich upałach. Stare kamieniczki przyjęły do swego grona te odtworzone po wojnie. Zaanektowały nowe domy do swojej rodziny bez sprzeciwów. W ich interesie leżało zachowanie dawnego wyglądu miasta. Co prawda było kilku renegatów, jeszcze z lat dwudziestych, kiedy to pewien szalony architekt, epatując na całego swoim autorytetem, zaproponował wyburzenie ich i postawienie na ich miejsce bandy potworów architektonicznych podobnych do tego, jaki szpecił teraz zachodni róg Rynku na styku z placem Solnym. Wyglądały jak masywne bunkry z betonu. Obecnie na szczęście przywrócono piękno starych podcieni. Odrestaurowano misterne detale na pobliskiej fasadzie domu kupca Rybischa. Być może reanimacja ta była sprzeczna z naturą, ale nie zaszkodziła Wrocławowi. To prawdziwy cud, że w tym morzu gruzów ocalały gdzieś tam kolumnady, fasady budynków i kunsztowne sztukaterie.

Wrocławskie dziedzińce były piękne w swych rozmaitych formach. Zdawało się, że skryły się przed bombami natarcia wielkanocnego, zamknęły mocno okienne ślepia, udając, że ich nie ma. Że zapadły się gdzieś głęboko w niebyt, byle nie widzieć, byle nie słyszeć. Teraz ostrożnie otwierały oczy i spoglądały na nowy świat, obserwując ostrożnie, jak architekci leczą ich rany.

Poznajdowały się nawet ich zabytkowe drzwi, bo teraz nikt nie zawracałby sobie głowy rzeźbieniem w grubych, dębowych deskach. Widać było na nich ślady po kulach, ale potrzeba było dużo większego kalibru, żeby zniweczyć pracę dawnych mistrzów stolarstwa. Wytrzymały, przetrwały. Potrzebny był tylko lekki retusz, czasem wymiana zawiasów, czasem uzupełnienie oderwanych detali. W tych latach jeszcze nie malowano ich gęstą, olejną farbą. Przykładano wagę do szczegółu. Kiedy otwierały swoje podwoje przed zaciekawionymi przybyszami, którzy przyjeżdżali do Wrocławia na studia bądź do pracy, ukazywały im, czasem na niezwykle małej przestrzeni, pomysł i projekt dawnych architektów, którzy wykorzystywali każdy metr wolnego miejsca między

domami.

Zalśniła znów klinkierowa cegła w kolorze złamanej beżem bieli, wypiaszkowane reliefy ożyły nad wejściami do budynków, układając się niby ruchome obrazy na ścianach. Prządka znów zaczęła snuć swą nić, orły uniosły łby, gryfy przeciągnęły się niczym duże koty w zoo, wystawiając kocim obyczajem ostre pazury. Rzeźby, takie jak te na ulicy Rzeźniczej, plafony, figury roznegliżowanych panien otrząsały się z pyłu i kurzu. Maszkarony z rozwartymi pyskami znów mogły straszyć bez przeszkód, bo i one w czasie oblężenia miasta i kilka lat później bojaźliwie schowały się przerażone widokiem miasta.

Mąż pijak nad wejściem do Piwnicy Świdnickiej znów bełkotliwym głosem tłumaczył coś rozzłoszczonej żonie.

– Kochanie, tylko trzy kolejeczki, z kolegami, tak, z kolegami.

– Ja ci dam kolegów, ty łajdaku! Pieniądze przepijasz, nie wracasz do domu, a ja czekam.

Chodak w ręce żony aż nadto dobitnie wskazywał jaki będzie dalszy ciąg tego powrotu.

Była to scenka zawieszona nad wejściem do najsłynniejszego wrocławskiego lokalu, która wisiała tam niczym memento, ostrzegając potencjalnych klientów, że tak się może skończyć ich upojny wieczór.

Na ścianach ratusza, najwyraźniej kpiąc sobie ze wszystkiego, zadomowiły się psy i mały. Niektóre, na wzór flamandzkich kuzynów, ścisnęły różne instrumenty muzyczne. Psy goniły własne ogony, mały robiły straszny rwetes, a pyzaty anioł dął w dudy niczym u mistrza Bruegla.

Na zewnętrznych ścianach kościołów wciąż pyszniły się bogate epitafia znanych wrocławskich wielmoży i mieszczan. Wmurowano je tutaj, żeby pamięć o wielkich nie zaginęła, choć nie przewidziano, że nowi mieszkańcy nie potrafili czytać kunsztownych liter i między tymi wszystkimi zawijasami trudno było odszyfrować starodawne nazwiska. Widać było natomiast heraldyczne hełmy rycerskie, narzędzia pracy znamionujące przynależność do cechów i portrety w kamieniu umieszczone nad całą listą tytułów, dokonań i życiorysów. Można było odnieść wrażenie, że postacie na tych epitafiach rozmawiają ze sobą, kręcąc głowami nad tym wszystkim tak, że przekrzywiały im się strojne kryzy.

Można było się zadumać nad mijającym czasem, szczególnie jesienią. Kamienni świadkowie historii miasta niejedno widzieli i przeżyli. Zrazu anonimowi, zamknięci w średniowiecznej formie, później już znacznie bardziej wyeksponowani, znani z imienia, nazwiska i wyglądu. I ostatnia grupa postaci alegorycznych, którym nadano indywidualne cechy. Niezmienne pozostały tylko maszkarony, które od średniowiecza zmieniały się wraz z nowymi trendami w sztuce, przybierając formę demonów powykrzywianych w spazmatycznym grymasie przez nawiązujących do Antyku form z otwartymi ustami i groźnie ściągniętymi brwiami do secesyjnych, onirycznych, często

nieziemsko pięknych podobizn tchnących urokiem i tajemnicą.

Wszystkie one, począwszy od rzygaczy w kształcie smoczych łbów do zwiewnych, secesyjnych nimf cudem przetrwały, być może w nadprzyrodzony sposób, odganiając od siebie lecące w ich stronę rozgrzane do czerwoności pociski. Teraz regenerowały siły w oczekiwaniu, co będzie dalej.

Barbara Warkot z domu Słupecka skończyła właśnie nocną zmianę na Klinikach. W szpitalu wyjątkowo nie było żadnych cięższych przypadków, czas upłynął więc spokojnie. Ale Barbara i tak nie mogła zasnąć w dyżurce lekarskiej. Pomimo zmęczenia wracała spacerem do domu, mijając te wszystkie wspaniałości. Lubiła zadzierać głowę i spoglądać na zdobienia budynków, gdyż przywoływały na myśl minione czasy, a okolice katedry dodatkowo przypominały jej dramatyczne zajścia sprzed kilku lat.

Jej myśli krążyły wokół Janka. Ich pierwsze spotkanie było dziełem przypadku. Karetka zabrała go na pogotowie wraz z jego przyjacielem, Zdziśkiem Kapustą. Janek miał tylko lekkie obrażenia, ale mało brakowało, a Zdzisiek by tego nie przeżył. Wykaraskał się jakoś, chyba tylko dzięki żelaznemu organizmowi. Na początku lat pięćdziesiątych we Wrocławiu żyło się trudniej niż teraz. Na dodatek Janka, Zdziśka i Stefana Gromiła łączyła tajemnica, do której nie chcieli jej dopuścić. Niewiele pamiętała z dramatycznych wydarzeń tamtego lata. Ocknęła się dopiero w ramionach Janka, który wpatrywał się z troską w jej oczy. Ona też się zbyt nie dopytywała, co się stało.

No i jeszcze Leon. Twierdził, że jest jej krewnym, choć nikt z najbliższej rodziny tego nie potwierdzał. Nazwisko to samo, ale w końcu nie było aż takie rzadkie. Może i byli spokrewnieni. Na pewno posiadali to samo poczucie humoru, które pozwalało przejść niejedną zakręt w życiu. Rozładować sytuację, natchnąć innych nadzieją.

Pogodne usposobienie sprawiło, że zbliżyła się z Jankiem podczas tych letnich miesięcy, ale dopiero po jakimś czasie zaczęli chodzić ze sobą naprawdę. Pobrali się w pięćdziesiątym piątym i odtąd stanowili nierozłączną parę. Warkot ujął ją niezwykle łagodnością, która w połączeniu z niemal dziecięcą niewinnością, nawet naiwnością sprawiła, że serce miękło jej jak wosk. Jej mąż był przy tym wysokim, postawnym mężczyzną o niebanalnej męskiej urodzie. Z pociągłej twarzy, która była nieustannie pokryta ciemnym, niedającym się okiełznać podczas porannego golenia zarostem patrzyły na nią niebieskie oczy. Z tego oblicza emanowała niezwykle szlachetność i dobroć.

Basia zrobiłaby wszystko dla Janka. Chciała tylko, żeby się kiedyś przed nią otworzył, bo czuła niezawodnym instynktem, że coś go trapi.

– Dzień dobry, kuzyneczko!

Aż podskoczyła, słysząc ten głos.

– Dzień dobry, wujku Leonie. Wcześniej wstajesz.

– Szkoda dnia.

Doszła do ruchliwego rogu ulicy Grodzkiej. Leon pojawił się zniemacka, co

najwyraźniej było jego immanentną cechą. Jak filip z konopi.

- Czy to przypadkowe spotkanie? – zapytała Basia.
- Właściwie to nie.
- Chcesz ze mną porozmawiać?
- Tak, korzystając z okazji, że Janek wyjechał w delegację.
- Och – zdumiała się Basia – gdyby ktoś inny to powiedział, pomyślałabym...
- Niech kuzynka nie przesadza, po prostu martwię się o Janka.
- Co się stało?
- Jeszcze nic, ale może się stać.
- Niech mnie wujek nie straszy.

Choć straszenie było poniekąd domeną Leona Słupeckiego, ostatni raz robił to na serio wiele dziesiątków lat temu i teraz nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Chodźmy może gdzieś usiąść. Opowiem ci co nieco.

Basia zaintrygowana poszła razem z wujkiem. Kiedy znaleźli ławkę pod dużym platanem, Słupecki odchrząknął i zaczął mówić.

- Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze kult jednostki był w pełnym rozkwicie...
- Nieźle się zaczyna.
- ...poznałem twojego męża i przygarnąwszy go do mej szerokiej piersi, wyjawiałem mu to, czego on sam dowiedzieć się nie mógł.
- Chodzi o ten sygnet, prawda? Pytałam go wielokrotnie, ale nie chciał mi zdradzić za wiele. Powiedział, że to pamiątka rodzinna.
- Zgadza się. Otóż jego rodzina należała do pewnego stowarzyszenia, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, czyli Bractwa Wołoskiego. Mówiąc w dużym skrócie, była to organizacja powołana do walki ze złem. W wielu jego przejawach – dodał szybko.
- To byli jacyś templariusze?
- Coś na ten kształt. Po prostu okoliczności do panoszenia się zła dawniej były szczególnie sprzyjające, więc kilku wielmożów skrzyknęło się i zawiązali pakt.
- I Janek miał z tym coś wspólnego?
- Opowiedziałem mu, czym zajmowała się jego rodzina, która należała do Bractwa, i dałem mu sygnet z krwawnikiem.
- A wujek niby skąd to wszystko wiedział?
- O to mniejsza, ale posłuchaj... Janek pod moim wpływem, nie chwając się, przejrzał na oczy. Do tej pory był zdolnym młodzieńcem, który chodził na masówki i potępiał agresję w Korei. Dzięki mnie zaczął postrzegać rzeczywistość bez czerwonych okularów. Na własnej skórze przekonał się, że zło istnieje i wcale nie jest to jakiś zabobon czy inne gusła. Tyle że nastały nowe czasy, to i zło przybiera nowe formy. Wraz z Jankiem i Stefką zlikwidowaliśmy groźną szajkę, która chciała tu nam we Wrocławiu nieźle namieszać.
- Wiem, przecież mnie porwali i cudem zostałam uratowana, a resztę przeczytałam w gazetach. Jacyś imperialistyczni agenci, którzy zabijali ludzi...

– To wersja oficjalna. Może kiedyś opowiemy ci pełną wersję.
– Wujek mówi samymi zagadkami.
– Bo sam jestem zagadkowy i tajemniczy – rzucił beztrosko Słupecki.
– Ale po co te wstępy? O co naprawdę chodzi?
– Tym razem sytuacja jest nie mniej groźna. Dla Janka przede wszystkim.
– No nie, teraz to się już poważnie martwię.
– Widzisz, Basiu, Janek widział coś, co jest dla niego niezwykle niebezpieczne. Będę się starał wydobyć to z jego pamięci. Na razie wiem tylko tyle, że jest taki jeden... – Słupecki ugryzł się w język – ... łachudra taki, który jest bardzo złym człowiekiem. I tylko Janek może połączyć go z wielką chryją, która się tu u nas kroi. Jest jedyną osobą, która może powiązać przeszłość z teraźniejszością. A mamy do czynienia z... – zawahał się – ...od czego by tu zacząć? Z kretami, którzy pozostali u nas po wojnie i się skutecznie zamaskowali. Z oficerem kontrwywiadu, który puścił w ruch śledczą maszynę w postaci Stefka Gromiła. Z mordercą, który lata na wolności i robi, co chce, bo jest świetnie wyszkolony. I w końcu ze skarbem nieopisanego wartości.

Basia patrzyła na niego, szeroko otwierając oczy.

– A mój mąż?

– Janek jest pod opieką Stefka, choć on sam potraktował wypad w góry jako wycieczkę turystyczną.

– Więc to nie delegacja?

– Och, nie jesteś pierwszą żoną, która dowiaduje się o pewnych sprawach na końcu. Ale – dodał, widząc zaskoczenie na twarzy Basi – jak to mówią słowa piosenki: *Żołnierz dziewczynie nie skłamię, chociaż nie wszystko jej powie*. Pierwszorzędny wers na początek piosenki, nie sądzisz?

– Czyli coś mu grozi?

– Najważniejsze jest to, żeby go teraz wspierać. Niech nie wie, że ty wiesz, ale zrozum go i postaraj się otoczyć opieką, tak jak to tylko kobieta potrafi.

– Czułam, że coś jest nie tak...

– No właśnie! Szósty zmysł, kobieca intuicja i tak dalej.

Basia odruchowo wygładziła płaszcz, wpatrując się w dłonie. Dłonie zdolnego chirurga, które trzeba było często nacierać kremem po tych wszystkich środkach odkażających. Spojrzała na obrączkę na palcu, którą codziennie ściągała i od razu zakładała po wyjściu z pracy.

– On jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że coś mu grozi, ale on również instynktownie to wyczuwa. Stefan już się tego domyśla, bo to łebski facet. Zaczyna dodawać jedno do drugiego. Będę im jak zwykle pomagać, ile będę mógł. Ja też nie mogę być wszędzie jednocześnie – dokończył, chowając ukradkiem czapkę z pomponem do kieszeni kurtki.

– Jak mogę pomóc?

– Na razie nie daj po sobie poznać, że w ogóle czymś się martwisz, bo Janek to wyczuje. On też jest jak licznik Geigera-Müllera. Nadajecie na tych samych falach,

choć w niektórych sprawach bardzo się różnicie. I to nazywam idealnym małżeństwem. Wierz mi, sam byłem żonaty.

– Tak? – Barbara była niezwykle zaskoczona szczerością i nagłą otwartością „wuja”.

– Stare dzieje, sprzed wojny.

„Ale której?” – to pytanie instynktownie pojawiło się w myślach Basi, ale postanowiła zachować je dla siebie.

Słupecki odprowadził Barbarę do tramwaju i stał jeszcze jakiś czas na przystanku, odprowadzając wzrokiem kolebiący się na szynach pojazd. Następnie ruszył w wąską uliczkę i rozejrzawszy się dookoła, rozpułnął się w porannej mgle.





ROZDZIAŁ SIÓDMY ...ratunku, milicja...

Kamienica przy ulicy Komuny Paryskiej najlepsze lata miała za sobą. Stała, wraz z innymi, bardzo podobnymi, w dzielnicy, którą ledwo kilkaset metrów dzieliło od Starego Miasta. Fosa miejska odgradzała ją skutecznie od funduszy remontowych, konserwatorów i rusztowań. Nosila ślady po kulach i inne rozliczne obrażenia, które powinny postawić ją w gronie kombatantów, lecz los zostawił ją na pastwę losu i zarządu gospodarki komunalnej.

Starówka leżała na wyciągnięcie ręki, Wyspa Tumska była też niedaleko, przesłaniał ją tylko budynek władz województwa, na którym znów nie tak dawno wisiały na kolumnadzie długie, czerwone flagi z białym okręgiem i wpisanym weń starohinduskim symbolem. Ulica znajdowała się praktycznie w centrum Starego Miasta, ale na obrzeżach, w atrakcyjnej niegdyś dzielnicy, która teraz mocno podupadła zasiedlana na potęgę. Jedynie najodważniejsi zapuszczali się w te rejony za dnia, a nocą byli to wyłącznie amatorzy mocnych wrażeń.

Odgłos podkutych butów rozchodził się po wyłożonej drewnem klatce schodowej. Popękane witraże niegdyś z pietyzmem wstawiane przez mistrzów szklarstwa drżały teraz z każdym krokiem w strachu o kruche życie. Trzech mężczyzn ruszyło długim korytarzem, mijając wspólną toaletę na pierwszym piętrze.

– A panowie to właściwie do kogo?

Jeden z lokatorów wychodził właśnie z przybytku. Włos miał zmierzwiony, na twarzy kilkuniedniowy zarost. Nosił podkoszulek drugiej świeżości oraz spodnie na szelkach.

– Panowie to za sanacji chłopą gnębili – burknął jeden z orłów Kalamatasa, bo to oni właśnie wykonywali rozkaz dowódcy. – Nazwisko!

– Józef, światło!

– Żarty sobie z władzy obywatele robicie? Nazwisko powiedziałem!

Tak się składało, że Józef Światło, członek aparatu władzy kilka lat temu uciekł z państwa ludowego i zaczął pluć w zachodnich stacjach radiowych na socjalistyczną ojczyznę.

– Towarzysze, spokojnie, ja do sąsiada krzyczę, bo światła w kibelku nie wyłącza i świeci się, cholera, cały dzień. – Wskazał na żarówkę wiszącą w oprawce na cienkim drucie. – Że niby moje to nazwisko?

– Tylko bez żartów!

– Kanarek Stanisław jestem.

– Gdzie mieszkacie?

– O tu, pod dziesiątką.

– *Na prawo most, na leeeewo most...* – Jakiś damski sznaps baryton zza drzwi obok zaintonował pieśń sławiającą dokonania brygad „Służby Polsce”.

– Pracujący? – zapytał funkcjonariusz.

– Widzi pan władza, jakoś sobie nie mogę zajęcia znaleźć...

– Bumelant znaczy się, niebieski ptak. – Widać było, że śledczy przeszedł ostatnio stosowne szkolenia.

Drugi z ubeków zastukał do drzwi z taką siłą, jakby szturmował średniowieczne miasto.

– A co się tam tak tłucze, no co się tłucze, pytam się...? – Dobięło ich pytanie zza drzwi uzdolnionej śpiewaczki.

Pierwszy huknął z całych sił:

– Cisza ma tu być! Bo na dołek.

Mieszkańcy budynku zaczęli pojawiać się w drzwiach zaniepokojeni hałasem o tak wczesnej porze.

– *A dooooołem Wiiiisła płyyyyynie!...* – Wokalistka najwyraźniej szykowała się na jakąś imprezę masową.

Drugi, wciąż przy drzwiach, czekał na reakcję. Nikt w mieszkaniu nie otwierał.

– Mieszka tu Karczek Henryk? – zapytał pierwszy.

– Heniek? A co ma nie mieszkać, może w pracy jest.

– Poczekaj. – Drugi uciszył pierwszego i smutni zamarli na korytarzu w bezruchu niczym żywe rzeźby. – Ciii...

Nagle wewnątrz mieszkania coś spadło z hukiem na podłogę. Smutni ruszyli do akcji niczym sfora ogarów. Drzwi na ich nieszczęście były bardzo solidne i nie dało się ich od razu wyważyć.

– *Tu rooośnie dom, tam rooooośnie dom...*

– Sławek, idź no tam do tej baby i ucisz ją, bo nie strzymam! – ktoś krzyknął.

Kto mieczem wojuje... masowe pieśni stały się prawdziwie masowe. Trzeci ruszył w stronę uchylonych drzwi, skąd dobiegał śpiew, a pierwszy i drugi zaczęli napierać na drzwi lokalu numer 6.

– Obywatelko, proszę o spokój!

– Jaka ja tam obywatelka, Miećka jestem.

Zza drzwi wyszła kobieta, jeszcze młoda, w stanie wyraźnie wskazującym na spożycie wyrobów monopolu państwowego. Strój miała niekompletny i najwyraźniej przedłużyła sobie świętowanie. Podrapała się po rozczochranych włosach i wyciągnęła dłoń na powitanie.

Dwaj koledzy trzeciego w końcu sforsowali drewniane drzwi, które ustąpiły z trzaskiem. Wpadli do mieszkania. Zobaczyli tylko, jak czyjaś głowa chowa się za oknem, a jej właściciel zjeżdża w dół po rynnie.

– Ożeż ty... – pierwszy zaklął pod nosem.

Dopadli z drugim do okna, ale było już za późno. Henryk Karczek uciekał przez podwórze w stronę tylnego wyjścia z posesji, które nie było obstawione. Pierwszy wyszarpnął tetetkę z kabury.

Trach! – wystrzał poderwał stadko gołębi.

– Jezus Maria! Strzelają! – krzyknął ktoś z oficyny.

Na dziedziniec wypadło jeszcze dwóch smutnych, gorączkowo szukając guza.

Tratatatatata!... – po podwórzu rozszedł się pogłos, jakby ktoś naprawiał jakąś wyjątkowo oporną maszynę.

– Ma pistolet maszynowy! – wykrzyknął pierwszy do tych na dole. – Za nim!

Ubecy stanęli jak wryci, bo nikt jeszcze do nich nie strzelał. Tym bardziej z broni maszynowej. Do tej pory wszyscy kulili się na ich widok i grzecznie szli na Podwale. Odwaga ich opuściła. Nie podjęli pościgu.

– Niech to szlag jasny trafi! Stary nam z dupy nogi powyrywa – rzucił pierwszy właściwie tylko do siebie.

– Jakie dupy? – zainteresowała się śpiewaczka. – Ja sobie wypraszam, hyp, żadne dupy. Miećka jestem. – Ponownie wyciągnęła rękę do trzeciego.

– Zabieramy całe to towarzystwo! – warknął pierwszy. – Ubierać się! – krzyknął do Miećki i Kanarka. Będziecie śpiewać jak z nut!

– O przepraszam, ale za co, pytam się ja?! – zaprotestował Kanarek.

Nie pierwszy raz kanarek nie był skory do śpiewu. Trzeba mu było tylko stworzyć odpowiednie warunki. Nieważne, każdy prędzej czy później zaśpiewa w klatce.

– Ratuuuunku, milicjaaaa! – Darł się jakiś mniej uświadomiony obywatel z oficyny, który na swoje nieszczęście wyszedł z mieszkania i widział ucieczkę sąsiada.

– Zenek, gumą go, gumą! – krzyknął pierwszy.

Tym na dole nie trzeba było tego powtarzać. Chcąc się zrehabilitować za akt niegodny funkcjonariuszy bezpieczeństwa, przyłali z całej siły w plecy zatrzymywanemu.

– Pardon, ja tylko coś na siebie coś, hyp, narzucę, bo trochę w demobilu jestem... – Śpiewaczka Miećka najwyraźniej doskonale się bawiła.

Smutni zgarniali mieszkańców kamienicy przy Komuny Paryskiej do wozów. Zebrali sześć osób. To już było coś. Może major nie będzie krzyczał.

– I po jakiego wała przywlekliście mi tu tych wszystkich meneli? Co? Gadaj, bo będziesz do końca życia Bieszczady patrolował!

– Zaskoczył nas. Nie spodziewaliśmy się, że ma peema... – Pierwszy bronił się niemrawo. – Nasi chłopcy ruszyli w pogoń, ale zniknął, strzelając do nas.

– Dupy jesteście, a nie bezpieczniacy. Z kim ja pracuję? Krowy wam pasać, a nie ustroju bronić!

– Znajdziemy dziada, jak bum cyk-cyk.

– Znajdziecie... Wy byście krowiego placka w oborze nie znaleźli! Wynocha mi stąd. Spisać to całe tałatajstwo. Pijaków na dołek... Nie! Wszystkich na dołek wsadzić. Jak sobie posiedzą, to im nie zaszkodzi na cerę.

Gromił, Warkot i dwaj sierżanci zatrzymali się w milicyjnym gaziku przy wielkim, drewnianym domu, który jako jedyny spełniał odpowiednie warunki obiektu, w którym mógł się zatrzymać ktoś znaczny. Warkot spojrzął z ciekawością na to drewniane чудо i westchnął. Drewniane tralki podtrzymywały tarasy z widokiem na strumień i góry. W całej tej drewnianej konstrukcji panował asymetryczny ład, choć budowla najlepsze lata miała za sobą.

„Żeby tak można było choć na kilka dni przyjechać tu z Basią...” – pomyślał.

Przyjaciół jakby czytał w jego myślach.

– Piękna okolica. Piękny pensjonat. Warto by tu było kiedyś przyjechać po służbie.

– Ja tam nie widzę tu nic pięknego – wtrącił się sierżant Socha. – Drewniana buda wielka jak stodoła. Trzeba by to zburzyć i postawić solidny dom wczasowy. A toto spali się prędzej czy później. Truchło.

– Że niby nowe to ładne? – zakpił sierżant Kuźniak.

– A co, że niby stare to piękne? – odciął się Socha.

– Spokój, panowie. Nie ma się o co kłócić. Musimy zachować urzędową powagę.

Kierownik, jak należało się spodziewać, przyjął ich z przestraczem w oczach. Najbardziej bał się Warkota, bo ten się nie odzywał i rozglądał tylko. Kierownik pomyślał tym samym, że musi być najważniejszy w tym gronie.

– Chcielibyśmy, żeby nas pan oprowadził po pensjonacie – powiedział Gromił.

– Ależ oczywiście, naturalnie.

Kierownik mijał zręcznie wychodzących z jadalni turystów. Ci spuszczaali głowy na widok munduru Kuźniaka i jeszcze niżej na widok towarzyszących mu trzech cywilów.

– Tu jest główna klatka schodowa. Mamy dużo pokoi i sezon zacznie się lada chwila... – dodał asekuracyjnie, jakby potencjalna absencja kierownika mogła niekorzystnie wpłynąć na funkcjonowanie uspołecznionej placówki.

– Nie, pokoje nie. Chyba że macie tu jakiś apartament?

– Wygód tu wielkich nie ma, ale jest duża jadalnia, w bilardzik można zagrać. Poopalać się na leżaku na tarasie. No oczywiście jeszcze nie teraz, ale czasami tu śnieg leży i słońce świeci jak to w górach.

Gromiła coś tknęło.

– A ma pan tu jakieś stare przedmioty po dawnych właścicielach. Jakieś obrazy, rzeźby...?

– Jest tego trochę. Upchnęliśmy to na tyłach domu, bo obywatele rozumieją, złe wspomnienia, wojna, okupacja...

– Niech obywatel nie kluczy – odezwał się niespodziewanie Socha.

– Ale ja mówię tylko... – Kierownik zbladł cały. – Proszę, obywatele pozwolą tędy.

Po przejściu z dużego holu przez drzwi znaleźli się w drugim korytarzyku, który po prawej stronie kończył się mniejszymi, kręconymi schodami.

– To dla obsługi. – Kierownik uśmiechnął się przepraszająco. – No ktoś musi pokoje sprzątać.

– Znaczą się dawniej dla służby? – zapytał rzeczowo Gromił.

– No tak... – przyznał kierownik z rezygnacją w głosie.

– I potośmy tę wojnę wygrali – rzucił z odrazą Socha – żeby wrócić do kapitalistycznego wyzysku.

– Ależ panie! – zaprotestował Gromił. – Przecież ktoś te pokoje musi sprzątać, tak?

– To jakieś błędne koło – odezwał się Warkot. – Jak to jest? Rewolucja wyzwala uciskane masy, które protestowały, że pracy nie mają. Kiedy praca jest wszędzie, pracownicy fizyczni mają nie pracować, bo to będzie przypominało sanacyjny ucisk?

Socha spojrział złym okiem na Warkota.

– Janku, nie po to tu przyjechaliśmy – Gromił uspokoił przyjaciela, po czym zwrócił się do kierownika – To co, prowadzi nas pan na tyły?

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, kiedyś najwyraźniej służyło kameralnym spotkaniom towarzyskim. Stał tu jeszcze barek, kilka foteli przy ławie oraz dwa duże, skórzane fotele ustawione frontem do kunsztownego kamiennego kominka. Na podłodze leżał gruby dywan, a na ścianach pełno było reliktyw minionej epoki. Nie, nie tej, tej wcześniejszej. Wisiały tu oprawione zdjęcia z widokami z Wrocławia, panorama Karkonoszy i stara mapa.

Gromiła zainteresował sam kominek. Był wykonany z zielonego kamienia, miał dwie kolumnienki po bokach i kamienny gzyms na górze, na którym kiedyś ustawiano różne bibeloty, a teraz stała słomiana laleczka z Cepelii. W splotach wieńczących kolumny wiły się motywy roślinne. Rozpoznał bluszcz i wszechobecny wizerunek dziewięcisiu, rośliny będącej symbolem okolic górskich nie tylko na tych terenach. Był to rozłożysty kwiat podobny nieco do słonecznika, od którego odchodziły szpiczaste liście. Gromił zauważył coś jeszcze, ale zachował to dla siebie.

– A rzeźby tego no, Liczyrzepy u was nie ma?

– Może by i się znalazła, ale za dużo tego było i część rzeczy trzymamy w składziku...

– No to na co czekasz, człowieku? Prowadź nas tam! – Tym razem Kuźniak nie wytrzymał i postanowił nieco popędzić ślamazarnego kierownika.

– Tędy proszę.

Za salą kominkową znajdowała się niewielka kuchnia, w której można było zaparzyć kawy albo herbaty i przygotować przekąski dla wytrawnego towarzystwa. A za nią...

– Ojej! – nie wytrzymał Kuźniak.

– Niech mnie... – zaklął pod nosem Warkot.

– No, no... – skomentował Gromił.

Sierżant Socha operacyjnie milczał.

Za kuchnią zobaczyli niewielkie drzwi do magazynku, w którym niegdyś gromadzono fantazyjne wiktuały, butelki Chateau d'Yquem oraz reńskich sikaczy na potrzeby gości. Teraz drzwi stały otworem, a na samym brzegu, jak gdyby nigdy nic, leżała sobie figurka Liczyrzepy. Dokładnie taka sama, jaką zostawili w Zameczku. Niewątpliwie wykonał ją ten sam artysta, bo jego stylu nie dało się pomylić z żadnym innym. Ta figura nie miała jednej dłoni, bo ktoś ją utracił. Poza tym stanowiła bliźniacze, lustrzane odbicie pierwszej.

Gromił doskoczył do niej niczym ryś. Podniósł zakurzoną rzeźbę do światła, ale niczego nie mógł wypatrzeć. Wziął ją ostrożnie w ręce i ruszył szybkim krokiem w stronę przeszklonej werandy, zostawiając za sobą tren kurzu. Pozostali poszli w jego ślady, nawet kierownik zdawał się mocno zaciekawiony, bo on też słyszał opowieści o niemieckich skarbach pozostawionych tutaj przez uciekające wojska.

Kapitan stanął na werandzie i zaczął gorączkowo poszukiwać jakiejś wskazówki. Odwrócił figurkę w poszukiwaniu schowka, ale go nie znalazł. Dostrzegł natomiast wskazówkę i uśmiechnął się do swoich myśli. Instynkt go nie zawiódł. W tym samym miejscu, na styku drewnianej brody i szaty widniał mikroskopijny napis wycięty wprawną ręką: EBERWURZ.

„Kwiat dziewięciśiłu... Ciekawe” – pomyślał Gromił.

Po lewej stronie kwiatu widniała ledwo widoczna litera L i cyfra 3, a po prawej litera R i cyfra 2.

Układanka powoli i z móżdżem odsłaniała swoją tajemnicę. Elementy zaczęły się zazębiać. Sprawa zaczęła przybierać dość nieoczekiwany obrót. Zamiast szukać wskazanych przez majora ludzi zaczynał dochodzić do tego, czego wspólnie strzegli.

Henryk Karczek otarł pot z twarzy. Obejrzał się po raz setny. Nie ścigali go. Udało się. Tak mu się przynajmniej wydawało. Wyciągnął magazynek z peema. W ten sposób łatwiej było go ukryć pod płaszczem. Przewiesił go pod ramieniem, a magazynek schował do kieszeni. Zapiął się pod szyję i postawił kołnierz płaszcza. Czapkę nacisnął mocno na oczy i niespiesznym krokiem ruszył w stronę dworca. Tam, pomimo obecności licznych mundurowych, mógł się schować i wsiąść do jeleniogórskiego pociągu. A stamtąd... było już blisko.

Zmierzchało już, kiedy milicyjny gazik wjeżdżał do Wrocławia. Jadąc przez zniszczone

dzielnice południowe miasta, mijali pojedyncze domy, które tkwiły tu niczym wyrzut sumienia. Stały niczym znaki ostrzegawcze dla przyjezdnych, żeby nie bawić się w zbrodnicze ideologie, bo to niedobrze się kończy. Sierżant Kuźniak zatrzymał samochód przed domem Jana Warkota, który pożegnał się ze wszystkimi i poczłapał do siebie. Gromił polecił Kuźniakowi jechać dalej, bo chciał jak najszybciej znaleźć się w domu. Socha powiedział, że on też wysiada, bo pójdzie na chwilę do pracy.

„Jasne, raporcik trzeba wysmażyć” – pomyślał mściwie Gromił.

Dalej pojechali we dwójkę. Jak na ironię na budynku Opery łopotał transparent z napisem: „PRACA – SOCJALIZM – POKÓJ”. Informował on mieszkańców Wrocławia, jakie były priorytety. Na pohybel wojennym podżegaczom z krajów ucisku i wyzysku.

Gazik pomknął opustoszałą już Świdnicką i wjechał na Rynek. Jeszcze jeden skręt w prawo i drugi w lewo, i był pod domem. Podziękował Kuźniakowi za całodzienną bezpieczną jazdę i poszedł na górę. Na schodach spojrzął jeszcze na światła w oknach sąsiadów z oficyny. Jedzą, kładą się do snu, wypoczywają, może coś czytają. W dwóch oknach mrugało niebieskawe światło najnowszej zdobyczy cywilizacji – telewizora.

– Szkoda na to czasu – mruknął pod nosem Gromił.

– A skąd to szanowny pan wraca o tej porze? – usłyszał z półpiętra.

Odruchowo sięgnął pod palto. Sąsiadka.

– Pani Apolonio, żeby pani wiedziała, że zaraz tu padnę na nos i będzie mnie musiał pani mąż do mieszkania wnosić.

– Pranie wieszałam na strychu i słyszę, że ktoś człapie, więc odczekałam, bo wie pan, ile tego chuligaństwa się namnożyło ostatnio. Nie wiadomo, kto idzie.

– Swój, swój... przecież pani widzi.

– Ciężki dzień, panie Stefanie?

– W górach byłem. A mówią, że człowiek tam odpoczywa, że świeże powietrze i tak dalej...

– W górach? A to ja wiem, co to jest! – wykrzyknęła uradowana. – To HYPERWENTYLACJA, w telewizorze jeden taki mówił. Że jak się człowiek nawdycha tego świeżego powietrza, to odwykły organizm siada. No dosłownie siada, mówię panu.

– Siada, tak? Ja też bym chętnie usiadł przy herbacie.

– A może pan głodny? Mam coś jeszcze z obiadu, to może panu odgrzeję?

– Bardzo pani uprzejma, ale jeszcze muszę popracować. A jak zjem, to zaraz śpię. – Gromił przygładził włosy zaczesane do tyłu.

– Mam kotleciki mielone.

– Ooo, to pewnie z delikatesów.

– Ale, ale, panie Stefanie. Był tu taki jeden, szukał pana.

– Nie przedstawił się?

– Mówił tylko, że od łyżek. Brynet taki.

– Aaa, to znam jegomościa. Zostawił jakąś kartkę czy co?

– Nie, tylko mówił, że musi się z panem pilnie widzieć. Żeby pan do niego zajrzał jutro.

– Dobrze, dziękuję pani. To ja już sobie...

Sąsiadka nie chciała tak łatwo wypuścić z rąk łatwej zdobyczy. Zmęczony sąsiad jest łatwiejszy do okiełznania. I można zagadać go na śmierć.

– Niech pan poczeka. Zaraz odgrzeję panu na kolację... Pan taki sam i nie dojada.

– Naprawdę dziękuję, pani Polu, muszę już... – Gromił bronił się bardzo słabo.

– Potrzebuję tylko chwilki, a coś ciepłego pan zje. Pewnie nic pan w ustach nie miał od rana.

Gromiłowi przypomniała się jajecznicza na boczku, którą zawdzięczał Warkotowi, bo to on wymógł na nich zamówienie śniadania w Karpaczu. Zaślinił się cały na wspomnienie pysznej potrawy, wiejskiego chleba i mleka.

– Właściwie gdyby pani nie sprawiło to kłopotu... – Bastylia padała, choć oblegających wcale nie było wielu. Byli za to bezwzględni w swych występkach.

– To już lecę, z ogóreczkiem może być? I z zapiekаныmi ziemniaczkami?

– Ojej!

Kotleciki były przednie, podobnie jak ziemniaki i ogórek. Gromił zajadał ze smakiem. Umył talerz i sztućce i odniósł wszystko sąsiadce, gorąco dziękując za troskę.

– A wie pani, że od razu mi lepiej? Jakby zmęczenie odeszło.

– Widzi pan? – Sąsiadka uśmiechnęła się triumfalnie.

Wrócił do mieszkania i rozłożył akta sprawy, mając nadzieję, że coś jeszcze w nich wypatrzy. Nie minęło pięć minut, kiedy poleciała mu głowa i zasnął tak twardo, że mogli sobie wokół strzelać i tłuc się – i tak by go nie obudzili. Gdyby sam Douglas Fairbanks wjechał tu na koniu w czarnej pelerynie, masce i sombrero, i zakrzyknął „Ole!”, nic by nie wskórał.

Barbara wróciła z nocnego dyżuru i stanęła w pokoju, bez słowa patrząc na męża. Po drodze kupiła świeże bułki i mleko. Spoglądała na niego, jakby go widziała pierwszy raz w życiu. Spotkanie z Leonem dało jej dużo do myślenia. W jej spojrzeniu była miłość i ciepło, ale teraz pojawił się jeszcze podziw. To prawda, ukrywał coś przed nią – domyślała się tego od dawna. Nie podejrzewała jednak, że to coś tak ważnego. Mówiąc szczerze, spodziewała się jakiegoś banału, o których często plotkowały koleżanki. Dawnej miłości, która pojawiłaby się niespodziewanie, roszcząc sobie jakieś prawa do Janka. Kłopotów w pracy, o których nie chciał jej mówić, żeby się nie martwiła.

Wierzyła mu i ufała, a że nie była osobą konfliktową, postanowiła poczekać, aż sam jej o tym powie. Nie powiedział. Nie miała o to do niego żalu. Istnieją tajemnice i sekrety, które można wyjawić drugiej osobie wyłącznie dobrowolnie. Tak, aby nie zniszczyć budowanego związku, który ma przetrwać lata. Mądre kobiety i mężczyźni

zdawali sobie z tego sprawę, znali to niepisane małżeńskie prawo instynktownie bądź też podpowiadały im tę zasadę dobry charakter i miłość.

Warkot poruszył się i otworzył oczy.

– Jesteś? – uśmiechnął się do niej.

– Jak było?

– Muszę ci powiedzieć, że bardzo dobrze zrobił mi ten wypad. Wiesz, skarbie, jak tam jest pięknie? Może byśmy się wyrwali z miasta, choć na parę dni?

– Przecież nie teraz, nie jesienią.

– Teraz też jest tam pięknie. Liście na drzewach są czerwone i żółte. I wokół ta zieleń, taka głęboka zieleń.

– Bardzo bym chciała.

Warkot spochmurniał na sekundę.

– Muszę powiedzieć ci prawdę. Pojechałem tam ze Stefkiem.

– Ze Stefanem? Stało się coś?

– Kiedyś, zaraz po wojnie, wziąłem udział w pewnej akcji. Zbir z Werwolfu zastrzelił nam żołnierza, a żona podejrzanego zastrzeliła mojego kapitana.

– Chodzi o jakąś starą sprawę?

– Tak, Stefek najwyraźniej wpadł na jakiś trop. Już ja go znam. Uśmiechał się całą drogę do swoich myśli. Pojechał z nami też Kuźniak i taki jeden z UB.

– No to miałeś obstawę.

– Wszyscy truchleli na nasz widok. To naprawdę obrzydliwe. Wiesz, jak ci ludzie się bali? Zwykli ludzie! Może i mieli na sumieniu jakieś grzeszki, ale przecież nic wielkiego. No i towarzysza Wiesława widziałem...

– Na portrecie to nic strasznego. Wszędzie je wieszają.

– Nie, na żywo.

– Coś ty?

– Właściwie nie widziałem, ale słyszałem.

Warkot opowiedział żonie o spotkaniu w myśliwskim Zameczku. Śmiali się długo. Basia zrobiła śniadanie i rozmawiali jeszcze chwilę.

– Stefek nic nie mówił, bo tam był ten cały Socha – opowiadał Janek. – Służbista. Gdybyśmy byli sami z Kuźniakiem, dowiedziałbym się czegoś więcej.

– Nie naciskaj go, jak zechce, sam ci powie.

– I tak czułem się, jakbym był jego powiernikiem. Jakbym wiedział dużo więcej niż ten ubek.

– Wiesz co, ja się teraz położę, a ty idź do pracy, bo się spóźnisz. Porozmawiamy jeszcze. Lubię z tobą rozmawiać, Janku.

– Wygrałem los na loterii.

– Ale biedny Zdzisiek mało wtedy nie umarł – zaczęła bardzo ostrożnie, wchodząc na niepewny grunt.

– Kiedyś ci opowiem dokładnie, jak to wtedy było.

Basia uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wszystko, czego dowiedziała się od Leona, układało się w całość. Owszem, rozbudził jej ciekawość, ale nie do tego stopnia, żeby musiała naciskać.

Położyła się i patrzyła, jak mąż zbiera się do pracy. Warto czekać. Zasnęła. Warkot wyszedł z mieszkania, starannie zamykając za sobą drzwi.





ROZDZIAŁ ÓSMY

święte, męskie prawo...

W drukarni zorganizowano wiec. Nie dlatego, że była taka potrzeba, ale raz w miesiącu załoga musiała się zebrać, żeby wyrazić swe niesłabnące poparcie towarzyszowi Wiesławowi i jego polityce zmian socjalistycznej ojczyzny.

Robotnicy i pracownicy umysłowi, włącznie z dyrektorem, zebrali się w hali maszyn. Nie było ich wielu w zakładzie, choć teraz pojawił się aktyw z Komitetu Wojewódzkiego oraz kilku tajemniczo niechrzeszonych. Wznoszono okrzyki: „Wiesław, Wiesław, Wiesław!”, z taką siłą, jakby rzeczony mógł ich usłyszeć w miejscu, w którym aktualnie przebywał. Warkot podejrzewał, że nie był to już Zameczek w górach.

Wstał jeden z drukarzy.

– Ja chciałem w imieniu załogi zadeklarować, że my będziemy jeszcze mocniej, jeszcze wytrwalej pracować na rzecz naszej socjalistycznej ojczyzny!

– Niech lepiej powiedzą, kiedy będzie wyrównanie za maj! – dobiegł ich głos z końca sali.

– Kto to powiedział? Kto? – Wszyscy rozglądali się wokół siebie, ale nikt się nie przyznał.

– Nie ma ochotników? Widzicie, towarzysze, tak właśnie wróg uprawia wrogą propagandę, sieje defetyzm i robi zamieszanie. – Zaczerwienił się przewodniczący POP-u. – Teraz, kiedy bohaterscy obywatele Ghany wyzwolili się z kolonialnych kajdan, duch wolności ogarnie cały świat. I nic nie pomogą militarystyczne zapędy Brytyjczyków, którzy też zbroją się na potęgę z pomocą amerykańskich pomagierów.

– Podwyżki, podwyżki miały być, a ceny rosna na potęgę! – tym razem głos dobiegł gdzieś z góry.

– Kto to powiedział? No kto? – zaperzył się już nie na żarty sekretarz POP-u. – Domagam się ujawnienia wicherzyciela!

Nikt się nie odezwał.

– Towarzysze! Koledzy! – Sekretarz uderzył w alarmujące tony. – Nie słuchajcie tych wicherzycieli! – Rozglądał się bojaźliwie, zerkając ku górze. – Oni są bezsilni wobec naszej, robociarskiej siły!

– Te, robociarz. Odezwał się ten, co ma odciski na dupie od stołka!

– Dość tego! Złapać mi tego prowokatora!

Warkot uśmiechnął się półgębkiem, bo wiedział aż za dobrze, kto zakłóca porządek obrad.

Po słusznym potępieniu FBI za aresztowanie niewinnego w końcu przedstawiciela mas pracujących Ameryki, po udzieleniu poparcia rewolucjonistom z Ghany, po skrytykowaniu militarystycznych grup odpowiedzialnych za kryzys sueski, następnym punktem programu było udzielenie bezkrytycznego poparcia najwyższym władzom partyjnym i państwowym. A tu taki klops.

Oczywiście prowokatora nie złapano, choć odszczekiwał się jeszcze kilkakrotnie zebrany.

Zdegustowany sekretarz POP-u, dyrektor drukarni i przedstawiciel Komitetu Wojewódzkiego wyszli z za ustawionego naprędce stołu prezydialnego. Szklanki z herbatą i butelki po oranżadzie zdjęto, sukno zwinięto i stół z krzesłami powędrował do kanciapy.

– Mógłby pan bardziej uważać – rzucił jakby do siebie Jan, choć wiedział, że prowokator słyszy każde słowo.

– A co mi zrobią? Zapuszczają? Musieliby mnie najpierw złapać – odparł Słupecki, on to bowiem zakłócił przebieg masówki.

– Nie, ale mógł ktoś inny ucierpieć.

– Wołałem z różnych miejsc sali, z dołu, z góry... Wysypki dostaję, jak słyszę te brednie.

– Ale się Karaś zaperzył... – Warkot zachichotał. – Jeszcze chwila i zacząłby latać po hali, szukając prowokatora. Oczywiście padłoby na Kapustę, bo on jest tradycyjnie elementem wywrotowym.

Kapusta jakby usłyszał, że o nim mowa.

– Co tam, Jasiu, nie chciałeś łapać prowokatora?

– Och, zna go pan doskonale.

– Czyżby... czyżby to...?

Warkota niepomrotnie bawiła zabobonna bojaźń Kapusty w stosunku do Leona.

– On ci to uczynił – odparł Janek. – Mówi, że nie może znieść bzdur.

– Czego nie może znieść? – Kapusta nie dosłyszał.

– Bzdur!

– Kolego technologu, co mówicie? – zapytał sekretarz POP-u wychodzący z masówki, który usłyszał doskonale ostatnie słowa Warkota.

– Mówię koledze Zdzisławowi, że wicherzyciele i rewizjoniści gadają mnóstwo bzdur.

– Aha, aha – uspokoił się sekretarz.

– Tak jak w pięćdziesiątym, kiedy była wymiana pieniędzy.

Sekretarz najeżył się cały.

– To była słuszna decyzja, młode państwo potrzebowało...

– Prawda jest taka, panie Karaś, że państwo zawsze potrzebuje. Jak nie na to, to na tamto. Wie pan, ile mamy przestoju przez takie wiecowanie?

– Robotnik musi być uświadomiony. Władza musi mieć kontakt z robotnikiem.

– No dobrze, panie młodszy, ale czemu musi mu zaraz na grzbiet wskakiwać? – nie wytrzymał Kapusta.

– O, i właśnie taka postawa, towarzyszu Kapusta, jest pożywką dla różnych indywiduów.

Tym razem nie wytrzymał Słupecki i w swej niewidzialnej formie dał sekretarzowi bolesnego prztyczka w ucho.

– Ała! – Wykrzyknął przewodniczący, obracając się w poszukiwaniu napastnika, ale nikogo nie dostrzegł. Powiedział więc: – No to pracujcie uczciwie dalej, a ja idę do siebie. – Popatrzył jakoś tak dziwnie i zawinął się.

Warkot skinął głową i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Kapustą.

– Krzyżyk na drogę, jak to się dawniej mówiło – rzucił Kapusta pod nosem.

– Coś mówiliście? – Zaniepokoił się sekretarz w drzwiach.

– Nie, ja tylko tak, do kolegi Warkota.

– No! – sekretarz zakończył rozmowę mocnym akcentem doskonale znanym wszystkim tym, którym brakowało argumentów. Zamknął za sobą drzwi.

– Panie Leonie, przecież prosiłem...

– Żeby mnie, starego pokutnika od indywiduów... – Słupecki lubił samodzielnie wymierzać sprawiedliwość. – Niech się cieszy, że mu syfona nie zrobiłem. Ale ja nie przyszedłem tu na pogaduszki. Sprawa jest poważna.

– Jak zwykle – powiedział Janek. – Nie mówi mi pan nic nowego, panie Leonie. Sprawa zawsze jest poważna, zawsze w podcieniach czai się jakiś zbir, a pan zawsze desperuje i mobilizuje nas wszystkich.

– Proponuję wódkę po pracy. – Słupecki uciął dywagacje Warkota.

– Namówiliście mnie. – Kapusta zgłosił się na ochotnika, bo zawsze wolał mieć nieco żytniego podkładu, żeby znieść obecność średniowiecznej mary.

– A Marlenka nie będzie miała za złe?

– Coś ty, Jasiu. U mnie w domu ma być posłuch i szacunek dla męża.

– Już to widzę: „Marlenko to, Marlenko tamto, ale to przecież Janek mnie wyciągnął...”.

– Proszę tylko bez wycieczek osobistych! Wódka to wódka. Święte męskie prawo.

– W takim razie o piątej w Herbowej – rzucił Słupecki.

Trzej członkowie Bractwa Wołoskiego rozeszli się do zajęć w podgrupach. Na hali produkcyjnej znów zahuczały silniki maszyn.

Major Kalamatas z uwagą czytał raport sierżanta Sochy. Jego najlepszy wywiadowca spisał się na medal. Jak zwykle przybrał jedną z gotowych ról, żeby zmylić przeciwnika. Tym razem była to rola ubeka-służbisty. Gromił musiał wpaść na jakiś trop, który urywał się w górskim pensjonacie w Ściegnach, nie zamierzał jednak dzielić się tym z funkcjonariuszem kontrwywiadu. Nieładnie. Ale Kalamatas spodziewał się tego. W resorcie otaczała ich szczególna aura strachu i nieufności.

Zapukano do drzwi.

– Wejść! – rzucił Kalamatas.

Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich kapitan Stefan Gromił. W rękę trzymał teczkę z aktami.

– Witam, obywatelu kapitanie. Ma pan dla mnie jakieś dobre wieści?

– Tak, obywatelu majorze. Myślę, że wpadłem na trop.

– Doskonale! Proszę o szczegóły.

Gromił zrelacjonował ich górką eskapadę, włączając w to wizytę w Zameczku i górskim pensjonacie. Odnalezienie bliźniaczej rzeźby, którą zresztą zarekwirował, i przywiózł do Wrocławia. Zdawał sobie sprawę, że Kalamatas wie o wszystkim, nie było więc sensu niczego skrywać. Zataił tylko jeden szczegół, do którego sam doszedł podczas wizji lokalnej.

– Brawo. Widzę, że nie pomyliłem się, powierzając panu tę sprawę. A czy pański przyjaciel był pomocny w sprawie?

– Owszem, wcześniej ustaliliśmy, czego od niego oczekuję i potwierdził wszystkie moje przypuszczenia na miejscu. Musiałem go wprowadzić nieco w sprawę, ale to frontowiec, sprawdzony człowiek.

– Wiem, czytałem wasze raporty o sprawie rozbicia szajki sprzed lat.

– No tak. Wtedy jeszcze był na studiach. A i ja byłem młodym, nieopierzonym śledczym.

– Ale złapaliście drania?

– Poniekąd tak.

– Otóż chciałem was poinformować, że jeden z zamieszanych w tę sprawę, wymknął się naszym orłom i uciekł, strzelając do nich z broni maszynowej.

Gromił zaniemówił. Zagrożenie nagle zaczęło być bardzo realne. Nie mieli do czynienia z jakimiś omszałymi księgami czy starymi dziełami sztuki, lecz z wyszkolonymi, działającymi w ukryciu i z zaskoczenia agentami, którzy nie dość że uciekali, to jeszcze mieli czelność strzelać do wywiadowców. W tych czasach groził za to stryczek bez względu na okoliczności i agent musiał się z tym liczyć. Świadczyło to tylko o ich niezwykłej determinacji. Ale tę samą determinację dostrzegł w spojrzeniu Kalamatasa i sam już nie wiedział, z kim wolałby się zmierzyć w ostatecznej rozgrywce. Była w nim też dużo poważniejsza groźba, bo stał za nim cały aparat władzy.

– Będziemy teraz wyłuskiwać po kolei wszystkich z tej listy. Z udziałem większej

liczby funkcjonariuszy, którym też rozdamy broń maszynową. Tak na wszelki wypadek.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– Słucham.

– W aktach sprzed lat widnieje pewien dowód rzeczowy. Klucz z mosiądzu. Został zarekwirowany przez Jana Warkota i powinien być gdzieś w magazynie dowodów rzeczowych. Wie towarzysz major coś na ten temat?

Pytanie padło z zaskoczenia i Kalamatas nie potrafił ukryć zmieszania przed Gromiłem, co też nie uszło jego uwagi.

– Rzeczywiście, czytałem, pamiętam. Dowiedzieliście się, co ten klucz otwiera?

– Domyślam się. Najprawdopodobniej w skrytce jest ukryta informacja o miejscu przechowywania kolejowego składu pancernego. Tak na wszelki wypadek. Jestem pewien, że niczego z podejrzanych nie wydobydziemy, nawet jeśli komuś wreszcie się uda któregoś złapać. – Była to kąśliwa uwaga pod adresem funkcjonariuszy chowających się ze strachu za węglem. – Poza tym, mam wrażenie, że to pionki i sami niewiele wiedzą.

– W takim razie poszukamy na własną rękę. A co do trzęsących gaciami, to większość moich ludzi niestety są zupełnie zieloni. Nie wǳchali prochu i nadają się tylko do straszenia pijaczków i starych bab. Ale do drugiego pošemy kilku wiarusów, niech się obywatel kapitan nie przejmuje.

Major ostrzegawczo zmrużył powieki. Było to spojrzenie zarezerwowane dla podejrzanych. Dla kontrwywiadu podejrzany był praktycznie każdy, a do tego Kalamatas wierzył tylko i wyłącznie sobie, i to też nie we wszystkich okolicznościach.

Gromił pożegnał się i stawiał u przełożonego. Pułkownik Jacek Horeszko spojrzał na niego pytająco. Kapitan streścił wyniki śledztwa i poinformował go o ustaleniach kontrwywiadu. Pułkownik kiwał głową, czasem spoglądając gdzieś za okno. Pozornie nie zwracał uwagi na raport Gromiła, ale Stefan zdawał sobie sprawę, że to tylko pozory. Pułkownik miał niezwykle bystry umysł, a pozornie błahe czynności jedynie wzmacniały stopień jego koncentracji.

– No i co zamierzasz? – zapytał Horeszko.

– Po pierwsze, poszukam, co mamy na te osoby. Po drugie, będę szukał tego klucza. Jestem pewien, że skrytka znajduje się w Ścięgnach. Nie mam złudzeń, że jest dużo starsza niż rządy Adolfa w Niemczech. I była wielokrotnie używana do innych celów, choćby przez lożę masońską. Ale ostatnio ukryto w niej informację o miejscu przechowywania tego pociągu. W Zameczku i w pensjonacie w Ścięgnach bywała sama wierchuszka szwabskich bonzów, więc miejsce nadawało się idealnie. Na widoku, ale jednocześnie ukryte. Gdybyśmy wyłapali całą tę szajkę po wojnie, ktoś mógłby spokojnie zjawić się tam jako turysta i poznać prawdę. Jestem też pewien, że chodziło o klucz. Musieli się jakoś asekurować. Jeden zostawili dróżnikowi, który nie dość że widział pociąg, to jeszcze miał synów w Wehrmachcie i SS. No i ta ideowa matka. Narodowa socjalistka jak spod sztancy. Janek mówił, że była strasznie zapiekła.

W końcu zabiła jednego z naszych. Zdziwiająco, do czego były zdolne te otumanione Hausfrau.

– Nasze ciotki rewolucji też nie lepsze. Kobieta, uosobienie delikatności i subtelności, jest w stanie zmienić się w największego drapieżnika na Ziemi. Przerabialiśmy to nie raz, wspólnie. – Pułkownik przywołał sprawy kryminalne rozwikłane przez Gromiła.

– Prawda. Będę czujny, bo wydaje mi się, że major Kalamatas wie więcej, niż mówi.

– To oczywiste, przecież jest z kontrwywiadu.

– Nie, to nie to – zamyślił się Gromił. – Wydaje mi się, że w tej sprawie jest jakieś drugie dno.

– Intuicja rzadko cię zawodzi. Musisz bardzo uważać.

– I tak właśnie będę postępował. Uważnie.

– A ten sierżant od majora?

– Udawał ubeka-służbistę. Widziałem to nie raz, ale udawałem, że łykam to w całości i zachowywałem się jak na oburzonego oficera milicji przystało.

– A twój przyjaciel?

– On się zachowywał jak na wycieczce turystycznej i dobrze. Od razu zrozumiał, w czym rzecz.

– Dobrze mieć przyjaciół – stwierdził pułkownik.

Gromił uśmiechnął się i pokiwał głową.

– No to leć – powiedział Horeszko.

– No to lecę.

Gromił poszedł do swojego biura. Podniósł słuchawkę telefonu.

– Dajcie mi archiwum – rzucił do słuchawki.

Polecenie wykonano natychmiast.

W Herbowej było sporo gości. Warkot zauważył Słupeckiego siedzącego w kącie sali, w strategicznym miejscu. Ruszył z Kapustą w jego stronę. Majster, jak zwykle bojaźliwie, skłonił się i ostrożnie ucisnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń.

– Coś pan, panie Zdzisławie, taki czujny? – zapytał upiór.

– Grypa mnie chyba bierze... – asekurował się majster.

– Aaa, grypa. Zaraz panu przejdzie. Panie starszy!

Kelnerzy zdążyli się już w Polsce Ludowej emancypować i zdecydowanie nie przypominali usłużnych, sanacyjnych niewolników z powieści Zakłęte rewiry. Teraz trwał u nich proces nabywania złych nawyków przy zapominaniu o dobrych. Wciąż bezbłędnie potrafili wyczuć klienta przy forsie, dlatego „ich” kelner, tłamsząc w sobie zawodowe przywary, zjawił się błyskawicznie po zamówienie niczym duch.

– Służę szanownemu panu! – odezwał się niski mężczyzna z przedziałkiem po lewej stronie na przetłuszczonych włosach.

– Sześć karniaków, pan wie, starki.

– W tej minucie, proszę szanownego pana.
– Siadajcie, co tak stoicie jak aktywistka na czynie partyjnym?
– O widzę, że towarzyszowi upiorowi słownictwo poszerza się z każdym dniem – zakpił Warkot.

– Żebyś, Jasiu, bywał tam, gdzie ja, to zupełnie zapomniałbyś o dobrych obyczajach i elokwencji.

– No właśnie, nie było pana jakiś czas. Miałem nawet podejrzenia, że zupełnie panu odpuszczono i przeszedł pan w inny wymiar, że tak powiem.

– Nie, co to, to nie. Brzemie moich grzechów wystarczy na jeszcze kilkaset lat, co najmniej. Czyściec, jak sama nazwa wskazuje, służy do czyszczenia duszy. Nie tylko do wybielania.

– Oj, bo się rozkrochmałem! Czasami naprawdę to wszystko magiel przypomina.

– Muszę z kimś pogadać, bo wszędzie wokół tylko duchy, zjawy, upiory. I to o małym stażu. Wciąż tylko gadają, co by było gdyby... Cholery można dostać. Gdybym nie wyszedł z za tego węgla, to rurką w baniak bym nie zarobił. Gdybym spojrział w prawo i w lewo na przejściu, to zobaczyłbym tę lorę z węglem. Gdybym zainteresował się, kim jest mąż mojej gołąbeczki i zobaczył wycior na biurku, nie próbowałbym się ścigać z kulką ołowiu. I tak dalej, w koło Macieju. Amatorzy.

– Czyli jesteśmy skazani na pańskie towarzystwo, panie Leonie – rzucił Warkot z udawanym smutkiem.

– Ja się nie będę nikomu narzucał. Pomagam tylko, żeby wam nikt krzywdy nie zrobił.

– Dobrze już, dobrze. Żartowałem. Cieszę się, że pana widzę. I pan majster też.

– Uhm – potwierdził wymijająco Kapusta.

Kelner przyniósł kieliszki. Złotobrazowy trunek zalsnił w ciężko rżniętym szkle. Wypili.

– Co tu dużo mówić. Małmazja! – emocjonował się Słupecki.

– Co prawda, to prawda – skwitował Warkot. – Skąd oni to mają? Z wykopalisk?

– Agent zawsze znajdzie, nawet w czasach niedoborów i braków na rynku.

– A jak agenta znacjonalizują? – zapytał Kapusta.

– Wypluj pan to! – rzucił Słupecki. – Natychmiast!

Kapusta nie zdążył odszczekać tej ponurej przepowiedni, bo nagle z przodu sali zrobił się jakiś rwetes. Przy wejściu stała jakaś modnie ubrana pani. Miała na sobie pelisę i toczek ze sztucznego jaguara. Towarzyszył jej przystojny, dobrze ubrany dżentelmen.

– Anatol! – krzyknęła na cały głos dama. – Co ty robisz w lokalu?

– Maniuska, ja ci to wszystko zaraz wytłumaczę! – zawołał na jej widok niewysoki mężczyzna w średnim wieku o wyglądzie księgowego. W dłoni ścisnął nowy kapelusz, który wraz z płaszczem miał najwyraźniej oddać do szatni.

– Porozmawiamy w domu! – wykrzyknęła na odchodnym dama, po czym odwróciła

się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Jej towarzysz, rzuciwszy księgowemu lekceważące spojrzenie, poszedł za nią.

– Maniuuuška! – darł się rozpaczliwie księgowy. – Ale nawarzyłem bigosu! Maniuška!

– To chyba jacyś przyjezdni z Warszawy – zauważył Słupecki.

– Ale heca! Musiał nieźle narozrabiać – stwierdził Warkot. – Da mu ona bobu.

– Albo to poniekąd takie *parekselans qui pro quo* – powiedział Kapusta.

– Tak jak pan majster mówi. Będzie z tego niezły pasztet.

Wypili. Życiodajny trunek od razu spowodował zwyczajną nastrojów.

– A to zabawne – odezwał się Kapusta. – Nawarzył bigosu, da mu bobu, niezły pasztet.

– Czyli ogólnie klops! – skwitował Warkot. – Pan, panie Zdziśku, tylko o jedzeniu.

– To nie ja, to oni! – bronił się majster.

– Też bym coś przegryzł – rzucił pojednawczo Słupecki.

– Głodny upiór! Tego jeszcze nie było – zaśmiał się Warkot.

– Janku, ja tak z czystego łakomstwa.

– Aaaa, jeśli tak, to pan wybaczy.

– Wybaczam – rzuciła łaskawie dusza pokutująca. – Panie starszy!

Gastronomiczny duch zwany też dla niepoznaki kelnerem znów podszedł bezszelestnie do ich stolika.

– Macie coś dobrego na ząb?

– Oczywiście. Flaki polecam. Bryzolek z kapustą i ziemniakami. Jest jeszcze karp...

– Nie za wcześnie? W listopadzie?

– Bo to taka nasza nowa inicjatywa kulinarna – kelner szeptał konspiracyjnie. – Kucharz, szanowny pan rozumie, sanacyjny jeszcze, ze Lwowa.

– A jak ze Lwowa, to trzy razy flaki. I bryzolki też niech będą. Świeże?

– Wczoraj jeszcze kwiczały, niech im ziemia lekką będzie. – Kelner złożył ręce jak do modlitwy.

– No to też trzy razy. Aha, i jeszcze raz to samo na drugą nóżkę.

– W tej sekundzie szanowny panie. – I zniknął.

– Panie Leonie, to nie jest przypadkiem jeden z waszych?

– Jak to „z naszych”? – zdziwił się Słupecki.

– No że pokutuje niby...

– Nie byliby tak okrutni, żeby nieszczęśnikowi taką pokutę wyznaczać. Zwyczajnie, zawodowiec.

– I mamy to wszystko zjeść?

– A co, nie podoba się? Proszę mnie nie denerwować, bo zniknę przy płaceniu rachunku.

– Nie zmarnuje się! – rozległ się czwarty głos.

Bractwo znów było w komplecie.

– Siedzicie sobie, rozmawiacie, wódeczkę popijacie, a o starym druhu to się zapomina, co? – Gromił uśmiechnął się od ucha do ucha na widok przyjaciół.

– Ze starymi kawalerami nie pijemy, prawda, panie Zdziśku? – rzucił zaczepnie Warkot.

– Ale ja za to mogę tu do nocy siedzieć, a wy nie! – odciął się Gromił.

Słupecki wyciągnął cztery palce w stronę kelnera, który pojął wszystko w lot. W Grecji jeszcze jeden wyciągnięty palec więcej był uważany za największą obrazę, ale kelner najwyraźniej o tym nie wiedział.

Kapusta wyraźnie się ucieszył z przyjścia kolegi, bo było teraz trzech mężczyzn na jedną średniowieczną duszę pokutującą. Jakby co.

– Panie, panie! – dobiegł ich głos z szatni.

Pewien niewysoki młody człowiek chciał zostawić palto, kaszkiet i cegłę. Towarzyszyła mu młoda blondynka.

– Z cegłami nie przyjmujemy! – Szatniarz był bezwzględny. – Do lokalu? Z cegłą? Skądś się pan urwał?

– Ten pan jest murarzem i to pamiątkowa cegła – odcięła się blondynka.

– Pirkut? Ten przodownik pracy?

– A nie, to zupełnie inna historia. Widzi pan, mnie się bardzo chce spać i ten pan był tak miły, że zaopiekował się mną...

– Z roku na rok lokale w Rynku mają coraz ciekawszą klientelę – powiedział Warkot.

– Pamiętam, jak jakoś wtedy, kiedy nam hrabiego na monument wywindowali, zjawilo się dwóch jegomościów w cylindrach i spodniach sztuczkowych. No wypisz wymaluj okazy z poprzedniej epoki. I uważajcie, jeden chciał w szatni siodło zostawić. Prawdziwe wyścigowe siodło. Powtarzał wciąż: „Zaopiekujcie się Leonem”... – urwał w pół zdania, pojmując, o kogo naprawdę chodziło. Dodał tylko: – Powiedział, że tu jeszcze wpadną z przyjacielem... na herbatkę.

Słupecki uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie wspominając już o tym zakapturzonym Szwedzie w lipcu – dodał Kapusta. – Ten z kolei chciał kosę zostawić. Sam widziałem. Z akcji lato się urwał czy jak? Ale żeby ze Szwecji?

– A nie, tego to ja znam – odparł Słupecki. – Od Ingmara. Nieprzyjemny jegomość. Lepiej unikać kontaktu.

– Koko, ja si ciebie zapytowywuj, skąd masz to palto? – rozległo się przy wejściu.

– O znów coś się dzieje. Klątwe ktoś rzucił na tę knajpę czy jak? – zdziwił się Warkot.

– Mnie proszę wykluczyć ze spekulacji, to nie ja, to duch czasów najprawdopodobniej – zadeklarował Słupecki.

– Ależ mówiłem panu, że nie mamy pańskiego płaszcza i... – tłumaczył się szatniarz – ...i bardzo serdecznie pana przepraszam. Pewnie ktoś wziął przez pomyłkę na pański numerek. Ale zaraz, zaraz, jest tu, znalazł się!

Był to jegomość tradycyjnie grzeczny i uprzejmy. Jak to u prywatnego ajenta.

Kelner zaczął nosić dania. Flaki pachniały pięknie, rzeczywiście dość sanacyjnie. Majeranek i czosnek.

– Mam nadzieję, że nikt nie jest uczulony na czosnek, jak nieodżałowanej pamięci generał...

– Panie Zdziśku, niech pan przestanie – zmytygował go Warkot. – Na wspominki przy flakach pana wzięło?

– A czy ja komu co robię? – zaperzył się Kapusta.

– Bo wie pan, oficjalnie to my z tamtą sprawą w ogóle nie mamy nic wspólnego – tłumaczył mu Słupecki. – I niech tak zostanie, dobrze?

– Dobrze już, dobrze – udobruchał się majster i zaczął wcinać.

Żartowali jeszcze, czekając na drugie danie. Smakowali też wyśmienitą starkę.

– Wiecie, panowie, że prawdziwa starka musi leżakować minimum pięćdziesiąt lat. Czyli ta jest sprzed pierwszej wojny. – Słupecki uwielbiał wykłady.

– Jak znam życie, to ostatni taki rocznik – oznajmił Gromił.

– Nie, pewnie mają gdzieś zapasy i destylują nowe roczniki.

– Na dwa tysiące siódmy? To już mnie na świecie nie będzie – ubolewał Kapusta.

– Panie Zdziśku, nie należy upadać na duchu, że tak powiem – pocieszał Słupecki. – Któż to wie, co będzie za pięćdziesiąt lat?

– Są tacy, co wiedzą – rzucił Gromił, który najwyraźniej miał swoje informacje.

– Ale ich jeszcze nie przesłuchiowano – dodał dowcipnie Warkot, ale jakoś nikt się nie roześmiał.

Po zakończeniu części kulinarnej członkowie Bractwa Wrocławskiego wymienili się informacjami. Jak zwykle Kapusta był na szarym końcu, ale też niewiele miał do powiedzenia w tej sprawie. Zbliżał się wieczór i trzeba było wracać do domów. Biesiadnicy uczynili to niechętnie, bo doskonale się czuli w swoim gronie i niewiele mieli takich okazji. Rachunek zapłacił Słupecki. Uparł się i wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów.

– Czy ktoś tu, aby nie jest na bakier z prawem? – zapytał groźnie Gromił, rzucając mu kpiarskie spojrzenie.

– Mam swoje źródła, a co, bez floty mam w miasto chodzić? – odciął się Słupecki. – Poza tym dobrze jest mieć znajomości w gastronomii – powiedział, kładąc na blacie dodatkowy banknot dla kelnera, który zgiął się w pas.

– Moje uszanowanie panu prezesowi, do zobaczenia. – Kelner zęgnął ich w progu, wciąż się kłaniając.

Nad Wrocław nadciągnęła jesienna, wilgotna mgła, zdobiąc kocie łby delikatnym poblaskiem wody. Światła latarni roztaczały wokół siebie rozproszoną lunę niczym świeczki na urodzinowym torcie. Cała czwórka szła wolnym krokiem przez Rynek do zbiegu z ulicą Świdnicką. Stamtąd Gromił poszedł w lewo do domu, a Warkot wraz z Kapustą skręcili w prawo, podczas gdy Słupecki rozpląnął się w wieczornej mgle

wilgotnej listopadowej nocy.





ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

...Duch Gór...

Morderca miał mnóstwo czasu. Nie były to może wakacje, bo musiał sporo pracować, ale teraz właściwie wszystko miał pod kontrolą. Niepokojący był fakt odwiedzin milicjantów w pensjonacie w Ścięgnach, bo musieli odnaleźć wyryty na brodzie napis, ale nawet jeśli otworzą skrytkę, to co? Trzeba mieć dodatkowe wskazówki, znać teren, a pod tym względem nie miał sobie równych. W końcu tu się urodził. Warto byłoby jeszcze wyrównać rachunki z tym cywilem. Zgrzytnął zębami. Gdyby nie on, inaczej by się to potoczyło. Fircyk w mundurze, co miał mleko pod nosem, doprowadził do tak tragicznego końca rodziny Müllerów.

Morderca siedział w schronisku „Bronka Czecha”, powyżej Wangu, a poniżej „Samotni” i „Strzechy Akademickiej”. Na bezpiecznej wysokości pozwalającej mu na błyskawiczne zejście do Karpacza. Zbierał teraz grupę. Oczywiście tych, którzy nie zdradzili, bo z tymi rozprawił się wcześniej. Najspokojniej w świecie popijał gorącą herbatę z rumem, udając zwykłego turystę, który postanowił pochodzić po górach jesienią. Z doskonale udawaną nonszalancją rozłożył przed sobą płachtę gazety.

Dziesięciu wytrawnych wywiadowców podeszło pod dom na ulicy Księcia Witolda. Co prawda można ich było rozpoznać ze stu metrów, ale kluczyli tak z dwóch stron stojącego nad kanałem Odry domu, że można było ich nie zauważyć.

Grupą dowodził jeden porucznik, co to już w Bieszczadach się prochu nawąchał. Cechowała go brawura na granicy szaleństwa. Był jak buldog – kiedy miał wykonać zadanie, nic nie mogło go powstrzymać. Pod płaszczami skrywali peemy, żeby wyciągnąć je w razie potrzeby jednym gwałtownym ruchem.

Jakaś kobiecina wyszła na balkon, żeby wystawić parujący garnek. Spojrzała w dół i szybko uciekła do środka. Mieszkanie podejrzanego znajdowało się na pierwszym piętrze. Pięciu zbrojnych wbiegło błyskawicznie po schodach, choć jeden potknął się

o wystającą listwę, niegdyś przytrzymującą leżący na nich dywan. Zaklął siarczyście. Psia mać!

Nie bawiąc się w ceregiele, ubecy wdarli się do mieszkania z taką siłą, że z framugi zostały drzazgi. Rozległ się krzyk dobiegający gdzieś z góry. Kompletnie zaskoczony mężczyzna nawet nie próbował się bronić. Zastali go siedzącego przy stole w podkoszulku i spodenkach gimnastycznych. Jadł zupę mleczną. Łyżka wpadła do talerza, zostawiając ślady mleka na obrusie. Zatrzymywany podniósł ręce do góry, żeby któryś z krewkich ubeków nie podziurawił go z tych emocji.

Gorączkowo myślał, strzelając oczami na prawo i lewo. Nie miał niczego trefnego w mieszkaniu, nawet noża szturmowego. Okres spędzony w okupowanym Breslau i trudne lata pięćdziesiąte w Polsce Ludowej nauczyły go niezwyklej ostrożności. Dmuchał na zimne, cały czas pamiętając o ostatnim rozkazie, jaki otrzymał wtedy w czterdziestym piątym, kiedy wszystko już było stracone i Twierdza padła.

Wykręcili mu ręce do tyłu. Trzasnęły kajdanki.

– Willem Janisch alias Waław Janiszewski?

– Tak.

– Jesteście aresztowani. Odprowadzić aresztowanego!

Polecenie wykonano natychmiast, pozwalając Janischowi zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy osobiste.

– Wywrócić mi tę budę na nice! – rozkazał porucznik. – Do gołej cegły! Do roboty.

Ubecy zaczęli skrupulatnie wykonywać polecenie dowódcy, wyładowując wściekłość na przedmiotach codziennego użytku. Mieszkanie było małe i skromnie urządzone. W sumie przeszukanie zajęło im około sześciu godzin.

Janischa odwieziono na Podwale, gdzie został poddany ostremu przesłuchaniu. Potraktowano go z taką samą sumiennością jak polskich patriotów, żołnierzy AK i WiN-u. Nie przyznawał się do niczego. Śledczy zmieniali się, a on siedział na drewnianym krześle ze snopem światła na opuchniętej twarzy tak, że już nie rozpoznawał swoich prześladowców. Tłukli go pałkami, pięścią, nogą od krzesła, wybijając połowę zębów. Wyłamywano mu palce i przypalano papierosem. Najwyraźniej nie dyskryminowano więźniów ze względu na narodowość i przynależność organizacyjną, stawiając na równi zarówno obrońców, jak i wrogów Polski.

Major chciał mieć wyniki, więc zastosowano najdrastyczniejsze ze środków. Przesłuchiwany uporczywie odmawiał przyznania się do udziału w faszystowskim spisku mającym na celu atak na Polskę Ludową. Nie chciał też zdradzić mocodawców. Pomyślał tylko, że to prawdziwa ironia losu – przeszedł bezpiecznie przez najgorszy okres stalinizmu w Polsce, żeby teraz dać się złapać jak amator. Miał tylko nadzieję, że pozostali byli bezpieczni. Była to jego jedyna nadzieja.

Wszystko inne mu odebrano.

Kiedy Gromił wracał wieczorem do domu, zastał Karola Raufenberga stojącego w bramie. Czekał na niego.

– Dzień dobry panu, przepraszam, że się narzucam – przywitał się niezapowiedziany gość.

– Ależ skądże znowu, panie Karolu, to ja zapomniałem na śmierć. Sąsiadka przekazywała. Zapraszam.

W mieszkaniu przy Szewskiej Gromił zaparzył gościowi mocnej herbaty i w szafce kuchennej znalazł nawet jakieś kruche ciastka pamiętające epokę kultu jednostki.

– Bo widzi pan, sprawa jest dość delikatna i osobiście dla mnie kłopotliwa.

– Jeszcze nie miałem okazji spytać się o jakąś pracę dla pana. Przepraszam, ostatnio prawie nie śpię.

– Chodzi o coś zupełnie innego.

– Proszę, słucham.

– Sprawa jest dla mnie dość krępująca. Widzi pan, chodzi o mojego siostrzeńca.

– Krystiana Raufenberga?

– Skąd pan... skąd pan wie?

– Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale ostatnio natknąłem się na tę osobę, a że nosiła pańskie nazwisko...

– Czy to sprawa kryminalna?

– I tak, i nie. Sam pan rozumie, że nie mogę...

– Naturalnie. Widzi pan – zaczął już śmieiej – bardzo się o niego niepokoję. Wpadł w złe towarzystwo. Kuma się z jakimiś zbirami...

– Jedno słówko, czy bratanek mieszka z panem i z pańską siostrą?

– Nie, ale może to i lepiej. Siedział nawet w areszcie za jakieś drobiazgi. Musi pan wiedzieć, że Raufenbergowie nigdy...

– Nie musi pan nic mówić. Rozumiem wszystko.

– Ostatnio był u mnie. Cały podenerwowany. Widziałem, że ma broń. Skąd w tych czasach można dostać broń, niech mi pan powie?

– Z placu, jednego z wielu. Mało się tego wala po piwnicach? To oczywiście nielegalne, ale nie mamy możliwości rewidowania każdego.

– To był niemiecki pistolet.

– Taki jak ten? – Gromił wyciągnął z kabury walthera. Była to pamiątka po wydarzeniach z początku lat pięćdziesiątych. Nie rozstawał się z nim.

– Identyfikacyjny.

– Groźna broń, szczególnie jeśli ktoś ma wprawę.

– Krystian ma wprawę. Służył w wojsku.

– Rozumiem, że nie w LWP?

– Nie, w Abwehrze. Doszedł tylko do stopnia podoficerskiego.

– Rozumiem, że dla Raufenbergów to niemal obelga...

– Panie kapitanie, proszę nie żartować.

– Przepraszam.

– Prosił mnie o pieniądze, więc mu coś tam dałem, ale miałem wrażenie, że ucieka przed kimś o wiele groźniejszym, pan wybaczy, niż milicja.

– Mówił przed kim?

– Mówiłem, że to tylko moje przypuszczenie. Nie rozmawialiśmy na ten temat. Powiedział tylko: „Namierzył mnie. Teraz to już nie ma dla mnie życia. Muszę uciekać”.

– I co? Nie domagał się pan od niego szczegółów? Nie żądał wyjaśnień?

– Muszę powiedzieć, że Krystian zawsze był bardzo niezależny i już w młodości często wpadał w kłopoty. Ucieszyliśmy się, gdy wzięli go do wojska.

– Rozumiem, czyli potulny stryjek i zbuntowany bratanek.

– Przecież nie będę go wypytywać. To w złym tonie.

– A latanie po Wrocławiu z gnatem za pasem dwanaście lat po wojnie jest w dobrym tonie?

– Oczywiście ma pan rację.

– Siostra była przy tym?

– Jadwiga? Nie, pracuje na etacie w szpitalu. Może nawet pójdzie na studia. Wybierała się w końcu do Heidelbergu.

– Rozumiem. Tak sobie pomyślałem, że gdyby pan chciał odkupić ode mnie sztukę, to służę.

– Jest pan bardzo szlachetnym człowiekiem. Przekonuję się po raz kolejny, że przyście do pana było właściwym krokiem.

– Tylko dobrze wychowanym. Nie należy żerować na czyjejsz krzywdzie. Pod żadnym pozorem.

– Będę miał to na uwadze.

– I czego właściwie pan ode mnie oczekuje?

– Przyniosłem jego pamiętnik ze zdjęciami. Może wśród tych ludzi znajduje się ten, przed którym ucieka?

Karol Raufenberg wyciągnął z wewnętrznej kieszeni niewielki, oprawny w skórę zeszyt. Na ciemnozielonej okładce pysznił się srebrny herb Raufenbergów, którym władza ludowa oczywiście obcięła ich „von”, być może nawet i „zu”, jeśli rodzina była tak stara, jak podejrzewał Gromił.

– Wypożyczam tylko do wglądu i porównania – powiedział Stefan.

– Oczywiście.

– Postaramy się jakoś go znaleźć. Chcę z nim tylko porozmawiać, no i oczywiście odebrać gnata. Jak z nim wpadnie, to może być i czapa.

– Rozumiem. Mówił coś o wyjeździe z miasta, ale powtarzał też, że musi zmienić kryjówkę. Nie wiem, gdzie teraz jest...

– Ma pan aktualne zdjęcie siostrzeńca?

Karol Raufenberg podał Gromiłowi fotografię z jakiejś legitymacji. Patrzył na niego

stosunkowo młody człowiek o gęstych, ciemnych, krótko przyciętych włosach. Miał spojrzenie przystojnego łobuza oraz wykrzywione kpiarsko usta, jakby rzucił fotografowi wyzwanie. Dla podkreślenia mocnego charakteru niesforny kosmyk włosów spadał mu z czoła po ucieczce spod fryzjerskich nożyc. Gromił odłożył fotografię.

– Rozdam kopię wywiadowcom. Oni zapuszczają się w różne rejony miasta. Uczulę ich też na tego walthera, bo nie wiadomo, co mu może wpaść do głowy. Jeśli nerwy mu puszczą, nie będę w stanie nic pomóc. Oficjalnie będzie poszukiwany jako świadek w prowadzonym śledztwie.

Raufenberg zwiesił głowę.

– Proszę, oto mój telefon: tu jest służbowy, a tu domowy. – Gromił zapisał na kartce notatkę i podał Karolowi. – Na wypadek gdyby coś się działo.

– Nie omieszkam skorzystać. Teraz już będę się zbierał. I... dziękuję panu bardzo.

– Jeszcze nie ma za co dziękować.

– Dziękuję panu, że jest pan, proszę wybaczyć, nie z tej epoki...

– Już gdzieś to słyszałem.

– W takim razie musi być to prawda.

– Traktuję to jako komplement. Do widzenia panu.

– Do zobaczenia.

Kiedy Karol Raufenberg wyszedł, Gromił otworzył pamiętnik. Już na trzeciej stronie zobaczył tego, kogo się spodziewał – zdjęcie znajomego blondyna w czarnym mundurze. To nie mógł być przypadek. Gromił będzie szukał tego człowieka. Nie wiedział tylko, z kim ma do czynienia. Może i dobrze. Tylko, że było w nim coś niepokojąco znajomego, jakby widział tego człowieka, choć nie był w stanie sobie przypomnieć gdzie.

– Coś ty taka nerwowa, moja ty rewolucjonistko? – zaperzył się Kapusta po kolejnym wybuchu żony.

– Wiesz, Zdzisiu, że nie lubię, jak tak do mnie mówisz!

– Może posłuchasz sobie tego Elvisa, to ci przejdzie?

– Przepraszam cię, jestem cały czas jakaś podminowana. Teraz to mi nawet Elvis nie pomaga.

– Może jakbym skombinował coś nowego w tym stylu?

– Może...

– Zapytam Bronka, bo jego żona dostaje paczki z Ameryki. A nie mają...

– ...gramofonu! Mówiłeś mi z dziesięć razy!

– Uważaj, bo sobie kupią, i co wtedy?

– Jesteś bez serca!

– Ależ, Marlenko, jestem bez serca, bo całe oddałem tobie! Nie wiem, może je gdzieś schowałaś i zapomniałaś gdzie.

- Ach, Zdzisiu! – Marlena rozczuliła się i cała złość jej przeszła. – Przytul mnie.
 - Pewnie, że przytulę, a co!
- Spokój zapanował w domu Kapustów, bo miłość i czułość mają wielką moc.

Słupecki odłożył czekanik i otrzepał trapery. Zaczęło śnieżyć nie na żarty i pokutnik cały był pokryty skrzącym się, białym puchem. Oczywiście nie musiał łązić po górach. Wystarczyło przenieść się z jednego miejsca na drugie, ale pojawienie się tutaj wyłącznie w tweedowej marynarce i półbutach zwróciłoby na niego uwagę wszystkich obecnych. A tak był tylko kolejnym turystą pragnącym zażyć odpoczynku na łonie natury. Jako osoba astralna nie męczył się wcale, ale wchodząc tutaj, musiał dyszeć ciężko jak każdy prawie sześćdziesięciolatek, który pokonał dość stromą trasę do schroniska „Bronka Czecha”.

Zdjął kangurkę i czapkę z pomponem. Usiadł na drewnianej ławie i zapalił papierosa. Po chwili podszedł do niego agent i przyjął zamówienie. Nic specjalnego, herbata z rumem i kiełbaska na gorąco. Turystyczne specjały. W rogu sali siedziała grupa studentów; hałasowali na potęgę. Pojawiła się gitara i jeden z młodych brodaczy z bujną bosmańską brodą – najnowszy krzyk mody wśród przedstawicieli młodego pokolenia – zaintonował pieśń. Na całe szczęście nie była to pieśń minionego etapu o trójkach murarskich czy o tym, że nie papież nam Wybrzeże dał, nie Śląsk biskupów był, co Słupecki przyjął z dużą ulgą. Śpiewali o lesie, włóczędze i życiu pod namiotem. Wreszcie. Coś normalnego w tym chaosie.

Agent przyniósł zamówienie.

– Panie starszy, pan wybaczy, że tak hałasują, ale sam pan wie, młodość... – rozmarzył się agent, łypiąc na zgrabne studentki w obcisłych, czarnych spodniach.

– Starość nie radość, młodość nie wieczność – rzucił Słupecki, choć miał swoje zdanie na temat tej teorii i to poparte praktyką.

Gdyby odszedł z tego świata w wieku lat dwudziestu paru, wyglądałby teraz tak jak oni. Tylko że nie zdążyłby w życiu nagrzeszyć na tyle, żeby wyznaczono mu taką długą pokutę. A tak...

– Dużo ma pan pokoi do wynajęcia? – zapytał upiór.

– Jeden mi został i to do tego nie z widokiem na góry. Ma okno na szlak do Wangu.

– Bardzo dobrze, to ja bym się wmeldował do pana, dobrze?

– Znakomicie! Sezon się jeszcze nie rozpoczął, a tu wszystkie pokoje wynajęte. Będzie dobrze zimą!

– Ze śniadaniem, jeśli mogę prosić.

– Oczywiście, oczywiście. Śniadanie od siódmej do dziewiątej. Później już szykujemy się na obiad.

– Będę jadał o siódmej. Spać coś nie mogę...

– To tak jak ja – agent znów zerknął w stronę studentek – tyle ich się tu kręci...

– Pan żonaty?

- A co to ma do rzeczy? – zaperzył się agent.
- Nic, tak tylko pytam. Dla poddierzania razgawora.
- Jeśli tak, to można – rozpogodził się agent.
- Teraz młode pokolenie wyemancypowane. Wybory miss organizują. Wolność, młodość...
- ...praca, socjalizm...
- E panie, daj pan spokój! Mam to na co dzień.

Słupecki wziął plecak i czekanik, po czym udał się na piętro, gdzie na końcu korytarza znajdował się jego pokój. Zwykły turysta pomyślałby, że wygrał los na loterii, bo pokój miał praktycznie odrębną łazienkę. Druga znajdowała się na przeciwległym końcu korytarza, gdzie było więcej pokoi. Średniowieczna dusza pokutująca jednak nie potrzebowała takich zbytków.

Zszedł z powrotem do knajpy, tyle że bez brzemienia sprzętu turystycznego, na dodatek w wygodnych filcowych papuciach. Ktoś, kto widział go w zgoła odmiennej postaci, nie mógłby uwierzyć, że ten sympatyczny, jowialny starszy pan to mara zdolna spędzić sen z powiek najtwardszych harcówników, czeladzi i zaprawionych w boju, noszących liczne blizny rycerzy. Taka jednak była prawda. Zbójom, zbirom i łajdakom ukazywał się często w postaciach mrozących krew w żyłach.

Kiedy wszyscy udali się już na spoczynek Słupecki czekał w ciszy, całkowicie niewidzialny dla postronnych. Wiedział, że nie potrwa to długo. Rozległo się ciche skrzypienie schodów i jakaś postać, korzystając z półmroku panującego w schronisku, zaczęła wchodzić na piętro. Był to ni mniej, ni więcej agent schroniska. Podkraść się pod łazienkę w drugim rogu korytarza. Wszedł do schowka na miotły i cicho zamknął za sobą drzwi. Schowek sąsiadował bezpośrednio ze spartańską łazienką, która jednakowoż spełniała swoje zadanie. Nie było tam luksusów. Wannę ktoś wyszabrował tuż po wojnie. Nowej, jak na razie, nie zamontowano. Agent miał widok wyłącznie na dwa prysznicze, ale i tak mu to wystarczyło. Przez szparę w ścianie obserwował dwie turystki biorące kąpiel.

Nagle drgnął. Nie był w ciasnym pomieszczeniu sam. Wszystko wokół buchnęło jasnym płomieniem. Obrócił się na pięcie. Zdawało się, że buchające języki zajęły ogniem wszystkie miotły, szmaty i półki z proszkami. Mało nie zemdlał, gdy z płomienia, który w przedziwny sposób nie parzył, wyłoniło się groźne oblicze z nastroszonymi brwiami i zaciśniętymi zębami. Tuż przed jego przerażoną twarzą.

- A ładnie to tak białogłowy w kąpeli podglądać? – zasyczała zjawa.

Pod agentem ugięły się nogi. Nigdy, przenigdy nie widział nawet rąbka poruszającego się całunu, a tu nagle miał przed sobą prawdziwą zjawę z piekła rodem, upiora z czeluści piekieł, których przecież oficjalnie nie było.

- Żebyś cię tu więcej nie widział! – zaskrzeczał upiór – bo... Płomienie zaczęły się nagrzewać i agent zrozumiał.

Wyskoczył ze schowka jak oparzony i pognał na dół po schodach, jakby go kto gonił.

Niemal się wywrócił na ostatnim stopniu.

Słupecki jak gdyby nigdy nic wyszedł ze schowka na miotły i poszedł do swego pokoju. Odrobina rozrywki – tak do tego podchodził. Prawdziwe starcie z groźnym przeciwnikiem dopiero go czekało. Z prawdziwym złem w ludzkiej postaci, które nie lęka się niczego. Jest zapiekłe w swym występku i przekonane o własnej mocy. Zły człowiek potrafił z zimną krwią i uśmiechem na ustach strzelać do bezbronych cywilów. Taka osoba bez mrugnięcia okiem potrafiła osierocić dzieci, pozostawiając po sobie biblijny płacz i zgrzytanie zębów. Dla niej wsadzenie noża w bezbronne, drżące ciało było niczym przypalenie papierosa i zaciągnięcie się aromatycznym dymem. Taki człowiek za nic ma sobie wszelkie strachy, bo sam jest siewcą prawdziwej grozy. Taki właśnie człowiek, morderca i bezwzględny łotr spod ciemnej gwiazdy był sąsiadem Słupeckiego z pokoju numer 6.

Słupecki widział go już wcześniej na dole w szynku. Jak każda osoba astralna miał niezawodny instynkt pozwalający rozpoznać osoby, które czekał los straszliwszy od włączenia się kilkaset lat po ziemskim padole. Wieczne potępienie. Jakże ludzie lekko sobie ważyli te dwa słowa. Ludzka wyobraźnia nie była na tyle bogata, żeby pojąć choćby promil ich znaczenia. Słupecki wiedział, bo sam swego czasu był o krok od ziejącej pustką i zniszczeniem czeluści. Jednak w porę podano mu pomocną dłoń. Pozwolono odpokutować za grzechy, gdyż odnaleziono w nim cząstkę dobra, która tliła się słabym płomieniem. Dla jego sąsiada nie było już ratunku, bo nic nie było w stanie zmiękczyć jego zatwardziałej duszy grzesznika. W pysze i samozadowoleniu nie był w stanie ukorzyć się i żałować za swe występki.

„Naprawdę powinni uważniej przyjmować turystów nocujących w tym schronisku” – pomyślał Słupecki, po czym zamknął za sobą drzwi i zaczął nasłuchiwać.

Było już dobrze po północy, kiedy dobiegło go nerwowe stukanie do drzwi.

– Jürgen, otwórz, to ja...

– *Halt maul!* Mordę stul, baranie! Całe schronisko obudzisz... Właz.

Dalsza część rozmowy odbyła się za zamkniętymi drzwiami, ale nie potrzeba było nawet nadprzyrodzonych mocy Leona Słupeckiego, żeby usłyszeć ją ze szczegółami przez drewnianą ściankę. Rozmawiali po niemiecku.

– Co się stało? Miałeś czekać w Breslau.

– Ubecy mnie nakryli. Ledwo im zwałem.

– Po coś targał to żelastwo? Tutaj mamy tego całą ciężarówkę!

– Bronilem się! Strzelali!

– Strzelałeś do nich? No to teraz dostaną wścieku. Pozostali wiedzą?

– Nie kontaktowałem się. Zgodnie z rozkazem.

– Psiakrew! Gotowi nam jeszcze wszystko spieprzyć.

– Papiery już są?

– Są, są, ty się takimi rzeczami nie przejmuj. Miałeś ubezpieczać Krystiana.

- No właśnie nie wiem, co się z nim stało. Jakby się pod ziemię zapadł.
- Maszynisty miałeś poszukać. Wśród naszych.
- Znalazłem. Tylko jest w mieście.
- Co mu powiedziałeś?
- Tyle, ile mogłem. Że jest zadanie, że trzeba się przejechać.
- Nie wie, co to za pociąg?
- Nie. Ale maszyna w środku taka sama, co za różnica?
- Ile ma lat?
- Po sześćdziesiątce.
- Żeby nam tylko z emocji nie wykorkował.
- Nie, stary wiarus. W wielkiej wojnie wojował za Kaisera. I później. Syna stracił w oflagu. Ponoć na tyfus zmarł.
- Zrobi, co mu każą?
- Słowo daję. Jest w nim duch. Oczy mu się aż śmiały do tej roboty, jak powiedziałem, że to dla naszych.
- To dobrze. Taki wiarus w razie czego i strzelać może.
- A ten twój dróżnik?
- Też wie tyle, ile potrzeba. Nie wie tylko kiedy, ale na sygnał ustawi zwrotnicę. Nocą, i to jeszcze jesienią, nikt niczego nie zauważy. Mały ruch tutaj.
- Nie to, co kiedyś... „Wszystkie koła muszą toczyć się dla zwycięstwa” – wyrecytował.
- No właśnie. A teraz kimnij się na fotelu. Był jeden wolny pokój, ale jakiś diabeł zajął.

Słupecki aż ucho oderwał od ściany z oburzenia.

„Co za bezczelność! – przeklął w myślach. – Szwabskie nasienie. W moich czasach z kamratami inaczej byśmy z nim zatańczyli. Rozgrzany pogrzebacz w węglach i dobrze natłuszczony sznur”...

Rozmarzył się przez chwilę. Opamiętał się jednak szybko i przeżegnał, spoglądając pokornie w górę. Ponownie przyłożył ucho do ściany. W pokoju obok zaległa cisza. Najwyraźniej spiskowcy udali się na spoczynek.

Za oknem padały duże płatki śniegu i księżycowa poświata ścieliła się tysiącami tłących się iskierkach na białej połaci. Było cicho, jak makiem zasiał, i zdawało się, że odwieczny górski las wsłuchiwał się w szept walońskiego Ducha Gór, pana i władcy tych włości.





ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

...zwyczajne przejawy życia codziennego...

Wróciła normalność. Tak można by przynajmniej domniemywać. Po kilku latach powojennego entuzjazmu, następnie okresie przytłaczającego marazmu i terroru stalinowskiego, do Wrocławia wracało normalne życie. Och, naturalnie, wcześniej też się toczyło, ale jakby w ukryciu, w tajemnicy, w obawie, że tamci się dowiedzą. Jak to pisał mistrz Edgar Allan Poe: „Inkwizycja znalazła się w rękach swych wrogów”. Niesłusznie skazanych wypuszczono, błędy kultu jednostki naprawiono, a po całym kraju przetoczyła się już fala samokrytyk. W tym akcie świeckiej ekspiacji było coś niesłychanie ludzkiego, choć nie wiadomo, czy co niektórzy szczerze żalowali za swe przewiny. Kilku ministrów poleciało ze stołków, ale przecież władza ludowa nie zamierzała pożerać własnych dzieci, na to miał jeszcze przyjść czas. Towarzysz Wiesław nie był mściwy, o nie. Odsunął, co prawda, tych którzy go aresztowali, ale nie działa im się bynajmniej krzywda. Spadli na miękkie materace urzędniczej sieci ochronnej, bo w końcu kilku z nich walczyło w Hiszpanii i siedziało w Berezie Kartuskiej.

Nie oznaczało to, że władza ludowa odpuściła wszystkim. O nie, towarzysze i towarzyszki, na taki krok nie można było sobie pozwolić, bo wróg nie zasypiał gruszek w popiele! Ci, którzy w swej naiwności zgłosili się po latach życia pod zmienionymi nazwiskami, znikali w tajemniczy sposób. W końcu byli przeszkolonymi żołnierzami, umieli strzelać, znali wojskowe taktyki. Nie można było pozwolić, żeby choroba rozprzestrzeniła się za ich sprawą. Śrubę przykręcono już wczesną jesienią 1957 roku. Wtedy władza powiedziała: „Zakosztowaliście wolności, no to chwacit. Niech wam nic głupiego do głowy nie przyjdzie”. Reduty wolności, które wyrosły po październiku, teraz były systematycznie ścinane i wyrzucane na śmietnik historii.

Próba ideologicznego zdobycia społeczeństwa nie powiodła się, władza sięgnęła więc po środki materialne, zbytki i luksusy. Nie musiała nawet specjalnie inwestować, bo

prywatni przedsiębiorcy i agenci zwietrzyli nowy wiatr i sami finansowali te inicjatywy. Drobnymi wytwórcami i producenci korzystali z koniunktury, bo w końcu nie było wiadomo, jak długo potrwa. Najwięcej zarabiali waluciarze, ale trzeba przyznać, że ci ryzykowali najwięcej, bo za handel obcymi pieniędzmi groziły długie lata odsiadki. Za trzymane w skarpetach „na czarną godzinę” dewizy można było bez problemu utrzymać rakową narośl na tkance społeczeństwa zwaną Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, a jakże, choć konia z rżędem temu, kto znalazłby w jej władzach jednego prawdziwego robociarza. Społeczeństwo było jednak dalekie od takich pomysłów, dlatego Partia musiała utrzymać się sama i trzeba przyznać, że dochodziła w tej sztuce do mistrzostwa. I choć towarzysz Wiesław był zwolennikiem ascetycznego trybu życia, to już jego współpracownicy nie mieli niestety tego rodzaju przypadłości.

Pojawiły się ekskluzywne sklepy – w poprzedniej epoce nie do pomyślenia – z odzieżą, no i z żywnością, w których można było kupić dawne produkty kolonialne, a obecnie delikatesowe. Kawa, rodzynki, drogie likiery zapełniły półki tych przybytków, choć niewielu było stać na sprzedawane tam towary. W PDT powstał popularny „Okraglak” z różnymi frykasami. Podobnie na zbiegu Świerczewskiego i Stawowej. Ludzie przychodzili jak do muzeum popatrzeć sobie na te wszystkie cuda. Czasem ktoś coś kupił, ot tak, dla fantazji.

Powróciły też slogany reklamowe znane z przedwojennej Polski. „Reklama dźwignią handlu” – mawiano. Zakłady kuśnierskie pracowały pełną parą, szyjąc kozuchy dla mieszkańców. Modne wrocławianki stroiły się, żeby jak najszybciej zapomnieć o szaroburej, siermiężnej minionej epoce. Miejsce wiejskich chustek zajęły modne toczki i kapelusze. Na chwilę inicjatywę prywatną pozostawiono samej sobie, która zgodnie z zasadami wolnego rynku rozwijała się i kwitła. Adaptowano nowe kroje z francuskich i amerykańskich żurnali, z wysiłkiem przenosząc na polski grunt paryski sznyt i nowojorską niewymuszoną elegancję.

W kulturze i sztuce zaczęły przenikać nowe trendy, najpierw drobnym strumieniem, później coraz szerszym, śmielej, tak by zmienić się w niekontrolowany przepływ myśli i informacji.

Pokolenie urodzone w latach czterdziestych w niczym nie przypominało tych wcześniejszych. Było odczytane, kosmopolityczne i świadome siły swego intelektu. Kształtowała się w ten sposób nowa elita kraju w oparciu o prądy ateistycznego egzystencjalizmu. I tak kult jednostki w polityce został zastąpiony dość egoistycznym kultem jednostki jako takiej. Jean-Paul Sartre i Albert Camus wyznaczyli teraz trendy zarówno w literaturze, jak i w filozofii. Według Sartre’a „istnienie poprzedzało istotę”, przez co człowiek wpadał w depresję i stany lękowe. Tak zwana zła wiara skłaniała ludzi do przyjmowania gotowych postaw, które nadawały im znaczenie.

Do tego był jeszcze jazz zaanektowany przez ten prąd, uważany za prawdziwą muzykę intelektualistów. W 1956 roku odbył się pierwszy I Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej w Sopocie. Po etapie „jazzu katakumbowego” lat czterdziestych teraz

muzyka wybuchła ze zdwojoną siłą, odchodząc od tradycyjnej formy i tworząc własną współczesną odmianę. Była trudniejszą, bardziej skomplikowaną, ale tym samym atrakcyjniejszą dla rozintelektualizowanych środowisk studenckich. Jak grzyby po deszczu powstawały teatry i kabarety studenckie – warszawski STS znany z odważnych, można by powiedzieć, wręcz brawurowych tekstów oraz gdański Bim-Bom z udziałem artystów młodego pokolenia, Zbyszka Cybulskiego i Bogumiła Kobieli. To, co jeszcze do niedawna było imperialistyczne, dekadentkie i wyuzdane, stało się modnym, intelektualnym i na czasie.

Kwitło życie towarzyskie. Podczas spotkań bawiono się, dyskutowano zawzięcie o ważnych sprawach. Roztrząsano istotne kwestie, dyskutowano o modzie i muzyce. Rozmowy o polityce zarezerwowano dla najbardziej zaufanego grona znajomych i przyjaciół, choć i tutaj można się było czasem srodze zawieść, bo niektórzy nie bacząc na święte więzy przyjaźni, łamali je świadomie i z premedytacją pisali raporty i relacje z takich spotkań. Uniesieni anonimowością i przeświadczeniem o własnej wartości donosili na kolegów i koleżanki bez skrępowań. Tego zjawiska nie dało się bynajmniej ująć w szeroko pojętych „zwyczajnych przejawach życia społecznego”.

Marlena Kuchta-Kapusta, żona majstra Zdzisława czekała na koleżankę w obłożonej jak zwykle kawiarni Teatralnej przy ulicy Świdnickiej. Udało się jej zarezerwować stolik i teraz z niepokojem zerknęła na zegarek, choć koleżanka Basia, żona Janka, miała jeszcze pięć minut do umówionego spotkania.

W tle sączył się łagodny jazz, a na sali można było coś jeszcze zobaczyć przez przejrzystą o tej porze ścianę dymu papierosowego.

Poderwała się z miejsca, gdy zobaczyła wchodzącą znajomą postać. Basia nie przyszła sama. Towarzyszyła jej młoda kobieta średniego wzrostu o niezwykle regularnych rysach twarzy. Miała proste, miedzianorude włosy przycięte modnie na wysokości ramion. Takiego koloru nie można było uzyskać nawet za pomocą najwymyślniejszych zachodnich płukanek. Dziewczyna nosiła też przyciemniane okulary w cienkich oprawkach. Wyglądały – co Marlena musiała przyznać z żalem – jak dwie amerykańskie aktorki filmowe.

– Cześć, Marlenka – przywitała się Basia. – To jest moja koleżanka z pracy, Jadzia.

Dziewczyny podały sobie dłonie.

– Marlena jestem.

– Wiem, słyszałam. Basia dużo mi opowiadała.

– Naprawdę? – Marlena zerknęła na przyjaciółkę z niepokojem.

– Poznałyśmy się dwa tygodnie temu, kiedy Jadzia zaczęła u nas pracować.

– Najpierw jako pielęgniarka, bo zrobiłam dyplom eksternistycznie. Ale mam zamiar iść na medycynę.

– O, to ambitnie. – Marlena powiedziała to z przekąsem niczym, jak mawiał Leon Słupecki, *szerszeń la femme*.

– Nie słuchaj jej, ona się tylko tak jeży na zapas – próbowała załagodzić sytuację

Basia. – Ale to bardzo miła i przyjacielska babka.

– Tak, żeżenie się to mój mechanizm obronny... – Parsknęła śmiechem rozbrojona zupełnie Marlana.

– A czym się zajmujesz? – zapytała Jadzia.

– Uczę polskiego w szkole. Mam szóstą klasę wychowawczą.

– Och, to ciężka praca.

– Żebyś wiedziała. Orka na ugorze. Często im powtarzam, ale oni nie chcą słuchać. Piszę też doktorat.

– Bardzo dobrze. Trzeba się kształcić.

– Może będę mogła wrócić na uczelnię... – rozmarzyła się Marlana.

– Co racja, to racja – przyznała Basia. – Inny prestiż, wyższa pensja.

– No z tym bym tak nie szarżowała. – Marlana najwyraźniej słyszała co nieco o uniwersyteckich stawkach.

– Mnie dopiero niedawno udało się znaleźć pracę – powiedziała Jadzia.

– Tak? A to dlaczego? Przepraszam, że się tak wypytuję, ale...

– Nic wielkiego. Po prostu nazwisko mam dość, jak by to powiedzieć, nietypowe jak na te czasy.

– ...?

– Urodziłam się jako Hedwig von Raufenberg w Kowarach.

– Autochtonka?

– No właśnie. W tym cały problem. Moglibyśmy z bratem zmienić nazwisko, ale on nie chce za żadne skarby, ja chyba też nie.

– Doskonale mówisz po polsku – rzuciła Marlana i od razu ugryzła się w język.

Jadwiga wybuchnęła śmiechem.

– Ależ tak, po niemiecku mówiłam stale przez dziesięć lat, a po polsku ze dwanaście.

– Jadzia jest bardzo dobrą pielęgniarką – wtrąciła się Basia. – Wiesz, rodzice szykowali ją do Heidelbergu, ale wojna...

– To jakaś organizacja?

– Poniękąd tak. – Basia była szczerze rozbawiona. – Jedna z najlepszych uczelni medycznych na świecie. Po wojnie też.

Podano kawę i ciastka. Marlana spojrzała posepnie na miękkie, wilgotne ciasto polane czekoladą.

– Oj, przestań, od jednego ciastka świat się jeszcze nie zawalił – uspokajała ją Basia.

– Kiedy ja nie mogę się opanować. Mam takie napady, że najchętniej kupiłabym dwa kilo faworków w cukierni na Ruskiej i zjadła wszystkie na jedno posiedzenie.

Jadwiga i Barbara wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Tak, wiem, co sobie myślicie – powiedziała Marlana. – Też na to wpadłam.

– Byłaś u lekarza? – zapytała Basia.

– Jeszcze nie, ale chyba będę musiała, bo ostatnio suszę głowę biednemu Zdziśkowi o byle co.

– Mężowie dowiadują się przeważnie na końcu – zaśmiała się przyjaciółka.

– Wiem, że byłby bardzo szczęśliwy, ale te nasze dwa małe pokoiki na poddaszu...

– Ale okolica jaka piękna! Na spacer do parku można wyjść. – Basia wyjaśniła Jadzi, gdzie Marlena mieszkała ze Zdziśkiem. – Janek kiedyś też tam mieszkał. Ładna willa. No i mają wspaniałą gospodynię, która troszczy się o wszystkich lokatorów jak o własne dzieci.

– My mieszkamy z bratem za Odrą – powiedziała Jadzia. – W takiej kamienicy...

– Wiem, jak tam wyglądają kamienice. Ale przynajmniej do Syreny blisko... – Basia miała na myśli znany lokal z muzyką orkiestry Bulandy na placu Engelsa.

– A kiedy niby miałabym chodzić na dancingi? Poza tym panienka nie powinna odwiedzać takich przybytków sama...

– Nie masz nikogo? – zapytała Marlena.

– Jeszcze się taki nie znalazł, żeby serduszko żywiej zabiło.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

Rozmawiały jeszcze trzy kwadransy. Zbliżało się południe, ale koleżanki zupełnie nie spieszyły się do codzienności. Marlena miała dzień wolny w szkole. Basia szła na dyżur dopiero na wieczór, podobnie Jadzia.

– No cześć, Marlenko – odezwał się czyjś głos, na co Marlena aż drgnęła.

Była to jej dawna koleżanka Kika, która – o czym dowiedziała się później – donosiła na nią i innych amantowi z UB.

– Cześć – rzuciła obojętnym głosem. – Basia, Jadzia, Kika – szybko przedstawiła sobie kobiety.

– Co tak dziewczyny konspirujecie? – zapytała ich nowa znajoma.

– Rozmawiamy sobie – odparła Basia. – O babskich sprawach.

Reakcja Marleny była dla nich wyraźnym sygnałem, że nie należało się spoufalać.

– Szkoda, że nie mogę zostać. Umówiłam się tu z jednym aktorem.

– Och, jaka szkoda... – Marlena odebrała już życiową lekcję obłudy.

– No to lecę, bo zdaje się moja randka nadchodzi. – Kika skinęła im głową i znikła.

– Widzę, że za nią nie przepadasz... – zaczęła ostrożnie Barbara.

– Stare sprawy. Nie ma o czym mówić. – Marlena ucięła temat. – Ale Janek też miał z nią do czynienia. No nie, nie w tym znaczeniu. Mogła mu bardzo zaszkodzić. – Kiedy to powiedziała, Barbara najeżyła się gotowa własną piersią bronić czci męża. – Fałszywa flądra...

– Jaka flądra? – zaciekała się Jadzia, bo najwyraźniej nie słyszała jeszcze takiego zwrotu.

– Tak się mówi na smaczną rybkę, która ma dużo ości. Można by też powiedzieć, bo ja wiem, wredna „bździągwa”?

Dziewczyny zachichotały.

– Oj ty, złośliwa jesteś – powiedziała Basia.

– Ale to prawda. Poza tym mało brakowało, a bym została przez nią aresztowana...

– Niesłusznie oskarżona studentka Marlena Kuchta... Ofiara minionej epoki.
– Nie ma co się śmiać. Czasy były trudne.
– Wcale nie minęły. Tylko ubrały się w nowe szaty – zauważyła Jadzia.
– Dobra, dość już tego gadania. Mówcie lepiej, jak mam rozmawiać ze Zdziśkiem.
Baśka, zaczynaj, ty masz praktykę.

– Praktykę, w czym?
– W obłaskawianiu niesfornych mężów.
– Przecież Janek to chodząca poczciwość...
– Ale zawsze był jednocześnie skryty i zadziorny.
– To prawda. Ale po co ci te nauki? Zdzisiek świata poza tobą nie widzi. Je ci z ręki.
– No wiecie, ale jakby to była prawda, to sytuacja nieco się zmieni, mam rację?
– Nic się nie zmieni. Będzie cię kochał jeszcze bardziej – zawyrokowała Jadzia.
– Widzę, że koleżanka ma rozległą wiedzę... – zgryźliwie zauważyła Marlena.
– Nie, tylko wiem, jak powinno być.
– W praktyce jest zwykle na odwrót. Tylko my we dwie mamy szczęście, że jest, jak jest.

– To prawda, nigdy tak o tym nie myślałam – stwierdziła Basia. – To było dla mnie takie oczywiste... jak, jak...

– Jak oddychanie?

– No właśnie.

Dziewczyny zamilkły na chwilę i zamyśliły się, każda skrywając się za parawanem swoich myśli.

– Jadzia, a ty masz jakiś swój ideał? – przerwała ciszę Marlena. – No wiesz, poza tym że powinien być wysoki, przystojny, męski i bogaty?

Znów zaśmiały się na cały głos.

– Dobry musi być i prawy... – zaczęła nieśmiało Jadzia.

– O to wypisz, wymaluj nasz Stefek. Kawaler! – zaznaczyła z naciskiem w głosie Barbara.

– A ty wiesz co... – zaczęła Marlena, ale Jadzia gwałtownie zaprotestowała, bo domyślała się, do czego zmierza.

– Ani mi się ważcie! Spaliłabym się ze wstydu.

– Dziewiczego wstydu – dodała rzeczowo Marlena, ponownie wzbudzając wesołość przy stoliku.

– A panie to tak same bez narzeczonych? – Usłyszały głos i podniosły wzrok na ubranego na czarno młodzieńca z obliczem przywodzącym na myśl zblazowanego lowelasa.

– Proszę nam nie przeszkadzać – odezwała się Basia.

– Ja pytam tylko w trosce o panie. Może spotkamy się dziś wieczorem, to dokładnie paniom wyjaśnię moje teorie na temat stosunków damsko-męskich. A jest o czym opowiadać. – Napuszył się jak paw.

– Płyn pan po falach Dunaju, panie ładny, bo dojdzie do drastycznych scen. Wlały kiedyś panu kobitki przy wszystkich? No to uważaj pan. – Marlena poszła na całość. Wiadomo, *szerzeń la femme*.

– Co złego, to nie ja. – Zacerwienił się młodzieniec i spłynął, szukając nowej ofiary.

– Widzę wszystkie symptomy, idź, Marlenka, do tego lekarza, bo stawiam dużą melbę, że jest tak, jak podejrzewamy – skwitowała zajście Basia.

– Pójdę, pójdę. Sama wiem.

– Może u nas na Klinikach? – zaproponowała Jadzia.

– Dobry pomysł – podchwyciła pomysł Basia. – Mamy najlepszych lekarzy od tych spraw. Umówię cię na wizytę.

– Dobrze, dziękuję wam. A ze Zdziśkiem sobie poradzę. – Uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Mooowa. – Jadzia wyraziła opinię w modny sposób, czym wzbudziła wesołość koleżanek.

– Słyszę, że starasz się być na czasie – powiedziała Basia.

– Ty wiesz, w mojej dzielnicy nie można inaczej.

– A jak wam w ogóle jest? No z bratem, bo...

– Wiem, o czym mówisz. Na koniec wojny chcieli nas nasi wysiedlić, ale brat się nie zgodził. Mróz był wtedy potworny. Pod koniec wojny byliśmy jeszcze w Kowarach. Brat schował mnie w stodole, kiedy przyszli Rosjanie. – Zamilkła na chwilę.

– Wiem, straszne rzeczy się słyszy. Dobrze, że nic ci się nie stało.

– Karola pobili i zabrali wszystko, co się dało zabrać. Leżał przed domem, kiedy go koniuszy znalazł. Potem przyszedł nakaz i musieliśmy opuścić dom. Wylądowaliśmy we Wrocławiu w trójkę, jeszcze z siostrzeńcem. Po dwóch latach wyniósł się na swoje i rzadko do nas teraz przychodzi. Ostatnio prawie wcale. Chyba że ma kłopoty, wtedy Karol... – Zakryła twarz dłońmi.

– Jadzia, daj spokój. Wszystko się jakoś ułoży.

Uspokoila się po chwili.

– Mój brat jest inżynierem, z dyplomami. Nie może dostać pracy przez pochodzenie. I nie chce zmieniać nazwiska. Jest uparty i dumny. Czasem myślę, że to wada.

– Pamiętaj, nowi wrocławianie są niesłychanie życzliwi. To cecha większości przesiedleńców. Dziękują Bogu za ocalenie i cieszą się tym, co mają. Pomagają sobie nawzajem.

– Wiem. Brat opowiadał o jednym takim, niezwykle szlachetnym człowieku. Dobry człowiek, choć milicjant. Kapitan.

– Znam jednego takiego. Jak zły szeląg – wtrąciła się Baśka. – Ale co takiego zrobił?

– Mój brat musiał sprzedawać różne cenne przedmioty, żebyśmy mogli jakoś przeżyć. No i ten kapitan kupił od Karola komplet srebrnych sztućców. Nawet się nie targował, bo wcześniej Karola opadł taki handlarz, który chciał go oszukać. Poszli do niego do domu i zapłacił Karolowi uczciwą cenę.

– No to rzeczywiście rycerz na białym koniu. Ratuje człowieka w potrzebie i wyrywa go z rąk spekulanta. – Marlena była pod wrażeniem.

– Ale to jeszcze nic! – rzuciła pospiesznie. – Kiedy Karol poszedł do niego ponownie w innej sprawie i ten kapitan dowiedział się, że zaczęłam pracować, powiedział mu, że może odkupić sztucce za tę samą cenę, za którą je kupił.

– Mnie tu pachnie pozytywistyczną powieścią. A nie dorobił się, aby majątku w Bułgarii?

– Nie – odparła Jadzia ze śmiechem. Ona również lubiła *Lalkę* Prusa i zastanawiała się cały czas, jak można tak mocno kochać.

– A pamiętasz nazwisko tego kapitana? – Baśka nie wierzyła w przypadki, tylko w zrządzenie losu.

– Jakoś tak groźnie. Huczał czy może Dudnił? O nie, Gromił! – wykrzyknęła triumfalnie. – Stefan Gromił!

– O, to ja tu wietrzę burzliwy romans. – Marlena zrobiła tajemniczą minę.

– Ale o co chodzi? Co mówisz?

– Mówi tylko to, że ów szlachetny przedstawiciel władzy ludowej, śledczy kryminalny Gromił – rzekła Basia – to nasz przyjaciel Stefek, o którym ci przed chwilą opowiadałyśmy.

– Nie może być!

– Wrocław to duża wioska – rzuciła Marlena. – Wszyscy się znają.

Jadzia nie wiedzieć czemu splonęła rumieńcem i uśmiechnęła się do koleżanek.

– To rzeczywiście olbrzymi zbieg okoliczności.

Dochodziła pierwsza po południu, kiedy koleżanki rozeszły się w miasto. Marlena poszła do Pedetu na zakupy. Po drodze towarzyszyła jej Basia, która szła do domu. Jadzia wsiadła w tramwaj, żeby dojechać do domu.

– Wiesz, to rzeczywiście niezwykły zbieg okoliczności – powiedziała Basia, kiedy mijały gmach opery.

– Nie, to fatum – Marlena z zadowoleniem smakowała obce słowo.

– Fatum czy los, nieważne. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Wiesz, ta Jadźka to bardzo miła dziewczyna – stwierdziła Marlena.

– Bardzo. Od razu się polubiłyśmy.

Szły przez jakiś czas w milczeniu. Po chwili Basia pożegnała się i poszła w stronę domu. Marlena weszła przez obrotowe drzwi do domu towarowego, żeby kupić Zdzisiowi jakiś przysmak jakby na potwierdzenie tezy, że mąż je jej z ręki. W godzinę później jechała już tramwajem na Krzyki.

Ajent był wyjątkowo blady i małomówny, kiedy serwował Słupeckiemu jajecznicę na śniadanie. Ręce mu drżały i widać było, że jest na skraju załamania nerwowego.

„Ciekawym, dlaczego” – Słupecki uśmiechnął się do swoich myśli.

Zagadywał go nawet, ale tamten mruknął coś tylko w odpowiedzi i widać było, że nie

ma ochoty na rozmowę.

„Jak będzie takim gburem przy obiedzie, to pokażę mu się w postaci bezgłowego mnicha z Tyńca...” – pomyślał mściwie Słupecki, bo dawno już nikogo dobrze nie nastraszył.

Zadudniły kroki na schodach. W jadalni pojawił się morderca wraz z kompanem, mężczyzną lat około trzydziestu pięciu o rozbieganym spojrzeniu.

– Kolega przyjechał mnie odwiedzić – zadudnił morderca od progu. – Nie ma pan jakiegoś dodatkowego pokoju?

– Składane łóżko mogę wstawić – burknął agent – ale będzie płatne ekstra.

Morderca zmierzył go lodowatym wzrokiem.

– Zapłacimy. A teraz byśmy coś zjedli.

Agent, widząc spojrzenie gościa, zgiął się cały i sflaczał.

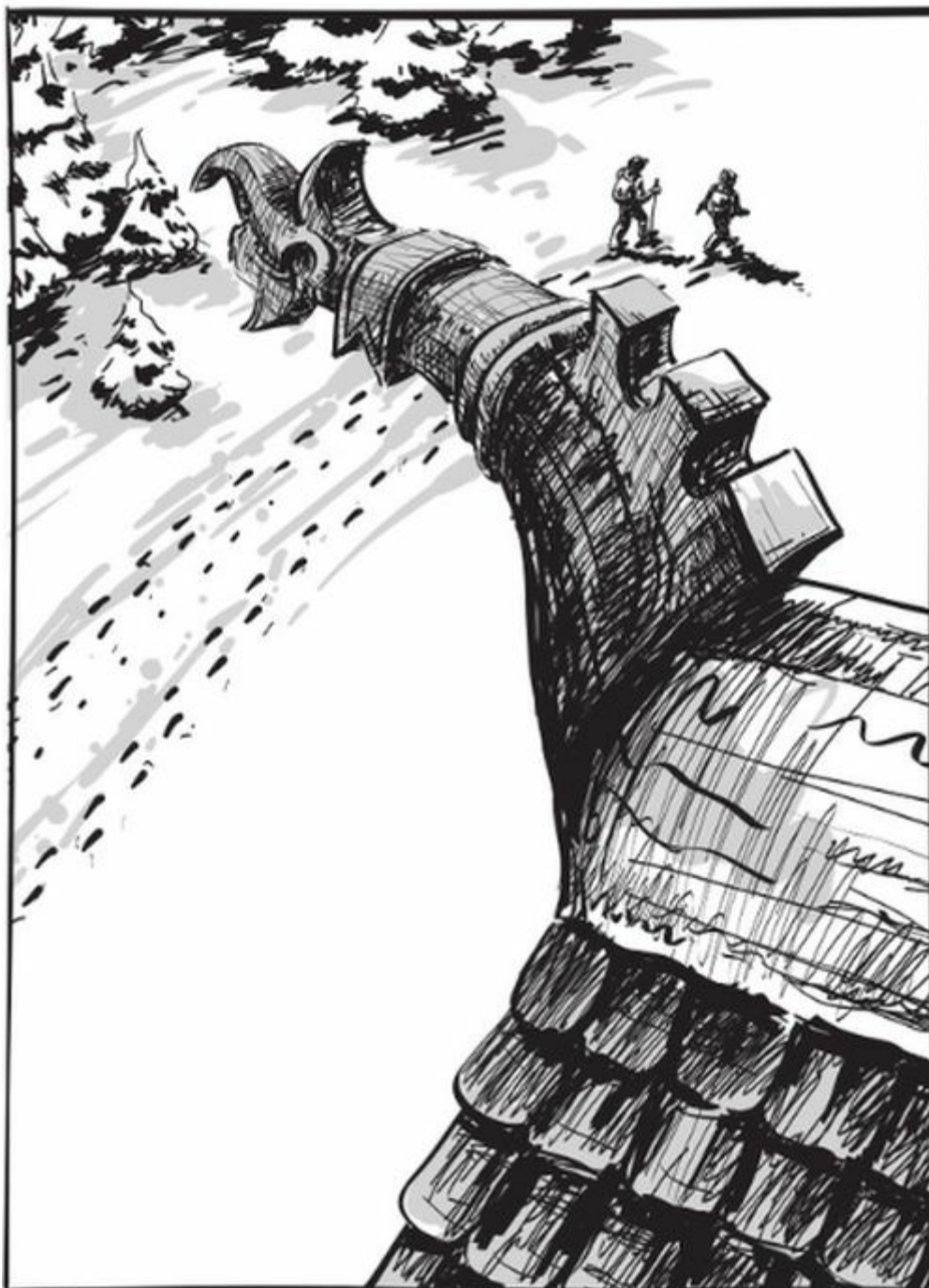
„Zdecydowanie będzie dziś mnich z Tyńca – pomyślał Słupecki. – Co za menda. Usłużny do obrzydliwości przed silnymi, a pan i władca wobec słabszych od siebie. Powyłaziło tego tałatajstwa z boazerii i wszędzie tego pełno”.

Kiedy kończyli śniadanie ponownie zadudniły kroki na drewnianych schodach. To wstawała wymęczona życiem towarzyskim brać studencka. Tego poranka byli jacyś cisi i przygaszeni, tylko jedna dziewczyna dziarsko zabrała się do pałaszowania jajecznicy. Abstynentka, znaczy.

Słupecki obserwował tę scenę z rozbawieniem, ale wiedział, że ten marazm nie potrwa długo, bo organizmy były młode i szybko się regenerowały. Studenci szli na Śnieżne Kotły i stamtąd dalej może na Śnieżkę.

Dwóch z pokoju obok też szykowało się do wymarszu. Słupecki wstał od stołu, podziękował, wszedł do siebie na górę i czekał. Nie minął kwadrans, kiedy spiskowcy ruszyli w dół szlaku prowadzącego do świątyni Wang. Słupecki, przybierając niewidzialną postać, ruszył bezszelestnie za nimi.

Śnieg przestał sypać, ale i tak brnęli w sypkiej masie, sunąc powoli przed siebie. Były to pierwsze ślady na szlaku, więc bez trudu można było ich tropić. Przy świątyni Wang Słupecki stanął na chwilę i chłonął średniowieczną, mistyczną atmosferę tego miejsca. Za każdym razem zastanawiał się, dlaczego mieszkańcy małej norweskiej osady zgodzili się, żeby ktoś usunął z ich wioski to чудо. Ale też czasy były inne i najprawdopodobniej nie mieli wiele do gadania. Sterczące smocze łby przywoływały atawistyczne obawy średniowiecznych mieszkańców Europy. W czasie powstania kościoła modlono się we wszystkich klasztorach: „Od furii Normanów racz zbawić nas Panie”. Stojący tu budynek z wysoką, kamienną wieżą, był żywym świadkiem tego okresu historii kontynentu. Słupecki uśmiechnął się w myślach: „Dobrze, że gdzieś tam są jeszcze takie pamiątki”.



Spiskowcy szli teraz szybciej, choć śnieg leżał również na jezdni. Schodzili do Karpacza. Słupecki śledził ich dalej. Nie byli przecież turystami idącymi do wioski dla przyjemności. Kiedy mijali dobrze znany lokal gastronomiczny zatrzymali się na chwilę, po czym wymieniwszy ze dwa zdania, ruszyli dalej w dół.





ROZDZIAŁ JEDENASTY

...smutny wymoczek...

Major Kalamatas odłożył słuchawkę na widelki, jakby była wykonana z najdelikatniejszej chińskiej porcelany. Teraz, kiedy zaczął grać na trzy fronty, bo gra na dwa mieściła się w obowiązkach służbowych oficera kontrwywiadu, musiał postępować bardzo ostrożnie. Z jednej strony musiał tworzyć pozory, tak żeby samemu wyjść z tego wszystkiego bez szwanku i z czystą kartą. Z drugiej strony nie mógł sobie pozwolić, żeby naruszyć kruchy rozejm z wrogiem. Nie mówił mu wszystkiego, ale też nie zamierzał odkrywać przed nim wszystkich kart. Niech im się wydaje, że nic nie wie. Niech myślą, że błędzi po omacku i jest zdany na ich łaskę i niełaskę. Och, z jaką rozkoszą sam zszedłby do piwnicy i rozkwasił ten durny ryj! Nie mógł jednak wykazywać zbyt dużego zainteresowania zatrzymanym Henrykiem Karczkiem alias Horstem Schretke. Musiał być kryty z każdej strony.

Telefon zaskoczył go i niemal przestraszył. Sojusznik proponował spotkanie. Do tej pory kontaktowali się wyłącznie telefonicznie. Przy pierwszym telefonie myślał, że to centrala go sprawdza, ale nieznajomy rozmówca znał zbyt wiele szczegółów. Czy to możliwe, że...? Minęło już tyle lat. Ostrożnie przystał na ten pakt, sporządzając tylko asekuracyjną notatkę, żeby kryć plecy. Papier można było spalić i sprawy nie było. Nie mógł zlekceważyć rozmówcy. Tym razem jednak w jego głosie Kalamatas wyczuł coś znajomego, coś, co poruszyło struny wspomnień sprzed lat. Zastanawiał się teraz, czy go rozpozna.

Kluczowa data zbliżała się wielkimi krokami – zostało ledwo trzy tygodnie do finału całej sprawy. I była to akcja w stylu: teraz albo nigdy. Jedyna nadarzająca się okazja. Druga taka może pojawić się za rok, dwa, a któż to wiedział, co będzie jutro?

Obawiał się tylko tego przyjaciela pana kapitana. Z tego, co mówił Socha, nie był wart pięciu złotych. Wciąż by tylko jadł i kwiatki w górach wachał. Ale kto go tam wie... Coś ich łączyło, coś poważniejszego niż sprawa z konsulem sprzed lat. I była to

znajomość o wiele bardziej zażyła, niż można było na pierwszy rzut oka stwierdzić. Trzeba będzie przyjrzeć się tej całej rodzinie. Gromiłowi, Warkotowi i temu, no, Kapuście. Panowie trzymali się razem i odwiedzali się z rodzinami nawzajem. Milicjant, drukarz i majster? Coś tu było nie ten... Niby po internacjonalistycznej linii sojuszu robotnika, chłopca i inteligenta pracującego, ale nie tak. Tam było drugie dno.

„Już ja ich prześwietlę – Kalamatas groził im w myślach. – Nikt nie stanie mi teraz na drodze, choćby i sam towarzysz Wiesław z towarzyszem łysym. Nikt”.

Dwaj spiskowcy zatrzymali się przy niewielkiej stacji kolejowej i przez chwilę rozmawiali z zawiadowcą. Po chwili ten wyższy zniknął we wnętrzu budynku i Słupecki widział, jak korzysta z telefonu służbowego. Kiedy skończył i wyszedł na dwór, zawiadowca wskazał im stojący nieopodal barak, do którego poszli od razu. Słupecki ruszył za nimi, jak mógł najbliżej, żeby nie słychać było skrzypienia kroków na śniegu ani nie wywołać chłodnych powiewów spirytualnych wiatrów. Skoro byli tak czujni, takie zjawisko mogło ich zaniepokoić.

Wyższy zastukał do drzwi szopy. Otworzył mu jęgomość w roboczej kufajce usmarowanej towotem. Pstryknął w daszek czapki i wpuścił ich do środka. Słupecki już był przy ścianie szopy stojącej tuż przy skalnej ścianie.

– To musi być do dwóch tygodni, góra. – Usłyszał strzępki rozmowy.

– Pilnują teraz jak cholera. Mogą zwrócić uwagę.

– Zwróć, zwróć, nie przejmuj się. Tylko będzie za późno. Tu jest mała stacyjka, za bardzo na widoku. Ktoś zamelduje.

– I dlatego musimy się przejechać?

– Dlatego właśnie musimy się przejechać.

– Ale to kupa ton stali. Armaty i karabiny sterczą z niej jak kocie ogony. Pomalowana w zimowy kamuflaż. Teraz już się tak nie maskuje. No i te wszystkie krzyże i hakenkreuze na bokach...

– Zamaskujemy. Zamaże się farbą, tak że nie będzie widać. Sośniny się natnie. Poutyka. Transport wojskowy i gównu komu do tego, dokąd jedzie. Paru mundurowych da się na stanowiskach wartowniczych. Orła albo jeszcze lepiej czerwoną zwieżdę się wymaluje w widocznych miejscach. Ludzie będą tylko wzrok odwracać.

– Jacy ludzie? Nocą, było mówione...

– Ale jakby się jacyś napatoczyli...

– Napatoczą się na własne ryzyko.

Słupecki w zamyśleniu oparł się o drewnianą ścianę szopy. Zaskrzypiało drewno.

Drzwi otworzyły się z rozmachem i wypadł ten wyższy okrutnik. Morderca. Rękę miał schowaną za pazuchą. Zaraz wyciągnie broń...

Słupecki pod szopą wybałuszył oczy niczym kot przyłapany na spijaniu śmietanki i zamarł w bezruchu, ale oczywiście morderca go nie zauważył.

„Niech to szlag” – zaklął w myślach.

- Chodźmy stąd – powiedział ten w czapce.
- E tam, tu zawsze tak straszy – rzucił lekceważąco kolejarz.
- „Dobre sobie, zawsze” – naburmuszył się Słupecki.

I nagle przyszło mu coś do głowy. Skupił się i jeszcze raz rozejrzał po okolicy. Zauważył lichy odzianą postać pod drzewem pozbawionym liści. Wyglądał jak smutny wymoczek w średnim wieku. Zjawa najspokojniej podrzucała sobie beztrąsko kość piszczelową, do tego własną.

- *Grüss Gott!* – zawołał na powitanie.
- Ze mną może pan po polsku. Polak jestem. Z Mazowsza – odparł nieznajomy pokutnik z rezygnacją w głosie.
- Co się szanownemu panu przytrafiło? – zapytał Słupecki.
- Przez własną głupotę tu trafiłem. Cieszyłem się jak każdy. Wojna się skończyła i w ogóle. No to przyjechałem tu, żeby trochę budżet domowy podreperować. Ziemie odzyskane w końcu, to postanowiłem coś dla siebie odzyskać. Targam różne klamoty z kolegą na pakę. Dużo tego, meble, pościel, rowery ze dwa. I coś mnie podkuśiło, cholera jasna. O przepraszam – zmitygował się, patrząc bojaźliwie w górę. – Widzę, skrzynka. Taka sobie zwyczajna skrzynka z butelkami. Myślę sobie, będzie czym świętować dobry zarobek. Ale to człowiek, wiesz pan, panie kolego, do siwuchy przyzwyczajony. A siwuchę trzeba odbić, żeby do środka się dostać. No to ja za butelczynę i dalej w dekiel trzask, trzask, prask, aż mnie ręka zabolęła. A tu nic. Nie idzie. Wtedy mój kumpel, niejaki Cyna, może pan znasz? Więc on mówi: „Te, tam hrabiowie korek drutem owinęli, co by ich, psiakrew, nie kusilo do gorzałki”.

No to ja mówię: „To dawaj, odwijamy”. Ale Cyna na to, czekaj, ja odwinę. Na to ja mu, żeby sobie własną butelkę wzion. A on, że jak już zacząłem, to może mi pomóc przy tej. Troszkęśmy się poszarпали, ale w końcu butelkę mi łajdak wyrwał. Mogłem sobie wziąć drugą, ale nie. I tu moja głupota ze mnie wyszła. Pomyślałem sobie, zobaczymy teraz, gadzie, jak tobie pójdzie, mądralo z pałuby. I łypię, jak on ten drut na prawo, na lewo, wygina, a butelką telepie. I nagle poooszło!

Jemu butelczynę z ręki wyszarpnęło i poleciała. Jak mnie pizła przez ciemność, takem za chwilę patrzył na wszystko z góry. Spoglądam na siebie, jak leżę na ziemi, na Cynę, który mordę rozdziawia, ale nie żeby pomoc wezwać, tylko żeby się tej uranżady, co zaczęła się wylewać z butelki, nachlać. Ja ci leżę jak nieboraczek bez ducha, a ten chleje, psiajucha! Uwierzyłbyś pan? Kolega! No a że kilka grzeszków miałem za uszami, to zostawili na, jak to powiedzieli, miejscu zejścia. I pochowali jak psa jakiego, o tam na górce pod płotem cmentarza. Ale widzę, że pan to weteran, gdzie mnie się tam równać.

- A straszy pan?
- Straszę od czasu do czasu, ale niechętnie.
- Dlaczego?
- A bo ja coś, proszę szanownego pana, serca do tego nie mam. Dobry z natury

jestem. Może by się pan wstawił tam – wskazał na niebo – do wyższej instancji w mojej sprawie. Pana posłuchają. Ja bym już chciał zaznać tego, no wiecznego odpoczywania, bo mnie coś ten siaber strasznie wymęczył. – Pechowy pokutnik wstawił sobie piszczel i wygładził suknię plugawą, nie zapomniawszy o wąsiskach. – To jak będzie?

– Dobrze, obiecuję, że się wstawię, ale musi pan coś dla mnie zrobić. Dobry uczynek, znaczy się.

– A jaki?

– Możesz pan przyfilować tego tu kocmołucha. Oni coś knują, a ja, choćbym się bardzo starał, nie mogę w dwóch miejscach jednocześnie...

– E, panie, tyle roboty. Łazić za nim? No nie wiem...

– Panie, Polak pan jesteś czy, za przeproszeniem, dupa wołowa?

– Polak, jak najbardziej – zaperzył się pokutnik.

– To zrobisz pan, jak panu każę.

– No dobrze, zrobię – odparł pechowy szabrownik z rezygnacją w głosie.

Pozostawiwszy czujkę na miejscu, Słupecki ruszył za swoją dwójką. Ten wysoki dokąś dzwonił z budki przy kiosku z piwem przy „Białym Jarze”, ale Słupecki nie zobaczył numeru. Następnie wsiadł do zaparkowanego starego samochodu, rzucił coś zdumionemu towarzyszowi przez otwarte okno wozu i ruszył z piskiem opon drogą na Wrocław.

Zbliżało się południe, spiskowiec skręcił w las z głównej drogi. Słupecki wiedział, że nie ma tam żadnego szlaku, tym bardziej ochoczo ruszył jego śladem, bo przecież grzybów już nie było, a nie podejrzewał takiego typu spod ciemnej gwiazdy, że będzie zażywać odpoczynku na łonie natury. Gdy minął niewielką wycinkę, pustą tym razem, i wszedł na spore karczowisko, nagle zniknął Słupeckiemu z oczu.

„Ki diabeł! – pomyślał. – Znikanie to przecież moja specjalność”.

Ruszył jego śladem i dopiero po dobrych kilku minutach zobaczył niewielkie wejście z jednej strony zamaskowane wielkim, obrośniętym mchem głazem, a zwalonym pniem dużego drzewa z drugiej. Było tak przemyślnie schowane, że szczelinę można było dostrzec tylko z tego miejsca. Bezszelestnie ruszył za zbójem i zniknął w ciemnej czeluści.

Gromił rozpuścił wici. Instynktownie czuł, że marnotrawny bratanek stanowił klucz do całej sprawy. Najwyraźniej był na bakier ze swoimi mocodawcami, bo uciekał, chował się i kluczył. Co takiego zrobił? Czym się naraził?

Wywiadowcy dostali odbitkę jego podobizny i szukali go po całym mieście. Młody człowiek był dość charakterystyczny z wyglądu, więc musieli w końcu go znaleźć.

Po dwóch dniach intensywnej poszukiwań, o których na razie Gromił nikomu nie meldował, jeden z wywiadowców wpadł na ślad młodzieńca. Najwyraźniej stwierdził, że pod latarnią najciemniej i zamelinował się u znajomego opryszka przy Dworcu Nadodrze. Kiedy milicjanci w trzech wpadli do jego mieszkania, nawet nie stawił

oporu, jakby spodziewał się aresztowania. Co więcej, przyjął to z widoczną ulgą. W godzinę później siedział w pokoju przesłuchań na Podwalu.

Gromił wszedł do niewielkiego pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. Był po cywilnemu. Zatrzymany miał hardą minę i patrzył na kapitana wyzywająco zza prostego drewnianego stołu, który niejedno widział w tym miejscu.

– Krystian Raufenberg, urodzony... zamieszkały... – Gromił mruzczał sam do siebie.

– Nic mi nie zrobicie! – wykrzyknął zatrzymany z własnej inicjatywy.

– Mylisz się. Nielegalne posiadanie broni... to będzie...

– To nie moja. Ktoś mi podrzucił!

– Świetnie, w takim razie na zamku i na łuskach nie znajdę twoich odcisków palców.

Mamy sprawdzić?

– Nie, nie musicie – rzucił młodzieniec posępnie. – To pamiątka.

– Pamiątka, w której siedzą w magazynku twoi mali przyjaciele biegający szybciej niż człowiek. Poza tym gdybyś miał starą tetetkę, to od biedy mogłaby zostać uznana za pamiątkę z wojny. Ale posiadanie pamiątek tego rodzaju jest bardzo, ale to bardzo niezdrowe. Ale póki co, w raporcie nie ma nic o pistolecie.

– Jak to?

– Po prostu wydałem taki rozkaz moim orłom.

– Ale dlaczego?

– Bo mnie, mój drogi chłopcze – Gromił celowo przybrał paternalistyczny ton – nie interesuje twój zapuszczony gnat. Nie nauczyli was w tej służbie czyścić broni czy jak? Mnie interesuje to, w jakim celu paradowałeś z nim po mieście. Czyli czego się boisz i kto ci zagraża?

– Ja niczego się nie boję!

Gromił zrozumiał, dlaczego nikt nie chciał Krystiana awansować pomimo dobrego pochodzenia. Chłopak był wciąż niedojrzały emocjonalnie. Zachowywał się jak smarkaty wyrostek, któremu ktoś zabrał scyzoryk na boisku szkolnym.

– Ależ boisz się, boisz, i to bardzo. Twój stryj mi powiedział. – Ostatnie zdanie zabrzmiało jak wystrzał w tym niewielkim pomieszczeniu.

– Ka... Karol? Ale skąd...?

– Nieważne. Ważne jest to, że masz jedną jedyną szansę, żeby wyjść z tego w miarę bez szwanku. Musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć. Zostawiam cię teraz na pięć minut, żebyś to sobie przemyślał.

– Będziecie bili? – zapytał z drzeniem w głosie.

– Żartujesz sobie chyba? W końcu jesteś na milicji, ale ja jestem przeciwnikiem drastycznych metod. Poza tym to, co ja mogę ci zrobić, jest niczym w porównaniu z tym, co może ci zrobić twój dowódca z oddziału. Prawda?

Gromił miał się już odwrócić i wyjść, ale chłopak drgnął i zakrył oczy dłońmi.

„No, trwało to krócej, niż przypuszczałem” – pomyślał Gromił.

– Niech pan nie wychodzi, powiem, co wiem.

– No to proszę. Na razie sobie porozmawiamy, a potem spisujemy protokół z przesłuchania.

Nikłe światło kończącego się dnia sączyło się przez zakratowany świetlik tuż przy suficie. W pomieszczeniu paliła się mocna żarówka. Gromił włączył też lampkę na stole, ale starannie opuścił metalowy klosz, żeby światło nie raziło chłopaka w oczy.

– Do wojska wzięli mnie na początku czterdziestego czwartego. Wcześniej byłem za młody. Skończyłem kursy i przeszkolenia, ale nie byłem prymusem. Zostałem skierowany w rodzinne strony wyłącznie za wstawiennictwem rodziny. Było tam kiedyś ze dwóch generałów...

– Mów dalej.

– Kiedy zbliżał się front przydzielono mnie do zabezpieczenia terenu. Pod komendę Hauptsturmführera Müllera. On kierował naszą grupą. Miał specjalne rozkazy i pełnomocnictwa. To straszny człowiek.

Chłopak na chwilę się zamyślił, po czym kontynuował.

– Zanim otoczono Breslau, wyjechało z niego kilka pancernych pociągów. Nikt nie wiedział, co było w ładowniach. Domyślaliśmy się tylko, że to cenne precjoza zarekwirowane wrocławskim rzemieślnikom, dzieła sztuki, kruszce, wszelkie dobro, dzięki któremu będzie można dalej toczyć wojnę.

– Może chodziło o złoto żydowskie? Wiele mówiło się na ten temat.

Krystian spojrzał na Gromiła jakoś tak dziwnie.

– Tamto zostało już dawno przetopione i sprzedane. W czterdziestym pierwszym nie było żadnego niemieckiego Żyda w Breslau. Chyba że jakiś zdołał się ukryć, ale denuncjowano ich na potęgę. Żydowskie złoto zostało dawno już porzucone pod Stalingradem w postaci sprzętu i broni. Wie pan, ile kosztuje taki czołg?

– Domyślam się. Opowiadaj, co było dalej.

– A więc, Müller miał rozkaz ukrycia „swojego” pociągu. A że, podobnie jak ja, pochodził z tamtych okolic, znał wszystkie sztolnie jak własną kieszeń, a do tego miał dokładną mapę sieci kolejowej w kotlinie. Zrobił zwiad przy pomocy najbardziej oddanych ludzi. Kiedy widział słabość lub kiedy dostrzegał błysk zachłanności w oku któregoś ze swoich, bez słowa wyciągał broń i strzelał mu w łeb. Taki to człowiek. Wiedział, że natura ludzka jest ułomna, dlatego tego skarbu, Skarbu Liczyrzepy, jak zwykł być mawiać, musieli po wojnie pilnować najbardziej zaciekli, najwierniejsi narodowi socjaliści. Ja, jako „paniczyk z dworu”, byłem z miejsca podejrzany, ale Müller nie ośmielił się mnie zabić. Przynajmniej na razie. Po kapitulacji zrzucił mundur i wraz ze swoimi przeszedł do podziemia. Z tego, co wiem, tylko raz strzelał, bo jakieś wojsko zajęło do jego rodziców i zaczęło wypytywać o różne sprawy. Müller zabił jednego, ale w szynku było ich więcej, więc musiał się wycofać. Wtedy zginęła jego matka, a ojca zabrali i też ślad po nim zginął. Wszyscy z naszej grupy, którzy przeżyli, wystąpili o zmianę nazwisk, żeby nie przyciągać niechcianej uwagi. Że niby tacy spokojni robotnicy, owszem byli w wojsku, ale byli kierowcami...

– ...kwatremistrzami i kucharzami – dokończył za niego Gromił. – Doskonale znam tę wersję.

– No właśnie. Za Stalina wszyscy siedzieli jak myszy pod miotłą, bo czapę można było dostać od razu. A jeszcze te metody śledcze... Ale UB bardziej interesowało się waszymi, no żołnierzami, a naszych wyłapywali tylko od czasu do czasu, więc nie było tak źle.

– Tego rodzaju metody śledcze były znane przede wszystkim u was.

– Może i tak było. Na wiosnę tego roku Müller nawiązał kontakt ze wszystkimi członkami naszej grupy. Nakazał pełną mobilizację, bo pojawiła się szansa odzyskania skarbu i przewiezienia go w bezpieczne miejsce.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. Moim zadaniem było ubezpieczanie członków grupy. Ale dwóch zginęło w niewyjaśnionych okolicznościach. Myślę, że Müller ich zabił, bo widzieli w tym szansę na szybkie pieniądze. Müller mówił, że dla zdrajców ma tylko jedną karę...

– Nieżył ten wasz oficer. Już go lubię. Lubilem go wcześniej, ale nie znałem personaliów – zauważył cierpko Gromił. – Z tego, co wiem, zabito jednego z waszych, Waltera Bautza alias Waltera Bałczyńskiego. Jeden cios długiego ostrza nad obojczykiem. Fachowa robota. Ani zipnął.

– Słyszałem, że nie żyje, ale nie wiedziałem... – Głos Krystiana drżał jak osika.

– Jeden z waszych uciekł, a innego, Wacława Janiszewskiego, czyli Willema Janischa, zabrali na UB. Nie wiem, co się z nim teraz dzieje.

Krystian wbił wzrok w blat stołu.

– Wiem, co pan sobie myśli: „Głupi gówniarz”.

– Tak, tak właśnie sobie myślę. Nie jesteś bynajmniej niewinny i będziesz musiał odpokutować za swoje, ale twoje zeznanie i, powiedzmy, dobrowolne zgłoszenie się na milicję...

Krystian podniósł wzrok na Gromiła. W jego oczach zapaliła się isierka nadziei.

– ...uchroni cię przed czapą. Współpraca z organami ścigania da ci kolejne piętnaście lat odjęte z dożywocia. Potem będzie kolejna amnestia i może...

– Ja się zabiję! – oznajmił z mocą Krystian.

– Tylko bez melodramatycznych scen. Bądź mężczyzną. Wypij z godnością piwo, którego nawarzyłeś. Co by Karol powiedział, kiedy by cię tutaj zobaczył...?

– Skąd pan go zna? Przecież wuj był zawsze z dala od tego. Inżynier – prychnął.

– Inżynier. Zwykły normalny człowiek, który martwi się o smarkacza, swojego siostrzeńca. Możesz to zrozumieć?

– Ja go nie prosiłem o pomoc!

– Jego też wiele kosztowało przyjście do mnie z prośbą o pomoc dla ciebie. Myślisz, że moi przełożeni pogratulowałiby mi za to? Myślisz, że dostałbym awans? Tak, oczywiście, panie Raufenberg, to tylko takie szczeniackie wygłupy. Wyciągniemy pana siostrzeńca z łap tych esesmanów. Tak myślisz?

– Nie... Dziękuję panu.
– Jeszcze nie masz za co dziękować. Na razie musimy cię ukryć. W areszcie oczywiście.

Krystian zwiesił głowę.

– Pod innym nazwiskiem – dodał Gromił.
– Proszę pana, nawet nie wiem, jak się pan nazywa, jest coś jeszcze...
– Kapitan Stefan Gromił. Coś jeszcze chciałeś powiedzieć?
– Müller ma tu kogoś.
– Gdzie? Tu?
– Tak, na Podwalu. Zawarli pakt. Porozumieli się.
– Jaki pakt? Co ty mówisz, człowieku?
– W sprawie skarbu. Wiem, bo podsłuchałem, jak rozmawiał z kimś od was. Ktoś chce położyć na nim łapę. Mają się podzielić...
– Dzielić się niemieckim złotem z funkcjonariuszem władzy ludowej? Teraz to już przesadziłeś.
– Po co miałbym kłamać? W tej chwili to mi już wszystko jedno.
– Nazwiska pewnie nie znasz...
– Müller rozmawiał z nim kilka razy. Nikt inny nie jest wprowadzony w tę konspirację. Wiedziałbym.
– A co konkretnie powiedział?
– Mówił coś o... zasłonie dymnej... o grze pozorów. Że straty muszą być. No i jeszcze coś o piłce nożnej.
– O piłce?
– Tak, żebym tak skonał. O jakimś meczu czy spotkaniu, że zbliża się i już niedługo... reszty nie usłyszałem.
– Uff, no chłopie, aleś namieszkał. Teraz dadzą ci coś do żarcia i odprowadzą do pojedynczej celi. Ja sam sporządzę protokół i ty mi go podpiszesz. Później zobaczymy. Aha, pasek i sznurowadła zostawisz w depozycie, na wypadek gdyby ci coś głupiego do głowy przyszło. Pamiętaj, na razie nic nie jest ustalone, nic nie jest pewne. Jak dojdziemy do jakichś konkretów, wstawię się za tobą u przełożonego, choć jesteś gówniarz, szwabska kanalia i piramidalny idiota na dokładkę.
– Dziękuję, panie kapitanie.
– Karolowi podziękujesz, jak się ten cały bajzel skończy. Gromił zabrał notatki i wyszedł z pokoju przesłuchań.
„Jak się Kalamatas dowie, pięciu groszy nie dam za jego życie” – pomyślał, po czym ruszył zamyślony schodami na górę.

Jan w pracy odebrał telefon. Dzwonił Stefan.

– Słuchaj, musimy się koniecznie zobaczyć. Może u mnie, po południu?
– Dobrze, zadzwonię tylko do Basi. Coś się stało?

– Stało się, ale to nie jest rozmowa na telefon. Do zobaczenia.

– Cześć.

Warkot wyjrzał za okno. Ostatnie promienie jesiennego słońca padały na wrocławskie dachy. Spoglądał na panoramę Starówki. W okolicy można było zobaczyć cały przekrój architektoniczny w pigułce. Nieopodal pysznił się neorenesansowy dach Ratusza z licznymi zdobieniami schodzącymi kaskadą, piętrzącymi się niczym słoneczniki wyciągające swe kwiaty jak najbliżej słońca. Za nimi straszył nijaki, betonowy dach pozostawiony tu przez niemieckiego architekta, który miał chytry plan, żeby ujednoczyć architekturę Starego Miasta. Na całe szczęście nie zdążył, pozostawiając po sobie tylko jedno straszidło, które od biedy mogło służyć za bunkier.

Warkot spoglądał na spadziste dachy ocalałych wrocławskich kamienic i tych odbudowanych według starych planów. Niektóre były dwu-, inne trzykondygnacyjne. Zastanawiał się, ile osób zamieszkiwało te strychy na przestrzeni dziejów. Ile prawdziwych skarbów było wciąż pochowanych u powały, w belkach stropowych w nadziei żywionej przez uciekających, że jeszcze tu wrócą, że odzyskają to, co najcenniejsze. Co i rusz odnajdywano coś w prywatnych magazynach, a pogłoski mówiły o tym, że było tego dużo więcej. Szczęśliwi znalazcy nie kwapili się, żeby podzielić się znaleziskami z władzą, bo w najlepszym wypadku odebrano by im cenne przedmioty, w najgorszym oskarżono o próbę przywłaszczenia.

Szczerby dachowe wciąż szczerzyły swe spróchniałe pniaki, choć gdzieniegdzie widać było postęp prac. Warkot przypomniał sobie strych kamienicy Gromiła. Nigdy nie zobaczył go z bliska. Przyjaciel opowiadał mu o tym, że pani Apolonia pranie tam wiesza, bo latem schnie w parę godzin.

Z częściowo płaskiego dachu widział kiedyś odremontowane szczyty katedry i uśmiechnął się na wspomnienie skarbów, których zazdrośnie strzegła ta wrocławska świątynia. Starsze gotyckie dachy miały kształt romboidalny, młodsze szczerze ubolewały nad brakiem hełmów wież strąconych ręką sowieckiego artylerzysty i lotnika. Były po prostu za wysokie, żeby do nich nie strzelać. Podczas oblężenia Festung Breslau odznaczały się na niebie niczym środek tarczy strzelniczej. Ocalały hełmy na wieżach kościoła Marii Magdaleny, ale na skutek ludzkiej głupoty wybuch składu amunicji dokonał dzieła zniszczenia obiektu, który na przekór wszystkiemu oparł się atakom Rosjan.

Pojawiały się też nowe, nieduże spadziste dachy lśniące nową, rdzawą dachówką, połyskujące świeżością w deszczu. Dzieła trójek murarskich poprzedniej epoki. Teraz zapomniano już o trójkach murarskich, przodownicy pracy i junacy Służby Polsce odeszli, trafiając na karty historii. Byli bohaterami okresu przejściowego, który zakończył się we Wrocławiu dość szybko po zlikwidowaniu Ministerstwa Ziem Odzyskanych. Przestały płynąć środki i Wrocław stał się jednym wielkim magazynem cegieł dla powstającej z kolan Warszawy.

Wkradł się marazm i zastój. Zwątpienie w to, że nowi mieszkańcy będą mogli

w mieście pozostać, choć zdążyli je już szczerze pokochać. Na szczęście Wielka Polityka zapomniała o Wrocławiu czy też postanowiła nie ruszać tego tematu. Wiatr hulał jeszcze po wielu wrocławskich strychach, zwieńczeniach domów, które czekały na wyrok. Zapadały decyzje – albo do rozbiórki, albo do odbudowy. Tych ostatnich było zdecydowanie mniej.

I tak w miejscu, w którym jeszcze nie tak dawno wznosił się wspaniały gmach nadający się do renowacji, teraz ziała dziura w ziemi ogrodzona płotem. Znak czasów, choć było to mocno niesprawiedliwe. Znikały budynki idealnie nadające się do remontu, ale przez swą przeszłość napiętnowane i przeznaczone do wyburzenia. Jakby usunięcie kilku cegieł było w stanie zmienić czy też wymazać historię miasta. Choć zniknęły z Wrocławia, wciąż istniały na planach, mapach i w pamięci ludzkiej. Niczym półprzeźroczyste widma unosiły się teraz nad ruinami, dając świadectwo tego, co stało tu wcześniej. Uważny obserwator widział to wszystko.

Warkotowi zdawało się, że dostrzega starą panoramę Starówki. Miasta będącego przed wojną perłą wschodnich Niemiec. Nie było tu, w centrum, szerokich arterii i wystawnych domów, jakie zdobiły południowe i zachodnie dzielnice miasta. Uliczki były wąskie, zabudowa zwarta, historyczna. Cóż z tego, że z wielu tych domów, choćby na leżącej nieopodal drukarni zwisały onegdaj czerwone flagi ze znieawidzoną swastyką? W historii miasta tych kilka lat było jedynie okamgnieniem i zdaniem Warkota niesłusznie karano jego ukochane miasto za chwilę słabości, za uległość wobec bezwzględnych Hunów przejmujących wszystko siłą i włączający swoją ideologię między te stare mury.

Jedynie powszechna po wojnie piastomania uchroniła gotyckie zabytki Wrocławia. Odbudowywano je z pietyzmem, bo miały stanowić dowód, legitymizację praw Polaków do tych ziem. Warkot skrzywił się. Nie lubił przesady w żadnej dziedzinie, choć doceniał płynące korzyści z tego zjawiska w Polsce Ludowej.

Janek zebrał papiery do skórzanej teczki, zapiał ją na dwa klipsy na paskach i wyszedł z biura. Przechodząc obok portalu ołbińskiego, nie mógł nań nie spojrzeć. Fenomenalne dzieło kamieniarzy z północnej Italii przywoływało czasy, gdy kamiennych budowli było we Wrocławiu jak na lekarstwo. Roślinne sploty i gargulce układały się we wzór, który można było dostrzec jedynie z pewnego oddalenia. Na tym właśnie polegała maestria wykonania tego dzieła.

Warkot uśmiechnął się do siebie i ruszył dalej przez olbrzymi plac za kościołem Marii Magdaleny, za którym można było teraz zobaczyć tylko rów z gruzem. Na tym tle wyraźnie odcinała się kamienica, w której mieszkał jego przyjaciel. Dwupiętrowy szczyt domu górował nad okolicą. Warkot minął kilku pracowników firmy transportowej, która zajmowała pomieszczenia na dole i dwa, trzy mieszkania na piętrach. Po namyśle zrezygnował z windy i zaczął wspinać się po drewnianych krętych schodach. Na czwartym piętrze zatrzymał się i nacisnął dzwonek.





ROZDZIAŁ DWUNASTY

...dopóki piłka w grze...

Tego samego dnia majster Kapusta wdał się w zupełnie niepotrzebną dyskusję na temat piłki nożnej. Choć sam przed wojną kopał w amatorskiej drużynie, nie uważał się za eksperta i choć podczas radiowych transmisji emocje często brały górę, ostrożnie typował szansę Polaków w nadchodzących mistrzostwach świata. To prawda, niepozorny Gerard Cieślik powalił na łopatki giganta, drużynę ZSRR 2:1. Cały kraj ogarnęła prawdziwa euforia, bo oto podległy kraj pod butem „dokopał Ruskim”.

Sport w krajach demokracji ludowej traktowano niezwykle propagandowo, bo skoro sportowcy z NRD, ZSRR, Czechosłowacji i Polski zdobywali medale na międzynarodowych zawodach, również konkurencja na zgoła innych polach mogła przebiegać podobnie. Zawsze lepiej spuścić wrogiemu państwu łomot na stadionie czy bieżni niż przy pomocy uranowych zabawek doprowadzić do unicestwienia połowy planety.

Sama postać Cieślika była mocno kontrowersyjna, bo nie dość że był gdańszczaninem wcielonym do Wehrmachtu, to nie odznaczał się solidną budową ciała, przez co trener obawiał się, że nie poradzi sobie z roslymi Rosjanami. Ten jednak, na przekór wszystkim, położył Goliata na łopatki przy wtórze ryku stutysięcznej polskiej widowni. Teraz drużynę Polski czekał rewanż w rozgrywkach barażowych. Mecz miał się odbyć pod koniec listopada w Lipsku. Wszyscy czekali na to spotkanie, pokładając w nim duże nadzieje i obstawiając nieformalne zakłady.

Tak naprawdę niewielu Polaków będzie mogło zobaczyć ten mecz na żywo, bo choć pod presją Stalina podpisano układ o „pokojoyej granicy”, obywatele obu krajów nie odwiedzali się zbyt często. Wymagało to wiele zachodu i tony biurokratycznych czynności, a do tego aprobaty władz bezpieczeństwa. Wiadomo było, że przejścia między strefami okupacyjnymi w Berlinie były dziurawe jak rzeszoto i jeśli przedstawiciele ludowej milicji NRD puszczali delikwenta na drugą stronę, to

Amerykanie tylko machali lizakami, żeby przechodzić dalej. Obywatele podzielonego Berlina jeszcze całkiem bez przeszkód przemieszczali się tam i z powrotem, choć przebąkiwano coś o wzmocnieniu granicy.

Tam, za szlabanem, otwierał się wolny świat. Wszyscy Niemcy, nie mówiąc już o cudzoziemcach, którzy przechodzili do socjalistycznej części miasta ze „zgniłego, imperialistycznego Zachodu”, byli poddawani ścisłej inwigilacji. Już teraz zaczęto zamurowywać drzwi domów na granicy obu ustrojów, żeby obywatelom nie było za łatwo. Niektórzy mieszkali po jednej i pracowali po drugiej stronie granicy i na razie władze nie robiły z tego powodu trudności. Nie było jednak szans, żeby autokary pełne kibiców przekroczyły granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej. Nie lżja.

– No mówię ci, Broniek, że dostaniemy w skórę. Ruscy się szykują, bo to sprawa prestiżowa.

– Nie gadaj, Zdzisiu. Wiesz jak ten Gerard biega? Widziałeś, jak kiwał Strielkowa na prawo i lewo? I dwa razy pokonał Jaszyna! To nie byle co.

– Słyszałem, że po meczu do szatni naszych wdarli się kibice i chcieli chłopakom nogi myć! Naprawdę. – Antek Kmieć był zapalonym kibicem.

– I co, umyli? – zapytał Zdzisiek.

– Nie, bo za duży ścisk był. Każdy chciał myć.

– Ty, Zdzisiek, jesteś niewierny Tomasz – Broniek podjął nowy atak – Przyłożyli nasi Ruskim? Przyłożyli. To i teraz dadzą radę.

– Uwierzę, jak zobaczę. Tam trudno będzie.

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo. A potem już tylko spacerek i Polska mistrzem świata!

– A Anglia? A RFN? To pewniaki.

– Co tam Anglia, co tam Niemiaszki...

– Mocni są, nie gadaj!

– Może i mocni, ale nasi mocniejsi!

– Nie ma co teraz gadać po próżnicy, robota czeka.

– Jasne, jak zaczynamy rozmawiać na poważnie, to robota. Robota, jak to mówią, nie zając.

– Ale premia zając, Bronuś, premia!

– No to co? Przecież maszyna sama chodzi.

– Może i sama, ale doglądać trzeba, jak ze wszystkim.

– E, Zdzisiek, z tobą to nie ma rozmowy!

– Możemy pogadać przy piwku po pracy – dokończył stanowczym tonem.

– Z tobą to tak zawsze... – Broniek był niepokieszony. Podobnie Antek. Gorące głowy.

Kapusta podkręcił węża i zasunął sobie nieodłączny kaszkiet na czoło.

„Gówniarze – pomyślał. – Jak Ruskie ściągną ze dwa bataliony żołdatów na stadion, to będzie kiszka, a nie doping. Choć fajnie by było, gdyby im znowu dokopali”...

Knajpa na Śródmieściu była prawie pełna o tej porze dnia. Gwar bywalców praktycznie uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę, ale to właśnie tutaj, o tej porze major Zenon Kalamatas umówił się ze swoim tajemniczym sojusznikiem. Rozglądał się przez chwilę po sali.

Przy stoliku pod oknem siedziało czterech nygusów, a każdy z nich miał odsiedziane wyroki wypisane na zapitej facjacie. Czujne oczy jednego z nich wyłowiły bez pudła przedstawiciela władzy. Tutaj każdy kamuflaż był zbędny, bo recydywiści instynktownie od razu rozpoznawali nowego dzielnicowego czy łapsów po cywilu. Ten, co tu siedział, musiał być niezły blacharz. Rasowy. Prawie dwa metry wzrostu, szczupły, żyłasty z siwą czupryną krótko przyciętych włosów. Czekał na kogoś. Bywalcy wiedzieli i obserwowali w oczekiwaniu na jakąś lebiegę, która na swoje nieszczęście przyszła kapować w tak odkrytym miejscu. Już go ferajna przyfiluje. Nie ma sprawy.

Kalamatas siedział twarzą do wejścia i aż drgnął, kiedy drzwi przybytku otworzyły się szeroko i do knajpy wszedł wysoki, postawny mężczyzna w ciemnym płaszczu. Na pociągłej, ascetycznej twarzy miał długą szramę, która biegła od ust do lewego oka. Kalamatas zamarł w bezruchu. Niemożliwe! Nowo przybyły też stanął jak wryty. Zaskoczenie było pełne. Ale żeby po tylu latach... Opanował się, podszedł do stolika i usiadł, wpatrując się intensywnie w błękitne oczy swego lustrzanego odbicia. Mierzyli się przez dłuższą chwilę wzrokiem. Żaden nie mógł uwierzyć w to, co widział. Podobieństwo było tak uderzające, że wokół nich zaczęły milknąć rozmowy i sytuacja zrobiła się napięta.

– A co, braciszek z wojska wrócił? – zagadał do niego jakiś typ. – To może się napijemy na okoliczność?

– Może jednak się przejdziemy – zaproponował major.

– Dobrze. Chodźmy stąd – odparł przybyły.

Przeszli przez gęste opary dymu tytoniowego i z ulgą znaleźli się na zewnątrz. W knajpie rozmowy wybuchły ze zdwojoną siłą, bo wiara musiała skomentować niezwykle wydarzenie.

Ruszyli Nowowiejską, kierując się ku rozciągającym się nieopodal skwerom wokół dużego stawu.

– Myślałem, że zginąłeś – zaczął Jürgen.

– Zginąłem – odparł Zenon. – Stare dzieje.

– Rodzice cię opłakali.

– Służba nie drużba. Takie było zadanie.

– Trzeba było chociaż dać znak, że żyjesz, Otto.

– Otto nie żyje. Ja jestem Zenon. Zapomniałeś?

– Nieźle cię przekabacili u tych ruskich.

– Wtopiłem się w tło, zdobyłem zaufanie na podrobionych papierach. Meldowałem wszystko do centrali.

- Teraz już nie ma centrali. Niczego nie ma. Ale będzie...
- Słuchaj, wiele ryzykowałem, spotykając się z tobą, ale teraz zagrożenie jest podwójne. Jeśli odkryją, kim jestem, to czapa murowana i do tego jeszcze przesłuchania w Moskwie.
- Niczego nie odkryją, nie zdążą. To już za dwa tygodnie.
- Taaak, dwa tygodnie... – Major zamyślił się. – Słuchaj, a co ty chcesz z tym zrobić?
- Z ładunkiem? Są jeszcze nasi za granicą, nawet w Ameryce Południowej. Będziemy tworzyć struktury, robić naszą robotę, tak jak rozkazano.
- Naprawdę w to wierzysz? Myślisz, że się uda? Słuchaj, Jürgen, ja się wiele napatrzyłem, mógłbym ci wiele powiedzieć. Co ja tu przeżyłem...
- Nam też nie było lekko. Od kiedy mnie uwolniłeś tam za ten spiryt, kluczę i uciekam. Mam już to we krwi.
- Matkę zabili...
- Wiem, byłem przy tym. Taki jeden młokos. Widziałem go niedawno.
- Warkot, koleżka tego oficerka Gromiła. Ten to też niezłe ziółko. Mój wywiadowca twierdzi, że coś ukrywa. Że wie więcej, niż mówi. Ten Warkot... On cię widział, prawda?
- Dawno temu. Przez kilka sekund.
- Lepiej spojrzysz w lustro. Zapomniałbyś taką facjatę? Tak się składa, że mam podobną. Jak zaczną kojarzyć fakty...
- No i do tego ten Krystianek. Niezła chryja. Słabeusz. Ale czy pamięta? Miał wtedy mleko pod nosem. Cholera, może mieć zdjęcie...
- Nie możemy ryzykować. Kiedy będzie po wszystkim, kula w łeb!
- Rozmowa toczyła się w języku polskim, bo teraz nawet drzewa w parku mogły mieć uszy, a niemiecki był zdecydowanie niezdrowy.
- No a ty, jakie masz plany? – zapytał Jürgen. – Co chcesz zrobić ze swoją działką?
- Bungalow na plaży, palmy, zimne napoje. Daleko stąd.
- Zawsze byłeś sobkiem. Nasza ojczyzna już cię nie obchodzi?
- Bardzo obchodzi. Na tyle, że chcę, żeby pozostało we wspomnieniach. Teraz chcę trochę pożyć na stare lata.
- Każdego innego zabiłbym na miejscu za takie gadanie. Kilku zresztą posłałem do piachu, ale żeby własny brat? Nie tak nas matka wychowywała.
- Zenon Kalamatas popatrzył na brata z niedowierzaniem. Zawsze był niezwykle ideowy, dlatego poszedł do SS. Pomyślał, że teraz tym bardziej będzie musiał zabezpieczyć sobie tyły.
- Trzeba będzie coś zrobić z tymi szczeniakami – rzucił Zenon.
- Myślisz o...
- Tak, o całej trójce. Poślesz swoich?
- Nie, sam to załatwię. Można jednego szachować drugim. Przyjaźnią się. Warkot

z Gromiłem. – Uśmiechnął się z politowaniem, jakby przyjaźń była czymś równie wstydlivym jak rzeźączka.

– Uważaj, ten kapitan to zawzięty młody bydlak. Ideowiec. Takie mam wrażenie i tak mi doświadczenie podpowiada.

– Komunista znaczy? Nie tacy próbowali.

– Z komunistą byłaby prosta sprawa. Ten jest inny. Nie możemy mnie spalić, bo cały plan opiera się na moich kontaktach i papierach. Ja muszę być z dala od tego.

– Jak zwykle – prychnął Jürgen.

– A co ty wiesz? Żarły cię kiedy wszy i jadłeś zgniłe mięso? A mnie żarły i już zreć nie będą, zapamiętaj to sobie. Wbij w ten aryjski łeb.

– Spotkanie po latach, kto by przypuszczał...

– Jesteś mi to winny – rzucił Zenon. – Nie zapomniałeś chyba?

– Nie musisz mi przypominać.

Skęcili w boczną alejkę wiodącą do tramwaju. Major wyciągnął dłoń na pożegnanie. Jürgen uściskał ją. Stali tak przez chwilę w bezruchu, jakby mierzyli swoje siły i możliwości. Ktoś mógłby przypuszczać, że się siłują.

– Do zobaczenia, braciszku – powiedział Jürgen.

– Do zobaczenia.

Major miał przecucie, że ich następne spotkanie może mieć zgoła inny przebieg i wiedział, że brat myśli tak samo. Zbyt wiele ich różniło.

Gromił otworzył drzwi przyjacielowi. W mieszkaniu już ktoś był. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o nienagannych manierach. Stefan przedstawił ich sobie.

– Karol Raufenberg.

– Jan Warkot.

Stefan po krótkce opowiedział przyjacielowi, w jakich okolicznościach się poznali i czego dotyczyła wizyta Karola kilka dni temu. Raufenberg był coraz bardziej zdziwiony taką poufałością, do jakiej kapitan milicji dopuszczał cywila.

– Wiele razem przeszliśmy – wyjaśnił Gromił. – A do tego Janek tkwi w tej sprawie po uszy.

– Rozumiem.

– Wiem, że pan nie rozumie, panie Karolu, ale dobre wychowanie nie pozwala się panu dłużej dziwić. Zdziwienie to dość prostacka reakcja. Dżentelmen tylko przyjmuje do wiadomości.

– Ma pan rację.

Gromił przedstawił po krótkce rozwój ostatnich wydarzeń i Karol Raufenberg musiał się bardzo pilnować, żeby nie dać po sobie poznać zdenerwowania.

– Ile lat może dostać? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. Można w różny sposób interpretować te same paragrafy.

– Ale jak pan sądzi?

– Myślę, że jak mu się upiecze, dostanie dziesięć, jeśli nie ujawnimy posiadania broni, może pięć...

– To i tak dużo. Zmarnieje w więzieniu.

– Proszę być dobrej myśli. Coś wymyślimy.

– Jest pan niezwykle uprzejmy, dziękuję panu.

– No ale co zrobić? – nie wytrzymał Warkot. – Przecież nie możesz ukrywać świadka w nieskończoność.

– Na razie minęło dopiero parę godzin. Kluczowe parę godzin, w przeciągu których przekonamy się, czy nikt nie puścił farby.

– Nie puścił... przepraszam, farby? – nie zrozumiał Karol.

– Czy nikt nie doniósł, nie zakapował, nie zameldował, gdzie nie trzeba – uściślił Stefan. – Oni mają wszędzie wtyki.

– Oni?

– UB, kontrwywiad.

– To oni go szukali?

Gromił pokiwał głową. Zabrnął już tak daleko, że nie miał wyjścia, musiał zdradzić tajemnicę służbową. Ba, osobie bezpośrednio związanej ze śledztwem – krewnemu zatrzymanego. Chciał jednak, żeby Karol w pełni zrozumiał groźbę sytuacji. To nie były jakieś drobne przewinienia, błahie grzeszki – tu gra toczyła się o życie jego siostrzeńca. Jeśli nikogo nie zabił, to mógł z tego wyjść w miarę cało.

– Jestem do pana dyspozycji – powiedział Karol. – Jeśli tylko coś będzie w mojej mocy: pomogę.

– Doceniam to i będę pamiętać – odparł Stefan. – Janku, co wiesz na temat tego pociągu, którego szukali Rosjanie?

– Niewiele. Mój kapitan wziął mnie do obstawy, kiedy jechaliśmy do świadka. Wiadomo było tylko tyle, że to pancerny pociąg z dwoma wagonami towarowymi. Krótki. Nie wiadomo, co w nim było, ale Rosjanie mieli nosa do znalezisk. Zresztą skoro Niemcy chowali, to znaczy, że coś było.

– Mógł być uran... – wtrącił się Karol.

– Nasz dolnośląski uran jest bardzo ubogi – sprostował Gromił.

– Trzeba byłoby wydobyć wiele ton, żeby uzyskać kilogram materiału rozszczepialnego.

– Zaraz! – rzucił Janek. – Rosjanie jeszcze wtedy bomby nie mieli...

– Rosenbergowie wykradli tajemnicę... – dodał Karol. – U Iwana prace trwały. Jak Amerykanie spuścili bomby, to zapanowała wielka nerwowość. Niby sojusznicy, ale...

– Ja stawiam na złoto w sztabach, bo to łatwiejsze w transporcie niż dzieła sztuki – powiedział Janek. – Cokolwiek by to nie było, grupa Werwolfu bardzo chce na tym położyć łapę. Nie wiem nawet, czy ten główny zdaje sobie sprawę, co jest w środku.

– Musi wiedzieć – rzekł Karol.

– Panowie, to są czcze dywagacje – zniecierpliwiał się Gromił. – Na razie wiemy, że

grupa istnieje, że idą do celu po trupach i że nasze władze też się tym bardzo interesują.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Wszyscy obecni, aż podskoczyli na krzesłach. Stefan poszedł otworzyć.

– Witam szanownego pana! – rozległo się z przedpokoju.

– Dzień dobry, Stefanku – zabrzmiał wesoły głos.

Do pokoju wszedł jegomość średniego wzrostu w stroju turysty. Miał na sobie resztki topniejącego śniegu i jakieś pajęczyny, które teraz starannie ścierał z twarzy. W drugiej dłoni trzymał czekan i czapkę z pomponem.

– Pan pozwoli, Leon Słupecki. Panie Leonie, Karol Raufenberg – przedstawił sobie gości Stefan.

– Bardzo mi przyjemnie. – Ukłonił się upiór.

– Mnie również. Proszę wybaczyć śmiałość, ale czy zaczął padać śnieg? Trochę chyba za wcześnie.

– Ja już widziałem śnieg w maju. To prawda, trochę mnie przysypało, cholerka.

– Wprowadziliśmy pana Karola w kilka naszych spraw – powiedział Stefan – bo jego bratanek...

– A tak, słyszałem. Młody wilczek. Tak?

– Popełnił wiele głupstw w życiu... – Karol zwiesił głowę.

– Nie tacy wychodzili na ludzi. Proszę nie upadać na ten... duchu.

– Dziękuję.

Gromił chciał jak najszybciej zmienić temat.

– Z pana niespodziewanego pojawienia się – chrząknął – wnioskuje, że pan też nie próżnował, panie Leonie.

– Trzymam rękę na pulsie. Co prawda przegonili mnie psiajuchy po jaskiniach, ale... – tu zawiesił teatralnie głos – ...wiem, gdzie jest ten wasz pociąg!

– Co takiego?!

– Stoi sobie spokojnie na ukrytej, podziemnej bocznicy. Nie zdążyli wykopać całego tunelu, więc jest, można powiedzieć, prawie na widoku. Stoi na szynach, które pozornie kończą się w zboczu góry. Wielki jak stodoła. Lokomotywa to jest, ooo, taka wielka.

– Ale jak? Jak to się panu udało? – Karol miał duże wątpliwości.

– Powiedzmy, że sprytem i rozumem.

– Ale co będzie, jak go stamtąd ruszą?

– Nie ruszą, dopóki taki jeden umorusany lebiega nie naoliwi wszystkiego. Ale ten temat też mam obstawiony.

– I dokąd go wywiozą? – wtrącił się Gromił. – Przecież pociąg to nie dreźyna.

– Tego jeszcze się nie dowiedziałem. Natomiast na pytanie: „Kiedy?”, już wkrótce będę miał precyzyjną odpowiedź.

– I co jest w środku? – zapytał zniecierpliwiony Warkot.

– Duchem świętym nie jestem, powiedziałbym, że wręcz przeciwnie.

– Czyli zna pan wejście do tego tunelu?

– Wchodzi się przez jaskinie czy grotę na stoku. Jest tam zamaskowane wejście. Potem długi spacer w towarzystwie pajaków i innych dzikich stworzeń, i już po pół godzinie wychodzi się do sztolni, a potem do tunelu z pociągiem. Narysuję wam plan.

– To są bezcenne informacje! – Gromił nie potrafił okiełznać emocji.

– Bractwo Wrocławskie znowu razem – uśmiechnął się Janek.

– Przepraszam, nie wiem, o czym panowie mówią – odezwał się Karol.

– Nie szkodzi. Wyjaśniamy panu później.

– Trzeba zwołać wojsko, otoczyć teren...

– I ściągnąć setki domorosłych kopaczy – rzucił Stefan – którzy nam spieprzą całą sprawę koncertowo. Będzie tam ruch jak na Świdnickiej! Karpacz przeżyje drugą młodość. Ceny pójną w górę. I to przed sezonem!

– Czyli klucz nam nie będzie potrzebny? – zapytał Warkot bardziej wprowadzony w sprawę.

– Klucz? Chyba nie. Choć szukam dalej. Ktoś go musiał zabrać z magazynu dowodów rzeczowych.

Rozmawiali do późnej nocy. Ustalono pryncypia. Gromił ostrzegł Warkota, żeby uważał na siebie, bo – pomijając inne kwestie – Müller chciał wyrównać rachunku, za to, że Janek zastrzelił jego matkę.

W środę rano Gromił zastukał do drzwi gabinetu majora Kalamatasa. Postanowił zagrać va banque. Major przyjął go lekko zdziwiony, ale też łypał na niego z nadzieją.

– Obywatelu majorze – zaczął Stefan. – W tej teczce mam dotychczasowe ustalenia dotyczące sprawy tych osób. Według moich źródeł głównym podejrzanym w sprawie zaginionego niemieckiego transportu i próby jego odzyskania oraz podejrzanym o przynajmniej jedno morderstwo jest Jürgen Müller, dawny Hauptsturmführer SS. To syn małżeństwa Müllerów, którzy brali udział w dramatycznych wydarzeniach z Karpacza z tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Brał w nich udział również obywatel Jan Warkot, który teraz może pomóc zidentyfikować Müllera. W końcu minęło jedenaście lat, ludzie się zmieniają. Tyle ustaliłem. Aha, mam jeszcze jedną prośbę. W skrytce, w rzeźbie Liczyrzepy, która obecnie znajduje się w zameczku myśliwskim znaleziono mosiężny klucz. Ten klucz jest mi bardzo potrzebny w celu ustalenia lokalizacji rzeczonoego transportu. Podejrzewam, że informacja ta znajduje się w skrytce w ośrodku w Ścięgnach. Śladów forsownego otwierania skrytki nie stwierdziłem.

– Zaraz, zaraz, czyli o skrytce wiedzieliście już wcześniej? Dlaczego nie meldowaliście? – Major ściągnął groźnie brwi.

– Nie chciałem meldować przedwcześnie. Teraz, kiedy zebrałem wszystkie informacje, wiem że się tam znajduje.

– Dobrze, zajmę się tym.

– A klucz, obywatelu majorze? Zniknął z magazynu dowodów rzeczowych.

– Znajdę go i zajmę się tym – rzucił major Kalamatas. – Proszę wrócić do rozpracowywania grupy. Brakuje nam jeszcze kilku osób.

– Tak jest, obywatelu majorze.

– Czy jeszcze o czymś zapomnieliście mi zameldować? Bo uważacie, że byłoby to „przedwczesne”?

– Nie, obywatelu majorze. Tu jest wszystko. – Gromił stuknął palcem w teczkę. – Będę meldował na bieżąco o postępie śledztwa.

Gromiłowi, przy całym braku sympatii dla majora, wciąż nie mieściło się w głowie, żeby pracownik kontrwywiadu byłby w stanie grać w tej sprawie na dwa fronty. Potrzebował dowodu. Na przykład ze skrytki w ośrodku w Ścięgnach. Albo musiał schwytać osobę, która po nią przyjdzie.

– To gdzie konkretnie jest ta skrytka? – zapytał major na odchodne.

– Opisałem to, ale mogę powiedzieć. Druga skrytka znajduje się w drugiej kolumnie kominka na tyłach ośrodka. Otwór na klucz znajduje się między płatkami dużego dziewięciślika. Prawdopodobnie jest w boazerii albo w samej kolumnie.

– No to wracajcie już do zadań – mruknął zamyślony Kalamatas.

Gromił odmeldował się i poszedł prosto do pułkownika. Jacek Horeszko zasepił się mocno, kiedy usłyszał wszystkie rewelacje kapitana.

– Wiesz, że stąpasz po cienkim lodzie? Co to za aresztant, którego trzymasz sobie w zamknięciu? Myślisz, że o niczym nie wiem? Dowódca, jak widzę, dowiaduje się o wszystkim ostatni.

– Panie pułkowniku, to nie z braku szacunku. Po prostu musimy trzymać Krystiana Raufenberga w areszcie, bo to nasz najważniejszy świadek. Był członkiem grupy i na procesie wyjawí wszystko, jak było. Należałoby też pomyśleć o wniosku o nadzwyczajne złagodzenie kary dla niego.

Pułkownik aż podskoczył na krześle.

– Czyś ty, Stefek, zupełnie rozum postradał? Jakim procesie? Jeśli znajdą ten pociąg, to nie będzie żadnego procesu. Wystrzelają wszystkich i tyle. Ten twój świadek już jest martwy. Nie będzie dla niego żadnego ratunku. I ty za to wszystko poniesiesz odpowiedzialność. Nie chciałem ci mówić, ale na pewno zdajesz sobie sprawę, jak się kończą takie sprawy. Musi być kozioł ofiarny.

– A jeśli kto inny poniesie odpowiedzialność? Zdrajca na przykład?

– O czym ty mówisz?

Gromił opowiedział pułkownikowi o domniemanym współniku grupy Müllera. Horeszko aż usta otworzył z osłupienia.

– Wiesz, że to może się udać? Jeśli złapiesz dziada i dasz go tym z Warszawy na pożarcie, ocalisz skórę i...

– Tak, tak, awans, medal, uścisk dłoni naczelnika... Już to przerabiałem.

Horeszko wciąż dochodził do siebie.

– A to kanalia! Tych Niemców nawet rozumiem, ale żeby Polak, i do tego pracownik

resortu... A wiesz kto? Ty coś wiesz!

– Podejrzewam coś, ale na razie muszę to sprawdzić.

– Sprawdzaj więc, Stefan, sprawdzaj po dwa, trzy razy, bo jak się pomylisz...

– Znajdą sobie kozła ofiarnego. Jak na przedstawiciela władzy ludowej, pan pułkownik stanowczo za często używa biblijnych metafor.

– Uciekaj już! Do roboty!

Gromił wyszedł od naczelnika i wrócił do siebie. Po kilku chwilach namysłu wezwał do siebie sierżanta Kuźniaka.

Większość ludzi uważa późną jesień za najbrzydszą porę roku. Kolorowe liście więdną i szarzeją, zalegając warstwami na chodnikach i ziemi w parkach. W miejsce swojskich, wesołych ptaków pojawiają się wrony i gawrony, które krakaniem potęgują tylko nastrój przemijania, upadku i przygnębienia.

Jednak nie u wszystkich.

Są tacy, którzy lubią wsłuchiwać się w lepki szum opon samochodowych sunących po wilgotnej nawierzchni. Dla nich bębnienie kropli deszczu o szyby działa kojąco, wprowadzając w ich dusze spokój po okresie ostrego słońca i obezwładniającego upału. W ich oczach porywisty wiatr sprząta liście, przygotowując ziemię na opady śniegu. Dla tych osób późna jesień uświadamia nieuchronność koniecznych zmian i daje nadzieję na przyszłość.

Warkot zdecydowanie należał do tej mniejszości. W odróżnieniu od żony, Barbary, unikał bezpośredniego słońca. Kiedyś, w czasach studenckich nie przeszkadzało mu to tak bardzo, ale teraz, z wiekiem, wyczekiwał jesiennych chłódów jak kania dżdżu. Jesienią wstępował w niego wigor i chęć życia. Krakania wrocławskiej wrony siwej słuchał niczym najpiękniejszych słowicznych treli. Słyszał, jak nawołują się wzajem z różnych dachów, najpewniej wymieniając informacje na temat lokalnych smakołyków, na widok których normalnemu człowiekowi robiło się słabo.

Z sympatią spoglądał na owe ptaki. Wiedział, że pozornie obojętny na te sprawy Stefan miał „swoje” wrony, które zimą przylatywały na drobny poczęstunek do jego mieszkania. Ptaki wielkie jak indyki lądowały na barierce na tarasie. Gromił nie komentował tego faktu, po prostu wystawiał resztki jedzenia i z zadowoleniem przyglądał się ich ucztom. Wrony, choć są bardzo płochliwymi ptakami, przekrzywiały tylko łebki, mrugając czarnymi ślepkami na Gromiła.

Warkot uśmiechnął się na tę myśl. Stefan Gromił, pogański szaman z krukiem na ramieniu. Jakoś nie był sobie tego w stanie wyobrazić. Złożył przeczytaną gazetę i spojrzał na fotografię żony.

Stefan mówił, że istnieje jakieś zagrożenie ze strony tego mordercy, ale nie przejmował się zbytnio. Miałyby zaatakować tutaj, we Wrocławiu, w środku miasta? To nie Ameryka, żeby ludzi porywano. Milicja Obywatelska czuwała nad bezpieczeństwem obywateli całą dobę. Może nawet aż za bardzo.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, poszedł do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbaty. Zawsze dodawała mu siły i otuchy. Spojrzał przez okno na dom towarowy PDT, gdzie właśnie kończono pracę. Mężczyzna w granatowym mundurze straży przemysłowej z mosinem na ramieniu wypuszczał spod kraty sprzedawczynię. Po chwili krata była już opuszczona i strażnik mógł spokojnie zacząć obchód obiektu. Sklepowe żegnały się, jakby miały wyruszyć w długą podróż. Jedne zostawały na najbliższym przystanku tramwajowym, drugie szły do tramwaju jadącego w przeciwną stronę. Warkot przyglądał się temu rytuałowi z sympatią. W końcu było tak jak kiedyś chcieli, ludzie pracowali, łączyli się w pary, oszczędzali na telewizor.

Z zamyślenia wyrwał go gwizdek czajnika. Woda się zagotowała. Odwrócił się, żeby zdjąć czajnik z gazu i zamarł. W drzwiach kuchni stał obcy mężczyzna i patrzył na niego wzrokiem pełnym nienawiści. Wydawał się znajomy, jakby już go kiedyś spotkał...

Zanim Warkot zdołał zareagować, mężczyzna zamachnął się i zdzielił go w bok głowy jakimś długim przedmiotem. Warkot zobaczył gwiazdy i osunął się bezwładnie na podłogę w kuchni. Ostatnia myśl pomknęła do żony: „Basia!”.





ROZDZIAŁ TRZYNASTY

...zrobmy coś...

Gromił odebrał pierwszy niepokojący sygnał następnego dnia.

- Stefan, tu Zdzisiek. Wiesz, co się z Jankiem dzieje?
- A co ma się dziać?
- Nie przyszedł do pracy. Nigdy mu się to nie zdarza. Jak jest chory, to dzwoni.
- Niemożliwe, był wczoraj u mnie.
- I poszedł do domu?
- A niby dokąd miał pójść? Oczywiście, że do domu. Baśka nic nie wie?
- Nie dzwoniłem jeszcze. Ale pewnie wróciła z nocnego dyżuru i poszła spać.
- No tak. Pomyślała, że Janek poszedł do pracy. Zadzwoń do niej zaraz.
- Zawiadomisz mnie?
- Oczywiście. Może to nic takiego – rzucił na koniec Gromił, starając się uspokoić. –

Do usłyszenia.

Stefan odłożył słuchawkę i zaraz podniósł ją znowu.

Dopiero po czterech długich dzwonek odezwał się zaspany kobiecy głos.

- Cześć, Basiu. Wiesz, gdzie jest Janek?
- Stefek? No, w pracy... Zaraz, dzwonisz do mnie, bo go w pracy nie ma? – Zaczęło do niej docierać.
- Tak. Wiesz co, poczekaj. O której wróciłaś?
- Po siódmej. I od razu poszłam spać.
- Nie ruszaj niczego w domu. Zaraz tam będę.

Gromił po dziesięciu minutach wraz z sierżantem Kuźniakiem i technikiem milicyjnym pokonali krótki odcinek ulicy Kościuszki, weszli w dużą, starą bramę, minęli spory plac i skręcili w prawo, gdzie w przedostatniej klatce mieszkał Jan z żoną. Pod drzwiami technik wskazał bez słowa na zamek. Gołym okiem widać było rysy.

- Amatorszczyzna – stwierdził. – Ale skuteczna.

Gromił zadzwonił i otworzyła mu Basia. Patrzyła na niego z przestraczem. Bez słowa wpuściła ich do mieszkania. Technik zaczął pracę od przyjrzenia się zamkowi w drzwiach i pędzelkiem szurał po metalowym zamku, klamce i drewnianej powierzchni. Gromił rozejrzał się po niewielkim mieszkaniu. Wszystko wyglądało tak jak zwykle, nic nadzwyczajnego, żadnego potłuczonego szkła ani rozbitych przedmiotów. Z przedpokoju zerknął do kuchni. Na blacie stała filiżanka, obok metalowa puszka z herbatą Jubileuszową. Przy nich leżała łyżeczka. Gromił wszedł do kuchni i zajrzał do kubka. Na dnie dostrzegł wsypane suche liście herbaciane. Czajnik z gwizdkiem stał na kuchence. Gromił podniósł go przez chusteczkę. Czajnik był pełen. Technik skończył oględziny drzwi i teraz wszedł do kuchni.

– Sprawdź to. – Gromił wskazał na kubek. – I jeszcze to. – Pokazał czajnik, po czym zwrócił się do żony przyjaciela. – Chodź, Basiu, usiądziemy.

– Ale co się stało? Powiedz mi, proszę.

– Z tego, co tu widać, ktoś najwyraźniej włamał się do was. Janek parzył sobie herbatę, ale nie zdążył jej wypić. Został zaskoczony, najprawdopodobniej ogłuszony, bo nie ma tu żadnych śladów walki i zabrali go gdzieś...

– Myślisz... – zaczęła drżącym głosem. – ...myślisz, że...

– Nie, bo wtedy by go nie porywali. Załatwiliby sprawę na miejscu.

Basia skryła twarz w dłoniach. Jej ciałem wstrząsnął spazmatyczny szloch.

– Wiem, że to głupio zabrzmie, ale postaraj się uspokoić. Płaczem nic nie wskóramy.

Basia podniosła na niego wzrok i przez chwilę wydawało się, że obwinia Stefana o to, co się stało. Gromił pomyślał, że rzeczywiście naraził przyjaciela. To on ściągnął uwagę spiskowców na Janka, zabierając go w góry. Inaczej nie wpadliby na jego ślad. Spuścił wzrok, Basia to zauważyła, po czym się zreflektowała:

– Stefan, nie mam do ciebie pretensji.

– Czysto – stwierdził technik. – Widać ślady wycierania gałki od gazu. Musiał być włączony. Tak samo na zamku i na drzwiach. Sprawca nie zostawił śladu poza tymi rysami na drzwiach. Może otwierał po omacku, żeby nie zapalać światła na klatce. Ktoś mógłby go zobaczyć przez judasza. Zamek prosty, żadne patentowe cudeńko. Drutem można otworzyć i najprawdopodobniej tak właśnie było.

– Jakież mikroślady?

– Pobrałem materiał, ale muszę się temu dokładniej przyjrzeć. Nie spodziewałbym się jednak żadnych rewelacji. Zrobię tylko zdjęcia i wracam na komendę.

Barbara Warkot siedziała teraz ze spuszczoną głową, bo życie nigdy nie pograło z nią tak okrutnie. Nie wiedziała zupełnie, co ma robić. Porwania nie były przestępstwem spotykanym nagminnie w PRL-u, przynajmniej te kryminalne. Służbowe zdarzały się, bo ludzie wciąż znikali bez śladu w czeluściach kazamat w całym kraju. Tyle że teraz odbywało się to bez zbytnej ostentacji.

Gromił uściskał Baškę i oświadczył, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby odszukać Janka. Nie musiał tego robić.

Kiedy wrócili do komendy, Gromił kazał sobie przyprowadzić Krystiana Raufenberga z aresztu śledczego.

– No dobrze, koniec żartów – rzucił Stefan, kiedy w końcu go ściągnięto.

– Co? Co się stało?

– Porwano najpocziwszego i najszlachetniejszego z ludzi, jakich znam. Masz tu kartkę i ołówek. Napiszesz mi adresy, wszystkie meliny tajnych spotkań waszej grupy. Ze szczegółami.

– Ale ja nie znam wszystkich. Te znał tylko Müller.

– Te, które znasz. We Wrocławiu i poza miastem. Wszystkie! Zrozumiano?

Krystian był przerażony mocą i zdecydowaniem Gromiła. Był to śledczy, który wcześniej potraktował go po ludzku, ale teraz można było po nim poznać, że nie zawaha się przed niczym, byleby dostać żadaną informację. Wziął ołówek i zaczął pisać.

Pół godziny później kapitan wezwał do siebie sierżanta Kuźniaka.

– Masz tu listę pięciu adresów we Wrocławiu i dwa w górach. Do wrocławskich skieruj najostrożniejszych chłopaków, i to zaraz. Zatelefonuj też na komisariat w Kowarach, niech oni sprawdzą dwa pozostałe. Aha, i niech wezmą broń. To nie żarty. Ludzi, których zastaną w tych miejscach, aresztować. Migiem!

Kuźniak zdawał sobie sprawę, że to nie przelewki i ruszył pędem do zadań. W mieście zagotowało się: kryminalny półświatek zaczął w panice chować kontrabandę i zwijać nielegalne interesy, bo nie wiedzieli, o co chodzi. Nawet jeśli nie o nich, to mogli ucierpieć zupełnie przypadkowo. Wywiadowcy przeczesywali kamienice od piwnic po dach, nie udało się jednak nikogo zatrzymać. Lokale były puste, a sąsiedzi nie wiedzieli, co się dzieje z ich lokatorami.

– A tak, przychodzili tacy różni – zeznawał jeden z nich. – Ale ja tam się do innych nie wtrącam. Swego pilnuję.

– I co? – Gromił zapytał Kuźniaka, który miał mu osobiście zdawać relacje z poszukiwań.

– Przesłuchaliśmy wszystkich sąsiadów pana Jana – raportował Kuźniak – i tych, co mają okna od podwórza, bo może który, co widział. Jak kamień w wodę. Może w terenie coś...

– Może, może – przedrzeźniał go Gromił. – Jak to możliwe, że człowieka napadli we własnym mieszkaniu, ogłuszyli i wynieśli do samochodu? Centrum miasta! I co? Nikt nic nie widział? No przecież się nie rozpląnął w powietrzu! – Kapitan walnął pięścią w biurko. – A właśnie, gdzie ten szubrawiec?

– Kto taki? – zapytał Kuźniak.

– Słupecki, do jasnej Anielki! Jak jest potrzebny to ani widu, ani słychu!

– Aha... – rzucił Kuźniak, bo nie wiedział, w jaki sposób starszy pan mógłby pomóc w odnalezieniu Jana Warkota.

– Przecież nie ma w mieście aż tyle samochodów. Ktoś musiał widzieć, słyszeć...

Do gabinetu wpadł jak bomba jeden z wywiadowców. Nie zatrzymał się nawet przed drzwiami, żeby zapukać.

– Obywatelu kapitanie, melduję, że był... karawan. Tam, w podwórku. Jeden gość przywazażył i zdziwił się, bo był już wieczór i coś takiego... niespotykany widok.

– Jaki karawan, człowieku, mówże!

– No taka długa limuzyna, czarna ze złotym napisem na drzwiach. Chyba karawan...

– Świadek mówił coś jeszcze?

– Przy wozie stał taki jeden. Nie widział z trzeciego piętra dokładnie. Dwóch przyszło po chwili i coś niosło na noszach, więc pomyślał, że ani chybi karawan.

– Ciśnijcie go dalej. I zapytajcie resztę mieszkańców. Może ktoś jeszcze wyglądał przez okno, ale zobaczył limuzynę i nie wydało mu się to podejrzane.

– Już leczę. – Wywiadowca złapał oddech i wypadł, jakby go sam czart gonił.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Gromił podniósł słuchawkę.

– Halo!

– Nie szukajcie, bo młody zginie – odezwał się głos po drugiej stronie słuchawki.

– Kto mówi? – warknął Gromił.

– Nieważne, powiedzmy, że „życzliwy”. Nie szukajcie, nie szpiclujcie, bo młody zginie. Jak będzie po wszystkim, wypuścimy.

Gromił usłyszał tylko trzask odkładanej słuchawki. Dzwoniono z automatu ulicznego. Nie było ich we Wrocławiu wiele. W tle Gromił usłyszał kolejową syrenę.

– Psiakrew, Chicago cholera jasna! Nogi z dupy powyrywam, a ścierwo wywieszę na płocie!

W pięć minut później Gromił był w centrali telefonicznej komendy.

– Pani łączyła rozmowę do mnie – zaatakował bez pardonu jedną z wystraszonych telefonistek.

– Nie, to koleżanka łączy na śledczy...

– Pani?

– Tak.

– Ostatnia rozmowa była miejscowa czy zamiejscowa?

– Miejscowa, z budki.

– Z której? Nie, tego nie będziemy wiedzieć... Ile mam telefonów publicznych we Wrocławiu?

– Czterdzieści aparatów.

– Na dworcach jakieś są?

– Tak, na Dworcu Głównym na peronie drugim i trzecim, na Dworcu Świebodzkim, na Dworcu Odra.

– Kuźniak! – rzucił Gromił za plecy do sierżanta. – Pchnij chłopaków do tych czterech aparatów. Może ktoś coś widział. Jak ktoś wykonuje taki telefon na milicję, to pewnie się maskuje. Sprawdźcie, czy nie widzieli jakiegoś typa w kapeluszu, bo ja

wiem, w ciemnych okularach...

– Ta-jest! – Kuźniak już się odwracał na pięcie.

– Aha, i sprawdźcie mi pociągi odjeżdżające w kierunku Jeleniej Góry. Dam sobie rękę uciąć, że dzwonił z Głównego. Zabierz tam naszego technika. Niech zdejmie odciski ze słuchawki. No co się tak na mnie gapisz?

– Ale, panie kapitanie! Dworzec, tyle ludzi dzwoni...

– Niech zdejmie najświeższe. To chyba potrafi...

Wszyscy w komendzie, widząc minę Gromiła, ustępowali mu z drogi. Pędził korytarzem do pułkownika Horeszki. Minął sekretariat z zaskoczoną panią Zosią i pukając pro forma, wpadł do gabinetu przełożonego.

Po drugiej stronie biurka siedział major Kalamatas i sierżant Socha.

– Witamy pana kapitana. Coś się stało?

– Stało się, stało – rzucił Gromił w stronę pułkownika Horeszki. – Warkota mi porwali.

– Jak to porwali? U nas?

– A tak, u nas – odparł zgryźliwie Gromił. – Jakiś „życzliwy” dzwonił i mówił, żebyśmy nie szukali. I założę się, że nie chodziło mu o Janka, ale o ten cholerny pociąg.

– Przesadzacie, obywatelu kapitanie. – Kalamatas zlekceważył najnowszą rewelację. – Pewnie jakiś żart.

– To nie żart. Porwano go z domu, zapakowano do limuzyny, która wyglądała jak przedwojenny karawan i wywieziono w nieznane. Są ślady włamania na zamku i w mieszkaniu.

– Niesłychane – wymamrotał Horeszko.

– Kidnaperstwo nie ma przyszłości. Tym bardziej u nas – odezwał się sierżant Socha.

– Przyszłości może i nie ma, ale teraźniejszość to już zupełnie inna sprawa. – Pułkownik Horeszko odzyskał mowę. – Co proponujesz?

– Rozesłałem już chłopaków do budek telefonicznych. Najpewniej dzwonił z Dworca Głównego. Jest już tam ekipa. Są dwa aparaty. Na drugim i na trzecim peronie. Myślę, że kidnaper zaraz po skończonej rozmowie wsiadł w pociąg...

– ...do Jeleniej Góry – dokończył za niego przełożony.

– To się świetnie składa – wtrącił się Kalamatas. – Odnaleźliśmy ten wasz klucz. Sierżant Socha pojedzie z wami. Jako nasz łącznik, ma się rozumieć.

– Hm, no tak. Zadzwońię po samochód – zaoferował pułkownik.

– Tylko tym razem może pojechalibyśmy warszawą – zasugerował Socha.

Gromił patrzył przez okno dużej, milicyjnej warszawy. Szarobury krajobraz za oknem zmienił się nieco, gdy zbliżali się do gór. Zaczęły pojawiać się białe łąchy na wprost stopniałego śniegu, które wyglądały niczym liszaje na zdrowej skórze. Mijali kolejne wioski i miasteczka. Ruch na drodze był minimalny, jeśli nie liczyć kilku furmanek i obłych cielsk czerwonych autobusów. Gromił co jakiś czas wpatrywał się w słuchawkę

telefoniczną wiszącą przy stacyjce. Warszawa posiadała nowoczesny system łączności. Mogli połączyć się przez centralę z dowolnym numerem w kraju.

Kapitan zatopił się w ponurych rozważaniach. To, że przestępcy nie zabili Janka od razu, było krzepiące, a zarazem niepokojące. Skoro go porwali, chcieli mieć więcej czasu, żeby uzyskać od niego jakieś informacje. Ale czego mogły dotyczyć? Czy Janek wiedział coś więcej? A może widział kogoś? Albo też chcieli wy badać, co wie milicja. Takie zbiry są zdolne do wszystkiego... Będąc realistą, nie dawał Jankowi większych szans. Zabiją go, kiedy nie będzie im potrzebny. I gdzie, do ciężkiej cholery, podziewa się Słupecki? Zawsze go pełno, a teraz, kiedy jest naprawdę potrzebny, nie ma go!

Gromił zaklął pod nosem. Warszawa wjechała w obszar całkowicie pokryty śniegiem, co bynajmniej nie poprawiło nastrojów panujących w wozie. W oddali, na tle granatowego nieba, rysowała się wyraźna panorama Karkonoszy.

Przeszukanie podejrzanych lokali nie dało spodziewanych rezultatów. Podobnie próba pobrania odcisków palców ze słuchawki z automatu.

Kapusta aż się cofnął, kiedy nagle wyrosła przed nim dobrze znana sylwetka średniowiecznego pokutnika. Majster podchodził do niego z zabobonnym lękiem, co sprawiało Leonowi niejaką przyjemność. Czuł się mile połączony, że sama jego obecność jest w stanie wyzwolić w znajomym takie odczucia, choć od jakiegoś czasu zaczęło go to nieco irytować.

– Panie Zdzisławie, mógłby już się pan trochę oswoić!

– Ale, ja... ja przecież się nie boję! Tylko tak się pan niespodziewanie pojawił, że odruchowo...

– Dobrze już, dobrze. Wie pan, dlaczego nie mogę znaleźć nikogo z naszych? Wszyscy się gdzieś pochowali.

– Janek zniknął – odparł Kapusta.

– Co takiego?

– Nie przyszedł do pracy. Zadzwoiłem do Stefana, a ten zaraz poszedł do niego. Zdaje się... zdaje się, że Janka porwali!

– Jak to „porwali”?

– Zwyczajnie. Jak w amerykańskim filmie.

– Gdzie jest Gromił?

– A bo ja wiem? Pewnie szuka.

– Jak się czuje Barbara?

– Płakała Marlence do słuchawki, więc chyba nie najlepiej z nią.

– Zaraz do niej pójde...

– Panie Leonie, zróbmy coś, bo jak Janek... jak Janka zabraknie, to... to tak jakby mi syna zabrali. Nie wiem, co zrobię z tego wszystkiego!

– Niech pan się uspokoi, panie Zdzišku, znajdę Janka, żeby nie wiem co. Nic nie wiedziałem. Obserwowałem tych drani. Tam go nie ma, tyle wiem. Musi być pan teraz

mocny, musi pan dodawać otuchy dziewczynom. Czuj duch!

Pożegnali się i Słupecki zniknął.

Oddział chirurgii na Klinikach przypominał istne pandemonium. Wszyscy gonili dokądś po korytarzach, bo przywieźli jakąś szychę z województwa. Kręcili się tu też smutni odpowiedzialni za bezpieczeństwo Ważnego Towarzysza. W gabinecie ordynatora odbywało się dość nietypowe konsylium. Uczestniczył w nim ordynator Kawecki, jego zastępca Śliniawka i dwóch lekarzy. Przełożona pielęgniarek Pułaska uczestniczyła w zebraniu jako przedstawicielka personelu pomocniczego. Byłaby tu też naczelną salowa, gdyby szpital przewidział taką funkcję, antycypując pojawienie się chorego sekretarza.

Okazało się, że przedstawiciele Najwyższych Organów Partyjnych i Państwowych też są śmiertelni i zapadają od czasu do czasu na różne choroby. Dwóch zastępców sekretarza, Franciszek Bajko i Konstanty Nur, obecni na tym nietypowym konsylium, zdawało się być mocno zdziwionych tym faktem. Olbrzymia władza chorego najwyraźniej nie obejmowała kwestii zdrowotnych, które w wyraźny sposób wymykały się ludzkim prawom. Zdania były podzielone.

– Kolego Florczak, badaliście towarzysza Kruchego. Jaka diagnoza? – zapytał Kawecki.

– Moim zdaniem to zapalenie wyrostka robaczkowego. Prosta sprawa. Rach-ciach, i po robocie!

– Kolego Florczak, z większym szacunkiem proszę! – upomniał go ordynator.

– Wyrostek robaczkowy? Robaki ma? – zastanawiał się na głos Bajko.

– Inaczej mówiąc, ślepa kiszka – pospieszył z wyjaśnieniami zastępca ordynatora.

„Dybie na moje stanowisko” – pomyślał posępnie Kawecki, spoglądając z odrazą na rozanielone oblicze Śliniawki.

– Nie ma co się certolić – stwierdził Florczak. – Rach-ciach...

– Kolego Florczak! – Kawecki zjeżył się nie na żarty.

– Ale czas nagli! Towarzysz sekretarz zwija się z bólu.

– A ta kiszka to nie będzie mu potrzebna? – zainteresował się drugi zastępca, Nur.

– Nie, zupełnie nie, bo widzicie, to jest organ zupełnie niepotrzebny w zdrowym organizmie – wyjaśnił jak zwykle usłużny Śliniawka.

– Taki pasożyt, znaczy się? – dopytywał się Bajko.

– Tak, zupełnie niepotrzebny organ w zdrowym ciele – rzuciła zimno Pułaska, patrząc prosto w oczy pierwszemu zastępcy sekretarza. – Coś mi to przypomina.

– Koleżanko! – Kawecki pojął aluzję.

– Ja to bym od razu na stół i...

– Wiemy, Florczak, wiemy. Dajcie już spokój.

– A jak nie pójdzie pod nóż? – zapytał Bajko.

– *Exitus!* Umrze, znaczy się – oznajmił ponuro Kawecki.

– Czy to pewne? Czy operacja jest konieczna?
– Jaka tam operacja? Zabieg zwykły, rach-ciach...
– Szkoda gadać po próznicy – powiedział Nur. – Operujemy.
– Operujemy – odparli chórem Florczak i Śliniawka. Ten pierwszy z dużo większym entuzjazmem.

– Czy to ryzykowne? – zapytał Bajko.
– No, ryzyko zawsze istnieje – rzuciła z nadzieją przełożona Pułaska. – Jakieś zakażenie, komplikacje...

– Koleżanko, proszę nie straszyć towarzyszy – rzucił Kawecki. – Proszę przygotować blok operacyjny. Sam poprowadzę zabieg. Florczak asystuje. Śliniawka do pomocy anestezjologa.

– Taki był morowy chłop z tego Waldka. Popić lubił, pożartować... – zadumał się Nur.

– Co ty? Przecież towarzyszy Kruchy przeżyje zabieg. Nie siej defetyzmu – zezłościł się dla pozorów Bajko, choć w duchu liczył na to, że będzie inaczej. Kręte są ścieżki kariery, a tu otwierała się duża szansa. Niespodziewana perspektywa awansu.

Smutni na dany znak dopuścili lekarzy do pacjenta. Pielęgniarski odwiózł go na salę, żeby przygotować do zabiegu. Dwóch zastępców zostało na korytarzu, patrząc na siebie z nieskrywaną wrogością. Kości zostały rzucone.

Słupecki zmaterializował się przy drzwiach do oddziału i jak gdyby nigdy nic wszedł do środka. Przy dyżurce pielęgniarek przystanął, czekając, aż ktoś się pojawi. Zjawiała się rudowłosa dziewczyna w okularach, która spojrzała na Słupeckiego z przestraszeniem.

– Pan... pan do kogo? Teraz nie ma odwiedzin.

– Niech się panienska nie złości. Ja do pani doktor Barbary Warkot. Wuj z prowincji jestem. Leon Słupecki, do usług.

– Zaraz pójde po Basię.

Pielęgniarka uspokoiła się nieco, choć dalej zerknęła na Słupeckiego z lekką obawą. Leon nie miał pojęcia dlaczego.

– Basiu, jest tu do ciebie jakiś pan – powiedziała Jadwiga, wchodząc do pokoju lekarskiego. – Mówi, że jest twoim wujem.

– Co? Dobrze...

– Tylko że...

– Co takiego?

– On jest jakiś dziwny. Nie wiem, czemu mam wrażenie...

– Och, Jadziu, proszę cię. Mam za dużo zmartwień na głowie. Już idę.

Barbara wyszła na korytarz. W jego drugim końcu grupka osób zgromadziła się przed wejściem na blok operacyjny. Spostrzegła czekającego Leona.

– Wujku! Wujek wie, co się z Jankiem stało? – zapytała, podbiegając do niego.

– Basiu, uspokój się. Na razie wiemy tylko tyle, że porwali go ci, których Stefan szuka.

– Janek zniknął bez śladu! Nie mam pojęcia jak Stefan go chce znaleźć.

– Znajdzie, z moją pomocą znajdzie. Uspokój się, proszę.

– Dobrze. Już jestem spokojna.

– Mówiłaś mi o swoich przeczuciach, a ja mówiłem ci o tym, że trzeba uważać. Nie upilnowaliśmy Janka. Tak to widzę. Ale nie denerwuj się bez potrzeby. Gdyby chcieli to już... – Ugryzł się w język.

Słupecki zaciągnął Barbarę do pustego ambulatorium, gdzie mogli rozmawiać bez świadków.

Barbara była roztrzęsiona. Nie trafiały do niej żadne argumenty. Słupecki miał na to tylko jeden sposób. Trudno, darmo, szkoda, że w takich okolicznościach, ale trzeba ją jakoś uspokoić.

– Posłuchaj mnie, Baśka. Czy uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, że żyję na tym świecie już prawie pięćset lat?

– Co też wujek wygaduje? W takiej chwili wujkowi na żarty się zbiera?

– Nie, popatrz na mnie. Patrz, mówię ci!

Jego ciało wyprostowało się, jakby odjęto mu z trzydzieści lat życia. Patrzył teraz na nią srogim obliczem średniowiecznego zbója, który robi wszystko – będzie palić, wycinać, mordować, nabijać na pal i piętnować rozżarzoną żelazem każdego, kto zagrozi jego bliskim. Nawet zapłonął przez sekundę. Całe ciało spowiły drapieżne, żółte języki ognia. Barbara osłupiała i cofnęła się o krok.

Słupecki wrócił pospiesznie do dawnej, całkiem zwyczajnej postaci i jak gdyby nigdy nic strzepnął niewidzialny pyłek z rękawa tweedowej marynarki.

– I tak właśnie wygląda prawda. Jako istota nadprzyrodzona mam, sama rozumiesz, dużo większe możliwości niż wszystkie organy ścigania Polski Ludowej razem wzięte. Powinienem był pilnować Janka, a uganiałem się po lasach za zbirami. Ale teraz to naprawię. Zaraz udam się w jedno miejsce, w którym zostawiłem strażnika. Nie martw się więc.

Kobieta stała jak sparaliżowana.

– Basiu, nie tracisz zmysłów – Słupecki położył na jej ramieniu dłoń – po prostu świat jest bardziej skomplikowany, niż się większości wydaje.

– I Janek wiedział o... o przypadłości wujka?

– I Janek, i Stefan, i pan Zdzisław. Teraz wiesz i ty. I jak znam życie, będzie wiedzieć Marlenka. Może nadszedł już czas, żebyśmy nie mieli przed sobą tajemnic.

– A więc to była sprawa, która tak gryzła Janka?

– Chodziło o coś zupełnie innego. Widzisz, Basiu, Janek kiedyś był inny. Chodził na masówki, na pochody, wierzył w nowe czasy, w nową ideologię. W świat materialistyczny. Podczas dramatycznych wydarzeń z okresu, gdy kończył studia, doznał przebudzenia. Jam ci to, nie chwając się, sprawił. Mieliśmy wtedy do czynienia ze strasznym złem, z którym nie dalibyśmy sobie rady, gdyby nie moje pokutnicze sztuczki. Możesz coś pamiętać z tamtych czasów, ale byłeś w większości nieprzytomna.

Janek najwyraźniej zyskuje wciąż świadomość obecności zła na świecie. Jego umysł wciąż nie jest w stanie pogodzić się z tym, co wie, i tym, co widział. Być może podskórnie wyczuwa to zło wszędzie, gdzie pójdzie. To taka jego obsesja. Kiedy się z tym ostatecznie pogodzi, będzie mu lżej. Na pewno przyniesie mu ulgę wiadomość, że wiesz, kim jestem naprawdę. On nawet nie potrafi przekonująco kłamać, taki z niego dobry człowiek.

– To prawda.

Barbara poczuła dziwną ulgę po słowach Słupeckiego. Przyniosły jej wyczekiwane ukojenie. Teraz oczywiście wszystko zaczęło się układać w logiczną całość i była sobie w stanie z tym poradzić.

– Dlatego musisz być teraz silna. Nie dać się tym draniom. A wujcio Leon załatwi wszystko, jak należy.

– Rozlaaaał się! – dobiegł ich krzyk z korytarza.

Wypadli obydwój na zewnątrz. Wśród zgromadzonych osób pod blokiem operacyjnym zapanowało wielkie poruszenie. Smutni zaczęli zaprowadzać swoje porządki, odgradzając postronnych od drzwi. Pielęgniarki biegały nerwowo, co chwila wzywane dzwoneczkami przy łóżkach pacjentów. Po chwili z sali operacyjnej wyszedł ordynator i zdarł z głowy biały czepiec. Ręce, wciąż w gumowych rękawicach, miał okrwawione niczym rzeźnik.

– Towarzysze, operacja nie udała się – oznajmił grobowym głosem świadomy, że przypieczętował swój los i karierę. – Pacjent zmarł na stole. Reanimacja się nie powiodła.

Słupecki przyglądał się temu z obojętnością, bo nie raz już widywał podobne sceny. Domyślał się, co będzie dalej. Zza grupki zgromadzonych postaci przy bloku operacyjnym wyszła jeszcze jedna dość blada i można by powiedzieć przeźroczyta osoba. Była ubrana w biały fartuch z dziurą na brzuchu i rozpięty z tyłu, tak, że widać było białe, owłosione pośladki. Postać rozglądała się na wszystkie strony, najwyraźniej nie pojmując, co się stało. Zorientowała się, że widzi ją tylko stojący nieopodal obywatel w staromodnym stroju oraz jakaś młoda lekarka. Podeszedł do nich. Barbara otworzyła szeroko oczy.

– Czy to...?

– Tak, Basiu. Poznaj naszego ulubionego sekretarza Kruchego Waldemara, jak lubił o sobie mówić.

– Obywatele, towarzysze... co tu się dzieje?

– Otóż byłeś pan zszedłeś, towarzyszu – oznajmił Słupecki.

– Że jak?

– Zimny trup. Kopnąłeś pan w kalendarz. Odmeldowałeś się. Odwaliłeś kite. Czyli że pan nie żyjesz. Dotarło?

– Ale jak? Przecież nie ma...

– Życia po śmierci? Ktoś panu strasznych bajek naopowiadał i teraz takie są skutki.

– Ale towarzysz Lenin mówił...

– Nie mieszałbym w to wiecznie potępionych. Nie w tej chwili.

– I co teraz będzie?

– Zaraz pan zobaczysz. Wszystko zależy od... O psia kostka! – wykrzyknął Słupecki.

Basia nie mogła wyjść z osłupienia, a teraz jeszcze w drzwiach korytarza pojawiły się kolejne dwie postacie. Byli to dwaj wysocy mężczyźni w czarnych prochowcach, ciemnych okularach i kapeluszach. Podeszli zdecydowanym krokiem do nieszczęśnika i jeden z nich błysnął metalową blachą.

– Obywatel Waldemar Kruchy?

– Taaak... – zaczęła niepewnie zjawa.

– Obywatel pozwoli z nami.

– Ale przecież ja nic, ja nigdy, nie...

Ubrani na czarno smutni złapali nieszczęśnika bez ceregieli pod pachy i wywlekli z korytarza na schody. Jeszcze długo unosiła się za nimi dziwna siarkowa woń. Wierzgający sekretarz wkrótce zniknął im z pola widzenia.

– Co... co się właśnie stało? Czego byłam świadkiem?

– Widzisz, Basiu, pomogłem ci zrozumieć, co się stało, ukazując ci całe to widowisko. Po prostu po śmierci grzesznik trafia w łapy tych, których najbardziej boi się za życia. Teraz wloką go na Sąd Boży, ale wielkich szans mu nie dają, bo gdyby było wszystko w porządku, zjawilyby się tu dwie śliczne anielice albo coś w tym rodzaju. A to byli... no, konkurencja, powiedzmy.

Po niektórych średniowiecznych mnichów na przykład przychodziła horda Wikingów – kontynuował opowieść Słupecki – po Henryka Walezego zjawily się dwie, półnagie, zmysłowe kobietki, Henryka VIII pojmało dwóch jurnych gwardzistów, Salieri darł się wniebogłosey, kiedy zjawilo się po niego dwóch identycznych Mozartów, po Adolfa przyszło dwóch krasnoarmiejców w prysiadach ze słowami pieśni o Katiuszy na ustach. Generalissimus Stalin odszedł odprowadzany przez dzygitów w futrzanych czapach. W moim przypadku na Sąd Boży zawiodło mnie dwóch królewskich poborców podatkowych. Każdemu według zasług, każdemu według potrzeb. Kto to mówił, zapomniałem.

Barbara wciąż nie mogła wyjść z osłupienia. Stali jeszcze chwilę na korytarzu, kiedy minęło ich dwóch zastępców sekretarza zażarcie się o coś kłócących. Walka o władzę trwała w najlepsze.

W czwartek, 7 listopada 1957 roku, w zakolach Odry połyskiwała lekko księżycowa poświata przesączona przez obłoki otaczające miesiąc w pełni. W miejskiej ciszy, która w rzeczywistości jest przytłumionym szumem, wypadkową różnych dźwięków, słyhać było rytmiczny stukot kół wagonów kolejowych, a czasem wysoki głos syreny parowozu, oznajmiającego wszem i wobec swoje przybycie. Przebijały się też zgrzytające o szyny koła tramwajów, warkot silników samochodów, układając się

w charakterystyczny puls miasta. Oczywiście raz na jakiś czas w uśpionym Wrocławiu ową miejską „ciszę” przerywał czyjś rozpaczliwy krzyk. Wołanie o pomoc. W ogólnym rozrachunku jednak były to ledwo epizody, drobinki czyjegoś nieszczęścia pojawiające się za sprawą ludzkiej podłości i znikające niemal bez śladu. Jak gdyby nigdy nic.





ROZDZIAŁ CZTERNASTY ...zdrowe konopie...

Ból. Tętniący ból powracającej świadomości. Wciąż widział pod powiekami wybuchające setki świetlistych gwiazd i z każdą ich salwą pojawiało się tępe dudnienie pod czaszką.

Spróbował otworzyć oczy. Za pierwszym razem nie udało się, jakby organizm chciał jak najdłużej przetrzymać go w tym stanie nieświadomości. Przeczekać.

Nic z tego. Przyzwyczajenie drugą naturą. Bez pomocy budzika tudzież innego rodzaju środków Jan budził się jak co rano. Pozostało mu to z czasów wojska.

Pobudka wstać, koniom wody dać – rozległa się absurdalna w tych okolicznościach pieśń w głowie Janka.

„Żeby tylko nie było wstrząśnienia mózgu. Ale mi przyłożył!” – pomyślał Janek.

Ja tu trąbię od godziny, a wy śpicie... TARARARA...

Żeby myśl była w stanie katować człowieka tak głośno? Ach! Powieki otworzyły się i Warkot był gotów przysiąc, że usłyszał towarzyszący temu odgłos skrzypienia zawiasów.

Coś jeszcze było nie tak. Był związany, oczywiście. I miał coś w ustach. Poczł smak. Zdrowe konopie. Prosto ze sklepu wielobranżowego. Kawał grubej liny wcinał mu się boleśnie w usta, szorując każdym włóknom przy najmniejszej próbie ruchu. Ramiona i nogi bolały go od nocy spędzonej w nienaturalnej pozycji. Próbował się szarpnąć. Ból pod czaszką z tępego zmienił się w ostry. Pewnie ma rozciętą głowę. Sukinsyny. Zagotowało mu się w środku z wściekłości. Ból zelzał.

Basia, koledzy, Stefan nie mieli racji. Jan nie był pogrążony w melancholii. Po prostu potrzebował adrenaliny, substancji dającej niespożyte siły i możliwości każdemu, kto znajdzie się w niebezpieczeństwie. Jakby samochód, który ledwo się poruszał na niebieskiej, niskooktanowej benzynie, dostał nagle zastrzyk żółtego, życiodajnego paliwa i ruszył z kopyta.

Janowi Warkotowi brakowało emocji. Po okresie jaki spędził na wojnie, często pod ostrzałem, po dramatycznych wydarzeniach z początku lat pięćdziesiątych, kiedy stapał po kruchym lodzie, uciekał prześladowcom i walczył o przetrwanie, okres małżeńskiej stabilizacji, pracy, domowych obiadków i spotkań był niczym zbyt miękki materac, na którym sen sprowadza majaki i ból mięśni nad ranem. Warkot potrzebował twardej podłogi, kawałka derki do przykrycia i pistoletu gotowego do strzału. Spokojne życie mimo wszystko nie dawało mu takich emocji, przy których czuł się jak ryba w wodzie.

TARARARA – znów ten absurdalny dźwięk. Co to? Dworzec kolejowy? Jakby na potwierdzenie tego faktu usłyszał rytmiczny stukot kół, gdzieś blisko, na wyciągnięcie ręki. Gdzieś nieopodal przetaczał się majestatycznie pociąg towarowy. Na osobowy był zdecydowanie za długi. Jechał niespiesznie, z godnością przedwojennego robotnika noszącego cegły na plecach. Tu nie było miejsca na przodownictwo pracy. Tu każde nieuważne przyspieszenie na zakręcie mogło prowadzić do katastrofy. Towarowe nigdy się nie spieszyły. Miały czas.

– Obudziła się nasza śpiąca królewna. – Usłyszał czyjś głos.

Warkot szarpnął się z wściekłością. I znowu przeszył go ból.

– No to daj mu coś na sen. – Drugi głos był grubszy, głębszy, bardziej złowrogi.

Ból. Kaskada złotych gwiazdek wybuchła ze zdwojoną mocą.

„Sukinsyny!” – zdążył jeszcze pomyśleć Janek, po czym zapadł w głęboką, czarną czeluść.

Milicyjna warszawa parkowała przed posterunkiem Milicji Obywatelskiej w Kowarach. Kiedy dojechali na miejsce, było już ciemno, więc postanowili przenocować w dwóch pokojach gościnnych na piętrze. Komendant posterunku był bardzo pomocny. Tym bardziej dla towarzyszy z województwa.

Gromił obudził się o świcie, czyli już po siódmej. Umył się, zebrał swoje rzeczy i przed wyjściem z pokoju obudził śpiącego w najlepsze Kuźniaka. Zszedł na dół.

– *Wyganiała Kasia wooolkiii...* – dobiegło go z głębi posterunku.

Przywitał go komendant, uśmiechając się przepaszająco.

– Towarzysz kapitan wybaczy – powiedział – to jeden z naszych miejscowych birbantów. Skończył posiedzenie z kolegami. No i tym razem będzie kolegium, bo szyba była duża, droga, wystawowa. Drogo go będzie kosztowała ta zabawa.

– *Wiła wianki i wrzuuuuucała je do falującej woody...* – Pijak zmienił repertuar.

– Będzie tam spokój?! – krzyknął komendant najwyraźniej do swego podkomendnego, bo rozległy się dwa głuche smagnięcia i pieśniarz jęknął tylko.

– Gumą, towarzyszu kapitanie, gumą najlepiej – rzucił ze znanstwem. – Człowiek tak się nie urobi, a skutek lepszy.

– Gdzie tu można coś zjeść? – zapytał Gromił.

– A tu zaraz, jest klubogospoda. – Naczelnik wskazał ręką kierunek. – Towarzysze już wszyscy wstali?

– Wstają – odpowiedział Gromił. – Jak zejda, to proszę ich skierować tam, gdzie mnie.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie! – krzyknął służbiście komendant.

Gromił zignorował tego „towarzysza”. Niech mu będzie. W terenie najwyraźniej obowiązywały podwyższone standardy ideologiczne.

Klubogospoda otworzyła podwoje już o siódmej. O tej porze było już nieco luźniej, bo robotnicy idący do pracy zdążyli zjeść coś w przelocie. Gromił usiadł za długim stołem, ale zaraz wstał. Przecież to nie wrocławska kawiarnia. Nikt tu nie będzie z tacą latał. Podszedł do lady i zamówił coś do jedzenia. Jajecznica wyszła, podobnie serdelki, zadowolili się więc porcją leniwych i kefirem. Dobrze i to.

Do lokalu wpadł rozchełstany Kuźniak.

– Obywatelu kapitanie, melduję... – zaczął na wdechu.

– Kuźniak, co tobie? Musztra od rana?

– ...melduję, że nigdzie nie ma sierżanta Sochy!

– Jak to: „nie ma”? Sprawdzałeś w wygodce?

– Melduję, że sprawdzałem, w jego pokoju też.

Jako ważny wywiadowca kontrwywiadu sierżant Socha zajął osobny pokój.

– I co? – zapytał Gromił. – Spał w łóżku u siebie?

– Melduję, że wygląda, jakby nie spał...

– Naser mater! – zaklął kapitan. – Jeszcze mi tu tylko brakuje zaginionego ubeka.

A jego rzeczy są?

– Melduję...

– Kuźniak, powietrze górskie ci zaszkodziło. Mów po ludzku!

– Rzeczy są. Aparat, teczka. Nie ma tylko sierżanta Sochy.

– I co, Duch Gór go porwał? Za grzechy i zbytki?

Za twe grzechy, za twe zbytki idź do piekła, boś ty brzydki... – przypomniła mu się przyśpiewka z jasełek.

– Musiał wyjść, kiedy poszliśmy spać, oddalił się.

– Przecież tu nie ma żywej duszy po zmroku. – Nie wiedzieć czemu Gromił zaciął się przy „żywej duszy”.

– Może ktoś po niego przyjechał?

– Kuźniak, idź do komendanta... Nie, poczekaj. Socha nie zajac, nie ucieknie. Zjedz najpierw śniadanie. – Gromił wskazał na talerz leniwych. – Póki jest.

Sierżant uśmiechnął się, bo był bardzo głodny. Podszedł do lady i zamówił. Po chwili obaj jedli w milczeniu, dokładnie żując zbyt mączne leniwe.

Po śniadaniu poszli do komendanta razem.

– A tak, podjechał jakiś samochód. Nieoznakowany – dodał konspiracyjnym szeptem. – I towarzysz Socha wsiadł i odjechał.

Gromił popatrzył na szczerą, szeroką twarz komendanta. Ten człowiek nie zdziwiłby się, nawet gdyby po Sochę przyjechał czołg. Taka służba.

– Dobrze, zostawimy tu jego rzeczy i sami pojedziemy. Myślę, że wiem, dokąd się udał.

– Ta-jest, towarzyszu kapitanie! – ryknął komendant, a Gromiłowi leniwe podeszły do gardła.

Po chwili sunęli wąskimi, górskimi drogami w stronę Karpacza. Na skrzyżowaniu jednak pojechali prosto zamiast skręcić w prawo. Socha był w Ściegnach, Gromił mógł założyć się o roczną pensję. Do tego to on miał klucz. Postanowił zbadać sprawę na miejscu bez udziału konkurencyjnej dochodzeniówki, żeby wysmażyć raporcik do pana majora. Kiedy zajechali przed drewniany ośrodek, zauważyli szarą warszawę na wrocławskich numerach, za kierownicą której spał jakiś gość w kaszkiecie.

„Kontrwywiad – pomyślał mściwie Gromił. – Zawsze na posterunku”.

W progu przywitał ich agent mocno zaniepokojony takim najazdem na jego ośrodek. Zacierał nerwowo ręce.

– Kolega panów już tu jest. Od nocy siedzi i pracuje – poinformował ich.

– Chciałbym to zobaczyć – rzucił Gromił pod nosem.

Minęła ich grupka turystów najwyraźniej szykująca się na zdobywanie szczytów. Jedna dziewczyna śmiała się z czegoś głośno, ale na widok munduru Kuźniaka zamilkła sponoszona. W sali kominkowej na tyłach ośrodka zastali sierżanta Sochę, który przeszedł do etapu opukiwania boazerii.

– Cześć pracy, panie sierżancie! – wykrzyknął Kuźniak.

Socha burknął coś w odpowiedzi, ale widać było, że nieprzespana noc nie przyniosła większych rezultatów. Pomimo wzmożonych wysiłków nie odnalazł skrytki. Wyglądało na to, że zaraz chwyci za kilof i rozwali całą ścianę.

– Poproszę o klucz – odezwał się Gromił.

– To wszystko na nic. Koncepcja pana kapitana jest o kant dupy rozbić – rzucił Socha.

– Mimo wszystko chciałbym spróbować.

– Proszę. – Socha podał Gromiłowi ciężki przedmiot.

Kapitan przez chwilę ważył w dłoni misternie wykonany z licznymi zdobieniami klucz. Zwieńczenie stanowiła brodata głowa Ducha Gór. Gromił bez słowa odwrócił się plecami do pozostałych, wcisnął klucz w odpowiednią szczelinę w płatkach dziewięćsiłu. Wszedł. Przekręcił ostrożnie klucz w zamku. Szczęknął dawno nieużywany mechanizm.

– Naoliwić by się zdało – mruknął do siebie.

Z cichym stukotem odemknęła się część boazerii oraz niewielka klapka w samej lewej kolumnie kominka. Wszyscy wstrzymali oddechy. Socha zaklął siarczyście.

W większej skrytce w boazerii znaleźli pistolet, garść dokumentów i dwa dziwne klucze. Miały bardzo nowoczesny wygląd i były bardzo uduchowione. Jakby miały otwierać zamek do najnowszego radzieckiego sputnika. Były wykonane z niespotykanego, bladozielonego metalu, który na dodatek był niezwykle lekki.

– Jakaś szwabska tandeta – rzucił Socha.

– Założę się, że nie wygiąby pan tej tandety na najtwardszym kowadle – powiedział Gromił. – Są lekkie, ale na pewno bardzo wytrzymałe.

– No cholera jasna! Przychodzą sobie tacy, a ja ciągle muszę po nich sprzątać! – kobiecina schodząca z półpiętra w chustce na głowie ze złością kopnęła cynkowane wiadro, aż potoczyło się z hukiem po schodach. Wszyscy odwrócili głowy.

– Pani Leokadio! Prosiłem tyle razy! Ciszej, na Boga, ciszej. Ludzie jeszcze śpią!

Sprzątaczką burknęła coś pod nosem, wzruszyła ramionami i poszła sobie skrzypiąc pustym wiadrem.

Gromił skorzystał z okazji i niepostrzeżenie sięgnął do mniejszej skrytki. Wsunął do kieszeni jeszcze jeden przedmiot i uniósł do góry kartkę złożoną na cztery kartkę papieru. Widniała na niej pieczęć z orłem i swastyką.

Napis brzmiał:

Schwarze Koppe. Nord Abhang, 100 m nach oben alte Abholzung. Achtung Minen! Hinter Grundmoräne. Hier hinein. Tunnel 450 m. Sei aufmerksam!

Przedmioty ze skrytek zabezpieczono. Gromił zamknął drzwiczki, które przywarły do powierzchni z cichym trzaskiem, tak że nie było widać nawet cienkiej szczeliny. Kapitan Gromił schował klucz z Liczyrzepy do kieszeni i zwrócił się do sierżantów.

– No to teraz zapraszam na herbatę!

Ajent znów wcielił się w swoją rolę i gospodarskim gestem zaprosił ich do jadalni. Kiedy usiedli i przyniesiono aromatyczny wywar, który najlepiej smakuje w górach, Gromił wstał i przeprosił towarzystwo, pytając ajenta o toaletę. Ruszył we wskazanym kierunku, ale po kilkunastu krokach skręcił w drugą stronę i wszedł w wąski korytarzyk, żeby znów znaleźć się na tyłach ośrodka w sali kominkowej. Jeszcze raz sprawdził wszystkie załamania i brzegi kominka. Sięgnął jeszcze raz do kieszeni i wyłuskał zdobycz. Trzeci klucz był bliźniaczo podobny do tych, które zarekwirował Socha. Mieli teraz w sumie trzy klucze do skrytki w pociągu i jeden z Liczyrzepą otwierający schowki w kominku. Po chwili wrócił do stołu i jak gdyby nigdy nic zaczął mieszać herbatę w szklance, dzwoniąc radośnie o szkło.

Warkot czuł, że go dokądś niosą. Zwisiał bezwładnie przez czyjeś ramię. Musiał być to nie lada siłacz, bo Warkot był wysokim, postawnym mężczyzną. Przez myśl przemknęło mu, że niosą go jak barana na rzeź. Głowa podskakiwała mu z każdym krokiem prześladowcy, za każdym razem wywołując falę bólu. Nie widział niczego, bo kidnaperzy założyli mu jakiś worek na głowę. Słyszał odgłosy kroków na kamiennych płytach. Przy kolejnym uderzeniu tępego bólu zemdlął i znów odszedł w niebyt.

Słupecki zmaterializował się przy kolejarskiej szopie opierającej się plecami o skalną

ścianę. Wokół nie było żywej duszy. Była natomiast martwa.

– No i cóż pan tak nic nie robi? Przecież prosiłem... – odezwał się do pechowego szabrownika, który najwyraźniej postanowił udawać, że nic nie słyszy i że w ogóle go tu nie ma.

– Paaanie... – zaczął, kiedy już nie było wyjścia – ...co ja się po tych wertepach złąziłem za tym łobuzem. Pod górę musiałem iść ze trzy razy... – Świeżo upieczony pokutnik zabawiał się, wyciągając i wsadzając na powrót gałkę oczną w oczodół.

– No i co? Działo się coś ważnego? I przestań się pan bawić tym okiem!

– Może i się działo – odparł z urazą w głosie, ale zamilkł.

– No gadajżeż, człowieku, bo nie wytrzymam!

– Przyjechało furą takich dwóch. Jeden byk, wysoki, świński blondyn, a jakże. Drugi mały, taki szcurkowaty. Wyciągnęli coś, wyglądało jak zwłoki, ale nie widziałem, bo zawinięte w koc. Wrzucili to do środka, ten duży został, a szcurkowaty odjechał bryką. Duża, hamerykańska najpewniej. Miała jakiś napis na drzwiach...

– Jaki napis? Gadaj człowieku, bo zmienię się w coś takiego, że będziesz to pamiętał przez sto lat!

– Jakoś tak... – Pokutnik zastanawiał się, główkując z mozołem. – Wytwórnia... ud? Nie, to nie to. Chyba „Wytwórnia Wód Gazowatych”...

– Gazowanych może?

– O to, gazowanych! – wykrzyknął uszczęśliwiony szabrownik.

– A dalej?

– Dalej to był taki no, ten, szyfon.

– Może syfon?

– O to, to, syfon.

Słupecki przetaił czoło. Dawno nie miał do czynienia z takim okazem tępego bezhołowia połączonego z naturalną, zupełnie niewymuszoną beztroską.

– Coś jeszcze widziałeś?

– Może i tak. – Pokutnik zastanawiał się dłuższą chwilę. – Było jakieś miasto!

– Siedziba firmy. Gdzie?

– Komary? Kotary?

– Psie wiary, chyba...

– Może Konary?

– A nie przypadkiem Kowary?

– No, właśnie, Kowary! Teraz sobie przypomniałem.

– No to nie wiesz, człowieku, że Kowary są o kilka kilometrów stąd? – zezłościł się pan Leon.

– Jakeśmy z Cyną pojechali na szaber, to żadnych Kowarów tu nie było. I wszystko po szwabsku wypisane, to skąd mam wiedzieć?

– Wytwórnia Wód Gazowanych w Kowarach. Chyba nie ma ich tam za wiele.

– A wstawi się pan za mną? Obiecał pan!

– Jeszcze jesteś mi potrzebny. – Słupecki zmienił się znów w średniowiecznego okrutnika. – Jak przyjdzie czas, to pogadamy.

Zjawa jęknęła tylko i znów nerwowym ruchem próbowała wyłuskać gałkę oczną z oczodołu.

– I umawiamy się, żadnych zabaw z ciałem. Żadnego wyjmowania, wkładania, gry kośćmi w pikuty, żonglowania *tibia*! Zrozumiano?!

– A co to ta *tibia*?

– Piszczel, baranie! – nie wytrzymał Słupecki. – Jak będziesz go sobie próbował wyjąć, to, że tak powiem, na pysk padniesz, czyś dusza pokutująca czy nie.

Pechowy szabrownik burknął coś pod nosem, ale głośno nie skomentował.

– To co ja mam robić?

– Postrasz trochę. Z całą pewnością jest tu paru grzeszników. Przejdź się po mieście, przecież nie możesz tu tkwić całą pokutę, bo nie wypełniasz jej warunków. Trzeba straszyć! Niech się nawracają, obiecują poprawę! Tylko niewinnych nie strasz, bo z każdym nastraszonym niewinnym twoja pokuta wydłuża się jak kolejka w mięsny!

– Dobrze już, dobrze, niech się pan nie piekli... Pójdę, pewnie, że pójdę. Ustępuję przed przemocą, taki już jestem... zgodny.

Słupecki wywrócił oczami i zniknął.

Wytwórnia Wód Gazowanych w Kowarach Henryk Fornal i Synowie znajdowała się na obrzeżach miasta. Produkty firmy cieszyły się niesłabnącym powodzeniem wśród mieszkańców Kowar, ale też i okolicznych miasteczek. Słupecki zauważył stojące w rzędach syfony z grubo ciosanego, zielonkawego szkła czekające na napełnienie. Sztuka polegała na tym, że nasączoną dwutlenkiem węgla wodę pompowano do butelek, starannie je zakręcając. Gdyby przesadzono z dawką tego nieorganicznego związku chemicznego, wtedy uszczelki z syfonów strzelałyby, a gdyby za mało – wtedy w smaku woda przypominała zwykłą kranówkę.

Nawet teraz, w listopadzie, maszyny pracowały pełną parą. W sali produkcyjnej uwijało się trzech pracowników. Ludzie przywykli do luksusu, a woda gazowana stała się jego synonimem. Podobnie jak inna gałąź produkcji zakładu – całkowita nowość. Zamykane na porcelanowy korek na drutach butelki zaczęto tego lata napełniać płynem o nazwie ORANŻADA i drugim o nazwie LEMONIADA. Oczywiście żaden z nich nie był produkowany z prawdziwych owoców będących wciąż zbyt dużym luksusem jak na realia powojennej Polski. Używano spożywczych substancji smakowych i sztucznych barwników, żeby stworzyć wrażenie, że napój, dość w sumie smaczny, rzeczywiście jest gazowanym sokiem z deficytowych owoców. Każda butelka była zaopatrzona w etykietkę. Szły jak woda.

Właściciel planował otwarcie drugiej linii produkcyjnej, ale nie mógł tego zrobić pod własnym szyldem, bo dostałby olbrzymi domiar z urzędu podatkowego. „Prywatna inicjatywa tak, kapitalizm nie” – tak brzmiała niepisana i bardzo dziwna dewiza

ekonomiczna końca lat pięćdziesiątych. Pomimo to interes kręcił się na całego. Podjeżdżały tu samochody dostawcze z restauracji, pensjonatów i innych placówek gastronomiczno-turystycznych, zabierając całe skrzynki napojów gazowanych oraz syfonów.

Słupecki zszedł stromym podjazdem i od razu zauważył dużą, czarną limuzynę, która wyglądała, co prawda, jak karawan, ale służyła zgoła innym celom. W przedłużonym, zakrytym przyciemnianymi szybami tyle wozu można było zmieścić wiele skrzynek z oranżadą albo też ciało – w zależności od potrzeb. Dostęp ułatwiały tylne, otwierające się do góry drzwi. Słupecki mruknął z zadowoleniem. Mam cię!

– A czego tu? – zapytał jakiś obwieś i Słupecki odwrócił się na pięcie.

– Gdzie podziały się pańskie maniery?

– Zapodziały się, zmiataj pan.

– Na pewno? Inspektor Walenty Ścisło, wojewódzki urząd podatkowy. – Słupecki położył mocny akcent na inspektora i machnął przerażonej twarzy przed nosem legitymacją Związku Wędkarskiego, którą przez przypadek miał w kieszeni.

– Jezu, to ja lecę po szefa... – wykrztusił obwieś, ruszając w podskokach do budynku.

Na spotkanie Słupeckiego wyszedł mężczyzna lat około czterdziestu pięciu, niskiego wzrostu z wyraźnymi śladami siwizny na mocno przerzedzonych włosach. Miał chytrą trójkątną lisią twarz. Przebiegły wyraz twarzy, rozbiegane spojrzenie i dwa wyróżniające się siekacze nadawały mu wygląd gryzonia.

„Szczurkowaty” – pomyślał Słupecki.

– Dzień dobry, panie inspektorze... – zaczął właściciel.

– To się jeszcze okaże, czy dobry – rzucił złowieszczo Słupecki, przybierając minę i postawę rasowego biurokraty, który odpowiada wyłącznie przed dyrektorem oraz sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej.

– Ale przecież była kontrol, no ostatnio była... – bronił się niemrawo Fornal.

– Może i była, ale u nas wszystko musi być sprawdzane dwa, trzy razy. Wyjedzie sobie kontroler, a taki prywaciarz, hyc, i już uruchamia drugą linię produkcyjną, choć mu nie wolno...

Słupecki musiał trafić w czuły punkt, bo Fornal skurczył się i zbladł cały.

– Ja tak tylko pytam, bo ja zawsze jestem w zgodzie z prawem, panie inspektorze. Jak coś mam zapłacić, czy nie mam płacić, bo w tych sprawach bardzo uważający jestem...

Pod lekko stylizowaną mową Fornala Słupecki wyraźnie wyczuwał obcy akcent. Musiał być autochtonem, najpewniej zmienił nazwisko po wojnie.

Nie wiedzieć czemu przypomniał mu się kuplecik rewelersów z czasów wojny.

Ryba kraulem pływa w zupie, ach popatrz, popatrz, popatrz...

My Hitlera mamy w dupie, ach popatrz, popatrz, popatrz...

„Woda gazowana, już ja mu dam wodę gazowaną. Gdzie jest Janek, łajdaku?” – chciał wykrzyknąć szczurzej gębie prosto w twarz.

– Proszę o udostępnienie pomieszczeń zakładu do inspekcji – odezwał się urzędowym tonem, w którym słycać było głuchy odgłos zaciskania ołowianych plomb, szelest papierowej taśmy z pieczęciami, dzwonek otwieranej szuflady kasy oraz brzęk aluminiowej łyżeczki szturmującej wewnętrzne ściany szklanki z ciekłą herbatą.

Fornal zwiesił głowę jak skazaniec mający wleźć na szafot z gilotyną podczas rewolucji francuskiej. Widać było, że polecenie udostępnienia pomieszczeń mocno go zaniepokoiło.

„Tuś mi bratku – pomyślał Słupecki. – Janek na pewno tu jest!”.

Dochodziło południe, kiedy Gromił, sierżant Kuźniak i sierżant Socha wsiedli do samochodu. Gromił oczywiście chciał od razu spenetrować owo karczowisko, ale po namyśle zrezygnował. Tamci mogli być uzbrojeni, ich było tylko trzech, a do tego nie był pewien umiejętności i odwagi Sochy. Muszą tu wrócić w większej sile, bo jeśli ktoś ucierpiałby, to w pierwszej kolejności Janek.

W jego skórzanej, zapinanej na dwie klamry teczce spoczywały przedmioty znalezione w skrytkach. Trzeci klucz spoczywał bezpiecznie w kieszeni Gromiła. Nie można dopuścić, żeby te bandziory dobrały się do skarbu. Choć wciąż niepokoił się losem przyjaciela, górę wziął u niego chłodny profesjonalizm. Na zimno kalkulował wszystkie za i przeciw, z konieczności tłumiąc w sobie braterskie uczucia, jakie żywił dla Jan.

Zresztą był pewien, że Słupecki w końcu ruszy do działania, a kiedy ten czort się zawęźmie, nie ma takiej siły na niebie i ziemi, która byłaby go w stanie powstrzymać. Pokrzepiony tą myślą patrzył na wprost, jak w paszczy warszawy żłopiącej benzynę jak smok znika namalowana białą farbą linia, kilometr za kilometrem. Odruchowo przymknął oczy, zapadając w płytką drzemkę. Miał przewagę nad spiskowcami i na dodatek nikt o tym jeszcze nie wiedział. I niech tak zostanie.





ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

...gorze!...

W piątek, 8 listopada, w godzinach rannych Major Kalamatas słuchał cierpliwie i nie przerywał swemu rozmówcy. Na koniec rzucił zwięźle: „Tak jest!”, i odłożył słuchawkę.

Zaczynało robić się ciekawie. Warszawa naciskała, a na Warszawę naciskali Rosjanie. Niedokończona sprawa sprzed lat wyraźnie leżała im na wątrobie. I w trofiejnych spisach im się nie zgadzało. Był transport, nie ma transportu. Uznali, że wedle wszelkich prawideł, wojennych i sojuszniczych, zawartość ładowni pancernego składu jest, poniekąd, własnością Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. W końcu to oni pogonili faszystowskiego gada, choć wcześniej paktowali z nim w najlepsze. Ale zmieniła się sytuacja, Hitler z przywódcy bratniego narodu niemieckiego zmienił się w podstępny faszystę, który wbił wielkiemu przywódcy narodu nóż w plecy.

Wbijanie noża w plecy jak najbardziej mieściło się w standardach polityki zagranicznej już od wielu stuleci. Choć robiono to nie raz, nie dwa w stosunkach dyplomatycznych, wciąż jeszcze resztki dobrego wychowania i godnego, rycerskiego postępowania sprawiały, że nielicznym uczciwym, choć naiwnym jednostkom oczy otwierały się szeroko ze zdumienia.

Nowe nadeszło wielkimi krokami po pierwszej wojnie światowej, nie bawiąc się w wersalskie ceregiele. Liczyła się skuteczność i własny interes. Europa zdawała się skutecznie zapominać o szczytnych hasłach rewolucji francuskiej, tudzież o zasadach fair play w stosunkach międzynarodowych. Już nawet specjalnie się nie krygowano i jawnie łamano traktaty, zasłaniając się dobrem własnych obywateli i tak zwanym dobrem ogólnym, przywołując nie wiedzieć skąd pojęcie mniejszego zła. Zło miało się dobrze, zadowolone, że ktoś był na tyle naiwnym, żeby różnicować jego odmiany.

Upojonym zwycięstwem w drugiej wojnie aliantom wydawało się, że rosyjskiego

niedźwiedzia można obłaskawić, rzucając mu różne smakołyki, choć ten, jak to niedźwiedź, wyciągał ciągle ciężką łapę po więcej. Dlatego też Churchill lekką ręką ofiarował Europę Środkową i Wschodnią na pożarcie, nie zastanawiając się, co będzie dalej. Było to posunięcie, jak na tak wytrawnego polityka, bardzo nierozsądnie i – można rzec – wręcz naiwne. Miszka pożarł, co jego, i oblizywał się, bo chciał więcej. Teraz już jednak było za późno, bo odpasiony okrzepł w swej gawrze. Przysłowie o kurze i grzędzie sprawdziło się w tej sytuacji aż nadto dobrze. Tudzież o palcu i ręce...

Kalamatas uśmiechnął się złośliwie, bo nic sobie nie robił z sojuszy i rozkazów dowództwa opętany wizją dostatniego życia w jakimś odległym, ciepłym kraju. Jego plan uwzględniał kilka aspektów, w tym te najbardziej trywialne, pospolite preferencje ludzkiej natury. Są sytuacje, w których człowiek zapomina o całym świecie i leci do ognia niczym otumaniona ćma. Kalamatas jako wytrawny gracz miał zamiar to wykorzystać. Sami przełożeni, zupełnie tego nieświadomi, podali mu w tej kwestii pomocną dłoń. Trybiki planu zazębiały się, obracając zupełnie bez zgrzytu niczym precyzyjny mechanizm szwajcarskiego zegarka. Spojrzał na czasomierz i skrzywił się odruchowo, widząc toporną tarczę z ruskimi bukwami. Dochodziła dziesiąta rano. Za trzy, cztery godziny Socha powinien już się zameldować u niego. Był bardzo ciekawy rezultatów tej eskapady.

Gromił sadził dużymi susami po schodach na piętro komendy. Wpadł jak burza do gabinetu przełożonego, przerywając mu rozmowę telefoniczną.

– Mamy pociąg! – wykrzyknął triumfalnie. – Teraz tylko potrzebuję chłopaków z zabezpieczenia. Tylu, ile się da.

– Zaraz, chwileczkę. – Pułkownik Horeszko próbował powstrzymać Gromiłową nawałnicę. – Może jednak dowiem się czegoś więcej? Poza tym dzwonił major, wiesz który. On też jest bardzo zainteresowany waszymi rewelacjami.

– Myślę, że sierżant Socha już melduje. Nie będę się więc musiał powtarzać.

– Obywatelu kapitanie, proszę się nie gorączkować. Meldunek. Teraz.

Gromił opowiedział wszystko ze szczegółami, nie zataiwszy przed przełożonym i przyjacielem nawet sekretu dwóch schowków i trzeciego klucza, który wciąż był w jego posiadaniu. Oko i ucho majora Kalamatasa nie było aż takie bystre. Widocznie zmysły przytępiła mu pita w nadmiarze herbata z powidłami.

– Postąpiłeś jednocześnie roztropnie i lekkomyślnie. Tyle mogę ci powiedzieć. Jeśli Kalamatas dowie się, że przechytryłeś jego wywiadowcę, będzie źle.

– Obywatelu pułkowniku, melduję, że chcę mieć asa w rękawie, bo na mój gliniarski nos, coś tu z nimi w tej sprawie śmierdzi. Niby wszystko jest oficjalnie i po linii, ale...

– Też to zauważyłeś? Moim zdaniem ten cały Kalamatas jest coś nazbyt gorliwy w wypełnianiu rozkazów w tej sprawie i taki jakiś, jak by to powiedzieć... zapiekły. Wiem, że tam takich dobierają, ale tu jest coś więcej... Pilnuj się, Stefek.

– Zawsze.

Gromił poklepał się po marynarce, pod którą w nowej, pięknie uszytej skórzanej kaburze spoczywał jego być może nieco nieregulaminowy, ale zawsze pewny walther. Pamiątka po czasach, kiedy pierwszy raz spotkali się z Jankiem. Pod drugą pachą nosił wzorem policjantów z Ameryki ładownicę na cztery zapasowe magazynki – zupełnie jakby się miał ostrzeliwać przed atakiem całego gangu oprychów. Gromił roztaczał wokół siebie aurę łagodności i niemal uległości, co akurat pułkownik miał mu trochę za złe. Biada jednak temu, kto dał się na to nabrać. Potrafił być ostry, twardy i zdecydowany, a zaatakowany nie wahał się ani sekundy. Podobnie było, gdy ktoś chciał zranić bądź zagrozić któremuś z jego przyjaciół. Gromił wtedy pokazywał napastnikowi drugą twarz. Hamował się teraz spętany hierarchią zależności służbowej, ale miał ochotę wystrzelać ich wszystkich. Wszystkich zamieszanych w porwanie Janka. Uważał, że tego rodzaju myślenie bynajmniej nie deprecjonuje go jako milicjanta, przeciwnie, świadczy wyłącznie o tym, że jest człowiekiem z krwi i kości.

Trójka kolegów z pracy siedziała w małym pokoiku małżeństwa Kapustów. Za oknami w konarach parkowych drzew szumiał jesienny wiatr. Przyjazny wiosną i latem park Południowy przypominał teraz stary cmentarz. Umówili się już dawno na koleżeńskiego pokerka, ale teraz, kiedy zasiedli przy stole, widać było, że nastroje mają minorowe.

A miało to być towarzyskie spotkanie. Marlena naszykowała zakąski i coś do zakąsek, ale Bronek, Mirek z offsetu i majster Zdzisław jakoś nie mieli apetytu. Rozdano karty. Kapusta był o złotówkę do przodu, ale zupełnie nie cieszył go ten fakt.

– Wchodzę za pięćdziesiąt groszy – oznajmił Mirek.

– Jak tam sobie kolega winszuje. – W głosie Bronka słyhać było wyraźnie ostrzegawcze nuty. Musiał dostać dobrą kartę.

– Jestem – mruknął Kapusta.

– No to podbijam. Pięćdziesiąt i jeszcze raz pięćdziesiąt. – Bronek szarżował jak zwykle.

– Ostro grasz. – Zasepił się Mirek.

– Wypijmy – zaproponował majster.

– Czemu nie, wypić można – zaryzykował Mirek.

– Jak wy tak możecie! – Nie wytrzymała Marlena. – Janek gdzieś tam siedzi w niewoli, a wy jak te ostatni opoje! Basia oczy wypłakuje, a wy siedzicie i chlejecie!

Sprawa była poważna. Pan Zdzisław spojrział na Marlenę, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmiękł, widząc jej minę.

– Ale co my możemy zrobić, szczęście ty moje...? – zapytał pojednawczo. – Już tam Stefek tych bandziorów wyłapie – dodał, uspokajając bardziej siebie niż żonę.

– Jesteś mężczyzną, zrób coś!

– To panie Zdzisiu, może już sobie pójdziemy... – zaczął nieśmiało Mirek, choć miał ochotę dokończyć partię.

– Ani mi się rusz! – wycedził Kapusta. – Umówiliśmy się na spotkanie i będziemy tu siedzieć do skutku.

– Czyli Zdzisiu do kiedy? – zaniepokoił się Broniek.

– Kiedy wypijemy wszystko do dna.

Marlena straciła cierpliwość i postanowiła włączyć muzykę, żeby zagłuszyć natłok myśli.

– *Czeko, czeko, czekolada* – zaintonowała filuternie Zylska z radiowego głośnika.

– A właśnie, byłbym zapomniał! – wykrzyknął uradowany Broniek.

Rzucił się jak ryś w Białowieży do torby i wyciągnął z niej nowiutką, pachnącą imperializmem płytę.

„Elvis. Znów ten Elvis” – pomyślał Kapusta nie bez złości.

Broniek odwinął papier i oczom zgromadzonych ukazał się singiel z nadrukiem RCA oraz ze zdjęciem wykonawcy w malowniczym półprofilu.

– *LOVE...* – zaczął się Broniek – ...*ME... TENDER...* To chyba coś o miłości...

– E tam, Buczka z niego nie będzie – skomentował Mirek, bo Olgierd Buczek był ulubieńcem publiczności, szczególnie damskiej.

Marlena chwyciła płytę i natychmiast ją włączyła. Wielka była siła nałogu.

– *Lowe nie lowe, a napić się trzeba* – rzucił Mirek.

– Ciiisza! – Syknęła Marlena, bo z głośnika zaczął się sączyć najśłodszy głos, jaki kiedykolwiek w życiu słyszeli.

Zamilkli jak jeden mąż. Amerykański wokalista hipnotyzował, wabił i kusił, a jego aksamitny śpiew zawisł w pokoju niczym ciepło z kominka w zimową noc. Nigdy wcześniej nie słyszeli czegoś podobnego. Wrażenie było tak silne, że zapomnieli o bożym świecie. Mirkowi kieliszek zawisł w pół drogi do ust. Broniek rozdziawił usta i zaczął żałować, że nie posiada adapteru. Marlena miała wzrok tak rozmarzony, że Kapusta poczuł się z miejsca zazdrosny. On zachował największy dystans. Po pierwsze, już to przechodził z pierwszą płytą wokalisty. Po drugie, ktoś musiał do cholery panować nad sytuacją. Tamte utwory jednak były szybkimi, tanecznymi numerami, ten czarował na całego prostą melodią, bezpretensjonalną wokalizą, uczuciami, którymi można się było owinąć niczym kocem z wielbłądziej wełny.

Minęło dobre pół minuty zanim ktokolwiek się odezwał.

– A to miglanc... – szepnął Broniek.

– A skąd ty masz takie cuda? – zainteresował się Mirek.

– A ty co, książkę piszesz? – rzucił Zdzisiek. – Ma i już. Może dostał od ciotki z Chicago?

– Właśnie, może dostałem – rzucił Broniek. – Bo to jest prezent dla Marlenki, ale zapomniałem na śmierć.

Marlena spąsowiała i uśmiechnęła się do Bronka.

– Jakiś ty miły, pamiętałeś.

– Szkoda, że o przegładzie podajnika zapomniał – zgryźliwie skomentował Zdzisiek.

- Przecież pan majster sam mnie prosił...
 - Zatkanął się cały i było pół dnia przestoju...
 - Mówił pan, że Marlenka, eee, to jest pana żona, bardzo w tym Elwisie zagustowała... – Ugryzł się w język ponieważ.
 - Wał do czyszczenia, podajnik trzeba było wymoczyć w benzynie... – ciągnął bezwzględnie Zdzisiek.
 - Kapuśniaczkę. – Marlena podeszła i objęła męża, po czym pocałowała go głośno. – Nie gniewaj się już. Broniek tak z dobrego serca, po koleżeńsku.
 - A chłopak cały się umorusał, aż trzeba go było do łaźni odesłać...
 - Dość swarów i kłótni, wypijmy. – Mirek rozładował sytuację po sarmacku.
- Tak się też stało. Nie wracano więcej do zaginięcia Jana Warkota, a płyty Elvise słuchano jeszcze kilka razy. Wiatr za oknem nie dawał za wygraną.

Dzień wcześniej sytuacja w Wytwórni Wód Gazowanych w Kowarach przybrała dramatyczne obroty. Prywaciarz Henryk Fornal dwoił się i troił, żeby przypodobać się inspektorowi z wydziału podatkowego, który zjawił się niespodziewanie w jego zakładzie. Ponieważ instytucje finansowe znane są na całym świecie ze swego wścibstwa, drobiazgowości i niemal legendarnej złośliwości, z początku nie oponował, ba, starał się być jak najbardziej pomocnym. Ale inspektora zupełnie nie interesowały księgi, nawiasem mówiąc prowadzone wzorowo, tylko potencjalna próba ukrycia większej produkcji, niż zapisano.

Po spontanicznym udziale w referendum „trzy razy tak”, ludność powojennej Polski miała co prawda zagwarantowaną działalność prywatną, ale przepisy wykonawcze były tak drakońskie, że praktycznie uniemożliwiały jej rozwój na poziomie, na jakim funkcjonował prywatnik w krajach ucisku i nierówności społecznej. Wymiana pieniędzy będąca wymówką do konfiskaty oszczędności obywateli, rozmaite domiary, opłaty, koncesje sprawiły, że prowadzący własną działalność gospodarczą stawał się profesjonalistą w do tej pory nieznanym fachu – był Rycerzem Paragrafów walczącym z potworem o nazwie Biurokracja.

Bestia atakowała zaciekle, starając się jednym kłapnięciem uzbrojonej w setki naostrzonych ołówków kopiowych paszczy położyć kres żywota prywatnika. Zawsze potem można było zrobić konfiskatę nielegalnie posiadanego mienia, sycąc wszystkie szkarłupnie żyjące w cieniu potwora. Prawdziwi Rycerze Paragrafów, zręcznie omijając płomień z pyska monstrum, potrafili bez przeszkód dopaść miękkiego podbrzusza, wbić weń stalowe ostrze decyzji administracyjnej i przekręcić je w przepastnych trzewiach w oparach podłości. Zła wiadomość była taka, że bestia raz pokonana potrafiła zmartwychwstać i pamiętając o poprzedniej sromotnej klęsce, z jeszcze większym zacięciem rzucić się na delikwenta. Cały aparat tworzący ją stworzeń, wszelkich wzmiankowanych już dafni, bezkręgowców, obleńców i glist w ludzkiej formie, osobników, którzy potrafili wyłącznie żyć z pracy innych, sami nieposiadający

żadnych umiejętności oprócz sztuki kamuflażu i przypodobania się przełożonym, charakteryzował się pamiętliwością i podłością. Obrano więc inną taktykę polegającą na zakończeniu każdego starcia remisem – bestia dostawała swoje, a rycerz odchodził, kulejąc z pola bitwy.

Taką taktykę już dawno obrał Henryk Fornal. Pozwalała mu ona jeszcze na coś więcej. Doskonale skrywała jego wcześniejszą tożsamość, osoby o nazwisku Heinrich Baumwagen. Nazwisko zmienił oficjalnie, powołując się na jakąś ciotkę z Gdańska. Władza przychyliła się do jego prośby tak, aby Ziemie Odzyskane były rdzennie polskie, bez obcych naleciałości. Również tych metrykalnych.

– A tam? – Słupecki wskazał na ciężkie drzwi wiodące do kolejnego pomieszczenia.

– Składzik mamy, panie inspektorze... – zaniepokoił się Fornal.

– Otworzyć! – nakazał Słupecki tonem Torquemady.

Fornal, chcąc nie chcąc, wyłuskał duży klucz z całego pęku. W środku rzeczywiście był skład, ale bynajmniej nie mały. Pomieszczenie miało z dziesięć metrów długości na cztery szerokości. Co ciekawe, w owym „składziku” nie było dosłownie niczego i najwyraźniej ktoś tu niedawno pozamiatał.

– Przygotowuje się obywatel na rozszerzenie działalności? Najwyraźniej ktoś tu ma zamiar umieścić kolejną linię produkcyjną. Co to ma być? Imperialistyczna coca-cola?

Fornal zbladł.

– Ależ nie, panie inspektorze. Magazyn chcemy tu zrobić. Panuje tu odpowiednia temperatura, a latem skrzynki z oranżadą strzelają na wolnym powietrzu.

– Strzelają, powiada obywatel. – Słupecki spojrzał groźnie na przedsiębiorcę, chyba zbyt gorliwie wcielając się w rolę inspektora.

– No, korki, korki strzelają... – rzucił niepewnie Fornal.

– Już ja wam postrzelam – rzucił groźnie, idąc sprężystym krokiem do przeciwległej ściany.

Całość obiektu znajdowała się w takiej zabudowie, że pomieszczenia mogły się ciągnąć w nieskończoność i z ulicy nie było tego widać. Przy końcu magazynu spostrzegł niewielką klapę wiodącą do piwnicy. Pytająco uniósł brwi i przedsiębiorca podbiegł do niego z wyjaśnieniami.

– Tam nic nie ma. Piwnica tylko. Pajęczyny i rupiecie... – próbował obrócić wszystko w żart.

– Otwierać! – warknął Słupecki, podejrzewając, że jest o krok od odnalezienia Janka.

Fornal mocował się przez chwilę z żelazną obręczą klapy, która zaskrzypiała i z oporami ukazała strzeżoną tajemnicę. Słupecki nachylił się i zajrzał do środka. Oczywiście, będąc osobą nadprzyrodzoną, widział dokładnie, że nie ma Janka w środku. Stały jednak tu dwie skrzynie z wojskowym sprzętem i oznaczeniami niemieckimi z czasów wojny. Postanowił grać do końca swoją rolę.

– Lampy potrzebuję i drabiny – rzucił do Fornala, odwracając się do niego.

Nie dokończył. Poczł mocne uderzenie w skroń. Jako pokutnik ten cios nie uczynił

mu żadnej krzywdy, ale w tych okolicznościach postanowił trzymać się swojej roli. Udał, że traci przytomność, że pada bezwładnie na posadzkę przy otwartej klapie.

„Skoro nie wahają się zaatakować przedstawiciela władzy, muszą być niezwykle zdecydowani. Albo zdesperowani – pomyślał Słupecki. – I najwyraźniej mają mało czasu. Nie ma inspektora, nie ma problemu. Jakby ktoś pytał, powiedzą, że nie dotarł na kontrolę, a ciało zakopią w lesie. Trzeba ich przeczekać. Przy odrobinie szczęścia zamkną mnie wraz z Jankiem, a jak będę mieć pecha, spróbują wykończyć na miejscu. Wtedy sobie pogadamy inaczej” – dodał mściwie w myślach, już zastanawiając się, w jaką poczwarę z koszmarnych snów przyjdzie mu się przedzierzgnąć.

Rozległy się kroki dwóch osób.

– No i coś ty nawyrabiał, Heinrich? Zamroczyło cię z tego strachu, co? – Usłyszał władczy, ostry głos po niemiecku. – Co my teraz z nim zrobimy?

– Nie mogłem inaczej. Przecież w środku są skrzynie... ze sprzętem.

– Wiem, wiem. Ale żeby inspektora obuszkiem w łeb? Odrażający z ciebie drań – zaśmiał się Jürgen.

Fornalowi najwyraźniej ulżyło. Jego przełożony żartował. To był dobry znak. A mógł zabić...

– Bierzcie go! – Müller nie marnował czasu na czcze dyskusje. – Do samochodu. Dobrze związać i zakneblować.

Najpierw związali Słupeckiego jak barana i założyli mu na twarz jakąś szmatę śmierdzącą towotem i benzyną. Pokutnik poczuł, jak ktoś unosi go w górę i przerzuca sobie przez ramię jak worek kartofli.

„Prawdziwy troglodyta!” – pomyślał.

Jaskiniowiec poniosł go do samochodu, gdzie wrzucił bezceremonialnie do środka przez piątę drzwi. Usłyszał, jak zatraskuje się zamek. Został sam.

W sobotę, 9 listopada, o godzinie piątej rano pułkownik Horeszko osobiście odbierał meldunki od dowódców oddziałów zabezpieczania. W ciemnościach przed świtem na dziedzińcu komendy stało pięć ciężarówek pełnych uzbrojonych milicjantów. Warszawą mieli pojechać: kapitan Gromił, sierżanci Kuźniak i Socha oraz sam major Kalamatas. On miał też kierować całą akcją. Gromił przystał na to, choć niechętnie, bo jego głównym celem było odbicie Janka żywego z rąk porywaczy, a nie przechwytywanie ponemieckich skarbów. Miał poważne wątpliwości, czy on i major kontrwywiadu mają te same priorytety.

Konwój ruszył po dziesięciu minutach. Kalamatas rozparł się na siedzeniu pasażera przy kierowcy. Gromił, chcąc nie chcąc, usiadł z tyłu z Sochą. Na nijakiej twarzy wywiadowcy Kalamatasa zagościł triumfujący uśmiech, który miał tam pozostać jeszcze dobre dwie godziny. Na kolanach trzymał mapę sztabową okolicy z nakreślonymi miejscami rozstawienia funkcjonariuszy. Czerwony ślad po ołówku kopiowym znaczył wejście do jaskini. W jego kieszeni spoczywały dwa dziwne klucze.

Nie wiedział, że Gromił ma w kieszeni trzeci, który jednakowoż różnił się kształtem i nacięciami.

Warkot znów się ocknął. Było mu zimno, a kończyny zdrętwiały od więzów bardzo go bolały. Postanowił się poruszyć, żeby spróbować rozmasować nieco ręce i nogi. Po chwili zamarł w bezruchu, nasłuchując. W miejscu, w którym go zamknięto, nie było żywego ducha. Najwyraźniej prześladowcy byli przekonani, że nie wydadzą się stąd o własnych siłach.

Leżał na podłodze z desek. Wokół panowały egipskie ciemności. Oraz głucha cisza. W takich chwilach wyobraźnia ludzka zaczyna intensywnie pracować, podpowiadając najbardziej nieprawdopodobne i wywołujące największą groźbę scenariusze.

Drgnął nagle. Gdzieś nieopodal szczęknęła metalowa zasuwa. Nie, nie mylił się. Szli goście. Zamknął oczy, udając, że śpi. Usłyszał głośne kroki. Coś spadło koło niego z głośnym hukiem. Ciało? Przestraszył się nie na żarty. Co będzie, jeśli prześladowcy nie porzucili wyłącznie na nim? A jeśli...

– Co z tamtym? – ktoś zapytał po niemiecku.

Warkot opanował ten język w stopniu podstawowym, więc na razie rozumiał, co mówią.

– Śpi jak zabity – odpowiedział mu drugi głos i rozległ się głośny śmiech. Potem powiedział coś jeszcze, czego Janek nie pojął.

– Nic mu nie będzie... na razie. – To akurat zrozumiał doskonale.

– Niech sobie skruszeje chłopczyk, przyjdzie na niego czas. Stary mówił, że ma z nim porachunki...

Prześladowcy wyszli z pomieszczenia, zasuważąc drzwi. Rozległ się zgrzyt zamka i odgłos oddalających się kroków. Warkot nie zrozumiał sensu tych ostatnich słów, ale ku swemu zdziwieniu poczuł wokół siebie jakiś ruch. Jego towarzysz niedoli zbierał się z ziemi. Stał obok niego – w ciemnościach zajarzył się niebieskawy płomień, który wkrótce ogarnął całą postać. Warkot znał tylko jedną osobę zdolną do takich przemian. Choć nigdy nie można być pewnym na sto procent...

Stojąca postać miała niezwykle srogą minę. Więzy opadły z niej niczym zeschnięte liście nad gorejącym ogniskiem.

– Gorze! Janku, gorze!

Warkot poczuł, jak serce skacze mu z radości. Chyba nigdy nie cieszył się tak na widok Leona Słupeckiego, średniowiecznego pokutnika. Poczuł, jak spadają z niego pęta i pomimo oziębiającego bólu całego ciała zdarł gwałtownie z twarzy śmierdzącą naftą szmatę.

– Pan Leon! – wykrzyknął, nie bacząc na niebezpieczeństwo, bo w towarzystwie przyjaciela nic złego nie mogło mu się przytrafić.

Warkot długo rozcierał obolałe, zdrętwiałe członki, słuchając relacji Słupeckiego. Kiwał głową, drżąc na całym ciele. Po chwili niszczycielskie płomienie przybrały łagodną formę, roztaczając wokół zbawcze ciepło. Tak jakby nagle piec hutniczy

zmienił się w harcerskie ognisko.

– Wytwórnia Wód Gazowanych Henryka Fornala? – powiedział Janek. – Ale się zakamuflowali.

– Nie aż tak bardzo. Mają tam w magazynie tyle broni, że mogliby przypuścić szturm na Jelenią Górę. Ale, ale... muszę sprawdzić, gdzie nas właściwie zamknęli.

Zniknął na chwilę i wrócił po kilku sekundach z bardzo tajemniczą miną.

– Otóż, drogi Janku, znajdujemy się w pustym wagonie pociągu, który z kolei stoi w jakimś kanale. Nie wiem dokładnie gdzie, bo nie chciałem się zgubić, ale zaraz mogę to sprawdzić... – urwał w pół zdania, bo oto zgrzytnęły koła.

Stalowy potwór ruszył wolno po szynach. Spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– Poczekajmy może na rozwój wydarzeń. Jak przyjdzie konduktor, to go grzecznie zapytamy, dokąd jedziemy... – W głosie Słupeckiego słychać było taką zajadłość, że nawet Warkot odruchowo zadrżał, po czym spojrzał z obawą na przyjaciela. – Spokojnie, Barbara jest bezpieczna. Martwi się tylko. Powiedziałem jej wszystko. O Bractwie. Myślę, że ci wybaczy, bo to mądra dziewczyna. Wie, że nie mówiłeś jej o niczym z troski, ale teraz, jak to mówią, mleko się rozlało.

– Gdzie tak mówią?

– No w Anglii chyba.

– Niezłe.

Pociąg jechał po szynach, ale nie przyspieszał. Janek i Leon zaczęli szukać drogi ewakuacji. Oprócz zasuwanych drzwi w bocznej ścianie wagonu znaleźli niewielki właz na poziomie podłogi. Był otwarty. Słupecki sprawdził teren i Warkot mógł wyjść na zewnątrz, na niewielką kładkę biegnącą wzdłuż wagonu.

Wokół było ciemno, więc niewiele zobaczył. Z przodu składu świeciła się lampa, widział poblask, który rzucała na metalicznie błękitną powierzchnię. Krople rosy kołysały się leniwie na powierzchni wagonu niczym pod szkłem powiększającym, zmieniając się po dwóch metrach we wzór pokrywający powierzchnię oszronionego metalu. Dawało to nieziemskie wrażenie. Stalowy potwór sunął niemal bezszelestnie przez tunel, ale po chwili u jego wylotu pojawiła się nieznaczna zmiana barwy – wyjeżdżali na zewnątrz.

– Co oni kombinują panie Leonie? – zapytał Warkot. – Będą szturmować miasto?

Teraz zobaczyli, że pociąg składał się w sumie z trzech wagonów transportowych i dwóch ogromnych lokomotyw – z przodu i z tyłu. Warkot nie widział dokładnie jej ze swojej pozycji na metalowej żerdzi, ale chyba była opancerzona. Lokomotywa jednak nie rzucała snopu światła, sunęła w zupełnych ciemnościach niczym upiór z powieści mistrza Grabińskiego. Demon ruchu tlił się w niej jedynie, kiedy pokonywała kolejne kilometry między wysokimi sosnami i świerkami zlewającymi się w jedną ciemną masę na tle ciemnych górskich szczytów odcinających się od połaci kotliny. Pociąg poruszał się miarowym tempem, nie zwalniając ani nie przyspieszając, skryty w wąwozie przed wzrokiem ciekawskich. Wokół nie było żywej duszy. Gdyby ktoś popatrzył, zobaczyłby

wielką, czarną gąsienicę, która parła naprzód w sobie tylko znanym kierunku. *Ta, ta, ta, TA, ta, ta, ta...*

Potężne płozy lokomotywy rozgarniały na boki łąchy śnieżne, jeszcze niewielkie o tej porze roku. Pociąg poruszał się, mając po jednej stronie skalną ścianę, a po drugiej przepaść. Krajobraz zmieniał się co chwila musieli ujechać tym ślimaczym tempem z dobre dziesięć kilometrów. Pociąg zjeżdżał w dolinę i nadchodził moment, żeby go opuścić. Słupecki rozpląnął się w powietrzu, zostawiając Janka na chwilę samego. Warkot miał wrażenie dziwnej izolacji, jakby rzeczywiście wsiadł na pokład pociągu – widmo, który zmierza w nieznane. Słupecki wrócił jednak z dobrą wiadomością.

– Tam na dole, za jakieś pół kilometra musi zwolnić, bo jest zwrotnica. Przed zwrotnicą jest kawał pustego pola przysypany śniegiem. Tam skoczysz.

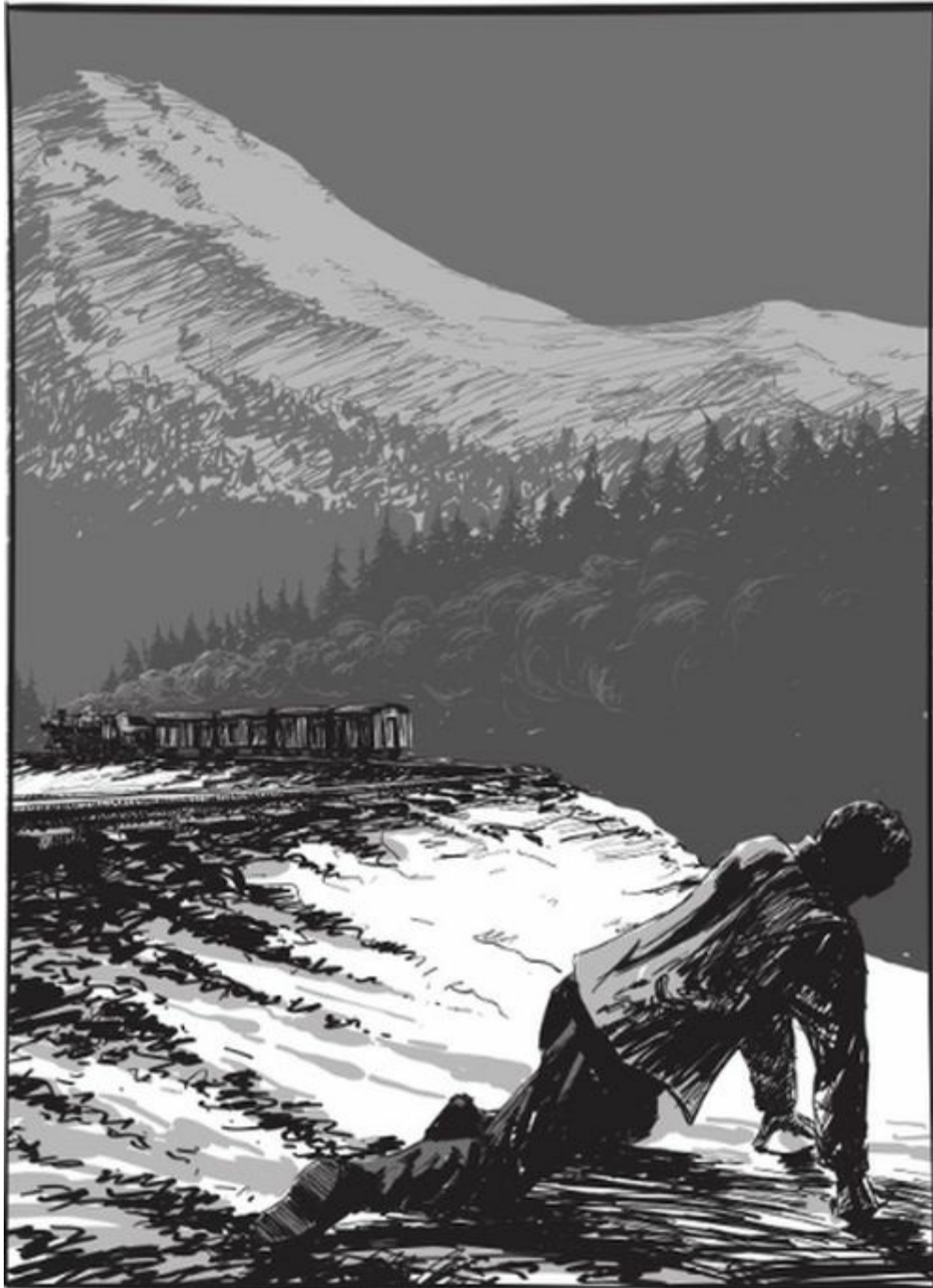
– Skoczę?

– Nie ma innego wyjścia. W środku jest pełno zbirów. Nie możemy ryzykować.

– Dobra. Pan krzyczy: „Już”, i skaczę...

Po pokonaniu łagodnego łuku pociąg wyjechał znów na prostą. Warkot zamknął oczy. Po chwili tuż przy jego uchu rozległ się teatralny szept: „Już!”.

Skoczył.



Upadek był łagodniejszy, niż się spodziewał. Warstwa mokrego śniegu zamortyzowała pęd. Przetoczył się kilka metrów po zimnej brei. Zdaje się obyło się bez jednego siniaka. Był wolny. Ociężały podniósł się z ziemi, zaczął się obmacywać i otrzepywać marynarkę. Zabrali go z domu, tak jak stał, tuż po powrocie z pracy. Nie miał płaszcza ani kapelusza. Dopiero teraz poczuł zimno.

Słupecki stanął przy nim i mruknął:

– Właściwie powinienem pojechać razem z nimi, ale już wiem, dokąd jadą. Zostanę więc. Baśka urwałaby mi mój zakuty łeb, gdybym teraz cię opuścił.

Warkot uśmiechnął się na myśl o żonie i nagle bardzo za nią zatęsknił.

Słupecki najwyraźniej czytał mu w myślach, bo wskazał na grupkę zabudowań,

w których już paliło się światło. Była mniej więcej godzina do świtu. Oddalająca się ciemna mara powoli zlewała się z otoczeniem, sunąc dalej niezauważona po szynach. Spiskowcy musieli tak ustalić trasę, żeby ominąć wszelkie stacyjki, większe i mniejsze. Dokądkolwiek zmierzali, musiała być to nowa kryjówka, bo ludzie od razu zwróciliby uwagę na pociąg z oznaczeniami III Rzeszy. Może mają tu gdzieś jakiś stary hangar albo silos? Banda na pewno przygotowała ucieczkę w najdrobniejszych szczegółach.

Warkot jednak musiał teraz zadbać o siebie dla swojego dobra i swoich bliskich. Najwyraźniej wszystkie koła znów obracały się dla zwycięstwa i nic na to teraz nie mogli poradzić.





ROZDZIAŁ SZESNASTY

...przedwojenna klinkierówka...

Warszawa zatrzymała się z piskiem opon na zakręcie drogi, a za nią stanęły ciężarówki. Milicjanci i funkcjonariusze bezpieki wysypali się na jezdnię, stając karnie w dwuszeregu. Dowódcy wydali rozkaz i cała ta armia ruszyła po stromym stoku pod górę w pododdziałach. Kalamatas był w swoim żywiole. Ruszył sprężystym krokiem, trzymając w rękę mapę. Gromił popatrzył na Kuźniaka i westchnął tylko. Jemu też przypomniały się stare czasy i widać było, że woli działania w terenie niż siedzenie za biurkiem. Aż rwał się do łapania dywersantów.

– Idź z nimi – powiedział do niego Gromił. – Ja spróbuję z innej strony.

Chłopska furmanka z bańkami na mleko stanęła przed tyralierą aut. Zdziwiony woźnica aż wstał na koźle, żeby lepiej widzieć. Konia nic to nie obchodziło, poza tym klapki na oczach znacznie zawężyły mu pole widzenia. Dostrzegł tylko jakiegoś młodego blondyna średniego wzrostu w płaszczu, który szedł w stronę jego pana.

– Dzień dobry! – zagadnął Gromił.

– A dobry, dobry. Co to za wojsko po górach dyma o poranku?

– Łapiemy bandytów.

– A to i dobrze. Co się będą psiekrwie jedne po świecie wałęsać.

– Pan tutejszy?

– Taa, tutejszy.

– Widzi pan tę górę?

– Co mam nie widzieć, ślepy nie jestem.

– Jest jakieś inne podejście?

– A co ma nie być?

– To może mi pan powie...

– Powiem.

Gromił parsknął śmiechem, nie bacząc na poważne okoliczności.

– No to proszę powiedzieć.

– Tamtędy. – Woźnica wskazał batem prawie niewidoczną ścieżkę wśród świerków tuż przed zakrętem. – I stamtąd prosto jak batem strzelił na przecinkę. Potem to już sami zobaczycie.

Rzeczywiście, droga biegła naokoło, omijając nowe karczowisko do zaznaczonego punktu na mapie. Gromił pomyślał, że najpewniej tędy, skryci między drzewami, przestępcy szli na miejsce. Uchylił runda kapelusza w podziękowaniu i ruszył we wskazanym kierunku.

Górska ścieżka nie była łatwa. Buty ślizgały się na mokrym śniegu, w miejscach, gdzie wysokie drzewa nie zasłaniały ścieżki. Przypomniawszy sobie wszystkie zasady poruszania się w terenie, choć sam był stworzeniem wybitnie nizinnym. Największym wyzwaniem wysokościowym we Wrocławiu były schody wiodące do jego mieszkania, a tutaj na dokładkę miał jeszcze śnieg, mokre igliwie, przejmujący jesienny wiatr, no i mocno strome podejście.

Wspiął się jakieś dwieście metrów wyżej i zauważył kolejną przecinkę leśną, która kończyła się dużą polaną. Stał na niej, żeby zaczerpnąć powietrza. Było pierwszej jakości – chłodne, rześkie, z domieszką zapachu sośniny. Gromił oparł się o wielki głaz z wyraźnymi gniazdami tworzącego się kryształu górskiego. Gdzieniegdzie zauważył z pewną dumą z własnej wiedzy, że przybierał on fioletową barwę ametystu. Zatopił się w myślach, ale nie dane mu było długo trwać w tym stanie. Z porannego oparu leśnej mgły wyłonił się niczym, nomen omen, zjawa – Leon Słupecki.

– Panie Leonie! Gdzie się pan podziewał? Janek...

– Janek bezpiecznie jedzie teraz autobusem do Wrocławia. Jest trochę umorusany i obolały, ale cały i zdrow. Może oprócz dwóch paskudnych siniaków na łepetynie i otartych nadgarstków.

– Co takiego? Niemożliwe! – krzyknął Gromił, płosząc leśne ptactwo.

Słupecki zdał mu relację z wydarzeń ostatniej doby ze szczególnym uwzględnieniem swojego w nich udziału. Opowiedział o Wytwórni Wód Gazowanych, o uwięzieniu, o nocnej jeździe pociągiem.

– Przecież pociąg to nie jabłko, do kieszeni go nie schowają – stwierdził Stefan.

– Musieli mieć już gotowy plan, dlatego wyruszyli po nocy. Założę się, że tkwi teraz bezpiecznie w jakiejś kryjówce.

– Ale po co go w ogóle ruszali z miejsca?

– Stefanku, śledczy z ciebie dobry, ale smutek po porwaniu Janka przyćmił ci nieco szare komórki. Po pierwsze, spiskowcy wiedzieli, że jesteśmy na ich tropie. Kręciliście się tu z Jankiem i tymi sierżantami. Po drugie, jeśli mają zamiar opróżnić ładownie pociągu, muszą gdzieś podjechać ciężarówką. Na tym terenie – Słupecki wskazał ręką dookoła – każda ciężarówka będzie miała poważne kłopoty. O wypadek nietrudno. Przeważy ją i stoczy się po karczowisku. A pociąg zjeżdżał w dolinę. Tam, na stosunkowo płaskim terenie będzie im łatwiej przeładować transport. Założę się, że

kiedy zorientują się, że nas już tam nie ma, spętanych jak barany – dodał z wyraźną groźbą w głosie – zwiną trefny towar z wytwórni i po tym Fornalu też ślad zaginie.

– Wywrócę tę budę na nice! – rzucił Gromił.

– I tak trzeba będzie zrobić, ale pamiętaj, że ja inspektorem skarbowym byłem bardzo nieoficjalnie, nie możesz się więc powoływać na napaść na funkcjonariusza państwowego.

– Nieważne. Powiemy, że był anonimowy sygnał...

– Zaniepokojonego, zatroskanego obywatela? A to dobre. Raczej zwykły, bardzo w sumie ludzki donosik.

– Nieważne. Orły Kalamatasa pewnie już dotarły na miejsce. I nawet to Achtung Minen nie robi na nich wrażenia, bo wzięli ze dwóch saperów.

– Stefan, tam jest tunel. Regularny tunel wyłożony przedwojenną klinkierówką. Równiutko jak na basenie na Teatralnej. Możecie tam natrafić na różne niespodzianki.

– Kalamatas rwie się do akcji, podobnie jak mój sierżant.

– No i dobrze. Ty weź kilku chłopaków i rozpętaj u Fornala, no wiesz, piekło.

Gromił skinął głową. Na samo wspomnienie o porwaniu przyjaciela jego walther odbezpieczał się samorzutnie w kaburze.

– Janek jest bezpieczny, to najważniejsze – powiedział Leon. – Może by go tak otoczyć dyskretną ochroną?

– Najpierw będzie musiał złożyć oficjalne zeznania. Cała wrocławska milicja go szukała. Wie, co ma mówić?

– Wydostał się z więzów i uciekł bez niczyjej pomocy. On teraz będzie miał gorszą przeprawę. Musiałem opowiedzieć Barbarze o Bractwie. I ujawnić się...

– Jak to przyjęła?

– Całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności. Nawet średniowieczny upiór nie był jej w stanie wytrącić z równowagi. Tym bardziej krewny.

– Potwierdza się teza, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach.

– Ty masz chyba jakieś niedobre doświadczenia. Więcej wiary w ludzi, panie kapitanie.

Zza wielkiego chojaka wyłonił się kapral z pepeszą.

– Obywatelu kapitanie, melduję... – przerwał w pół zdania, dostrzegając obcą osobę.

– No co tam? Mówcie.

– Znaleźli właz. Ale ci z bezpieczeństwa blokują nam dostęp. Ten major mówił, że mamy tylko zabezpieczać teren na zewnątrz.

– I bardzo dobrze. Weź teraz dziesięciu naszych chłopaków i zameldujcie się przy ciężarówce. Jedziemy na akcję gdzie indziej.

– Ta-jest, obywatelu kapitanie – rzucił uradowany kapral.

– Kuźniak niech weźmie udział w akcji z tamtymi i niech się nie da wyrolować, powiedzcie mu to ode mnie.

– Tak jest! – Milicjant chciał strzelić obcasami, ale kiepsko mu to wyszło na mokrej

ściółce.

Kiedy milicjant zniknął, Słupecki spojrzał na Gromiła, jakby chciał coś dodać.

– Nie musi pan nic mówić – powiedział Stefan – mnie też coś tu śmierdzi.

– Mój niezawodny instynkt podpowiada mi, że nie tylko śmierdzi, ale cuchnie na całego. Lepiej pójde sprawdzic, o co w tym wszystkim chodzi.

– To do zobaczenia, panie Leonie.

Kapitan Gromił ruszył tam, skąd przyszedł, żeby dojść do samochodów, a Słupecki swoim obyczajem zmieszał się z poranną mgłą i tyle go widziano.

Warkot wysiadł na dworcu PKS przy ulicy Dworcowej. Wraz z nim pojazd opuściła spora grupa ludzi. Szli do pracy. Spoglądali podejrzliwie na pasażera bez płaszcza i kapelusza. Warkot sprawdził, czy nic mu nie zginęło. Miał portfel, klucze, zegarek i srebrny sygnet z krwawnikiem, który teraz mrugał do niego zachęcająco.

Przejechał tramwajem dwa przystanki. Wysiadł, przeszedł na drugą stronę ulicy i postawiwszy kołnierz marynarki, ruszył pod arkadami w stronę placu Kościuszki. Skręcił w ulicę Kościuszki i wszedł w starą bramę, którą współcześni architekci pozostawili tu najwyraźniej przez przeoczenie. Minął niewielki antykwariat znajdujący się tuż za przypominającą średniowieczną basztę kolistą klatką schodową. Po stu metrach znalazł się na własnym podwórku. W drodze do bramy natknął się na sąsiada spod szóstki.

– O, witam szanownego pana inżyniera! – Sąsiad był najwyraźniej nieco wczorajszy.

– Dzień dobry panu.

– Coś było lekko ten, tego – rzucił wesoło sąsiad, wskazując na braki w odzieniu Warkota i pstrykając się znacząco w szyję.

Warkot uśmiechnął się zażenowany.

– A wie sąsiad, że milicja u was była? Naprawdę.

– No to co? Była i poszła...

– Nie wiadomo, czego szukali. Niech sąsiad uważa, z czystej sympatii to mówię.

– Może dziury w całym?

– Może, a może czego innego. – Sąsiad mrugnął do Warkota konspiracyjnie. – Trzeba teraz bardzo uważać, szczególnie jak się ma taką ładną kobitę – dodał, uśmiechając się lubieżnie.

– Tak, dziękuję panu.

– Ale jakby co, to do mnie, panie inżynierze, jak w dym. Może zrobimy jakieś pół basa...

Warkot zignorował zaproszenie, uklonił się jednak grzecznie i ruszył do klatki. Sąsiad nie dawał za wygraną.

– Jak w dym, panie inżynierze, jak w dym...

Poczłapał wolno na górę, rozcierając wciąż obolałe kończyny. Nie zdążył włożyć klucza w zamek, kiedy drzwi otworzyły się same. Stała w nich Basia gotowa, żeby

wyjsć do pracy.

– Janek! – wyszeptała.

Upuściła torebkę i rzuciła się mężowi na szyję. Warkot skrzywił się z bólu.

– Basiu, już dobrze. Cicho, już dobrze.

Wszedł do mieszkania i nie zapomniał zamknąć drzwi na zamek.

Kroki podkutych butów zadudniły na kostce brukowej podjazdu Wytwórni Wód Gazowanych w Kowarach. Za uzbrojonymi funkcjonariuszami w mundurach szedł Gromił z odbezpieczonym waltherem w dłoni. Wiatr targał mu jasne włosy na wszystkie strony. Przypominał nieco lwa ze zjeżoną grzywą. Dużo gorsze było jego spojrzenie, zimne, stalowe, bezwzględne, zarezerwowane dla największych bandziorów.

Kiedy dotarł na dół, pracownicy wytwórni już stali z rękami podniesionymi do góry. Koniec żartów. Nigdzie nie było śladu po dużej, czarnej limuzynie, którą jeździł właściciel. Pracowników zrewidowano, spisano personalia i usadzono w pomieszczeniu przy budynku wytwórni. Na straży stanęło dwóch milicjantów, którzy choć młodzi, bardzo wczuli się w akcję. Robili groźne miny i zachowali stanowcze milczenie.

Gromił rozpoczął przeszukanie i od razu znalazł cztery skrzynie z bronią i amunicją. Niektóre sztuki broni były jeszcze fabrycznie opakowane i zabezpieczone. Dowodów na nielegalną działalność było aż nadto. Zatrzymano dziewięć osób i zarządzono dokładne przeszukanie posesji. Po właścicielu zaginął wszelki ślad. Nie było też jego dwóch zastępców. Rozpłynęli się w powietrzu.

W tym czasie orły majora Kalamatasa też nie próżnowały. Zabezpieczono pomieszczenia w głębokim tunelu, choć znaleziono wyłącznie rupiecie i stare niemieckie hełmy. Jeśli cokolwiek było w tym miejscu cennego, dawno zostały wywiezione bądź uprzątnięte. Szeroki korytarz prowadził od wejścia w głąb góry i dalej do tunelu kolejowego. Tory łączyły się z – co najbardziej zaskakujące – regularnym szlakiem kolejowym. Wylot tunelu był teraz odsłonięty – po śladach można było rozpoznać, że wcześniej był zastawiony belkami i kamieniami.

– Melduję obywatelu majorze, że nic nie mamy. Zupełnie nic. – Sierżant Socha też był niepokieszony.

– Szukać dalej, opukiwać ściany. Jeśli trzeba będzie, ryć pod kaflami.

– Tak jest. – Sierżant zawinął się błyskawicznie, żeby przekazać rozkaz. Kalamatas zaciskał pięści w bezsilnej złości.

– A gdzie ten Gromił? – zainteresował się w końcu.

– Melduję, że wyjechał z ciężarówką swoich w nieznanym kierunku. – Socha odwrócił się do majora.

– Tak bez rozkazu? Zapomniał, kto kieruje tą akcją? – Kalamatas był wściekły.

– Może jakiś nowy trop...

– Miał o wszystkim meldować do ciężkiej cholery!

– Sprawdzę, może któryś z jego chłopaków coś wie.

Po południu Gromił rzeczywiście zameldował się i zdał majorowi relację z zatrzymania podejrzanych oraz z przeszukania obiektu.

– No to już coś – mruknął niechętnie Kalamatas. – Zawiózł ich pan do Wrocławia? Bardzo dobrze. Będzie ich można przesłuchać jeszcze dziś.

Gromił nie chciał być teraz w skórze spiskowców, ale za każdym razem, kiedy przypominał sobie, co przydarzyło się Jankowi, na nowo opanowywała go zimna furia i sam miał ochotę odpłacić im wszystkim pięknym za nadobne.

Po powrocie do miasta zdał relację pułkownikowi Horeszce, który pochwalił go za czujność i za zlikwidowanie komórki spiskowców.

– Twój Janek siedzi teraz tu obok i składa zeznania. Tyle że prawie nic nie wie. Cały czas miał worek na twarzy, który jakimś cudem zdjął. – Pułkownik Horeszko rzucił Gromiłowi spojrzenie z ukosa.

– Może sznurek, którym go związali puścił, i tak wydostał się na wolność – rzucił pospiesznie Gromił.

– Pewnie tak było...

– Mogę już pójść do niego?

– Czeka w pokoju obok.

Gromił pożegnał się z przełożonym i poszedł do Janka.

– Druhu, aleś nas wszystkich nastraszył – powiedział Stefan, ściskając go serdecznie.

– Sam byłem w strachu. Mogli mnie wykończyć w każdej chwili.

– Wiem, Leon mówił...

– Cii... tu ściany mają uszy.

– Chodźmy gdzieś. Chyba że Basia cię potrzebuje.

– Baśka w pracy. Spiski spiskami, a życie życiem.

Wyszli razem z budynku przy placu Muzealnym i skierowali kroki na Rynek. Gromił zadzwonił jeszcze do Kapusty, który miał do nich dołączyć po pracy.

W „Ratuszowej” o tej porze było jeszcze pusto, choć nad Wrocławiem powoli zapadł zmierzch. Usiedli i przywołali kelnera.

– Może byś coś zjadł?

– Konsumpcja u nas obowiązkowa, proszę pana – wtrącił się kelner, żeby uciąć wszelkie dywagacje na ten temat.

– Proszę, konsumpcja obowiązkowa. To mi się podoba – powiedział Gromił. – A co pan poleca?

– Jest schabowy, wątróbka z cebulką, kotlet pożarski... sum.

– Sum? Prawdziwy sum? – zdziwił się Gromił.

– A tak, po staropolsku. – Kelner był dumny jak paw.

– Pan da rybkę w takim razie. – Warkotowi kiszki zagrały marsza jak orkiestra na wojskowej paradzie.

– Coś pod rybkę? – zapytał z nadzieją kelner.

– A jak! Jest starka?

– Naturalnie, proszę szanownego pana. Mamy jeszcze zapasy. – Kelner potrafił bezbłędnie rozpoznać konesera.

– To najlepiej niech pan butelkę przyniesie – oznajmił Gromił.

– Służę szanownym panom. – Zadowolony kelner uśmiechnął się i zniknął.

– Proszę ludowej milicji, proszę mi nie rozpijać chłopaka! – odezwał się znajomy głos.

– Pan Leon! – wykrzyknął Warkot i poderwał się z miejsca, żeby uściskać pokutnika.

Ten zmieszał się nieco, bo nieczęsto miał okazję doświadczać takich wybuchów szczerzej sympatii. Wręcz przeciwnie. Bąknął coś pod nosem i po chwili przysiadł się do przyjaciół.

– Pan nie wie, kto ja jestem! – wykrzyknął gość przy barze siedzący w towarzystwie wyfiokowanej jejmości.

– Ależ, proszę szanownego pana, niestety nie mam przyjemności – mitygował się barman.

– Ja pana, ja was... – W powietrzu zawisła niewypowiedziana groźba.

Obsługa była najwyraźniej przyzwyczajona do takich spektakli, gdyż podeszła do tego ze znanstwem i pełnym profesjonalizmem.

– Proszę szanownego pana! – Barman już zręcznym ruchem zamienił szklanę do piwa i nalewał nowy złocisty trunek z wysmukłej butelki.

– No widzisz, Karolu, wystarczy tylko stanowczo huknąć pięścią w stół i zaraz wszystko się znajdzie. – Wyfiokowana miała najwyraźniej i doświadczenie i zapędy dydaktyczne.

– Co się tam dzieje? – zapytał Gromił, gdy kelner zjawił się z butelką i kieliszkami.

– Myszka była w butelce, normalna sprawa – rzucił lekceważąco kelner. – Jedna mała myszka, a ten się piekli...

Gromił pomyślał, że obraz gastronomii powojennej zaczął się nieuchronnie zmieniać, ale zachował tę uwagę dla siebie.

– Myszka, powiada pan? – zagaił Słupecki.

– No, myszka. W butelce. Normalna sprawa, w browarze myszy harczą – zaśmiał się zadowolony z własnego dowcipu.

– I ile mu taka myszka wypije? – Rozległ się kolejny głos i wszyscy wstali, żeby powitać majstra Kapustę.

Ten wyściskał Janka i zajął miejsce przy stole. Bractwo Wrocławskie było w komplecie. Kelner bez słowa poszedł po czwarty kieliszek.

– I nic nie znaleźli? – zapytał Zdzisiek.

– Nic, pusty tunel – odparł Gromił.

– Jak miał nie być pusty? – rzucił Janek. – Przecież wyjechaliśmy z panem Leonem dobre kilka kilometrów...

– I nie wiadomo dokąd? – dopytywał Zdzisiek.

– Na płaski teren, gdzieś w kotlinie – oznajmił Janek.

– Pewnie do jakiejś nowej kryjówki...

– Janku, tam te góry to jak ser szwajcarski – powiedział Gromił. – Tuneli zasypanych i odkrytych jest tam cała masa. Ryli przed wojną na potęgę. Jakby chcieli mieszkańcom zorganizować rozrywkę na długie lata. Tak samo w Wałbrzychu. Tam ponoć jest tego jeszcze więcej.

– I co, kopia? – zapytał mocno przejęty Kapusta.

– A kopia. W niedziele po mszy i wieczorami, jak nikt nie widzi. Cud, że nikt się tam jeszcze nie zabił. I oficjalnie też, bo tam przecież kopalnie.

– Ale przecież taki pociąg to nie, przepraszam za skojarzenie, mysz w butelce.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Wyfiokowana i Karol znów znaleźli się w centrum uwagi. Tym razem za sprawą podchmielonego dżentelmena, który najwyraźniej cierpiał z powodu niedostatków towarzyskich.

– Zuuuzia? Zuzia, dziewczyno, kopę lat! – wykrzyknął i ruszył niczym radziecki lodołamacz przez Morze Barentsa w stronę siedzącej przy barze pary.

– Proszę pana! – zwróciła się do niego stanowczo Wyfiokowana. – Proszę nam nie przeszkadzać!

– Zuzia, mordeczko! Nie pamiętasz? To ja Staszek! – Podchmielony jegomość postanowił odnowić znajomość za wszelką cenę. – Akcja rolna z pięćdziesiątego trzeciego, no co, nie pamiętasz? Stodoła, słowiki śpiewały, sianko na stryszku...

Romantyczne przeżycia podczas akcji gnębienia kułaków nie były odosobnione. Młodzież nabuzowana władzą musiała gdzieś dać ujście emocjom.

– Nie pamiętam pana. I w ogóle proszę odejść!

– Zuzieńko, nie pamiętasz, co mówiłaś? Jak nam było przytulnie na tym stryszku?

Karol mruknął coś zaniepokojony i zły jednocześnie.

– Jak goniliśmy sabotażystę w kukurydzy? Co nam widłami opony poprzebijał? Nie pamiętasz, Zuzia?

W sali zapanowała ciężka atmosfera i było o krok od wybuchu.

– Proszę odejść, bo zawołam milicję! – zagroziła Zuzia.

– Nie wstajesz? – zapytał z przekąsem Warkot.

– Ani myślę – odparł Gromił. – Nikt mi nie zepsuje tego wieczoru, a już na pewno nie ten powiatowy Romeo. Niech sobie dzwonią po patrol.

– Zmieniłaś się, Zuzanno – podchmielony Staszek uderzył w zgola inny ton. Dramatyczny. – A myszszszłałem wtedy, że coś dla siebie znaczę...

– Panie, idź pan stąd, jak pragnę zdrowia. – Nie wytrzymał jeden z klientów.

– Coś się obywatelowi nie podoba? Zajmij się pan swoim pożarskim i nie dokazuj pan, bo będę, hyp, niegrzeczny – rzucił Staszek.

– Odpieprz się pan! – krzyknął w końcu Karol, gubiąc całkowicie swój wersalski sznyt. – Wynocha mi stąd i nie zaczepiać pani, dobrze?!

– A obywatel to co się wtrąca między wódkę a zakąskę? Pana sprawa?

– Właśnie, że moja! Proszę nie zaczepiać mojej narzeczonej!

Wyfiokowana pokraśniała cała i rzuciła się do całowania narzeczonego.

– Karolku, nie mówiłeś... nie wiedziałam, a ty mnie tu zaprosiłeś, bo...

– Zuzanno, jak możesz, hyp, odtrącać szczerą męską miłość? Wybierasz tego gogusia zamiast mnie?

– Gogusia? Gogusia? – Najwyraźniej była to zniewaga, której Karol nie mógł przełknąć. – Ożeż ty chamie jeden! – rzucił po jaśniepańsku. – Ja ci zaraz pokażę gogusia!

– Tylko się nie zgrzej Karolku, bo zimno na dworze – zapobiegawczo ostrzegła Zuzanna.

Przed ladą barową rozpoczęła się regularna bitka. Żaden z zacierzewionych pretendentów do ręki Zuzanny nie zamierzał odpuścić. Staszek młócił chaotycznie jak cepem, a Karol posyłał precyzyjne ciosy na szczękę konkurenta niczym wytrawny bokser. Problem polegał na tym, że nie posiadał odpowiedniej siły. Znaczy się, Podchmielony Staszek miał rację. Goguś. Po chwili do lokalu wpadł patrol Milicji Obywatelskiej i przerwał ten mecz dziesięciolecia. Demokratycznie rozdzielono po kilka pał na plecy rozognionych absztyfikantów, aż Zuzanna zaczęła histerycznie piszczeć.

– Narzeczonego mi biją! Milicja mi bije mojego Karolka!

Podchmielony Staszek musiał już mieć styczność z milicyjną blondyną, bo znosił razy dzielnie i po męsku. Goguś Karol kulił się i skamlał. Wyglądało na to, że to był jego debiut w roli zatrzymywanego. Patrol zgarnął obydwu i wyprowadził ich z restauracji. Za nimi truchtała Zuzia, krzycząc wniebogłosy. Po chwili zapanował spokój. Kilku gości nawet zaczęło bić brawo. Romans z pewnością będzie miał ciąg dalszy bez konieczności trucia, dżgania nożem i topienia uczestników.

– No i po kłopocie – westchnął Gromiś.

– Ależ ty, Stefanku, to masz nerwy jak stalowe postronki – rzucił z podziwem majster Kapusta.

– Jakbyś tyle widział, co ja, też byś miał. Inaczej wszystkich trzeba by było łać.

Bractwo Wrocławskie wzniosło toast za szczęśliwe zakończenie porwania i wszystkim zrobiło się błogo na duszy i żołądkach.

– Jak myślisz, dlaczego w ogóle cię porwali? – zapytał po chwili Stefan.

– Wciąż nie mam pojęcia. Mogli mnie po prostu zabić. Bo ja wiem, mógł mnie przejechać samochód w ciemnej uliczce...

– Tak, tu nie chodzi wyłącznie o to, że Janek mógł rozpoznać jednego z nich. Poza tym praktycznie się już zdekonspirowali. Fornal zniknął, ten ich szef też myli pogonie. Szykuje się jakaś większa chryja.

– Skądś to znam... – mruknął Słupecki.

Dalej rozmowa toczyła się w niewymuszony sposób, dotykając spraw codziennych,

zdawałoby się błahych i pozornie oderwanych od rzeczywistości.

– Doszły mnie słuchy... – zaczął Słupecki – ...że w domu państwa Kapustów jakoweś konspiracyjne zebrania się odbywają...

– E tam, zaraz konspiracyjne – zaperzył się majster. – Kolegów z pracy sobie zaprosiłem na koleżeńskiego pokerka. Ale nic z tego nie wyszło, bo wszyscy martwiliśmy się Jankiem. Broniek nawet wymyślił, żeby ogłoszenie do gazety dać. Że zaginął, czeka nieutulona w żalu żona, że nagroda...

– To Broniek coś takiego wymyślił? – Warkot uśmiechnął się. – Przyjaciół poznaje się w biedzie.

– Nie wiedzieliśmy tylko, czy takim ogłoszeniem nie zrobimy koło pióra naszej kochanej ludowej milicji.

– Mogłoby tak być – powiedział Gromił. – Kalamatas wściekłby się... Zresztą on w ogóle jakiś taki nerwowy.

– Jak się gra na dwa fronty, to zawsze jest się nerwowym. – Słupecki najwyraźniej coś wiedział.

– Co ma pan na myśli?

– To jeszcze muszę dokładnie sprawdzić, na razie cicho-sza... – Słupecki nie wychodził z roli tajemniczej zjawy sprzed wieków. Nimb tajemnicy otaczał go cały czas jak delikatny zapach tradycyjnej wody kolońskiej.

– A zjawy to się w ogóle gołą? – zapytał ni z gruszki, ni z pietruszki Kapusta, najwyraźniej ośmielony wypitą starką.

– Tak, zardzewiałą kosą, panie majster – odciął się Słupecki.

– Ciekawe.

– No dobrze, a czym oprócz pokerka zajmuje się nasza klasa robotnicza?

– Kibicujemy naszym. Daliśmy Ruskim łupnia raz, damy i drugi. Szkoda, że na mecz nie będzie można pojechać. Do NRD.

– A kiedy ten mecz? – zainteresował się Warkot.

– Dwudziestego czwartego, w Lipsku.

– I nie można pojechać?

– Bilety reglamentowane jak cytrusy. Trzeba mieć poparcie... rady zakładowej. Ale już ich dawno nie ma. No i przepustkę trzeba mieć. Taki paszport, znaczy się.

– Dlaczego tak?

– Bo nasz złoty chłopak, nasz Gerard, wlepił im dwa gole, więc teraz nawet kibicować nie można zbyt głośno. Do tego to wyprawa za granicę.

– Za Odrę i Nysę Łużycką. Do bratniego kraju socjalistycznego... – zamyślił się Gromił. – To już za dwa tygodnie...

Zerwał się z miejsca jak oparzony. Przyjaciele spojrzeli na niego z obawą.

– Stało się co?

– Wiem, co knują. Szkoda czasu. Janku, widzimy się jutro. Panie Leonie, może pan jeszcze powęszyć za tymi ciężarówkami?

– Powęszyć, powęszyć? Młody człowieku, wysławiaj się poprawnie. Zjawy nie węższą.

– Nieważne. Nie mamy czasu na przegadywanki. To bardzo ważna sprawa.

– A ty dokąd? – zaniepokoił się Jan.

– Jak to dokąd? Do pracy.

– Zupełnie zbzikował. Stary kawaler – rzucił Słupecki.

Ale Gromił już ich nie słuchał. Pożegnał się pospiesznie, rzucił na stół kilka banknotów i porywając kapelusz, niemal wybiegł z restauracji. Ruszył prosto przez plac Solny, wszedł w przejście wiodące do Szajnochy i ruszył w stronę posepnego gmachu na Podwalu. Jesienny wiatr próbował go dogonić. Bezskutecznie.





ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

...w tym sęk...

Bliskość dużego parku Szczytnickiego sprawiała, że pacjentom jakoś łatwiej się chorowało na wrocławskich Klinikach. Obecność roślin zasadzonych dawno temu, rododendronów, cisów, azalii i pinii, miał błogosławiony wpływ na poprawę stanu psychicznego. Szum drzew i krzewów miał dużo lepsze wyniki terapeutyczne niż najlepsze nawet placebo podawane chorym w niewielkich krążkach z opłatkami. Pacjenci wychodzili na ławeczki na dziedzińcu i wsłuchując się w monotony szum nurtu Odry, chłonili pełnymi płucami zapach igliwia, wyraźnie wyczuwalny nawet teraz, późną jesienią.

Jadwiga Raufenberg pchała wózek z panem Ryśkiem, któremu nastawiono szczególnie paskudne złamanie kości podudzia. Pacjent rokował dobrze i po kilku tygodniach będzie mógł rozpocząć prawdziwą rehabilitację, żeby poruszać się bez kuli.

– Ależ mamy dzisiaj piękną pogodę, panno Jadziu.

– O tak, nawet się trochę cieplej zrobiło, panie Ryszardzie.

– A siostrzyczka taka coś markotna dzisiaj. Dlaczego?

– Życie, panie Ryśku, życie.

– A cóż taka młoda, piękna panna może wiedzieć o życiu?

– Zdziwiłby się pan.

– Taki Staszczak to rozumiem. Połamało chłopca, jak spadł z wozu, żona przysłała z kompotem do szpitala, ale widać, że tam się coś nie układa. Taki ma powody do zmartwień. Zadręcza się chłopina, bo nie wie, co tam jego baba w domu wyprawia.

– Przesadza pan i pana koledzy z sali tak samo. Dalibyście już panu Staszczakowi spokój.

– Martwimy się, po koleżeńsku.

– I tylko pogarszacie sprawę. Ludzie powinni sami rozwiązywać swoje problemy.

Przez głowę przebiegła jej myśl o bracie i bratanku, którym pomógł bezinteresownie

tajemniczy dobroczyńca. Milicjant. Swoją drogą to bardzo ciekawe towarzystwo. Barbara, jej mąż Janek, którego widziała może ze dwa razy, Marlena. No i ten Stefan. Jego nie widziała, ale wszyscy jej o nim opowiadają. Swatać chcą czy jak? Zezłościła się na samą myśl. Nie była bezwolną idiotką i decyzje podejmowała samodzielnie. Nikt jej nie będzie niczego narzucał. Ale też musiała przyznać, że była to fascynująca postać.

– Siostrzyczko, skręcajmy już.

Zauważyła, że w zamyśleniu podjechała z panem Ryśkiem do tylnej bramy szpitala.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Oho, to znaczy, że coś się kroi.

– Co się kroi?

– No romans jakiś...

– Dałby pan już spokój, panie Ryszardzie.

Gdzieś dalej słychać było, jak ktoś głośno i z rozmachem otworzył drewniane drzwi wiodące do budynku. Rozległy się kroki, chrzęszcząc po żwirze. Zza węgła wyłonił się średniego wzrostu mężczyzna w wieku około trzydziestu kilku lat w jasnym płaszczu. Trzymał kapelusz w ręce, blond włosy potargał mu wiatr. Miał bardzo jasne, niebieskie oczy. Widać było, że kogoś szuka i ma bardzo pilną sprawę.

„Pewnie jakiś odwiedzający” – pomyślała Jadwiga.

– Dzień dobry – rzucił młody człowiek. – Przepraszam, nie wie pani, czy doktor Barbara Warkot jest dzisiaj w pracy?

– Basia? Jest, może w rentgenie – odparła Jadwiga i nie wiedzieć czemu zaczerwieniła się.

– A gdzie to jest?

– Na parterze, czwarte drzwi po prawej stronie.

– Pani wybaczy, ale taki tu labirynt. Zgubić się można.

– Proszę poczekać. Odwiozę pacjenta i pokażę panu drogę. – Znow poczuła falę gorąca na twarzy.

„Co ja wyprawiam, zwariowałam do reszty?” – pomyślała i ruszyła z wózkiem do rampy.

– Proszę poczekać, pomogę pani – zaoferował się mężczyzna.

Wspólnie wepchnęli pana Ryszarda na wózek na korytarz. Pacjent uśmiechał się cały czas upojony zapachem cisów i jałowca.

– A mówiłem, że coś się kroi. – Odwrócił się do pielęgniarki i mrugnął filuternie.

– Panie Ryśku! – upomniała go Jadwiga.

– No co? Ja tak z dobrego serca. Po przyjacielsku.

Jadwiga zawiozła pacjenta na oddział i wróciła do czekającego w holu mężczyzny.

– Proszę, to tędy...

Po przejściu przez duże podwójne drzwi natknęli się na Basię. Niosła naręczą zdjęć i kart pacjentów.

– Widzę, że się już poznaliście – rzuciła wesoło; od dwóch dni nic nie było w stanie

zmącić jej radości.

– Nie, właściwie... To jest... – Stefan plątał się w zeznaniach.

– Jadziu, pozwól, że ci przedstawię naszego przyjaciela. To Stefek Gromił. Panna Jadwiga Raufenberg.

Zaniemówił. Zwykle nie tracił rezonu, ale w tym momencie zapomniał języka w gębie.

– Bar... bardzo mi przyjemnie – wreszcie wykrztusił.

– Jadwiga.

– Stefan Gromił.

– Mówcie sobie na ty, w końcu wszyscy jesteśmy przyjaciółmi – zaproponowała Basia.

Gromił wodził wzrokiem po regularnych rysach twarzy. Mlecznobiała skóra usiana była delikatnymi piegami. Spojrzał w błyszczące zielone oczy, w których mógłby się zatopić bez reszty. Opanował się siłą woli.

– Stefek.

– Jadzia.

– No dajcie spokój, co was tak wzięło? – Basia roześmiała się bez troski.

– Znam pani brata... to jest, twojego brata – poprawił się Stefan. – Poznaliśmy się jakiś czas temu...

– Wiem, opowiadał mi.

– No i znam też Krystiana. Pewnie słyszałaś, że nie na stopie towarzyskiej...

– Tak. – Jadwiga spuściła głowę.

– Stefan, daj spokój dziewczynie – upomniała go Basia.

– Ja przecież nic. Ja tylko...

– Dobra, dobra, znamy te sztuczki.

– Basiu, proszę cię! – Gromił był wyraźnie zmieszany, Barbara pierwszy raz była świadkiem czegoś takiego.

– Co więc cię tu sprowadza?

– Usiądźmy gdzieś razem i porozmawiajmy. Ta sprawa dotyczy też ciebie, Jadziu.

– Sprytnie – rzuciła Basia z przekąsem.

– Prosiłem!

– Chodźmy do naszej dyżurki – zaproponowała Jadzia. – Zaparzę kawy.

Usiedli w milczeniu. A potem Gromił opowiedział dziewczynom, co wydarzyło się w górach. Mówił prosto, bez ogródek, żeby zrozumiały, w co właściwie wdepnęli. Wszyscy. On, Janek i Krystian. Przeciwnik był bezwzględny i należało je dokładnie uświadomić, żeby wiedziały, czego mogą się spodziewać.

– Skoro Müller porwał Janka, nie cofnie się przed niczym. Teraz stale noszę przy sobie broń. Wiem, że do mnie przyjdzie. Prędzej czy później. Mam coś, bez czego jego plan spali na panewce. Dlatego proszę was, żebyście też uważały. Metody kidnapingu są znane w kryminalistyce, ale u nas milicja nie ma w tych sprawach doświadczenia.

Szczerze mówiąc, myślę, że porwanie Janka to pierwszy przypadek porwania po wojnie. Oczywiście oprócz porwania syna Piaseckiego.

„Które prawdopodobnie zostało upozorowane” – dodał w myślach, ale nie mógł tego powiedzieć na głos.

– Czy coś mu grozi?

– Müller porwał Janka z pobudek osobistych. Obwinia go za śmierć rodziców. Ma kreta u nas na Podwalu, bo wie o wszystkim. Dlatego też będzie za wszelką cenę chciał wydobyć ode mnie to.

Gromił sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz, niemal identyczny jak ten, który spoczywał w szufladzie majora Kalamatasa.

– Żeby otworzyć schowek w wagonie pancernym, potrzebuje trzech takich kluczy. Kalamatas i Socha nie wiedzą o trzecim, bo wyciągnąłem go z drugiej skrytki w tajemnicy. Prawdopodobnie każdy z nich otwiera kolejną część skrytki. Jeśli się o nim dowiedzą, będzie to oznaczyło tylko jedno. Müller im o tym powie. On wie.

Zapadła głucha cisza.

– Jak to? – odezwała się po chwili Barbara. – Mówisz, że major kontrwywiadu jest w zмовie z Werwolfem? Przecież to niemożliwe.

– Grupa Müllera chce wywieźć to, co jest ukryte w opancerzonym wagonie, z kraju. W Polsce nikt tego od niego nie kupi, prędzej doniesie o tym władzom. Jeśli chce to wywieźć legalnie, musi mieć mocne papiery. A kto może wydać byłemu esesmanowi legalne, żelazne papiery? Nawet my tego nie jesteśmy w stanie załatwić. Może to zrobić wyłącznie Kalamatas. Nie twierdzę, że on sam jest w to zamieszany, ale ten Socha to szczwana bestia. Udaje tak, że nawet mnie nabrał na początku. Może być tak, że Socha gra w podwójną grę: ze swoim szefem i grupą Müllera. Ale zakładam też, że jest odwrotnie. Kalamatas poświęci Sochę, zwali na niego całą winę, a sam zniknie jak kamfora, dzieląc się z Müllerem łupem.

– Podejrzewasz, co może być w tym schowku? – zapytała cicho Jadwiga.

– Nie mam pojęcia. Skarby, złoto, nowa broń. Co byłoby jeszcze bardziej groźne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa. Może uran. Tyle że wymagałoby to odpowiednich środków transportu. Müller jednak wie, co tam schowano. I bardzo tego potrzebuje.

– I w to wszystko wplątał się nasz Krystian....

– Młodzieniec jest słaby i podatny. Nie miał szans w konfrontacji z Müllerem. Szczerze mówiąc, Kalamatas i Müller są bardzo do siebie podobni. Fizycznie i mentalnie. Może dlatego podejrzewam bardziej majora. Wyglądają – zamyślił się przez chwilę – jak rodzeni bracia.

– Dlaczego nam to mówisz? – zaniepokoiła się Basia.

– Mówię, bo wiem, że Müller osobiście zabił przynajmniej dwie osoby. Zabił swoich, którzy go chcieli wyprowadzić w pole i ulotnić się ze skarbem. Nazywajmy to roboczo „skarbem”, bo nie wiemy na razie, co tam jest.

– Jak w tym filmie. – Jadzia znów zaczerwieniła się po uszy.

– Tak. – Gromił uśmiechnął się. – Jak w tym filmie. Ale tu nie mamy do czynienia ze zubożałymi drobnomieszczanami, którzy odkopują wymagany skarb. To regularne wojsko, wyszkoleni żołnierze gotowi zabijać. Dla nich wojna się jeszcze nie skończyła. I mówię to też do ciebie, Jadziu. Ostrzeż Karola, pilnuj się. Jeśli będą chcieli dotrzeć przez was do Krystiana, wydostać informacje, nie zawahają się przed niczym. Oni nie wiedzą, gdzie jest Krystian. Mogą podejrzewać, że go gdzieś zamelinowaliście.

– Zamelinowaliśmy?

– Ukryliście.

– Aha.

– Krystian jest dla nich bardzo niebezpieczny, bo zna wszystkich członków grupy. Jest w stanie ich zidentyfikować, choć bardzo dobrze się zakamuflowali. Podobnie Janek rozpozna Müllera wszędzie. Ja z kolei widziałem go na fotografii w pamiętniku ojca. Na pewno jest nieaktualna. Może ściął włosy. Może osiwiął. Zapuścił brodę, bo ja wiem.

– To wszystko mnie przerasta – powiedziała Jadzia. – Za dużo tego jak na jeden raz. Wiem, że Karol bardzo cierpi z powodu Krystiana. Tak się starał. Chciał mu pomóc.

– Wiem, Karol to porządny człowiek.

– On to samo mówi o tobie...

– To bardzo miłe. – Gromił się zawstydził, po czym głośno odchrząknął: – Wciąż mam waszą zastawę...

– Jest w dobrych rękach.

Teraz Stefan stracił rezon i pomyślał, jak wiele życia upłynęło mu na błahych sprawach.

– Dobra, kochani, dajcie sobie na razie spokój – wtrąciła się Basia. – Jadzia, idź do pacjentów, bo zaraz który powie, że siostra śpi na dyżurach. Stefek, pora na ciebie.

– Tak, już idę – rzucił Gromił i choć wstał, widać było, że zupełnie nie ma na to ochoty.

Wbrew temu, co myślał sobie Gromił, spiskowcy początkowo nie mieli pojęcia o tym, że безпеka dysponuje wyłącznie starym kluczem otwierającym skrytkę w kominku. Müller stał teraz w podziemnym tunelu przy żelaznym potworze, który zazdrośnie bronił swojej tajemnicy. Po odsunięciu drzwi ukazały się drugie w pełni opancerzone drzwi. Pod białą, wymalowaną farbą gapą widać było dwie wąskie szpary, do których pasowały dwa schowane wcześniej klucze w kominku w Ściągnach.

Müller mógł otworzyć drzwi wyłącznie przy pomocy obu kluczy, przekręcając je – jeden w prawo, drugi w lewo. Wtedy Sezam ukaże swoje skarby. Müller dużo wcześniej opróżniłby skrytkę w Ściągnach, ale ubiegł go ten przeklęty milicjant ze swoimi ludźmi, który odnalazł stary klucz do skrytki w kominku powierzony wcześniej karczmarzowi. Nie wiedział jednak, że w pociągu po otwarciu pierwszych drzwi dwoma kluczami,

potrzeba trzeciego do otwarcia wewnętrznych drzwiczek, by opróżnić cały skarbiec. Porywając Warkota, miał zamiar szantażem wymusić na Gromile, by ten nie psuł mu całej akcji.

Nie udało się. Jakimś cudem, przy pomocy diabelskiej sztuczki zarówno on, jak i ten inspektor z urzędu podatkowego wydostali się na wolność. Zachodził w głowę, jak to możliwe. Nie dość że ten idiota Heinrich przywłókł tu tego drugiego faceta, to jeszcze wydostali się na wolność i uciekli.

Zacisnął zęby w bezsilnej złości. Całe życie musiał zmagać się z ludzką głupotą i tak samo było tym razem. Postanowił sam dopilnować wszystkiego. Od swego współnika z Podwala dowiedział się, że Gromił coś kręci, a on nie zamierzał pozostawić wszystkiego przypadkowi. Akcja była zbyt precyzyjnie przygotowana, by jeden element mógł ją zepsuć. Tak, wróci do Wrocławia, odbierze dwa klucze od współnika i otworzy skrytkę. Do tego rozprawi się z milicjantem. Odpłaci mu za wtrącanie się w nie swoje sprawy.

Spojrzał jeszcze raz na dwie wąskie szczeliny w grubej, metalowej płycie i wsunął dłoń do kieszeni, gdzie odnalazł krzepiącą, metalową rękojeść długiego, tkwiącego w pochwie noża podarowanego mu przez samego Otto Skorzenego. Taka miła pamiątka z Włoch.

11 listopada 1957 roku przypadało w poniedziałek. Magiczna data odzyskania przez Polskę niepodległości w Polsce Ludowej przechodziła bez echa i nie było tego dnia żadnych uroczystości państwowych. Nowe władze świętowały 1 maja zupełnie, ignorując datę uchwalenia Konstytucji 3 Maja, święto 22 lipca należało do najważniejszych, gdyż upamiętniało datę tak zwanego Manifestu Lipcowego, początku Polski Ludowej – państwa powstałego na mocy układów Wielkiej Trójki, które w przewrotny sposób starało się odciąć od wszystkiego, co było wcześniej. Oczywiście z kilkoma wyjątkami. Miało być po staropolsku, ale bez szlacheckiego warcholstwa, na ludowo, ale bez politycznych odszczepieńców stanowiących zaprzeczenie internacjonalizmu. Patriotycznie, ale bez sanacyjnej nuty, która – według obecnej linii – doprowadziła do klęski wrześniowej.

Piłsudski został wykreślony z kart historii, a jeśli nawet przelotnie się na nich pojawiał, to jak typowy szwarczarakter, który nie dość że doprowadził do przewrotu, to jeszcze na skutek prowadzonej polityki pchnął kraj ku przepaści. Portrety i podobizny „Dziadka” przyjechały z różnych krańców Polski wraz z oleodrukami świętych obrazów, żeby zawisnąć w przyciasnych mieszkankach wrocławian. Główną winą Marszałka było to, że nie pozwolił zrobić z wolnej Polski kolejnej Republiki Rad ku wielkiemu zdziwieniu zwolenników nowego ustroju. Jak można było odrzucić wiekopomną szansę przyjęcia do wielkiej socjalistycznej rodziny narodów?

Powojenni politrucy najwyraźniej przecenili swoje siły, ale też mógł im dać co nieco do myślenia fakt, że Polska jako jedyny okupowany kraj w Europie nie posiadała

swoich oddziałów SS. Nie było chętnych. Wbrew temu, co głosiła powojenna propaganda, Polska była wolna od wszelkich politycznych zbrodni. Dużo więcej na ten temat wiedział najsłynniejszy ze wszystkich malarzy pokojowych i nawet nie próbował przekabacać Polaków.

Tego dnia wysoki mężczyzna w kapeluszu wsiadł do tramwaju numer 0 przy budynku Dworca Głównego we Wrocławiu. Postanowił sprawdzić, czy nie ma żadnego „ogona” i objechał pełną trasę po mieście, wysiadając w końcu na placu Kirowa. Ruszył wolnym krokiem ku drewnianej kładce przerzuconej przez fosę. Minął ulicę św. Antoniego i wyszedł przez Szajnochy na plac Solny. Wolnym krokiem, nie spiesząc się, dotarł do stacji paliw na Rynku, minął ją i wszedł do baru mlecznego.

Dochodziła dziesiąta rano. Nie było wielu klientów o tej porze, spokojnie więc zamówił śniadanie. Stał przy długim stole i patrzył przez okno. Władze pozwoliły na ustawienie pomnika hrabiego Aleksandra Fredry, co już samo w sobie było dużym ustępstwem wobec obowiązującej linii. Nie dość że pomnik przedstawiał arystokratę w niewymuszonej pozycji, to jeszcze pochodził z miasta, którego nie było. Przynajmniej oficjalnie. Lwów zmienił nazwę na Lwiv i stał się całkowicie niewidzialnym, prowincjonalnym miasteczkiem tak zwanej Zachodniej Ukrainy. Skrzywił się z niesmakiem. Nie interesowały go w ogóle swary i kłótnie Słowian. Był ponad to. I tak musiał od ponad dziesięciu lat żyć w tym kraju i dostosować się do jego obyczajów.

– Dolary mam – odezwał się jakiś głos obok.

– To gratuluję – odpowiedział odruchowo, nawet nie patrząc na natręta.

– Niedrogo. – Jegomość w wełnianym płaszczu nie dawał za wygraną.

Müller wyprostował się. Nawet w gronie wysokich posiadał imponujący wzrost. Nieznajomy zrejterował.

– Psieprasiam, co złego to nie ja.

Müller dostrzegł przez okno znajomą twarz i przestał się interesować natrętem. Wyszedł z baru i podszedł do pomnika Fredry.

– Masz? – zapytał cicho mężczyznę w jasnym płaszczu.

Napotkany skinął głową i podał mu zwiniętą kartkę papieru. Müller przejął materiał i wskazał na plac Solny, udając, że daje wskazówki mężczyźnie spoza miasta. Napotkany odszedł pospiesznie we wskazanym kierunku. Müller rozejrzał się spod runda kapelusza. Nikt go nie obserwował.

Ruszył pewnym krokiem w stronę Uniwersytetu, kierując się wzdłuż ulicy Odrzańskiej, która jeszcze do niedawna nosiła miano Studenckiej. Minął Jatki i Malarską, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy. Uśmiechnął się do swoich myśli. Tu niegdyś znajdowała się Hurenbeg oraz znany zamieszkały. Skręcił w Garbary, urokliwą uliczkę, która zachowała dawny średniowieczny charakter. Poszedł dalej i znalazł miejsce przy stoliku w niewielkiej kawiarence przy gmachu głównym Uniwersytetu Wrocławskiego. Tam usiadł przy mokce i mógł rozwinąć karteczkę trzymaną w zaciśniętej dłoni.

Schuhbrücke 19...

A więc to tak...

Czas naglił. Jürgen rozdzielił już jednak zadania i mógł pozwolić sobie na chwilę wytchnienia w otoczeniu starych murów.

– Panie starszy... Jeszcze jedną kawę proszę.

Müller uśmiechnął się zadowolony i rozłożył gazetę.

Gromił miał mnóstwo papierkowej roboty związanej z zatrzymaniem pracowników Wytwórni Wód Gazowanych. Materiał dowodowy był ciężki. Zatrzymani zostali wstępnie przesłuchani przez milicję, a następnie przekazani Kalamatasowi. Tu zarzuty były jeszcze poważniejsze, bo do nielegalnego posiadania broni i współudziału w porwaniu doszło jeszcze współuczestnictwo w grupie militarnej, szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa i zdrada stanu. Czapa murowana.

Zatrzymani – również ci, którzy o niczym nie mieli pojęcia – pękali jeden po drugim jak dojrzałe dynie. Sypali głównie swojego szefa i jego dwóch zastępców – Grzegorza Drewniaka i Antoniego Sztukę. Pierwszy, wielkie, żylaste chłopisko, idealnie pasował do opisu jaki podał Jan Warkot. To najprawdopodobniej on niósł go na ramieniu niczym worek kartofli. Obaj zniknęli razem z Fornalem, ale Gromił podejrzewał, że teraz siedzą w kryjówce, pilnując pociągu.

Uruchomiono wszelkie źródła i szukano też ciężarówki. Sprawdzano zarejestrowane pojazdy i ich właścicieli. Odwiedzono wszystkie zakłady samochodowe w okolicy Kowar i Karpacza, nie tylko te, znane z handlu trefnymi i mocno gorącymi pojazdami. Jankowi Warkotowi i jego żonie przydzielono dyskretną opiekę, która z racji faktu, że wywiadowcy poruszali się warszawą, była jednak widoczna.

„Może i dobrze” – myślał Gromił.

Taka demonstracja miała też walor odstrasżający. Przestępcy musieli liczyć się z tym, że milicjanci to stare wygi i do tego uzbrojone.

W południe odwiedził go w komendzie Karol Raufenberg. Gość rozglądał się nieufnie i zdawało się, że spodziewa się aresztowania.

– Niech pan siada, panie Karolu.

– Ja tylko na chwilę, panie kapitanie.

– Co pana do mnie sprowadza?

– Niepokoiłem się, a jeszcze Jadzia mi naopowiadała tyle...

– A tak, poznałem pańską siostrę.

– Mówiła mi zdecydowanie za dużo – dokończył, patrząc podejrzliwie na Gromiła.

– Przepraszam, ale obawiam się, że nie rozumiem.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że to wciąż bardzo młoda i dość łatwowierna dziewczyna? Co prawda wiele przeszła i widziała tyle, że można by tym obdzielić kilka osób, ale prosiłbym pana o szczególną ostrożność w kontaktach z Jadzią.

– Co pan ma na myśli, panie Karolu? Proszę mówić jaśniej.

– Jaśniej? Proszę uprzejmie. Wciąż mówi tylko o panu. Jest to dość, hmm, irytujące...

Gromił wybuchnął śmiechem.

– Drogi panie Karolu! Proszę się nie przejmować. Gada jak to dziewczyna. Rozumiem, spotkanie z przedstawicielem aparatu władzy. Emocje – powiedział, choć gdzieś w głębi poczuł się mile polectany, że taka piękna dziewczyna mówi ciągle o nim.

Nie miał o sobie wygórowanego zdania. Uważał się za przeciętnego mężczyznę, choć z ciekawą, ale wymagającą pracą. Oczywiście Jadwiga Raufenberg zrobiła na nim kolosalne wrażenie, ale przecież nie powie tego bratu, który zajmował się nią troskliwie od lat.

– Więc nie mam nowego powodu do zmartwień?

– Nie, szanowny panie Karolu. Daję słowo. – Gromił skrzywił się w myślach, bo sam już nie był tego taki pewien.

– Co pan zamierza zrobić w sprawie Krystiana? – Raufenberg zmienił temat.

– Prawdopodobnie wypuszczę go z aresztu.

– Nie, nie może pan tego zrobić! – niemal krzyknął Karol.

– Nie mam wyjścia. Nie postawiono mu zarzutów, współpracował z organami władzy. Wskazał wszystkie meliny grupy, powiedział, co wie. Major Kalamatas nawet nie wie, że go przetrzymywałem. Oczywiście pošlę za nim ze dwóch aniołów stróżów. Na wszelki wypadek.

– Chciał pan powiedzieć: „Na przynętę”.

– Może i tak, ale proszę pamiętać, że dopóki nie wyłapiemy ich wszystkich, nie będzie bezpieczny.

– I co, wypuści go pan? Tak po prostu?

– Tak. Jeśli ktoś się z nim skontaktuje, tym lepiej. Powie, że zatrzymaliśmy go, ale wypuściliśmy z powodu braku dowodów. Pomińmy kwestię tego gnata, który nosił ze sobą.

– Jakiego gnata?

– Broni.

– Aha. I możecie tak?

– Ja mogę. Widziało go tylko kilku moich najlepszych wywiadowców. Oni wiele w życiu widzieli i nie będą z tego powodu chodzili niewyspani ze zgrzyoty.

– Z czego? – Karol Raufenberg w momentach dużego wzburzenia tracił kontrolę nad językiem polskim i często musiał chwilę się zastanowić nad sensem tego, co słyszy.

– Ze zmartwienia. Chodzi o to, że z niejednego pieca chleb jedli, a bezpieki nienawidzą jak psa. To zresztą zjawisko znane we wszystkich państwach świata. Policja nie kocha tajnej służby ze wzajemnością. Owa niechęć jest co prawda uczuciem platonicznym, ale za to w pełni odwzajemnionym.

– Rozumiem. Znaczy, że będą za nim łązić?

– Niech się pan nie przejmuje na zapas. Nawet ich pan nie zauważy. Przy jakiegokolwiek próbie kontaktu będziemy ich mieli na widelcu.

– Na widelcu?

– Znaczą się, złapiemy ich.

– Aha.

– Będą potrzebowali pomocy, bo liczebność grupy mocno się zmniejszyła. Trójka z Kowar musi się ukrywać, nie sądzę, że Müller wyjdzie z cienia. Pośle kogoś innego. Kogoś niepozornego.

– A jak będą go chcieli sprzątnąć? – Karol świadomie użył tego słowa.

– W tym rzecz. Proszę teraz iść do domu i nie przejmować się na zapas. Jadzia w domu?

– Na dyżurze. – Karol łypnął na Gromiła podejrzliwie.

– To dobrze. Tam jest dużo ludzi, będzie bezpieczna.

– Czy coś nam grozi?

– Nie wiadomo. Oni walczą o wszystko, dlatego nie wykluczam takiej ewentualności.

– Czy pan też przydzielił nam „opiekunów”? – zapytał Karol z lekką urazą w głosie.

– To dla waszego bezpieczeństwa.

– Panie Stefanie...

– Słucham.

– Mam tylko jeden problem z tym wszystkim.

Gromił słuchał uważnie, bo wiedział, że zarówno przyjście tutaj, jak i prośba o pomoc w sprawie siostrzeńca musiała Karola Raufenberga sporo kosztować.

– Chciałbym z tej całej sprawy wyjść z honorem, ja i moja rodzina.

– Rozumiem. Nie musiał pan tego mówić.

– W takim razie bardzo panu dziękuję.

Po wyjściu Karola Gromił poczuł się bardzo, ale to bardzo zmęczony tym wszystkim. Nabral też ochoty, wbrew poprzednim deklaracjom, żeby zabrać Jadwigę Raufenberg do kina i na lody. Często tego typu objawienie pojawia się za sprawą osób trzecich. W tym przypadku sprawcą był jej własny brat. Gromił zrozumiał, że naprawdę doskwiera mu samotność i że ona, Jadzia, byłaby idealnym lekiem na tę przypadłość.

Podniósł słuchawkę telefonu. Przyjaciel odebrał po kilku sygnałach.

– Janek? Cześć, tu Stefan. Masz chwilę?

– Cześć, Stefku. O co chodzi?

– Jak się trzymasz?

– Wszystko idealnie. Sielanka, można by rzec.

– Proszę cię, uważaj na siebie i Basię. Oni nie zrezygnują.

– Ja jestem tylko skromny drukarz.

– Który zastrzelił bandziorowi matkę.

– Musisz mi o tym przypominać?

– Wybacz. Mówię tylko, jak jest.

- Masz coś jeszcze do mnie?
- Nie musisz się od razu złościć.
- To nie to. Teraz jest inaczej niż pięć lat temu.
- Tak, masz więcej do stracenia.
- Wiem. Ale tym razem nie będę stał bezczynnie. Jestem czujny.
- Dałem ci anioła stróża.
- Wyczułem to... intuicyjnie.
- Intuicja Jana Warkota, członka Bractwa Wrocławskiego, nigdy nie zawodzi.
- Żebyś wiedział. Przed porwaniem też miałem w sobie jakiś taki niepokój, ale zlekceważyłem to.
- Uważaj na siebie, Janek.
- Ty też. Nie myśl, że jesteś nietykalny.
- Pistolet mam przy sobie.
- Unikaj ciemnych bram i przejść. Noś latarkę. Mówię ci. Robi się szybciej ciemno, żarówki się przepalają...
- Dobra rada. Zapamiętam i wezmę do serca.
- No to serwus.
- Cześć, odezwę się jutro.

Gromił odłożył słuchawkę na widełki i westchnął. Miał jeszcze dzisiaj kilka ważnych spraw. Jutro zwolni Krystiana z aresztu i zacznie się prawdziwa zabawa w kotka i myszkę. Czekał jeszcze na telefonogram z Warszawy. W ważnej sprawie służbowej. Powinien rozwiązać wszystkie wątpliwości. Raz na zawsze.

Kiedy Gromił wracał z pracy do domu, było już późno. Postanowił położyć się wcześniej i wypocząć. Przez kilka kolejnych dni nie będzie miał okazji. Taki sam rozkaz wydał „swojemu” sierżantowi, Kuźniakowi. Potrzebne mu było jego wsparcie, mocne ramię i celne oko.

Szedł wolno pośród wrocławskich gruzów, aż dotarł do Szewskiej. Gdzieś tam uprzątnięto już ceglane hałdy złożone z cegieł nadających się na odzysk. W miejscu dawnego rumowiska rozciągał się teraz wielki plac, na którym wkrótce wyrosną nowe domy na ulicy Świdnickiej.

Owa przestrzeń była czymś niezwykłym w tak starym mieście, jakim był Wrocław. Gruzy uprzątnięto i wyrównano teren. Kościół Marii Magdaleny wciąż był częściowo zburzony po powojennej eksplozji, ale cegły uprzątnięto. Po prawej i lewej stronie szykowano teren pod zabudowę. Gromił zastanawiał się, czy tak jak tuż po wojnie architektom będzie chciało się odtwarzać dawne budynki. Pamiętał jeszcze, jak ich szkielety stały tu, strasząc nowych osadników.

Przypominał sobie, kiedy przyjechał do Wrocławia z Mazowsza. Obłupione przez artylerię domy wylaniały się pustymi oczodołami, spoglądając na nowe porządki w mieście. W niektórych tkwiły jeszcze niewybuchy, stanowiąc poważne zagrożenie dla

zdrowia i życia pionierów. Odarte z fasad ukazywały bezwstydnie styl życia i przyzwyczajenia przedwojennych Wrocławian. W odsłoniętych mieszkaniach widać było przedmioty codziennego użytku – lustra, szafy, bieliźniarki, gdzieś tam portrety i obrazy. Nie było do nich dostępu, bo budynki groziły zawaleniem. Nie można było tam wejść i szabrować. Każdy krok groził śmiercią.

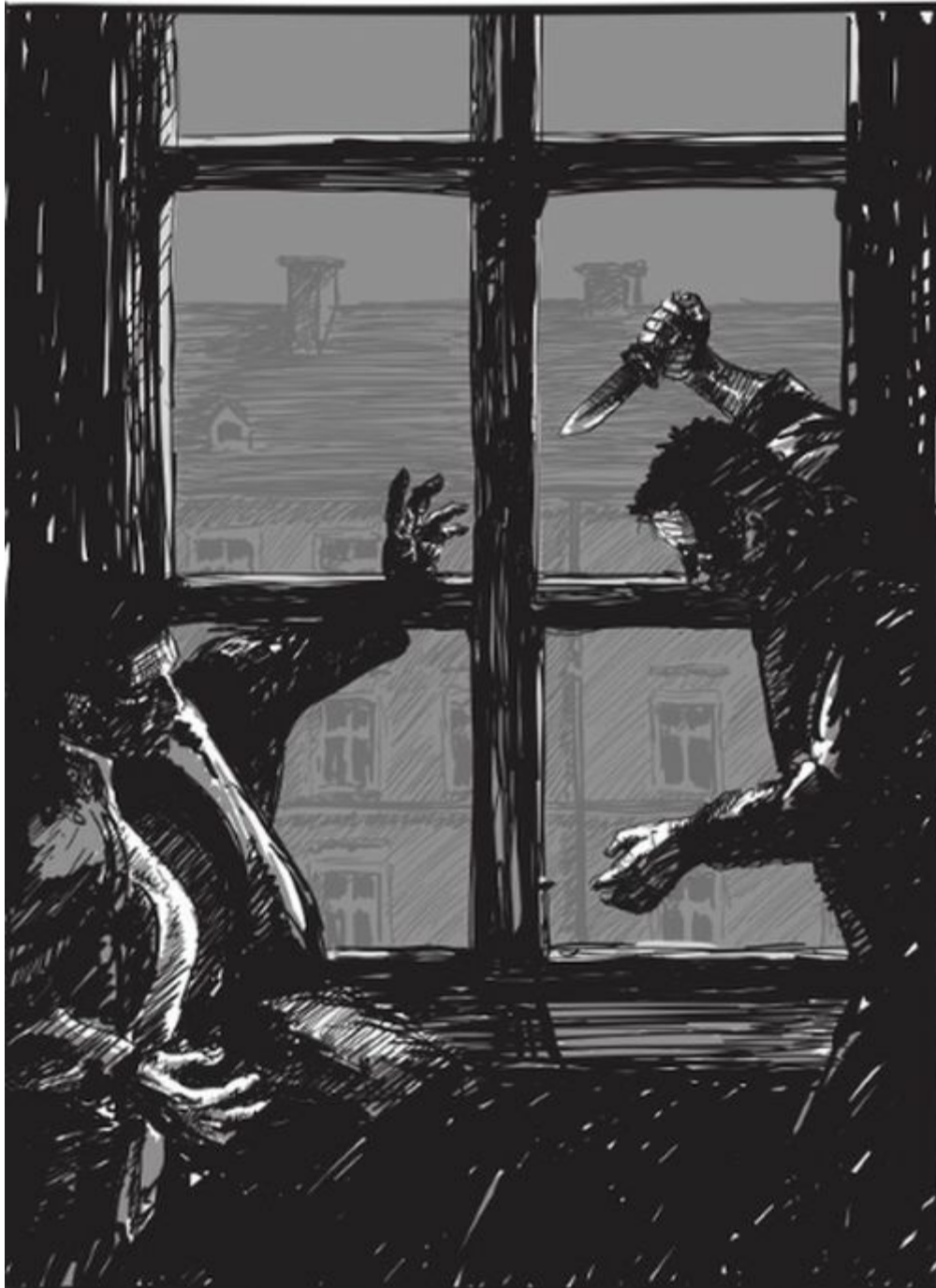
Znaleźli się jednak spryciarze, którzy dobrali się do tego dobra, ryzykując życiem. Wchodzili po zaimprovizowanych drabinach, skakali z wyłomu na wyłom, wspinali się po pokancerowanych ścianach. Gromił był zdziwiony, na jakie heroiczne czyny było stać ludzi pragnących się wzbogacić.

Przed jego domem na Szewskiej po prawej i lewej stronie panowała cisza i spokój. Spojrzał z czułością na swoją kamienicę. Nie dopadła jej ani artyleria Rosjan, ani też nadgorliwość poszukiwaczy wrocławskich cegieł. Stała tu tak od okresu sprzed pierwszej wojny, patrząc na wszystko ze zdumieniem.

Skrzypnęły metalowe drzwi i Gromił wszedł do środka. Próbował zapalić światło. Bezskutecznie. Ktoś musiał znów wykręcić żarówkę. Minął hol i nacisnął przycisk windy. Nic z tego, może wysadziło korki w całej kamienicy. Często się to zdarzało, jakby winda też chciała mieć chwilę wytchnienia. Zrezygowany minął skrzynki na listy i wolno ruszył po drewnianych schodach. Pokonał najbardziej stromy odcinek i stanął na pierwszym piętrze. Westchnął i ruszył w górę, starając się nie myśleć o tych kilku piętrach do pokonania. Nagle coś zamajaczyło przed nim. Instynktownie wyczuł jakiś ruch na półpiętrze. Firma przewozowa o tej porze była już zamknięta.

– Halo, jest tam kto? – zapytał, sięgając do kabury.

Wtedy napastnik uderzył. Skoczył na niego z góry. Gromił miał wrażenie, że ktoś wysypał na niego całą taczkę cegieł. Pistolet wypadł mu z trzaskiem, odbijając się o drewniane stopnie. Był poza zasięgiem. W świetle z dziedzińca zalśniło długie, wąskie ostrze, unosząc się groźnie ku górze.



Zareagował instynktownie. Zasłonił się i nawet nie poczuł, jak mała pamiątka z Włoch Otto Skorzenego prześlizguje się po ramieniu, bez trudu rozcinając po drodze płaszcz i marynarkę. Poczuł ciepło rozlewające się po skórze. Wszystko odbywało się w głuchej ciszy, nawet nie słyszał oddechu napastnika. Skorzystał z okazji i próbował wykręcić mu rękę z bronią.

Nie miał jednak do czynienia z amatorem. Napastnik znał japońskie ju-jitsu i wywinął się zręcznie, w odwecie zakleszczając jego ramię w bolesnym uścisku. Błyskawicznie przerzucił nóż do lewej ręki. Gromił też spędzał sporo czasu na macie i nie zamierzał się tak łatwo poddać. Zastawa zablokowała cios od dołu, który w przypadku niewinnej ofiary skończyłby się wypruciem wnętrzości.

Gromił nie dawał za wygraną. Ostatkiem sił wyzwolił prawą rękę i posłał morderczy cios łokciem na brodę napastnika. Ten jednak uchylił się w ostatniej chwili unikając nokautu.

Napastnik był dużo wyższy i masywniejszy od Gromiła. Przez chwilę mocowali się, próbując zastosować jakąś dźwignię, która unieruchomiłoby przeciwnika. Dostał kilka razy w głowę, aż mu przed oczami pociemniało. Rozbłysły gwiazdy pod czaszką. Napastnik był niczym czołg, który niewiele robi sobie z finezyjnej obrony kapitana i nacierał ze wszystkich sił. Jednak gdyby nie ta obrona, nic by go nie uratowało przed błyskawicznym powaleniem na ziemię i najpewniej niechybną śmiercią.

Gromił przeczuwał, że napastnik nie tylko chciał go zabić. Szukał tego, co tkwiło bezpiecznie zamknięte w jego szafie pancерnej w pracy. Przebłyskiem świadomości pogratulował sobie regularnych ćwiczeń. Przez chwilę on miał przewagę. Wykorzystał brutalną siłę napastnika przeciwko niemu.

DRRRT! – szwy rękawa w płaszczu Gromiła pękły z głośnym trzaskiem. Tandeta. To jednak wystarczyło.

Napastnik stracił równowagę odwrócony teraz bokiem do schodów. Gromił zapał się i napiął mięśnie. Jeszcze tylko trzeba było wysunąć stopę za stopę napastnika i pchnąć lekko, markując ruch w przeciwną stronę. Wysoki wzrost mordercy nie sprzyjał mu w tej pozycji. Runął bokiem i stoczył się po schodach, odruchowo chroniąc głowę przed urazem. Nóż wyleciał mu z rąk.

– *Donnerwetter!* – zaklął pod nosem.

Gromił tylko na to czekał. Dopadł leżącego dwa schody niżej połyskującego w świetle z dziedzińca walthera i kucając, wycelował broń w majaczącą poniżej skuloną sylwetkę. Nie zdążył.

Napastnik skoczył na równe nogi jak sprężyna. Wystrzelił niczym z procy w bok. Wtedy Gromił strzelił po raz pierwszy.

TRACH! – od wystrzału aż zadźwięczało mu w uszach.

Napastnik zniknął za drzwiami wiodącymi do holu kamienicy. Gromił skoczył za nim.

TRACH! – rozległo się ponownie.

Uciekinier wypadł jak burza przez drzwi wejściowe. Gromił ruszył za nim. Skrzywił się, bo rana na ramieniu zaczęła dawać znać o sobie. Gdzieś okno otworzyło się z trzaskiem.

– *Miliiiiicja!* – krzyknął ktoś.

Gromił był już na zewnątrz i strzelał za uciekającym mężczyzną. Raz, drugi, trzeci... Miarowo i spokojnie, tak jak nauczyli go instruktorzy na strzelnicy. Jednak emocje oraz ciepła, gęsta krew ściekająca z czoła na oczy przysłoniły mu cel.

Napastnik zniknął w listopadowej mgle, choć Gromił był pewien, że trafił go przynajmniej raz. Zachwiał się i opadł na kolana. Opuścił dłoń z bronią. Miał świadomość, że coraz więcej osób patrzy na niego z okien. Ktoś coś głośno krzyczał,

ale Gromił nic nie słyszał.

Kiedy patrol milicji wypadł z gazika, siedział bezwładnie na kolanach z dłońmi wzdłuż ciała. Kapelusz, podobnie jak nóż mordercy, został gdzieś na schodach. Jasny płaszcz był przesiąknięty krwią, a naderwany rękaw wisiał na ostatniej fastrydze niczym stara szmata.

Milicjanci podbiegli do niego i wycelowali broń. Nie wiedzieli w końcu, z kim mają do czynienia. Walther Gromiła leżał obok niczym wyrzut sumienia. Gromił podniósł zakrwawioną twarz na milicjantów, uśmiechnął się i przewrócił się na bok w niezwykle dramatycznym geście znanym z filmów gangsterskich. Krwawiące ramię opadło bezwładnie w nienaturalnej pozycji.





ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

...prawatywa i piąchopiryna...

Rannego Gromiła zawieziono na ostry dyżur na Kliniki. Lekarze i pielęgniarki zajęli się nim troskliwie, oczyszczono i opatrzono ranę od noża, a także liczne otarcia i stłuczenia. Okazało się, że ma też lekkie wstrząśnienie mózgu oraz pęknięte jedno zebro. Przez cały ten czas był w półśnie pod wpływem środków znieczulających. Widział tylko jak przez mgłę ubrane na biało postacie, które uwijały się przy nim. Słyszał, jak ktoś coś do niego mówi, ale mógł reagować, jedynie mrugając powiekami, bo znieczulenie skutecznie unieruchomiło go na łóżku.

- Zuch chłopak – mówił ktoś głosem pułkownika Horeszki. – Nie dał się zabić.
 - A tamten? – zapytała jakaś wysoka, stojąca nad nim postać. – Złapali go?
 - Gdzie tam. Prysnał.
 - Szkoda.
 - Też żałuję. Byłoby o czym porozmawiać.
 - A nasz kapitan?
 - Wylize się. Boję się tylko, że zechce od razu wstawać z łóżka.
 - Proszę mnie informować na bieżąco. Ciemność.
-
- Ciiicho. Nie budź go. Niech śpi.
 - E tam, pewnie już nie śpi. Tylko udaje.
- Gromił otworzył jedno oko i dostrzegł znajome sylwetki. Zdzisiek z żoną.
- Oooo, zbudził się nasz kowboj!
 - Zdzisiu, daj spokój. Śpi, tylko mu się oko odmyka. Odruchowo.
 - Z tobą tak zawsze. Odruchowo, odruchowo.
 - Chodź już. Nie marudź. Jak się zbudzi, to przyjdziemy.
- Ciemność.

- Ale tu do tego kawalera kolejka – powiedział schrypnięty głos.
- A coś pan myślał? Z bandytami się strzelał. Może medal dostanie.
- Odezwał się drugi głos.
- Jaki tam medal! Naganę dostanie za bezpodstawne użycie broni. Wiem coś o tym.
- Ale pan pieprzysz jak potłuczony. Naczelnik u niego był z takim drugim. Ani chybi medal.
- A ten stójkowy to niby po co przed drzwiami stoi? Tylko straszy odwiedzających.
- Panie, do pana to nikt nie przyjdzie, jak pragnę zdrowia.
- A to niby dlaczego?
- Bo stara zabrała panu dzieciaki i wyjechała do Szczecina. Powiedziała, że ze starym ubolem już nie może żyć. Ot, dlaczego. Dobrze słyszałem, kiedy pana odwiedził brat?
- Panie, panie, sobą się pan zainteresuj! Siedź pan lepiej cicho, bo zaraz przyjdzie siostra i da panu tę, no... prawatywę i piąchopirybę.
- Która godzina? – Gromił otworzył oczy i zapytał głośno i wyraźnie.
- Eee, dopiero jedenasta – odezwał się ten życzliwy. – Leż pan, jak panu dobrze.
- Ja muszę...
- O, kolejny niezastąpiony szeryf. Jeszcze sobie postrzelasz, postrzelasz sobie. Teraz leż.
- Muszę... – Gromił spuścił nogi z łóżka i próbował usiąść.
- Skończyło się to tak, że opadł z powrotem na poduszkę. Wypadła mu tylko kroplówka i zaczęła sikać po podłodze.
- Siostro! – wykrzyknął schrypnięty jako posiadacz najdonośniejszego głosu. – Siostro, do szóstki!
- Do sali wpadła pielęgniarka w starannie wykrochmalonym fartuchu.
- A co to za wycieczki? Dzieci płaczą? Wybieramy się dokądś?
- Ja muszę... Proszę zawiadomić mojego przełożonego. Był tu dzisiaj...
- O widzicie go! Taki niby nieprzytomny, a wszystko słyszał – ocenił schrypnięty głos. Gromił zauważył, że należy do faceta spod okna.
- Dobrze już, zadzwonię. Ale teraz proszę spać. Musi pan teraz wypocząć. Chce pan wyzdrowieć? To do łóżka.
- Gromił skrzywił się pod wpływem bólu. Pod zabandażowanym przedramieniem miał długą, zaszytą ranę. Nie podobał mu się protekcyjny ton pielęgniarki.
- Niech pan leży. Słaby pan jeszcze. Siostra zadzwoni – powiedział ten życzliwy. Okazał się nim pacjent spod drzwi.
- Niech pani zawoła milicjanta z korytarza – poprosił Gromił.
- To mogę zrobić od razu.
- Milicjant, który pełnił straż przed drzwiami, wszedł do środka, bogobojnie międląc czapkę w dłoniach. Podszedł do łóżka kapitana, który mu coś długo szeptał do ucha. Założył czapkę z powrotem, zasalutował i wyszedł.
- Gromił opadł bezwładnie na poduszkę, bo znów leki zaczęły działać.

Ciemność.

Kiedy się obudził, zobaczył nad sobą szmaragdowe oczy. Zatroskane oblicze Jadwigi rozpogodziło się – odwzajemnił jej uśmiech.

– Jadzia...

– Nie mów nic. Wiem wszystko. Byłam w dyżurce.

– Tak, tak. Ta panienka już raz tu była, ale pan spałeś – odezwał się ten spod okna. – Są tacy, co do nich przychodzą, nawet jak śpią.

– Jadziu.

– Nic nie mów. Jutro będziesz jak nowy. Najgorsze to wstrząśnienie mózgu. Musisz wyleżeć.

– Kiedy tam bandyci...

– Ktoś inny teraz się nimi zajmie, a zdrowie masz tylko jedno – dodała tonem profesora Wilczura.

– Będziesz mogła uczyć się na mnie do egzaminów.

Jadwiga Raufenberg zaczerwieniła się po uszy. Przebywając wiele lat w męskim towarzystwie brata i siostrzeńca, tak naprawdę nie dowiedziała się, na czym naprawdę polega męski punkt widzenia. Leżący przed nią mężczyzna nie znał chamskich zaczepek ani nie zwracał się do niej z wyższością. Jego szczerzy uśmiech i pogodny wzrok był w stanie roztopić w niej wszelkie pokłady rezerwy, jakie nagromadziła w sobie w całym młodym życiu.

– Dopiero w czerwcu. Do czerwca jeszcze szmat czasu...

– Dlatego należy gruntownie zgłębić wiedzę.

– Stefku... mój brat też tu był, ale poszedł. Masz od niego życzenia jak najrychlejszego powrotu do zdrowia.

– To bardzo miłe z jego strony. Długo tu siedzisz?

– Ja... nie...

– Cały boży dzień siedzi – rzucił schrypnięty z urazą.

– Panie, proszę nie podsłuchiwać! – zgromił ich ten spod drzwi. – Nie PODSŁU... No, dokończ se pan sam.

– Panie, panie, zachowuj się pan! Byle jak, ale się pan zachowuj. – Ten spod okna miał najwyraźniej wyrzuty sumienia.

– Znalazł się, miś z okienka!

– Tylko nie z okienka, tylko nie z okienka! – zaperzył się schrypnięty. Musiał pracować w dyżurce którejś z komend.

– Ja rozumiem, jak się cały czas gada z pijakami i złodziejaskami, to potem tak jest. I ciągiem tylko: imię, nazwisko, data urodzenia, zamieszkały, zatrudniony... Nic dziwnego, że człowiekowi odbija i to na trzy zmiany.

– A gdzieś was wszystkich mam. – Schrypnięty odwrócił się na bok i nakrył kołdrą.

Jadzia zaśmiała się i uścisnęła Gromiła za rękę. Ten skrzywił się z bólu, ale nawet nie

syknął. Codziennie mógłby przechodzić taką kurację.

– Och, przepraszam cię. Będę musiała już iść do pracy. Aha, wieczorem przyjdzie Basia z Jankiem. Może już będziesz się czuł bardziej na siłach.

– To dobrze. Uważaj na siebie – powiedział na pożegnanie Gromił i też ścisnął jej dłoń.

Kiedy poszła, pacjenci zaczęli dokazywać. Widok pary młodych ludzi, którzy czują do siebie sympatię, wzbudził w nich falę wspomnień i tęsknot.

– E, panie, ja to miałem narzeczoną... – zaczął ten spod drzwi.

– A głośno meczała? – zapytał dowcipnie schrypnięty, który nie chował już urazy i usiadł na łóżku.

– He, he. Meczwała, a to dobre...

– Nie, no nie wytrzymam. Z wami to jest orka na ugorze – odezwała się od drzwi pielęgniarka z tacą medykamentów. – Zachowywać mi się tu. Zaraz przyjdzie ordynator.

– A niech siostrzyczka postawi tę tacę i zrobi „meeee”, to się koledze zaraz polepszy – zaśmiał się ten spod drzwi.

– Panowie, panowie! Dorośli ludzie, funkcjonariusze, a żarty w głowie.

– A co pani myśli, że my to już na złom?

– Stary, a głupi – nie wytrzymała pielęgniarka. – No, grzecznie brać leki. Nie potrzeba panu czegoś, może pić się chce? – zapytała Gromiła.

– Może odrobinę wody. Dziękuję.

Po wizycie Jadwigi było mu jakoś lżej na duszy.

Basia z Jankiem wpadli po południu. Za oknami już było ciemno.

– No pięknie cię załatwił – powiedział przyjaciel na powitanie.

– Szkoda, że jego nie widziałeś – odparł Gromił. – Musiał dostać. Trafiłem go na pewno.

– Basia była u lekarza prowadzącego. Wylizesz się.

– Ale czas nagli, drogi Janku. Jakbyś nie wiedział.

– Bo nie wie. Tylko ja to wiem. – Słupecki pojawił się znikąd.

Pacjent pod oknem drgnął nerwowo.

– Sio... sio... sio...

– Niech zgadnę, basen? – zażartował Słupecki. – Proszę łać do łóżka, tak jest bardziej naturalnie, panie Staszku.

– Pan mnie zna?

– Ze słyszenia, ale mam wrażenie, że poznamy się wkrótce lepiej. – Zabrzmiało to jak groźba, więc pan Staszek spod okna skulił się tylko i nakrył kołdrą po czubek głowy.

– Co pana napadło, panie Leonie?

– A bo jestem zdenerwowany tym wszystkim. Znowu kogoś z was nie upilnowałem. Tak więc, drogi Janku, termin główny to dwudziestego czwartego listopada. Gdzieś tak

w godzinach porannych.

– Skąd pan wie? – Gromił prawie poderwał się z łóżka.

– Wie się to i owo.

– Czy ktoś mi może spokojnie wyjaśnić, o co chodzi? Wszyscy wszystko wiedzą, tylko ja ciemny jak tabaka w rogu – zdenerwował się Janek.

– Bardzo proszę bez kaszubskich wątków. Na to przyjdzie jeszcze czas – rzucił Słupecki.

Był zły jak osa. Najwyraźniej na siebie, choć dawał to odczuć wszystkim przyjacielom. Tylko do Basi miał słabość, więc ją jedyną oszczędzał.

– Jak tam Basieńko, trzymasz się? – zapytał pokutnik.

– Jakoś się trzymam. – Uśmiechnęła się blado. – Ale najpierw Janek, a teraz Stefek...

– Nie takie rzeczy przetrzymaliśmy, wespół w zespół, że tak powiem.

– O weterani się znaleźli... – rzucił szyderczo schrypnięty.

– Przecież pan to zna: „Nie PODSŁU...”. Dokończy sobie pan sam, co? – Słupecki był o krok od zapłonu.

– Właśnie, pan miś z okienka niech nie gada, jak nic nie wie. – Gromiłowi najwyraźniej zrobiło się lepiej.

– Tylko nie z okienka, tylko nie z okienka! – zaperzył się schrypnięty.

– Wesoło tu macie... – Komentarz Basi był mocno wyważony.

Pożartowali jeszcze trochę, co najwyraźniej pomagało Stefanowi w rekonwalescencji. Nie mogli jednak wchodzić w szczegóły w sali szpitalnej. Słupecki powiedział Warkotom, że po wyjściu im wszystko wyjaśni.

Najpierw, cienkie, chirurgiczne szczypce kilkakrotnie zjechały z powierzchni kuli tkwiącej w ramieniu Müllera. Ranny syknął z bólu, ale zacisnął zęby, gdy w końcu lekarzowi udało się zacisnąć je mocno na pocisku. Jeszcze tylko jedno szarpnięcie i udało się ją wyciągnąć. Lekarz był sprawdzonym człowiekiem. Nie zadawał zbędnych pytań, bo w końcu lepiej było milczeć w pewnych sprawach.

Zdeformowana kula wpadła z trzaskiem do emaliowanej nerki. Szczypce wylądowały w naczyniu ze spirytusem. Lekarz starannie oczyścił ranę, co wywołało kolejną falę bólu u pacjenta.

– Dość tego! – warknął i bynajmniej nie mówił o zabiegu chirurgicznym, który jakoś przetrzymał. Zaboląła go własna nieskuteczność oraz utrata cennej pamiętki, która jak dotąd nigdy go nie zawiodła.

Wyjrzał przez okno. Na wrocławskiej jesiennej ulicy widać było tylko kilku spóźnionych przechodniów. Był wtorek 12 listopada. Dzisiaj powinien dostać wyczekiwaną wiadomość, a najpóźniej do piątku musiał mieć dostęp do klucza. Czas naglił. Odepchnął ze złością lekarza i podniósł słuchawkę telefonu.

Zgodę na wejście do gabinetu kapitana Stefana Gromiła Kalamatas dostał niemal automatycznie. Przedstawił ją na piśmie pułkownikowi Jackowi Horeszce, który

spochmurniał, ale nie mógł nic innego w tej sprawie zrobić. Co więcej, w piśmie nakazywano mu udostępnienie duplikatów kluczy do kasy pancерnej podwładnego. Mógł jedynie uczestniczyć w tej parodii przeszukania jako bezstronny obserwator. Szukał Socha z takim jednym o paciorkowatych ślepkach. Oficjalnie chodziło o zabezpieczenie dowodów w sprawie podczas choroby kapitana Gromiła. Horeszko domyślał się jednak, czego szukają i skrzywił się na wspomnienie wiadomości od Stefka, który przewidział całą sytuację.

– Dokładniej. Sprawdzaj dokładniej – sierżant Socha instruował podkomendnego.

Sam zajął się szufladami w biurku. Był doświadczonym śledczym i wiedział, że często chowało się coś na widoku, żeby to ukryć. Nie wiedział tylko, że pomysł ten spopularyzował Edgar Allan Poe w jednym ze swych opowiadań. Oględziny szafy pancерnej nie przyniosły rezultatów. W szufladzie też nie znalazł niczego ciekawego. Jego uwagę przykuł wielofunkcyjny, metalowy otwieracz do konserw i butelek w ebonitowym pojemniku.

To był strzał w dziesiątkę.

Pułkownik Horeszko skrzywił się paskudnie, bo zamiast schować klucz u siebie w gabinecie przełożony kapitana Gromiła wsadził go w jedną z przegródek mechanicznego cacka za radą samego Stefana. Ale wtedy to już byłoby ukrywanie dowodów rzeczowych i jako wysoki rangą funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej nie mógł pozwolić sobie na taką drakę. W razie odkrycia ryzykowałaby wszystkim.

– A więc jednak coś jest – uśmiechnął się triumfalnie Socha. – Brak poszanowania dla dowodów rzeczowych.

– Pewnie był roztargniony i zapomniał o tym – powiedział Horeszko.

– Kapitan Gromił nie robił na mnie wrażenia osoby roztargnionej.

– Ja go znam dłużej niż pan sierżant. A w ogóle skąd wiadomo, że to dowód rzeczowy? Nawet karteczki nie ma...

– No właśnie, nie ma. Niby co, odczepiła się? Oj, niedobrze, niedobrze, obywatelu pułkowniku. Ładne macie tu porządki.

– Niech pan sobie swoje komentarze... zachowa dla siebie. – Horeszko był zirytowany całą sytuacją oraz obcesowym zachowaniem sierżanta kontrwywiadu. – Skończyliście już? W takim razie żegnam...

Socha z tym drugim wyszli z gabinetu kapitana Gromiła i uśmiechając się złośliwie, ruszyli korytarzem do siebie.

„Przechytrył mnie ten oficerek – myślał Socha. – To się już nigdy więcej nie zdarzy”.

– Stefanku, nawet nie wiesz, jak mi przykro, ale miałem związane ręce – powiedział pułkownik Horeszko, kiedy wieczorem odwiedził podopiecznego.

Rozmowa toczyła się na korytarzu z uwagi na obecność innych pacjentów w sali chorych.

– Niech się pan nie przejmuj. To było nieuniknione. Ale cała sprawa potwierdza tylko moją tezę. Po pierwsze, Kalamatas nie mógł wiedzieć o trzecim kluczu, bo Socha niczego nie podejrzewał tam, przy skrytce w Ścięgnach. Żyłby w błogiej nieświadomości, gdyby Müller nie powiedział mu o jego istnieniu. Teraz jestem pewien, że są w zмовie. Müller potrzebował tego klucza, bo bez niego cała akcja spali na panewce. Co z tego, że miał dwa? Bez trzeciego nie mógł dostać się do całego skarbcza, pomimo że schował gdzieś tę cholerną ciuchcię. Ktoś od nich, kto dostarczył mu informacji, mógł nie wiedzieć, gdzie jest druga skrytka, bo informacja tak jak klucze musiała być rozdzielona. Müller w ogóle nie widział o istnieniu trzeciego klucza czyli musiał dopiero otworzyć skrytkę z dwóch pierwszych, żeby zobaczyć wewnętrzne drzwiczki. Tym samym musiał dostać od Kalamatasa dwa pierwsze. Tylko czy Socha w tym uczestniczy, czy też jest tylko jego tępym narzędziem? Tego nie wiem. Stawiam jednak dolary przeciwko orzechom, że Kalamatas robi z niego kozła ofiarnego, czyli że sierżancina nie ma pojęcia o niczym. To dość oślizgła jednostka, ale w tym względzie jest niewinny. W jego mniemaniu dalej tropi bandę Werwolfu i szpiegów, którzy chcą położyć łapę na dobru społecznym. Tylko w jaki sposób spiknęło się tych dwóch? Mówię o Müllerze i Kalamatasie. Pomijam motyw merkantylny. To jest dopiero na drugim planie, przynajmniej dla Müllera. Kalamatas prowadzi bardzo niebezpieczną grę, bo jego wspólnik ma ustaloną reputację, a on jednak ryzykuje o wiele więcej. Zdrada stanu, takie tam.

– W głowie mi się to nie mieści... – Pułkownik Horeszko nie mógł wyjść z osłupienia.

– Jest jeszcze coś.

– Mów.

– Zastanawia mnie, co ich łączy. Przecież Müller nie mógł ot tak sobie zadzwonić do majora kontrwywiadu i złożyć mu propozycję. Gdzieś w przeszłości musi być jakiś styk, jakieś wydarzenie, które ich połączyło, doprowadziło do spotkania.

– Postaram się poszperać w aktach – zadeklarował pułkownik – albo jeszcze lepiej, skieruję tam mojego człowieka. Niezwykle biegły w tych sprawach. Potrafi znaleźć najdrobniejszy szczegół w tych zakurzonych papierzyskach – dokończył z niejaką ulgą, bo perspektywa przesiadywania w klaustrofobicznych pomieszczeniach archiwum wywoływała u niego początki rozstroju nerwowego.

– Proszę już iść, panie pułkowniku. Nic mi nie będzie. Lekarz mówił, że może mnie jutro wypuścić.

– Nie kłamiesz aby, Stefanku?

– Gdzieżbym śmiał – odparł Gromił z udawanym oburzeniem.

Pułkownik uściśnął lewą rękę kapitana i wyszedł z budynku kliniki.

Słupecki, pozostając całkowicie niewidzialnym, przeniknął do gabinetu majora kontrwywiadu. Socha właśnie meldował o postępach prac.

– No i patrzę sobie, a tu na biurku, na widoku leży sobie ten kluczyk...
– Świetnie się spisałeś.
– Ale jak pan major na to wpadł? Skąd pan wiedział, że tam jest ten trzeci klucz?
– Prosta logika, mój drogi Socho. Skoro morderca napadł na tego milicjanta, musiał czegoś od niego chcieć. Przecież nie ryzykowałby wpadki dla jakiejś błażej zemsty. Tu nie Sycylia.

– No ale, że konkretnie szukał klucza?
– Powiedzmy, że miałem anonimową informację, dobrze? – Kalamatasa zaczęła irytować dociekliwość podwładnego.

– Tak jest! – Sierżant wypiął się służbiście i trzasnął obcasami.

„Skąd oni mają ten przedwojenny sznyt?” – zastanawiał się Kalamatas.

Była to tylko marna imitacja, cień dawnych wzorców zachowań, który jednak jakimś cudem przetrwał wojnę, okupację, manifest 22 lipca, kolektywizację oraz okres kultu jednostki. Nawet oficerki były już nie takie jak kiedyś. Częste trzaskanie obcasami mogło skończyć się wyłącznie oderwaniem zelówki.

– Dobrze już, znikaj. Raport chcę widzieć na biurku jutro rano. Idź teraz, odpocznij. Zasużyłeś.

Kiedy Socha zniknął, major Kalamatas położył klucz na blacie biurka. Ten trzeci był podobny do pierwszych dwóch, które teraz już były w posiadaniu brata. Ktoś, kto skonstruował ten zamek, doskonale znał naturę ludzką i proste lustrzane odwzorowanie mu nie wystarczyło. W końcu ktoś mógł wpaść na to, że mogą być takie same i różnić się tylko wygięciem klucza w poziomie. Trzeci był jeszcze inny – zakończony kulką. W życiu było nieco inaczej. Major przejechał dłonią po krótkiej, siwej czuprynie i podniósł słuchawkę telefonu. Słupecki schowany bezpiecznie za jego plecami bacznie obserwował wykręcany numer.

Müller odłożył słuchawkę na widełki. Skrzywił się z bólu, bo rana rwała go niemiłosiernie. Był jednak zadowolony. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Mogli przystąpić do jego realizacji. Mieli jeszcze dwa tygodnie. Wszystko musiało zagrać jak w szwajcarskim zegarku. Teraz największym problemem pozostała koordynacja. Można było przystąpić do operacji *Nibelungenlied*.

Kapusta zjawił się już sam w szpitalu, żeby odwiedzić przyjaciela. Tryskał energią i radością, bo przytrafiło mu się coś, czego by się w życiu nie spodziewał. Otóż Rada Zakładowa przyznała mu bilet na mecz marzeń. Otrzymał oficjalny bilet i przepustkę na mecz polskiej reprezentacji z Sowietami w Lipsku. Nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu, bo oto w gronie nielicznych szczęśliwców będzie mógł podziwiać Cieślika i innych na stadionie. Z Wrocławia jechały tylko dwa autobusy. Jeden pełen oficjeli i sekretarzy oraz drugi z robotnikami i funkcjonariuszami po cywilnemu. Znalazł się w elitarnym gronie.

– Jadę! – krzyknął triumfalnie. – Jadę na mecz!

– O cię, Florek – powiedział schrypnięty. – Jakiś to człowieku zrobił? Jesteś pan na liście? U nas było losowanie.

Gromił zerknął na Kapustę z ukosa.

– Panie Zdziśku, widzę, że humor panu dopisuje. Szkoda, że nie mogę pana wyściskać.

Kapusta zignorował uszczypliwość w głosie przyjaciela. Był w takim uniesieniu, że nawet gdyby kazano mu wracać do pracy na kolejną zmianę, nie miałby nic przeciwko temu. Nic nie było mu w stanie zepsuć dobrego nastroju.

– No cud, prawdziwy cud! – cieszył się. – Jeszcze mówiliśmy wczoraj z Bronkiem, że nie ma szans, żeby ktoś z nas pojechał, a tu proszę.

– Mówiąc szczerze, znam jedną osobę, pan też ją zna, która robi takie cuda.

– Myśli pan? – zapytał Kapusta.

– Kto, kto robi takie cuda? Dawać mi go tu w te pędy! – krzyknął rozentuzjasmowany schrypnięty.

– Phi, pan to i tak nie mógłby pojechać. Z pana pikawą? Pogotowie zabrałoby pana jeszcze przed granicą – dokończył złowieszczco ten spod drzwi.

– Coś pan, panie, coś pan – zaperzył się schrypnięty. – Zdrowy jestem jak byk, sam ordynator mówił.

– Mówił, mówił, bo łóżka potrzebuje – rzucił szyderczo.

– Dałbym panu do wiwatu, gdybym był zdrowy...

– Te, miś z okienka, nie napinaj się pan, bo żyłka panu pęknie!

– Tylko nie z okienka, nie z okienka!

– Widzi pan, panie Zdziśku, tu jest tak cały dzień – poskarżył się Gromił.

– No i jak się czujesz, Stefanku? – zapytał Kapusta.

– Już lepiej, głowa mi nie leci na boki.

– No to cię wypuszczą...

– Sam pójdę. Jutro.

Gromił nie wtajemniczał Kapusty w swoje sprawy, o ile nie dotyczyły wspólnego przyjaciela Warkota, ale majster widział po jego minie, że sytuacja jest poważna.

– Jak sobie chcesz – rzucił Zdzisiek – wiem z doświadczenia, że lepiej się wyleżeć, bo potem może być gorzej.

– Kiedy ja tu sobie będę leżeć, ten zbir wywiezie wszystko z kraju i zniknie nam z oczu. Napadł na Janka, zapomniał pan?

– Nie, nie zapomniałem. – Kapusta przybrał zacięty wyraz twarzy. – Gdybym tylko dostał go w swoje ręce... – Zacisnął pięści.

– To bardzo niebezpieczny przeciwnik. Zatwardziały w boju. Bije się jak ulicznik i jest silny jak koń. Cudem mi tego szpikulca nie wsadził, gdzie nie trzeba...

– Jakbym się zawziął, i tak nie dałby mi rady.

– Ja to znam. Jestem taki sam – wtrącił się schrypnięty.

– Ludzie, czy tu już w ogóle nikt nie szanuje prywatnej rozmowy? – Gromił był wściekły.

– Szanować, to może szanuje, ale żeby od razu miał być cicho? Ja za taki mecz to bym się dał poszatkować i podać na dziko. To sport! Emocje, rywalizacja, fair play...

– Tylko bez agitacji, proszę – nie wytrzymał ten spod drzwi.

– A czy ja pana zmuszam? No? Zmuszam pana? Nie chcesz pan, to się nie interesuj. Na ryby se pan pojedź. Ogródek skop czy ja wiem jeszcze co... Znaczki pan zbierasz?

– Jezu, nie wiedziałem, że taki tu młyn – szepnął Kapusta do Gromiła.

– Jak Cieślik przyłoży Jaszynowi, to nie będzie co zbierać! – zawyrokował schrypnięty.

– A teraz drogie dzieci pocałujcie misia w dupę! – poirytowany pacjent spod drzwi najwyraźniej domyślał się, jak się skończy dobranocka, wyraził więc swoje zdanie i nakrył się kołdrą.

Gromił pożegnał Kapustę i pomyślał, że to może rzeczywiście zrządzenie losu, choć był więcej niż pewien, że pocziwy pan majster nie będzie mógł oglądać meczu na żywo.





ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY ...karty na stół...

Słupecki już na niego czekał. Nie musiał nawet specjalnie wysilać swojej ekto plazmy, bo wieloletnie doświadczenie podpowiedziało mu właściwe rozwiązanie. Do tego Gromił przekazał mu, że Krystiana wypuszczono z aresztu nad ranem, 12 listopada. Młodzieniec rozglądał się nerwowo, kiedy ciężkie, metalowe drzwi aresztu na ulicy Sądowej zatrzasnęły się za nim, wydając z siebie złowróżbny, ostateczny w swej wymowie huk niczym wieko sarkofagu grobowca Raufenbergów.

Problem Krystiana polegał na tym, że chciał dorównać całym pokoleniom przodków i dokonać w życiu czegoś wielkiego. Aresztowanie i rozmowa z dziwnym milicjantem zniweczyły te plany, ale czuł się teraz o wiele lepiej, kiedy w celi zrozumiał to i owo. Jego rodzina, z pozoru nudna i zwyczajna, stanowiła jedyną opokę w życiu. Wiedział, że Müller nie zufa mu tak jak dawniej i najprawdopodobniej będzie próbował go sprzątnąć, kiedy będzie po wszystkim.

Wzdrygnął się na samą myśl. Strząsnął jednak z siebie resztki strachu. Najwyższy czas, żeby przestał się bać. Niedojrzałość emocjonalna piętnowała wszelkie życiowe przedsięwzięcia, które jedno po drugim, kończyły się porażką.

Nie miał złudzeń. Stopień wojskowy otrzymał siłą rozpędu ze względu na nazwisko i utytułowanych przodków w mundurach. Ale nie zdążył sobie powojować, bo weszli Ruscy i pomimo zaawansowania technologicznego najwspanialszej z armii Europy dali im niezłego łupnia. Krystian podejrzewał, że to kwestia masy wojska, która ruszyła linią frontu.

Postanowił zrobić coś, czego się po nim spodziewano. Kiedy odnalazł go Müller i nakazał wykonanie rozkazu, ucieszył się. Drobne kolizje z prawem, handel walutą i włamania nie licowały z nazwiskiem, które nosił. Jak spadać, to z wysokiego konia. Nie, nie był narodowym socjalistą, wiernym sprawie i oddanym szczytnym germańskim ideałom. Wojna wciągnęła go niczym niebezpieczna młockarnia i wypluła

zgorzkniałego młodego człowieka.

Dlatego był zachwycony, gdy znów poczuł przyływ energii, kiedy adrenalina znów zaczęła krążyć mu w żyłach. Snuł dalekosiężne plany i wiązał nadzieje z grupą Müllera, choć po jakimś czasie łuski z oczu zaczęły opadać. Müller traktował podwładnych niczym pańszczyźnianych chłopów. Był panem ich życia i śmierci, a każde polecenie należało wypełniać bez szemrania. Inaczej dostawali czapę. Nie zamierzał skończyć jak oni.

Do tego ów dziwny milicjant, o którym jego stryj wyrażał się w samych superlatywach, miał na niego wystarczającą liczbę dowodów, żeby zamknąć go na wiele lat w jednym z budynków z ciężkimi drzwiami. Wiele słyszał o więzieniu – autochton z obco brzmiącym nazwiskiem nie miałby tam łatwego życia. Gromił jednak dał mu szansę, wyciągnął do niego rękę. Krystian postanowił skorzystać z tego. Dlatego też przyjął jego propozycję.

Wiedział, że będzie miał ogon, ale teraz nie dostrzegł nikogo wokół siebie. Wrocławianie przemykali w ciemny, listopadowy poranek, spiesząc do pracy i kuląc się przed dojmującym wietrzyskiem.

Ruszył w stronę przystanku tramwajowego, podnosząc kołnierz kurtki przed wiatrem. Nasunął czapkę na oczy, ograniczając znacznie pole widzenia. Musiał pojechać do mieszkania stryja za Odrą, bo w jego pokoiku pewnie mieszkał już ktoś inny. Albo czekał na niego Müller.

Stojąc na przystanku, obserwował, jak przybywa na nim ludzi. Obwieszane pasażerami tramwaje z trudem zabierały wszystkich chętnych i to cud, że nie dochodziło do wykolejenia. On jednak miał pojechać w przeciwnym kierunku. Trzecia zmiana jeszcze nie wyszła z pracy, więc wozy jadące z przemysłowych dzielnic miasta kursowały niemal puste. Na przystanku w drugą stronę zgromadził się już tłum, ludzie wyciągali szyje i tupali z zimna.

Nadjechała zerówka. Ulica napiętnowała tramwaj numer 0 różnymi niepochlebnymi epitetami. Mówiono, że to niezła zdzira, bo kursuje po wszystkich dworcach miasta. Była to linia tak zwana „okólna”, czyli niemająca konkretnej pętli na końcu trasy. Jedne kursowały w lewo, drugie w prawo. Na przystanku w kierunku południowym tłum szykował się do szturmowania nadjeżdżającego tramwaju. Dalej pasażerowie przesiadali się przy Dworcu Głównym albo przystanek wcześniej.

Po chwili nadjechał jego tramwaj. Wsiadł, kupił bilet i usiadł bez przeszkód na ławce z drewnianych szczebelków. Ktoś zasunął duże drzwi. Ponieważ nikt nie wisiał na poręczach, można było odizolować się od jesiennego chłodu. Wóz ruszył ze zgrzytem kół jakby nieco zadziwiony, że jest mu tak lekko.

„Poczekaj, aż będziesz wracać” – pomyślał Krystian.

Kiedy stanął na kolejnym przystanku przy lwiej fontannie, Krystian spojrzał w lewo. Tu kończyła się granica cywilizacji bez względu na to, co mówiła oficjalna propaganda na ten temat. Niegdyś piękna, nowoczesna dzielnica zachodnia wciąż tyle lat po wojnie

była w oplakanyim stanie. Za oknem piętrzył się labirynt z gruzów ciągnący się po horyzont z nielicznymi budynkami, które uszły przed kanonadą. Stały teraz niczym szubienice na rozstajach dróg, strasząc pustymi oczodołami okien.

Zgrzytnęło, tramwaj ruszył za Odrę. Słupecki wpatrywał się w Krystiana jak harpia. Nie spuszczał go z oka i bacznie spoglądał na tych, którzy siedzieli obok. Nie zauważył niczego podejrzanego. Może ludzie Müllera nie wiedzieli jeszcze, że odnalazła się ich zguba. Pokutnik nie dawał Krystianowi większych szans, jeśli się dowiedzą. Wyłaniająca się po prawej stronie kostnica szpitala, tuż przed mostem, ozdobiona secesyjnymi insygniami śmierci była niczym memento i choć Słupecki był już po drugiej stronie, wzdrygnął się odruchowo. Nad Wrocławiem powoli zaczęło się robić jasno. Wstawał dzień.

Gromił ubrał się pospiesznie i wstąpił tylko na chwilę do dyżurki lekarskiej, żeby podpisać dokument o wypisie na własną prośbę. Lekarz kręcił głową i marudził coś o niezastąpionych, którzy mają własną kwaterę na każdym cmentarzu, ale nie mógł się sprzeciwić. Gromił czuł się w sumie dobrze, jeśli nie liczyć ucisku w piersi pod bandażem oraz szarpiącej rany na przedramieniu. Umówił się na zdjęcie szwów za dwa tygodnie.

„Nie wiadomo, co będzie za dwa tygodnie – pomyślał. – Dwa tygodnie to szmat czasu, choć pewnie Müller uważa inaczej”.

Przed budynkiem szpitala czekał na niego sierżant Kuźniak w służbowym gaziku. Nawet uśmiechnął się do kapitana, co w jego przypadku było niezwykłym aktem czułości i przywiązania.

– Sprawdziłeś? – zapytał Gromił, wsiadając do auta.

– Sprawdziłem, obywatelu kapitanie. To on wydaje pozwolenia i jest odpowiedzialny za cały wyjazd z Dolnego Śląska.

– A autobusy?

– Mają swoje. Stoją na naszym parkingu. Nowiuśkie i pachnące farbą.

– Teraz na pewno będą je sprawdzać. Wezmą na resortowy warsztat.

– Obywatelu kapitanie, co się właściwie dzieje? Jestem tylko prostym milicjantem, ale chciałbym wiedzieć, bo nie wiem, czego mam się spodziewać.

– Bo widzisz, jest tak. Podobnie jak w znanej ci sprawie konsula Sabieja sprzed lat, mamy do czynienia z nadużyciem władzy dla osiągnięcia własnych celów.

– To kto nadużywa władzy? Smutni? Nieprawdopodobne! Do czego to doszło, żeby oni...

– Socha niczego się nie spodziewa. Podejrzewam, że to Kalamatas wszystkim kieruje.

– Major? O rany! Ale będzie dym.

– No właśnie. Dlatego teraz wiesz o tym ty i pułkownik Horeszko. I nikt więcej. Musimy działać bardzo ostrożnie, bo jak nam nie wyjdzie, będziemy pietruszkę

sprzedawać.

– Nie lubię pietruszki.

– No właśnie.

Perspektywa przymusowej zmiany profesji była tak przerażająca, że sierżant Kuźniak mało nie przejechał spóźnionego przechodnia na pasach.

– Trzeba było włączyć syrenę, toby się pieszy nie pieklił – zauważył uszczypliwie Gromił.

– Obywatelu kapitanie, melduję, że tylko na chwilę mnie zatkało.

– Nieważne. Krystiana wypuścili?

– Zgodnie z rozkazem.

– Posłałeś któregoś z chłopaków za nim?

– Nawet dwóch i jedną dziewczynę.

– Nowa?

– Tak, chce być oficerem. Koniec świata.

– To lepsze niż żeby na traktorze jeździła – uśmiechnął się Gromił.

– Ale kobita? W służbie?

– Ty, Kuźniak, jesteś w gruncie konserwatywny sanacyjny glina. Chciałbyś, żeby dzieci bawiła w domu? Obiadki mężowi gotowała?

– Pewnie. Od tej emancypacji to jeszcze będzie niezła awantura, obywatel kapitan wspomni moje słowa.

– Nowa poradzi sobie, zobaczysz.

– Tak? A jak będzie musiała się bić z jakimś zbirem, to co, obywatel kapitan myśli, że dwumetrowy BANDYTNIK powie: „Całuję rączki proszę szanownej pani, proszę mnie skuć?”.

– Przejaskrawiasz.

– Widział obywatel kapitan tę Zośkę ze stołówki? Sto kilo żywej wagi. Taka to by się nadała do służby. Żaden bandyta nie miałby najmniejszych szans. A ta nasza Kasia to maleństwo. Chucherko, choć gładkie. Co innego w drogówce. Ruchem może kierować, nawet to ładnie wygląda. Taka panna w białych rękawiczkach. Może być w centrali, meldunki zbierać z miasta...

– Ja cię rozumiem. Sam bym takiej za żonę nie chciał. Jeden ryzykant w rodzinie to aż nadto.

– Za żonę, dobre sobie. – Kuźniak najwyraźniej się ośmielił po kontuzji Gromiła.

– Co, coś nie tak?

– Nie, ja tylko...

– No to patrz na drogę i nie mędrkuj. – Gromił przywołał podwładnego do porządku.

– Nie ma co gadać po próżnicy, zobaczymy, jak się sprawdzi.

Gromił pomyślał, że jeszcze jedna osoba pilnuje Krystiana. I że przy niej nic mu złego nie grozi.

Zza pozbawionych liści drzew wyłonił się budynek na Podwału. Gazik skręcił

zręcznie i z piskiem opon zaparkował przy nowiutkich autobusach, które miały zawieźć kibiców do Lipska.

Okolice Dworca Głównego również miały swoje ruiny. Choć zachowało się tu wiele wysokich budynków, wokół straszły dziury w ziemi. Sam dworzec niewiele ucierpiał – była to perła architektury połowy dziewiętnastego wieku i nawet teraz zachwycała rozmachem i odważną wizją architekta. Wieżyczki, krużganki i neogotyckie łuki świadczyły o znaczeniu miasta, które dzięki tej budowli otworzyło się na cały świat. Gdzieniedzie powstały parterowe budynki handlowe będące jedynie cieniem stojących tu dawniej kamienic na reprezentacyjnej ulicy Wrocławia. Tego, czego nie dało się rozebrać na cegły, przejęły instytucje i przedsiębiorstwa państwowe. Ulica przejęła nazwę generała, o którym legenda głosiła, że „kulom się nie kłaniał”.

Tego dnia nad Wrocławiem zaświeciło słońce. Miało kilkunastodniową przerwę i teraz pojawiło się wypoczęte i pogodne, choć przytargało natomiast ze sobą mroźne, rześkie powietrze. Do hali wrocławskiego dworca wpadało przez duże, neogotyckie okna silnymi snopami światła, jakby chciało przypomnieć podróżnym o swojej obecności. Tudorskie tralki wykonane w połowie ubiegłego stulecia z gotowych elementów ożyły na nowo. To nic, że gdzieniedzie pokryto je farbą olejną, żeby zamaskować ich wiek. I tak wyglądały wspaniale, tworząc niezwykłą architektoniczną rzeźbę. Balkony i krużganki zdawały się czekać na jakiegoś współczesnego trubadura, który wyśpiewywałby swoje uczucia wybrance czeszącej długie włosy w oknie jednej z wieżyczek.

Całość wpisywała się w modną wówczas architekturę powieści gotyckiej. W tych wnętrzach można było bez problemu wystawić adaptację powieści *Zamczysko w Otranto* czy *Mnicha*. Jedynie obecność pociągów psułaby to wrażenie. Tak jak bar dworcowy sprzedający w litrowych kuflach karmelowe piwo, które szybko zdobyło szerokie grono wielbicieli.

Właśnie koło baru początkująca reporterka Radia Wrocław zaczęła się na swoje ofiary. Najważniejszym wydarzeniem, którym żyła cała Polska był zbliżający się wielkimi krokami mecz piłkarzy w Lipsku. Kibice mieli wielkie nadzieje po wygranej na chorzowskim stadionie. Sonda przeprowadzana przez dziennikarkę miała uchwycić entuzjizm, który towarzyszył temu spotkaniu. Byleby nie za bardzo, bo to przecież nie uchodzi cieszyć się na myśl spuszczenia tęgiego łomotu bratniemu socjalistycznemu państwu.

– Dzień dobry panu. Kibicuje pan naszym chłopcom? Jaki będzie wynik?

Dziennikarka niczym jastrząb gołębiarz bez pardonu spadła na kark korpulentnego jegomościa, który wychodził właśnie z peronów pod zegarem. Kapelusz miał zsunięty na tył głowy, płaszcz dość wymięty, a wzrok – dziki.

– To się jeszcze okaże, czy dobry – rzucił na bezdechu. – A kiedy to ten mecz? Dzisiaj?

– Nie, w niedzielę za dwa tygodnie.

– To czemu pani pyta dzisiaj? Ja ze Środy Śląskiej, ja nic nie wiem – wyrzucił z siebie i pognał dalej.

Dziennikarka nie dawała za wygraną.

– Dzień dobry. Kibicujemy?

Tym razem ofiara szła wolniejszym krokiem. Był to na oko trzydziestoletni mężczyzna w płaszczu i grubym wełnianym szaliku.

– A kibicujemy. Nasi chłopcy dokopią Ruskim. To jak w banku. Korynt musi tylko okiwać Striełkowa i wypuścić w uliczkę Gerarda, a on już puści taką gałę, że Jaszyn będzie bezradny. – Dźwiękowiec zareagował błyskawicznie. Na antenie dało się słyszeć głośne trzaski.

– Może zaczniemy jeszcze raz, tylko bez „Ruskich”, jeśli można. Nie wiem, niech pan mówi: „Rosjanie”.

– E, pani, Ruski to Ruski, każdy wie.

– To się później wytnie...

– Lecimy na żywo – rzucił ponuro dźwiękowiec.

– Przepraszamy państwa za usterki techniczne... – Kobieta miała zadatki na dobrą i posłuszną dziennikarkę.

– Nie ma co de-li-be-rować. Dwa do jednego. Tak typuję. Ja i koledzy.

– Czyli awansujemy?

– Mooowa! Musowo. Chyba że ich tam po meczu zgarną.

Dziennikarka zakryła mikrofon błyskawicznym ruchem dłoni.

– Jak to zgarną? Kibice?

– Nie, smutni. Wygrają, to będą musieli beknąć swoje.

– Jak to beknąć? – Młoda dziennikarka była wyraźnie w kropce. Przeciągnęła dłonią po szyi, dając znak dźwiękowcowi, że czas na kolejne usterki techniczne.

– No przecież nie dadzą im przejść dalej. Nie lzja.

– Proszę pana!

– Ten pan dobrze mówi. – Zainteresował się jakiś przechodzień. – Nie uznają bramki. A jak nie będzie wyjścia, to ich ciupasem do granicy i szlus.

– Jak to szlus?

– Co pani, dziecko? Nasz Gerard już im raz pokazał gest Cieślika, więc będą faulować, psiajuchy. Skoszą go w pierwszych minutach. I klops.

– Ja mówię, że będą się cykać. A jak nasi strzelą, to wtedy ich zaarrestują za brak sportowej postawy.

– Jak to za brak? To tak można? – Dziennikarka najwyraźniej dopiero zdobywała pierwsze szlify w radiowej hierarchii.

– A można, można, panienko. Za długo żyję na tym świecie...

– Na pociąg się pan nie spieszy?

– Za trzy godziny mam. Mógłbym panience niejedno opowiedzieć.

– Dziękujemy panu bardzo. Może ktoś inny...

Tym razem ofiara była dobrana staranniej. Kobieta. Elegancka, w ładnym płaszczyku z pelisą. Torebeczka i szpileczka. Stuk, stuk, stuk...

– Jak typuje pani wynik meczu? Nasi chłopcy wygrają? – zapytała dziennikarka z nadzieją w głosie.

– Jacy chłopcy? – Zainteresowała się eleganka.

– No piłkarze...

– Z piłkarzem to jeszcze nie miałam okoliczności, ale to podobno mocne chłopaki.

– Proszę pani...

Dźwiękowiec, który niejedno już widział i słyszał, sam zatkał sitko ręką i wywrócił oczami.

– Ale co do piłki, to ja nie bardzo, rozumie pani. Na kuzyna czekam.

– Aha.

– Dyć tam na kuzyna. Klienta szuka i tyle – rozległ się głos znikąd.

– Tak od rana? – zapytała dziennikarka z głupia frant, bo wiedziała już, że popełniła kolejny błąd.

– A co się pani nie podoba?

– Nie, nic, ja tylko...

– No to ruszaj stąd, dziewojo z Kostomłotów, bo mi interes psujesz!

Zimna krew i profesjonalizm dźwiękowca były w takich sytuacjach na wagę złota.

Kolejny mężczyzna wyglądał statecznie. Miał, można powiedzieć, przedwojenny wygląd. Wełniany garnitur i płaszcz w jodełkę wzbudzał szacunek i zaufanie.

– Dzień dobry – powiedziała dziennikarka już bez pewności siebie. – Jest pan kibicem? Jak pan typuje wynik z ZSRR?

– Siedem do zera dla nas, kochanieńka.

– Siedem... aż tyle?

– Tak.

– Skąd ta prognoza?

– Bo ja proszę szanownej paniemki jestem optymistą. Czarnowidztwo nic tu nie da. Trzeba patrzeć z nadzieją.

– O, to rozumiem. I wybiera się pan do Lipska?

– Nie mam, proszę szanownej paniemki, paszportu. Powiedzieli, że nie dadzą.

– Tnij – wycedziła przez zęby dziennikarka.

– No, hmm, no tak. Ale może relacja w radio? Będzie pan słuchał?

– Nie. Bo ja, proszę szanownej paniemki, nie mam radia.

– Jak to nie ma pan radia? Teraz wszyscy mają, bo wolno...

– Wolno mieć radio? Pierwsze słyszę. Żeby słuchać *BUM, BUM, BUM*, tu mówi Londyn?

– Proszę pana, niech pan zachowa powagę. – Zerknęła na dźwiękowca, który na migi pokazał jej, że nie udało się zagłuszyć transmisji.

– Staram się, jak mogę, ale średnio mi wychodzi. Taki piękny dzień...

– Ale stacja ogólnopolska będzie nadawać. To ważny mecz.

– A pewnie, że ważny. Nie tylko dla kibiców.

– Czyli typuje pan siedem do zera? Państwo, mam nadzieję, to słyszą.

Nieznajomy uklonił się z galanterią i zniknął w tłumie, zostawiając dziennikarkę w pełnym osłupieniu. Po chwili odzyskała rezon.

– Jak drodzy radiosłuchacze słyszeli, miasto żyje emocjami przed meczem. Ogólnie panuje optymizm i nadzieja. Będziemy państwa informować na bieżąco. Z hali Dworca Głównego mówiła...

Spojrzała zrezygnowana na dźwiękowca, który najprawdopodobniej ocalił jej posadę. Więcej niż raz.

– Proszę pani, proszę pani! – Usłyszała głos tuż po mutacji.

– Słucham?

– A jak powiem, to będę w telewizorze?

– Widzisz tu gdzieś kamerę? Z radia jesteśmy.

– E, to nic. Byle mój tatuńcio słyszał.

– No to jedziemy. – Dała znak dźwiękowcowi. Tym razem szło do archiwum.

– Ja se myślę tak. Jak dostali w Chorzowie, tak dostaną i w dedeerze. Typuję trzy do dwóch dla naszych – dokończył z miną znawcy.

– Dziękuję. Do widzenia.

Nagle w tłumie dojrzała kolejną ofiarę.

– O, proszę pana, proszę pana. – Chęć rehabilitacji u młodych, ambitnych dziennikarek przekraczała wszelkie bariery.

Zaczepiła kolejnego rozmówcę. Był to mężczyzna o wesołym spojrzeniu. Ubrany w amerykańską kurtkę wojskową z dużą, skórzaną torbą przewieszoną przez ramię.

– Jak pan typuje wynik meczu? – zapytała dziennikarka.

Mężczyzna zamyślił się przez chwilę. Uśmiechnął się i przysunął bliżej mikrofonu.

– Odpowiem pani wierszykiem.

– To coś nowego – ucieszyła się dziennikarka.

– Nosi tytuł *Dreptak kibicem* i idzie mniej więcej tak:

Jan Dreptak w euforii szale cisnął swój kaszkiet do góry,

Cieślik przyłożył, piłka leciała, a z bramki sypały się wióry.

Siedział przy radio, zaciskał kciuki, aż kłykcie stały się białe,

I zabrzmiał gwizdek, wrzawa wybuchła, lecz szanse wciąż były małe.

Spalony! Werdykt jak ostrze wraże wbił się w serducho Dreptaka.

Chciał jeszcze coś tam jeszcze chlapanąć do żony, lecz ona już dała drapaką.

Zróbcie coś, grajcie! Strzelajcie, do ciężkiej cholery!

Klął Dreptak wściekły i rzucił coś nawet o tych, no, o chorobach Wenery.

Sędzia to kalosz! Wydarł się Dreptak niczym zły lew w interwale.

*Lecz kiedy huknęły rykiem trybuny, dyszał jak struś przy upale.
Powstrzymał się jednak z miną zaciętą jak przy zbieraniu stonki,
Sędzia to kalosz, tak kiedyś było, lecz dziś to już tylko walonki.*

Dziennikarka zaniemówiła. Po prostu zabrakło jej języka w gębie.

– Cześć, Andrzej – rzucił dźwiękowiec do żartownisia.

– Serwus, Marku. Jesteś dzisiaj w robocie?

– Tak, wziąłem popołudniowy dyżur.

– No to cześć!

– Cześć!

– To ten znany satyryk, Liczyrzepski?

– Wa-li-gór-ski. Koleżanka będzie musiała się jeszcze sporo nauczyć.

– Ale wypalił. Z grubej rury. – Wciąż nie mogła wyjść z osłupienia. – Ale to i tak nie pójdzie...

– Wiadomo.

Skryty za filarem Słupecki pokiwał smutno głową. Tak, wierszyk był wywrotowy i za sprawą jednego słowa w poincie został skazany na zapomnienie. Natomiast Andrzej Waligórski rozpoczął właśnie najbardziej twórczy okres w swoim życiu, zawiązawszy kabaret radiowy w pokoju numer 202 w budynku wrocławskiej rozgłośni.

Jürgen przeszedł przez tunel dworca z ulicy Dyrekcyjnej i skierował się Dworcową w stronę fosy. Na skrzyżowaniu z Kościuszki rozejrzał się, czy nie ma ogona. Choć nie zauważył nikogo, wciąż instynktowne przeczuwał, że ktoś idzie jego śladem.

Gdybyż tylko wiedział! Umiejętności transformacji mogli pozazdrościć Słupeckiemu wszyscy wywiadowcy świata. Przemiany te zachodziły odruchowo i spontanicznie, kiedy tylko osoba obserwowana po raz drugi chciała skierować wzrok w jego stronę. Nie musiał się nawet specjalnie wysilać. Rogata natura średniowiecznego, pokutującego zbira podpowiadała mu, że powinien przeistoczyć się w jakieś przerażające monstrum, ale wtedy Müller nabrałby podejrzeń i z obserwacji wyszłyby nici.

Jürgen był całkowicie skoncentrowany na zadaniu. Musiał odnaleźć tego szczeniaka Krystiana, bo doszły go słuchy, że jest znów na wolności. Nikt inny tego nie wiedział, nawet jego współnik w zbrodni. Dostał jednak cynk od takich, co mieli na oku jego pokój i mieszkanie rodzeństwa Raufenbergów. Wtedy pogada z nim po swojemu. Krystian zaczął sypać. Czego się miał spodziewać po nim? Przyciśnięty wyśpiewał im wszystko, czyli w sumie dość niewiele. Milicja zrobiła naloty na niemal wszystkie punkty w mieście, a oprócz Müllera, tylko Krystian znał te adresy.

Nic dziwnego, że zaczął sypać. Pochodził z zatęchłej arystokracji, która po latach świetności zaczynała wypuszczać zdeformowane latorośle. Słabe, bez kośćca moralnego, podatne na wpływy. Jürgen planował zlikwidowanie chłopaka, choć na razie mógł okazać się jeszcze przydatny. Po wsypie będzie się chciał zrehabilitować,

udowodnić, że to nie on. Dlatego będzie gorliwie wypełniał polecenia Jürgena. Trzeba go było tylko znaleźć. Nie powinno być z tym większych problemów.

Jürgen ruszył wzdłuż fosy i po chwili znalazł się na placu Feliksa Dzierżyńskiego. Tam wsiadł w tramwaj numer 17. Słupecki podążał za nim jak cień pod postacią kobiety w średnim wieku w chustce na głowie. Na placu Bema przed skrzyżowaniem w ulicę Sienkiewicza Jürgen wysiadł z tramwaju i ruszył przed siebie ku ulicy Kilińskiego. Zwały cegieł i rumowisko ciągnęły się po obu stronach wąskiej ścieżki wykopanej wśród gruzów.

Na jej końcu otwierała się dzielnica, która jakimś cudem uszła przed bombardowaniami i ostrzałem. Była niczym wyspa, całkiem oddzielne miasto, które otwierało się za mostem Uniwersyteckim tuż przy Starówce, ale zdawało się, odległe od niej o szmat drogi. Tutaj kwitła wrocławska prywatna inicjatywa na przekór wszystkiemu, choć na jej obrzeżach na ulicy Cybulskiego znajdował się Komitet Wojewódzki PZPR.

W małych sklepikach i zakładach można było dostać dosłownie wszystko. Rymarze, szewcy, siodlarze i przedstawiciele innych dziedzin rzemiosła oferowali klientom pełny zakres usług. W sklepikach pojawiły się towary kolonialne po nieco niższych cenach niż w eleganckich delikatesach po drugiej stronie Odry. Starym obyczajem sprzedawcy i rzemieślnicy wystawiali towary, żeby zachęcić wrocławian do zakupów.

Domy marnie wyglądały. Ściany znaczyły ślady po seriach z karabinów maszynowych. Wyrwy między domami wskazywały miejsca, gdzie spadły bomby. Gdzieś tam było widać gotyckie napisy w języku niemieckim, a białe strzałki prowadziły do prowizorycznych schronów. Nikt ich nie zamalował, bo i po co? Na wpół wypalone domostwa straszyły przechodniów, choć dziwnym trafem zachowała się okrągła toaleta na zbiegu Jedności Narodowej i Poniatowskiego. Ciekawa sprawa z tymi toaletami... Było ich sporo w mieście i zdawały się wyjść ze starcia z artylerią bez szwanku, jakby radzieckie bomby omijały te budowle. Teraz bił od nich odór uryny wymieszany z ostrym zapachem chloru.

Jürgen kroczył miarowo pomiędzy wspomnieniem dawnego miasta i opanowywała go coraz większa złość. Nie kojarzył drobnego faktu, że to on i jego kamraci w twarzowych mundurach sprowadzili tę piękną dzielnicę ze stylowymi domami do parteru. Że to za jego sprawą bogate domostwa chyliły się ku upadkowi, kiedy wraz z innymi postanowił zapanować nad Europą.

Skręcił w lewo, gdzie w małej uliczce znajdowało się mikre mieszkanko zajmowane przez dumną i niegdyś bogatą rodzinę Raufenbergów. Stojący u wylotu bramy budynku młodzian z ledwo sypiącym się wąsem pstryknął w daszek czapki i wrócił do lektury gazety sportowej.



Jürgen zaczął wspinać się po schodach, przeskakując co dwa stopnie, a za nim ruszyło jeszcze dwóch mężczyzn w płaszczach, którzy pojawili się jakby znikąd. Jürgen odwrócił się na półpiętrze, udając, że szuka czegoś na liście lokatorów przy skrzynkach pocztowych wypisanej koślawą kaligrafią.

Mężczyźni minęli go i poszli wyżej.

Zerknął na zegarek. Powinni już tu być. I rzeczywiście. Na schodach zadudniły kolejne kroki i z satysfakcją spojrzął na swoich ludzi, którzy pojawili się w bramie. Byli uzbrojeni i gotowi na wszystko. Bez słowa ruszyli na wyższe piętra. Jürgen poszedł za nimi wolnym krokiem, dając im swobodę działania.

Usłyszał stłumioną szamotaninę. Ktoś jęknął, ktoś zwałił się na klepki niegdyś

pięknie utrzymanego korytarza. Szamotanina nie ustawała. Jürgen zaczął biec po schodach i stanął na trzecim piętrze.

Były tu duże, szerokie drzwi z przeszklonymi skrzydłami po bokach. Zobaczył, że jeden z milicjantów leży na ziemi i krwawi. Drugi był najwyraźniej bardziej zaprawiony w bojach, bo doskonale radził sobie z jego ludźmi, wymierzając co i rusz celne ciosy i posyłając ich na deski. Walka toczyła się w niemal całkowitej ciszy. Słysząc było jedynie tępe odgłosy pięści.

Nikt nie wyciągnął jeszcze broni. Milicjant nic sobie nie robił z naporu młodych, silnych mężczyzn i na jego twarzy Müller zobaczył coś na kształt kpiny. Wtedy ruszył do akcji. Zaszedł wywiadowcę od tyłu i z całej siły walnął go pięścią w nerkę. Wywiadowca jęknął i się obrócił. Widząc nowego przeciwnika, spowaźniał, bo teraz miał do czynienia z trzema napastnikami.

Kolejny cios Müllera sprawił, że opadł na kolana.

W tej samej chwili drzwi do mieszkania otworzyły się z hukiem i wypadł z nich Krystian, a za nim Karol. Nie wiedzieli, co mają robić. Młodszy Raufenberg próbował dać drapaka, a jego wuj chciał pomóc broniącemu się milicjantowi. Nie miał jednak wprawy w walkach ulicznych i cios w podbródek jednego z pomagierów Müllera posłał go bez czucia na deski. Drugi ruszył pędem za Krystianem i zdołał złapać go za poły marynarki.

Wtedy do walki wkroczył kolejny gracz.

W półmroku klatki schodowej rozbłysła pomarańczowa poświata. Milicjant był nie mniej zdezorientowany niż Jürgen. Zobaczył srogie oblicze średniowiecznego grasanta w całej krasie spowite pełgającymi płomykami. Widok był tak niezwykły i zupełnie nie z tego świata, że Müller rozluźnił uchwyt na kołnierzu wywiadowcy.

Zdawało się, że sytuacja jest opanowana i prześladowcy umkną jak niepyszni. Pierwszy rezon odzyskał Krystian, który jakimś cudem wyszarpnął się z rąk swego prześladowcy i popędził z hukiem na dół. Napastnik ruszył za nim. Gdzieś z dołu rozległ się kobiecy krzyk przerażenia. Słysząc było odgłosy szamotaniny.

– *Hedwig, nein!* – wykrzyknął Krystian.

Jürgen posłał jeden cios w głowę walecznego milicjanta i nie chcąc zetknąć się z upiorną zjawą, przeskoczył przez poręcz na schody poniżej.

Milicjant podniósł się błyskawicznie i zdzielił na odlew drugiego z pomagierów tak, że ten osunął się po ścianie. Słupecki płynął tuż nad podłogą w dół. Biła z niego siła i groza.

Jürgen wybiegł na ulicę z kamratem. Obydwaj trzymali w mocnym uchwycie wyrrywającą się rudowłosą dziewczynę, która natknęła się na siostrzeńca, wracając z pracy. Sam Krystian zdołał uciec, chowając się w zrujnowanych zaułkach. Nie było to może zbyt rycerskie zachowanie, ale on sam nie uważał się bynajmniej za spadkobiercę starożytnego rycerskiego rodu i zostawił ciotkę na pastwę szajki.

Jadzia krzyczała coś, lecz Müller położył łapę na jej ustach i wraz z drugim wciągnęli

ją do stojącego pod bramą samochodu. Kierowca miał silnik włączony i ruszył, nie czekając aż zamkną za sobą drzwi. Słupecki nie był w stanie nawiązać równorzędnego pościgu z szybko nabierającym prędkości autem. Ugasił się i bystrym wzrokiem zanotował tylko numery na tablicy rejestracyjnej.

Na trzecim piętrze Karol zbierał się z podłogi podtrzymywany przez poobijanego milicjanta. Funkcjonariusz był cały obdarty, twarz puchła z każdą chwilą i zaczęła nabierać krwawych wybroczyn. Karol oparł się o ścianę i spojrzał na leżącą postać. Drugi milicjant żył, ale jego stan był ciężki, bo najwyraźniej dostał kastetem w ciemię.

– Ma pan telefon?

– Sąsiad ma. Niech pan naciśnie dzwonek z nazwiskiem Kordonek.

Milicjant ledwo już widział spod opuchniętych powiek, ale odnalazł nazwisko na liście siedmiu innych lokatorów tego przestronnego niegdyś mieszkania. Wszedł do środka i bez ceregieli pokazał przerażonej twarzy blachę, przepychając się dalej do telefonu.

– Panie sierżancie – meldował. – Klapa na całej linii. Młody zbiegł. Plutonowy Kluska leży bez ducha na schodach, ale mamy jednego łobuza. No i – zamilkł na chwilę – zdaje się, że porwali pannę. Co, jaką pannę? No tę siostrę, znaczy. Że jak? Co mi obywatel kapitan urwie? Niemożliwe. Naprawdę? Co on taki groźny? Dobrze, czekam na ambulans. No i było jeszcze coś, ale nie wiem, jak to obywatelowi sierżantowi powiedzieć. Może mi się przywidziało. Wyszedł jakiś taki jakby z pieca. Nie wiem, co to za cudak, ale spłoszył ptaszka. No tak, z pieca. Przecież mówię. Może jakem dostał w baniak, to mi się coś poprzestawiało. Tak. Odmeldowuję się.

Wyszedł na korytarz i sprawnym ruchem zacisnął kajdanki na przegubach wciąż nieprzytomnego napastnika. Pochylił się nad kolegą. Dyszał ciężko i odzyskiwał świadomość. Gdzieś z oddali dobiegł go głos syreny pogotowia, która choć podobna, brzmiała jednak nieco inaczej. Jakoś tak poważniej. Usłyszał tylko tupot kroków na schodach i sam osunął się po zielonej ścianie. Stracił przytomność.





ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

...ostrzy szpagat...

Młodszy wywiadowca Katarzyna Wnuk ścisnęła z całych sił kierownicę służbowej warszawy. Jej dwóch bardziej doświadczonych kolegów ruszyło za Müllerem, kiedy tylko pojawił się na bocznej uliczce pod domem rodzeństwa Raufenbergów. Nie minęła chwila, a dostrzegła jakichś dwóch oprychów wchodzących do bramy. Przetarła czoło i mrugała oczami, bo nie miała najmniejszego pojęcia, jak ma ostrzec kolegów.

Przez chwilę nic się nie działo, aż zobaczyła ciotkę obserwowanego, tę rudą Jadźkę. Szła najwyraźniej z pracy i jak gdyby nigdy nic weszła do bramy. Katarzyna chciała pobiec za nią, ostrzec, ale miała rozkaz nie interweniować, siedziała więc dalej za kierownicą wozu. Nagle usłyszała krzyk dziewczyny i już miała dobyć służbowej tetetki i wyskoczyć na ratunek, ale instynkt podpowiedział jej coś innego.

Najprawdopodobniej uratował ją też przed niechybną śmiercią, bo nagle z bramy wyskoczył Müller i ten drugi, trzymając wierzgającą Raufenbergównę. Müller miał broń w rękę i użyłby jej, gdyby zobaczył, że biegnie w ich stronę. Z takiej odległości nie mógł chybić. Napastnicy wrzucili dziewczynę na tylne siedzenie samochodu, który ruszył z piskiem opon, zanim zdążyła zareagować.

Opanowała nerwy. Myślała gorączkowo, co ma zrobić. Wtedy zobaczyła zjawę w biały dzień. Z bramy wyłoniła się spowita w płomieniach postać. Katarzyna gdzieś go już widziała, ale nie mogła sobie przypomnieć. W sekundę płomienie znikły i upiór tylko odprowadzał wzrokiem odjeżdżający samochód.

Młodszy wywiadowca Katarzyna Wnuk ruszyła bardzo wolno i ostrożnie. Nie zwracając niczyjej uwagi, kierowała samochód śladem czarnego, przedwojennego opla, którym odjechali napastnicy. Kiedy napastnicy myśleli, że nikt za nimi nie jedzie, zwolnili. Jak bardzo się mylili! Katarzyna miała dryg do motoryzacji. Brała nawet udział w wyścigach samochodowych w Szklarskiej Porębie. Prowadziła wóz pewnie, jakby urodziła się za kółkiem. Należała do młodego pokolenia, dla którego technika

i motoryzacja to był chleb powszedni.

Ulica Jedności Narodowej była niemal pusta, musiała więc zachować odpowiednią odległość od wozu, żeby nie wzbudzić podejrzeń ściganych. Ze ściśniętym gardłem obserwowała płomień rudych włosów we wnętrzu pojazdu. Dziewczyna wyrywała się, ale w końcu się uspokoiła, Katarzyna nie miała wątpliwości, że nastąpiło to w wyniku ogłuszającego ciosu pięści jednego z napastników. Młodszy wywiadowca Katarzyna Wnuk skupiła całą uwagę na wozie, jednocześnie starając się, tak jak ich uczono na kursach, nie zwracać na siebie uwagi kierowcy. Z emocji niemal wjechała w furmankę z ziemniakami, która wyjechała jej nagle z podporządkowanej. Nawet nie nacisnęła klaksonu, zaklęła tylko pod nosem.

Po raz pierwszy uczestniczyła w prawdziwej akcji i adrenalina sprawiła, że Katarzyna zmieniła się w rasowego śledczego na tropie. Umiejętności zdobyte na szkoleniach przydały się teraz bardzo, bo zmieniły się w odruch i pojawiały się automatycznie w chwili zagrożenia. Prawą ręką sięgnęła ponownie pod żakiet, do kabury, sprawdzając, czy pistolet tkwi na miejscu. Zaciśnęła usta.

„Żeby dziewczynę porywać. Łajdaki!” – pomyślała. Nie mogła jednak pozwolić, żeby emocje wzięły górę. Nie będzie przecież szarżować na grupę uzbrojonych po zęby bandziorów. Sprawdzi tylko, dokąd jadą.

– Ja Szóstka, ja Szóstka, Akwarium zgłoś się! – meldowała do czarnej słuchawki podłączonej do radiotelefonu.

– Tu Akwarium, zgłaszam się, Szóstka. Jak mnie słyszysz?

– Odbiór dobry. Jadę za czarnym oplem numer rejestracyjny XW... w którym znajdują się przestępcy z uprowadzoną dziewczyną.

– Szóstka, jak mnie słyszysz? – odezwał się nowy głos. Dyspozytor musiał przełączyć ją gdzieś dalej.

– Melduję, że doskonale. Wjeżdżam teraz w Dubois i zaraz będę skręcać za mostem.

– Tu kapitan Stefan Gromił.

– Tak jest, obywatelu kapitanie.

– Szóstka, nie spuszczaaj samochodu z oczu. W żadnym razie nie podejmuj żadnych samodzielnych akcji. Potwierdź odebranie rozkazu.

– Zrozumiałam. Wykonuję. – „Stary szczupak”, pomyślała Katarzyna, choć kapitan Gromił bynajmniej stary nie był. – Akwarium, co z kolegami?

– Będą żyć. Nie spuszczaaj ich z oczu, dziewczyno. Koniec transmisji.

Katarzyna zaciśnęła dłonie na kierownicy jeszcze mocniej, widząc, że czarny samochód skręca w lewo pod gmachem głównym uniwersytetu. Wykonując ten sam manewr, niemal zderzyła się z tramwajem wyjeżdżającym z podcienia przy szermierzu.

„Muszę się uspokoić pomyślała bo mnie w końcu zauważą”.

Samochód z napastnikami najwyraźniej zmierzał na południe. Jechał prosto w stronę Dworca Głównego w plątaninę starych budowli i hałd gruzów. Za placem Dzierżyńskiego Katarzyna minęła gmachy szkoły na ulicy Piotra Skargi po lewej stronie

i ceglanej drukarni po prawej. Wyprzedził ją jakiś furgon i ciężarówka z naczepą.

Skręciła w prawo przed dworcem w wąskim gardle jednokierunkowej ulicy z tramwajem. Wyjechała na Stawową i dalej, mijając bar „Wzorcowy” po prawej stronie, pod wiaduktem wjechała w kanion gruzów wiodący do kolejnej enklawy Wrocławia – Krzyków, w której zachowały się szczątki dzielnicy willowej przy parku Południowym. Po pokonaniu kilkuset metrów samochód znacznie zwolnił i musiała się opanować siłą woli, żeby nie zajechać mu drogi i wymierzyć z pistoletu do kierowcy. Starła się uspokoić, zameldowała swoją pozycję u oficera dyżurnego.

Samochód stanął przy jednej z mocno zadrzewionych uliczek. Stał tak przez chwilę i Katarzyna musiała go minąć, zawrócić i stanąć w cieniu dużego wiązu po drugiej stronie ulicy. Mogli się zorientować. Nikt nie wysiadał z wozu. Katarzyna czekała na dźwięk milicyjnej syreny, żeby wtedy, zgodnie z rozkazem, zajechać drogę czarnej limuzynie.

Nagle z drugiej strony usłyszała głośny zgrzyt żelastwa i pisk opon. Zza zakrętu wypadła ciężarówka marki Star ze ściętym przodem. Nie była duża, ale wystarczająco ciężka, do tego w pełnym pędzie. Kierowca był bezpieczny w położonej wyżej kabinie. Z całej siły uderzył w bok zaparkowanej warszawy i ostatnią myślą młodszego wywiadowcy Katarzyny Wnuk było, że położyła zadanie na całej linii. Przed oczami rozblęły jej gwiazdy i ostatnie, co zapamiętała, to pisk opon czarnego opla, który odjechał dokądś w chmurze spalin. Zapadła w nicość.

– Niech to szlag! – Kapitan Gromił walnął z całej siły w przedwojenne biurko przełożonego. – Niech ich piekło pochłonie. Mieliśmy ich na widelcu! I co, ludowa milicja dupy dała przy pierwszym poważnym zadaniu? Porwali dziewczynę – dodał z przestraczem.

Gdyby to od niego zależało rzuciłby się z gołymi rękami na cały oddział Werwolfu, nie bacząc na nic. Coś go mocno zakłuło w klatce piersiowej.

„Tylko nie ona” – przemknęła mu myśl.

Pułkownik Horeszko patrzył na to wszystko z niedowierzaniem, bo nigdy jeszcze nie widział takiego wybuchu emocji u podwładnego, a zarazem przyjaciela. A znali się nie od dziś.

– Stefan, co tobie? Nie zachowywałeś się tak, nawet jak ci twojego Janka porwali.

– Nic, panie pułkowniku. Tylko coś mnie...

– Przecież ty jesteś jeszcze chory! Nie za wcześnie się wypisałeś ze szpitala?

– Jak widać za późno.

– Przecież nie możesz sam wszystkiego robić.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

– Wejść! – rzucił pułkownik.

W drzwiach pojawił się sierżant Kuźniak.

– Melduję, obywatelu pułkowniku, że znaleźliśmy Krystiana Raufenberga.

W oficynie domu obok. Siedział przy składzie węgla i trząsał się cały. Czekając u obywatela kapitana.

Gromił skoczył jak rączy jeleni do drzwi. Po chwili wpadł do siebie do gabinetu, strasząc Boga ducha winną sekretarkę.

– Ładnie się spisał, młodzieńcze! – krzyknął od progu. – Ciotkę ci porywają, a ty co? Dałeś drapakę?

– Dwóch ich było. Albo trzech. Jürgen i jeden, co go nie znam. Szans nie miałem – burknął Krystian.

– Mogłeś choć spróbować – odezwał się Gromił już łagodniejszym tonem, przypominając sobie siłę i sprawność Müllera. – Choć może rzeczywiście nie miałbyś szans. Zabraliby was oboje.

– Ale dlaczego ją? Przecież ona nic nie wie.

– Bo teraz mają zakładniczkę. Wiedzą, że nie będziemy jej narażać. Poza tym będą ją wypytywać o ciebie.

– Ale przecież nawet się z nią nie widziałem po zwolnieniu.

– Może coś jej powiedziałaś wcześniej, zdradziłeś się z czymś, a może... – Gromił zastanowił się głębiej.

„Nie dopadli mnie, więc Jürgen skorzystał z okazji i zabrał kogoś, na kim mi zależy...” – pomyślał i włos zjeżył mu się na głowie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do gabinetu wszedł Karol Raufenberg w towarzystwie milicjanta.

– Melduję, obywatelu kapitanie, że doprowadziłem świadka.

– Dziękuję. Wiecie, co z tamtymi i z tą Kaśką?

– Wywiadowcy się wylizają, choć Kluska ma mocny wstrząs mózgu. Drugi, ten Tadek, to twardziel. Odzyskał przytomność i domaga się papierosa. Z Kasią... – zawahał się – ...z Kasią nie wiadomo, co będzie. Jest mocno połamana. Lekarz mówi, że to cud, że żyje. – Milicjant dodał ze smutkiem w głosie. Wszyscy lubili Kasię.

– Panie Karolu, co pan zapamiętał z tego zajścia?

– To, jak kazałem Krystianowi się zwijać, kiedy usłyszeliśmy zamieszanie pod drzwiami. Chciałem, żeby uciekał tylną klatką schodową, ale tamci ją zastawili. Potem dostałem w głowę i już nic nie pamiętam.

– Stryjku, ja... – zaczął Krystian, ale przerwał. Widać było, że robił rachunek sumienia.

– Nie mówmy o tym – odparł oschłym tonem Karol. – Mam nadzieję, że nic jej nie zrobią.

W jego głosie pojawiły się żalose tony. Kochał siostrę i chronił ją całe życie, ale teraz nic nie mógł zrobić. Był bezradny.

Rozległo się pukanie do drzwi. Tym razem głośno, natarczywie i jakby ze złością. Nie czekając na zaproszenie, do gabinetu kapitana Stefana Gromiła wkroczył sam major Kalamatas w towarzystwie dwóch ubeckich oprychów.

– Zakuć mi go i ciupasem do mnie – polecił, wskazując na wystraszonego Krystiana.
– Zaraz, chwileczkę... – zaoponował Gromił, widząc przestraszony wzrok zarówno Krystiana, jak i jego stryja.

– Obywatel kapitan ukrywa przed nami ważnych świadków. Obywatel kapitan prywatę uprawia. Wie obywatel kapitan, co za to grozi?

– Ukrycie tego świadka było w interesie śledztwa, bo ktoś najwyraźniej stąd – spojrzał znacząco na majora – Müllerowi pomaga.

– Bzdury mi tu, Gromił, jakieś gadacie! – krzyknął Kalamatas. – Chcecie zadrzeć ze mną? Chcecie zadrzeć ze zbrojnym ramieniem władzy ludowej? No? Słucham!

– Chciałbym tylko podkreślić, że obecni tu świadkowie widzą, że obywatel major bierze mojego świadka do swojego aresztu. Proszę o tym pamiętać...

– Chłopczyku... Wiesz, co mi możesz zrobić? Kawę możesz mi zaparzyć, co najwyżej.

Protekcjonalny ton wychodził majorowi najlepiej, gdy był wściekły. Po raz pierwszy ktoś z tego gmachu otwarcie mu się stawiał i nie zamierzał przejść nad tym do porządku dziennego.

– Ja zaparzę tę kawę i proszę mi wierzyć, obywatelu majorze, że będzie gorąca jak diabli.

Kalamatas parsknął tylko, obrócił się na pięcie i wyszedł, a za nim poszli jego pomagierzy, prowadząc skutego Krystiana.

– On tak może? – zapytał z lękiem w głosie Karol.

– Może. I trochę się boję o Krystiana, ale przynajmniej nie ma śladu po pistolecie, który miał przy sobie w chwili aresztowania. Choć tyle dobrze, bo na razie Kalamatas nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów na udział w spisku. Mówił, że nie znał tego, co był z Müllerem, więc może tego, którego zgarnęliśmy, też nie znał. Miejmy nadzieję, że tamten nic nie sypnie. Kalamatas może go jednak pobić i zastraszać. Chłopak musi się trzymać.

Karol Raufenberg skrzywił się na myśl o metodach śledczych, które stosowano na Podwalu. Gromił poczuł, że sprawa wymyka mu się z rąk. Nie tylko nie dopadł sprawcy, nie odnalazł pociągu, ledwo uszedł śmierci, ale nie potrafił też uchronić bliskiej mu osoby, choć ta była powiązana ze sprawą jedynie marginalnie.

„Dupa ze mnie, a nie milicjant” – przyznał w duchu.

Oczywiście zapewnił Karola Raufenberga, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby wyrwać Krystiana z łap ubecji i uwolnić siostrę z rąk porywaczy.

– Raz się nam udało – rzucił z wymuszonym optymizmem.

– Ale Jadwiga jest taka wrażliwa, taka delikatna...

– Ma w sobie dość siły, w końcu jest pielęgniarką i chce studiować medycynę. Może jej pan nie docenia?

– Dobrze by było, żeby miał pan rację.

– Będę pana informował na bieżąco.

- Gdybym mógł się na coś przydać, coś zrobić...
- Tak, pamiętam. Do widzenia. Tu ma pan podpisaną przepustkę.
- Do widzenia.

Po sprawdzeniu okazało się, że willa, przy której zatrzymał się Opel, nie ma nic wspólnego ze sprawą. Mieszkały tam trzy rodziny zupełnie zwyczajnych obywateli. Gromił pomyślał pośpiesznie o stojącej w pobliżu willi, która była scenerią dramatycznych wydarzeń sprzed kilku lat. Teraz wolałby stawić czoła hordzie psychopatycznych morderców niż tej bandzie, która za nic miała cywilizowane normy postępowania. Byli gotowi uciec się do wszelkiej podłości, byle osiągnąć swój cel. Gromił nie miał złudzeń, życie Jadzi było w niebezpieczeństwie. Tylko to się liczyło i miał wszystko inne gdzieś. Pociągi, skarby, strzelaniny – wszystko to nic nie znaczyło. Musiał ją ocalić, uratować dla Karola... dla siebie. Dopiero porwanie uświadomiło mu, jak bardzo mu na niej zależy. Dziwna sprawa, przecież znali się bardzo krótko. Ale on wiedział. I miał nadzieję, że odwzajemnia jego uczucia.

Bardzo uważnie wysłuchał relacji Słupeckiego, który stropiony pocieszał go, jak mógł.

- Panie Leonie, stało się. Nie mógł pan nic zrobić.
- Mogłem poczekać na dole, psia mać! – Pokutnik pluł sobie w brodę.
- Skąd mógł pan wiedzieć, że Jadwiga będzie wracać z pracy?
- Kto jak kto, ale ja powinienem był wiedzieć.
- I co teraz? Wraca pan w góry? Tam wszystko się zaczęło i tam gdzieś jest ich baza.
- Może by spytać po drodze, czy nikt nie widział czarnego opła? To w końcu dość nietypowy samochód.

– Roześle telefonogramy do komend powiatowych. Może ktoś coś widział.

Gromił otworzył szufladę i wyciągnął nóż zakończony trupią główką. Pamiątka po napadzie u niego w domu na klatce schodowej.

– Dobrze, że mu wypadł, bo nie wiadomo, jak by to się skończyło, gdyby miał go teraz przy sobie.

- Piękna robota. Ostry jak widzę.
- Dopasowują go teraz do ran zadanych ofiarom. Będzie to dowód koronny.
- Myśli pan, że dojdzie do procesu? Że złapiemy ich i oddamy w ręce sprawiedliwości?

Gromił spojrzał przenikliwie na Słupeckiego. Zrozumieli się bez słów.

– Nie, myślę, że nie da się wziąć żywcem. Przecież wie, co go czeka. Nie ma nic do stracenia. Dlatego my też musimy być zdecydowani.

- Jak pan sądzi, jaki mają plan?
- Podejrzewam, że Müller będzie chciał nas opuścić na stałe. Wyjechać wraz z zawartością sejfu w wagonie transportowym. Będzie musiał jednak podzielić się z kimś, kto być może też planuje dać nogę.
- Bydlaki.

– No właśnie. Dobrali się jak w korcu maku. Niech pan będzie tak dobry, panie Leonie, i sprawdzi, co major wyrabia z młodym Raufenbergiem.

– Już lecę.

Słupecki rozplynął się w powietrzu, a Gromił odłożył nóż do szuflady i zamknął ją starannie, jakby obawiał się, że ów groźny dowód rzeczowy też może dać nogę.

Jadwiga ocknęła się. Poczuła, jak cały rój os huczy jej w głowie. Ten zbir musiał ją nieźle zdzielić. Poczuła, że ma związane ręce i leży na jakimś wyrku. W pokoju nie było nikogo, a za oknem było już ciemno. Szarpnęła się. Zabolało. Związali jej ręce jakimś ostrym szpagatem, żeby się nie próbowała uwolnić. Znajdowała się w jakimś starym domu, poznała to po specyficznym zapachu i charakterystycznym skrzypieniu drewna. Zauważyła, że musi być na poddaszu, bo jedna ze ścian była ścięta pod kątem. W pokoju wisały widoczki z gór, a w rogu stała umywalka z lustrem. Doszła do wniosku, że znajduje się w jakimś pensjonacie albo schronisku.

Niezwykle ostrożna, już od czasów wojny, Jadwiga nie wołała o pomoc, żeby napastnicy nie wiedzieli, że już odzyskała przytomność. Starła się zachować trzeźwość umysłu i zastanowić się nad swoją sytuacją. Nie miała szans w bezpośrednim starciu z napastnikami, ale może uda się jej uwolnić w jakiś sposób i zbiec prześladowcom? Ach, gdybyż tylko Stefek mógł tu być!

„I niby jak miałby ci pomóc?” – odezwał się głos rozsądku.

„Nie wiem, coś by wymyślił. Uwolnił mnie, obronił” – podpowiadała niepoprawna optymistka.

„Sam przeciw całej bandzie?”.

„Postraszyłyby ich bronią. Poradziłyby sobie”.

„Czy ty nie przesadzasz z tym Stefkim? O co tu w ogóle chodzi? Dlaczego aż tak bardzo mu ufasz? Przecież to Polak, na dodatek milicjant”.

„Ale szlachetny, dobry człowiek. Do tego chyba coś do mnie czuje”.

„Nie zachowuj się jak pensjonarka. Im tylko jedno w głowie”...

„A jeśli tak, to co z tego? Jestem już dorosła i nie potrzeba mi umoralniających pogadanek”.

„Dziewczyno, zastanów się”.

„Już się zastanawiałam”.

„Nie poznaję cię. Taka dobrze wychowana panna z takiego domu”...

„Czy nie można sobie pomarzyć? Że gdzieś tam jest ten jedyny, idealny mężczyzna, który”...

„Który co, weźmie sobie Niemkę za żonę? W tych czasach? W takich okolicznościach?”

„Karol mówił”...

„A tam, Karol. Wciąż tylko Karol i Karol. Zobacz, dokąd go to wszystko zaprowadziło. Cudem dostał pracę, a przez tyle lat był pariasem z piętnem wojny na

czole... Mógł zmienić nazwisko jak inni i żyć sobie spokojnie. Ale nie, magnacka buta doprowadziła do tego, że mieszkacie kątem u jakichś Polaków, którzy wyrzucili poprzednich lokatorów. Nie wstyd ci?”.

„Ludzie nie postępują racjonalnie”.

„Może ta argumentacja miałyby sens w teoretycznych dywagacjach, ale tu chodzi o twoje życie. I co chciałabyś być panią kapitanową? Już to widzę. Chodziłabyś w odwiedziny z mężem do tych, co Niemców mają za nic. Nie pomogłoby mu to w karierze, o nie”.

„Nie można już cieszyć się tym, co się ma? Czy trzeba za wszelką cenę robić karierę?”.

„Nie za wszelką, ale nie zaszkoziłoby. Nawet jak skończysz te studia, to co, myślisz, że dojdiesz do czegoś więcej?”.

„Och, zamknij się już!”.

„Jasne, argument siły. Mamy chwilkę czasu na dyskusję, więc nie marudź”.

„W tej chwili oczekuję do ciebie pomocy w tej konkretnej sytuacji, a nie nauk na całe życie”.

„Ale racjonalizm nie pomaga w konkretnych sytuacjach, służy tylko do ich racjonalizowania”.

„I co, taka jesteś bohaterka? Chcesz mnie tylko przygotować na najgorsze, wymawiając mi moje uczucia wobec Stefana?”.

„Po to tu jestem”.

„No to idź sobie. Nie potrzebuję cię”.

„Jeszcze zobaczymy”.

„Idź, idź. I nie wracaj więcej”.

„Żebyś nie żałowała. Pamiętaj, że cię ostrzegałem”.

„Każdy sam płaci za swoje błędy w życiu”.

„Jak tam sobie chcesz”.

„Tak, tak właśnie chcę”.

„No to idę. I nie wrócę”.

„Krzyżyk na drogę”.

Pozbywszy się natarczywego głosu rozsądku, Jadwiga zaczęła szukać jakiejś ostrej krawędzi, którą mogłaby poprzecinać więzy na nadgarstkach. Rama łóżka była zrobiona z metalu, ale jak na złość miała wyłącznie obłe kształty. Wchodziły w grę jedynie nocna szafka i mosiężny uchwyt w ramie okna. Koncentrując się na tym, żeby nie spaść z łóżka, Jadwiga zsunęła nogi i próbowała podsunąć się w stronę ostrej krawędzi szafki. Nagle usłyszała kroki na korytarzu.

– Marienkäferchen, bist du da? – Rozległ się głos zza drzwi.

„A nie mówiłem?” – zawtórował mu głos rozsądku.

Jadwiga zamarła w bezruchu i czekała, co się stanie dalej.

Warkot otworzył drzwi i zobaczył w nich Gromiła. Wyglądał jak po morderczej walce z zawodnikiem wagi ciężkiej, jakby właśnie przed chwilą zszedł z ringu, bo zapiekły trener nie chciał rzucić ręcznika po pierwszym nokaucie.

– Matko... – wyszeptał Warkot. – Wchodź, zdejmij palto.

Gromił wszedł do mieszkania i się rozejrzył.

– Basia w pracy?

– Tak, poszła przed chwilą. W listopadzie wspaniale się śpi, ale wstać trudno.

Był już wieczór. Na placu Kościuszki pierwsze neony we Wrocławiu mrugały do mieszkańców, tworząc złudzenie dostatku. HERBAPOL – świecił ten na wprost. SAVOY – informował ten po lewej stronie. Sznur reflektorów samochodowych odbijał się od wilgotnej nawierzchni, tworząc coś na kształt długiej gąsienicy. Czasem zazgrzytały koła tramwaju wiozącego do domów spóźnionych wrocławian. W wielu oknach świeciły się jeszcze lampy, a gdzieś widać było niezdrową, błękitną poświatę telewizorów. Właśnie zaczynał się dziennik.

Warkotowie nie mieli jeszcze odbiornika telewizyjnego, bo mieli inne potrzeby. Odkładali na samochód. Bardzo by się przydał, choćby do wspólnych wypadów za miasto albo na wczasy. Oczywiście pod warunkiem, że dadzą im urlop w tym samym czasie. Było to jednak ich marzenie i Janek jako pierwszy z rodziny zdobył prawo jazdy.

– Siadaj, napijesz się herbaty?

– Tak, a może masz coś mocniejszego?

– Mam winiak. Może być?

– Dawaj.

Gromił nie miał czasu, żeby wcześniej zrelacjonować przyjacielowi wydarzenia tego dnia. Tropiąc przestępców i zmagając się z kontrwywiadem, zapomniał na śmierć o przyjacielu. Teraz Warkot słuchał jego relacji z otwartymi ustami, co chwila tłumiąc odruchy emocji. Przyjaciel mówił mu to wszystko beznamiętnym głosem, choć widać było, że pod spodem aż się gotuje.

Janek widział już Stefana w takim stanie. Przy sprawie sprzed lat, kiedy zaczęła się ich przyjaźń. Była to bezsilna wściekłość, której przejawy bardzo rzadko gościły na spokojnym zazwyczaj obliczu wtedy porucznika Stefana Gromiła. Obecnie krępowały go dwa czynniki.

Po pierwsze, porwano dziewczynę, na której, co Warkot widział wyraźnie, zaczynało mu naprawdę zależeć. Doskonale znał stan, w którym chciało się za wszelką cenę ochronić przed złem ukochaną, ale nic nie można było na razie zdziałać. Po drugie, wszechwładny major kontrwywiadu, który nie musiał się tłumaczyć przed nikim i też nie zamierzał tego robić, nie krył się z wrogą postawą wobec Gromiła. W pracy miał co prawda kilku sprzymierzeńców, bo był lubiany i szanowany, ale wiadomo – rozkaz to rozkaz.

Na szczęście Bractwo poza tym wszystkim posiadali sojusznika z zaświatów, o czym

wiedziała jedynie garstka ludzi. Dawało to jakąś nadzieję.

– No a Słupecki?

– Nie udało mu się powstrzymać tych drani przed porwaniem. Teraz szpieguje Kalamatasa, bo nie wiadomo, co ten bandzior w mundurze knuje. Musimy go nakryć na gorącym uczynku, złapać, zaskoczyć, tak żeby się nie mógł wyłgać, że to oficjalna akcja kontrwywiadu. Oni i tak działają na granicy prawa, więc szanse są małe. Zawsze może zasłaniać się wyższą koniecznością, procedurą specjalną przy łapaniu takich łotrów, jak Müller. Gdybyśmy nakryli go na ordynarnej kradzieży, próbie wywozu kosztowności na Zachód, wtedy sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.

– A ten cały Socha?

– Nie wiem, czy on sam w tym wszystkim nie siedzi. Na razie wykonuje polecenia Kalamatasa co do joty.

– A gdyby przekonał się, że major będzie chciał z niego zrobić kozła ofiarnego?

– Tak, wtedy moglibyśmy mieć sojusznika w ich obozie. Ale to straszna menda, musiałby dostać pismo od samego ministra, żeby wystąpić przeciwko przełożonemu.

– A może mu trochę pomożemy? – Rozległ się znajomy głos.

– Pan Leon! – ucieszył się Janek.

– Zawsze ma wejście jak Cajmer o północy – rzucił zgryźliwie Gromił. – Co tam słyhać u naszego asa kontrwywiadu?

– Nie jest dobrze. Wzięli młodego w obroty. Kalamatas na zmianę z Sochą i takim jeszcze jednym obwiesiem.

– O co go pytają?

– Ile wie milicja.

– I o nic więcej?

– Normalnie: nazwiska, adresy, kontakty.

– Biją go?

– Mocno. – Wydawało się, że Słupecki za chwilę zapali się na wspomnienie. – Chłopak może długo nie wytrzymać. Jak się złamie, to będą mieli haka na Stefana, bo to będzie dowód, że ukrywał dowody przed Kalamatasem i jego ludźmi.

– Niech pan tam wraca i jakoś go podtrzyma na duchu.

– Chłopak może się dopiero wtedy załamać. Pomyśli, że ma zwidy.

– Niemniej jednak...

Słupecki udał, że dotyka runda kapelusza i zniknął. Wrócił po ledwo kilku minutach.

– Nie ma go.

– Jak to nie ma?

– Normalnie. Nie ma go w pokoju przesłuchań, nie ma go w celi. Zniknął.

Wszyscy trzej spojrzeli po sobie. Gromił chciał coś powiedzieć, ale po namyśle zmilczał. Za dużo było tych tajemniczych zniknięć.





ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY ...niewielka góraska miejscowość...

Piątek, 15 listopada 1957 roku rozpoczął się gęstą mgłą nad miastem. Zupa mleczna była tak zawieszona i treściwa, że sylwetki mijanych na ulicy przechodniów zdawały wyłaniać się niczym zjawy z pomroki dziejów i Gromił nie zdziwiłby się wcale, gdyby któraś z nich nosiła kaftan kolczy albo białą kryzę. Miał niejasne przeczucie, że w takie dni wrocławskie duchy wychodzą na ulice miasta, z zaciekawieniem otwierając oczy. Mogą też kręcić głowami ze zdziwienia, widząc najnowsze pomysły architektoniczne w mieście. Gromił był pewien, że warszawskie duchy mają jeszcze gorzej i włos im się jeży na widok tego, co forsowali w ich pięknym mieście nowi architekci.

Drogę do pracy znał na pamięć, nie musiał więc błędzić po omacku. Należało tylko uważać, żeby na nikogo nie wpaść w tej kaszy. Fosa wyglądała, jakby była zasypana śniegiem.

Kiedy kapitan Gromił wszedł do swojego pokoju, mijając puste jeszcze krzesło sekretarki, od razu zauważył, że coś leży na biurku. Z jego nazwiskiem.

Przyjrzał się jej uważnie. Koperta jak koperta. Ktoś zadał sobie trud, żeby napisać „Kapitan Stefan Gromił” na maszynie do pisania. „Ł” było jakieś takie niewyraźne. Spostrzegł, że dopisano kreskę ręcznie. Najwyraźniej maszyna nie miała jej w zestawie czcionek. Nie było znaczka ani pieczętki.

Gromiłowi zrobiło się gorąco. Wziął z biurka nóż do kopert i starannie, pilnując, żeby nie poszarpać papieru, rozciął ją w miejscu klejenia. Kartka. Złożona na czworo.

Mamy twoja dziewczyna. Zadnych nerwowych ruchów bo mała biedronka zginie. Trzymaj się od nas z daleka.

Grono życzliwych

Słowa, które przysły Gromiłowi od razu do głowy, były dla „Grona życzliwych”

mocno niepochlebne. Zezłościła go też „mała biedronka”, bo porywacze wazyli się na poufałość, na jaką on sam nie śmiał sobie pozwolić. Piegi dodawały Jadwidze uroku i na myśl, że jakiś łachudra ośmielił się głośno komentować ten fakt, Gromił zaciskał pięści w bezsilnej złości.

Opanował emocje, bo na nie przyjdzie jeszcze pora. Teraz musiał zachować spokój i zimną krew. Kto mógł doręczyć ten list? Przecież trzeba było mieć przepustkę do budynku. Wszystkie wejścia i wyjścia były kontrolowane. Narzucało się tylko jedno wytłumaczenie. A właściwie potwierdzenie Gromiłowych przypuszczeń. Tylko osoba ze stałą przepustką mogła bez przeszkód wejść tutaj i zostawić kopertę na biurku. Ktoś musiał użyć ponemieckiej maszyny do pisania, co tłumaczyło brak polskich czcionek. Sprzęt był nie do namierzenia, bo mógł stać na jakimś strychu pośród pajęczyn.

Zniknięcie młodego Raufenberga, porwanie Jadwigi, niemal oficjalna wojna z majorem Kalamatasem – w tej sprawie co chwilę natykał się na kolejne przeszkody. Nawet odnalezienie trzeciego klucza na nic się zdało. Nie był w stanie wyzwolić się z okowów służbowej hierarchii, a do tego jeszcze doszedł aspekt osobisty i jego uczucia wobec Jadwigi.

Kapitan Gromił poczuł się nagle bardzo zmęczony i stary.

Kiedy funkcjonariusz milicji obywatelskiej, porucznik Władysław Fafuła, wszedł do zacisznej kanciapy przy archiwum, zastał na biurku kolejne stosy akt, z którymi musiał się dzisiaj uporać. Lubił swoją pracę. Nie wymagała od niego biegania i strzelania, jedynie cierpliwości i benedyktyńskiej pracowitości.

Długoletnia praktyka w przeglądaniu, sortowaniu i wyłuskiwaniu potrzebnych informacji wyostrzyła w nim instynkt. Potrafił z pozornie nieistotnych strzępów informacji sklecić spójną całość, łącząc jedne dane z innymi. Był cenionym pracownikiem pionu śledczego, bo niejedną sprawę rozwikłano tutaj, w jego piwniczce przylegającej do pomieszczeń z metalowymi półkami wypełnionymi szarymi teczkami, z których wiele nosiło jeszcze pieczęcie pamiętające początek wieku. Fafuła znał język niemiecki i rosyjski. Na inne w jego pracy nie było zapotrzebowania, choć on sam zgłębiał tajniki francuskiego i angielskiego z płyt i samouczków, tak na wszelki wypadek, gdyby go mieli awansować. Praca w wywiadzie i kontrwywiadzie była nerwowa, bo kierujący tymi pionami oficerowie mieli dość paskudne charaktery i byli apodyktyczni. Nie miałby jednak nic przeciwko, gdyby kiedyś...

Zdjął palto i kapelusz. Zaparzył ulubioną herbatę koloru brunatnej smoły i stukając głośno łyżeczką o brzegi szklanki, przysiadł na krześle, spoglądając na równo poukładane na blacie kartki z jednej z szarych teczek. Odręczne pismo w języku niemieckim było trudne do rozszyfrowania, na szczęście dokument powstał w czasach, gdy przywiązywano większą wagę do staranności pisma i zasad kaligrafii.

Aluminiowa łyżeczka zamarła w powietrzu. Fafuła zamrugał oczami z niedowierzaniem. Chyba coś mu umknęło. Zerknął raz i drugi na dokument opatrzony

klauzulą *Streng Geheim*.

Ktoś przypiął zdjęcie do akt. Fotografie wykonano gdzieś w latach dwudziestych. Widać było na niej młodego człowieka o pociągłej twarzy z zaciętymi ustami. Spoglądał na niego pewny siebie, arogancki młodzieniec, który zdawał się rzucać wyzwanie całemu światu.

Porucznik Fafuła sprawdził dwukrotnie nazwisko. Nic się nie zgadzało. Znaczy, wszystko się zgadzało, jeśli patrzeć na to z punktu widzenia zupełnie absurdalnej teorii kapitana Stefana Gromiła. Kropelki potu wystąpiły porucznikowi na czoło. Trzymał w ręku prawdziwą bombę. Wyciągnięta z górnej półki zaczęła najspokojniej tykać ukrytym mechanizmem, który do tej pory spoczywał w uśpieniu.

Jeśli to się potwierdzi... Nawet nie chciał myśleć na ten temat. Nie odważył się dokończyć tej myśli.

Ponownie przebiegł wzrokiem po starannie nakreślonych literach. Spojrzał na datę. 16 listopada 1932 roku. Pieczęć, podpis, wszystko się zgadzało. Wklejona fotografia nie pozostawiała złudzeń. Młodzieniec miał na sobie mundur. Był wtedy w stopniu podoficerskim armii niemieckiej, która za chwilę wyleje się na całą Europę.

Z fotografii spoglądał na niego młodszy o dwadzieścia pięć lat major kontrwywiadu Zenon Kalamatas, tylko że nosił wtedy zupełnie inne nazwisko. Porucznik Fafuła podniósł słuchawkę telefonu, ale się zawahał. Po namyśle włożył nową kasetę do aparatu do kopiowania akt. Przekręcił ebonitowy wyłącznik. Na zewnątrz zapaliło się czerwone światelko NIE WCHODZIĆ.

Wziął dokument z biurka i starannie umieścił na specjalnej tablicy podtrzymującej fotografowane dokumenty. Kiedy skończył, sam wywołał zdjęcia i zrobił kilka odbitek. Kliszę zabezpieczył, a poszczególne odbitki schował do kilku kopert. Trzymając w dłoniach jedną fotokopię, wykręcił numer przełożonego, przyciskając słuchawkę.

Pułkownik Jacek Horeszko był u siebie.

W tamtych czasach nie było nic niezwykłego w tym, że trzech synów z jednej porządnej rodziny idzie do wojska. Na ochotnika. Zygfryd, najstarszy poszedł jako pierwszy, jeszcze kiedy trwała Wielka Wojna. Został ranny i jakoś przeżył. Otrzymał awans i Krzyż Żelazny, którym w tamtych czasach zbytnio nie szafowano. Bliźniacy, Jürgen i Otto zaciągnęli się do wojska. Skierowano ich do szkół, żeby zmyć hańbę Traktatu Wersalskiego, która zaciążyła na Rzeszy Niemieckiej.

Już wtedy w latach dwudziestych zaczął wiać nowy wiatr od hamburskich piwiarni, w których zbierali się niezadowoleni z ówczesnego porządku. Jürgen dostał awans na oficera, a Ottona przyjęto do elitarnej szkoły wywiadu, w której zgłębiał tajniki zdobywania informacji i infiltracji wrogich środowisk. Rzucono go na linię walki z komunistami. Wiadomo było, że Rosja Sowiecka robi, co może, żeby wywołać rewolucję w Niemczech. Płacili za to słono w złocie i obcych walutach, wierząc, że kiedy Niemcy ogarnie rewolucyjna pożoga, przejdą przez osłabioną Polskę w ciągu

kilku dni i zgodnie ze słowami rewolucyjnej pieśni komunizm zapanuje na całym świecie. Oczywiście w dłuższej perspektywie. Stało się jednak inaczej, bo Polacy spuścili Sowiecom łomot, którego ci się nie spodziewali. Oczywiście z biegiem czasu władze niemieckie też nie zamierzały spokojnie się przyglądać pracy obcej agentury na ich terytorium.

Otto otrzymał zadanie, które wymagało niezwyklej precyzji i ostrożności. Podczas ostatniej wizyty w rodzinnym domu pożegnał się z ojcem i matką, bo nie wiedział, czy ich jeszcze zobaczy. Nie zdradził też tajemnicy wojskowej misji, dokąd się udaje ani czym będzie się zajmował.

Wyrobiono mu nowe papiery, jak najbardziej autentyczne. Mówił już biegle po rosyjsku, co pomagało mu w brygadach czerwonych rewolucjonistów. Posługiwał się też językiem polskim, co było tak samo przydatne w jego zadaniach. Otto poszedł za głosem serca i położył na szalę swoją karierę, wiążąc się z nową formacją, która zdobywała coraz większe wpływy w kraju.

Abwehra dawała nowe możliwości utalentowanym żołnierzom. Hindenburg praktycznie oddał pełnię władzy nowemu kanclerzowi, który energicznie zaczął wprowadzać nowe porządki w państwie. Bracia widzieli się po raz ostatni na dworcu kolejowym w Breslau, kiedy to Otto wyjeżdżał do Rumunii, żeby stamtąd ruszyć dalej na wschód, wypełniając polecenia przełożonych. Tam wszelki ślad po nim zagał. Pojawił się dopiero w 1943 roku pod zmienionym nazwiskiem w mundurze porucznika Armii Czerwonej. Jako osoba znająca język polski miał za zadanie nadzorować werbunek nowej armii złożonej z mięsa armatniego, które Sowieci mogli rzucić na najbardziej newralgiczne odcinki frontu. Wiadomo było, że Polacy będą walczyć co sił z Niemcami, nie zadając zbędnych pytań. Co prawda Generał Anders okazał się zdrajcą i pierwsza próba wzięcia polskiego żołnierza pod but skończyła się niepowodzeniem, dlatego formując kolejne siły polskie, postanowiono zwiększyć kontrolę i powierzyć dowództwo sprawdzonym towarzyszom, z których niewielu posługiwało się tym ich szeleszczącym językiem.

Otto awansował. Choć informacje przekazywane przez niego do niemieckiego wywiadu były coraz rzadsze, żeby nie powiedzieć sporadyczne, wciąż był uważany przez swoich za prawdziwego konia trojańskiego zdolnego przechylić szalę tej wojny na korzyść państw Osi. Klęska wojsk niemieckich pod Stalingradem rozwiąła te marzenia. Wtedy właśnie Otto po wielu latach spotkał się z bratem.

Wypatrzył jego wysoką, wyprostowaną sylwetkę w obozie jenieckim. Stał tam opatulony w szynel wojskowy z zerwanymi dystynkcjami i czapce oficerskiej przewiązanej jakąś szmatą. Musiał postępować bardzo ostrożnie, tym bardziej że pierwsze transporty niemieckiego wojska już ruszyły, żeby zasilić szeregi robotników na Syberii. Wydostanie Jürgena z niewoli kosztowało go dwa litry spirytusu i pęto kiełbasy. Krasnoarmiejec na wartowni nie dyskutował z – już wtedy – kapitanem.

Otto przebrał brata w cywilne łachy, wystawił mu odpowiednią bumagę, jak

najbardziej autentyczną, i nakazał przedostanie się przez linię frontu do swoich. Jakimś cudem mu się to udało. Jako bohater wojenny został przekazany pod opiekę dowódcy nowej formacji wojsk specjalnych, która wykonywała najtrudniejsze zadania na tajnym froncie wojny. Kiedy było już jasne, że losy Niemiec są przesądzone, wysłano go w tajnej misji w rodzinne strony, gdzie też przeszedł do konspiracji. Otto uniknął udziału w burzeniu miast własnej ojczyzny i został skierowany do polskiego Lublina, gdzie nadzorował pracę bezpieczeństwa na tym terenie. Wtedy już całkowicie utracił kontakt z łącznikami będącej w rozsypce armii Trzeciej Rzeszy, która miast tysiącletnia okazała się być jedynie kolejnym epizodem w historii narodu niemieckiego.

W tej sytuacji Otto postanowił nie rezygnować z władzy i przywilejów. Podjął pracę w komórce wywiadu i kontrwywiadu armii. Założył polski mundur, żeby uwiarygodnić się w środowisku wojskowym. Mówił po polsku już bez obcego akcentu, więc tam, gdzie go nie znali, mógł uchodzić za swojaka. Pracę wykonywał niezwykle sumiennie, mszcząc się za całe swoje życie wśród wrogów. Tropił polskie podziemie, aresztował przedwojennych oficerów z AK z wielką zaciekłością, wzmacnianą przekonaniem, że są współwinni za los upokorzonej ojczyzny.

Przez zaufanego sąsiada Otto otrzymał informacje o śmierci rodziców i o tym, że jego Jürgen żyje. W 1949 roku dostał przydział do Wrocławia i zadomowił się tutaj. Mógłby też bez przeszkód kontaktować się z bratem. Jediną przeszkodą był pewien gołowąs, którego Jürgen nieopatrznie przygarnął do grupy Werwolfu. On jedyny widział braci razem, jeszcze za główniarza, w rodzinnej miejscowości, ale do tej pory milczał jak kamień zdjęty przerażeniem. I Otto miał zamiar dopilnować, żeby zamilkł na zawsze. Musiał się tylko upewnić, czy nie chlapnął niczego na ten temat swojej rodzinie.

Trzymali u siebie Hedwig, więc był pewien, że jej bratanek będzie milczał, nawet jeśli coś wie. W paradę wszedł mu jeszcze jeden, kapitan Gromił – parsknął pogardliwie na samo wspomnienie – niepotrzebnie sam wciągnął go w tę sprawę. Znał jednak sprawę konsula Sabieja i pomyślał, że należy przytrzeć nosa temu zarozumiałemu milicjantowi. Do tego przyjaźnił się z mordercą jego rodziców, tym całym Warkotem. Tutaj Otto miał wszelkie atuty w rękawie. Jürgen poprosił go o przysługę i poinformował o perspektywie szybkiego wzbogacenia.

Otto miał zabezpieczać tyły, mylić pogonie i tak wszystko zagmatwać, żeby się udało. Nie interesowało go, co Jürgen robi ze swoją częścią zawartości kolejowego składu, on miał zamiar używać życia za te wszystkie lata spędzone wśród Słowian. Za głód i za wszy, które żarły go nie raz. Za aroganckie spojrzenia dumnych akowców, których nie mógł ostatecznie złamać na duchu, choć torturował ich z dużą wprawą. To wszystko miało pozostać poza nim.

Jeszcze tylko kilkanaście dni...

Wystarczyło trzymać młodego Raufenberga w zamknięciu, tak jak jego ciotkę, a na odchodne zlikwidować obydwójce na wszelki wypadek. Teraz mając Hedwig, trzymał

w szachu Gromiła, a więzząc Krystiana, trzymał w szachu Karola Raufenberga – jeśli w ogóle coś wiedział, choć Otto w to akurat wątpił. Młody był w konflikcie ze stryjem i raczej by mu się nie zwierzał, co innego z Hedwig.

Jutro mieli otworzyć skład i przenieść cenną zawartość ładowni do specjalnie przygotowanych skrytek w dwóch autobusach. Jak gdyby nigdy nic będą czekały na dziedzicu komendy na wyjazd na ten ich mecz. Pod latarnią zawsze najciemniej.

Teraz każdy przeskok sekundowej wskazówki zegara dłużył mu się niemiłosiernie. Chciał mieć to wszystko za sobą. Wyjechać, zapomnieć. Paszport miał już gotowy, schowany w ogniotrwałej szafie. Udając wielkie zainteresowanie piłką nożną, dostał od przełożonych zadanie koordynacji tego wyjazdu. Dysponował całym aparatem władzy i nieograniczonymi możliwościami przejścia na zachodnią stronę w podzielonym na pół Berlinie. Wystarczyło tylko wyjechać z Lipska tuż po rozpoczęciu meczu w jednym z wozów z grupą brata. W niektórych miejscach nie było nawet punktów kontrolnych.

Tylko ten czas dłużył się niemiłosiernie...

Pułkownik Jacek Horeszko przetarł drżącą dłonią spoczone czoło. Porucznik Fafuła wpadł na trop grubej afery z udziałem jednego z wyższych oficerów kontrwywiadu. Major Zenon Kalamatas okazał się być – mówiąc językiem ówczesnej nomenklatury – groźnym szpiegiem obcego mocarstwa. Zasiadającym agentem, któremu jednakowoż należało wszystko udowodnić z racji jego pozycji i stanowiska. Miał zbyt wielu potężnych sprzymierzeńców i przyjaciół.

Pułkownik ryzykowałby wszystkim, gdyby nie poparł oskarżeń żelaznymi dowodami. Na początek więc zobowiązał Fafułę do zachowania ścisłej tajemnicy. Gdyby to wyszło na jaw za wcześnie, wywołałoby burzę, po której wielu straciłoby posady i nic więcej by z tego nie wyniknęło. Fafuła odkrył tylko wierzchołek góry lodowej, bo przecież nie było więcej dokumentów o działalności Kalamatasa, a nawet jeśli były, to nie mieli do nich dostępu. Gdyby tylko udało się udowodnić ich pokrewieństwo, to byłby już jakiś krok w dobrą stronę. Martwił się też o Stefana, bo major najwyraźniej otwarcie wszedł na ścieżkę wojenną z jego kapitanem.

Po namyśle wziął słuchawkę do ręki i wykręcił wewnętrzny numer.

To była niewielka górską miejscowość. Na końcu wsi znajdował się drewniany, niemiecki pensjonat, który wcześniej służył spiskowcom za skrytkę. Agent – kierownik ośrodka – siedział w jadalni blady jak ściana. Nie podobali mu się ci dziwni turyści. Przyjechało najpierw dwóch. Jeden wielki jak szafa trzydrzwiowa, blondyn z wydatną szczęką, drugi jakiś taki szczerowaty z rozbieganymi oczkami. Wynajęli kilka pokoi na najwyższym piętrze – praktycznie było to już poddasze. Zapłacili z góry za dwa tygodnie i zapowiedzieli, że będą się tu zjeżdżać ludzie z ich zakładu pracy.

Wczoraj po zmroku zajęli pierwsze dwa. Następnego dnia kolejne. Pojawiali się na posiłkach, część jedzenia zabierając na górę. Mówili, że kolega trochę słaby po

towarzyskim spotkaniu i trzeba mu jedzenie donosić. Agent milczał, bo goście płacili i to z nawiązką, a przecież to nic dziwnego, że ktoś sobie chlapnie kilka głębszych, radując się szumem strumienia za oknem i czystym powietrzem. Ludzie muszą odpoczywać, żeby potem wydajniej pracować. Normalna rzecz.

Niepokoili go jednak aura, która otaczała tych niecodziennych turystów. Pierwszego dnia ten duży wszedł do czarnego samochodu i odjechał w nieznanym kierunku. Wrócił późno, taszcząc jakieś toboły. Po dwóch godzinach znów wyjechał. Wyglądało na to, że to jacyś geolodzy, bo mieli ze sobą liny i czekany niczym taternicy. Ale na dole pojawiali się rzadko.

Agent postanowił sprawdzić, co się dzieje w odizolowanej od reszty części budynku. Na paluszkach wszedł po skrzypiących schodach, których nie dało się wyciszyć. Nawet miejscowy kot tupał na tym starym drewnie. Kiedy stanął na szczycie wąskich bocznych schodów, drogę zagroził mu ten szczurowaty.

– Słucham, czego pan chce?

– Ja tylko...

– Wszystko mamy co potrzeba. Brakuje nam tylko spokoju. – Szczurowaty spojrzał na niego znacząco.

– Tak, oczywiście...

– No to żegnam szanownego pana.

– Wydawało mi się, że żarówka się przepaliła.

– Nic się nie przepaliło.

– Ale ja przecież...

– Niby jak mamy tu wypocząć, jak nam ciągle ktoś przeszkadza?

– Bardzo proszę...

– No chyba się zrozumieliśmy, co? – W jego głosie zabrzmiała zupełnie nieskrywana groźba.

Agent znał ten typ, bo przez powojenne lata na tych terenach musiał walczyć o przetrwanie z rozmaitym elementem. W tonie głosu szczurowatego wyczuł coś więcej. Determinację. Nieustępliwość. Dlatego też podał tyły i nawet mu przez myśl nie przeszło, żeby zadzwonić na milicję. Wiedział, jak by to się skończyło.

Za jednych drzwi dobiegł stłumiony odgłos. Jakby ktoś próbował ostrzec innych przed niebezpieczeństwem, ale mu przeszkadzał knebel. Agent drgnął. O sekundę za późno. Olbrzymia pięść spadła mu na szczękę i zobaczył o wiele więcej gwiazd, niż było na karkonoskim niebie. Zachwiał się i osunął po boazerii.

Krystian próbował wyzwolić się z więzów, ale ten kto go spętał, znał się na swojej robocie. Szmata, którą wcisnęli mu do ust, skutecznie głuszyła wszelkie próby wezwania pomocy. Leżał na podłodze, rzucony jak pusty worek.

Za oknem słychać szumiał strumień. Szarpnął się jeszcze raz i cienki szpagat boleśnie wraził mu się w nadgarstki związanych z tyłu rąk.

Pomacał językiem chwiejący się ząb. Zlali go fachowo. Czuł, jak opuchlizna nabiera treści. Gorączkowo zastanawiał się nad tym, co może być dalej. Nie miał złudzeń. Dwumetrowa sylwetka majora bezpieczeństwa, tam w komendzie, uwolniła skrywane wspomnienia. Tak, widział ich razem. Każdy, kto miał okazję spotkać obu braci Müllerów, od razu dostrzegał wyraźne pokrewieństwo. Dopiero teraz jednak, kiedy dowiedział się, że jeden z braci jest oficerem kontrwywiadu, pojął pełną groźbę sytuacji i mizериę swego położenia. Został osaczony. Tylko cud mógł go z niej uratować. Tyle że Krystian w cuda nie wierzył ani też na żaden nie liczył. Chciał tylko, żeby jego ciotka i wujek byli bezpieczni. Przecież niczemu nie byli winni. Zostali uwikłani w to wszystko przez niego. Krystian z każdą chwilą odczuwał coraz większe brzemię winy.

Nagle usłyszał przez ścianę jakieś głosy. Przyłożył ucho do drewnianej boazerii, choć sprawiło mu to ból. Natężył słuch. Rozmowa toczyła się po niemiecku.

– Gadaj teraz, co wiesz – powiedział jakiś mężczyzna.

– Ale ja nic nie wiem – odparła Jadwiga. – Nie wiem, czemu się tu znalazłam i czego ode mnie chcecie.

– Co ci bratanek powiedział? Co powiedziałaś temu milicjantowi?

– Nic mi nie powiedział. Widziałam się z nim krótko. A ze Stefanem nie rozmawiałam na te tematy.

– He, he – zarechotał drugi mężczyzna. – Jasne, że nie na te...

– Macie mnie natychmiast uwolnić. Będą mnie szukać.

– Już lecę. Trzymajcie mnie, bo się przewrócę – zarechotał pierwszy. – Gadaj, suko jedna, bo inaczej z tobą zatańczymy!

– Aaaach!

Krystian usłyszał z przerażeniem, że jeden ze zbirów najwyraźniej zabrał się do bicia. Szarpnął się bezsilnie.

– Puście mnie! Ja nic nie wiem!

Trwało to jakiś czas i po chwili Krystian usłyszał tylko szloch zza ściany.

– Zostaw ją, będzie czas później się zabawić. Może naprawdę nic jej nie powiedział.

– A ja bym zaciągnął tu tego gnojka i pokazał mu, jak ciotunię sprawiamy...

– Zostaw ją. Stary przyjeżdża za chwilę. Trzeba będzie jechać.

– A co z nimi?

– Jak to co? Na pakę i hajda. Niech sobie popatrzą, co tam mamy.

– A ten agent nie sypnie?

– Ani zipnie. Na odchodnym dostał w łeb, a potem się jeszcze poprawi. Tak na wszelki wypadek.

Nagle rozległy się głośne kroki na schodach, jakby ktoś zbiegając, przeskakiwał po dwa stopnie.

W pomieszczeniu obok zakotłowało się, trzasnęły otwierane na oścież drzwi, potem rozległo się dudnienie podkutych butów. Dopadli intruza na półpiętrze.

W tym samym czasie w domu na wrocławskim Śródmieściu w półcieniach klatki schodowej rozległy się czyjeś kroki. Nie skradały się, ale też nie zapowiadały głośno wizyty. Były miarowe i wyważone. Dłoń w rękawiczce zacisnęła się na framudze drzwi. Gość nacisnął palcem jeden z kilku dzwoneczków umieszczonych jeden pod drugim.

W mieszkaniu ktoś był. Podszedł do drzwi. Skrzypnęło i uchyliły się na szerokość szpary, na którą pozwalał łańcuch. Karol Raufenberg nie widział dobrze w mroku, ale postać zbliżyła się do framugi i oczy zubożalego arystokraty rozszerzyły się jak spodki. Zdażył tylko dostrzec zimny poblask metalu i lufę walthera. Napastnik strzelił dwa razy.

Karol osunął się na ziemię i znieruchomiał. Mężczyzna nasłuchiwał przez chwilę. Jeśli nawet ktoś słyszał wystrzały, siedział teraz cicho jak mysz pod miotłą, bojąc się wyściubić nosa na zewnątrz. Mężczyzna schował broń i szybko zbiegł po schodach. Dopiero kiedy znalazł się w bramie, usłyszał głośny krzyk: „Miiiiicjaaa!”, wysoki, świdrujący, histeryczny.

Wsiadł do czarnego samochodu, który stał tuż za rogiem na włączonym silniku, zatrzasnął drzwiczki. Wóz ruszył z piskiem opon i zniknął w listopadowym mroku. Całe wydarzenie nie trwało dłużej niż trzy minuty. Była to dobrze przemyślana i dopracowana przy całej swej spontaniczności akcja. Dopiero po chwili kamienica ożyła niczym wewnątrz termitiery, do której ktoś wsadził tłące się pakuły. Jakby jej mieszkańcy dopiero teraz zrozumieli, że to, co słyszeli, wydarzyło się naprawdę.

Gromił poderwał się z domowego fotela, gdy zadzwonił telefon. Znów zasnął w ubraniu, nawet się nie kładąc. Dochodziła piąta nad ranem. Głos po drugiej stronie słuchawki relacjonował mu dramatyczny przebieg ostatnich wydarzeń. Karol Raufenberg został zastrzelony w swoim mieszkaniu. Żadnych świadków, nikt nic nie widział i nie słyszał. Gromił ścisnął słuchawkę telefonu, tak jakby chciał ją skruszyć pod palcami.

Karol. Zdażył się już zaprzyjaźnić z tą nietuzinkową osobą. Owszem zupełnie nie pasował do tej epoki, ale dodawał do niej kolorytu, którego wojna ją pozbawiła. Gromił domyślał się, że nie był to żaden bandycki napad, tylko egzekucja. Skoro przestępcy nie zawahali się wykonać wyrok na Bogu ducha winnym człowieku, to co może grozić Jadwidze? Zakręciło mu się w głowie. Odłożył słuchawkę telefoniczną na widełki. Jak automat ruszył do szafy, wyjął ciepły sweter, czapkę i szalik. Zaczął się ubierać. Sprawdzał, czy ma zapasowe magazynki do pistoletu, a pas z kaburą zacisnął z taką siłą, że mało troku nie urwał. Dość tego!

Zszedł po schodach, czujnie się rozglądając. „Grono życzliwych” mogło szykować niespodziankę i dla niego. Przed bramą stał milicyjny gazik z sierżantem Kuźniakiem za kółkiem.

Zaczął wiać ostry, zimny wiatr – zapowiedź śniegu. Na ulicach tak wcześnie rano nie było prawie nikogo, tylko kilka spóźnionych sylwetek przemykało się do domów. Kuźniak nie patrzył Gromiłowi w oczy, gdy się witali. Unikał jego spojrzenia.

– Nie miałem kogo tam dać – odezwał się z boleścią w głosie. – Jedna grupa pilnuje Warkota, Kasia w szpitalu, podobnie jak dwóch innych wywiadowców. Mogłem wyruszyć dopiero rano, bo chłopaki padali na nos po dwóch dniach bez snu...

– Nie obwiniaj się – rzucił półgębkiem Gromił. – To nie twoja wina. Teraz tylko musimy im przypieprzyć z całej siły. Z całej siły, rozumiesz Kuźniak? Tak żeby zabolalo.

– Dokąd jedziemy?

– Najpierw na komendę. A dalej, zobaczymy. Mam już serdecznie dość tych drani. Bez względu na wszystko.

– Zawiadamiamy szefa?

– Zostawimy mu wiadomość. Teraz będziemy cały czas utrzymywać łączność. I musimy się spieszyć, bo najwyraźniej zbliża się czas rozstrzygnięć.

– A Kalamatas?

– A je... A jechał z nim pies!

Gazik ruszył z kopyta, a Gromił siedzący obok Kuźniaka włączył niebieskiego koguta. Z syreny na razie zrezygnował.

Było dobrze po północy, kiedy czarna limuzyna zajęła pod pensjonat w Ścięgnach. Już na niego czekali. Obok stała ciężarówka. Dwóch oprychów bezceremonialnie popychało dwójkę osób, a trzeci pomagał im wsiąść na pakę. Panowało przenikliwe zimno i widać było, że spadnie nowy śnieg. Müller rozejrzał się po oknach pensjonatu. Wszędzie było ciemno i głucho.

– Co z agentem? – zapytał wielkiego osiłka, kiedy załadowano już więźniów na pakę.

– Najwyraźniej spadł ze schodów i kark skręcił. Ale był jeszcze jeden. Taki dziadunio. No to ja go też w łeb. Na wszelki wypadek.

– Żyje?

– A gdzie tam. Na przeszpiegi przylazł. Aleśmy go dopadli. Na schodach. Leży tam. Wygląda, jakby się pokłócili, pobili, a potem razem stoczyli ze schodów. Strome są. Wypadki chodzą po ludziach. Tym bardziej przy takim wietrzysku. Ludzie korby dostają.

– Dobrze – uśmiechnął się Jürgen. – Za chwilę ruszamy.

Leżący u podnóża schodów Słupecki najpierw otworzył oko, a potem podniósł głowę. Nikogo. Na zewnątrz usłyszał, jak oprawcy włączają silniki dwóch pojazdów i ruszają w nieznaną. Zdematerializował się, posyłając pełne smutku spojrzenie w stronę ciała agenta, które leżało w nienaturalnej pozycji na ostatnim schodku.

Słupecki niewidziany przez prześladowców znalazł się na pace ciężarówki, gdzie leżeli Krystian i Jadwiga. Czuwało przy nich dwóch mężczyzn wyposażonych w peemy, gotowe do strzału. Opanowało ich uniesienie, bo oto zaczynało się coś, o czym marzyli od dawna. Wreszcie koniec z tym marazmem, można było podnieść przyłbicę. Teraz będą mogli odpłacić polaczkom za lata upokorzeń. Za to, że musieli się ukrywać, żyć

jak podrzędni cywile, byle tylko wtopić się w tłum. Odpłacą też zdrajcom III Rzeszy, którzy najwyraźniej zapomnieli o wszystkim i kolaborowali w najlepsze.

Siedzący najspokojniej w świecie obok Słupecki przyglądał się im spod byka. Oczywiście mógł uwolnić teraz tę dwójkę, a strażników wpędzić w stan panicznego strachu graniczącego z paranoją, ale nie był to dobry moment. Należało tylko ich pilnować i czekać, żeby dowiedzieć się, dokąd zmierza Herr Hauptsturmführer Jürgen Müller.





ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI ...prawdziwa niedźwiedzia gawra...

Jadwiga nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Przez kilkadziesiąt minut wieźli ją w nieznanym kierunku. Najgorsze było to, że nie wiedziała, w jakim celu. Gdyby chcieli ją z jakichś powodów zabić, zrobiliby to już dawno temu. Po co mieli ją ciągać ze sobą? Wyobraźnia podpowiadała jej różne nieprawdopodobne i straszne scenariusze, ale skutecznie broniła się przed nimi. Nawet jeśli na chwilę opanowało ją przerażenie, rzeczowa natura przegnała złe myśli, gdzie pieprz rośnie.

Wiedziała, że jest tu ktoś jeszcze. Nie zostawiliby jej bez opieki. Było jej bardzo zimno, a deski podłogi ciężarówki boleśnie wrzynały się jej w ciało. Nie była przyzwyczajona do niewygód, choć przeżyła niejedno. Nic nie widziała, bo zawiązano jej oczy. Dłonie wciąż skrupowane na plecach.

Po jakichś dziesięciu minutach usłyszała westchnienie. Potem jęk.

– Kto tu? – zapytała szeptem, starając się ukryć drżenie głosu.

– Hedwig?

Krystian. – Krystian, jesteś tu?

– Uch. Nic ci nie zrobili?

– W zasadzie nic. Tylko mnie policzek boli. Ten drab...

– Nic nie mów, wszystko słyszałem. Przez ścianę.

– Dranie. – Dziewczyna poczuła przypływ złości.

– O, przebudziła się księżniczka! – zawołał jeden ze strażników, przekrzykując pęd wiatru.

– Dranie! – krzyknęła już głośniej. – Dlaczego nas więzicie?

– Cicho, mała, cicho. Nie pyskuj, bo zaknebluję! – ostrzegł drugi.

– Wypuście ją! Gregor, to ty? Rozetnij zaraz te więzy!

– Stul pysk, szczeniaku! Nie trzeba było kombinować z milicją. A tak, ani pieniędzy,

ani wolności. Leż, jak ci dobrze, bo przez łeb kolbą zdzielię!

– Przecież mnie zamknęli! Co miałem robić? Ostrzeliwać się?

– Heinrich się ostrzeliwał i z kotła uciekł. A ty co? Dałeś się podejść jak dziecko. I sypać zacząłeś, a to się panu Jürgenowi nie spodobało.

– Nikogo nie sypnąłem!

– *Maul halten*, ścierwo! Zostaniesz w tej sztolni na zawsze... razem z ciotuchną.

– Ale przecież ona nic wam nie zawiniła!

– Z polaczkami kolaboruje – rzucił Gregor i splunął. – Skończy jak jej braciszek. Hauptsturmführer załatwił to jak trzeba.

Jadwiga załkała, zrozumiawszy, o kim mówią.

– Trzeba było z takimi jak on na samym początku porządek zrobić – kontynuował Gregor. – Nie byłoby tego całego bajzlu. A tak zdrajcy Rzeszy zadali nam cios w plecy.

Jadwiga szlochała bezgłośnie na zimnych dechach ciężarówki, a Krystian nawet nie wiedział, jak ma ją pocieszyć. Wszelkie słowa były w takiej chwili całkowicie chybione. Zresztą Jadwiga ich nie słyszała. Niczego nie słyszała i nie dostrzegała, bo musiała sama zmierzyć się ze swą rozpacą.

Słupecki na jej widok poczuł taką boleść, że o mało odruchowo nie zapłonął pokutniczym płomieniem. Miał ochotę rozpętać taką pożogę na pace ciężarówki, że można byłoby piec kartofle.

Musiał się jednak powstrzymać. To Müllera chcą dopaść i dopadną. Kiedy przyjdzie stosowny moment. Miał tylko nadzieję, że Stefan odebrał wiadomość telefoniczną od niego u oficera dyżurnego. On sam nie mógł się ruszyć stąd, bo wracając, mógłby się zgubić i wtedy nikt już nie będzie w stanie uratować tej dwójki. Stefan nigdy by mu tego nie wybaczył.

Milczał więc i rozmyślał, w jakąż to okrutną maskarę zamieni się w decydującej chwili, tak żeby mordercy poczuli prawdziwą groźbę konania. Nad aresztowaniami mógł się od biedy zastanawiać Stefan, on sam, zgodnie ze swą zapalczywą naturą miał prawdziwy mord w oczach. Gdyby strażnicy byli w stanie dostrzec jego myśli, choćby ich mikry ułamek, rzuciliby broń i z krzykiem wyskoczyliby z pędzącej ciężarówki.

Kiedy Gromił upewnił się, że wszystkie informacje zostały przekazane oficerowi dyżurnemu, zatrzymał go kolega z pracy, który właśnie schodził z dyżuru.

– Stefan, dzwonił tu do ciebie taki jeden, ale nie wiem, czy żarty sobie robił z władzy czy jak. Na wszelki wypadek przekazuję. – Podał Gromiłowi kartkę.

Kapitan przebiegł wzrokiem po kilku zapisanych zadań.

– Człowieku, ja przecież czekam na tę wiadomość! – krzyknął w twarz zaskoczonemu koledze. – Kuźniak! Jedziemy! – rzucił do sierżanta podpisującego kolejny rozkaz wywiadowcom.

– Dokąd, obywatelu kapitanie?

– W góry! – powiedział Gromił z mocą, bo wpadł na trop i natchnęło go to nową

nadzieją.

– A dokąd to? – Horeszko wchodził właśnie do firmy.

– Panie pułkowniku, wszystko wyjaśniłem w wiadomości do pana, a tu jest jeszcze to... Muszę pędzić!

Gromił wyrwał dłoń z uścisku przełożonego i wypadł przez ciężkie drzwi jak burza. Sierżant Kuźniak tylko wzruszył ramionami, rzucając pułkownikowi przepraszące spojrzenie i ruszył za nim.

– Powariowali wszyscy... – powiedział do siebie Horeszko. – Żeby tak skołał...

Sunęli pospiesznie ulicami miasta w milicyjnym gaziku na południe. Gromił spoglądał przez szybę na miasto. Południowa dzielnica Wrocławia zaczynała się odradzać. Dookoła zalegały sterty gruzu, pomiędzy którymi rosło mnóstwo drzew. Minęli park Południowy z lewej i zajezdnię tramwajową z prawej strony. Gdzieś tu stały dawne miejskie rezydencje i choć lata świetności miały za sobą, teraz – przeludnione i zniszczone – z większą ufnością patrzyły w przyszłość. Uniknęły skutków obrony miasta, natarcia Rosjan, powojennego szabru i rozbiórki na cegły. Teraz wystarczyło jeszcze przetrzymać nowe trendy w architekturze, żeby po latach cieszyć się statusem szacownego zabytku.

Gromił spoglądał smętnie na wysoką kolumnadę, na której spod odpadających płatów tynku wychodziły rdzawe płachty czerwonej cegły. Za wiaduktem stał budynek Polskiego Radia i rozciągała się połączonych domków jednorodzinnych. Za nimi znajdował się cmentarz Armii Czerwonej, która nacierała na twierdzę od południa. Pochowano tu tylko oficerów, bo zwykli żołdaci spoczęli na Skowroniej Górze. Gromił spoglądał na czołgi i armaty strzegące wejścia do środka. Choć była to broń nienadająca się do użytku, zawsze miał wrażenie, że czołgi z cokołów ruszą z warkotem silników.

Za cmentarzem był już tylko skręt na Partynice i tor, gdzie odbywały się wyścigi konne. Od niedawna pozwolono wrocławianom zakosztować sanacyjnego hazardu, wznawiając gonitwy. I tak robiono zakłady w Sopocie, w Warszawie na Służewcu i na wrocławskich Partynicach. Wyścigi konne miały w mieście wielowiekową tradycję – na początku w zorganizowanej formie odbywały się na terenach obecnego zoo, ale na początku wieku zdecydowano się przenieść je tutaj. Zupełnie niesocjalistyczny sport w socjalistycznym kraju. Konie upaństwowiono i znacjonalizowano. Zdawało się, że jest im to obojętne, choć wiadomo – to pańskie oko konia tuczy, a nie kaprawe ślepią, za przeproszeniem znacjonalizowanego zbiorowego właściciela. Ta wielkopańska rozrywka przyciągała tłumy mieszkańców i można było nawet robić zakłady w centrum przy Świerczewskiego bez konieczności podróżowania na drugi koniec miasta.

Kapitan zagłębił się w lekturze wyciągniętego z magazynu dowodów rzeczowych pamiętniku rodu Müllerów. Spoglądał na wyblakłe fotografie w górskim otoczeniu i zdjęcia osób, których już dawno nie było. Pod fotografiami znajdowały się lakoniczne podpisy. Był to album rodzinny, nie potrzebowano więc długiej legendy. Brakowało

tylko zdjęcia Ottona za młodu. Nie było nawet śladu po wyrwanej z pamiętnika fotografii, jakby nigdy nie istniał. Był natomiast Zygfryd oraz jeden z braci, Jürgen. Raz roześmiani, raz poważni, ale jak najbardziej ludzcy, nieprzypominający wcale potworów w mundurach.

Uśmiechy na ich twarzach kazały się Gromiłowi zastanowić nad kondycją rodzaju ludzkiego. Jak mocne trzeba mieć wewnętrzne przekonanie, żeby stawiać ideologię i rozkazy przełożonych nad to, co składało się na dobre cechy ludzkiej natury? Czy to własne, osobnicze cechy pchnęły tych ludzi do zbrodni i podłości, czy też wpajany od dziecka przysłowiowy *Ordnung* i posłuszeństwo wobec władzy? Jak nieludzkie i wyniszczające było tego rodzaju szkolenie bardziej przypominające tresurę? Ile wysiłku należało włożyć, żeby bez emocjonalnych przeszkód przejść od wesołej, wojskowej parady z proporcami do strzelania do cywilów i traktowania ich jak gorszy gatunek? A może to był tylko pretekst? Może zło tkwiło w człowieku od zawsze i sam sobie próbował wytłumaczyć, że wszystkie niegodziwości, które popełniał, służyły wyższym wartościom – dobru, prawdzie, pięknu.

Fakty były takie, że zło zawsze wracało do tego, kto wchodził na jego ścieżkę i Niemcy boleśnie przekonali się o tym. Teraz Gromił był na tropie grupy, która – jeśli spojrzeć na to z innej perspektywy – działała w imię obrony państwa, ojczyzny. Zakonspirowali się i trwali do tej chwili w ukryciu, żeby zrealizować swój cel: odbudowę tego, co już dawno odeszło w przeszłość.

Bez względu na wszystko Gromił musiał sobie to wszystko jakoś zracjonalizować. W końcu zawróciła mu w głowie Niemka i nic na to nie mógł poradzić. A co byłoby gdyby była taka jak oni? Nie była. Stanowiło to tylko dowód na to, że zło ma charakter uniwersalny, a nie jest cechą tej czy innej nacji. Po prostu, gdy padało na podatny grunt, rozkwitało w całej swej posępnej krasie. I dlatego Gromił właśnie wybrał sobie taki zawód.

Zamknął pamiętnik i przymknął powieki. Może jeszcze uda mu się złapać odrobinę snu. Krajobraz z szaroburego powoli zmieniał barwę na brudnobiałą. Spadł śnieg.

Gdy ciężarówka zajechała do Kowar, kierowca skręcił w boczną drogę za czarnym oplem. Droga była wyboista i wąska. Zatrzymali się na niewielkim wypiętrzeniu terenu. Tutaj zostawili pojazdy pod wielkimi sosnami i nawet z kilkunastu metrów nie było ich widać.

Z opla wysiadł Müller i rozejrzał się bacznie po okolicy. Dochodziła siódma rano. Było jeszcze ciemno i bardzo zimno, zawinął się więc szczelniej w płaszcz. Nasłuchiwał.

Słyszał tylko szum liści i skrzyp grubych konarów. Czuć było zapach lasu, świeżej żywicy, rzeńskiego górskiego powietrza. Wciągnął je głęboko w płuca. Było to też pożegnanie z rodzinnymi stronami, bo za kilka dni znajdzie się daleko stąd. Choć Jürgen nie należał do osób sentymentalnych, poczuł lekkie ukłucie nostalgii.

„Starzeję się” – pomyślał nie bez zgryźliwości.

Na niewielkiej polanie znajdowało się coś na kształt wybrzuszenia pokrytego krzakami. Nawet wprawne oko nie było w stanie wyłuskać z tego pagórka zarysu bunkra – Stacji 2, jak określano to miejsce na mapach sztabowych. Bunkier w tym miejscu nie miał żadnych funkcji obronnych, stanowił tylko przyczółek sieci podziemnych połączeń. Prowadziło do niego kilka wejść, choć teraz większość była zasypana i ukryta.

Müller dał znak swoim ludziom. Było ich w sumie pięciu – dwaj strażnicy pilnujący więźniów na ciężarówce, dwóch, którzy przyjechali z nim oplem, i kierowca ciężarówki. Zaczęli odkopywać ziemię we wskazanym miejscu. Nie było to łatwe zadanie, ale też mróz nie ściał jeszcze gleby.

Po kilku minutach ukazała się metalowa płyta z kółkiem i stalowym rygłem. Wejście było niewielkie – miało może z półtora metra wysokości i metr szerokości. Zaopatrzenie do podziemnego schronu dostarczano z zupełnie innej strony. Przyniesiono blaszaną oliwiarę. Koło ustąpiło dopiero po jakimś czasie i można było po podniesieniu rygła otworzyć prostokątną, zaokrągloną na rogach płytę. Ustąpiła, zgrzytając przy tym niemiłosiernie, jakby w proteście, że przerwano jej proces integracji ze stałym gruntem. Od wewnątrz chroniła ją nieco już zbutwiała uszczelka z szarej gumy.

Müller poczuł uderzenie zastałego powietrza. Dał znać jednemu ze swoich ludzi. Ten wszedł do środka i odpalił generator. Po chwili zaczęła działać wentylacja. Zabłyśło światło. W porannej szarówce sylwetki mężczyzn znikwały w oświetlonym prostokącie wjazdu niczym upiory wracające do domowych pieleszy po obfitującej w krew ofiar nocy. Wartownicy zeskoczyli z paki ciężarówki i ściągnęli z niej dwie postacie zrezygnowanych więźniów.

Dopiero w środku zdjęto im zasłony z oczu. Jadwiga mrugała przez chwilę, żeby przyzwyczaić się do światła, z wdzięcznością chłonąc ciepło, jakie dawało bezusterkowo działające ogrzewanie. Przecięto im więzy i teraz rozcierali zastępe mięśnie, odzyskując czucie w dłoniach i nogach.

Znajdowali się w niewielkim pomieszczeniu, czymś w rodzaju przedsionka bunkra. Pracował tu generator prądu i wysokie szafki. Kiedyś zapewne stanowiły awaryjny magazyn broni i umundurowania.

Jeden z ludzi Müllera został na zewnątrz na czatach, choć nie był z tego zadowolony. Wewnątrz robiło się już ciepło, a on musiał zostać na tej zimnicy.

Müller zapalił lampę karbidową i ruszył przodem. Za nim szedł jeden z jego ludzi, w środku dwoje Raufenbergów. Pochód zamykało dwóch strażników – Wielkolud i Szczurowaty oraz kierowca ciężarówki. Lekko skrzyżowane, kamienne schody wiodły w dół do wnętrza góry. Co kilka metrów migotały ledwo co obudzone prostokątne lampy zabezpieczone przed uszkodzeniem żelaznymi kłatkami dopasowanymi do obudowy. Strop klatki schodowej był w tym miejscu niski i wysoki Jürgen musiał się często schylać, żeby nie zawadzić głową o wiązkę czarnych kabli biegnącą pod sufitem.

Po korytarzu niosły się odgłosy kroków i kapanie wody, która przesączała się przez skałę. Jakby byli pod jakąś tamą albo w lochu pod rzeką.

Szli tak dobre dziesięć minut. Wciąż w dół, wciąż w milczeniu. Jeszcze w ciężarówce zbiry naigrywali się z nich mówiąc, że Jürgen pojechał zastrzelić Karola, że dostał za swoje. Że tak kończą zdrajcy. Krystian podtrzymywał na duchu Jadwigę, której na wieść o śmierci brata zawalił się cały świat. Nie mogła w to wszystko uwierzyć. Jeszcze dwa dni temu wszystko układało się pomyślnie. Krystiana wypuścili i Karol dostał zajęcie... Poznała nowych przyjaciół, poznała Stefana...

Instynktownie zadrżała, gdy jakiś ciepły podmuch musnął ją lekko w piegowaty policzek. Wzdrygnęła się. Ale dotyk był delikatny, żeby nie powiedzieć czuły. Jakby jakiś Duch Gór próbował natchnąć ją otuchą. A może jej się tylko wydawało...

Słupecki, bezwzględny dla wrogów, był niezwykle wrażliwy na cierpienie białogłów. Zawsze tak było. Może i zachowywał się jak łotr spod ciemnej gwiazdy wobec rycerzy i ciżby w najeżdżanych zamkach, ale zawsze pilnował, żeby kobiety nie doznały krzywdy z rąk jego siepaczy i hołoty. Może właśnie owa fascynacja słabą płcią była przyczyną, dla której postanowiono dać mu jeszcze jedną szansę na odkupienie.

Na widok cierpienia kobiet miękł jak wosk, choć nie dawał tego po sobie poznać. Jednego ze swoich zbrojnych kazał powiesić za nogi na murach obronnych zdobytego zamku, gdy ten chciał wejść w mocno zażyłe stosunki z jedną ze służek. Winowajca wył i wrywał się, wijąc się jak piskorz na linie, ale Słupecki był niewzruszony – w końcu herbowi muszą zachować resztki honoru, bo inaczej nie różniliby się wcale od grasantów z rozstajów dróg. Po upuszczeniu krwi temu łajdakowi odcięto jego trupa i leżał tak przed dwa dni dziobany przez ptactwo. Od tamtej pory nawet najokrutniejsi z jego drużyny nie ważyli się podnieść ręki na kobietę w jego obecności. Choć w innych okolicznościach bywało różnie. „Stary ma słabość” – mawiali, ale szeptem.

Teraz Słupecki chciał w jakiś sposób pocieszyć, podtrzymać na duchu zrozpaczoną Jadwigę, ale wiedział, że nie czas i miejsce na to. Najpierw trzeba było policzyć się z tymi obwiesiami.

Kiedy znał już miejsce wejścia do bunkra, zmaterializował się przy starej szubienicy w Ścięgnach. Czekał tu na spotkanie ze Stefanem. Miał jeszcze z godzinę do umówionej pory.

Zaczynało świtać na dobre i zrobiło się szaroburo. Słupecki zerknął w stronę resztek szafotu. Wielu ludzi żegnało się tu z grzesznym życiem i samo miejsce sprawiało niezwykle przygnębiające wrażenie. Rzemieślnicy oszukujący na miarach i wagach – stryczek. Lichwiarze czerpiący zysk z ludzkiego nieszczęścia – powróż definitywnie kończył ich pusty żywot. Pospolite zbóje, których nie brakowało w tej okolicy – dyndali na wietrze aż miło. Grasanci zwolnieni z wojska, którzy zamiast chronić ludzi sami zaczęli ich rabować – kończyli na końcu pętli, jeden za drugim. Sprawiedliwość w tamtych czasach była szybka i nieuchronna. Cóż, jeśli trafił się ktoś bez winy, odprawiano mszę za jego duszę, bo w końcu człowiek nie jest nieomylny.

Słupecki widział w myślach posępny korowód skazańców, którzy szli ze spuszczoneymi głowami, nawet specjalnie nie protestując. I potem tylko ucałowanie stuły, wsunięcie srebrnej monety w dłoń kata, żeby nasmarował stryzynek łojem – przecież zawsze mógł zastosować szorstki sznur przedłużający tylko agonię. Niektórzy rozglądali się jeszcze po świecie albo prosili zgromadzonych tłumnie mieszkańców o wybaczenie i modlitwę za spokój duszy. I chrup. Przerwanie kręgosłupa było prawdziwym błogosławieństwem, bo przecież agonია przez ciągnące się jak smoła sekundy i minuty nie należała do przyjemności.

I koniec.

Niektórzy tylko – ci, co powątpiewali w istnienie życia wiecznego – przecierali ze zdumieniem oczy, widząc swe dyndające na wietrze truchło i zbliżający się patrol mający ich zabrać na Sąd Boży. Dla tych była to prawdziwa, bardzo niemiła niespodzianka. Oczywiście piekarz, który niedoważał mąki na chleb, był w dużo mniejszym stopniu zagrożony potępieniem niż zbir czatujący na rozstajach dróg na niewinnych podróżnych. Tym wybaczano i wyznaczano pokutę, bo w końcu ludzka chciwość jest immanentną cechą rodzaju ludzkiego. Ci natomiast, którzy folgowali odrażającym chuciom i żądzy posiadania, wyprawiając na tamten świat niewinne duszyczki, och, dla nich nie było litości. Jeśli nie okazali skruchy przed śmiercią, czekało ich to, czego nie podejrzewali nawet w najdzikszych snach. Dla nich szubienica była ostatnim przystankiem przed ostateczną i nieuchronną karą na wieczność. Słupecki nawet im współczuł, tylko że na wszystko było już za późno.

Zmrużył oczy, bo wydawało mu się, że coś widzi w ruinach zwałonego budynku. Wyteńczył wzrok. Były to z początku niewyraźne, zamglone światła samochodu, które zbliżały się z każdą chwilą. Z gazika wyskoczył Gromiś i przypadł do Słupeckiego.

– Panie Leonie, Jadzia żyje?

– Żyje, żyje. Coś ty taki w gorącej wodzie kąpany Stefanku?

– No bo jakby można było, tobym biegł przed samochodem.

– Nie dałbym jej krzywdy zrobić. Prowadzą ich teraz na dół tego bunkra. Ale przecięli im więzy, bo najwyraźniej nie ma stamtąd drugiego wyjścia. Możemy ruszać od razu. Na zewnątrz stoi tylko jeden łajdak na czatach.

– Może by się lepiej podkraść? To prawdziwa niedźwiedzia gawra.

– Tak. Zrobimy to w ten sposób...

Kuźniak wciąż nie wiedział, w jaki sposób Słupecki mógł im pomóc, ale najwyraźniej był jakimś specjalnym wywiadowcą kapitana. Tak jak przed paru laty...

Po chwili cała trójka pędziła gazikiem w stronę Kowar do bocznej, leśnej przecinki.

We Wrocławiu major Zenon Kalamatas spoglądał z niepokojem na duży zegar wiszący w jego pokoju. Wskazówka sekundnika zdawała się złośliwie zwalniać, jakby pokonując opór gęstej, czarnej smoły czasu, która w takich momentach konsolidowała się jeszcze bardziej. Siłą woli oderwał wzrok od zegara. Godzinę temu wysłał dwa

autobusy czekające na dziedzińcu komendy na próbną jazdę.

Ciążył na nim obowiązek sprawdzenia wszystkiego również od strony technicznej, a nie mógł posyłać niedotartych maszyn. Każdy z trzech kierowców musiał pokonać trzy różne trasy o zwiększonym stopniu trudności. Mieli przejechać odległość około trzystu kilometrów i wrócić do bazy na przegląd. Jeden z nich, zupełnie niespodziewanie jak się zdawało, miał trasę wyznaczoną do Karpacza, gdzie na górskich drogach można było sprawdzić przydatność wozu. Za jego kierownicą siedział sprawdzony człowiek Jürgena, który nie dość że był wprowadzony w sprawę, to jeszcze miał jechać z nimi do Lipska.

Nie można było inaczej. Osoba postronna zaczęłaby zadawać niepotrzebne pytania i trzeba by ją było zlikwidować. Dwie przemyślnie umiejscowione w autobusie skrytki powinny wystarczyć na zabranie drogiego ładunku Skarbu Liczyrzepy. Tak Kalamatas nazywał w myślach sztabki złota z odciśniętym na nich orłem III Rzeszy, które stanowiły niebotyczny wręcz majątek. Było tego pięć dużych skrzynek. Całość była bardzo ciężka, postanowiono więc, że wozy muszą być nowe – nie mogły się od siebie odróżniać. A dwa pozostałe postanowiono dociążyć ołowiem, żeby nie wzbudzały podejrzeń celników. Mogli ryzykować, pompując na siłę opony, ale jeśli któraś z nich strzeli, stworzy to tylko zupełnie niepotrzebne utrudnienia.

Modyfikacji dokonano w resortowym warsztacie. Teraz należało tylko zapłacić skrytki, wymieniając ołów na złoto w jednym z nich. Plan był doskonały. Kalamatas przekazał Krystiana bratu, żeby ten mógł zająć się niesfornym podkomendnym. Karola zastrzelił jakiś nieznany sprawca i temat został definitywnie zakończony. Teraz jedynie ten cały Gromił mógł im narobić kłopotów, szukając dziewczyny.

„Może sobie szukać” – major uśmiechnął się złośliwie.

Tak, plan był niezawodny. Za tydzień cała karawana ruszy za granicę i major Zenon Kalamatas zniknie jak mgła w lesie. Najprawdopodobniej zabity gdzieś przez szpiegowską szajkę. Na posterunku, jak zwykle. Może nawet mu pomnik postawią?





ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

...bestia z piekła rodem...

Na ulicy Żelaznej wesołe miasteczko przyjmowało ostatnich gości. Za kilka dni wozy mieszczące strzelnice, gabinet luster, karuzelę i salon gastronomiczny z watą cukrową, lizakami z czerwonego karmelu oraz cały zestaw najbardziej niepotrzebnych przedmiotów pod słońcem – drewnianych zabawek, glinianych kogutków i kwiatów z marszczonej materii – zostaną zamknięte i odholowane na zimowe leże, żeby po kilku miesiącach, z nastaniem wiosny, ruszyć w kraj. Do niewątpliwych atrakcji wesołego miasteczka należała beczka śmierci, w której śmiałkowie na podrasowanych motorach kręcili się w kółko na oczach gawiedzi. Oczywiście było, że większość widzów wyczekiwała jakiegoś spektakularnego wypadku. Na próżno, ponieważ rządziły tu prawa fizyki i odpowiednio prowadzony motor nie miał prawa odkleić się od podłoża. Niemniej jednak beczka śmierci służyła za doskonałe narzędzie do obłaskawiania dziewczyn, bo przestraszone tuliły się do swoich kawalerów, ściskając kurczowo pątyk z cukrową watą.

W niedzielne przedpołudnie rodzina Kapustów i Bronek z drukarni z kandydatką na narzeczoną, Zośką z kadr, zjawili się na miejscu. Po obowiązkowej turze na strzelnicy Marlena i Zośka miały już po kwiatku na druciku, zjadły ciepłe lody w wafelku, napiły się oranżady ze słynnej kowarskiej Wytwórni Wód Gazowanych i teraz nadszedł czas na największą atrakcję – beczkę śmierci.

– Dużo ludzi – zauważyła Zośka.

– No – zagadnął Bronek z nadzieją w głosie.

– Ja tam nie rozumiem. Kiedy mogliśmy pójść na odczyt albo po południu do filharmonii, to stoimy w tym ścisiku jak śledzie w beczce. – Marlena wciąż się dąsała. Ostatnio miała zdecydowanie zły humor i nikt nie domyślał się dlaczego.

– Marlenko, to ostatnia okazja – powiedziała Zośka. – Za kilka dni zwijają interes, a nie wiadomo kiedy przyjadą następnym razem.

– Wielkie mi mecyje. Nie przyjadą, to dobrze, przyjadą jeszcze lepiej.

– A ten odczyt, to coś ciekawego? – zainteresował się Zdzisiek.

– Motywy nadprzyrodzone w literaturze polskiego romantyzmu – wypaliła Marlena z grubej rury.

– E tam, o tym to i ja mógłbym ci niejedno powiedzieć. Znaczy się o tych motywach.

Marlena spojrzała na męża niczym nadeptana kobra.

– Jasne. Na wszystkim się zna, wszystko wie mój mąż!

Bronek postanowił wykorzystać okazję i zaczął coś szeptać Zośce do ucha. Dziewczyna zachichotała nerwowo.

– Znowu się, Bronek popisujesz i mówisz jedyny tekst, który ze szkoły zapamiętałeś: ten o dziewczeczce? – rzuciła Marlena.

– A skąd wiesz? Skąd wiesz? – zaperzył się Bronek.

– Wiem też, że stosujesz dowcipny melanz: „Słuchaj, dziewczeczko, ona nie słucha, i żar z rozgrzanego jej brzucha bucha. Buch jak gorąco!”. Zupełnie jak uczniowie koleżanki z liceum.

– To straszne – powiedział zdruzgotany Bronek. – Twoja żona, Zdzisiu, zna moje najskrytsze myśli.

Zośka ponownie zachichotała, jakby ktoś ją przyłapał na czymś niegrzecznym.

– Mam nadzieję, że nie zna moich – oznajmiła i się zarumieniła.

– Cie choroba! – sapnął Bronek i przycisnął mocniej Zośkę do siebie.

Stanęli przed kasą, kupili bilety i zaczęli wchodzić po drewnianych stopniach na górę. Po chwili znaleźli się na brzegu kadzi o drewnianych ścianach, które kończyły się na dole niewielkim nachyleniem, żeby motocykl mógł wjechać na ścianę. Panował nastrój podniecenia i ekscytacji. Mężczyźni gestykulowali energicznie ze znanstwem, wyjaśniając swoim towarzyszkom technikę jazdy w takich warunkach. Dziewczyny potakiwały mądrze główkami, udając, że bardzo je to interesuje. Po chwili na dole beczki pojawiła się sylwetka konferansjera.

– Panie, panowie, damy a gaspada, lejdis and dzentelmen. Oto za chwilę wystąpi przed państwem duet Sputnik przed swym światowym tournée. Po licznych występach w Rio de Janeiro, w Szikago i Timbuktu nasi artyści pokarzą państwu mrozący w żyłach spektakl zakończony prawdziwym salto mortale na żelaznym rumaku.

– Jakie Ryjo? W Pułtuskach ich widziałem – rozdarł się jegomość po ich prawej stronie. Miał najwyraźniej za sobą ciężki dzień, który zakończy się jutro jeszcze cięższym porankiem.

– Zamknij się pan! – krzyknął jeden taki w cyklistówce po lewej. – Jak nie potrafisz pan kulturalnie się zachowywać, to spadaj pan stąd w podskokach!

– O przepraszam, ja niekulturalnie? Panie ładny, pana chyba zęby swędzą, co?

Marlena wywróciła oczami na znak, że coś takiego nie byłoby możliwe na odczycie, o filharmonii już nie wspominając.

Konferansjer wykazał się profesjonalizmem w pełnym wymiarze, bo pewnie nie raz

musiał stawiać czoła takim postawom społecznym.

– Szanowni państwo, ja rozumiem, emocje sięgają zenitu, ale proszę o spokój, bo hałas tylko dekoncentruje artystów i w takich okolicznościach o wypadek nie trudno. Szanowni państwo, przed państwem duo Sputnik!

Na dole drewnianej beki pojawiła się para artystów, wjeżdżając przy wyłączonych silnikach do środka na podrasowanych motocyklach. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta mieli na sobie zielono-żółte kombinezony wyszywane cekinami dla spotęgowania artystycznych doznań. Po chwili rozległ się warkot silników.

Publiczność zawyła.

Konferansjer zniknął na zapleczu, żeby uraczyć się złotobursztynową małmazją z Browaru Piastowskiego. Fulem, czyli pełnym, jasnym z pianką. On już to widział nie raz w „Ryjo” i nie musiał oglądać ponownie. Mężczyzna ruszył, a silnik jego motocykla zawył na najwyższych obrotach. Pokonał krzywiznę na dole beki, po czym jakby całkowicie bez wysiłku wjechał na ścianę tak, że widzowie, patrząc w dół, mogli go widzieć z boku.

– Ja cię przepraszam – wystękał Bronek, zapominając na śmierć o Zośce.

Pierwszy raz widział coś takiego. Wszyscy, nawet Marlena, wpatrywali się z napięciem w coraz szybciej poruszającą się zielono-żółtą kulę, która w ogłuszającym warkocie coraz bliżej przysuwała się do krawędzi beczki.

Na podeście dla widzów uwijały się jeszcze trzy osoby, ale na to nikt nie zwracał uwagi. Jeden w kaszkiecie i dwóch z przyczajki. Kaszkiet maszerował między widzami, zupełnie nie dzielając ich emocji, ba, patrząc na całe widowisko z góry. Uważny widz dostrzegłby jednak, że choć na twarzy widać było całkowity brak emocji, nawet z nutą wyższości, jego sprawne dłonie zręcznie lawirowały między fałdami odzieży, wyłuskując portfele, zabytkowe zegarki na dewizkach i inne precjoza, które po zmianie właściciela wędrowały wprost do skórzanych robociarskich toreb na ramię noszonych przez tych dwóch z przyczajki. Niepozorni, niskiego wzrostu złodzieje inkasowali zdobycz, błyskawicznie przekładając nowe precjoza kawałkami juty. Nawet gdyby ktoś zajrzał im pobieżnie do toreb, zobaczyłby tylko zmięty, szarobury materiał.

W końcu Kapusta, jako najstarszy i najbardziej doświadczony zorientował się, co się święci. Widział wyraźnie, jak ten w kaszkiecie sunie wolno w ich stronę. Mężczyzna przystanął, zapalił dla niepoznaki mazura i ruszył dalej w złodziejski obchód. Kapusta tylko na to czekał. Odwrócił się dla zmylenia przeciwnika, stając do niego bokiem. Kaszkiet podszedł do nich, stając tuż przy Marlenie i wykrzyknął gromko:

– Ale zaiwania!

Wszyscy znawcy motoryzacji pokiwali mądrze głowami, a kilku nawet przyłączyło się do owacji. Rozległy się przeciągłe gwizdy aprobaty. Wtedy Kaszkiet zaatakował. Jego dłoń wsunęła się zręcznie do torebki Marleny, ale tu spotkał go srogi zawód. Czyjaś dłoń, mocna jak imadło chwyciła go z taką siłą, że aż łzy stanęły mu w oczach, bynajmniej nie na skutek sportowych emocji.

– Tuś mi, bratku – rzucił Kapusta i wyciągnął dłoń złodzieja z torebki żony.

Ta zorientowała się, o co chodzi i krzyknęła z oburzeniem w głosie.

– Ach, ty złodzieju!

Kilka osób wokół grupki przyjaciół zwróciło na to uwagę, ale tylko oni. Wszyscy pozostali byli zajęci kręcącymi się postaciami w beczce.

– No czekaj, łachmyto, ja cię zaraz urządzę! – syknął Kapusta i odciągnął złodzieja, żeby sprzedać mu obowiązkową fangę w nos.

Poczuł jednak, że ktoś napiera na niego od tyłu. Zapomniał na śmierć o pomagierach, którzy najwyraźniej też pełnili funkcję strażników głównego doliniarza. Ten pchnął go mocno w pierś, a Kapusta poleciał do tyłu jak ścięty chojak, bo jeden ze złodziei kucnął i Kapusta stracił równowagę. Marlena jednak nie zamierzała się temu biernie przyglądać. Zwinęła dłoń w pięstkę i z całej siły uderzyła w szczękę tego w kaszkiecie, że ten zachwiał się i runął jak długi na deski.

– Klasyczny KO! – sapnął z podziwem Bronek. – Marlenka, ale ty masz łapkę, ja cię przepraszam!

Pomocnik zdołał wydostać się spod Zdziśka i czmychnął, gdzie pieprz rośnie, zostawiając skórzaną torbę. Kapusta podniósł się z klepek i chwycił mocno złodzieja za kłapy, a ten tylko osunął się na ziemię bez czucia.

– No, Marlenka, nie wiem, gdzie się tego nauczyłaś, ale proszę cię, ty mi w domu tego nie pokazuj!

– Łajdak jeden, ludzi okrada! – krzyknęła spurpurowiała pani magister.

Widowisko skończyło się, choć grupa przyjaciół była zajęta czym innym i triumfalne salto mortale na jadącym w beczce motorze zupełnie im umknęło. Pojawił się patrol milicji. Okazało się, że drugi pomocnik, uciekając, potknął się paskudnie o wąż doprowadzający wodę do saturatora, wywrócił go, wywołując wściekłość sprzedawczyni w białym czepku. Krewka niewiasta powaliła go na ziemię jednym celnym ciosem w łeb. Torba z łupem otworzyła się i zawartość wysypała się na ziemię. Uciekł tylko ten pomagier, który przewrócił Kapustę.

Kapral z patrolu spoglądał to na Marlenę, to na saturatorową i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Teraz to już nie będziemy potrzebni, jak takie kobitki będą sobie radziły same. Moja blondyna mi zaśnie dzieje w raportówce!

– A przyłożyłoby się, co panie kapralu? – zapytał z nadzieją w głosie młodszy milicjant.

– Oj tak. Są takie dni, że człowieka ręka świerzbi – powiedział kapral, zatraskując kajdanki na przegubach niefortunnego złodzieja. – Zabezpiecz te fanty – rzucił do podwładnego. – Poszkodowani odbiorą sobie... na komendzie.

– A państwa też zapraszam do podpisania protokołu zajścia. Pani natomiast szczerze gratuluję – zwrócił się drugi milicjant do Marleny. – Panu natomiast... – to do Kapusty – ...cóż, odważny z pana gość. Żeby sobie taką ślubną wziąć. No, no...

– Panie, panie, coś pan – oburzyła się Marlena. – Ja działałam w afekcie i w... no, w stanie silnego wzburzenia!

– Widzisz, Broniek – wtrąciła się Zośka – z babkami nie ma żartów. Zapamiętaj sobie – dodała groźnie.

Dalsza część dnia przebiegła bez większych zakłóceń.

Jürgen zręcznie wskoczył na podest pociągu. Odsunął ciężkie, stalowe drzwi. W środku paliła się niewielka lampka, ukazując skąpe wnętrze wagonu. Jadwiga i Krystian stali wciąż na dole pilnowani przez dwóch zbirów. Jadwiga obawiała się, że niewinne słowo, jakiś gest może skończyć się dla nich tragicznie. W końcu Müller dostał już, co jego. Nie byli mu potrzebni. Żeby tylko Stefan....

Jürgen robił coś w środku. Słuchać było odgłosy przekładanych sztab, zgrzyt stali. Dwaj bandyci wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– *Alles in Ordnung...* – rozległ się chropawy komunikat z interkomu. Był to nowoczesny skład.

– *O Herr Gott!* – nagle dobiegł ich krzyk. – *Gott im Himmel!*

Coś musiało się wydarzyć tam, na początku składu, bo krzyczał zarówno maszynista, jak i jego pomocnik.

Müller zaniepokoił się nie na żarty.

– Co się tam z wami dzieje? Co to za krzyki?

– Ale...

Nagle od strony schodów rozległo się gromkie:

– Ręce do góry! – To krzyczał Gromił.

Bandyci pilnujący Raufenbergów obrócili się gwałtownie, kierując broń w ich stronę.

– Jadzia, padnij! – krzyknął Gromił.

Padły trzy strzały. W wykafelkowanym wnętrzu spotęgniały pogłosem. Pociąg szarpnął do przodu. Jürgen w środku zachwiał się i chyba o coś uderzył, bo zaklął szpetnie.

Szczurowaty padł od pierwszego strzału. Leżał i jęczał, trzymając się za nogę. Wielkolud padł na ziemię i ani zipnął. Widać było tylko jego szeroko rozwarte oczy i zastygłą w agonii twarz. Upadł też Krystian, najwyraźniej ranny. Zwinął się w kłębek na posadzce. Pociągiem znów szarpnęło i żelazny potwór ruszył z sapnięciem z miejsca. Müller wyjrzał tylko na zewnątrz i szybko się schował, zaciągając metalowe drzwi.

– Hans, ruszaj, ruszaj! – słychać było tylko jego krzyk.

Jadwiga przypadła do bratanka i szlochając głośno, próbowała mu jakoś pomóc. Parabelka blondyna wystrzeliła, raniąc Krystiana, na szczęście tylko w ramię.

Pociąg nieuchronnie wyjeżdżał z tunelu. Gromił spojrzał w stronę skąpanej w światłach bieli ścian i zobaczył, jak jakaś zjawa z najgorszych koszmarów, płatanina kłów, pazurów i macek rozplywa się w parze wodnej wypuszczanej gęstymi strumieniami z odjeżdżającej żelaznej bestii.

Słupecki rzucił tylko okiem za odjeżdżającym składem i wygładził tweedowy strój. Znow był panem w średnim wieku o nienagannej prezencji.

Gromił ocenił sytuację. Nie mogli wskoczyć do pociągu, bo ten był szczelnie zamknięty w pancernych płytach. Olbrzymia lokomotywa wiozła bandytów w nieznane. A może właśnie tam, dokąd miała ich zawieźć.

– Panie Leonie, co to było tam...

– Mam parę sztuczek zarezerwowanych dla szczególnie zatwardziałych łajdaków. Nie sądziłem tylko, że zareagują w ten sposób. Może gdybym był tam z nimi, w lokomotywie...

– To by dopiero był numer! Dwa trupy na zawał. Murowane!

– Co z nimi?

– Kuźniak polecał zawiadomić naszych. Zaraz ściągnie tu karetki. Ten tutaj, łajdak jeden będzie żył. Krystian dostał w rękę, wylize się z tego. Jadzia jest cała – uśmiechnął się do siebie, jakby ktoś mu podsunął makowca z rodzynkami. – Prawdziwa bestia z piekła rodem – rzucił zamyślony, zbliżając się do dziewczyny. Nie wiadomo, czy mówił o pociągu czy też o najbardziej niezwykłym członku Bractwa Wrocławskiego.

– Dziękuję – wyszeptał zadowolony z siebie Słupecki.

W wylocie korytarza widzieli tylko światła pozycyjne oddalającego się składu.





ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

...nic szczególnego...

Kiedy wracali do Wrocławia, Gromił zapatrzył się na światła mijanych samochodów, które majaczyły niczym złe wspomnienia sunące po mokrej szybie. Karetki przyjechały po pół godziny, a oprócz nich szara warszawa z ludźmi Kalamatasa. Jadwiga uparła się, żeby jechać z Krystianem, choć Gromił starał się jej to wyperswadować. Nie było wiadomo, dokąd ich zabiorą, a Stefan chciał chronić dziewczynę, która teraz mogła zostać wplątana na serio w całą tę aferę.

Na próżno. Uparła się, co oczywiście było zrozumiałe, choć biedaczka nie знаła nawet połowy prawdy o tym wszystkim. Gromił zasepił się, bo zaczynało to wszystko przypominać sprawę sprzed lat, kiedy mieli dwie grupy przeciwników dybiących na ich życie. Teraz nie wiadomo, co gorsze – czy niewola u Jürgena, czy pokój przesłuchań u jego brata Kalamatasa? Na wszelki wypadek posłał z nią Leona, bo stary będzie wiedział, co robić, gdyby zrobiło się gorąco.

Aż wzdrygnął się na wspomnienie tego, co zobaczył w tunelu. Gdyby nie znał Słupeckiego, byłby podwójnie przerażony. Ale czy ktoś mógł podejrzewać, że ten łagodny, jowialny, no owszem, często uszczypliwy starszy pan potrafi przemienić się w taką maskarę, że na jej widok najtwardszy zbój będzie płakać jak pensjonarka? W takich chwilach był rad, że Słupecki uważa go za swego przyjaciela. On sam też bardzo lubił starego łajdaka, choć często zapominał, kim jest w istocie.

Na rogatkach Wrocławia Gromił ocknął się z marazmu i zaczął rozmawiać z sierżantem Kuźniakiem, który najwyraźniej nie wiedział, co się stało na przodzie składu i dlaczego pociąg ruszył. Czym ten starszy pan tak przestraszył bandytów? Jako milicjant z dużym stażem zachował te pytania dla siebie. Wydawało mu się, że maszynista usłyszał krzyki przy schodach i spanikowany ruszył. Zwłoki zabrano, broń zabezpieczono. Założono plomby. Tylko sam pociąg rozpląnął się w powietrzu już drugi raz i nie wiadomo, gdzie teraz go szukać. Choć przecież pociąg, nawet tak krótki,

to nie igła w stogu siana, a Karkonosze to nie Alpy.

Było jeszcze stosunkowo wcześniej, choć już ciemno, kiedy gazik stanął na Szewskiej. Gromił miał plan, żeby dołączyć do Jadwigi, ale zmęczenie wzięło górę. Powlókł się na ostatnich nogach do mieszkania. Zdążył tylko rozebrać się, zamarkować mycie i padł jak kłoda na biedermeierowskie małżeńskie łożo. Sekundę później spał już snem sprawiedliwych.

Słupecki od tamtej pory pilnował Jadzi jak harpia. Krystiana zoperowano. Wyjęto mu kulę, jak się okazało z parabelki blondyna. Kanalia chciał zabić ważnego świadka i prawie mu się udało, gdyby nie fakt, że Kuźniak zastrzelił drania na miejscu i kula poszła bokiem. Nie był to jednak koniec kłopotów Krystiana, bo teraz przed salą pooperacyjną pilnowało go dwóch tajniaków od Kalamatasa. On sam najchętniej zakończyłby całą sprawę, dobijając więźnia, który mógł go zdemaskować. Będzie na to czas.

Słupecki pocieszał Jadwigę, jak tylko mógł.

– A wie, panna Jadzia, znam taką opowieść:

Jeden taki obwieś dostał czekaniem w bok i bolało go przy każdym ruchu. A wtedy, wiadomo, mroki średniowiecza, za znieczulenie robiła tylko mocna okowita, która owszem uśmierzała ból, ale też sprowadzała na pijącego taką wesołość, że po kilku głębszych rechotał, jakby mu się w tych małmazjach piąta klepka rozpuściła. Z kolei jego kolegom wypadało z kamratem wypić. Oni również wpadali w taką wesołość, że po chwili było z komnaty tylko słycać śmiech i jęki. Opowiedzieli mu historię, jak jeden Krzyżak, z olsztyńskiej komturii, tak bardzo na pogan był zawzięty, że co i rusz miecza dobywał, żeby pohańca ciąć i krzyczał wciąż: „Gdzie te Saraceny?”. Coś mu się we łbie pomieszało, musiał dostać o kilka ciosów za dużo morgensternem.

Wszędzie tych Saracenów widział. Wśród Żmudzinów, uważa panna Jadzia. Do cesarskich sądów chciał sprawę oddawać, różne komisje zwoływać, że niby w Polsce Saraceni się panoszą i trzeba ich wyrznać w pień, jak Pan Bóg przykazał. Kiedy posłował w Krakowie, na karawanę kupiecką z mieczem się rzucił, aż go musieli knechty przytrzymać. Bo kupcy tradycyjnie w turbany byli odziani. Wiadomo, u nas nikt nikomu w paradę nie wchodzi, jak sam nie zaczepia. Ciżba zaczęła sobie z rycerza nawet dworować, wołając:

– Ty Helmut, teraz ty Saracen, czekaj, aż się stary obudzi!

– Ja Saracen, ty Saracen, mam pod hełmem łysą glacę!

Jak ów chory, czekaniem rażony usłyszał to, zaczął się tak śmiać, że jucha puściła spod płótna.

– Ja Saracen, ty Saracen...! Nie mogę! Nie strzymam! – rechotał ranny rycerz.

– No i tak, panno Jadziu, chłop żywota pośród swych kamratów dokonał. Pili, żartowali i ducha wyzionął. Dlatego zawsze powtarzam, można się śmiać i żartować, ale nawet z tym trzeba uważać. Umiar w humorze mieć trzeba, bo żyłka może pęknąć.

– A jak się nazywał ten Krzyżak?

– Nie pamiętam. Jakoś tak na T. Z Flandrii zdaje się. A czy to ważne? Może krewny, panny Jadzi? O pardonsik.

– Krewny? Nie. – Jadwiga uśmiechnęła się blado. – Tylko mnie pan tak zagaduje, to postanowiłam się odwzajemnić.

– Aha, czyli tak dla *poddierzania razgawora*, że tak powiem.

– No właśnie.

– Tak to można.

– Może pan zmęczony? Tyle tu siedzimy...

– O nie, Stefan kazał panienki pilnować, to pilnuję. Jadwiga zarumieniła się cała.

W korytarzu pojawiła się druga zmiana smutnych w długich płaszczach. Jeden nosił kaszkiet, a drugi kapelusz.

– Panno Jadziu, niech pani patrzy: Saracen!

Wybuchnęli śmiechem. Smutni zrobili groźne miny. Wesoła para nic sobie z tego nie robiła. Rozmawiali już dalej swobodnie, a Jadwiga mogła streścić Leonowi szczegóły swojej niewoli, choć nie wiedziała, że te akurat Słupecki doskonale zna.

Wrocław trwał, drzemiąc w jesienny wieczór i nic sobie nie robiąc z dramatycznych wydarzeń. Nie takie rzeczy widział w życiu. Hrabia Fredro zdawał się sięgać piórem do kałamarza, żeby opisać to wszystko, a na ustach pisarza tańczył kpiarski uśmiech. Wiatr uspokoił się nieco, choć było chłodno i wilgotno. Światła gasły w kolejnych oknach na Rynku, bo jutro znów trzeba wstać do pracy. Na Krzykach Kapusta wciąż rozpamiętywał wydarzenia z wesołego miasteczka. Marlena była spokojna, choć co chwila brała ją złość na bezczelność złodziei.

– Żeby tak w biały dzień, Zdzisiu! Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdybyś go nie przyuważył.

Kapusta wypiął pierś jak do orderu.

– Muszę przecież strzec moją kochaną żoneczkę przed złymi ludźmi.

– Bo przed dobrymi obroni się sama?

– Co jest, Marlenko? Skąd taka smutna minka?

– Ach, nie wiem, Zdzisiu. Jestem jakaś taka...

– Może...

– Nie wiem, może i tak...

– Ale skąd wiesz, co chciałem powiedzieć?

– Chcesz powiedzieć, że powinniśmy zaprosić naszych przyjaciół na twoje urodziny?

– Skąd wiedziałaś?

– Żony wiedzą.

– A pomieścimy się wszyscy?

– Pewnie, że tak! Poproszę tylko panią Genowefę o pomoc przy przygotowaniach.

– Wiesz, że to doskonały pomysł. Janek po tym porwaniu jakiś taki nie swój. Stefek

też chodzi jak chmura gradowa.

– To co, zaprosisz ich?

– Zaproszę. Ty się, Marlenka, niczym nie przejmuj.

Jak postanowili, tak zrobili. Kroiło się kolejne spotkanie Bractwa Wrocławskiego na pohybel wszystkim i wszystkiemu.

Przez gęsty deszcz ze śniegiem niemal nie było widać budynku dawnej parowozowni. Duży budynek z rampą był nieczynny od wielu lat po części dlatego, że okolica przestała być dużym węzłem komunikacji kolejowej. No i dlatego, że powstała granica.

W świetle pojedynczej chronionej drucianą klatką lampy, widać było zacinające śniegowe ślady. Rampa do przeładunku też pamiętała lepsze czasy. Cały budynek sprawiał wrażenie skazańca czekającego na wykonanie wyroku w wilgotnej, zatechłej celi, w której nawet nikomu nie chciało się położyć kolejnej warstwy farby, żeby zakryć odłóżki z zawilgotniałej cegły płyty.

Wewnątrz ktoś coś przesuwiał. Rozległo się stukanie i metaliczny zgrzyt. Tam, w półmroku czaił się wielki, straszliwy potwór. Wielka, opancerzona lokomotywa typu DR 45 stała wśród pustych puszek po towocie, archaicznych taczek o wielkich, żelaznych kołach i innego sprzętu. Do składu dołączono dwa pojazdy z działkami dużego kalibru przyczepionymi za lokomotywą i na końcu składu, gdzie znajdował się drugi mniejszy parowóz. Na pociąg nałożono bladozielony kamuflaż – nieregularne pasy o zróżnicowanych odcieniach zieleni i brązu. Nawet na pełnym widoku, na tle górskiego zbocza, można go było dostrzec dopiero przy baczniejszej obserwacji, a kiedy stał nieruchomo, wtapiał się w otoczenie. Niewielkie białe krzyże znaczyły przynależność pojazdu na szynach i teraz, dwanaście lat po wojnie, sprawiały, że stalowy potwór jawił się jak upiór z nie tak dawnej, choć mającej już odejść do historii przeszłości.

Jürgen pracował bez wytchnienia. Nie potrzebował pomocników, żeby wykonać ostatni rozkaz tej wojny. Dla niego bynajmniej się nie skończyła. Wciąż czuł się żołnierzem pomimo podpisania kolejnego hańbiącego aktu kapitulacji w stolicy III Rzeszy. Jeszcze wszystko można odwrócić. W Niemczech jest wystarczająco dużo Niemców, którzy myślą tak jak on.

Odcięty od informacji w tym komunistycznym kraju nie wiedział, czy przywódcy jeszcze żyją, kto teraz dowodzi, gdzie będą się organizować. Wiedział jedynie, dokąd ma zawieźć zawartość złożonych tu skrzyń i znał tożsamość łącznika w zachodniej części Berlina. Wystarczyło odłączyć się od grupy, zabierając jeden z autobusów, tuż przed Lipskiem, żeby nie wzbudzać podejrzeń i gładko przejechać do zachodniej strefy. Miał wszystkie potrzebne papiery od brata. Zawdzięczał mu życie, bo zdechłby w tym łągrze za drutem Iwana. W ogóle Otto był bardzo pomocny, ale miał słaby charakter. Wyciągał rękę po nie swoje, żeby dożyć lat w luksusie.

Jürgen spojrział na osiem niewielkich skrzyń stojących w dwóch równych rzędach na

podłodze wagonu. Mógł wyjąć tylko tyle. Z niewiadomych powodów drzwi otwierane trzecim kluczem nie zamierzały ustąpić i nie mógł nic na to poradzić. Oczywiście można by je było rozpruć palnikiem, ale trwałoby to dłużej niż kilka dni, a nie miał tyle czasu. Należało zabrać to, co jest, a resztę ukryć wraz z pociągiem w okolicy.

Zadanie to powierzył najbardziej zaufanemu ze swoich ludzi. Miał dokonać przeglądu starych map i sprawdzić skrytkę. Musiała być obszerna i na uboczu, żeby nikt się do niej nie dostał. Nie mogła znajdować się w uczęszczanym, przeznaczonym do prac i remontów miejscu, bo ktoś mógłby na nią trafić. Teren był górzysty i naszpikowany rozmaitymi sztolniami i kanałami jak pasztet skwarkami.

Rano ma przyjechać autobus z Wrocławia ze specjalnie przemodelowaną podłogą. Kiedy zapakują do niego skrzynie, Jürgen będzie dużo spokojniejszy. Skrzynie zawierały prawdziwy skarb. Złoto, platynę i drogie kamienie. Jürgen sam wszystko sprawdził. Otto będzie musiał się zadowolić ledwie ułamkiem z tego dobra. I tak mu wystarczy. Nie będzie biedował. Gdyby to był ktokolwiek inny, Jürgen nie zawahałby się ani chwili. Otto jednak miał niepodważalne atuty w rękę, pomijając fakt, że był jego bratem. Komuniści nawet nie podejrzewali, że cały ich aparat władzy pracuje teraz na rzecz odrodzonych Niemiec.

Wyłączył lampę i przez chwilę siedział w ciszy, wsłuchując się w monotony szum na zewnątrz. Zaczęło robić się naprawdę zimno. Zapalił papierosa. Czekał.





ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY ...walić prosto z mostu...

Jan szedł z domu do pracy, rozkoszując się ulubioną porą roku. Budynki z okolicy ulicy Świdnickiej, naznaczone piętnem zagłady, przeznaczono do rozbiórki. Można by podejrzewać, że zostały niesłusznie oskarżone i dostały najwyższy wymiar kary. Podzielał los wielu pięknych budynków Wrocławia, które zniknęły, bo miały pecha, że stworzyła je ręka niemieckiego architekta i budowniczego. Była to wielka niesprawiedliwość dziejowa, ale zwycięzcy nie wdawali się w czcze dysputy. Na wyrok czekał monumentalny gmach Muzeum Sztuki Śląskiej, przed którym zasadzone ręką ogrodnika jałowce, wystrzeliły na wysokość drugiego piętra, jakby chciały osłonić kolegę przed chciwym wzrokiem poszukiwaczy budulca, który wciąż był na wagę złota.

I tak w miejsce budynków z fantazyjnymi fasadami zdobionymi często kolumnadą i rzeźbami z piaskowca pojawiła się KDM – Kościuszkowska Dzielnica Mieszkaniowa. Warkot, kiedy dostał tam przydział na początku cieszył się jak dziecko z nowego mieszkania, ale po jakimś czasie pojawiły się wątpliwości. Klatka schodowa była za duża w stosunku do mieszkań, bo w planach miała tu kursować winda, ale na windę zabrakło i teraz można było bez problemów wciągnąć na górę fortepian, jeśli oczywiście zmieściłby się później przez standardowe drzwi do mieszkania. I tak dalej...

Janek mijając kościół Świętej Doroty, spostrzegł kogoś w wypalonym domu po drugiej stronie ulicy Świdnickiej. Stojąca w podsieni postać wyglądała zupełnie normalnie – ciepły płaszcz, kaszkiet nasunięty na czoło, spękane od wielokrotnego pastowania buty. Janek przyjrzał się mężczyźnie dokładniej, kiedy dłoń uniosła się do daszka kaszkietu w geście powitania.

– Pan Zenon! – wykrzyknął Janek.

I rzeczywiście, stał przed nim Zenon Zagłębiak we własnej osobie, dawny główny technolog z drukarni. Warkot podszedł do zakutanej w płaszcz sylwetki.

– Dzień dobry, Janku – przywitał się dawny szef. – Do pracy?

– Tak, ale co pan tu robi?

– Widzisz, czekam na ekipę. Jak poleciałem z drukarni na fali rozliczeń z kultem jednostki, to się tak tułam od tamtej pory i biorę, co mi dają. Znaleźli jakieś maszyny w podziemiach i chcą, żeby to ktoś zobaczył. Co chwila ktoś coś wykopie, ale nie mają fachowców, dlatego muszą się zwracać do starego Zenka.

– No ale co u pana? Jak rodzina?

Technolog spochmurniał.

– Żona poszła gdzieś w Polskę, bo powiedziała, że nie może żyć z tym, no... siepaczem, sługusem wypaczonego systemu. Jaki tam ze mnie siepacz, Janku, no powiedz sam! Co prawda byłem człowiekiem dyrektora Chucia, ale on poleciał i potem go zaraz przenieśli do Warszawy, do Zjednoczenia. A ja... O mnie zapomnieli. Psiakrew!

Janek nie wiedział, co ma powiedzieć, bo w końcu zajął dawne stanowisko Zagnębiaka. Czuł, że wyrządzono temu człowiekowi krzywdę, bo w sumie dobry był z niego człowiek.

– Panie Zenku, a nie wróciłby pan na dawne śmieci? Na zastępcę?

– E, nie wiem, Janku. A bo to mnie przyjmą z powrotem?

– Jest pan świetnym fachowcem, a tamto... było, minęło.

– Ja ci powiem, Janek, jak na świętej spowiedzi. Ja jestem komunistą z krwi i kości. Dla mnie to wszystko, walka, odbudowa, to było ważne, a teraz sam już nie wiem, co myśleć. Ja to lubię tak prosto z mostu...

Janek zastanowił się, bo w drukarni wszyscy mówili, że Zagnębiak to ucho i oko tych z Podwała. A może to były tylko plotki złych ludzi...

– Komunistą? Ja wiem... Skoro pan w to wierzy...

– Jak Boga kocham, eee, to jest...

– Proszę się nie niepokoić, wiem, co chciał pan powiedzieć. Ale zapraszam, jak się pan zdecyduje. Pogadam z dyrekcją.

– Dziękuję ci, Janku, porządy z ciebie chłop. Zastanowię się.

Uścisnęli sobie dłonie.

Warkot zamyślił się w drodze do pracy. Wszelka władza w historii rodzaju ludzkiego zawsze pożerała swoje dzieci. Tak już był zbudowany świat i choć Warkotowi daleko już było do ideowych postaw, jakim hołdował za młodu, zwyczajnie żał mu się zrobiło Zagnębiaka, od którego doświadczył wyłącznie dobrych rzeczy.

„Trzeba będzie coś z tym zrobić” – pomyślał.

Przeciął Szewską, wszedł w Oławską i już po chwili znalazł się w pracy.

Było już widno, kiedy kremowo-bordowy autobus z wyłupiastymi reflektorami zatrzymał się przy starej rampie i stał przez chwilę z włączonym silnikiem. Zimne powietrze przegoniło chmury, choć zeszkliło też na ziemi warstwę wody, która padała z nieba przez całą noc. Kierowca wysiadł z szoferki i w jednej chwili wyłożył się na

wznak.

– *Donnerwetter!* – zaklął całkiem na temat.

Rzeczywiście pogoda była nieprzyjazna. Podniósł się z ziemi i otrzepał. Nagle spostrzegł, że ktoś stoi i patrzy na niego. Odruchowo się wzdrygnął. Każdy wiedział, że nie należy zaczynać ze starym, bo ci, którzy mu się sprzeciwili, już wachają kwiatki od spodu.

– Ciszej! – syknął Jürgen. – Spóźniłeś się.

– Gumę złapałem za Ząbkowicami. Szef wie, jak ciężko w tym cholerstwie zmienić koło?

– Dopilnuj, żebyś miał zapasowe, kiedy będziemy jechać. Nigdy nic nie wiadomo.

– Tak jest! – powiedział, po czym zapytał z ciekawością: – I co? Jest?

– Wszystko jest, jak należy. Nie interesuj się.

– Nie no szefie, ja tylko tak.

– Nie mędrkuj, otwieraj skrytkę.

Kierowca posłusznie otworzył klapę luku bagażowego i odsunął zaślepkę do przemyślnie zamontowanej tam skrytki. Nawet po jej otwarciu niewiele było widać. Kierowca poświecił latarkę, żeby sprawdzić wymalowane na matowy czarny kolor wnętrze.

Wraz z kierowcą zaczęli przenosić skrzynki do wnętrza bagażnika i wsuwać je na sam koniec skrytki. Weszły wszystkie po dwie, jedna na drugiej. Zasunęli zaślepkę i zamknęli bagażnik.

– No to jedziemy – rzucił Müller. – Podwieziesz mnie do Wrocławia. Mam tam jeszcze jedną niedokończoną sprawę.

Przyjaciele postanowili się spotkać po południu, zaraz po pracy, żeby mieć więcej czasu na rozmowę. Spotkanie odbyło się jednak u Gromiła z oczywistych względów – było wszędzie blisko. Przy okrągłym stole Stefana zasiedli państwo Kapustowie, państwo Warkotowie, Jadzia Raufenbergówna, no i sam gospodarz. Każdy coś przyniósł do wspólnego stołu, a i Gromił zgromadził niezłe zapasy. Mogli biesiadować do rana, choć oczywiście z kilku względów nie było takiej możliwości.

– Ładnie tu sobie gospodarzysz, Stefek – stwierdziła Marlena – jak na kawalera...

Gromił przywykł już do kawalerskiego życia. Potrzeby miał skromne, od czasu do czasu tylko kupował karton cameli, choć sam siebie przekonywał, że wcale nie musi palić.

Wszyscy już zasiedli i spoglądali po sobie, bo odruchowo czekali na jeszcze jednego gościa, który jak zwykle spóźniał się haniebnie. Najwyraźniej miał spóźnienia wpisane w kalendarz.

Panie przygotowały zakąski, a gospodarz rozlał nalewkę z jeżyn do niewielkich, kryształowych kieliszków. Wzniesiono tradycyjny toast Bractwa Wrocławskiego za pomyślność oraz drugi na pohybel. Niepisany rytuał dopełnił się. W tym właśnie

momencie Marlena podziękowała wszystkim i zapowiedziała, że więcej już pić nie będzie, bo coś ostatnio źle się czuje. Barbara i Jadwiga wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Panowie niczego się nie domyślili.

Po mniej więcej kwadransie towarzyskiej rozmowy o niczym zeszła ona na zgoła inne tory. Marlena, zresztą nagabywana przez pozostałych, zaczęła opowieść o swoim doktoracie i ogólnie o literaturze współczesnej.

– Teraz sporo się wydaje. Pojawiły się różne pozycje, nawet z literatury popularnej. Kryminałki i takie tam...

– No tak, kiedyś tego nie było – wtrącił się Kapusta – ale przed wojną to było tego na kopy. Sam ostatnio czytałem taką jedną powieść. Ale autor, Johnny Denver, to chyba jakiś pseudonim.

– Zdzisiu, mówiłam ci, żebyś nie tracił wzroku na te bzdurki. Jest tyle ciekawych, dobrych książek...

– Ależ, Marlenko, ty wiesz, jak tam wszystko jest zagmatwane? Dopiero na ostatnich kartkach jest rozwiązanie i czytelnik dowiadyuje się, kto zabił.

– Ja sama lubię sobie poczytać takie michałki – przyznała Barbara. – Na dyżurach nie da się czytać nic innego, bo trudno się skupić.

– I jak, dobrze poprowadzona intryga? – wtrącił się Stefan. – Ja sam nie czytam kryminałów, tego by jeszcze brakowało.

– No tak, ty to masz na co dzień.

Nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Ostro, natarczywie. Podskoczyli wszyscy jak na komendę. Gromił spojrzął po twarzach przyjaciół, wstał i poszedł do drzwi.

– A co pan tak dzwoni, jakby się paliło, panie Leonie? – rozległo się z przedpokoju.

– Jeszcze się nie pali, ale może się zapalić lada chwila! – Dobiegł ich tubalny głos ostatniego członka Bractwa Wrocławskiego. Tylko profesor Ochocki nie mógł przyjść, bo miał jakieś sympozjum w Warszawie.

– Witamy w skromnych progach – Gromił wprowadził gościa.

Słupecki wyglądał zdecydowanie na osobę z miejsca, w którym królował kapitalizm, wyzysk człowieka przez człowieka i nierówność społeczna.

– Pięknie, widzę, że wszyscy w komplecie – powiedział Leon.

– Basia musiała sobie zamienić dyżury – pisnęła Jadzia i spłonęła rumieńcem. Dobrze jej z nim było, bo do tej pory siedziała błada i smutna.

– Za nic nie przegapiłabym takiej okazji – uśmiechnęła się Basia.

– O czym to tak zawzięcie dyskutujecie, hm? – zapytał się Słupecki z filuternym błyskiem w oku.

– O literaturze, to jest o jej najbardziej podkasany rodzaj. O kryminale – powiedziała Marlena.

– Ciekawe. No i co wam wyszło w rozrachunku?

– Jeszcze nic, panie Leonie, Marlenka dopiero się rozkręca – rzucił Janek, który postanowił w końcu włączyć się do rozmowy pomimo natłoku myśli.

– I jak, dobra rozrywka ten kryminał? – zapytał Leon.
– To nie jest dobra literatura... – zaczęła Marlena.
– Ale komu przeszkadza odrobina rozrywki? Przecież to nikomu nie szkodzi.
– Czytałam kilka recenzji w prasie i muszę powiedzieć, że zgadzam się z recenzentami.

– A wie Marlenka, kto to jest recenzent? – włączył się Leon.
– No ciekawam...
– Recenzent to taki platonicznie i nieszczęśliwie zakochany w pisaniu człowiek. Na dodatek z manią wielkości.

– Jak to?
– Recenzentów, jak mówi klasyk, dzielimy na dwie grupy. Na tych, którzy są wykształceni powyżej swej inteligencji, i na tych drugich, którym inteligencja w wykształceniu nie przeszkadza.

Barbara parsknęła śmiechem, bo bardzo lubiła uszczypliwości Leona.

– Wujek wyjaśni, proszę.
– Otóż do pierwszej grupy zaliczamy, że tak powiem owoce reformy szkolnictwa i walki z analfabetyzmem. Nie twierdzę bynajmniej, że nie ma wśród nich zdolnych ludzi, ale przeważnie ich napompowane ego deformuje ich pogląd na świat. W ich przypadku maszyna do pisania jest jednocześnie złotym cielcem i berłem, którym ferują swe wyroki. Wczytują się w książkę i szukają błędów zecerskich, nieporadności językowych i wszystkiego, do czego można się przyczepić. Nie patrzą na całość tylko dokopują się do szczegółów, które na dodatek są zupełnie nieistotne dla całości dzieła. Kiedyś oczywiście było inaczej, bo skryba dwa razy się zastanowił, zanim skrytykował dzieło o żywocie tego czy innego świętego albo księcia. Dyby oraz inne narzędzia perswazji były wtedy w każdym większym domu. Dopiero z wynalazkiem druku się zaczęło. Ale to już zupełnie inna historia.

– No proszę, panie Leonie, niech pan ciągnie tę myśl – rzuciła zaczepnie Marlena.
– Druga grupa to przeważnie ludzie mający talent literacki oraz są bardzo ocytani. Nie muszą mieć kilku literek przed nazwiskiem, żeby stworzyć coś oryginalnego. Ci przeważnie z sympatią podchodzą do dziełek literackich po ojcowsku i z humorem łajając debiutantów, ale ogólnie przyglądając im się z pobłażaniem. Pojawili się niedawno, bo wcześniej mogli tylko redagować gazetki ściennie. Sami też coś piszą i mają nadzieję, że kiedyś to ukaże się drukiem.

– Pisać każdy może... – rzucił sentencjonalnie Kapusta.
– Tak, ale nie każdego wydają – zauważyła milcząca dotąd Jadzia.
– No nie, teraz drukujemy takie rzeczy, że jeszcze kilka lat temu nie było to możliwe – powiedział Janek.

– I dobrze, niech ludzie czytają – dodał Stefan. – A że wolą czytać o morderstwie w pociągu albo innych okropieństwach zamiast o niedoli chłopca na Podhalu czy o przekroczeniu planu, to ich sprawa. Na końcu i tak okazuje się, że zabił kamerdyner,

choć w dobie normalizacji i postępu jest to wątek anachroniczny. Wskazuje jednak na to, że na zgniłym Zachodzie mordują się na potęgę. Zna ktoś jakiś polski kryminał?

– A więc jednak czytasz coś, bo skąd byś o tym wiedział? – zakpił Warkot.

– Mój pułkownik czyta. Opowiadał mi. – odparł asekuracyjnie Gromiś.

– Ja czytałam coś dobrego – wtrąciła się Basia. – Zły Tyrmanda. Doskonale się bawiłam.

– No i o to właśnie chodzi! O rozrywkę! – wykrzyknął Leon. – Jeśli ktoś woli, może brnąć w Heideggera albo Hegla, ale rozrywka, oderwanie się od doczesnych trosk, to jest ważne zadanie literatury popularnej.

– Jest tam taki milicjant, Dziarski, coś jak nasz Stefek! – zachichotała Basia.

– Tyrmand to niebieski ptak i bi... bikiniarz! – rzuciła Marlena.

– Nie będę pokazywał palcem, kto tutaj uwielbia jednego takiego imperialistę zza oceanu – mruknął Kapusta.

– No tak, najwyraźniej ciotka UNR-a zsyła na nas nie tylko stonkę. Ideologicznie próbują nas wziąć. To na pewno agent CIA ten cały Elvis – zakpił Leon.

– Proszę mi się odczepić od Elvisa! – Marlena wzięła żarty na poważnie.

– Tak, odczepcie się, to Marlence dobrze robi na nerwy.

– To, że ktoś nosi kolorowe skarpetki, nie świadczy jeszcze o tym, że jest wrogiem klasowym.

– I buty na słoninie! – Jan wczuł się w ducha dyskusji.

– I wojskowe kurtki z demobilu – dodał Stefan.

– I że pali camele – odcięła się Marlena.

– A właśnie, Stefanku, nie miałbyś szluga dla starego przyjaciela? – zapytał Leon.

– No dobrze, ale co z tymi recenzentami? – Jadzia była wciąż ciekawa.

– Nic takiego. Są w każdej epoce. I w większości mają pretensje do kaktusa, że krzywo rośnie. Taka ich rola. Ważne, żeby to zbożne zadanie nie wykrzywiało im charakterów.

Nadszedł czas na kolejny toast. Marlena dyskretnie odsunęła kieliszek.

– Wypijmy za szczęśliwe zakończenie bieżącego śledztwa. I żeby nam szpiedzy w żyto nie wchodzili! – zawołał radośnie Leon.

Wszyscy zamilkli, bo przypomnieli sobie dramatyczne wydarzenia ostatnich dni. Porwania, śmierć Karola, Krystiana w kazamatach i mordercę, który wciąż groził ich bezpieczeństwu.

– Złapią go? – zapytała trwożnie Jadzia.

– Ja go złapię – odparł Gromiś z niespotykaną u niego zaciętością w głosie. Spojrzał na Jadwigę i ścisnął ją za rękę.

– A skąd się on właściwie tu wziął? – Zapytała Basia.

– To oficer, teraz w organizacji Werwolfu.

– Mam nadzieję, że z wilkołactwem nie ma nic wspólnego...? – zapytał Janek, zerkając z ukosa na Leona.

– Nie, to nie to. Oczywiście łatwo byłoby przypisać jego czyny wilczej naturze, ale zapewniam was, że z prawdziwymi wilkołakami ma niewiele wspólnego. No może paskudny charakter.

– Jakimi prawdziwymi wilkołakami? – Kapusta aż podskoczył, zegnając się na wszelki wypadek.

– Nie, my tylko tak... – uspokoił go Leon. – Przecież wilkołaków nie ma, prawda? – Słupecki mrugnął do Janka.

– Prawda! – Tym razem Marlena zgadzała się ze Słupeckim w stu procentach.

– Panie Leonie, ja pana bardzo proszę... Po każdym naszym spotkaniu coraz częściej oglądam się za siebie, jak wracam gdzieś po nocy. – Kapustę niełatwo było uspokoić.

– Nie, nie, to nie to, gwarantuję – Leon odparł stanowczym głosem. – Wiedziałbym.

– No bo jakby co...

– Ludzie, za chwilę człowiek polecą w kosmos, a wy tu takie herezje... – Marlena próbowała racjonalizować. – Pies poleciał!

– Z herezjami sobie jakoś radzimy, a człowiek, jak polecą, to polecą. Nie wiadomo tylko, czy wróci – dodał Słupecki pod nosem. – Podobno mieli cały miot tych Łajek, na wszelki wypadek.

– Nieważne, próbują wywieźć cenną zawartość skrytki w pociągu, a Müller już kilku ludzi wyprawił na tamten świat. Mnie też próbował... – powrócił do tematu Gromiła.

– A ten major? – zapytała Basia. – Janek mówił, że z niego też lepszy numer.

– Na razie nie mogę wam więcej powiedzieć, wybaczenie. Dla waszego bezpieczeństwa. – Zerknął na zamyśloną Jadzię.

Leon rozejrzał niespokojnie. Pokutnik najwyraźniej miał jakiś szósty zmysł, bo nagle rozległ się suchy trzask i prawie pusta butelka po nalewce rozprysła się na stole, jakby była z lodu. W sekundę później znów brzęknęło. Tym razem ofiarą padła maselniczka.

– Padnij! – krzyknął Gromiła, jednocześnie rzucając się w kierunku włącznika prądu.

W pokoju zapanowały ciemności i słychać było tylko stłumiony szloch Jadzi. Dziewczyna stanowczo za dużo ostatnio przeszła. W świetle mieszkania z naprzeciwka widać było błysk oksydowanej stali pistoletu Gromiła, który ten już trzymał w pogotowiu. Strzelano z dachu budynku na wprost. Szyba nie pękła, widać było tylko dwa otwory otoczone pajęczyną pęknięć.

– Nie ruszać się! Leon, ubezpieczaj! – Gromiła rzucił się do wyjścia, a Słupecki zdematerializował się w jednej chwili. Za Gromiłem ciągnęło się echo jego kroków na drewnianych schodach.

Warkot zauważył jakiś ruch naprzeciwko. Na dachu. Mieli wiele szczęścia, bo kapryśna pogoda skutecznie przesłoniła zamachowcowi widoczność i pewnie dla tego chybił. W sumie nie wiadomo, ilu ich było. Objął ramieniem Basię i uspokajająco pogładził ją po policzku.

Kapusta pierwszy odzyskał rezon. Na kolanach podpełzł do okna i zaciągnął grube story, tak, że nie było nic widać. Zapalili światło. Warkot podniósł żonę z ziemi

i podszedł do okna. Zerknął przez szparę w storach. Coś się tam działo!

– Uważaj, może strzelał do ciebie...

– Na pewno do mnie. No i do Stefka. Ale spudłował.

– Boże, Stefan... – wyszeptała Jadwiga, bo zrozumiała, o co toczy się gra.

– Nic mu nie będzie, jest z nim Leon – rzucił uspokajająco Kapusta drżącym głosem.

Rozejrzał się po pokoju, w którym jeszcze tak niedawno panowała wręcz radosna atmosfera. Kawałki karafki oraz maselniczki leżały bezwładnie na obrusie. Kule wbiły się gdzieś w drewno albo w ścianę. Resztką nalewki pani Gromiłowej utworzyła fioletową plamę na jasnym obrusie.

Warkot wypatrywał czegoś na dachu.

– Jest, widzę go!

– Mów, co się dzieje! – wykrzyknęła Marlina.

– Nie widać dokładnie. Cholerny śnieg!

Sypało teraz na całego i niewiele było widać. Wszyscy czekali w niepewności.

Kiedy Gromił wbiegł na klatkę przeciwległego domu, zatrzymał się na chwilę i uspokoił oddech. Przeciwnik był przebiegły i podstępny, nie należało szarżować, tym bardziej że żarówka pozbawiona klosza mrugała ostrzegawczo, wydając ostatnie tchnienie. Wyżej było jeszcze gorzej.

Schody skrzypiały z każdym krokiem, a jego wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności rozpraszaną jedynie przez światło padające z podwórka. Chwiejna balustrada nie dawała poczucia stabilności i po namyśle zrezygnował z trzymania się jej, a jedynie wiódł dwoma palcami po zamalowanej farbą olejną, śliskiej poręczy. W prawej dłoni trzymał pistolet, który jeszcze nigdy go nie zawiodł w trudnych sytuacjach.

Czuł intuicyjnie obecność Leona Słupeckiego i wiedział, że stary grasant obserwuje go i w razie niebezpieczeństwa ostrzeże go, gdyby napastnik wrócił na klatkę schodową i chciał tą drogą wyjść na ulicę. Wiedział, że nie może uciec w żaden inny sposób, bo za domem, w którym mieszkał w Breslau pewien esesman, ziała pustka zakończona ostrymi zębami ruin w kolejnej wyrwie po zburzonej kamienicy. Z drugiej strony dach wędrował ostro w górę i niepodobna, żeby ktoś mógł się wspinać po gładkiej ścianie w taką zadymkę.

Trzecie piętro. Czyjaś przerażona twarz tylko mignęła w uchylonej szparze drewnianych drzwi. Zatrzasnęły się głośno. Jednak ta chwila pomogła Gromiłowi uniknąć wpadnięcia na zostawiony na korytarzu wózek dziecięcy.

Czwarte piętro. Słysząc skrzypienie podłogi za drzwiami. Ktoś jest przy judaszu. Gromił przygotował się, bo przecież napastnik mógł sterroryzować lokatorów i zacząć się na niego w środku. Nic się nie wydarzyło, podłoga skrzypnęła jeszcze raz i zamarła w strachliwym wyczekiwaniu, bo lokator najwyraźniej nie mógł opanować niezdrowej ciekawości. Ciekawe, czy słyszeli strzały? W taką pogodę było to raczej niemożliwe,

ale gapie mają jakiś szósty zmysł, wyczuwając wydarzenia, które mogliby zanotować.

Gromił wyszedł na podest strychu. Pusto. Otwarte drzwi kołatały o framugę miotane podmuchami zimowego wiatru. Z otwartego lufcika, przez który padało światło księżyca, sypał się śnieżny puch, co w innych okolicznościach byłoby niezwykle pięknym zjawiskiem. Snop srebrzystego światła z drobinkami wirującymi jak w śnieżnej kuli.

Gromił spojrzął na drewniane, wyrobione przez czas schodki prowadzące na dach. Wszędzie walały się przedmioty, które wypadły już z osi czasu i teraz czekały na zlitowanie właścicieli albo na poszukiwaczy skarbów. Stare rowery bez siodełek i kół, wiklinowe kosze, w których kiedyś noszono rozmaite przysmaki, spękane gipsowe ramy obrazów wiszące na jednym gwoździu, żeliwna kuchenka, dwa fotele ze sterczącymi z nich sprężynami – wszystko to świadczyło o tym, że czas jest względny, bo jednocześnie ucieka i stoi w miejscu. Gromił otrząsnął się z tych myśli i chwycił lewą dłoń za barierkę schodków wiodących na dach. Ostrożnie wspinał się noga za nogą, aż mógł ostrożnie wyjrzeć na zewnątrz.

Napastnik nawet nie próbował się ukryć. Czekał na niego – wysoka postać w płaszczu i w kapeluszu, co w tych okolicznościach było dość absurdalne. Czarna sylwetka na tle zimowego nieba widoczna przez pryzmat zacinających drobin mokrego śniegu. Stał na środku dachu, w miejscu, w którym budowniczy stworzył niewielką, płaską część, żeby ułatwić pracę kominiarzom i dekarzom. Powierzchnia dachu była ograniczona przymocowanymi deskami pozwalającymi stanąć na części spadzistej.

Gromił wyszedł na zewnątrz.

Wtedy padł strzał – niecelny. Gromił usłyszał tylko przytłumiony odgłos i zobaczył płomień strzelający z lufy. Sam też strzelił, dwa razy, ale gęsta warstwa walącego z nieba mokrego śniegu zdawała się tworzyć nieprzebytą zaporę. Spróbował raz jeszcze, podobnie jak napastnik. Nic. Zobaczył jak napastnik chowa broń pod połę płaszcza i sam zrobił to samo. Kiedy wybiegł z domu nie założył nawet marynarki, miał tylko kaburę do walthera zawieszoną pod ramieniem. Czekał.

Napastnik zrobił krok w przód i coś błysnęło w świetle księżyca. Nóż. Długie, szturmowe ostrze.

„Co on dorwał się do jakiegoś magazynu z bronią?” – przemknęło Gromiłowi przez myśl.

Nóż wyglądał znajomo. Stefan stanął na dachu, przybierając właściwą postawę. Mógł oczywiście strzelać dalej, ale dobrze było mieć zapas amunicji, bo nie wiadomo, jaki obrót przyjmą sprawy. Prawda była taka, że miał ochotę wyrwać napastnikowi serce gołymi rękami: za wszystko. Za Janka, za Jadzię i wszystkie inne zbrodnie, włącznie z jego własną raną, która teraz rwała go niemiłosiernie, jakby na widok sprawcy.



Gromił skoczył naprzód. O włos minął stalowe ostrze i z całej siły w półobrocie walnął mordercę łokciem w splot słoneczny. Gdyby nie gruba warstwa ubrań, cios taki powaliłby największego nawet przeciwnika na ziemię. Ten jednak odskoczył tylko i Gromiłowi zdawało się, że widzi szyderczy uśmiech na niewidocznej twarzy.

Napastnik postanowił najwyraźniej, że ma dość zabawy. Ruszył na Gromiła z pełnym impetem dzikiego zwierzęcia zagonionego w matnię. Trzymał nóż w trzech palcach, co umożliwiało mu precyzyjne operowanie bronią. Nie był amatorem, musiał odbyć wiele pojedynków.

Ciął z boku, mierząc w lewą dłoń Gromiła, co miało najwyraźniej zdekongentrować ofiarę. Stefan uchylił się, uratowało go tylko to, że powierzchnia dachu była już śliska

od warstwy marznącego śniegu. Z trudem utrzymał równowagę i wyprowadził prawego haka, trafiając napastnika w żebra. Ten zachwiał się, zrobił krok w tył najwyraźniej zaskoczony takim obrotem sprawy. Gromił wykorzystał sytuację i zamachnął się lewym sierpowym, który jakimś cudem doszedł do celu.

Trafił w szczękę. Poczuł, jak szorstki zarost rysuje mu wierzch dłoni. Napastnik padł na ziemię jak długi, a nóż potoczył się po zamokniętych deskach.

Gromił rzucił się na mordercę i uderzył kolanami w jego tułów. Musiało zboleć. Napastnik jęknął tylko, ale jego prawa dłoń doszła do celu i trafiła Stefana w podbródek. Gdyby nie słaby impet, Gromił zostałby znokautowany. Zobaczył gwiazdy wybuchające mu pod czaszką. Nie było jednak czasu na kontemplację.

Morderca zrzucił Gromiła z siebie i błyskawicznie podniósł się z dachu. Gromił spadł na bok, ale też próbował się podnieść, nieporadnie ślizgając się na mokrym podłożu. Przypominało to jakąś dziwną, groteskową pantomimę. Stefan wiedział, że miałby mniejsze szanse na suchym podłożu, bo napastnik był o dwie głowy wyższy od niego i miał siłę byka.

Poczuł, jak czyjaś dłoń chwyta go za włosy i podciąga w górę. Syknął z bólu. Zamachnął się dwa razy, ale napastnik miał też dłuższe ręce i próba ta wypadła dość komicznie.

„Zginąłem” – przemknęło mu przez myśl.

Widział, że napastnik szuka wzrokiem upuszczonego noża, żeby zakończyć starcie. Gromił resztkami sił stał na dachu trzymany w brutalnym uścisku przez olbrzyma. Morderca zaczął schylać się do połyskliwego ostrza. I właśnie ten moment zadecydował o wszystkim. Gdyby zaczął Gromiła okładać, wkrótce kapitan leżałby bez czucia zdany na jego łaskę i niełaskę. Tyle że morderca ma dość zabawy i planuje zakończyć wszystko jednym precyzyjnym sztychem.

Nachylił się, odwracając lekko bokiem do Gromiła, który zareagował instynktownie. Impetem całego ciała naparł na mordercę. Olbrzym nie spodziewał się tego. Zachwiał się, puścił Gromiła, zamachał w powietrzu rękami i poleciał do tyłu. Pech chciał, że stali na krawędzi dachu, czego nie zauważył zajęty pojedynkiem.

Gromił mógł przysiąc, że widzi zaskoczenie na twarzy wroga. Zamachał bezradnie rękami, chcąc się czegoś chwycić. Stefan odsunął się błyskawicznie.

Kiedy spadał, krzyknął straszliwym głosem. Krzyk po dwóch, trzech sekundach zakończył się paskudnym, głuchym trzaskiem.

Gromił dyszał ciężko, zbierając siły. Nagle wokół zabłysło światło. No tak.

– Mógł mnie zabić, a pan co? Nic? Ładny mi pomocnik! – rzucił Gromił z wyrzutem.

– Stefek, wszystko było pod kontrolą. Chciałem tylko sprawdzić, jak sobie z tym dziadem poradzisz – odezwał się beczelnie Słupecki spowity delikatnymi, pełgającymi niebieskimi płomykami. Podniósł upuszczony przez mordercę nóż. – Piękna robota. Gdybym to ja swego czasu miał taką stal...

– Dawaj pan to! Trzeba zadzwonić...

– Sąsiadka spod szóstki już kręci tarczą telefonu.

Gromił zwłókł się z dachu kamienicy i kiedy wychodził z bramy, zobaczył, że zebrał się już spory tłumek. Z oddali dobiegł go charakterystyczny odgłos syreny milicyjnej.

– Morderca! – wykrzyknęła histerycznie na jego widok jakaś paniusia w papilotach i szlafroku.

Rzeczywiście, był cały zakrwawiony, a do tego miał długiego majchra w dłoni. No i ta kabura... Nie był to widok przedstawiający wzorowego obywatela.

Milicyjny gazik zatrzymał się z piskiem opon. Wyskoczyło z niego dwóch mundurowych, którzy w jednej sekundzie weszli w swoją rolę.

– Ręce do góry! – krzyknął milicjant, mierząc do Gromiła z tetetki.

– Franek, daj spokój. Nie widzisz, że to kapitan. – Drugi trącił nadgorliwca w ramię.

– Obywatelu kapitanie, co się stało? Jak mamy tak często tu przyjeżdżać, to może abonament sobie obywatel kapitan załatwi? – był wyraźnie zadowolony z własnego dowcipu.

– Tam. – Gromił wskazał dłonią w stronę zrujnowanej bramy nieistniejącego już domu.

– O rany! – wykrzyknął Franek i podbiegł do nogi wystającej z kamiennego portalu.

– Trzeba ekipę wezwać i pogotowie!

– Nie sądzę, żeby pogotowie mogło tu coś pomóc – rzucił Gromił.

Kiedy przyjechał ambulans, wszyscy uczestnicy towarzyskiego spotkania u Stefana byli już na dole. Jadzia, cała przejęta, spoglądała fachowym okiem na poczynania sanitariuszy. Gromił siedział na otwartych tylnych drzwiach warszawy z pogotowia i bawił się doskonale, bo dostał jakiś zastrzyk. Na szczęście jego rany były powierzchowne, tylko było sporo krwi. Miał natomiast rosnące limo pod okiem, które zmieniało barwy niczym kameleon.

Po obfotografowaniu zwłok druga ekipa załadowała trupa na nosze i już miała go wsadzić do ciemnego, dyskretnego samochodu, kiedy Gromił poderwał się jak oparzony i przypadł do nich.

Zerwał koc z twarzy denata i na potwierdzenie swych podejrzeń pokiwał głową. Zobaczył wykrzywione w agonialnym grymasie oblicze Jürgena Müllera.

„No, wreszcie będzie z tym koniec” – pomyślał.

Zakrył zwłoki kocem i odszedł dwa kroki. Jednak coś nie dało mu spokoju. Znów podbiegł do noszy. Zerwał koc jeszcze raz.

Blizna.

Müller miał bliznę na twarzy!

Trup wpatrywał się w Gromiła niewidzącymi oczami. Blizny nie było.





ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

...cisza przed burzą...

W Karpaczu leżał śnieg. Ciężka, mokra biała czapa pokryła wszystko świeżą warstwą. Może i dobrze, bo nie było widać błota, zwiędłych liści i wszystkiego tego, co pozostawiła po sobie jesień. Szopa na rozdrożu przy wysokiej, kamiennej ścianie była otwarta. Drzwi poruszały się, skrzypiąc zawieszono na zwichrowanych zawiasach, jakby one też chciały zabrać głos w dyskusji na temat wyższości zieleni nad bielą, choć akurat ten głos był całkowicie pomijany w meteorologicznych decyzjach. Słupecki przyciągnął tutaj bardzo dziwną grupę, zdawałoby się oberwańców, choć każdy był na swój sposób oryginałem z domieszką dworskiej fantazji, która jak zadekretował Towarzysz Wiesław, dawno już odeszła do lamusa.

Pierwszym z jego gości był mężczyzna lat około trzydziestu, wysoki, z czarną brodą w skórzanym kaftanie i takimż kapeluszu z szerokim, fantazyjnie zawiniętym rondem. U pasa dyndał mu potężny pałasz zawieszony na szerokiej, skórzanej szarfie, która służyła też jako bandolier do flinty. Stroju dopełniały wysokie do kolan buty, które najlepsze lata miały za sobą. Był to Jean-Pierre, waloński zielarz i straszny raptus, który poczęstował sąsiada ołowiem, bo był z nim w zatargu. No i teraz musiał błąkać się po sudeckich bezdrożach z paskudną szramą na szyi od konopnego powroza, którą jednakowoż maskował kolorową apaszką.

Drugi mężczyzna nie sięgał nogami ziemi, z tego prostego powodu, że nóg nie posiadał od jakiegoś już czasu. Wisiał sobie tak w strzępach odzieży, łypiąc na świat jednym okiem, bo drugie gdzieś stracił. Głowę miał przewiązaną czarną chustą, a w wychudłych rękach trzymał sękaty kostur. To Hansel, opryszek, który czatował na swoje ofiary na rozstajach dróg. Hansla zdybali i przywiązali do dwóch dziarskich koników, które ukształtowały jego obecną postać.

Najmłodszym z grupy, stażem i wiekiem był pechowy szabrownik, który śmierć miał stosunkowo najlżejszą, ba, można by powiedzieć nawet arystokratyczną, bo dostał

w ciemną butelką od szampana. Nie protestował, bo miał nadzieję na złagodzenie wyroku i tak zwany wieczny odpoczynek. Na tego wołali Waluś.

No i ostatnia postać w tej dziwnej zbieraninie – kobieta. Z wyglądu dość licha i po przejściach w szaroburej zapasce i w chuście, którą zakładała na głowę. Wiek nieodgadniony, bo mogła uchodzić za całkiem jeszcze młodą kobietę, ale w niektórych momentach jej oblicze zmieniało się nie do poznania. W miejsce równych białych ząbków pojawiały się ostre jak szpikulce kły, oczy mrużyły się dziko i pojawiało się w nich coś takiego, że przynajmniej trzech absztyfikantów wyprawiła na tamten świat samym swoim widokiem, o wysokim pisku dobywającym się z płuc nie wspominając. Była to Helga.

– Drogie koleżeństwo – zaczął Słupecki – jako najstarszy pokutniczym stażem, a także z woli Najwyższego sprawuję nad wami dowództwo. Wiecie doskonale, że można zasłużyć się dobrym uczynkiem i karę skrócić. Straszylście, jak należy, no może oprócz Walusia, ale on jest tu od niedawna i wystraszył jedynie listonosza, co chodził na lewiznę do młodszej Matusiakowej, nieuczciwego sprzedawcę z geesu, który nie dowoził towaru, no i miejscowego sekretarza, który do kościoła w kaszkiecie wlaź, psuł powietrze i jeszcze się odgrażał. Niektórzy straszili z zaangażowaniem i zacięciem większym niż potrzeba – tu zerknął wymownie na Helgę – oraz też straszili nie te osoby, które należało. – Pokutnik popatrzył ciężkim wzrokiem na Hansla. – Na dodatek niektórzy – spojrzenie Leona powędrowało ku walońskiemu zielarzowi – włóczą się po okolicy bezproduktywnie i kamienie opukują w poszukiwaniu surowców zamiast straszyć, jak należy. Nie będziemy tu stosowali instytucji samokrytyki, bo w końcu to nie egzekutywa, a z was też żadni młodzieżowi aktywiści. Chcę jednak powiedzieć, parafrazując obecnie modne w pewnych kręgach hasło, że: „Pierwsi w sporcie, pierwsi w nauce”, a może pierwi? Jakoś tak. Chodzi o to, mówiąc krótko, że jak dusza pokutuje, taki odpust dostaje.

– Ja chciałem zaprotestować – odezwał się Jean-Pierre. – Wcale nie bezproduktywnie, ja tylko badałem teren...

Leon znów spojrzał na niego jak kat trzymający rozgrzane szczypce, któremu ktoś krzyknął nad uchem: „Uwolnić go!”.

– Słuchaj, zielarzu, teren znasz jak podszewkę własnego kaftana, więc nie mów, że coś badałeś. Łazisz po szlakach turystycznych, turystów nagabujesz, bajdy opowiadasz, a oni nieprzywykli. Miastowi. I na dodatek te zdjęcia! – Słupecki machnął czarno-białą fotografią. Widniała na niej para w średnim wieku w stroju turystycznym i uśmiechnięty od ucha do ucha obejmujący ich po ojcowsku Jean-Pierre. – Za przeproszeniem, za białego misia chcesz tu robić? Tu się straszysz! To bardzo poważna sprawa. Ale mniejsza o to. Zebrałem was tutaj, żeby powierzyć wam ważne zadanie.

Jean-Pierre wywrócił oczami, jakby chciał zakomunikować, że już przerabiał to kilkakrotnie.

– A straszyć będzie można? – Beznogi majak Hansel podniósł chude ramię jak

uczniak, uśmiechając się przebiegle.

– Owszem, tylko nie tak jak ostatnio, kiedy przeraziłeś kobiecinę, co na targ szła. Upuściła biedaczka koszyk, jaja się potłukły i kury musiały pracować na trzy zmiany przez dwie niedziele. A kobita niewinna jak azalia, nawet męża-pijaka znosi bez skargi.

– Ale, mości Słupecki, to silniejsze ode mnie. Za życia straszylem groźną miną i moją lagą na rozstajach i teraz nie mogę się opanować. A do tego, jak mówią, poszerzył mi się znacznie asortyment możliwości.

– No właśnie, Hansel, skąd to się u ciebie bierze? Wyskakujesz, jak nie przymierzając filip z konopi, machasz łapami, odgłosy wydajesz... No i jeszcze ten upiorny śmiech...

– Ale ja nic na to nie mogę poradzić. To silniejsze ode mnie. Włos mi rzednie, twarz mi blednie, psują mi się...

– Że się psują to widać gołym okiem. A wiatry tu porywiste, wiem. Musisz jednak pohamować bandyckie nawyki, więc póki czas, zmień się, straszymy grzeszników zatwardziały, żeby się opamiętali. Takie jest zadanie główne. Ale do rzeczy. Grupa przestępców jeździ sobie po tutejszych terenach tam i z powrotem opancerzonym pociągiem z niemieckimi oznaczeniami. Gdzieś ten pociąg chowają, co i rusz, bo kryjówek tu aż nadto. Uczulam szczególnie osoby, które doskonale znają teren. – Znów spojrzenie na Walończyka. – Pociąg trzeba zlokalizować i meldować to u mnie.

– Ja... ja nie dam rady – zaszlochała Helga. – Ostatnio trafiłam na grupę pionierów i zaraz się zaczęło. „Pomóc obywatelce? Może coś zanieść do domu? Nasza socjalistyczna ojczyzna troszczy się o najuboższych!”. I tym podobne brednie, a potem zaintonowali pieśń masową, a ja bidulka, jakby mnie kto rozżarzoną żelazem przypiekał.

– No i jak to się skończyło? – Leon wziął się pod boki. – Kto rozdziawił paszczkę na cały aktyw pionierski i zaskrzeczał tak piekielnym głosem, że podczas ucieczki dwóch pionierów sobie giry połamało? No kto? Ja może?

– Ale oni śpiewali...

– Dobrze już, dobrze. Mieli swoje za uszami, to prawda. Nie będziemy tu jednak, jak już mówiłem, wzorem naszych ukochanych żyjących, uprawiać samokrytyki. Po prostu macie pociąg znaleźć i zameldować.

Potępieńcy pokiwali głowami, aż Hanslowi jedna gałka oczna zadyndała pod oczodołem.

– Tylko mi tych bandziorów nie wystraszcicie. Aż się boję pomyśleć, co jest w stanie zrobić taka ekipa z garstką biednych, zahukanych przestępców. Macie poruszać się na niewidzialnego.

– Jak to: „na niewidzialnego”? To gdzie zabawa? – zaprotestował Hansel.

– Pokuta to nie zabawa! To jest poważne zadanie!

– Właśnie, pan Leon ma rację – przytaknęła Helga, bo w każdym gronie, nawet całkiem małym, zawsze znajdzie się jakiś lizus.

– Dobrze, już dobrze. – Leon wykonał gest, jakby rozganiał kury po obejściu. – Młodzieży, do zadań!

Słupecki odprowadzał ich wzrokiem, kiedy rozchodzili się na cztery strony świata – Helga pod górę, Jean-Pierre na południe, Waluś w stronę miasta, a Hansel wzdłuż torów, powiewając za sobą łachmanami w strzępach i podpierając się kosturem. Dziwna to była ekipa śledcza, ale Słupecki dysponował tylko takim personelem. Westchnął ciężko i zniknął, pozostawiając po sobie niezatarte wspomnienie.

Sierżant Socha zauważył, że jego dowódca jest dziś jakiś nieswój. W ogóle jakoś tak się zmienił. Zdawał się być jeszcze twardszy i jeszcze bardziej nieprzystępny niż zwykle. Do tego ta szrama. Skąd się zjawiała w ciągu jednej nocy? Socha był nad wyraz spostrzegawczym wywiadowcą, ale też nie przetrwał tyle w firmie, zadając głupie i niepotrzebne pytania przełożonym, od których zależało jego być albo nie być.

Milczał więc. Nie odezwał się ani słowem, kiedy schodzili do celi Krystiana Raufenberga, nie dał nic po sobie poznać, kiedy major Kalamatas wyprosił go bezceremonialnie z celi, mówiąc, że chce zostać sam na sam z zatrzymanym. Nawet nie pisnął, kiedy zatrzymany młody Raufenberg zbladł jak ściana na widok majora. Kiedy wychodził, odprowadzał go przerażony wzrok młodzieńca, który najwyraźniej truchlał na perspektywę pozostania w celi wraz z majorem.

– Jak...? Jak to się stało? – wyszeptał Krystian, kiedy drzwi zamknęły się za Sochą.

– Zrządzenie losu – wycedził przez zęby Jürgen, patrząc na Krystiana niczym wąż na mysz.

Podszedł do stołu, usiadł i wycelował w młodzieńca lampę. Włączył ją i dopiero teraz można było dokładnie zobaczyć, jakie emocje targają Krystianem. Czy mógł zadenuncjować Müllera? Niepodobna. Nikt by nie słuchał bredni zatrzymanego oprócz Gromiła, a ten nie miał tu wstępu. Był teraz całkowicie zdany na łaskę i niełaskę dawnego dowódcy.

– Komu powiedziałeś? – zapytał ostro.

– Nikomu, przysięgam... – odparł Krystian drżącym głosem.

Nie padło ani jedno słowo po niemiecku, bo Müller musiał się bardzo kryć. Ściany mają uszy, które pilnie słuchają.

– Kłamiesz!

– Nie, przysięgam...

Jürgen wcześniej rano był w kostnicy i widział zwłoki brata. Może nie było mu z nim po drodze, ale brat to w końcu brat. Wysłał go z zadaniem zabicia tych bezczelnych Polaków, ale niestety marnie skończył. Straszna śmierć, kiedy przez kilka sekund człowiek zdaje sobie sprawę z nadchodzącego końca. Oficjalnie zwłoki oznaczono jako NN. Tylko ten pracownik tak dziwnie na niego patrzył. Ale przecież nikt nie będzie poddawał w wątpliwość słowa majora kontrwywiadu. Byłoby to bardzo szkodliwe dla zdrowia. Na to właśnie Jürgen liczył, a że nie miał we Wrocławiu żadnego

przełożonego, miał nadzieję, że jakoś przetrwa te dwa dni bez szwanku.

Na dziedzińcu komendy stały nowiutkie autobusy gotowe do drogi. W sejfie miał wszystkie dokumenty i pełnomocnictwa. Naprawdę musiały się zdarzyć jakiś cud, żeby coś poszło nie po jego myśli. Co więcej, kwestię dostatniego życia Ottona miał też już z głowy. Zawartość skrytki w całości należała do niego.

Z rozmysłem zdjął długą, gumową pałkę ze ściany i zbliżył się do Krystiana.

Warkot chadzał ostatnimi czasy do Fonsia na ulicy Szewskiej, żeby coś przekąsić. Spotykała się tu śmietanka Wrocławia, studenci oraz ściągnięci doskonałą kuchnią zwykli obywatele. Zupa fasolowa czy też słynne „kozy” – solanki z bryndzą i ze szczypiorkiem były już słynne na całe miasto. Do tego panował tu nieuchwytny swojski i zdecydowanie przedwojenny klimat, odrobina towarzysko-kulinarnej stabilizacji pozwalające na zachowanie wiary w człowieka i codzienną normalność, która z czasem w powojennym Wrocławiu stała się towarem deficytowym.

Wyjątkowo nie było dużo osób w salce znajdującej się niemal na wprost kościoła Marii Magdaleny. Właściciel, pan Alfons, przywitał go uprzejmym skinieniem głowy i przyjął zamówienie. Janek czuł się dość wyczerpany wydarzeniami z poprzedniego wieczora, mimo że był tylko ich świadkiem. Warkot znał dobrze Gromiła. Wiedział, że Stefan czuje teraz wyłącznie wściekłość, że opanowała go chęć odwetu i zapuszkowania wszystkich żyjących podejrzanych. Warkot nie mógł go za to winić. Co prawda on sam został porwany, ale w tym dziwnym meczu było trzy do jednego dla Gromiła. Dwa razy został napadnięty, porwano mu dziewczynę i raz tylko udało mu się dopaść łajdaka, który mu to zrobił.

Mecz. No właśnie. Ten wyjazd do Lipska. Kapusta miał miejsce w jednym z autokarów, choć nie podejrzewał, że będzie się to wiązało z pewnym zadaniem, które wyznaczyli mu już Stefan i Leon. Uśmiechnął się do swoich myśli.

Jak na zawołanie astralny członek Bractwa Wrocławskiego wszedł do lokalu witany serdecznie przez właściciela.

– Witam, szanownego pana! Dawno pana nie było, panie Leonie!

– Padam do nóżek, rączki całuję – odwzajemnił się Słupecki.

– Stolik dla szanownego pana?

– Nie, ja tym razem do kulegi. – Leon wskazał na Warkota pałaszującego solankę z bryndzą.

– To co zwykle?

– Zgadza się, bandziuch durch pusty.

– Dzień dobry, panie Leonie. – Warkot podniósł głowę znad posiłku. – Właśnie o panu myślałem.

– Czyżby? Zapominacie o mnie, ty i Stefan. Teraz najbardziej przyjaźnię się z Jadzią. Cóż to za dziewczyna! A jaka mądra, przechera. Stefan ma szczęście. Powinien ją brać i się w końcu ustatkować.

– W swatkę się pan bawi?

– Nie muszę. Mam oczy. Jak oni na siebie łąpią... Tylko Stefan to zadeklarowany stary kawaler, ciekawe, czy mu rozsądek podpowie, jak należy z dziewczyną postąpić. No ale do rzeczy. Jest źle. Chyba już wiesz, że Gromił zabił majora Kalamatasa, jego brata, dlatego Jürgen zabrał się za Krystiana. Na ostro. Chłopak może tego nie przeżyć. Trzeba go stamtąd wyciągnąć.

– Z Podwala? Wiem, że ma pan spore możliwości, ale to zadanie może pana przerosnąć.

– Trzeba po prostu odciągnąć Jürgena. Niech się zajmie czym innym.

– Ale jak?

– Są różne sposoby. Najskuteczniejszy w tym przypadku to anonimowy telefon.

– Mówi pan zagadkami, jak zwykle.

Podano ziemniaki ze szpinakiem i jajkiem. Leon spojrział z miłością na to kulinarne arcydzieło i najspokojniej zaczął pałaszować.

– Zaraz Jürgen wróci do biura brata, wtedy uderzymy.

Zjedli, co mieli zjeść, i w gęstym, sypiącym z nieba śniegu ruszyli do automatu telefonicznego na Rynku.

Jürgen Müller bardzo skutecznie udawał Ottona vel Zenona Kalamatasa. Choć właściwie tylko wywiadowca Socha orientował się, że coś jest nie tak, to trzymał gębę na kłódkę, a informację o tym umieścił w tajnym raporcie dla przełożonych w Warszawie. Nie wysłał go jednak, bo a nuż pojawienie się krwawej szramy na obliczu przełożonego znajdzie całkiem logiczne wyjaśnienie. A tak był kryty. Raport sporządził i zamknął w sejfie.

Kiedy zadzwonił telefon, Jürgen odruchowo drgnął, bo jednak ta podmianka była w stanie wykończyć nerwowo najtwardszego zawodnika. Delikatnie podniósł ebonitową słuchawkę.

– Halo?

– Major Kalamatas? – zapytał jakiś damski głos po drugiej stronie.

– Słucham.

– Łączę...

– To wy, Zenonie Maksymilianowiczu?

– Tak? – odparł ostrożnie Jürgen.

– Tu stary znajomy. Tak, dobrze podejrzewacie. Z Moskwy.

– Słucham.

– A cóż to, Zenonie Maksymilianowiczu, starego przyjaciela nie poznajecie?

– Poznają, poznają, ale nie jestem sam...

– A, to rozumiem. Dzwonię, bo nie pisaliście ostatnio do nas. My tu bardzo dokładnie wszystko czytamy i wnioski wysnuwamy, ale musimy mieć, wiecie, surówkę, materiał do pracy, a tu nic. Ani mru-mru.

– Tak, rzeczywiście. Miałem sporo pracy.

– Wiemy, wiemy. Czekamy na ten raport w sprawie poszukiwań pociągu. Sami rozumiecie, sprawa jest polityczna i sam Pierwszy dopytywał się o to.

– Sprawa jest rozwojowa. Mamy pewne tropy i wszyscy moi ludzie są w terenie.

– A teraz nie musicie odpowiadać szczegółowo. Powiedzcie tylko „tak” lub „nie” do słuchawki. Czy dobrze zrozumiałem, że bierze w niej udział dwóch mężczyzn: kapitan Stefan Gromił i cywil Jan Warkot?

– Tak. – Jürgen poczuł, jak fala gorąca uderza mu do głowy.

– I co? Nic nie robicie w ich sprawie? To wicherzyciele.

– Czekam na instrukcje...

– Tak, czekacie... Bez względu na to, jak się cała sprawa zakończy, mają zniknąć. Obydwaj. Zrozumieliście?

– Tak, zrozumiałem.

– No to się cieszę. Wszystkie zadania zawsze wykonywaliście bez zarzutu, to i z tym sobie poradzicie.

– Poradzę sobie.

– To co, Zenonie Maksymilianowiczu, widzimy się w Lipsku na meczu, czy nie tak?

– Tak jest.

– Jaki wynik przewidujecie? No bez krępacji, mówcie, jak myślicie...

– Dwa do dwóch.

Również w sprawach sportu należało zachować polityczną ostrożność. Sportem żyli wszyscy i nawet od ugodowej, służalczej świni, jaką był Kalamatas, należało się spodziewać pewnego zaangażowania.

– Remis mówicie. No może. Do zobaczenia zatem.

– Do zobaczenia.

Coś kliknęło w słuchawce i Jürgen rzucił nią jak oparzony na widelki. Jakby trzymał jadowitego węża.

Zasepił się. Najwyraźniej niewiele wiedział o bracie. Kiedy telefon zadzwonił ponownie, spojrzął na aparat z prawdziwym przestrawieniem. Ta sprawa może całkowicie pogmatwać jego plany.

Coś znów szcęknięło w słuchawce.

– Major Kalamatas? – Jakiś głęboki, męski głos.

– Słucham.

– Wiem, kim jesteś szwabskie nasienie. Kalamatas nie żyje, a ty się rozpierasz na jego krześle, bandyto!

– Kto mówi?

– Nie ważne, kto mówi. Życzliwy. Czy nie tak to się u was mówi? Życzliwy komu, łajdaku? Masz ostatnią szansę. Wyjedź z miasta i zapomnij o całej sprawie. Masz czas do wieczora.

– Halo! Kto mówi?!

– Nie wydzieraj się, łachmyto, bo ci tam zlecą się ci twoi kapusie. To jakbyś sam zabił brata, bo tak właśnie zrobiłeś!

– Ty... – Jürgen zmełł przekleństwo w ustach.

– Do wieczora! – rzucił głos na odchodnym.

Tym razem Müller trzasnął słuchawką o widełki tak mocno, że odłupał kawałek ebonitu.

Schweine Hund! – zaklął w myślach.

Otworzył zamasyżycie szufladę biurka i wyciągnął z niej rozkaz wyjazdu, przepustkę i inne papiery dające mu władzę nad trzema autobusami wraz z ich pasażerami. Schował to wszystko w wewnętrznej kieszeni marynarki, porwał z wieszaka płaszcz, kapelusz i wypadł z biura jak burza.

Słupecki rozejrzał się dookoła i uśmiechnął promiennie do Janka.

– Takie formy straszenia są może nieortodoksyjne, ale równie przyjemne – skonkludował pokutnik.

– Spietrał się? – zapytał Janek.

– Mooowa! Idziemy na kielicha?

– Niestety, panie Leonie, z wielką chęcią, ale muszę do pracy...

– Ludzie się zmieniają. Kiedyś musiałbym cię powstrzymywać, a teraz żona, praca, obowiązki...

– Naprawdę muszę coś załatwić.

– Mówi się trudno. Może Stefana namówię na popołudnie.

– On teraz jest jak w amoku. A jak ma wolne, to Jadzi pilnuje.

– Kolejny Casanova. Ale dobrze, dobrze, niech pilnuje. W takim razie i ja coś będę załatwiał.

Dachy, pomniki i ogrodzenia Wrocławia wyglądają bajkowo z czapami białego puchu. Światło nabiera ciepłych barw, całkowicie odrealniając budynki, drzewa i latarnie, które jeszcze kilka dni temu były szare, ponure i surowe. W takie dni, kiedy aura zmienia się, ukazując miasto w zupełnie odmiennym, onirycznym świetle, często wydaje się, że za chwilę rozlegną się dzwonki i zza rogu wyłonią się sanie ciągnięte przez dwa kare konie, a tajemnicza postać z laską o srebrnych okuciach i we fraku uchyli cylindra na powitanie.

Zimową ciszę przerywało szuranie szuflki dozorców wrocławskich kamienic, którzy przed świtem pracowicie wytyczali ścieżki w tej bieli. Na przemian odgłosy kapiących rynien i skrzypienie butów na mrozie wytyczały kolejny etap niekończącego się rocznego cyklu. Wrocławska zima była równie kapryśna, co inne pory roku w tym niezwykłym miejscu, a jej początek przychodził niespodziewanie, co zawsze zdumiewało mieszkańców. Pojawiała się subtelnie i łagodnie białymi płatami padającymi na ulice i place, które niczym pierze, darte przez pracowite wrocławskie

święte, Dorotę, Jadwigę i Elżbietę, pokrywało wszystko wokół miękkim puchem. Tu panowała pełna demokracja. Swoją porcję dostawały zarówno najstarsze budowle, jak i te nowe, odtworzone na pierzejach Rynku. Prawdziwe mrozy miały dopiero nadejść. Teraz zima nie chciała wystraszyć wszystkich od razu, jakby miała zamiar przekonać do siebie tych, którzy woleli lato, ukazując im się w całej krasie i mając perspektywę zbliżającego się Bożego Narodzenia. Przechera.





ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY ...tajemnica trzeciego klucza...

Pułkownik Jacek Horeszko chodził nerwowo po gabinecie, co i rusz zahaczając o dużą palmę, którą wstawił mu ktoś, kto najwyraźniej chciał sprawdzić wytrzymałość roślin doniczkowych. Na biurku w popielniczce pety przybrały formę dużego jeżozwiera, ale nikt się tym nie przejmował. Gromił siedział u przełożonego od godziny i po kolei przedstawiał kolejne rewelacje. Szef nie przyjął ich dobrze.

– Do ciężkiej cholery, Stefan! Znów wkładasz kij w mrowisko.

– Ale przecież mówię obywatelowi pułkownikowi, jak jest. To Kalamatas został zabity. Jürgen miał długą szramę na twarzy, a denat w kostnicy jej nie ma. To co, zniknęła w cudowny sposób? Oni są podobni jak dwie krople wody. Jeden może uchodzić za drugiego i nikt się nie zorientuje.

– Ale po co to tamtemu?

– To akurat dziecinnie proste. Potrzebował tożsamości brata, żeby pojechać na mecz do Lipska z trefnym towarem pod podłogą autobusu.

– Stefan, tylko bez literatury, dobrze? Pytam po raz ostatni: jesteś pewny?

– Nie lubię tego mówić, ale dałbym głowę. W końcu może mi być jeszcze trochę potrzebna.

– I ten autobus stoi teraz u nas?

– Tak, na dziedzińcu, obok innych pojazdów.

– Co proponujesz?

– Możemy oczywiście skrytkę otworzyć, autobus zapieczętować, ale wtedy on zniknie jak sen złoty, a trzeba go złapać. I ukarać – dodał z niespotykaną u siebie zaciętością. – Proponuję zdjąć drania na granicy. Wtedy się nie wymiga. No i ryzyko mniejsze. Nie będzie się spodziewał zasadzki, jeśli już to kontroli ze strony NRD. Ale z takimi papierami... Kto będzie kontrolował majora kontrwywiadu, kiedy wiadomo, że autobusy z certyfikatem UB i wszyscy pasażerowie są prześwietleni na wylot?

– Nie można by tam choć zajrzeć...?

– Nie, autobus stale obserwują. Jürgen się zorientuje.

– Stefan, wiesz, że ci ufam, i czasami nie wiem, dokąd mnie to zaufanie zaprowadzi, ale to... to jest grubsze nawet niż sprawa z Sabiejem... Powinienem się skontaktować z Warszawą.

– Jestem pewien, że major Kalamatas cieszył się pełnym zaufaniem towarzyszy w Warszawie. Przecież powierzyli mu pieczę nad wyjazdem, o pociągu nie wspominając.

– Masz coś konkretnego?

Gromił najwyraźniej czekał na ten sygnał, bo bez słowa wyciągnął z teczek jakiś zeszyt i klucz.

– Co to takiego?

– Przedmioty ze skrytki numer dwa w Ściegnach. Zakradłem się tam i wyjąłem je, kiedy wszyscy byli zajęci degustacją. To jest zeszyt z zapiskami tego, kto to chował, czyli Jürgena. Są też zdjęcia, lista przedmiotów, rozkazy wyjazdu. Niemcy są bardzo skrupulatni. A ten klucz to trzeci klucz do skrytki, bez którego nie można otworzyć ostatniego pomieszczenia.

– Co tam może być takiego, że podwójnie to zabezpieczyli? Bursztynowa komnata?

– To obylibyśmy się smakiem, bo zaraz by nam kazali oddać...

– Wiesz, że ja nawet tego nie powinienem słuchać.

– Dlatego powiedziałem to raz i wystarczy. Ale to prawda.

– Czyli Jürgen nie miał dostępu do ostatniej skrytki w pociągu?

– Nie. Nie wie jak użyć trzeciego klucza. Ja wiem.

– No to choć jeden sukces. A dlaczego po prostu nie pojechał do tych Ściegien i nie wyciągnął obu kluczy?

– Bo nie on to chował. Prawdopodobnie ktoś wyższy stopniem. Zostawił Jürgenowi tylko ogólne wskazówki.

– Czyli wystarczy teraz zlokalizować pociąg?

– Tak.

– Zajmujesz się tym?

– Tak jest. Mój człowiek...

– Nie chcę nawet tego słuchać. Znowu robisz te swoje czary mary...

– Z naciskiem na mary.

– Dobrze, ale musimy się spieszyć. Jak zapuszczujemy Jürgena to i tak go zawiozą do centrali i tam dadzą mu wycisk. A potem proces, KS i cześć pieśni. Nie złamią go, to zatwardziały bydlak, z tego, co wiem. A nam potrzeba tego sukcesu.

Gromił skrzywił się. Ostatnio nawet jego długoletni przyjaciel, pułkownik Horeszko dawał się ponieść gorączce spektakularnych osiągnięć, a przecież dobry był z niego glina i wiedział, że co nagle, to po diable.

– No to działaj, Stefan, działaj i melduj – powiedział pułkownik.

– Odmeldowuję się. Klucz zabieram, notes zostawiam.

Było już po czternastej, kiedy wyszedł z gabinetu szefa i ruszył Świdnicką w stronę domu. Czekala go długa noc i miał zamiar się wyspać. Jadwiga była pod obserwacją i też chyba zaszyła się w domu. Biedna dziewczyna. Pogrzeb jej brata miał odbyć się w przyszłym tygodniu, a przecież do tego czasu miało nastąpić rozwiązanie tej całej sprawy i Gromił nie będzie mógł znaleźć czasu dla dziewczyny. W zamyśleniu prawie przewrócił jakiegoś jegomościa w cyklistówce, który bąknął coś pod nosem.

– Przepraszam...

– Jasne, idzie taki z głową w chmurach i ludzi nie poznaje na ulicy...

Gromił podniósł wzrok. Słupecki w cyklistówce przedstawiał sobą dość niecodzienny wygląd. Na dodatek miał na czole gogle i długi, skórzany płaszcz. Wyglądał niczym uczestnik sanacyjnego wyścigu motorowego.

– Panie upiorze, bardzo proszę nie zaczepiać zmęczonych życiem obywateli.

Wymienili informacje, idąc wolno w stronę rynku.

– I co, naprawdę szukacie pociągu? – zapytał Gromił. – Ale kto? Pańscy batiarzy?

– No od biedy można tak ich nazwać. Urwisy.

– A pan co? Na bal maskowy się wybiera?

Słupecki się najeżył.

– Zmotoryzowany jestem, to ubrałem się stosownie do okoliczności.

– Myślałem, że pojazdy są panu zbędne.

– Muszę zachować incognito. Wytrzasnąłem z jednej szopy stare BMW z koszem i teraz pomykam w tumanach spalin.

– Zbiera pan złom z demobilu? Po co?

– Może się okazać bardzo przydatny dla naszej sprawy. Nawet nie wiesz, Stefanku, ile jest po Wrocławiu nieodkopanych piwnic z tymi gratami. Mam kilka takich na oku. Nietkniętych ręką szabrownika, że tak powiem. Mógłbym cały pułk umundurować i wyposażyć.

– Werwolf pan zwołuje czy jak?

– Moje urwisy nie potrzebują umundurowania, bo jak się objawiają, to na pierwszy rzut oka widać, że są z innej bajki. Muuuurowane!

– Ale skąd motor?

– To jest, że tak powiem zrządenie losu. Chciałem wyciągnąć z innej szopy opla, ale nie miał opon. A to towar deficytowy. Ale motocykl dobry, mocny silnik, solidna konstrukcja... Pojedziemy za autobusami – nie wytrzymał w końcu.

– Za TYMI autobusami?

– A jak – uśmiechnął się szelmowsko.

– Zauważą nas. Zatrzymają do wyjaśnienia.

– Niczego im nie będziemy wyjaśniać. Ukryjemy się, że tak powiem, w zimowej mgle...

– Z panem to tak zawsze. A potem jest draka...

– ...jakiej nikt nie widział. Znam to na pamięć. Ale, ale, i tak mamy dostatecznie wiele niewiadomych. Na przykład tajemnicę trzeciego klucza...

– To pan wie? Znów pan podsłuchiwał?

– Musiałem, żebyś jakiegoś głupstwa nie palnął...

– Co tam może być, jak pan myśli?

– Mam pewne podejrzenia, ale jak się sprawdzą, to będzie niedobrze....

– Proszę jaśniej. – Gromił się zirytował.

– Nie mogę, jeszcze nie teraz, po co wywoływać wilka z lasu...

– No nie, niech mnie drzwi ścisną, ładne mi Bractwo, tajemnica na tajemnicy...

Przechodzili obok dawnego Domu Towarowego Braci Barasch, który teraz epatował handlową siermiężnością handlu uspołecznionego. Gromił zauważył postać w płaszczu i kaszkiecie. Mężczyzna udawał, że czyta gazetę, ale lata doświadczeń podpowiedziały mu, że to kamuflaż. Obserwowali go!

Smutny rozłożył płachtę niemal ostentacyjnie i schował się za nią cały. Gromił skręcił gwałtownie w Kurzy Targ i po chwili wyszedł na kościół Marii Magdaleny. Minął restaurację U Fonsia i stanął na rogu Szewskiej i Wita Stwosza, gdzie wciąż leżało gruzowe cmentarzysko czekające na lepsze czasy. Poprawił kaburę pod pachą, zerkając nieznacznie za siebie.

– Coś tak wystrzelił jak z procy Stefanku? – zapytał Słupecki, poprawiając przekrzywioną cyklistówkę. Pokutnik, jak przystało na starszego pana, sapał jak lokomotywa.

– Niech pan nie udaje, przecież nikt nie patrzy... – Gromił obejrzał się już jawnie. Nikogo.

– Że co? Że sapię? Sapię ze złości, bo po pierwsze najwyraźniej dzisiaj nici z zupy fasolowej u Fonsia, a po drugie nie mam jeszcze żadnego meldunku z terenu, a mówiłem im...

– Kogo pan tam w ogóle posłał?

Stefan wiedział, że pan Leon ma całą armię pomagierów wszelkiej maści. Od lwowskich batiarów po jakichś zupełnie obcych ludzi, których tożsamości nawet nie zamierzał odgadywać.

– Miejscowych – rzucił Leon. – A co, chcesz ich poznać? To się da załatwić, ale tylko dla ludzi o mocnych nerwach. Straszne z nich obwiesie. Jak będziemy już w górach...

– Myśli pan, że uda im się wysledzić pociąg?

– Co ma się nie udać? Nie mogę się już doczekać, kiedy otworzymy trzecią skrytkę.

– Tak?

– Jeśli precjoza były w pierwszych dwóch, sztabki i kamyki... to w trzeciej...

– Może być coś innego.

– Właśnie.

– Ale co?

– Nie wiem, może dziesiąta symfonia Beethovena? Papiery, którymi dzieci i wnuki Bacha paliły w piecu... a może jakaś Wunderwaffe. – Leon był prawdziwie podekscytowany.

– Mam złe przeczucia. Jürgen mógł już odkryć jak posłużyć się trzecim kluczem.

– Tym lepiej! Wykona za nas robotę, a wtedy my go cap!

– Znów mam robić za przynętę?

– No ja nie mogę, ale będę cię pilnować, masz moje słowo.

– Dobrze sobie, upiór będzie mnie pilnować!

– Jednak wolę pilnować Jadzi...Obiekt dużo wdzięczniejszy, ładniejszy i pachnie fiołkami. A jakie ma poczucie humoru!

– Gdzie ma pan ten motor? – Gromił postanowił zmienić temat.

– O tu, na rogu.

– Tu nie wolno parkować.

– To wlep mi mandat i nie gadaj tyle.

– Nie mam boczka mandatowego. – Gromił parsknął śmiechem.

Warkot zapukał do gabinetu dyrektora. Rozległo się gromkie: „Wejść!”, więc śmiało otworzył drzwi.

Dyrektor drukarni Stanisław Knot był człowiekiem nowych czasów. W odróżnieniu od poprzednika skończył wyższe studia, co więcej – w trybie dziennym. Był człowiekiem ponad czterdziestoletnim drobnej postury z wyraźnie pogłębiającymi się zakolami. Nosił okulary w grubej rogowej oprawie. Partia powierzyła mu to odpowiedzialne stanowisko i był jej wierny do granic absurdu, uznając, że spełnia ważną społeczną funkcję, krocząc po jej linii ideologicznej. Knot był człowiekiem w miarę bezkonfliktowym, choć często zaperzał się, nie dopuszczając do głosu innych. Ta apodyktyczność przywodziła na myśl Towarzysza Wiesława, któremu dyrektor Knot wierzył bezgranicznie.

– Siadajcie, Warkot. Co was do mnie sprowadza?

– Panie dyrektorze, chciałem poruszyć pewną kwestię związaną z drukarnią.

– Proszę, mówcie.

Oficjalny styl, którym posługiwał się dyrektor był jego cechą immanentną i trudno było sobie wyobrazić, że jest z kimś na „ty”. Pracownicy żartowali, że nawet do żony zwraca się tym żargonem: „Ugotowaliście zupę pomidorową? To bardzo chwalebne, witaminy to podstawa zdrowego żywienia. Życzę wam również smacznego”.

– Przyszedłem w sprawie mojego zastępcy – powiedział Janek. – Od wielu miesięcy mamy wakat, a ja przecież nie mogę być wszędzie i wszystkiego dopilnować.

– Mówcie, mówcie... – Knot nawet nie oderwał wzroku od jakiegoś ważnego pisma.

– Proponuję więc na to miejsce towarzysza Zagnębiaka. Fachowiec dobry, odcierpiał już swoje za okres błędów i wypaczeń, a dobrych fachowców, sam pan dyrektor wie, ze świecą szukać.

Knot poderwał gwałtownie wzrok znad płachty. Spojrzał groźnie na Warkota, marszcząc śmiesznie czoło i strosząc cienkie brewki.

– Warkot, czy wyście, że tak powiem, szaleju się najedli? Czyście z konia spadli?

– Nie, panie dyrektorze, proszę posłuchać...

– Przerwę wam, czego nigdy nie robię. – I tu dyrektor Knot bardzo mijał się z prawdą. – Nie ma mowy. Zagnębiak jest elementem wątpliwym, reliktem przeszłości. Nie wiecie, że donosił na wszystkich tutaj, na was też, i doprowadził do omyłkowego skazania kilku towarzyszy?

– To nie Zagnębiak. Oni i tak już byli na celowniku Urzędu Bezpieczeństwa. Sanacyjni fachowcy.

– Wy mnie tu, Warkot, oczu nie mydlcie, obrazu rzeczywistości nie zaciemniajcie. Zagnębiak jest w odstawce, bo wysługiwał się siepaczom słusznie minionego systemu. Teraz stawiamy na młodych, czego jesteście widomym przykładem. Chcecie Zagnębiakowi ustąpić miejsca na waszej posiadzie?

– Ale przecież możemy ten wózek pociągnąć razem. To jeszcze przedwojenny drukarz...

– Jasne, powiecie zaraz coś o Hiszpanii, o Dąbrowszczakach i tym podobne bzdury. Kamuflowali się... – Knot zacukał się i przez chwilę łąpał oddech, był wyraźnie zirytowany – ...kamuflowali się w tej Hiszpanii. A wiecie ilu tam było obcych agentów? My jeszcze wszystkich zdążymy przeświecić. Hiszpania, Bereza, Lenino... wszystko kamuflaż. Powiedzcie lepiej, co na produkcji?

– Wszystko gra, panie dyrektorze.

– No i widzicie? Wszystko gra, a wy chcecie nam tu piachu w tryby sypać. Oj niedobrze, towarzyszu Warkot. Uważajcie, żeby się wam noga nie powinęła.

– Przecież... – zaczął znów Janek, ale zamilkł, bo widział, że nic z tego nie będzie.

Każdy człowiek miał swoje wady, ale wielu było takich, którzy próbowali z tych wad zrobić cnotę. Rosło i rozrastało się powoli pokolenie urzędasów, uległych i służalczych wobec przełożonych i bezwzględnych oraz apodyktycznych wobec podwładnych.

– Aha, i jeszcze w sprawie nowego offsetu – powiedział Knot. – Do rozruchu weźcie Walendziaka i Słupca, ale nie Kapustę. I tak jestem mocno zdziwiony, że został wybrany przez towarzyszy na wyjazd do bratniego NRD na ten mecz.

Warkot pomyślał, że bardzo chciałby zobaczyć, jak „towarzysz”, który spowodował wybór Kapusty ukazuje się dyrektorowi Knotowi w pełnej swej średniowiecznej krasie.

Z dyrektorami jednak jest, jak to mówią, jak ze starą skarpetą – kiedy zawodzi cerowanie, wyrzuca się ją i kupuje nową. Warkot pomyślał, że Knot nawet jeszcze nie wie, że ktoś mu uszyje buty. To tylko kwestia czasu.

Marlena wracała z kliniki. Wszystko było potwierdzone – była w ciąży. Postanowiła jednak nie denerwować się, tylko zabrać ostro do pracy, żeby zdążyć z doktoratem. Przewód miała otwarty i teraz miała nastąpić najtrudniejsza faza zbierania materiałów.

Żeby tylko zdążyć. Dziecko miało przyjść na świat w maju, miała więc jeszcze trochę czasu. Nie chciała mówić o tym Zdziśkowi, bo znów zaczęłyby wariować po swojemu.

Uśmiechnęła się w duchu. W końcu musiało się tak stać, może i dobrze, że teraz. Zajmowali dwa pokoje w willi na Krzykach. Jakoś się pomieszczą. Pani Genowefa wiele razy mówiła ze łzami w oczach, jakby chciała mieć koło siebie małe, rumiane maleństwo. Obiecywała pomoc, choć Marlena do tej pory traktowała takie deklaracje jak dopust boży. Teraz jednak wszystko jawiło się w całkiem innym świetle.

Podjechała tramwajem do szkoły, bo o szesnastej rodzice mieli przyjść na wywiadówkę. W sumie lubiła pracę w szkole, choć czuła, że na uniwersytecie mogłaby naprawdę rozwinąć skrzydła. Kiedy wchodziła do budynku szkolnego przy Piotra Skargi, rodzice już karnie czekali przed salą. Niektórzy z posępnymi minami czekali jak na ścięcie, bo dobrze znali potencjał swych pociech. Inni beztrudnie rozmawiali ze sobą – to rodzice prymusów. Cóż może ich złego spotkać na wywiadówce? Marlena weszła do klasy i zaprosiła ich do środka.

– Dzień dobry państwu! Proszę zająć miejsca. Ławki trochę przyciasne, ale może się państwo jakoś pomieszczą.

W klasie przyrodniczej znajdowało się mnóstwo pomocy naukowych. Były tu kwiatki, cytryna wyhodowana z pestki, chomik w klatce i duże akwarium. W kącie sali niczym wyrzut sumienia stał plastikowy szkielet na stojaku. Wszystkie te rekwizyty u niektórych rodziców potęgowały nastrój niepokoju, a nawet grozy.

– Proszę szanownych państwa, zbliża się wielkimi krokami przerwa świąteczna, postanowiłam więc poinformować państwa o postępach państwa dzieci...

– Żeby było jasne, czy różga, czy prezent na świętego Mikołaja... – odezwał się głos gdzieś z końca sali.

– Jakiego tam Mikołaja – oburzył się postawny jegomość w płaszczu z kołnierzem z nutrii – jakiego świętego? Dziadka Mroza chyba...

– Skończyliśmy z Dziadkami Mrozami na całe szczęście... – odezwała się któraś z milczących dotąd matek, a ten w nutriach obrzucił ją wyraźnie wrogim spojrzeniem.

– To może do pańskiego ananasa przychodzi jakiś tam dziadek, do mojego przychodzi święty Mikołaj. Dziadka to on ma w domu, a mróz... – głos z końca sali należał do wysokiego, chudego jegomościa o nerwowym tiku na twarzy – ...lepiej nie mówić, żeby nie wywołać wilka z lasu.

– Proszę państwa, proszę o uwagę. Zebraliśmy się... – Marlena próbowała zapanować nad sytuacją.

– Ja bynajmniej nie rozumiem, dlaczego moja Gusia ma nosić worek z kapciami do szkoły. W końcu wszyscy płacimy na komitet rodzicielski i nowy parkiet nie powinien mieć tu nic do rzeczy. Dziecko jest przeciążone...

– Położyliśmy nowy lakier i... – Marlena zrobiła taktyczny błąd, próbując odpowiedzieć jednocześnie na wszystkie pytania.

– A ja w kwestii obiadów, nie można jakoś urozmaicić tych posiłków? – odezwał się

ktoś inny. – Ciągle kasza i kasza z gulaszem albo ziemniaki ze szpinakiem, a tego gulaszu, co kot napłakał.

Na hasło „kot” chomik zaczął biec co sił w treningowym kółku.

– Nie, proszę pana, koty nie płaczą. Sam widziałem, sąsiadka mojej szwagierki ma kota i on nigdy... – paniusia w toczku postanowiła wykazać się wiedzą.

– A kompoty, proszę szanownej pani? Toż to woda z sokiem, ani nawet pół jabłuszka...

– Poza tym, kto by tam kompot pił... chory chyba. – Zareagował ojciec w roboczym ubraniu.

– Proszę państwa o spokój! – Marlena postanowiła wziąć rodziców w karby. – Zaczniemy alfabetycznie. Abkowska Mariola. Uczy się bardzo dobrze, nie sprawia kłopotów wychowawczych. Ma też niezwykły talent do wypieków domowych. Tylko tak dalej. Powinna tylko skupić się na tym, co robi najlepiej, bo nie można być najlepszym ze wszystkiego. Niech sobie trochę odpocznie, na spacer pójdzie, z koleżanką się spotka.

Tato Marioli pokraśniał cały z dumy.

– Bąk Jacek – Marlena przeczytała z dziennika – uczy się dość dobrze, choć powinien się podciągnąć z matematyki. Zdolny, ale leniwy...

– Już ja mu, ja już go... – Ojciec Jacka był najwyraźniej zwolennikiem tradycyjnych metod wychowawczych.

Chomik zatrzymał się i zakrył łapkami ślepkę. Szkielet w rogu zagrzechotał ostrzegawczo.

– Nie proszę pana, to nic. On nadrobi, jestem pewna. Proszę się nie denerwować. Mówię tylko, że stać go na wiele więcej...

Rybki w akwarium przystały i zainteresowały się tym niezwykłym zgromadzeniem.

– Cejro Wojtek. Dobrze się uczy, ale chyba za dużo czyta o Dzikim Zachodzie, bo ciągle się gania i strzela z kolegami, a podłoga, jak mówiłam, jest od nowa polakierowana i o wypadek nie trudno. No i proszę pani – Marlena spojrzała w zatroskane oblicze matki Wojtka – ciągle zbiera pająki i straszy dziewczynki. Ja rozumiem, że dziewczynki zaczynają być interesujące, ale nie w ten sposób, nie tak... Może porozmawia pani z synem?

– Tak, oczywiście... – odparła skonfundowana mama.

– A kiedy będzie o moim łobuzie? – zapytał ojciec w drelichowej kurtce i w czapce-uszance, której na wszelki wypadek nie zdjął po wejściu do szkoły, jakby ogrzewanie nie działało.

– Panie Ryszardzie, musimy poczekać do literki „W”.

– Mam czyn społeczny, muszę się zaraz zbierać.

– Jak to czyn? – zdziwił się ten w nutach. – O tej porze?

Ryszard wykonał charakterystyczny gest dawania w szyję i uśmiechnął się szeroko.

– Jak zaczynimy, to zrobimy.
– Wstydziłby się pan tak przy wszystkich! – Matka Gusi była oburzona.
– A co to, nie dla ludzi? Paniusia coś strasznie nerwowa...
– Proszę państwa! Proszę o spokój. – Marlena była na krawędzi wytrzymałości.
– Niech się pani profesor streszcza, bo ja też muszę zaraz lecieć – rzucił elegancik pod krawatem. – Mój Pawełek, jak tam z nim? Uczy się? Jakoś tam się zachowuje?
– Pana syn notorycznie bije się i ucieka z lekcji, skoro chce pan wiedzieć – Marlena wypaliła z grubej rury.

– No pewnie, a bo to nie chłopak? Musi umieć sobie dawać radę w życiu. Przejmie po tacie interes: blacharstwo i wulkanizacja! Po co mi jakiś maminsynek? Chłopak charakterny musi być.

– Prywaciarz – parsknął pogardliwie ten w nutkach i odwrócił się ostentacyjnie.

Rybki rzuciły się na jedną samotną dafnię, która gdzieś się zapodziała w akwarium, a potem zaczęły się wzajemnie podszczypywać.

Litania ciągnęła się w nieskończoność. Marlena miała wielką ochotę walnąć dziennikiem w stół i opuścić to całe towarzystwo.

W miarę podawania kolejnych wyników nauki i oceny zachowania gromadka uczniów – dziewczynek z kokardami we włosach i chłopców w za dużych o dwa numery ubrań – zaczęła jawić się niczym horda Hunów na przedpolach miasta. Gotowych, żeby rabować, palić i plądrować Bogu ducha winnych obywateli. Nie było w końcu tak źle. Klasa 6b uczyła się w miarę dobrze, a i z zachowaniem było w granicach średniej. Było to pierwsze pokolenie urodzone w powojennym Wrocławiu – przyszłość narodu. Musieli uczyć się socjalistyczno-patriotycznych pieśni i różnych wierszyków, a haseł w stylu *Socjalizm to Pokój* mieli aż nadto i sami zaczęli podejrzewać, że był to wyłącznie jeden pokój z ciemną kuchnią.

– Proszę państwa, na zakończenie jeszcze jedna sprawa. Po nowym roku wybieramy rodziców do trójki klasowej. Wszystkich chętnych prosimy o wpisywanie się na listę.

– Żeby to tylko nie była trójka pokoju, jak kiedyś – zauważył Ryszard.

– To był okres kultu jednostki, miniony na szczęście – rzucił z naciskiem ten w nutkach.

Ryszard nie skomentował tego, tylko spojrzał wymownie na dwa portrety łysych mężczyzn wiszących nad tablicą. Jeden był w okularach, a drugi miał wzrok utkwiony w dal niczym prawdziwy mąż stanu zatroskany o los ojczyzny.

Chomik położył się ze śmiechu na trocinach, a rybki wybałuszyły ślepka. Szkielet milczał taktownie.

Po skończeniu zebrania Marlena wyszła ze szkoły. Bez żalu minęła tramwajem granicę dzielnicy i za wiaduktem znalazła się już na Krzykach. Sunąc przez wciąż zawałoną gruzem dzielnicę, z ulgą powitała pierwsze drzewa i skwery. Choć były o tej porze roku białe od topniejącego śniegu, przedstawiały sobą kojący widok. Marlena wysiadła na swoim przystanku i skręciła w prawo, żeby wyjść wprost na park

Południowy i Sudecką, przy której stał jej dom. Zawahała się przed wejściem, ale był to tylko odruch. Bardzo już chciała znaleźć się w środku. Nadal nie wiedziała, jak porozmawiać ze Zdziśkiem.





ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

...Polska gola, Polska gola!...

W drukarni panował niezwykle podniosły nastrój, który brał się nie tylko z tego, że pojutrze Polska grała rewanż z Sowiecami, ale również dlatego, że z załogi jechało trzech wytypowanych kibiców. Oczywiście to był zupełny przypadek, że oprócz majstra Kapusty na liście znalazł się sekretarz POP-u oraz kadrowy. Dyrektor nie był zapamiętałym kibicem, więc go podróż ominęła.

Z całego kraju jechało na mecz dwanaście autokarów, z Wrocławia po licznych targach wytypowano dwa. Pasażerowie w większości należeli do aktywu partyjnego, aktywistów młodzieżowych o średniej wieku około czterdziestu lat oraz kilkunastu robotników, którzy byli kwiatkiem do kożucha. W jaki sposób znalazł się w tym gronie Zdzisław Kapusta, sanacyjny majster, do tego bezpartyjny, stanowiło dla wszystkich zagadkę, ale postanowiono, że tak widocznie trzeba. Że władza nie wyklucza nikogo, więcej, wyciąga rękę do tych, którzy do tej pory byli jej niechętni bądź obojętni. Majster Kapusta miał to wszystko gdzieś, normalnie cieszył się z wyjazdu jak dziecko bez względu na to, kto mu zrobił taką niespodziankę.

W drukarni wyposażono trzech reprezentantów załogi w polskie flagi i gwizdki, aby głośno kibicowali naszym chłopcom. Sam fakt, że polski sektor na stadionie w Lipsku był mniej więcej wielkości jednej dwudziestej reszty, był zupełnie bez znaczenia. Na pozostałych miejscach mieli zasiąść żołdacy z garnizonów stacjonujących w NRD.

Doświadczony i bywały w świecie Kapusta też się przygotował do wyjazdu. Ciepłe rękawice, czapka z królika i wełniany szalik – prezent od pani Genowefy. Do tego chlebak z termosem, kanapki na drogę, które zrobiła Marlenka, oraz pewna ilość przydziałowych dewiz, żeby nie biedował na miejscu. Obowiązkowo zabierał też z sobą ulubiony scyzoryk z okładkami z masy perłowej, który posiadał dwa ostrza, szpikulec służący nie wiadomo do czego, otwieracz do konserw i korkociąg. Scyzoryk zawieszał zawsze na rzemieniu na szlufce spodni i chował do kieszeni, żeby był pod ręką.

Kiedy trzech zakładowych kibiców stanęło przed dyrektorem, ten wygłosił przemowę o zachowaniu się na zagranicznym wyjeździe. Przestrzegł przed spożywaniem napojów wysokowych, złym zachowaniem i oddalaniem się od grupy. Kapusta poczuł się znów jak w przedszkolu, ale nawet to nie zmąciło jego radości. Zmącił ją dopiero Warkot.

– Panie majster, wie pan, że jedzie w autobusie razem z tym zbirem z kontrwywiadu? Tylko że to nie on, ale jego brat i może być gorąco. Pod podłogą autobusu jest skrytka, w której przewozi złoto i inne precjoza, żeby z tym wszystkim dać nogę na zachodnią stronę. Może w ogóle nie zobaczycie tego meczu, bo Gromił chce capnąć go na gorącym uczynku, kiedy będziecie przekraczać granicę.

– Dlaczego ja o wszystkim dowiaduję się ostatni? Nie będę na meczu? O cie Florek!

– Niech pan nie desperuje, panie Zdzisławie... przecież to nowa przygoda...

– Tak, nowa przygoda, tylko ja zostanę jak zwykle bez nagrody. A tak się szykowałem na ten mecz...

– Ważne, żeby pan wiedział o tym wszystkim i miał oko na tego majora i jego pomagiera. Nie wiadomo, po której stronie gra tamten. Może nic nie wiedzieć o tożsamości szefa i jest lojalnym ubekiem. Nie wykluczamy też, że w autobusie będzie jeszcze ktoś z jego ludzi, może kierowca? Tylko niech pan nie kozakuje, bo na pewno będzie uzbrojony, zbir jeden. – Warkotowi przypomniało się wszystko: porwania, napaść na Stefana i on też zacisnął zęby w bezsilnej złości. – Może uda się nam go przyskrzynić.

– Polska gola! Polska gola! – zakrzyknął kadrowy na korytarzu, a sekretarz POP-u zawtórował mu gromkim głosem.

– Panie Zdziśku, niech się pan weźmie w garść...

– Jasne, już się biorę w garść.

– Nie może pan dać poznać, że coś jest nie tak. Musi się pan cieszyć.

– No to ja się bardzo cieszę – westchnął Kapusta prawie przez łzy. – Polska! Polska! – krzyknął głosem tak rozpaczliwym, że Warkot miał wrażenie, że za chwilę przejdzie w skowyt.

Jan wrócił do pracy i niecierpliwie czekał na telefon od Stefana. Nie mógł wiedzieć, że kapitan Gromił się zdrzemnął. Tyle że przewracał się niespokojnie na łóżku, bo śniły mu się jakieś koszmary. Kogoś gonił, a potem ten ktoś gonił jego, i tak w kółko. Pościg był motywem przewodnim jego snu i kiedy się obudził pod wieczór, wstał niewyspany i zmęczony. Zadzwoił do Janka, najpierw do pracy, ale ponieważ już wyszedł, zatelefonował do domu, gdzie zastał przyjaciela całego w nerwach.

– Ja tu od zmysłów odchodzę, a ty sobie śpisz w najlepsze! – rzucił Warkot z wyrzutem.

– Musiałem się przespać.

– I co, pomogło?

– Jest jeszcze gorzej.

– Gotów na nocną wyprawę?

- Poczekam tylko, aż Basia pójdzie na dyżur.
- Nie mówiłeś jej?
- Nie chciałem jej denerwować.
- Zostaw jej przynajmniej kartkę, jakby co.
- Dobrze. A co z Jadwigą?
- Naszych dwóch wywiadowców pilnuje jej w domu. Jest załamana i ciągle płacze, ale to chyba zrozumiałe.
- Przejdzie jej. To twarda dziewczyna, tylko za dużo ostatnio przeszła.
- Też tak myślę.
- Słuchaj, podejść do ciebie?
- Nie, przyjedziemy z Kuźniakiem na plac. Zaraz ma być po mnie.
- Dobra, za pół godziny?
- Czekamy w bramie.

Gromił mówił oczywiście o jednej z trzech wjazdowych bramach na placu Kościuszki, które nie wiedzieć czemu, zaprojektowano tak, że na wysokość zmieściłaby się tu największa lora, nie mówiąc już o małym gaziku. Mógł tam zaparkować przez nikogo niezauważony.

Gromił z Kuźniakiem odczekali chwilę, aż w podwórku zamajaczyła wysoka sylwetka Jana Warkota. Wsiadł, przywitał się z nimi i ruszyli.

Choć wciąż jeszcze był listopad, temperatura spadła do minus sześciu stopni i zaczęła się robić ślizgawka na jezdni. Delikatna warstwa śniegu pokryła ulice i chodniki. Nie było dużego ruchu, bo ludzie woleli zostać w domach. Tylko trochę taksówek krążyło po ulicach. Gromił dotknął kabury i sprawdził zapasowe magazynki. I wtedy go olśniło. Kalamatas, tam na dachu, zaatakował go nożem, który należał do Jürgena. Wziął go z magazynu dowodów rzeczowych, czyli stawiał wszystko na jedną kartę. Nie byłby w stanie wytłumaczyć się, gdyby zgubił to ostrze. A tak leży w kostnicy, a nóż szturmowy znajduje się w kasie pancерnej.

Kiedy sunęli przez zasypiające miasto, za oknami samochodu migąły pojedyncze neony, które ostatnio zagościły we Wrocławiu, oświetlone okna i witryny zlewały się w jeden ciąg. Na skrzyżowaniu z Piotra Skargi skręcili w lewo i stamtąd skierowali się w stronę mostu Grunwaldzkiego, mijając po drodze IX LO, a następnie neogotycki budynek Poczty Głównej. Za mostem pojechali prosto. Plac Grunwaldzki z targowiskiem otwierał się na ulicę Marii Skłodowskiej-Curie i kliniki, gdzie Barbara Warkot właśnie zaczynała dyżur.

Kolejny przejazd przez most i kilka ulic dalej skręcili w niewielką uliczkę zabudowaną dwupiętrowymi domami z dużymi wykuszami i przydomowymi ogródkami, które teraz pokrywał śnieg. Gromił dał znak Kuźniakowi i stanęli o kilkanaście metrów od wejścia do domu, który zajmował major Kalamatas. Były to mieszkania przeważnie zajęte przez wielopokoleniowe rodziny. Tylko nieliczni wybrańcy mogli rozkoszować się dużym metrażem w otoczeniu błogiej ciszy.

Wysiedli z gazika i jak duchy zaczęli się przemykać pod ścianami ciągu budynków, które Niemcy wybudowali dla robotników w Breslau. Mieszkanie Kalamatasa znajdowało się na wysokim parterze, a wewnątrz paliło się przygaszone światło.

Gromił dał znak Warkotowi, który miał poczekać na nich na zewnątrz. Nie wiedzieli, co może ich spotkać w środku, a przeciwnik był – nie dość że bardzo niebezpieczny, to jeszcze zdeterminowany i uzbrojony. Decyzję o zwinięciu Jürgena kapitan Gromił podjął samodzielnie, nie informując nawet swego przełożonego. Chciał uniknąć jatki w niewielkim pomieszczeniu autobusu, do której niechybnie by doszło. Miał dostateczną liczbę dowodów, żeby go aresztować, choć z pewnością zatrzymanie na granicy byłoby bardziej spektakularne. Gromił wolał jednak nie ryzykować. Wraz z Kuźniakiem podkradli się pod duże drzwi i nasłuchiwali przez chwilę. Ze środka dobiegły ich strzępki jakiejś rozmowy. Jürgen nie był sam.

– Polska gola! – wykrzyknął Kapusta, wchodząc do mieszkania krzyckiej willi.

– A gdzie ty się podziewał? – wykrzyknęła Marlena, podrywając się od stołu.

– Troszkęśmy z kolegami kibicami zabradziażyli, Marlenko ty moja.

– Piłeś!

– Nie przeczę, mój ty pączuszkę – Zdzisiek przyznał się bez bicia. – Troszeczkę, tak na dobry humor.

– Znów cię gdzieś te łajdaki zaciągnęły. No pięknie.

– Jakie łajdaki, to moi koooleedzy – zakończył śpiewnie Kapusta. – Polska gola!

– Cicho bądź! Sąsiadów pobudzisz. Ładne sobie życie wybrałam. Z pijakiem!

– Tylko nie pijakiem, tylko nie pijakiem! Wódka jest legalna, nie ma zakazu.

– Ja tu wydaję zakazy!

– O Marlenko, no pocałuj swojego Zdzisia. – Ta taktyka zawsze skutkowała, ale teraz okazała się zawodna.

– A idźże ode mnie. Cuchniesz jak gorzelnia.

– Bo mężczyzna musi się czasem napić na frasuuuunek.

– Już ja tym łajdakom pokażę! Piłeś z Bronkiem? – Atak ad personam zawsze był skuteczny.

– No z Bronkiem też, ale było nas jeszcze kilku. – Rozmywanie odpowiedzialności było sprawdzonym manewrem taktycznym.

– Wraca po pijaku z pracy i jeszcze się nie wypiera. Mógłbyś chociaż zaprzeczyć, wytłumaczyć się... – Cios poniżej pasa. Żona namawiała go do kłamstw i matactw.

– A z czego niby mam się tłumaczyć?

– Masz tu, zjedz coś i kładź się spać. Na kanapie... – dodała. Była to kara niewspółmierna do przewiny. Do tego bardzo dotkliwa.

– I ty też, ty też, moja Marlenko przeciwko mnie? Myślałem, że mnie zrozumiesz... – dodał ze smutkiem. Odwoływanie się do zrozumienia u żony było w obecnej sytuacji jak strzelanie ślepakami.

– Myślisz, że ja nie mam problemów? W szkole i ... – Zagryzła wargi.

– W szkole masz problemy? Niby jakie?

– Nie próbuj mnie zagadać. Jak ja mam pisać ten doktorat, kiedy mąż w stanie upojenia będzie wracał po nocy? – Tak, wjedź mu na ambicję, leserowi jednemu.

– Jakiego upojenia? Jakiej nocy? Jest raptem ósma... – Poddawanie w wątpliwość danych dotyczących miejsca i okoliczności było z góry skazane na porażkę.

– A pracę skończyłeś o której? – Strzał prosto w tarczę.

– Jakoś tak wyszło. Nie gniewaj się, moje ty słoneczko. – Nastąpił etap negocjacji.

– Tylko bez takich. Skończyłam, co miałam do powiedzenia. Pogadamy sobie jutro – dodała groźnie. Kara najwyraźniej miała być długa i uciążliwa.

Majster westchnął ciężko i zaczął się rozbierać. Nie mógł przecież powiedzieć Marlenie, że nie dość że nie zobaczy meczu, to jeszcze weźmie udział w niebezpiecznej akcji Bractwa Wrocławskiego.

Marlena sapnęła groźnie, co znaczyło, że nie zamierza kontynuować tej rozmowy. Spór został zawieszony do odwołania.

– *Ruki w wierch!* – rozległo się gdzieś z góry klatki schodowej.

Jakaś postać w skórzanym płaszczu zbiegła po schodach, celując z broni w zaskoczonego Kuźniaka i Gromiła. W jednej sekundzie pojawił się też drugi, który najwyraźniej chował się w zejściu do piwnicy. Wzięli ich w dwa ognie. Nie pozostało im nic innego, jak tylko podnieść ręce do góry. Zostali postawieni pod ścianą i zrewidowani przez pierwszego. Ten drugi miał ich cały czas na muszce, stojąc w taki sposób, żeby w razie czego nie postrzelić kompana. Kiedy zabrano im broń, ten pierwszy delikatnie zastukał w drzwi majora Kalamatasa.

Uchyliły się i ktoś ze środka zapytał:

– *W czym dięła?*

Pierwszy poszeptał coś przez drzwi, a następnie wysłuchał dyspozycji. Drzwi się zamknęły. Drugi wyciągnął magazynki z broni i wyłuskał naboje z komór. Zebrał je starannie z ziemi i jednym ruchem nakazał zatrzymanym wyjść na zewnątrz.

Kuźniak i Gromił posłuchali. Na dźwięk otwieranych drzwi Warkot obrócił się gwałtownie i zmartwił, widząc wycelowaną w siebie broń. Procedura powtórzyła się, ale on nie był uzbrojony. Jeden z Rosjan roześmiał się:

– *Nu paka!*

Drugi wcisnął broń i magazynki w dłonie Gromiła i nakazał im wracać do gazika. Ich nocna wyprawa zakończyła się całkowitą klapą.

Kiedy wracali do mostu Grunwaldzkiego w samochodzie nie padło ani jedno słowo.

– Nożeż taka ich sucza mać! – nie wytrzymał w końcu Gromił. – Skąd się tam wzięli? Jak? Jürgen jest chroniony? Ale przez kogo? Nic z tego nie rozumiem...

– Ja niczego nie zauważyłem na zewnątrz, dopiero potem – skomentował Warkot.

– Mogliśmy... – zaczął Kuźniak.

– Niczego nie mogliśmy zrobić. Nie daliby nam oddać jednego strzału. Byłoby po

nas. – Gromił pokręcił głową.

– Ale skoro tak, to znaczy, że Jürgen jest chroniony przez jakąś wyższą instancję... – Warkot zaczął się nad tym poważnie zastanawiać.

– Myślisz, że wiedzą, że to nie Kalamatas?

– Tacy sporo wiedzą, więc pewnie to też. Nie daliby się nabrać na świeżą bliznę...

– No to mamy problem. Jak mam zgarnąć bandytę, którego chronią Ruscy?

– Musisz mieć żelazne dowody. Albo doprowadzić do tego, że sam pęknie i zacznie rozrabiać.

– O co w tym wszystkim chodzi? Przecież gdyby Ruscy chcieli wywieźć zawartość sejfu z pociągu, to nie musieliby się uciekać do żadnych forteli. Po prostu podstawiliby ciężarówkę i wszystko wygarnęli ze schowka.

– A może to jest też czyjaś prywatna inicjatywa. Nieoficjalna?

– Może... – Kapitanem Stefanem Gromilem targały najczarniejsze myśli.

Rozważania przerwano, gdy gazik zaparkował przed domem Jana Warkota na placu Kościuszki. Koła zabuksowały na oblodzonej nawierzchni. Zrobiło się naprawdę zimno.

– No to cześć. Do jutra – pożegnał się Warkot.

– Cześć, Janku.

– Do widzenia, panie Janie – odezwał się Kuźniak i uśmiechnął na pożegnanie.

Kiedy w domu na rogu placu zapaliło się światło, po drugiej stronie, w bliźniaczym budynku dwa piętra niżej wywiadowca zanotował: „Obserwowany wrócił do domu”.





ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY ...a pamiętasz, jak wtedy...

Gromił wpadł o siódmej rano do Jadwigi, żeby sprawdzić, jak się czuje. Zastał dziewczynę bladą, z podkrążonymi oczami, ale o dziwo, widać było, że dochodzi już do siebie i że nie daje się pokonać rozpacz. W jej zielonych oczach dostrzegł nawet coś na kształt zaciętej determinacji. Powiedziała mu, że nie może się doczekać, aż morderca jej brata znajdzie się za kratami. To ostatnie słowo wypowiedziała tak, że zabrzmiało jak „trzy metry pod ziemią”.

„Moja walkiria” – pomyślał Gromił z czułością.

Na pożegnanie przytrzymała jego dłoń i spojrzała mu głęboko w oczy. Stefan mógłby całkowicie zanurzyć się w tych skrzących się obietnicą szmaragdach, gdyby nie fakt, że czekała go nie lada przeprawa. Jadwiga nie uśmiechała się, zniknął gdzieś naturalny, pogodny uśmiech – nieodłączna część jej urodziwego oblicza. Patrzyła na Gromiła jak dorosła kobieta, która wiedziała, czego chce.

Milczeli tak przez chwilę, aż Stefan speszony tą niezwykle intymną ciszą uśmiechnął się półgębkiem, ścisnął jej dłoń i się wyzwolił. Odwrócił się i wyszedł bez słowa. Na korytarzu pstryknął w rondo kapelusza, mijając opartego o ścianę przy skrzynkach pocztowych funkcjonariusza po cywilnemu. Ten nie stanął na baczność i nie zasalutował, skinął tylko głową.

„Uczą się” – pomyślał z satysfakcją Gromił.

Po powrocie do komendy został pilnie wezwany do pułkownika. Ten już od progu sprawiał wrażenie osoby, która przeszła bardzo wiele od rana.

- Stefan, siadaj. Muszę z tobą porozmawiać.
- Oczekiwałem takiej rozmowy, jeśli mam być szczery.
- Obstawiałem nie tylko Jadwigę Raufenberg, ale też ciebie i Jana Warkota. Kilku wywiadowców obserwuje też dyskretnie jego żonę. Nie mogłem sobie pozwolić na

kolejne porwanie czy napaść na któreś z was przed zakończeniem tej paskudnej sprawy.

– Tak, zauważyłem, że ktoś za mną łązi, ale twarzy nie poznałem.

– Wywiadowców mamy pod dostatkiem, tych pożyczyłem od majora Kamińskiego z gospodarczej.

– No tak.

– Słuchaj dostałem dwa bardzo nieprzyjemne telefony z Warszawy w twojej sprawie. Właściwie powinienem cię zawiesić w obowiązkach służbowych. Co wyście tam nawyprawiali na Sępólnie?

– Postanowiłem zakończyć tę sprawę jednym precyzyjnym cięciem. Wiem, że Müller, podszywając się pod Kalamatasa, zamieszkał w jego mieszkaniu. Chcieliśmy go zdjąć i tyle.

– Tak po prostu? Bez nakazu prokuratorskiego? Przecież on oficjalnie jest oficerem całkiem innej służby.

– Tak. Ale nam przeszkodzono.

– Mów, jak było, a ja ci opowiem, co usłyszałem.

Gromił zrelacjonował dokładnie przebieg wczorajszego wieczora, niczego nie dodając ani nie upiększając.

– I zabrałeś cywila na akcję? To właśnie usłyszałem. Zapytano mnie, jaką właściwie rolę pełnił w tej szopce Jan Warkot. I nic nie mogłem na to powiedzieć.

– Janek służył jako świadek. Miał rozpoznać zatrzymanego.

– Ale nie tak, nie w ten sposób. Ja cię mam roboty uczyć?

Gromił milczał, choć wiele słów cisnęło mu się na usta.

– To co, mamy się spokojnie przyglądać, jak członek partyzantki Werwolfu przywłaszcza sobie narodowe mienie? Tak po prostu?

– Drugi telefon był właśnie w tej sprawie. Jakiś wysoko postawiony Rosjanin przejmuje całą sprawę. Powiedziano mi, że KGB zna wszystkie szczegóły tej sprawy i kategorycznie nie życzy sobie żadnych ingerencji. Szczególnie nie życzą sobie kowbojskich akcji kapitana Gromiła. To cytat.

Gromił zwiesił głowę.

– Ja wiem, że to dla ciebie sprawa prestiżowa i osobista, ale póki co jesteśmy służbą mundurową i musimy słuchać rozkazów. A taki padł w pierwszym telefonie: „Odłączyć kapitana Gromiła od sprawy”. I udzielić surowego upomnienia, na razie bez nagany wpisanej do akt.

– To co ja mam teraz robić?

– Zajmij się czymś innym. Na biurku masz stertę teczek, które czekają od dawna.

– Tak, jeden pijak zaciukał drugiego młotkiem. Żona nasypała trutki na szczury mężowi do zupy. Wielkie sprawy. Wymagające inteligencji, sprytu i milicyjnego kunsztu.

– Od takich spraw też jesteśmy. Nie codziennie trafia się przebiegły przestępca, który myli tropy.

– Dobrze, że mi kur nie każesz szukać na Książu Małym.

– Uważaj, żebyś nie musiał tego robić...

Kiedy Gromił wychodził z gmachu komendy, zdawało mu się, że popiersie Feliksa Dzierżyńskiego uśmiecha się do niego złośliwie. Był tego nawet pewien. Skierował się do aresztu śledczego, żeby przesłuchać młotkowego. Po raz pierwszy w życiu miał ochotę rzucić tę robotę na dobre.

Kiedy wczesnym rankiem Słupecki zjawił się pod kościołem Wang w Bierutowicach, nie spodziewał się jakichś rewelacji. Cała przestrzeń wokół kościoła była pokryta kopnym śniegiem, sprawiając baśniowe wrażenie. Z tyłu rozpościerała się ściana lasu z turystycznym szlakiem wiodącym do schroniska „Bronka Czecha” i dalej do „Samotni”.

Było jeszcze ciemno, więc śnieg skrzył się nieskazitelną bielą. Ponieważ Słupecki miał jeszcze chwilę, zaczął przyglądać się misternym wzorom wyrzeźbionym przez skandynawskiego mistrza w kapryśnym drewnie. Budynek na skandynawską modłę miał kształt łodzi, a smocze pyski wieńczyły burtę i rufę tego zatrzymanego w pędzie statku.

Ktoś chrząknął, wrywając Słupeckiego z zamyślenia. Pokutnik odwrócił się i zobaczył unoszący się nad ziemią korpus dawnego grasanta, Hansla. Ten uśmiechał się chytrze, najwyraźniej miał coś do powiedzenia.

– Znalazłeś pociąg? – zapytał Leon.

– Znalazłem. Ja bym nie znalazł?

Słupecki popatrzył na Hansla z powątpiewaniem.

– A gdzie reszta?

Hansel zerknął swoim okiem na niebo.

– Straszą jeszcze...

– To gdzie jest pociąg?

– W nieczynnej lokomotywni. Jakieś piętnaście kilometrów stąd.

– Prowadź.

Kiedy wyłonili się po drugiej stronie, Hansel nie zdążył ukryć swojej, bądź co bądź, przerażającej postaci i ukazał się dróżnikowi, który chodził tamtędy do pracy. Mężczyzna upuścił skórzaną teczkę z drugim śniadaniem, złapał się za serce, jakby się miał zamiar odmeldować. Widok strzępu ludzkiego ciała, które unosiło się nad ziemią i gapiło się na niego z szelmowskim uśmiechem, był naprawdę przerażający.

Dróżnik uciekł z krzykiem, bardzo dziarsko jak na swój wiek i tuszę.

– Tyle mego – skwitował Hansel.

Słupecki zobaczył zniszczony budynek z rampą. W brzasku wyglądał na bardziej zniszczony niż w rzeczywistości. Odsunął wielkie stalowe drzwi na rolkach i wszedł do środka. Majak Hansel za nim. Zobaczył pociąg.

Wielkie żelazne monstrum zdawało się czaić w półmroku. Sterczące lufy działek

wyglądały niczym kły jakiegoś monstrualnego potwora, który uspiiony leżał, czekając na ofiarę.

Słupecki sprawdził. Bandydzi nawet nie zasunęli do końca drzwi ładowni w jednym wagonie. Drzwiczki dwóch skrytek były lekko uchylone. Trzecia skrytka, włącz dwa metry na półtora, była wciąż zamknięta. Mógł ją tylko otworzyć trzeci klucz.

– Słuchaj Hansel, zostawiam cię tu na straży. Jakby ktoś chciał tu wleźć albo, nie daj Boże, odjechać to wiesz, co masz robić?

– Straszyc?

– Jak się spiszesz, to może ci już resztę kary darują.

– Ale ja nie chcę, żeby mi darowali. Abo mnie tu źle? Góry, świeże powietrze, piękne widoki, straszyc można...

– Jak tam sobie chcesz. Pamiętaj tylko: pilnuj tego jak oka w głowie. – Słupecki spał z tym okiem, ale stało się, powiedział to na głos.

Hansel nic sobie z tego nie robił. Uśmiechnął się szelmowsko i zrobił gest, jakby uchylił kapelusz w pozdrowieniu pokutnika.

Było już południe, kiedy kapitan Gromił wyszedł z aresztu śledczego. Po dwugodzinnym przesłuchaniu miał ochotę udusić tępego protokolanta, a nawet znajomego klawisza, który na wyjściu pożegnał go serdecznie. Wtedy zobaczył Słupeckiego.

– Stefanku, znalazłem.

– Co pan znalazł? Pociąg?

– Tak.

– Na co więc jeszcze czekamy?

– No to biegusiem. Ja pędzę po mój motor.

– Gazikiem będzie szybciej.

Kiedy kwadrans później wsiadali do gazika sierżanta Kuźniaka, zachowywali się, jakby sam czart ich gonił. Ruszyli z kopyta, a Kuźniak włączył nawet syrenę, ale na rogatkach miasta zostawił tylko migającego koguta, bo inaczej w środku nie dało się zamienić nawet słowa. Mieli do pokonania spory dystans, a do tego nawierzchnia była śliska od czarnego lodu. Na drodze prawie nie było ruchu, jeśli nie liczyć autobusów i samochodów dostawczych. Niewielu obywateli mogło cieszyć się luksusem posiadania własnych czterech kółek. Droga stała przed nimi otworem.

– Niech pan mówi! – niecierpliwiał się Gromił.

– Jak wiesz, rozpuściłem swoich zwiadowców po okolicy.

Na hasło „zwiadowcy” sierżant Kuźniak zamamrotał coś pod nosem.

– Dzisiaj rano jeden z nich pokazał mi tę żelazną bestię. Ukryli ją całkiem niedaleko, niemal na widoku, ale dziś mało kto wchodzi do starych budynków, bo po pierwsze, wszystko już rozkradli, a po drugie, gazurką można w łeb dostać. Taką mamy milicję.

Kuźniak chrząknął groźnie, ale nic nie powiedział.

– No i stoi tam. Nawet drzwi do wagonu ze skrytkami nie domknęli. Pewnie

z pośpiechu.

– Żebyśmy się tylko nie spóźnili...

– Nie ma obawy. Zostawiłem zwiadowcę Hansla na czatach. Nikogo nie przepuści. Sierżant znów coś zamruczał. Widać było, że bije się z myślami.

– No mówcie Kuźniak, co wam leży na wątrobie. Widzę przecież – zachęcił go Gromił.

– E, ja tylko tak...

– No co jest?

– A bo pan kapitan ma dziwne znajomości...

– Kuźniak, odbiło ci? Przecież to pan Leon!

– Nie, ja do pana Leona nic nie mam, ale się czasami obraca w takim towarzystwie...

– W jakim? Panie sierżancie, jest pan zabobonny, jak nie przymierzając kolega Kapusta! Cóż pan Leon może panu zrobić? Takiemu dużemu sierżantowi?

– Przysnąć mi się może, ot co! – wypalił Kuźniak z grubej rury.

– A, boimy się? Co?

– Nie, ja tylko...

– Nabroiło się coś ostatnio? Grzeszyło się? No właśnie...

Przez chwilę znów jechali w milczeniu. Sierżant Kuźniak naburmuszył się i najwyraźniej bojkotował Słupeckiego. Kiedy za oknami ukazały się góry, Gromił zaczął wpatrywać się gdzieś w dal i nie wiadomo było, czy podziwia widoki, czy zatracą się we własnych niewesołych myślach.

Nie zgubili się. Sierżant Kuźniak bezbłędnie odnalazł drogę i już po chwili zatrzymali gazika przy niewysokim budynku stacji kolejowej w Kowarach.

– Lepiej zostawmy tu samochód, dalej już tylko ze trzy kilometry piechotą, o tędy, koło lasu.

– Psiakość. – Kuźniak nie przepadał za spacerami w mokrym śniegu, ale cóż miał robić.

Kiedy po jakimś czasie zbliżyli się do starej parowozowni dochodziła piętnasta. Skradali się niczym kłusownicy, a tuż przed budynkiem Słupecki poszedł przodem. Odsunął żelazne drzwi, wszedł do środka i z kimś tam rozmawiał, ale chyba nie po polsku.

Hansel był niepokieszony, bo już chciał „przywitać” gości. Podczas nieobecności Słupeckiego wynudził się jak mops. Pomruczał coś z urazą i zdematerializował się w chwili, w której Gromił i sierżant Kuźniak przeciskali się przez rozsuwane drzwi.

Leon wskazał im uchylone drzwi do wagonu. Weszli tam w trójkę. Słupecki zasunął je starannie.

– No niech ja w domu nie nocuję – sapnął Kuźniak, omiatając snopem latarki otwarte drzwiczki do dwóch skrytek.

Gromił tylko zacisnął szczęki. Trzecie, największe drzwi były jednak nietknięte. Gruba warstwa metalu zazdrośnie broniła zawartości skrytki. O dziwo w zamku wciąż

tkwił trzeci klucz, jakby naigrywając się z obecnych. Na drzwiach widniała tabliczka z wypisanymi ostrzeżeniami, czyli tym, co może intruzowi zrobić III Rzesza, jak będzie na tyle nieostrożny i otworzy te drzwi. Gromił wodził palcami po chropowatej powierzchni, jakby miał zamiar wyczytać, co znajduje się w środku. A jeśli tam jest coś niebezpiecznego? Jakiś pierwiastek promieniotwórczy? Nie, wtedy byłyby inne oznaczenia. A tak pozostała tylko informacja, że to Streng Geheim i tym podobne.

Przełknął głośno ślinę. Jeśli ma rację, unikną tego przed czym ostrzegała tabliczka. O nie, tego zamka nie można było otworzyć zwykłym wytrychem. Klucz miał przekrój krzyżowy i na każdym z czterech boków widniały inne nacięcia, jedno proste, drugie zakrzywione i ukośne. Na trzonie klucza widać było niewielkie wgłębienie. Gromił pociągnął ostrożnie za klucz. Tkwił mocno w zamku. Nie dał się wyciągnąć, można było go jednak obracać. Przypomniał sobie dziwną kulkę na końcu, teraz niewidoczną. Na drzwiach, wokół dziurki od klucza widniała skala jak w zegarku. Od zera na dwunastej i dalej w prawo nacięcia co kwadrans. Otwarcie skrytki bez klucza było całkowicie niemożliwe, a nie wiadomo też było, czy z palnikiem dałoby radę. Mogło być też tak, że na niepowołanego amatora skarbów czekała jakaś bardzo niemiła niespodzianka. Gromił zdecydował się. Ostrożnie przekręcił klucz tak, że wgłębienie zrównało się z cyfrą 0. Odetchnął głęboko. Wewnątrz wagonu zapanowała głucha cisza. L3 – wykonał trzy przeskoki w lewo, a wewnątrz coś zachrobotać. Póki co nic się nie działo. Wziął głęboki wdech i zrobił dwa przeskoki w prawo, tak jak nakazywały nacięcia przy dziewięćsiem na kominku w pensjonacie w ścięgnach. Zgrzytnęło. Gromił instynktownie wcisnął klucz głębiej. Zgrzytnęło jeszcze raz i dał się słyszeć głuchy trzask wewnątrz. Drzwi puściły, uchylając lekko swoje podwoje.

– Brawo – wyszeptał Leon.

Nagle coś trzasnęło gdzieś na zewnątrz i w tej samej chwili Hansel, majak z czasów wojny stuletniej zmaterializował się tuż przed osłupiałym Kuźniakiem. Sierżant chciał wrzasnąć, ale Słupecki był szybszy. Błyskawicznie zakrył usta sierżanta dłonią. Hansel pokraśniał z zadowolenia. W końcu była to jego stosunkowo nowa od kilkuset lat profesja i czerpał z niej niemałą satysfakcję. Nawet za życia nie bali się go tak, jak po śmierci w czasie tej pokuty. Sierżant wydał z siebie zduszony jęk. Gromił, który widział już niejedno, też się zdziwił, bo nieczęsto widuje się unoszący się w powietrzu ludzki zezwłok, na dodatek w stroju z dawno minionej epoki.

– Pański „zwiadowca”, jak mniemam – zwrócił się kapitan do Słupeckiego. – Teraz rozumiem obawy Kuźniaka przed zasypianiem. Nawet nie pytam o resztę tej grupy.

– Można powiedzieć, że to w sumie bardzo mili ludzie... – powiedział Słupecki, po czym zwrócił się do Hansla. – Co jest?

– Idą, ludzie jakieś... sześciu z bronią.

– Później ci wszystko wytłumaczę – rzucił Gromił do przerażonego sierżanta.

I w tym samym momencie usłyszeli kroki podkutych butów na betonowej podłodze lokomotywowni. Ktoś zasunął głośno drzwi, wchodził po żelaznych schodkach, gdzieś

na początku składu. Coś się działo.

– Zerknę – zaproponował Słupecki. I zniknął.

Wrócił po chwili.

– To ten cały Socha z pięcioma drabami. Jeden w kolejarskiej czapce. Mają też jakieś skrzynki. Dynamit chyba.

– A więc jednak nieprzekupny funkcjonariusz dał się skusić... – skwitował to Gromił.

– Jeszcze nie wiadomo. Może wypełnia rozkaz Kalamatasa, a nie Müllera. Ale co, skrytkę będą dynamitem wysadzać?

– To nie to. Myślę, że uczestniczymy w procederze chowania pociągu.

– Ale gdzie można schować pociąg?

– Jak to gdzie? W takiej samej sztolni albo korytarzu kolejowym.

– Żeby tylko nie przyszło im do głowy zaglądać tutaj...

– To nieuchronne, ale myślę, że zrobią to już na miejscu.

I rzeczywiście. Syknęło, buchnęło i żelazny potwór ruszył z miejsca z mozołem. Jechali dokądś.

Gromił pomyślał tylko, że kiepski z niego milicjant, bo znów nie wykonał rozkazu. Pociąg nabierał prędkości i zaczął sunąć po szynach w gasnącym świetle dnia. Kluczył i zmieniał kierunki, przystawał i kiedy wszyscy myśleli, że to już, znów ruszał z szarpnięciem i sunął dalej. Kuźniak wciąż z przerażeniem zerkał na Hansla, który jak gdyby nigdy nic poprawiał swoje odzienie. Słupecki coś szeptał Gromiłowi do ucha, a ten potakiwał lub kręcił przecząco głową.

Jechali tak dobrą godzinę. W końcu składem szarpnęło i stanął na dobre. Słupecki spojrział pytająco na Gromiła, ten pokiwał głową i średniowieczny pokutnik zniknął, żeby sprawdzić, co się dzieje. Wrócił w dwie sekundy.

– Stoimy w jakimś podziemnym kanale. Obwiesie zakładają ładunki wybuchowe. A pamiętasz, Stefanku, jak wtedy...

– Panie Leonie, proszę mnie nie brać na wspominki.

– No właśnie – włączył się nie wiedząc czemu Kuźniak, chyba dla dodania sobie otuchy.

– Czas otworzyć ten zamek – powiedział Gromił i ponownie włożył klucz do zamka.

– Pamiętaj – Słupecki powstrzymał go na chwilę – musisz uważać.

– Całe życie uważam i co? Przeszkolenie wojskowe, kursy na milicjanta, kult jednostki, spotkania ze średniowiecznymi marami, wampiry, zjawy, major-bandyta, biurokracja, kolektywizacja i czyn społeczny. Tak przez całe życie.

– Nie zapominaj o Jadwini. – Słupecki uśmiechnął się pod wąsem.

– To jedyne jasne światelko w tym zapyziałym tunelu – powiedział Gromił i odsunął ciężkie drzwi.

Coś szcęknęło, jakby wewnątrz odsuwały się niewidzialne sztaby, zastałe po długim bezruchu.

Gromił szarpnął za metalową rączkę w drzwiach i z mozołem odsunął je w prawo. Staął jak wryty, wpatrując się w zawartość trzeciej skrytki. Nawet Słupecki był zaskoczony i zabrakło mu języka w gębie. Kuźniak westchnął głęboko i przeżegnał się. Hansel wybałuszył jedno oko i tak został.

Oto przed nimi stał nie kto inny jak tylko złowrogi Nasu, szczerząc kły i wyciągając ku nim swe szponiaste łapy z wnętrza schowka. Bożek śmierci i zgnilizny. Zbroja była zrobiona z tego samego metalu, co sama skrytka, nie z kamienia jak ta, którą widzieli pięć lat temu na ulicy Wiśniowej. Na głowie monstrum pośród szopy metalowych włosów tkwił złoty diadem z wielkim, czerwonym kamieniem. Zmartwieli. Posąg się nie ruszał.





ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

...strzelaj, Józek, strzelaj!...

Musiła minąć dłuższa chwila, zanim odzyskali mowę. Hansel oczywiście nie wiedział, o co chodzi, ale też nikt go o nic nie pytał. Kuźniak też nie wiedział, na co patrzy, ale przerażająca forma irańskiego bóstwa była tak sugestywna, tak dojmująco przerażająca, że Gromił zaczął się poważnie niepokoić o najbliższe bezsenne noce sierżanta. Słupecki odezwał się pierwszy.

– Przede wszystkim zabierzemy mu to – powiedział i sięgnął po diadem.

Zdjął go bez problemu.

– To serce całego urządzenia, które pozwala nim sterować. Sam do tego doszedłem – dodał. – Janek ma schowany taki sam, bardzo podobny. Z pierwszego kamiennego monstrum, choć sam mechanizm się nie zachował.

– Z wyglądu ten jest trwalszy... – stwierdził Gromił. – Czyżby niemiecka nauka w służbie okultyzmu?

– Możliwe – odparł Słupecki.

– Ale ktoś musiał to zlecić... – Gromił zaczął i głos mu się załamał. Dobrze wiedział kto.

– Nie, jeszcze nie wypowiadaj tej nazwy. W końcu to było kilka lat temu, mogli więc zabrać to monstrum.

– Może nie mieli dojścia... – Zastanawiał się Gromił.

– O czym wy mówicie, obywatelu kapitanie? – Kuźniak był w kropce.

– Pamiętasz tę sprawę sprzed lat? Z konsulem?

Sierżant pamiętał doskonale, ale chciał to raz na zawsze wymazać z pamięci.

– I co, może być jakieś powiązanie? – zapytał Kuźniak.

– Oby nie.

– To może ja wyjdę trochę na zewnątrz i przejdę się... – zaproponował niewinnie Hansel, choć wszyscy wiedzieli, o co mu chodzi.

Słupecki wsunął diadem do obszernej kieszeni skórzanego płaszcza. Wciąż był w stroju motocyklisty, w cyklistówce, goglach i długich rękawicach. Wyglądał niczym przedwojenny amator sportów ekstremalnych ze starych pocztówek.

– Stefan, zamykaj to pudło i pilnuj klucza jak żrenicy oka.

Gromił posłusznie wykonał polecenie. Klucz wsadził do drugiej wewnętrznej kieszeni zapinanej na zamek błyskawiczny. Wcześniej zerknął jeszcze tylko na stalowego potwora.

„Szkoda, że nie mam aparatu” – pomyślał.

Kiedy klucz i diadem były już całkiem bezpieczne, szczęknęły stalowe drzwi do wagonu.

– Franek, pomóż mi, jak rany. Ciężkie to cholerstwo! No, razem. Hej, rup...

Drzwi przesunęły się z chrzęstem i oczom zbirów ukazała się niecodzienna scena. Otóż sierżant milicji w mundurze zimowym siłował się z włącznikiem ręcznej latarki, którą próbował wyłączyć. W drugim kadrze widniał Gromił po cywilnemu gorączkowo sięgający pod marynarkę w poszukiwaniu pistoletu. Trzecia osoba wyglądała jak zwycięzca Grand Prix w przedwojennym Monte Carlo. Na ich szczęście Hansel zdążył się zdematerializować, zostawiając po sobie jedynie cierpką woń ektoplazmy.

– Ale cudaki – wyszeptał któryś, chyba Franek opuszczając lufę pepeszy. Wiadomo, nic tak nie cieszy jak seria z pepeszy!

– Strzelaj, Józek, strzelaj, to ten milicjant! – krzyknął zbir w kaszkiecie.

Ale jak pech to pech, zamek się zaciął w broni, która się zwykle nie zacinała. Przypadek?

Gromił odzyskał rezon i z całej siły, stojąc na wysokości głowy bandytów, kopnął z rozmachem Józka w głowę. Padł bez czucia na ziemię. Kapitan zeskoczył z wagonu i wymierzył zabójczy cios w podbródek tego w kaszkiecie. Skutek był podobny, ale ich krzyki zaalarmowały pozostałych.

Sierżant Socha już złożył się do strzału, kiedy Gromił dobył swego walthera.

Trach! Trach! – zadudniło w zamkniętym korytarzu. Jedna z kul świsnęła Gromiłowi tuż koło ucha. Do akcji jednak wkroczył sierżant, który odbezpieczył tetetkę i również oddał strzał w kierunku Sochy.

Gdzieś od tyłu rozległ się terkot pistoletu maszynowego. Najpewniej strzelał nadbiegający od wylotu tunelu saper.

Zadźwięczały rykoszety. Jedna z kul, odbita od metalowej poręczy trafiła Kuźniaka w ramię. Jęknął tylko, ale nie przestawał strzelać.

Jedyne dostępne światło w tunelu pochodziło od potężnej lokomotywy, która wpatrywała się w ślepa ścianę trójką wielkich ślepi. Na świetle zaciągnął już mrok i plama wylotu tunelu była ciemniejsza niż wewnątrz. Usłyszeli szybkie kroki na żwirze i zamajaczył snop ręcznego szperacza kołyszący się na boki, kiedy saper próbował zbliżyć się do składu pomimo sporego obciążenia.

Gromił wypalił do biegnącego, opróżniając cały magazynek. Ktoś krzyknął.

Najwyraźniej jedna z kul dosięgła celu, ale biegnący tylko nieco zwolnił, puszczając w biegu kolejną serię.

– O matko! – krzyknął Kuźniak i osunął się po szorstkiej ścianie wagonu. Zatrzymał się przy żelaznym kole i tak został.

Gromił zmienił magazynek, wycelował spokojnie i wystrzelił dwa pociski w dyndające światło.

– Rany! – krzyknął znów ten sam głos i latarka wypadła mu z ręki.

Rozległ się głuchy stukot. Kroki umilkły, a znieruchomiła latarka oświetlała teraz fragment stalowej szyny.

Socha zaklął szpetnie i oddał jeszcze jeden strzał w stronę Gromiła. Słupecki popłynął w powietrzu w tamtym kierunku i po chwili dał się słyszeć straszliwy krzyk, jakby kogoś obdzierano ze skóry.

Hansel najwyraźniej czytał w myślach Gromiła, bo pojawił się tuż koło niego, trącił go w ramię i zapytał z uśmiechem.

– Gracki ten nasz szef, co? Zna się na tej robocie.

Gromił nie wiedział, czy ma przytaknąć, czy pognać nocną marę w zaświaty, bąknął więc coś tylko i ruszył w tamtą stronę. Kiedy się zbliżył, ukazał mu się niecodzienny widok.

Słupecki w średniowiecznej postaci, w kolczudze i amarantowym kaftanie z szerokim, nabijanym ćwiekami pasem, trzymał jedną ręką za poły płaszcza Sochy, a drugą miał uniesioną nad nim w groźnym geście. Dłoń w rękawicy kolczej trzymała paskudnie wyglądający kiścień, którego końcówka płonęła niebieskim płomieniem.

Nie musiał go wcale używać. Socha był cały struchlały i dopiero teraz Gromił zauważył, że cały posiwiiał w sekundę. Był biały jak gołębek. Słupecki pokazał mu prawdziwą twarz. I nie było to bynajmniej wesołe oblicze jowialnego, starszego pana. Gromił pomyślał, że nigdy, przenigdy nie chciałby spojrzeć Słupeckiemu w oczy, gdy jest w takiej postaci.

Pozostali jeszcze kolejarze. Nie wiadomo, czy byli w konszachtach z bandytami, czy też zostali tylko wykorzystani do tego zadania. Wątpliwości rozwiały się, kiedy jeden z nich w kolejarzkiej czapce wyciągnął parabelkę zza pazuchy i najwyraźniej miał zamiar jej użyć. Kiedy jednak zobaczył nadpływającego Hansla, cisnął broń na ziemię i razem z swoim pomocnikiem puścili się biegiem w stronę zbawczego wylotu korytarza.

Ich kroki oddalały się coraz bardziej. Gromił rozejrzał się dookoła. Podbiegł do Kuźniaka, który miał najwyraźniej zamiar wyzionąć ducha. Dwie rany były powierzchowne, ale trzecia kula trafiła go w brzuch i zaczął mocno krwawić.

– Kuźniak, nie wygłupiaj się. Masz się trzymać, to rozkaz! – krzyczał Gromił, uwalniając wszystkie skrywane emocje.

Sierżant Kuźniak jednak nie zamierzał słuchać rozkazu dowódcy. Osunął się jeszcze niżej i po chwili wydał ostatnie tchnienie. Gromił, nie wierząc, że to dzieje się

naprawdę, spojrzął z wyrzutem na Słupeckiego.

– Ja tu jestem wyłącznie obserwatorem – zastrzegł upiór. – Też go bardzo lubiłem.

Gromił podniósł się, wyprostował i patrzył na Kuźniaka niewidzącym wzrokiem.

– Stefan. – Słupecki dotknął ramienia przyjaciela. – Czas.

– Nie zostawię go tutaj.

– Dobrze, ale sprawdź najpierw, co z tamtymi.

Gromił zaczął od saperskiego. Leżał bez ducha na żwirze. Ten w kaszkiecie żył, Franek miał skręcony kark. Socha leżał na ziemi zwinięty w kłębek i bełkotał coś bez ładu i składu.

– Ten się kwalifikuje na Kraszki – stwierdził Słupecki. – Strachliwy jakiś.

Wyprowadzili bandytę na zewnątrz, a Słupecki sam wyniósł ciało sierżanta Kuźniaka i położył na świeżym śniegu sto metrów od wlotu do tunelu. Jeszcze nie wiedzieli gdzie są, ale Gromił stawiał na to, że zajechali aż pod Wałbrzych.

Słupecki wydał jakieś polecenie Hanslowi, który zatarł tylko swe chude ręce i pomknął za uciekającymi kolejarzami.

– Tak na wszelki wypadek – powiedział pokutnik – gdyby zachciało im się gadać po próżnicy. On ich przekona.

Skuty przestępca leżał na ziemi, ale widać było, że nigdzie nie ucieknie.

Słupecki w milczeniu podał Gromiłowi detonator. Było to stare urządzenie z rączką i kablami biegnącymi wprost do wylotu korytarza.

– Twoja to powinność Stefan. Musisz to zrobić.

Gromił postawił drewnianą skrzynkę na ziemi. Zaparł się i z całej siły nacisnął obiema rękami rączkę detonatora. Huknęło. Tak głośno, że odruchowo się skulił. Czuł, jakby popękały mu bębny w uszach. Potężna masa kamieni, ziemi i drewnianych kłód zwała się, osuwając wprost na wylot korytarza. Ziemia zmieszana ze śniegiem jeszcze przez chwilę przesuwiała się, zmieniając całkowicie widok wzgórza. Obok biegły tory kolejowe, ale ślad po nitce wiodącej w głąb wzgórza zniknął bez śladu zasypany tonami ziemi.

Po chwili wszystko ucichło.

Słupecki wykonał swoją misję i pojawił się na wałbrzyskiej komendzie milicji. Zagrał doskonale zatroskanego obywatela, który wykonuje polecenie oficera milicji. Po trzech kwadransach przyjechały dwa samochody. Zatrzymanych zabrano, a karetką pojechał sam Gromił wraz z martwym Kuźniakiem.

Było już dobrze po północy, kiedy Słupecki wraz z Gromiłem wrócili do Wrocławia. Nie mówili prawie nic. Wszystko już zostało powiedziane.





ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

...nasz sprawdzony towarzysz...

Około godziny czwartej rano 24 listopada Janek przebudził się wiedziony jakimś dziwnym instynktem. Spał spokojnie, ale na sam koniec poczuł, jakby ktoś gwałtownie go szarpnął za rękę. Otworzył oczy i jego dłoń powędrowała na prawą stronę tapczanu w poszukiwaniu żony.

Barbara miała w tym tygodniu trzy nocne dyżury, przypomniał sobie, odzyskując świadomość.

Podniósł się z tapczanu i przetarł oczy. Za oknami zobaczył Wrocław pogrążony w głębokim śnie. Na skąpanej w nocnej mgle połaci placu Kościuszki paliły się pojedyncze światła w kilku ledwie mieszkaniach. Lampy uliczne wyglądały jak żółte bombki choinkowe otoczone gasnącą poświatą. Pojedynczy tramwaj służbowy zabierający motorniczych do pracy toczył się z chrzęstem po oblodzonych szynach, zgrzytając niemiłosiernie na owalnym łuku na środku placu. Jechał na Krzyki do zajezdni.

Tam, gdzie się wszystko zaczęło.

Janek przypomniał sobie swój młodzińczy entuzjazm i wiarę w postęp, sprawiedliwość społeczną i nieomylność nowego państwa. A potem przyszło przebudzenie. Otrząsnął się z fałszywej z gruntu ideologii, która głosząc jedno, popierała coś zgoła innego i z gruntu złego w swej naturze. Trwał wyścig o rząd dusz. Na siłę propagowano postęp technologiczny, odbudowę kraju, powstawanie nowych zakładów pracy, edukację deklarując równość społeczną wszystkich obywateli. Władza wykorzystywała powojenny entuzjazm, nakręcając jednocześnie spiralę terroru wobec oponentów i przeciwników, w bestialski sposób załatwiając porachunki. Kiedy w końcu doszło do wybuchu społecznego, system nie zmienił się wcale, doszło jedynie do wymiany głównych aktorów i decydentów tego spektaklu.

Warkot nie miał złudzeń, dlatego też z taką pieczołowitością pielęgnował swoje

prywatne szczęście, chcąc uchronić się przed paranoją braku wątpliwości. Co innego głoszone z trybun wiecowych i w prasie, a co innego widać było nawet gołym okiem na co dzień. Tego typu rozdwojenie jaźni towarzyszyło temu ustrojowi od samego jego początku. Owszem, miał dobrą pracę, która w dalszym ciągu była jego pasją, miał rodzinę, czyli żonę Barbarę i poniekąd trzech starszych braci – Stefana, Zdzisława i Leona. Jednak czegoś mu brakowało. Nie chodziło wcale o walkę z wiatrakami, hordą krwiopicców czy zakonspirowanymi bandziorami z Werwolfu. Nie tylko o to. Musiał się koniecznie dowiedzieć, czego mu brakowało.

Warkot wstał, umył się i ubrał. Barbara wracała do domu około ósmej rano, miał więc jeszcze sporo czasu. Postanowił odprowadzić Zdziśka Kapustę do autobusu na mecz. Wiedział, że na mecz nie dojadą, zdecydował więc, że powie majstrowi kilka słów pocieszenia i może nawet pomacha mu na pożegnanie. Stefan też tam będzie. Nie wiedział jeszcze, co wydarzyło się w górach, bo spał snem sprawiedliwego od wieczora.

Kiedy wychodził z mieszkania, wciąż było ciemno. Do gmachu komendy miał kilka kroków. Ruszył przez zaciemnione podwórko, mijając ogrodzenie przedszkola z wielkim, olbrzymim drzewem pośrodku piaskownicy, które pamiętało czasy Breslau i stojącej tu przed wojną wielkiej synagogi. Skręcił w lewo i skierował się do drugiej bramy wyjściowej z podwórka. Po prawej stronie w małym sklepiku w oficynie spojrzął na szyld ANTYKWARNIA, gdzie handlowano starymi książkami i innymi przedmiotami. Kilka metrów dalej stał stary budynek z klatką schodową w kamiennej wieży z oknami na każdym piętrze, która przypominała średniowieczną basztę. Wyszedł z bramy wprost na ulicę Kościuszki i skręcił w prawo.

Po kilkunastu metrach skręcił ponownie w prawo i minął koszary nowo utworzonej formacji wojskowej WSW – Żandarmerii Wojskowej, jak się dawniej mówiło. Dwóch żandarmów z białymi otokami na czapkach prowadziło jakiegoś podchmielonego wojaka na dołek. Młodzieniec już się nie awanturował, bo wiadomo, że mogło się to źle dla niego skończyć. Warkot przelotnie zerknął na jego twarz. Było na niej widać strach. Przeszedł na drugą stronę ulicy i zobaczył znajomą sylwetkę.

Gromił też nie mógł spać i w końcu wyszedł z domu, trafiając do budynku komendy jak po sznurku. Niemożliwe, Janek.

Obecność Warkota była mu bardzo nie na rękę. Nie chciał, aby to, co zamierza, odbiło się na jego przyjacielu. Nie miał jednak wyjścia. Zapalili papierosy i Gromił zrelacjonował przebieg wczorajszych wydarzeń. Janek oniemiał ze zgrozy. Nie tylko na wieść o śmierci sympatycznego sierżanta ale również na najnowszą hiobową wieść, którą Gromił poznał, kiedy wszedł na chwilę do budynku, żeby dowiedzieć się, czy są jakieś wiadomości dla niego. Krystian Raufenberg nie wytrzymał intensywnego śledztwa i powiesił się w celi. Jadwiga straciła dwóch członków najbliższej rodziny w tak krótkim czasie. Los jej nie oszczędzał.

Stefan mówił mu o tym wszystkim zupełnie obojętnym głosem, jakby streszczał zebranie w pracy. Janek spoglądał na przyjaciela z niepokojem. Jeszcze nigdy nie

widział go takim. Kiedy Gromił opowiedział mu o zawartości skrytki w pociągu, Warkot instynktownie pomyślał o bliźniaczym diademie, który tkwił bezpiecznie w przemyślnej skrytce w ogródku pani Genowefy na Krzykach. Czyżby...?

Stefan zdawał się czytać w myślach przyjaciela.

– Tak, Janku. Też mam pewne podejrzenia. Dzisiaj się wszystko rozstrzygnie.

– Chcesz jechać z Leonem za tymi autobusami? Przecież zobaczą was.

– Jeszcze nie wiem, co zamierzam. Będę improwizował.

I to też było niezwykle niepokojące, bo Gromił zawsze miał jakiś plan. Mógł być chaotyczny i niedopracowany, ale plan był.

– Stefan, nie wygłupiaj się.

– Nie, Janku, ja się w ogóle nie wygłupiam. Mam tylko dość ciągłego łażenia w kółko. Poza tym obiecałem Jadzi...

– Co? Co jej obiecałeś? Że dopadniesz mordercę jej brata?

– Tak, a teraz jeszcze jest to morderca jej bratanka. Mam tego serdecznie dość, Janku. Ja przedstawiciel prawa i porządku nie mogę nic zrobić. Mam związane ręce.

– Skądś to znamy, prawda. Ale wtedy się udało.

– Poniekąd. Główny zbir zbiegł.

– A co, chciałbyś go powiesić na Rynku?

– Doskonały pomysł – odezwał się Słupecki. – Szczerze mówiąc, miałbym kilka innych propozycji. O wiele bardziej widowiskowych.

– Dzień dobry, panie Leonie. Wie pan już wszystko?

– Tak, wiem. Co się dzieje?

– Na razie nic. Czekamy tu na Zdziśka.

– Chcecie mu pomachać na pożegnanie?

– Tak, starą onucą... – skrzywił się Gromił.

– Nie widzisz, na kogo on naprawdę czeka? – Słupecki zapytał Janka. – Przecież ma mord w oczach. O, znam ja dobrze takie spojrzenie. Przed wejściem na dziedziniec komendy zaczęli się gromadzić szczęśliwcy, którzy zostali wytypowani na wyjazd do Lipska. Dominowały długie płaszcze i kapelusze urzędników państwowych, choć tu i tam pojawiały się kaszkiet i skórzana kurtka.

Janek dostrzegł w tej grupce znajomą sylwetkę.

– Zdzisiek! – zawołał do niego i pomachał.

Kapusta też im pomachał i zbliżył się do nich. Był owinięty szczelnie szalikiem, a na głowę troskliwa Marlenka wsadziła mu wielką czapę.

– Na biegun się pan wybiera? – zapytał Słupecki. – Choć może i dobrze, bo jak przegramy, to taki strój może być potrzebny tam, dokąd pojedziecie.

– Jaki strój? – Kapusta najwyraźniej jeszcze dobrze się nie obudził.

– Ach, widzę, że świętowaliśmy już przed meczem... Ciężka jest dola kibica: wstać musi, zęby umyć, żona mu każe jeść śniadanie, a tu by się piwko wypilo...

– Panie Leonie, proszę sobie ze mnie nie żartować. Owszem, zabałaganilem nieco

z kolegami, ale to nie powód, żeby od razu.... Piwko? – zainteresował się Kapusta.

– Niestety ani odrobinki. Miałem pracowitą noc – dodał Leon.

– Straszne było? – zaciekał się Warkot.

– Powiedzmy.

– To co, Stefan, zgarniasz tego zbira? – Kapusta miał jeszcze niejaką nadzieję dojechania na mecz.

– Wszystko w swoim czasie...

Kiedy opowiedzieli mu przebieg wczorajszych wydarzeń, bardzo posmutniał. Zdjął czapkę i się przeżegnał.

– Lubilem pana sierżanta – rzucił schrypniętym głosem. – Przynajmniej on był normalny w tym towarzystwie. – Łypnął na przyjaciół.

– Proponuję, żebyśmy podeszli do innych. Posłuchamy, co w trawie piszczy – powiedział Gromił.

Tak też zrobili. Stanęli z niewielką grupką, w której Warkot rozpoznał sekretarza POP-u oraz personalnego. Funkcja pracownika kadr odpowiedzialnego za sprawy personalne w zakładzie nie należała do łatwych. Nie dość że nikt takiego nie lubił, bo wszyscy mieli go za donosiciela, to jeszcze musiał włączyć innym w życie prywatne. Sekretarz POP-u to również niewdzięczna funkcja. Osoba na tym stanowisku miała być niby bliżej załogi, reagować na jej bolączki i problemy. W rzeczywistości sekretarz wykonywał, co mu w komitecie wojewódzkim nakazano, a sprawy pracownicze schodziły na dalszy plan.

Trzecią osobą oprócz członków Bractwa Wrocławskiego był główny księgowy dużego zakładu przemysłowego – nie zapamiętali nawet którego, bo i po co.

– No ładnie się nasi chłopcy spisali – rzucił sekretarz, mówiąc o sławetnym meczu w Chorzowie. – A towarzysze też na mecz? – zapytał na wszelki wypadek.

– Nie, my służbowo. – Gromił miał pełną świadomość, jakie wrażenie robiła taka uwaga rzucona jakby mimochodem.

– No służbowo to musowo – potwierdził księgowy i zachichotał nerwowo.

– Ja tylko towarzysko – powiedział Warkot. – Blisko mieszkam.

– No to co? – Sekretarz był najwyraźniej prowodyrem. – Po maluchu? Za wynik meczu?

Wyciągnął elegancką myśliwską piersiówkę, oprawną w skórę z chowanymi metalowymi kieliszkami na zakrętce.

– Śliwowica! – mlasnął z dumą.

– Jak śliwowica, to ja chętnie – zaoferował Słupecki.

– Stary opój – nie wytrzymał Gromił.

– Stefanku, jak to mówią: „Na frasunek dobry trunek”. I nie wyskakuj mi więcej z takimi kalumniami przy obcych, bo ty już wiesz co...

– Jasne, zaraz śliwowica się zapali.

Sekretarz, księgowy i personalny przepili do Leona. Warkot grzecznie odmówił,

a Kapusta odwrócił się od poczęstunku z wyraźnym bólem na twarzy.

– To tylko tak dla zdrowotności – asekurował się księgowy.

– Bo u nas alkoholizm to poważny problem społeczny. Niektórzy, dla przykładu, piją w pracy – rzucił tajemniczo personalny z drukarni.

– U nas? Niemożliwe. – Warkota nawet zaczęło to bawić.

– Ja nie będę wymieniał nazwisk, ale na przykład taki goniec... zamiast, że tak powiem ganiać, ciągiem wystaje na Rynku przy budce z piwem. Mówi, że pragnienie go męczy...

– A pan, panie personalny, to tak służbowo czy z zamiłowania? – zapytał Słupecki.

– Co z zamiłowania?

– No czy dupę pan obrabia innym służbowo czy z zamiłowania?

Warkot parsknął i zakrył dłonią usta.

Personalny, nie wiedząc, kto zacz, zmilczał zniewagę. Zniósł ją po męsku. Ten dziwny jegomość mógł być kimś ważnym albo – co gorsza – na stanowisku, albo – jeszcze gorzej – służbowo.

– Nie, ja tylko tak... – bronił się personalny.

– Bo my tu wszyscy, proszę szanownego pana na mecz jedziemy, jakby pan nie wiedział... – potwierdził księgowy.

– Naprawdę? A mnie się wydawało, że panowie tu na chłanie przyszli. – Słupecki nie miał najlepszego nastroju o poranku.

– E, to tylko tak. Sam pan rozumie. Żony w domu, a mężczyzna musi mieć jakąś odskocznię – odezwał się do tej pory milczący sekretarz POP-u, który strategicznie milczał przez chwilę, ale uznał, że należy wesprzeć dyskusję swoim autorytetem.

– Pańska żona to ma dopiero odskocznię. I wolny cały boży dzień. Odskokcznia ma na imię Mieczysław – Słupecki wypalił z grubej rury.

– Że co? Że jak? Mietek to mój sąsiad...

– Jest takie powiedzenie: „Nie da ci ojciec, nie da ci matka, tego, co może dać ci sąsiadka”....

Warkot wolał już, żeby Słupecki zmienił się w jakieś monstrum, bo w tej roli czynił dużo mniejsze spustoszenie niż teraz.

– Panie, coś pan... – Sekretarz był zdruzgotany, ale zaraz otrzeźwiał, bo zaczął podejrzewać, że Słupecki, nieznana mu osoba urzędowa, ma go na widelcu. Czyli że jest pod obserwacją. – Ja przecież nigdy, ja nic przeciwko władzy ludowej, ani jednego złego słowa...

– Mhm, a co pan mówił w zeszły czwartek na wódce z kolegami? Że to musi w końcu walnąć? Że premier Cyrankiewicz wygląda na portretach jak dupa z pokrzywy? Że towarzysz Wiesław obiecał polędwicę i jej nie ma? Że obsadza wszystko swoimi? Nie mówił pan tego przypadkiem?

Nawet Gromił się uśmiechnął, choć mu nie było do śmiechu.

– Ja tego, bardzo przepraszam, ale tam koledzy czekają... no to do widzenia.

– Do widzenia... – rzucił Słupecki i dodał z naciskiem – ...WKRÓTCE!

Sekretarz rozpląnął się w powietrzu, jakby sam był nocną marą.

– No tak. – Warkot próbował przywrócić tej dyskusji jakieś cywilizowane reguły.

– Ja też coś mam, żeby nie było – powiedział Słupecki i wyciągnął z kieszeni płaszcza butelkę ulubionej starki oraz trzy kieliszki.

– To może ja też się napiję... – odezwał się Kapusta zmarnowanym głosem.

– Proszę uprzejmie... – Słupecki wyciągnął skądś kieliszek dla niego i rozlał trunek, który w tej temperaturze miał konsystencję syropu.

– No to za tych, co na morzu.... – księgowy wznosił toast drżącym głosem.

– A proszę uprzejmie. – Słupecki przepił do niego. – Ale, ale, pan szanowny to zdaje się ma jakieś spore niedobory, hm? Kontroli jeszcze nie było?

– Ko-kontrol ma być w przyszły piątek. – Księgowy wybałuszył oczy. – Niezapowiedziana.

– To najwyższy czas, żeby gdzieś dać drapak, co? Czyli wypiliśmy za tych, co na morzu, za pana też.

Rzeź była powszechna. Warkot nawet nie wiedział, że z Leona taki ananas. Kilka słów i był w stanie wykończyć każdego.

– Przecież może się tak zdarzyć, że nic nie wynajdą. – Gromił próbował jakoś uspokoić księgowego, który najwyraźniej był sercowcem.

– Może tak, może nie... – Słupecki wznosił oczy ku ciemnym chmurom nad ich głowami. – Słyszałem, że ten kontroler to straszna piła. Kilku dostało sankcje prokuratorskie...

Kapusta łyknął śliwownicy i się zakrztusił.

– Panie Zdzisławie, pan akurat nie ma się czego obawiać. Wręcz przeciwnie. Jestem pewien, że w domu czeka na pana doskonała wiadomość.

Kapusta łyknął podejrzliwie na upiora.

– Pan coś wie.

– Marlena musi ci, Zdzisiu, sama powiedzieć, że spodziewa się potomka.

Gromił wybałuszył oczy na Słupeckiego. Warkot gwałtownie podniósł wzrok.

– Po-potomka?

– Tylko, Zdzisiu, nie zdradź się przed nią, bo będę miał krechę u Marlenki. Bała się ci to powiedzieć, ale teraz jesteś skacowany, a takie wiadomości najlepiej przyjmować na kacu.

– Będę ojcem! – krzyknął majster na cały głos, nic sobie nie robiąc z badawczych spojrzeń kolegów. Kilku z nich nawet zaczęło kreślić palcami kółka na wysokości czoła.

– Poooolska gola! – zawtórował mu ktoś z innej grupy.

– No i po sprawie. Wielkie halo! – Słupecki się uśmiechnął.

– Jak to mówił mój matematyk – odezwał się Gromił – metoda uników nie daje wyników.

– Ojcem będę, Janku, Stefan, panie Leonie i ty mój personalny w ząbek czesany!
– Ja sobie wypraszam! – personalny obruszył się na całego.
– A co mi tam! Ojcem będęęęę! – Kapusta był w euforii.
– Będzie ojcem, będzie ojcem! Polska gooooola! – skandowali już wszyscy.
– Na imię damy mu Gerard! – wykrzyknął któryś z zebranych.
– To będzie demokratyczna decyzja... – bąknął Kapusta.
– Aha! Demokratyczna, czyli Marlenka wybierze – zawyrokował Słupecki.
– No właśnie, bo ma większość parlamentarną – skwitował to Jan.
– Ty się tak nie wyrywaj, Janek, bo na ciebie też przyjdzie kolej – odciął się Kapusta. Warkot wybałuszył oczy, jakby do tej pory w ogóle nie przyjmował tej myśli.
– Oj, tak, tak – wyłóśliwił się Gromił.
– Nie wiadomo, na kogo pierwszego! – odciął się Warkot, patrząc znacząco na przyjaciela.

Tym razem Stefan osłupiał cały, ale po chwili wybuchnął śmiechem.

– Dobrze, śmiech to zdrowie – powiedział Słupecki.
– Z pana, panie Leonie, to jest lepszy numer! – rzucił Janek.
– To prawda, lubię sobie pożartować w przerwach między poważną robotą.
– Nawet nie chcę się domyślać, co ma pan na myśli, mówiąc w ten sposób.
– A znacie to? Jeden kolega ze Śląska mi sprzedał. Trzech górników mo jechać do Francji: Gustlik, Hubert i Ludwig. Gustlik pado: Dejcie się ino pozór chopy, bo my sie musimy w tyj Francji imiona zmiynić. Jo Gustlik, byda Guy, ty Lutek, bydziesz Lui, a ... – Hubert mu na to – To ja niy jada!

Salwa gromkiego śmiechu, która przetoczyła się po ulicy, byłaby w stanie obudzić śpiących rycerzy w Tatrach, o spokojnych obywatelach nie wspominając, ale była to ulica przy komendzie i nikt tu nie spał.

Śmiech jeszcze nie ucichł, kiedy nagle zza rogu wyłoniła się ciężarówka. Zazgrzytała sprzęgłem, podjechała i stanęła na wjeździe na dziedziniec. Coś z niej ciekło, prawdopodobnie z miski olejowej. Kierowca ustawił się paką do wjazdu. Ze środka wyskoczyło czterech cywili w skórzanych kurtkach z bronią automatyczną w pogotowiu.

– A co to za wojsko?

– Pewnie bezpieczniacy... – zaproponował ktoś.

– Raczej niebezpieczniacy – skwitował Warkot.

Wszystkim miny zrzedły, kiedy z szoferki wysiadł wysoki, szczupły mężczyzna w długim płaszczu i w kapeluszu. Jürgen!

Gromił chciał się na niego rzucić. Zrobił krok do przodu, ale jego przyjaciel, Warkot był w pogotowiu. Zagroził mu drogę i silnym uchwytem uniemożliwił wyszarpnięcie Gromiłowego walthera z kabury. Siłowali się tak przez chwilę w milczeniu, sapiąc i mocując się w braterskim starciu.

– Nie wygłupiaj się, Stefan. Trzeba poczekać na właściwy moment. Teraz nic nie

zrobisz.

– Ja w ogóle mało ostatnio robię. Wodzą mnie wszyscy za nos, jak chcą...

– Pomyślałeś o Jadwidze? Chcesz wylądować w więzieniu? Co ona wtedy zrobi? Zostałeś jej już tylko ty!

Ta myśl otrzeźwiła nieco Gromiła, który cofnął się i spojrzał na przyjaciela.

– To co mam zrobić? Przecież nic mu nie udowodnię. Nie, ja muszę go zastrzelić.

– Pozwolicie, że się wtrączę... – zaczął Słupecki. – W przypadku naszego bandyty kara będzie szybka i bezwzględna, możesz się nie martwić, Stefanie. Niepokoi mnie co innego. Kto go tak ośmielił...?

Gromił rzeczywiście się uspokoił, bo przepowiednie Słupeckiego zawsze sprawdzały się co do joty. Burknął coś tylko pod nosem, że żadna kara nie będzie zbyt surowa.

Zbrojni z ciężarówki ruszyli zwartą grupą na dziedziniec komendy, a za nimi poszedł wolnym krokiem Jürgen. Ich kroki odbijały się echem na dziedzińcu budynku. Bractwo Wrocławskie w sile czterech osób podeszło do bramy. W środku stały nowe autobusy, którymi wszyscy kibice mieli się udać na mecz do Lipska. Müller wskazał swoim ludziom bagażnik, powiedział coś do kierowcy, który natychmiast otworzył klapę. Po chwili zbrojna grupa zaczęła przenosić skrzynki z niemieckimi oznaczeniami do ciężarówki.

– A więc wybrał inny sposób. Oficjalny. Straszny z niego cwaniak. Może mu się to nawet udać.

Jürgen miał mimo wszystko spore możliwości. Kałuża pod ciężarówką się powiększała. Bez względu na to, dokąd ciężarówka miała się udać, nie ujedzie daleko.

– Puszczaj! – syknął Gromił, a Warkot posłuchał, ale nie spuszczał oczu z przyjaciela.

Kiedy wszystkie skrzynki załadowano na pakę, Jürgen spojrzał w kierunku grupki przyjaciół. Wściekłość, zawziętość, ale też wyraz wyniosłego triumfu w jego spojrzeniu było widać nawet z tej odległości. Po chwili oderwał od nich wzrok i rozejrzał się, jakby na kogoś czekał.

Słupecki spokojnie zapalił camela wyludzonego od Gromiła. Zaciągnął się głęboko i westchnął.

– To już niedługo będzie.

– Co takiego?

– Patrzcie uważnie.

Zza rogu wyłoniła się czarna limuzyna. Miała srebrne wykończenie i wyglądała, jakby dopiero co wyjechała z myjni samochodowej. Przykuła wzrok wszystkich.

Zgromadzeni zaczęli sobie żartować.

– O, jeszcze jeden dygnitarz, co się mało nie spóźnił na autobus.

– Taki to pożyje.



Samochód przystanął na chodniku, ale nikt nie wysiadał.

Jürgen w jednej chwili ruszył przed siebie. Minął wartownika przy bramie i znalazł się na wysokości ciężarówki. Jego bojowcy wskoczyli na pakę.

Nagle stało się coś dziwnego. Wysoki, postawny Jürgen zamachał rękami. Stracił równowagę na koleinie i runął jak długi, pośliznąwszy się na oblodzonym chodniku podlanym gęstym, ciemnym olejem samochodowych.

Później każdy z obecnych inaczej wspominał to wydarzenie. Każdy patrzył na co innego. Nie dość tego, że wpadł, to jeszcze ciężarówka w tej samej chwili ruszyła naprzód.

– *Neeeeein!* – rozległ się rozpaczliwy krzyk spod kół wozu.

Müller próbował się czegoś złapać, ale jego dłonie chwyciły tylko powietrze. Widzieli wszystko jak na zwolnionym filmie, kiedy ciało Jürgena wślizgiwało się głębiej pod ruszającą ciężarówkę i gdyby kierowca nawet chciał, nie mógł się zatrzymać ani cofnąć... Wielkie koła ciężarówki brutalnie najechały na głowę Müllera. Rozległ się paskudny trzask, jakby ktoś rozbił doniczkę na chodniku. Jürgen wierzgał jeszcze chwilę nogami, ale były to już raczej pośmiertne skurcze. Na oblodzonym chodniku pojawiła się nowa, ciemna kałuża...

Na placu przed czerwonym budynkiem komendy zapadła cisza, jak makiem zasiał.

Słupecki odezwał się jako pierwszy.

– A nie mówiłem? Grisha podlał silnik olejem, ale zapomniał, że ma dziurę w misce olejowej i tak komsomolec uciął łeb bandycie. I po sprawie.

– No niech ja w domu nie nocuję – wystękał Kapusta.

– Ale jak to tak? – Gromił był niepokieszony, jakby ktoś odebrał mu nową zabawkę.

– Panie Leonie, skąd pan wiedział? – zapytał Warkot.

– Jak wiesz, mam pewne możliwości. Po prostu mówiąc językiem handlu społecznego, skończył mu się okres napraw gwarancyjnych. I szlus.

I wtedy go zobaczyli. Z limuzyny wysiadła jakaś na czarno odziana postać. Co dziwne, w ciemnych okularach. Nieznajomy zatrzasnął drzwiczki i przyglądał się całemu zamieszaniu, kręcąc głową.

– Obywatele, proszę się rozejść. Proszę nie robić zbiegowiska. Wypadek to wypadek. Prosimy wszystkich z przepustkami o zajmowanie miejsc w autobusach.

– A jednak pojedę na mecz – odezwał się zmarnowany Kapusta. – Ale musimy o tym wszystkim dokładnie pogadać, kiedy wrócę.

Mieszanka emocji smutku, euforii, radości i zaskoczenia sprawiła, że poczuł się nagle niezwykle zmęczony. Warkot wiedział, że będzie spał całą drogę.

– No to szerokiej drogi – powiedział Słupecki, nie spuszczać wzroku z nieznajomego.

Wszyscy zgromadzeni ruszyli do pojazdów, ale toczyli między sobą rozgorączkowane rozmowy. Zdarzenie było tak niezwykle, że na kilka chwil przyćmiło czekające ich sportowe emocje.

Nieznajomy rozejrzał się i nagle drgnął, jakby kogoś rozpoznał.

Patrzyli na siebie z odległości kilkudziesięciu metrów, on i Słupecki. Pozostali też go rozpoznali, choć trudno im było uwierzyć w to co widzieli.

Na chodniku przy czarnej limuzynie stał ich stary znajomy – Walenty Iwanowicz Sabiej – i beczelnie się do nich uśmiechał.

Po chwili swoim starym zwyczajem pomachał im i wsiadł do wozu, zostawiając członków Bractwa Wrocławskiego w pełnym osłupieniu.

Jedynie Słupecki zachował zimną krew. Teraz zrozumieli, że to właśnie przeczuwał: za tym wszystkim krył się poważniejszy przeciwnik niż tylko zbrojne zbiry. Sabiej rozpoczął nową grę i właśnie dostali do niej zaproszenie.

Warkot poczuł, jak tętni mu palec z sygnetem, a Gromił po raz kolejny poczuł pacnięcie na nogawce spodni. Spojrzał w dół i zobaczył kolejny filcowy kapelusz rodziny Müllerów, który wiatr przygnał wprost do niego. Znak? Być może, ale w ten poranek i w ciągu kilkunastu ostatnich dni wydarzyło się tyle, że dłużej się nad tym nie zastanawiał.





ZAKOŃCZENIE

W miesiąc po opisywanych wydarzeniach, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, wszyscy przyszli w odwiedziny do Gromiła. Od jakiegoś czasu stało się to tradycją i Stefan był zadowolony z takiego obrotu sprawy. W kącie pokoju stał nowiutki gramofon, na którym obracała się płyta Presleya – jedna z płyt Marleny. Elvis tęsknym, lirycznym głosem wyznawał miłość ukochanej i choć nie była to kolęda, utwór ten pasował do dzisiejszego świątecznego obiadu.

– No i wszystko skończyło się dobrze – powiedział majster Kapusta, który kraśniejąc z dumy, co i rusz obejmował silnym ramieniem żonę.

Jadwiga, która ucierpiała najwięcej, zerknęła na gospodarza, a Gromił pogładził ją po dłoni.

– Nie przejmuj się, on tak zawsze – powiedział, wskazując widelcem na Kapustę. – Dusza człowiek, sama widzisz.

Rozległ się dzwonek do drzwi i jakoś wszyscy wiedzieli, kto właśnie dotarł na przyjęcie.

– Siedź, proszę. Ja otworzę, jeśli mogę – powiedziała Barbara i poszła do przedpokoju.

Za drzwiami ucałowała odległego krewnego z dubeltówki, spojrzała mu w oczy i wyszeptała:

– Dziękuję ci Leonie.

Upiór stracił kontenans. Zdarzał się to niezwykle rzadko. Zmieszał się i bąknął coś, czego Basia nie zrozumiała.

– Chodź, wszyscy na ciebie czekają.

Słupecki był obładowany jak wielbłąd. Miał ze sobą kilka pakunków i pakuneczków przewiązanych szpagatem.

– Skoro nie chcieliście Dziadka Mroza, to macie Dziadka Leona! – wykrzyknął na progu pokoju.

Zdjął płaszcz i usadowił się na honorowym miejscu. Wszyscy członkowie Bractwa Wrocławskiego bardzo wiele mu zawdzięczali. Okazywali mu przy tym prawdziwą przyjaźń bez względu na jego astralne jestestwo.

– No dobrze, najpierw karniaczek – uległ namowom Zdzisława i Stefana – ale zaraz potem prezenty.

Wychylili trunek Gromiłowej mamy i przez chwilę milczeli, w zadumie wspominając tych, co odeszli.

Nadszedł jednak ten moment, kiedy należało rozproszyć smutki.

– Proszę bardzo, to dla ciebie, mój kwiatuśku – powiedział Leon, wręczając Jadwidze niewielkie pudełeczko. – A tu dla Basi i Marleny.

Dziewczyny rozpakowały prezenty.

– O matko! – krzyknęła Jadwiga.

– Niech mnie gęś kopnie! – wykrzyknął Kapusta, widząc w dłoniach żony pierścionek z olbrzymim niebieskim kamieniem.

Basia zachowała spokój, kiedy jej oczom ukazała się niezwykle misterna brosza z kamieniami w kształcie ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Chyba orła.

Jadwiga trzymała w dłoniach niezwyklej urody bransoletkę z motywem roślinnym wysadzaną zielonymi szmaragdami.

Były to podarunki iście królewskie, szczególnie w latach czynu społecznego, handlu społecznego, wieców i narad partyjnych oraz współzawodnictwa pracy.

– A to nie zniknie? – zapytała Marlena, podejrzliwie przyglądając się pierścieniowi.

– Nie ma obawy. Leżało czterysta lat w ziemi, ale wykopałem... Znajcie moje poświęcenie.

– Wujku, a nie z rabunku to aby? – zapytała Basia. – Wujek coś wspominał o swojej burzliwej przeszłości...

– Ależ nie, Basieńko, daję słowo. Miało się kilku wasali...

Klejnety były mocno starożytne i było to widać.

– Nie musicie wcale tego nosić na co dzień – naburmuszył się upiór, widząc opór żywej materii.

– Ja tego na pewno nie zdejmę – zadeklarowała Jadwiga. – Ale mógłby pan zdradzić tajemnicę pochodzenia tych piękności.

– Pamiętasz moją anegdotę? To od tego, co służba na jego widok wołała: „Saracen!”?

– Ojej, naprawdę?

– Jaki znowu Saracen? – zaniepokoił się Kapusta, rozglądając na boki.

– To już Jadwinia wam opowie – skwitował Słupecki.

Leon wpatrywał się zadowolony w ciesząc się z prezentów przyjaciółki.

– Sroczi – skomentował to z uśmiechem, co wzbudziło wesołość Warkota.

– No tak, w długie zimowe wieczory nam opowie. – Janek spojrzął na Jadwigę i Stefana, bo ta para nie odstępowała sobie na krok. Wpatrywali się w siebie jak w lustro.

– A dla panów mam męskie kosmetyki i żyletki firmy Orly... ale jest coś jeszcze. Ale to za chwilę.

Wszyscy cieszyli się prezentami i swoim towarzystwem. Już dawno nie mieli okazji spotkać się w takim gronie.

– Szkoda tylko, że skarb przepadł – zasepił się Kapusta.

– No tak, ten krwio pijca wywiózł wszystko w siną dal. Boże, że nie można było go tak po prostu zastrzelić – powiedział Gromił.

– Jasne i mieć bratnich sojuszników na głowie, pomyśl Stefan – uspokoił go Słupecki. – Nie wiadomo też, może jego kule się nie imają. Historia zna takie przypadki. Na dokładkę nie wiemy, co dokładnie wywiózł. – Słupecki mrugnął filuternie do Warkota.

– O, wujek coś znów knuje! – zaniepokoiła się Basia.

– Ja? W życiu! Skoro tak lubicie zrabowane skarby, to pomyślałam, że przyniosę wam po jednym, żebyście mieli na własny użytek. – Wskazał brodą trzy niewielkie paczki zawinięte w szary papier. – No Stefan, otwieraj, należy ci się. Janek, Zdzisiek, to dla was. Zasłużyliście.

Gromił spojrzał na przyjaciół i zaczął rozwijać pakunek. Zerknął do środka i zdębiał, po czym wyciągnął przedmiot z kartonu. Oczom wszystkich ukazała się nowa, emaliowana biała kaczka szpitalna. Na podstawie widniał napis *Militärkrankenhaus Hirschberg im Riesengebirge*. Nad napisem odmalowano od szablonu gapę.

– Janek i Zdzisiek mają takie same. Chciałem zabrać basen, ale nie miałem odpowiedniego pudełka.

Pierwszy nie wytrzymał Gromił i wybuchnął tak głośnym śmiechem, że zachodziła obawa, że się zakrztusi. Do Stefana dołączyli pozostali.

– Nie chciałem, żeby Jürgen sam cieszył się zdobyczą... więc podmieniłem to i owo ze swoich zasobów.

– Ale to znaczy... – Gromił nie mógł się uspokoić – ...to znaczy, że Sabiej zabrał sobie cztery skrzynki basenów i kaczek?

– Nie mogłem przecież pozwolić, żeby Przedwieczni nabili sobie kabzę – uśmiechnął się Leon. – Całość skarbu jest schowana w bezpiecznym miejscu, bo nasi włodarze też mają lepkie łapki. Większość się nadaje do muzeum. Jest też kilkadziesiąt kartek z nutami. Na jednej widnieją inicjały L.v.B. i może się okazać, że Dziewiąta symfonia tego zdolnego łapserdaka wcale nie była jego ostatnią, a tylko numeracja mu się pogmatwała. Ale to był straszny łajdak – spojrzał na Marlenę – i bikiniarz!

– Ale mecz nam się nie udał – westchnął Kapusta.

– Zdzisiu, nie desperuj. Jeszcze zagramy w mistrzostwach świata, bo jak to mówili we Lwowie: „Piłka jest okrągła, a bramki są dwie”

– Tylko dlaczego my zawsze mamy tę szerszą? – Zdzisław był niepokieszony.

Biesiadnicy wybuchnęli śmiechem. Cóż można było powiedzieć na takie dictum?

Rozmawiali, jedli, pili żartowali jeszcze do późnego wieczora w doborowym

towarzystwie. W pewnej chwili Warkot podszedł do okna balkonowego, wyrzął na zewnątrz na ośnieżony dach kamienicy na wprost zwieńczony wieżyczką domu jak z bajki. Śnieżyło, jak powinno śnieżyć w Święta. Coś jednak ściągało jego wzrok. Przyjrzał się uważniej. Maszkaron wieńczący kamienną framugę okna w kamienicy na wprost mrugnął do niego, po czym jak gdyby nigdy nic wbił kamienne spojrzenie gdzieś w dal.



KONIEC



PODZIĘKOWANIA

Chciałbym bardzo serdecznie podziękować wszystkim przyjaciołom, znajomym i rodzinie, bez których nigdy nie powstałby Warkot, o Gromile już nie wspominając.

Chciałbym podziękować pięknie Markowi Krajewskiemu za tak wnikliwe zajęcie się Warkotem i promowanie książki na spotkaniach autorskich. Niniejszym zostaje mianowany honorowym członkiem Bractwa Wrocławskiego.

Panu Jerzemu Skoczylasowi za akceptację wierszyka o Dreptaku oraz za całe lata rozwijania wyobraźni autora wraz z szacownym Studiem 202 i kabaretem Elita.

Basi i Jackowi Zapłotnym za przyjaźń i obecność w naszym życiu.

Adamowi Fydzie z rodziną – nie tylko za wspaniałą okładkę i ilustracje.

Damianowi Leszczyńskiemu, który nie tylko wrócił z zamorskich krain, ale też uniknął zjedzenia przez tubylców.

Piotrowi „Pietce” Maciejewskiemu z rodziną za całokształt oraz za zamieszkanie na ulicy Kota 7. (Mam dwa groźne duchy, gdzie zruścić?).

Jackowi Wolframowi za rozmowy o muzyce i archeologii. Marzy mi się zippo z Warkotem!

Gosi i Zbyszkowi Pietrzakom z ornitologicznym pozdrowieniem. Patrykowi Starczewskiemu z rodziną za przyjaźń i wsparcie.

Piotrowi Matuninowi za kibicowanie Warkotowi i rozpowszechnianie wieści o nim.

Koledze po piórze Jackowi Łukawskiemu, za zajęcie się autorem podczas wizyty w Kielcach! Powodzenia z kryminałem.

Grahamowi Mastertonowi za wnikliwą analizę tekstu – jak trudno jest tłumaczyć Rybskiego, przekonałem się na własnej skórze. Mishter Bond, it shoundsh a bit selfish!

Mojemu nowemu wydawcy, Panu Grzegorzowi Ciepłemu, za wsparcie i w nadziei, że w Cafe pod Minogą nie organizują pokazu zaangażowanych filmów irańskich. P.S. A ku-ku! Nie ma mnie w lodówce!

Niezrównanym recenzentkom mojego Warkota (Paniom: Magdalenie, Sandrze (Izie), Martynie i Agacie), które nie dość że zrozumiały, o co w tej książce chodzi, to jeszcze świetnie się przy niej bawiły. Co też było moim zamysłem. Dodatkowo Paniom Sandrze (Izie) i Martynie za BAAARDZO wnikliwą lekturę *Gromiła*, co pozwoliło mi uniknąć paru wpadek. Wszystkim miłym Czytelnikom poznanym na spotkaniach autorskich dziękuję za interesujące pytania.

I oczywiście na deser – mojej Mamie, Alicji Zofii Łucji Rybskiej za cenne uwagi i cierpliwość matczyną. Najukochańszej Żonie, Dorotce, za wyrozumiałość i nieustające wsparcie. Filipowi Kosińskiemu, żeby mu się wszystko spełniło, co zamierza. Joannie i Grażynce za pamięć i słowa otuchy. Rodzinie dalszej i bliższej składam podziękowania.

Na koniec osobista uwaga: Yeti, Buka i Godzilla – bez was nic nie mógłbym zrobić.

